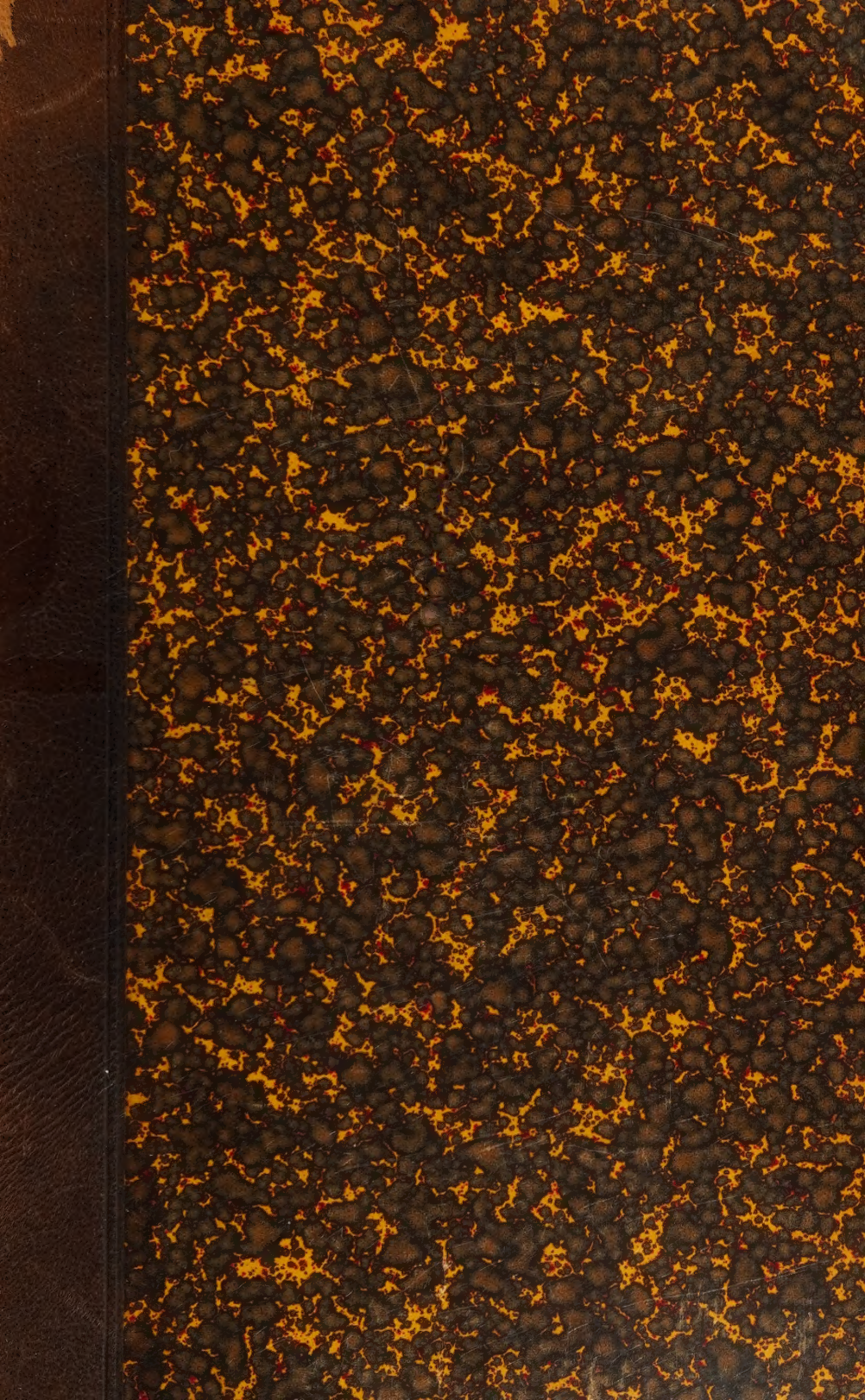
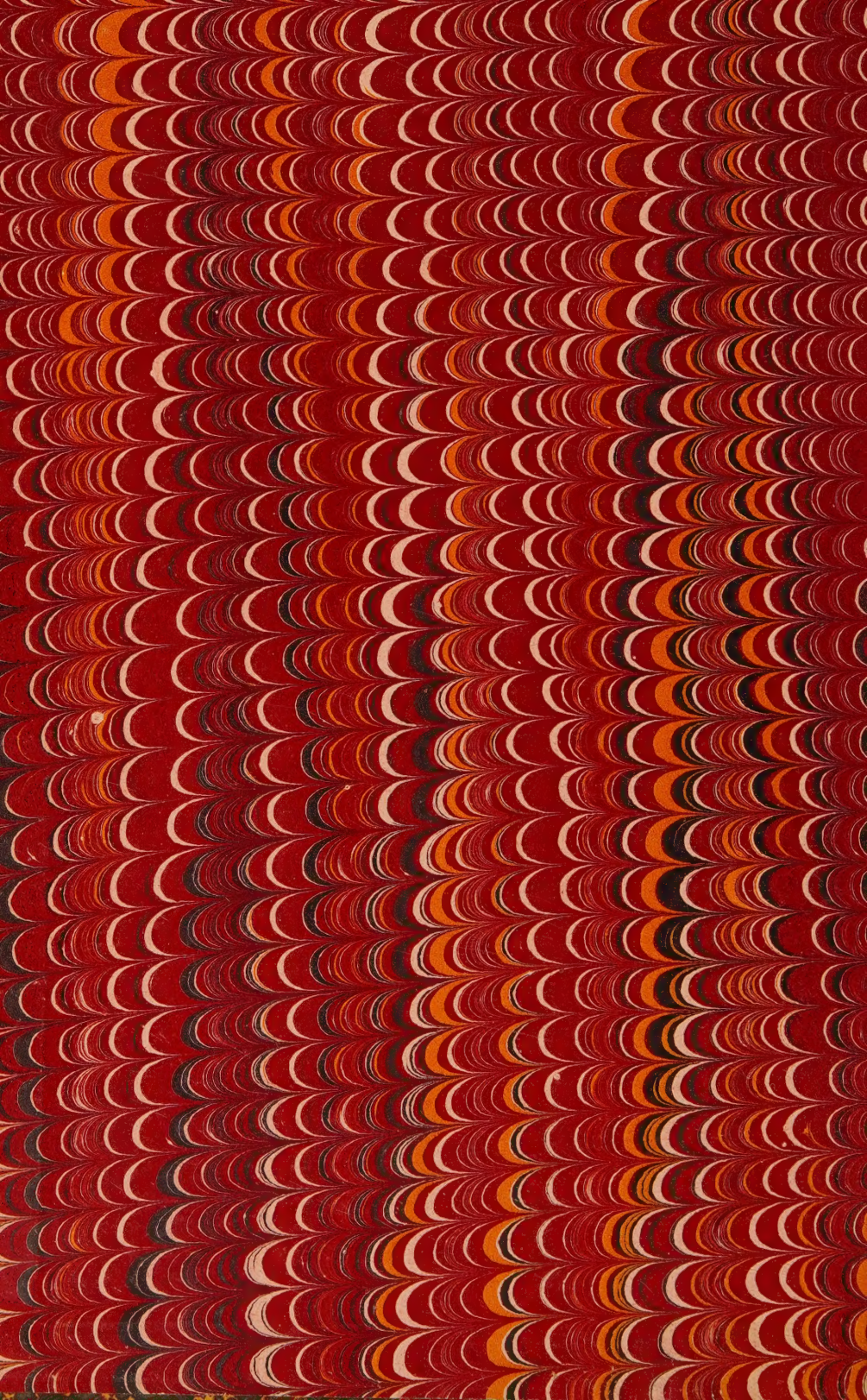
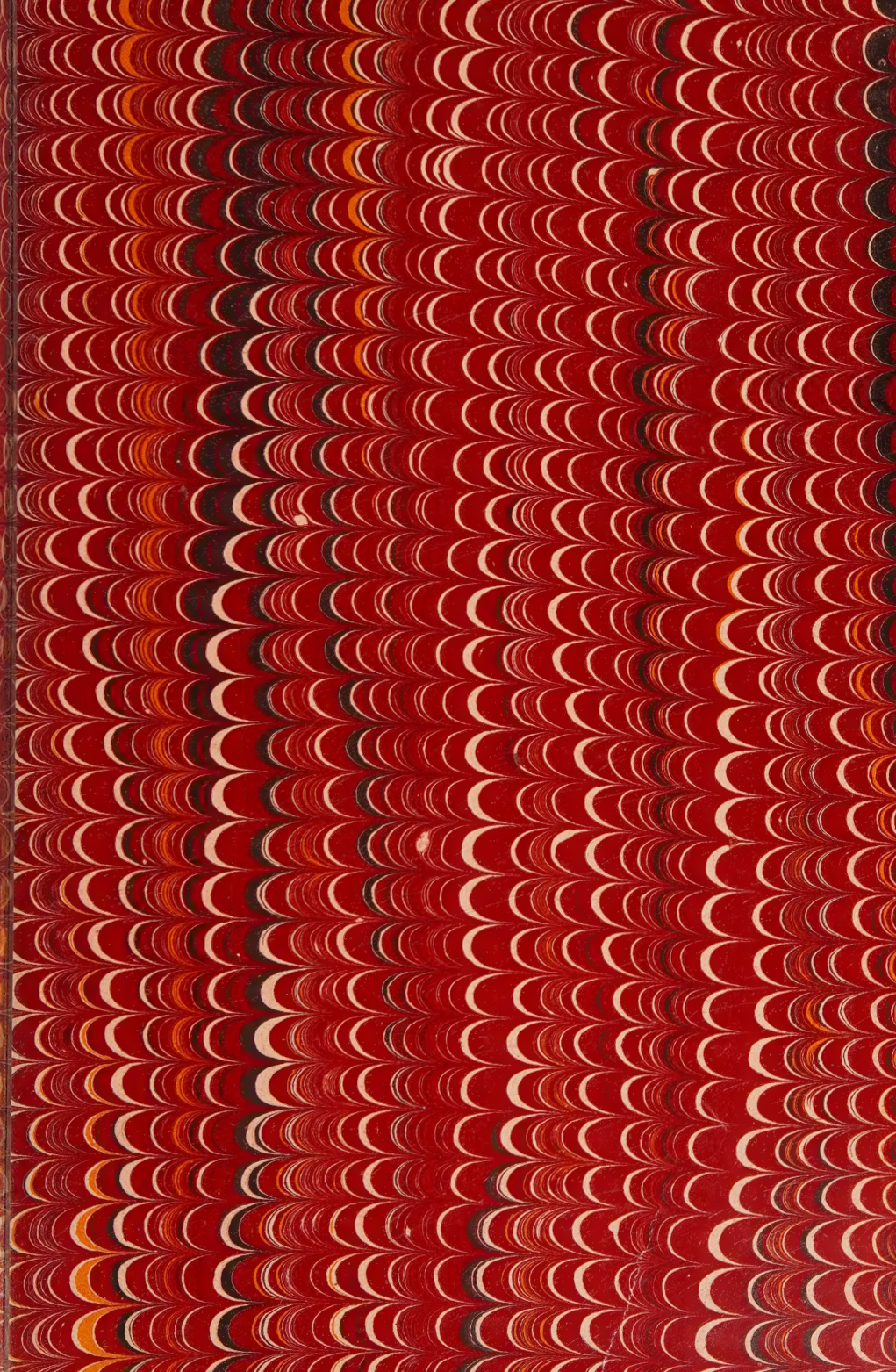
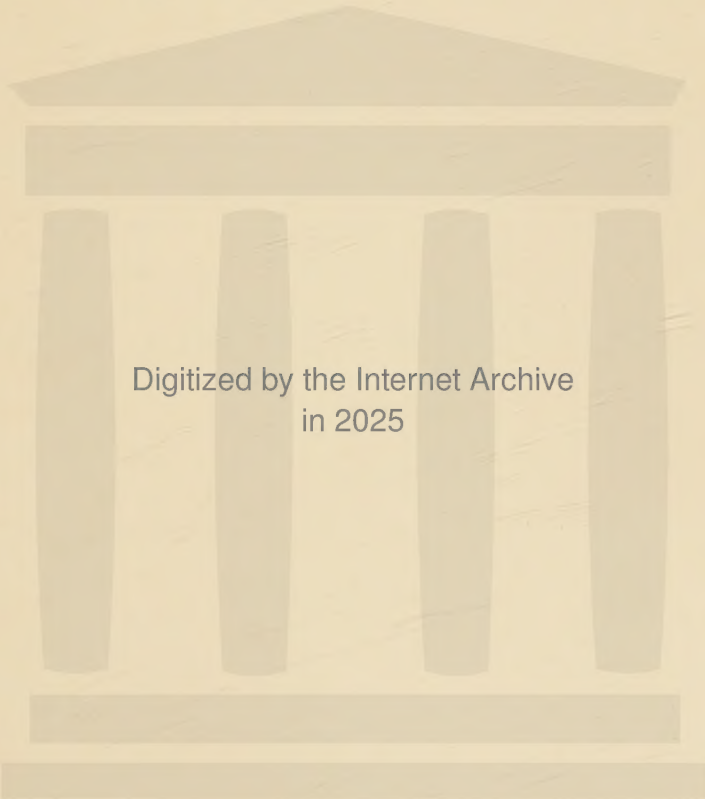










Digitized by the Internet Archive
in 2025

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ
W ZARYSIE

OK
ALEKSANDER BRÜCKNER

DZIEJE

Literatury Polskiej

W ZARYSIE

TOM I

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA i WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER i S-ka

1903

И А 12

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Сентября 1902 года.

PRZEDMOWA.

Z pomiędzy rzeczy ojczystych **literatura narodowa** wysuwa się u nas na czoło. Płyńie ona szerokiem korytem; toczy swe fale, — rzeka jedna, wielka, niepodzielna przez wieki, i zwierciedlą się w niej losy narodu, wysokość jego kultury i jej związek z Zachodem, zalety i uzdolnienie narodowe, nawet jego wady i przywary. Więc i **dzieje tej literatury** nęcą badacza i czytelnika: ten szuka w nich wyświeetlenia warunków, w jakich dzieła znakomitsze powstały, wpływów, jakie wywierały, tła umysłowego i dziejowego, z jakiego się wyłoniły; tamten, kusząc się o wystawienie tego wszystkiego, pragnąłby choć nieco z owych świetnych barw i blasków, jakimi się nasza literatura skrzy, sprowadzić na swą paletę, uwydatnić mieniącą się różnaitość ludzi i czasów, dzieł i prądów, treści i stylów, szerzyć kult piękna, prawdy i dobra, — tę nieskalaną dotąd służbę literatury naszej, nieść „przed narodem oświaty kaganiec!“ I zjawiają się coraz nowe próby, rozmaite układem, wykonaniem, rozmiarami, dążące jednak do spólnego celu.

Niniejszy zarys wyprzedziło niemieckie opracowanie tegoż przedmiotu przez autora (Lipsk, r. 1901); polskie nie jest ani tłumaczeniem, ani przeróbką niemieckiego, jest pracą samoistną, pomyślaną w odmiennych warunkach, przeznaczoną dla innej publiczności, wykonaną w szerszych rozmiarach. I z polskiej jednak pracy wykluczył autor bio- i bibliografię, ponieważ rozprawia o dziełach, nie o ludziach i książkach; zatrzymał podział najbardziej mechaniczny, jako najmniej gwałcący prawdę; nie uwzględnił literatury naukowej, ograniczając się do pięknej, chociaż bardzo szeroko pojętej; doprowadził wykład do ostatniej chwili.

Autor daje tylko **zarys** dziejów, o wyczerpaniu szczegółów nie myślał; mimo to stara się o wystawienie całokształtu, tak, żeby czytelnik dla każdego dzieła, z którym się spotka, dla książki zapomnianej, dla rękopisu nieznanego, *umiał oznaczyć styl i czas jego*. Wciąga więc rzeczy, których dotąd nie uwzględniano, zwraca uwagę najchętniej na szerokie promieniowanie literatury polskiej na zewnątrz. Żadnej tendencji czy partyi nie wprzągł się w służbę; stara się o przedmiotowość, o dobadywanie się prawdy, jak się co działo i co znaczyło; że na ocenę znaczenia wpływało to, co autor za prawdę uważa, z tem się nie kryje. Dbali o historyczność, o uchwycenie ducha czasu czy dzieła, chętnie posługuje się cytata-mi, wplata je często we własne słowa. Przypisków unika, skoro przeznaczył dzieło dla szerszej publiczności, obojętnej na to, gdzie się cytata, druk czy rękopis znachodzą. W opracowaniu czasów dawniejszych, przed wiekiem XIX, zaciągnął on największe długi u dwu najznakomitszych bibliografów, u J. A. Załuskiego i u K. Estreichera; zresztą korzystał z licznych innych prac i poszukiwań, obcych i własnych.

Dać poznać sam tok dziejów literackich bez zbytniego zgłębiania ich znaczenia, związek ich z europejskimi, samorodność w różnych objawach, głębokość pomysłów, piękność wykonania, zalety myśli i stylu, a przez to przyczynić się do uświadomienia przeszłych zasług i przyszłych zadań narodowych, oto co było zadaniem autora. Czy go dokonał, osądzą inni. Autorowi pozostaje jeszcze miły obowiązek złożenia wyrazów najszczerzej wdzięczności p. Ignacemu Chrzanowskiemu, który podjął się trudów całej korekty i niejedną cenną wskazówką pracę autorowi ułatwił.

Berlin, 15 listopada 1902 r.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

POCZĄTKI.

Kraj, naród i państwo; kultura pierwotna. Przyjęcie chrześcijaństwa; niedostateczność misji zewnętrznej i wewnętrznej. Pierwsze pomniki łacińskie; Gal i Wincenty. Rozbudzenie życia religijnego w wieku trzynastym. Kazania i pieśni polskie; Bogurodzica; zasługi Kingi. Nowe żywioły; napływ niemiecki; reakcja narodowa. Wiek czternasty: wpływy czeskie i niemieckie; kultura Kazimierzowska. Prace prawodawcze; potrzeba uniwersytetu. Literatura łacińska i polska; Jadwiga; kazania i pieśni polskie. Misja państwowa, obyczajowa i religijna na wschodzie.

Nowy uniwersytet Jadwigi i Jagiełły. Żydzi.

Szczep słowiański, zamieszkujący od niepamiętnych wieków niską płaszczynę, lesistą i bagnistą, między Bałtykiem a Karpatami, między Odrą a Bugiem i Sanem, pierwotnie jednej nazwy nie nosił. Nad morzem, od Szczecina do Gdańska, zwał się pomorskim, nad Wartą polskim, nad Odrą śląskim, nad Wisłą, u Krakowa i Sandomierza, wiślańskim, u Warszawy mazowieckim: Pomorzan, Polan, Ślązan i Mazowszan (Mazurów) zwali obcy Lęchami (Lachami). Z tej jedności plemiennej wyodrębnili się jedni, wysunięci najdalej na zachód i północ, otoczeni nieprzybytymi borami i bagnami—Pomorzanie, skazani wcześniej na zagładę; inni garnęli się i skupiali ku Białej Wodzie—Wiśle, słowiańskich rzek królowej.

Po wiekach luźnego bytowania wedle plemion i rodów, nie napastowanych ani napastujących, skoro na Wisłę stepy swej dzikiej koczowniczej nie wylewały, a żadne bogactwa kupców ani zdo-

bywców tu nie nęciły; po tylu wiekach gminowładztwa i nierządu iście słowiańskiego nastąpiło powolne stężanie się i różniczkowanie mas dotąd bezkształtnych. Z wojewodów, starost i sędziów, z bogatszych pasterzy i łupieżców wyroili się wyżsi, naczelnicy po plemionach i rodach, aż najenergiczniejszy z nich zawładnął innymi; od starej Kruszwicy nad Gopłem wyszedł związek późniejszego państwa, a „ksiądz“ jej zaciężył nad obszarami przyległymi, gdy władza ta przeszła od Popielowiców do Piastowiców i ich gniazda—Gniezdna; Piastowic Siemowit wypłynął na pierwszą widownię dziejów zachodniosłowiańskich później nieco, niż Mojmir u Morawian, około roku 850. Od Gniezdna i Poznania rośło jego państwo, od Polan polskiem, Polską zwane; dzieła zjednoczenia pokrewnych plemion dokonał praprawnuk, Chrobry, rugując na zawsze Czechów z Krakowa, ciążąc nad zachodem i wschodem, ustanawiając biskupstwa łacińskie w Kołobrzegu i Kijowie, paktując z cesarzami zachodniego i wschodniego Rzymu.

Stroniąc od morza, a gór unikając, żył był dotąd naród, oddany łowiectwu, rybactwu, rolnictwu, wywodzący trzody, hodujący pszczoły i ich „święte brzemię i rosę niebieską“, rządzący się i radzący na wiecach. Żadne wyprawy awanturnicze nie budziły go ze snu wiekowego, żadne najazdy nie rozkołysały jego siły i wyobraźni. W drewnianych chałupach, kurnych i ciasnych grodach, nad wodami i wśród nich, szukał on schronienia przed słotą i wrogiem; żył z przyrodą, pracując jaknajmniej, gnuśniał lekkomyślny i nieopatrny, dobroduszny i gościnny, przywiązany namiętnie do ziemi, zwyczaju i języka, ale ciekawy obcego tem bardziej, im rzadziej się z niem spotykał. Handlarze zjawiali się wyjątkowo—po skóry, воск lub ludzi; płacono płatami lnu, kruszami soli, skórkami, kawałkami drogiej minery. Uzbrojenie bywało arcyliche: miecz i szczyt, długa włócznia i krótkie groty, łuk i strzały, ciemierem zaprawne, lepsze u wiciędzów - łupieżców, wojów, których ksiądz, jeżeli załogą w grodzie nie stali, wiciami podawanemi od woja do woja, na wyprawęzwoływał. I kult religijny nie budził nadto myśli ospałej; ubóstwianie przyrody zajmowało celniejsze w nim miejsce; świątyni, posągów, kapłanów może i nie było; obchodzono święta wiosenne i jesienne u ruczajów i po gajach; składano ofiary z koni, które potem z bóstwem spożywano, skąd nazwa „Koniojady“ różnych miejscowości; zalewano je piwami i miodami; wróżono o pomyślności z ofiar i trafów. Nad tymi zjadaczami chleba o słabej woli

i zmiennem usposobieniu górowały niemal więcej uduchowione, delikatniej zorganizowane niewiasty, choć władza męża była despotyczna, a wdowa na stos po mężu wstępowała; wielożeństwo panowało chyba u starost i księdzów, czystości obyczajów strzeżono przykładnie. Kobieta, od kobi, t. j. wróżenia przezwana, brała w kulcie udział walny, ona była wrózką i wieszczką, ona piastowała poezję narodową.

Lud ten miał swe tradycje o chłopskiem pochodzeniu Piastowiców, od Piasta, Rzepicy i Chwościska, chłopków podkruszwickich, i o znamiennym cudzie, który się przy postrzyżynach ich Siemowita zdarzył; opowiadał o dalekich psiogłowcach, o olbrzymach-stolimach i krasnoludkach-ubożętach, o smoku w „wąwalu“ (wądole) krakowskim (Wawelu) i o jego zgładzeniu; bajał o dziwnych przygodach dziwnych stworzeń; cieszył się, jak dziecko, zagadkami; pstrzył mowę przysłowiami; epiki jednak, pieśni epicznej, nie posiadał; nic przynajmniej jej nie wskazuje. Kwitła zato poezja liryczna, szczególnie w ustach dziewcząt, stadem i kołem na wiosnę chodzących lub zimą u kołowroteków pracę pieśnią miarkujących, pieśni wiosenne przy płasach i klaskaniu w dłonie, pieśni, owijające się o szczegóły dramatu ślubin lub tragedyi śmierci, pieśni dożynkowe. Tylko o takich wspominają dawne źródła, czy to opowiadając, że je przerwała wiadomość o nagłym zgonie Sprawiedliwego, czy to, że występują gorliwi kaznodzieje i gromią te pogańskie nawyczki, te dyabelskie śpiewy z ich przypiewami niezrozumiałymi: chrześcijański kapłan, słysząc owe powtarzane, „opiewane“, Łado, Ilieli, Tyja, Jesze, był przekonany, że to nazwy czartów - bogów, wzywanych przez bałwochwalców; z takich to przyspiewów utworzył i zaludnił Długosz w XV wieku polski olimp pogański. Naturalnie, że i niezwykle zdarzenia wywoływały piosenki, odruch i wylew uczucia, podrażnionego najazdem obcych, zbrodnią domową, odwetem szyderskim, lecz i w tych piosnkach, tragicznych i rzewnych, czy wyzywających i złośliwych, nie przeważał żywioł epiczny.

Na widownię dziejową wstąpił ten naród za Piastowiców i przyjęcia chrześcijaństwa. Niezwykły to był ród, sam kwiat narodu, ci pierwsi Piastowice, ów „niedźwiedz“ t. j. Mieszka, co to z Dobrawą czeską chrzest przyjął, i siostra jego, Biała Kniężini, co i konia dosiadała i człowieka ubiła i całe Węgry wraz z Gieją na pasku wodziła: a przewyższyli to rodzeństwo jeszcze syn i córka Niedźwiedzia, Chrobry i Dumna, godna matka Knuta Wielkiego,

co północ zawojował, kobieta jak ze stali, nieugięta i nieustraszona niczem, a taki i brat jej, Chrobry, co dzwonił mieczem w bramy praskie i kijowskie, do Konstantynopola słał butne oświadczenia, a między Niemcami zjednywał gorących wielbicieli, jak młodego cesarza samego i świętego z rodu jego, Brunona, i wrogów nieprzejednanych, zgrzytających zębami na samo wspomnienie nazwy jego, jak Titmar merseburski, biskup i dziejopis. Do tych Piastowców, sięgających z namiennie w zaraniu dziejowym za Karpaty i za Bałtyk, do Węgier i do Szwecyi, przystała dzielna Przemysławówna, owa Dobrawa, co, choć żona i matka, do śmierci dziewiczego wieńca nie zrzuciła i o której lud może to właśnie opowiadał, co później kronikarz na Wandę złożył.

Nie za Mieszki jednak, nie w r. 966 dopiero poraz pierwszy, zapukało chrześcijaństwo do wrót polskich; spłynęło tu ono Wisłą jeszcze w dziewiątym wieku, od Moraw, gdzie urządzali, dziwem w Europie niesłychanym, obrządek słowiański święci bracia soluńscy; książę wiślański wolny chrześcijaństwo to wprawdzie odrzucał, lecz w niewoli przyjąć je musiał. Więc nie w Wielkiej Polsce, nad Krakowem zabłyśły przed r. 900 pierwsze krzyże; tylko cięży już jakieś przeznaczenie nad tym Krakowem, że wszystko podwójnie odrabiać musi. Toż samo było i z chrześcijaństwem; zatarły się wnet jego dawniejsze ślady, tak, że rok 966 za pierwszy chrześcijaństwa uchodzić winien. Lecz nie ze wszystkiem zatarły się te ślady: dzieło braci soluńskich w języku polskim dotąd się przechowało; nazwy popa i cerkwi od XV wieku dopiero zatracono, dalsze słownictwo chrześcijańskie, od mszy i kmotra aż do mnicha i papieża, do krzyża i chrztu, do dni tygodniowych i świątecznych, wskazują, jakimi to żywiołami domowymi posługiwało się i to chrześcijaństwo, które od zachodu, od Kolonii i Magdeburga, do Polski dążyło.

Lata te rozstrzygnęły losy Słowiańszczyzny nazawsze; w dwadzieścia lat później przyjął bowiem Włodzimierz kijowski chrzest od Grecyi; Ruś i Polacy, tak blizcy pochodzeniem, obyczajem, mową, nie dzieleni granicami przyrody, przeznaczeni do utworzenia wielkiego państwa słowiańskiego, obok Romanów i Niemców, rozeszli się na zawsze; obrządek dopiero stworzył niebywałe dawniej, nieprzeparte zapory, i z każdym wiekiem miała się odtąd pogłębiać przepaść, dzieląca oba narody; Rzym i Bizancyum przeniosły na Polskę i Ruś te wstręty, jakie je same dzieliły, wstręty,

zupełnie obce plemieniu słowiańskiemu i jego temperamentowi. Na razie przepaść ta nie przeszkadzała związkom familijnym między Piastowicami a Rurykowicami; stosunki pokojowe i wojenne, jako między sąsiadami, nie zaostrzały się jeszcze przeciwieństwem wyznaniowem. Lecz gdy Ruś przez przyjęcie obrządku wschodniego odstrychnęła się od Europy i żyła własnem życiem pod wpływami greckimi, zlała się Polska dzięki obrządkowi łacińskiemu z zachodem. Na razie zbytnich korzyści to jej nie przyniosło wcale; nowa wiara nawet różnic społecznych, uwydatniających się coraz bardziej, nie tylko nie złagodziła, ale je spotęgowała.

Ustrój ówczesnej Polski przypominał ustrój Gallii za czasów Cezara: lud, jak i u Gallów, był prawie niewolnikiem; ciążyły nad nim rody szlacheckie, stawiające wojów i „czestników“, żupanów i starostów, komorzych i wojewód; każde „gniazdo“ z własnym obszarem ziemi i z własnem, jedność rodu wyświadczającym, „zawołaniem“ (hasłem, wziętem od położenia „gniazda“ lub od trafunku jakiego lub od seniora), pod którem kupili się w chorągwie wszyscy „gniazdowicy“, Nałęczowie, Toporowie, Grzymałowie i t. d. Nad tą „szlachtą“ i ludem stał książdz, książę, który w końcu po tytuł króla i po koronę sięgnął, z nieograniczoną, ojcowską władzą nad krajem, jakby nad własną rodziną; z wymaganiami twardemi w służbach i daniach, mszczący winę ojca zawsze i na całej familii, surowo karzący wszelki występki. Do tego ustroju weszło duchowieństwo, obce, z nowemi wymaganiami nader uciążliwemi, z zabranianiem pokarmów pewnych (koni, zajęcy) na zawsze lub mleczywa i mięsa w czasach oznaczonych, w posty, z nakazami odwiedzania dalekich kościołów, z dotkliwemi ograniczeniami swobody małżeństw (co do czasów ich zawierania i co do stopni ich pokrewieństwa), z nowymi podatkami, dziesięcinami. Sarkał więc lud, i, gdy po nagłej śmierci Chrobrego drugi Mieszka trudnościami na zewnątrz i wewnątrz nie sprostął, zerwał się po śmierci jego lud ten do walki przeciwko panom¹⁾ i duchowieństwu, do walki socyalnej i religijnej zarazem, ale jarzma nie zrzucił, przynęcił tylko obcych (Czechów) do najazdu i pustoszenia i odtąd nie zrywał się już nigdy, znosząc przez osiemset lat, z cierpliwością nieskończoną, słowiańską, dawne jarzmo, które z wiekami tylko cięższem się stawało.

1) Wiemy z wiarogodnego źródła ruskiego, że lud rozsrożony zabijał i bogate żupanie (panie) polskie.

Silna organizacya monarchii piastowskiej przetrwała burzę, ale punkt jej ciężkości przesunął się z północy, z Gniezna i Poznania, na południe, do Krakowa, skąd organizacyę odbudowywać począł. Najsilniej ucierpiało wtedy duchowieństwo, w którym żywiły obce, romańskie, długo jeszcze przeważały; czuło się ono dygnitarstwem świeckiem i w imię interesów państwowych, konaszachtów politycznych, przyszło też do pierwszego starcia między królem a biskupem; król biskupa, jakby urzędnika świeckiego, śmiercią ukarał. Była to chwila zamieszania, upadku życia religijnego w całej Europie, które dopiero za Grzegorzów i wypraw krzyżowych odżyło; jednostki tylko, Wojciech, Bruno, Romuald, gorzały świętym ogniem; i w Polsce znachodzili się pierwsi asceci, jak ów Świerad święty, Andrzejem zwany, co to na Węgrzech w pustelni życia był dokończył. Zresztą ani nieliczni zakonnicy, Benedyktyni w Międzyrzeczu, Tyńcu, Lubinie, Kanonicy regularni w Trzemesznie, później Cystersi w Łądzie, Sulejowie — oddani gospodarstwu domowemu, pielęgnowaniu roślin, karczowaniu szerókich dziedzin, ani duchowieństwo świeckie, które się jeszcze w pół wieku po śmierci Chrobrego stałej organizacyi nie dobiło napowrót, nie odznaczało się duchem religijnym ani zbytnią gorliwością.

Ucierpiała na tem najpierw misya. Polskę okalały z północy i zachodu, od dzikich Jaćwingów nadnarwiańskich aż po spółplemiennych Luciców nadodrzańskich, ludy pogańskie, lecz niezdobyło się nigdy duchowieństwo polskie na misyę między tymi poganami, zostawiało wieńce męczeństwa obcym, Wojciechom i Brunonom. Zdobyłcze czynił i tracił oręż Bolesławów; szerzyła się kultura polska między Prusami, których język najgęściej przesiany słowami pochodzenia polskiego; nie szerzyła się wiara. Duchowieństwo polskie dało się zupełnie obcym wyręczyć; chociaż jeden język Polaków i Pomorzan łączył, pracy misyjnej dokonał Niemiec, Oton z Bambergu, kościołowi niemieckiemu, kulturze niemieckiej, szlachcie i chłopom niemieckim drogę do Szczecina utorował a żywioł słowiański na zniszczenie naraził. I utraciła Polska Pomorze na zawsze, ledwo część jego wschodnią, gdańską, sobie zawarowała. Z ziemią pruską poszło nie inaczej; mimo że dzielnice prapolskie, np. chełmińska, głęboko się w nią wdzierały, że ten lub ów cysters polski, np. Chrystyan, misyi skutecznie się podejmował, nie podołały ani duchowieństwo, ani oręż Polski, podziałami wyniszczonej, zadaniu misyjnemu i cywilizacyjnemu, i wbrew obiecującym

początkom trzeba było Prusy, jak i Pomorze, wydać na łup Niemcom, zamknąć sobie przystęp do morza, zachwiać egzystencję polityczną i narodową.

Jak misja zewnętrzna, tak i wewnętrzna owoców długo nie wydawała. Na stolicach biskupich i po kapitułach zasiadali obcy, jeszcze i w wieku dwunastym; dyecezye rozciągały się w rozmiarach wprost bajecznych, jak np. krakowska od Wisły aż do Bugu i Styru; kościoły parafialne i klasztory ginęły w tych odległościach. Duchowieństwo, nie uznające celibatu, ześwieczczało zupełnie; król lub książę mianował biskupów, nie poddających się rygorowi arcy-pasterza; szkół w kraju, mężów uczonych, ksiąg był brak najdotkliwszy. Każdy Niemiec, zjawiający się dla bakalarzowania, miał powodzenie zapewnione, jak ów Otton z Bambergu; udawano się po same pierwiastki nauki zagranicę, i częste nazwy Lambertów na stolicy biskupiej krakowskiej wskazują związki z sławną szkołą w Leodyum, pod patronatem św. Lamberta zostającą; Francuz też musiał napisać pierwszą kronikę Polakom, na żądanie ich duchowieństwa. Rzym, zasilany z Polski skromnem świętopietrzem, wglądał coraz w sprawy kościoła polskiego przez legatów, nastających na karność nową, usuwających zakorzenione błędy. Lecz już z trzynastego wieku dochodzą wymowne ich skargi na niedołęstwo duchowieństwa polskiego; nawet starcy nie znali modlitwy żadnej, nie umieli powiedzieć, w co wierzą, a o ziemi Łukowskiej (parafii krakowskiej) donoszono papieżowi, że ludzie tam nawet nie chrzczeni umierają, jak wśród pogaństwa, i myślano o założeniu nowego, łukowskiego biskupstwa. Nie dziw więc, że jeszcze w końcu XIV w. zdarzały się wypadki, dawno na zachodzie niebывałe, jak ów Chrystus z apostołami i Magdaleną u stóp gór świętokrzyskich, czczony, jak Bóg, przez mieszkańców okolicznych, zapowiadający im deszcze i pogodę, otrzymujący liczne ofiary, aż starosta szalbierza przeświadczył i uśmiercił; inny Chrystus z apostołami jeszcze za Zygmunta Starego lud niepokoił.

Nic więc dziwnego, że do trzynastego wieku nie spotykamy się ze śladami liczniejszymi rozbudzonego życia duchowego. Polska zasila się wyłącznie umysłowością obcą, nie zdobędzie się na coś więcej, chyba na list, w którym zaprosi obcego do misji ruskiej; ludzie wyższego ukształcenia byli najnieliczniejsi. Góruje między nimi Kazimierz Sprawiedliwy; obchodzą go pytania naukowe, chętnie o nich rozprawia; ubolewa, że młodzieży polskiej nie można

ćwiczyć w duchu rodzinnym i poleca wreszcie mistrzowi Wincentemu, późniejszemu biskupowi krakowskiemu, pierwszemu, co z wyboru kapituły wyszedł, ułożenie podręcznika dziejów narodowych. Istniał już podręcznik, dziełko owego Francuza, z początku wieku, ale poprzestawał na wyliczaniu przewag Krzywoustego, traktując resztę, jako wstęp; Francuza rozszerzył, przykrasił, wymuskał cytacyami z autorów i przykładami z dziejów starożytnych mistrz Wincenty, popisując się retoryką, znawstwem przewodu sądowego (kanonicznego), odczytaniem w poematach i encyklopedyach; treść dopowiedział do początków XIII wieku i wstawiał księgę całą o bajecznych dziejach narodu, gdzie niemal więcej własną inwencją, niż podaniami, narabiał, a jak ów Francuz prozę opowiadania wierszami przeplatał, tak i on wsunął obszerniejszy poemat, misteryum alegoryczne o walce i rozpieraniu się radości z panowania sprawiedliwego „księdza“ i smutku z powodu zgonu jego. Jak wyszukaną tą alegoryą, tak i formą dyalogiczną, nadaną pierwszym trzem księgom, rywalizował mistrz Wincenty z najlepszymi wzorami ówczesnej szkoły francuskiej, wydającej Hildebertów, Janów z Salisbury, Alanów. Jedyny to Polak XII wieku, przedstawiający naród wśród uczoności ówczesnej; inne rzeczy, które w Polsce powstawały, były kopiami z obcych źródeł lub wychodziły z pod piór obcych.

Wiek nowy, trzynasty, zapowiadał się jak najfatalniej. Od lat sześćdziesięciu trwający podział kraju prowadził do dalszego rozdrabniania dzielnic, szczególnie śląskich i kujawskich, do nowych walk wewnętrznych i coraz większej bezsilności na zewnątrz wobec Prusów, Jaćwingów, Rusi; przygotował zupełne oderwanie się Śląska od macierzy polskiej. Z upadkiem znaczenia władzy książęcej roste znaczenie duchowieństwa i panów, przechodzących od jednego pretendenta do drugiego, od Mieszki Starego do Laskonogiego i naodwrot; duchowieństwo, przejmujące się powoli zasadami Grzegorzów i Innocentych, wywalcza przywileje i nietykalności z uszczerbkiem władzy książęcej i toruje drogę szlachcie do podobnych zakusów; odtąd staczają się dzieje polskie po pochyłości uroszczeń stanowych, aż się zakończą rozbiciem władzy monarszej. Zagrożają nowe niesłychane klęski; dzicz stepowa kieruje się ku Wiśle i spłókuje po kilka razy dzielnice małopolskie, zapędzając się aż ku Śląskowi; mórz czarny pustoszy kraje doszczętnie. Ale ten sam wiek zaznacza się nową epoką w umysłowości polskiej.

Rozbudza najpierw życie religijne, głębokie i szczere, nie porzysające na obrzędowości zewnętrznej poprzednich wieków, rozmarzone i idealne. Nie brała przedtem Polska udziału w życiu zachodnim, w walkach krzyżowych, w pielgrzymkach do ziemi świętej; wyprawy pruskie i pomorskie zastępowały Palestynę, murowanie kościołów romańskich, z malaturami bizantyńskimi, zastępowało drogę rzymską i jerozolimską. Tym razem ogarnęła jednak fala religijna, z której się zakony kaznodziejskie i żebrzące, pokutnicy i biczownicy wyłoniли, i Polskę. Co zaniedbali mnisi czarni i szarzy, Benedyktyni i Cystersi, miała wynagrodzić bracia Dominika i mniejsza, Franciszka; i duchowieństwo świeckie zakrzętnęło się nie tylko około imunitetów, dziesięcin i świętopietrza, lecz i około zbawienia i oświecenia trzódki wiernej. Wałną przeszkodą był obcy język liturgii; religia i łacina, którą językiem żaków nazywano, jakby ci innego nie znali, spłotły się nierozzerwalnie, ale łaciny tej prócz księży nikt w całym kraju nie znał, i z zadowoleniem zapisywał kronikarz klasztoru fakt, że książe umiał po łacinie i z kapelanami nadwornymi chętnie rozmawiał, gdyż i u dworu nikt inny po łacinie nie umiał. Należały się więc ustępstwa językowi krajowemu; synody duchowieństwa wdrażały obowiązek plebanom, aby w niedziele i święta powtarzali główne modlitwy ludowi, odmawiali z nim spowiedź powszechną (Kaję się Bogu), a w miarę sił objaśniali i lekcję świętą. Nie zadowalali się tym skąpym posiłkiem Franciszkanie, którzy jeszcze gorliwiej, niż Dominikani, kaznodziejstwu polskiemu się poświęcali, i już około roku 1270 rozbrzmiewały po dzielnicach małopolskich i szląskich kazania minorytów w języku polskim, nawet po małych kościołkach wiejskich, gdzie się pleban chętnie zakonnikiem wyręczał. Franciszkanie pierwsi obdarzyli lud polski i pieśnią narodową.

Kazania i pieśni dla ludu nie odgrywały w nabożeństwie wczesnego średniowiecza znaczniejszej roli; zasługą była obecność sama przy nabożeństwie i śpiewie łacińskim duchownych, korne słuchanie niezrozumiałych dźwięków; kazań nie prawiono, lud nie śpiewał, chyba przy procesjach Kyrie elejson, kierlesz, powtarzał; z kierleszem ruszali i rycerze do bojów. Na zachodzie, szczególnie u Niemców, nie u Romanów, rozwinęła się już była w języku narodowym pieśń religijna; u Czechów rozszerzono samoistnie pierwotny „Kierlesz“ do całej zwrotki „Hospodine, pomiluj ny i. t. d.“; przysła wreszcie kolej na Polskę.

Na czele literatury polskiej stoi **Bogurodzica**, a dzieje jej przejmują nas głębszem uczuciem i czcią większą, niż dzieje jakiegokolwiek innej pieśni religijnej, choćby czeskiego „Hospodine pomiluj ny“ albo niemieckiego „Christe genado“. Obie jej zwrotki, korne, a natchnione, poważne, choć proste, wzruszają i dzisiaj, cóż dopiero, gdy poraz pierwszy zabrzmiała pieśń:

Bogurodzica dziewica,
Bogiem sławiena, Marya,
Twego syna, gospodzina,
Matko zwolena, Marya,
Zyszczy nam, spuści nam! Kirie eleison!
Twego dzieła Chrzciela, Bożyce,
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze;
Słysz modlitwę, jaż nosimy;
To dać racz, jegoż prosimy:
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt! Kirie eleison!

Tekst rozumiemy i dziś swobodnie, choć sześćset lat z górą minęło, od kiedy obijał się o mury kościelne Starego Sącza. W pierwszej zwrotce upraszało się o wstawiennictwo do Syna i Panna, matkę i dziewicę; w drugiej wzywało się Bożyca, syna bożego, o wysłuchanie prośb naszych w imię czyli dla (dzieła) Chrzciela Jego. Obie zwrotki ułożył Franciszkan Boguła, spowiednik księżniczki-wdowy małopolskiej, Węgierki Kingi, gorącej wielbicielki Maryi; w najkrytyczniejszej chwili bogomyślnego, ascetycznego jej żywota łaska Chrzciela cudownie ją wsparła; więc o Maryi właśnie i o Chrzcielu prawią obie zwrotki pierwszej pieśni polskiej; z imieniem tej świętej, której suty posag Polskę od pogaństwa, a gorąca miłość naród i język jego od mroków niewiedzy ratowała, łączy się pamięć i innego zabytku językowego, najdawniejszej prozy naszej, przekładu psalterza.

Z murów klasztornych starosądeckich wypłynęła Bogurodzica na szeroki świat polski. Usta narodu podchwyciły pieśń i, choć zapomniano o autorach — wieki średnie próżności autorskiej nie znały — wraziła się pieśń sama tem głębiej w serce i pamięć narodową. Nią rozbrzmiewały szeregi polskie, gdy się z wrogiem odwiecznym na polach grunwaldzkich ścierały; od niej huczały lasy, gdy się chłopstwo kujawskie na rycerzy mieczowych rzucało; słyszano ją i za Niemnem pod Wilkomierzem, w bitwie rozstrzygającej

losy Litwy. Ją to zaintonował Zbygniew Oleśnicki, gdy wybór króla polskiego na tron węgierski w tumie krakowskim obchodził i ją zaśpiewał nad Czarnem morzem, pod Bałkanem, u Warny, ten sam król i wierni jego, nim się na Amurata rzucili. Odzywała się ona po kościołkach, gdyż ksiądz przed kazaniem z ludem ją śpiewał, i od niej zaczęli zwody statutów polskich Łaski i Januszowski, przyczem, acz mylnie, św. Wojciecha jej autorem nazywali. Ją śpiewali ubodzy pod kościołem, i dbano jeszcze w XVII wieku o to i ustanawiano fundacye dla śpiewania jej w kościele samym i do dziś rozbrzmiewa ona co niedziela w tumie gnieźnieńskim. Tak odbiło się życie religijne w literaturze polskiej, zdobyto pierwsze językowi narodowemu prawo w kościele.

Tak więc wiek trzynasty, wiek świętych Pańskich w Polsce, wiek ascetów na tronach, Henryków Pobożnych i dwóch Bolesławów, Jadwigi i Salomei, Kingi i Jolanty, kiedy to kanonizacyę św. Stanisława przeprowadzono, a Dominikani Jacek i Czesław cudami zasłynęli, wniósł nowe żywioły, zmieniała się nawet zewnętrznie Polska. Zmieniały się jej nazwy; nazywano odtąd Wielką Polską kolebkę państwową, zaś ziemię wiślańską, krakowską i sandomierską—Małą Polską, choć istotny stosunek sił i znaczenia był odwrotny, w Małej Polsce coraz bardziej ześrodkowywało się życie umysłowe i polityczne; tylko Mazowsze i Śląsk, z tendencjami separatystycznymi, ostały przy dawnych nazwach. Sama nazwa „Polan“ zaczęła „Polakom“ ustępować, ale jeszcze w XV wieku owej starszej używano. Zmieniały się i nazwy osobowe: obok dawnych, słowiańskich, pojawiały się coraz bardziej chrześcijańskie, Piotrów i Janów, i tłumaczone, Żegoty z Ignacego, Lasoty z Sylwestra, Dobrogosta z Bonawentury; niebawem prześcignął wszystkie patron ojczyści, Stanisław, i stał się tak ulubionym, że żartował Zygmunt Stary: Stanisław z izby, Stanisław do izby. Panowie zaczęli zarzucać dawne nazwy odojcowe, przestali się nazywać Pawłowicami i t. d.¹⁾, a wy-

¹⁾ Jeszcze w dokumentach z roku 1224 i t. d. napotyka się stale u szlachty owe starostwianskie imiona na — wic, które później tylko u mieszczan się zachowały; pojawiają się więc owi Jakób Raciborowic, Ptaszek Laurińcewic, Bie-niek Polaninowic („filius Poloni!“), Idzik Gotartowic, Tomasz Piotrkowic, Woisław Bogusławic, Trojan Trojanowic, Skarbimirz Skarbimirzyc, Niegosław Janowic, Sławomir Samsunowic, Mścigniew Nikolausowic, Wojciech Sirakowic i t. d. w jednym dokumencie razem.

bierali za przykładem obcym nowe na — ski od posiadłości ziemskich; goniąc za cudzoziemczyzną zaczęli się wyodrębniać „szlachtą“ i „erbami“, przejmując od Czechów nazwy owe niemieckie i pierwsze obce zwyczaje, rycerskie, z klejnotami i t. d., w słowiańskiej Polsce nieznanymi. Lecz zapowiadały się i wprowadzały zmiany radykalniejsze, etnograficzne i socyalne; z nową, napływową ludnością powstał i stan nowy, i ustała dotychczasowa jednolitość narodowa Piastowskiej Polski. Teraz bowiem do grodów i podgrodzi, na dwory książęce i na niwy polskie wzbierały fale obce, niemieckie. Niemca, Miemca, znano dotąd przelotnie tylko z wypraw cesarskich, fortunnych i niefortunnych, z duchownych i bakałarzów, wracających z zarobkiem do swoich; teraz dopiero sadowił się Niemiec na stałe, rozpierał się, groził wywłaszczeniem Słowian i w Polsce, czego dokonywał w Meklenburgii i Marchii, na Pomorzu i Szląsku, w Łużycach, Myszni i Czechach. Ogarnął go był, jak już raz niegdyś, prąd ku wschodowi, ale w trzecim i czwartym wieku po Chrystusie Goci i Wandale daniną się zadowalali, żadnych nowych porządków nie wprowadzali, chociaż niejedno po nich między Słowianami wsiąkło, od urzędzeń ich i od uzbrojeń, od obyczajów i od przemysłu, gdyż kroki swe ci Niemcy na południe kierowali, na ziemiach słowiańskich goszcząc raczej mimochodem. Lecz teraz zdobywał na nowo i na stałe Niemiec - kolonista, wypierany z ojczyzny własnej przeludnieniem, katastrofami i niekorzystnem położeniem ekonomicznem, pługiem swym ciężkim pola słowiańskie, a zalewał ich grody, jako rękodzielnik i kupiec; poprzedzała go szlachta i duchowni, gnieźdzący się coraz liczniej i wyłącznie po dworach Wysławów rujańskich, Warcisławów pomorskich, czeskich Przemysłów; prowadzili oni za sobą niemieckie „dworskie“ zwyczaje, literaturę i język. Fala niemczyzny, spływająca od północy, od Fryzyi i Holsztynu, i z frankońskich stoków na południu, zatopiła niziny słowiańskie nad Salą, Elbą i Odrą; czem dalej na wschód, słabł mimowoli jej impet, jeśli jej, jak w Prusiech lub na Siedmiogrodzie, nie wyżłobiono osobnego nowego łoża. Fala ta i ku Polsce nadbiegła, lecz zagarnęła tylko Śląsk niższy, od Marchii odrzańskich nie oddzielony niczem, zalała słowiańskie jego żywioły, po których, prócz nazw miejscowych, nic nie zostało; już w Wielkiej Polsce zajęła tylko pas graniczny, a w Małej rozbiła się całkiem na luźne jeziora.

Książęta, duchowieństwo i szlachta sprzyjały tym przybyszom. Wnosili oni lepszą gospodarkę, pracę zyskowniejszą, przynęcali opłatami, zamiast dotychczasowych danin w surowiznach, bogacili grody przemysłem i handlem; zubożali książęta dzielnicowi łakomili się na nowe siły robocze; ziemi niezajętej było moc, więc trzebiono lasy albo osiedlano Niemców na gotowem albo też dawną ludność słowiańską na nowo organizowano, przenoszono ją z prawa polskiego na niemieckie. I zagospodarował się kraj i zakwitnęły grody i podgrodzia, do niedawna marne drewniane budowle, nie wyłączając kościołów i zamków z ich podmurowaniem, ożywione tylko podczas targów lub zjazdów książęcych z dostojnikami dzielnicowymi. Rosta więc rychło siła materyalna Polski, ale zagroziło jej niebawem niebezpieczeństwo wynarodowienia, rosnące na pobratymczym zachodzie z przerażającą szybkością. Niemcy wnosili z sobą własny język i obyczaj w cechy i warsztaty, w gospody i kramy, między rajców i ławników, szerząc porządki Majdburku, Lubeki i innych municypiów. Niemcy bakałarzowali po szkołach; Niemcy górowali po klasztorach, nietylko u Cystersów, lecz i świeżymi zakonami Dominikanów i Franciszkanów zawładnęli niebawem, tak, że utrudniali nawet wstęp Polakom. Ocknęło się wobec grożącego niebezpieczeństwa najpierw duchowieństwo; najdalej posuwał się gorliwy arcybiskup, Jakób Świnka, strofujący na synodzie niedbałych a oskarżający Franciszkanów przed papieżem; ponawiano tam uchwały, zakazujące przyjmowania na nauczycieli Niemców, nie władających językiem krajowym na tyle, żeby zaczął w łacinę polszczyznę wprawiali. Świnka to pierwszy typowy wróg obcych: nawet kaznodzieja nie znalazł łaski przed oczyma jego, choć prawil świetnie, skoro był „psiogłowcem“. Tak zaczynał się budzić w Polsce antagonizm narodowy; jeszcze wcześniej pojawił on się w pobratymczym Czechach, gdzie niebezpieczeństwo groziło silniej, gdzie rychlej w literaturze się odbiło, a nawet króla - germanofila w stanowczej chwili do odezwania się w imię zachwianego słowiaństwa, do gorącej odezwy ku Polsce skłoniło.

Produkcyi literackiej i ten wiek mało sprzyjał, jeśli podniecię religijną pominiemy, chociaż i ta rychło osłabła; ostygł zapał nowych zakonów, cudzoziemczących się zwolna; polskie kazania, pieśni i psalterze pozostały raczej odosobnione, nie krzewiły się bujniej ani sięgały głębiej, nie rozkołysały ostatecznie umysłów leniwych. I łacińska produkcya obracała się w zaklętym kółku hagio-

grafii; mnożyły się legendy o Stanisławie, Jacku, Salomei, Kindze; najobszerniej spisywano rozliczne cuda, i tylko w ich protokołach przesuwają się jednostki owego szarego tłumu, którego życie, mimo wszelkich różnic stanowych, było jeszcze tak jednolite, monotonne i pospolite. Postęp był bardzo powolny; mnożyły się przecież szkoły po miastach, chociaż nauki obfitszej nie dawały; tej zawsze za granicą, czy w Pradze czy w Paryżu lub Włoszech szukać należało; jednostek wybitnych brak był zupełny, literata, jakim był mistrz Wincenty, próżnobyśmy teraz szukali; całe stulecie nie wydało dzieła, któreby z Kroniką Polaków równać się mogło; zadowalano się odpisami i notatami rocznikarskimi.

Z końcem wieku wymierały linie piastowskie w Małej i Wielkiej Polsce; do opróżnionych ziem, witany przez przybyszów Niemców, zgłaszał się nowy, silny pretendent, król czeski, zagarniający jedną po drugiej, aż korona Chrobrego i Śmiałego na skroniach Przemysłowica spoczęła.

Wiek czternasty zaczynał się koniunkturą dziwną, żywiołowi polskiemu wręcz groźną, unią czeskoniemiecką. Wpływ czeski nie ważył dotąd silniej nad dziejami i kulturą polską, mimo styków wojennych, bliskości granic i języka; zjawiali się Czesi między duchowieństwem np. zakonem, jak Odraniec, spowiednik Kingi, ale to były jednostki; teraz dopiero, za rządów Wacławowych, zaczęła się objawiać przewaga czeska na każdym polu, od urzędów i mennicy począwszy, aż do pisowni i języka. Szybko minęły rządy Wacławów, ale impuls raz dany trwał dalej; Śląsk ciężył zupełnie ku Czechom, a rychło wzrastająca Praga, wchłaniająca za Luksemburgów, szczególnie za Karola, wszystko, co kultura zachodu wydawała, stała się wzorem niedościgłym dla Krakowa; na szczęście, zlewały się z łatwością wpływy czeskie z polskimi. Inaczej, groźniej stawały się niemieckie: buta zakonu, osiadłego za polskiem wezwaniem i za pomocą polską, w Prusiech, granic nie znała; mieszczaństwo krakowskie i poznańskie, coraz zamożniejsze, przywoływało do grodów zniemczających książąt śląskich. Niemieckie otoczenie synów Henryka Głogowczyka, rządzących w Wielkiej Polsce, parło ich do pozbycia się żywiołów polskich, głównie szlachty; za hasło zakonu uznał wylękniony kronikarz wytępienie „języka” polskiego; dumny wójt Albert i biskup - Ślązak Muskata wypowiedzieli Łokietkowi posłuszeństwo i oddali miasto Opolczykowi. Lecz zdobył się Łoktek na energię, której poprzednim Piastowicom

brakło; korzystał z tego, że miasta i klasztory nie stanęły ławą za Niemcami, poprzecigał je na swoją stronę i z pomocą szlachty zgniótł Poznań i Kraków. Jak po roku 1036 opór chłopów, tak ginie po roku 1311 opór miast, które porzucają odtąd myśli polityczne i oddają się wyłącznie pracy i zarobkom, bogacąc siebie i Polskę, rosnąc w dobrobyt materialny, a upadając w znaczeniu moralnem. Teraz są one już całkiem niemieckie; niemczyzna kwitnie po miastach (i klasztorach), księżki radzieckie i ławnicze piszą się wyłącznie w tym języku, na weselach krakowskich prawią oracye „rymarze“ niemieccy, szerzą się po kraju podania niemieckie, choć przybierają zabarwienie miejscowe, jak świadczy podanie o Walcerzu Udałym, przyczepione dowolnie do Tyńca i Wiślicy. Po kościołach miejskich głoszone kazania niemieckie — aż w przysłowie weszło: siedział, jak na niemieckim kazaniu; dla szkół układali Niemcy dziełka, jak Frowin, co to Antigamerata, przeciw gachom — gamratom, napisał, ucząc za jednym zachodem morałów, prozody i homonimów łacińskich; dziełko to stanowiło pierwszy wkład krakowski do literatury pedagogicznej i przetrwało po szkołach polskich i niemieckich dwa wieki; cytują je retoryki polskie XV wieku, a Niemcy drukują je jeszcze na początku XVI wieku ku zgrozie humanistów. W duchowieństwie polkiem, i prócz zakonnego, Niemcy mają licznych przedstawicieli; gdy przy końcu stulecia pierwszy biskup przemyski, rezydujący na miejscu, Henryk von Winsen, urządza kapitułę, ściąga do nich uczonych Niemców; prawda, że i po kościołach niemieckich, w Meklemburgu np., zjawiają się Polacy, których i w Czechach nie brak; trzy te kraje są w stałej wymianie, ale Niemcy czują się w Polsce, jak między swoimi, tylko szlachta i chłop patrzą na to krzywo i twierdzą, że, póki świat światem, niebędzie Niemiec Polakowi bratem.

Energia Łokietka zgniótła aspiracye antinarodowe Poznania i Krakowa; dumny Albert musiał sromotnie z Krakowa uciekać, i w Pradze natrząsał się z niego Czech-łacinnik, przestrzegający w pieśni o nim Polaków przed skrytymi zamiarami niemieckimi. Krzyżowników jednak, jak ich zwano, nie zdeptał Łoktek; sił mu na to nie starczyło; i Płowce nawet, pod którymi mścił nowy król straszne spustoszenie, systematyczne splądrowanie Polski, walki nie rozstrzygnęły. Pozycyę, której utrzymać nie mógł, zlikwidował syn jego, nie mający hartu ojcowego, przesiąknięty wpływami zachodnimi od młodu, od pobytu na dworze andegawieńskim, za-

zdroszczący Budzie i Pradze poloru europejskiego, bogactwa, wykształcenia, przemysłu, kunsztów. Szara, drewniana, uboga Polska Łokietkowa, która się jednak na czyn stanowczy, na koronację, zdobyła i na walkę z przemożnym wrogiem wysiliła, zwłokła za Kazimierza dopiero skromny swój przyodziewek, przystroiła się świąteczniej; wznosiły się teraz liczne a wielkie zamki, mury i baszty; miejsce świątyń romańskich zajmowały budowy gotyckie; miękkie Piast oddawał się zmysłowemu życiu i użyciu, i zaroiło się od kobiet na dworze jego; mądry, zapobiegliwy król nie tonął jednak w rozpuście; rozmiłowany w życiu czynnem podejmował i wykonywał najrozmaitsze zadania; przyłożył się, jak nikt z panujących, do wzniesienia gmachu kultury polskiej i odumarł Polskę inną, niż ją zastał, gdy po sędziwym ojcu skołataną nawę państwową obejmował.

Rezygnując z pozycji na zachodzie zapewnił on krajowi pokój pożądany na długo, i zakwitnęły przemysł i handel i wzbogacały się miasta, i zdumiewali się obcy na widok dostatków, jakie roztoczył przed nimi Wirsing, rajca, gdy w imieniu miasta królów i książąt ugaszcział. Utrzymanie takiego ładu i pokoju wymagało sprężystszego i jednolitszego sądownictwa, i myśl Kazimierzowa dawno była skierowana ku ujednostajnieniu i skodyfikowaniu prawa zwyczajowego, niepisanego, dogodnego możliwym dzięki wykrętom, po sądach odprawianych z hukiem i trzaskiem. Ustawodawstwo Kazimierzowskie, zwód praw tak zwanej Wiślicy dla Małej Polski, osobny, mało odmienny zwód dla Wielkiej, były pierwszym krokiem w szeregu innych; i porządki sądów miejskich miały uleść zmianie, miało przeciąć apelacje, idące od miast polskich zagranicę, do Wrocławia i Majdburka. Okazała się teraz dla kraju nieodzowna potrzeba prawników.

Tych dotąd Polska sama nie kształciła; szkoły jej, acz coraz liczniejsze, szerszego programu nauk nie obejmowały. Obcy, już i pierwsi Włosi, kierowali szkołami, na Wawelu, przy tumach i farach, po klasztorach, ale studia jurystyczne i medyczne — w głębie teologiczne mało kto się zapuszczał, — odbywano zagranicą, w Bolonii i Montpellier, w Padwie i Pradze. W ciągu takich studyów ugrzązł nieraz Polak nazawsze na obczyźnie; sławnych mistrzów Polaków znajdziemy nawet w Montpellier, byli i w Paryżu; z reguły wracał dekretysta do kraju, pewien szybkiej promocyi; dekretyści osiadali stolicy arcybiskupie i biskupie; między nimi znajdował król

gorących popleczników nowych urzędzeń; od nich wiał ten sam duch, zwrócony przeciw materyalnemu rozpanoszeniu się i moralnemu upadkowi duchowieństwa, który i Karola z arcybiskupem praskim cechował.

Ale droga do Padwy i Bononii, gdzie Polacy między „ultramontanami“ nie poślednie zajmowali stanowisko, do Paryża i Montpellier, a choćby i do Pragi, była daleka, uciążliwa, kosztowna. Za przykładem Karola, co wielkim nakładem studyum generalne w Pradze niby dla własnej ziemi, w istocie dla całej środkowej i wschodniej Europy urządził, powziął i Kazimierz myśl ustanowienia, za nieodzowną wtedy aprobatą papieską, podobnego studyum w Krakowie, dla Polaków i obcych przeznaczonego; jednak mimo przychylności papieskiej, *universitas litterarum* Kazimierzowa w życie nie weszła. Miała podstawę za wążką, skoro dla uniknięcia konkurencyi z Pragą i Paryżem teologicznego wydziału, to jest korony nauki średniowiecznej, z góry się zrzekła, a i o artystów, t. j. o wydział filozoficzny, należycie nie dbała; zawisły więc dwa jej wydziały, prawniczy i lekarski, niby w powietrzu. Sama jednak myśl, przeszczepiania studyów włoskich i trybu ich na ziemię polską i pierwsze kroki ku urzeczywistnieniu jej prowadzące, dowodziły postępu i potrzeby nowych torów dla Polski.

Zakończyło się odosobnienie Polski średniowiecznej, żyjącej własnem, skromnem, szarem życiem za przesiekami po borach, za rzekami i jeziorami. Zmiana przebija się już w samym języku, którego rodzimność pstrzą coraz nowi przybysze, z czeskiego, niemieckiego, z łaciny. Przodują w tem, jak później za czasów francuszczyzny, panowie chorągiewni, kasztelanowie po „zamkach“; za nimi duchowieństwo, szczególnie zakonne, szerzące od swych „folwarków“ z rzeczami nowemi w ogrodzie i spiżarni od dawna już i nazwy ich obce; przyłączy się później mieszczaństwo, od ławy sądowej i izby rajeckiej, od kramów i warsztatów, od „miasta“, „po-koju“ i „sklepu“, które w ich ustach pierwotne, słowiańskie znaczenie odmieniły. Mimo tych postępów przejawia się młodość cywilizacji polskiej na każdym kroku, najbardziej zaś w literaturze.

Piszą już więcej, ale po łacinie. Przez cały wiek przesuwają się dzieła i autorowie bez przerwy, od Antigamerata Frowina do pierwszych zbiorów kazań łacińskich opata Miechowskiego Stojka i innych. Przeważał kierunek religijny; pieśni piszą, ale nabożne, jak Jan Łodzia, biskup poznański, wykształcony, miłośnik muzyki

i kobiet, składający „prozy“ kościelne, na Wniebowzięcie i Oczyszczenie, na św. Wojciecha (z anagramem własnego nazwiska), na śś. Piotra i Pawła. Najdonioślejszem dziełem pozostaje kronika byłego podkanclerzego, Janka, syna wójta czarnkowskiego, Bogumiła, którego król, jak tylu innych „mieściców“, dla zasług i zdolności wbrew rodowitym gniazdowicom wysoko podniósł. Nie odwdzieczył się Janko dobroczyńcy swemu, gdyż dzieje świetnego panowania zbył krótko, tylko wewstępných rozdziałach; opowiedział zaś szerzej wypadki lat 1370 — 1384, aby z wrogami swymi choć na piśmie się rozprawić. Nabierają przez to roczniki jego żywości, namiętności, stronnictwośc i odbijają od bezbarwnych dawniejszych tem skuteczniej.

Gdy tak łacina wszechwładnie panuje, zapiski sądowe czy rocznikarskie, legendy czy dzieła ascetyczne, dyplomaty czy ustawy nią się tylko posługują, świadczy brak literatury w języku narodowym, tak samo u nas jak u Węgrów, o zacofaniu umysłowem. Pisać po łacinie, wedle wzorów gotowych, nie silić się na żadną samoistość, nie przełamywać zapór—to cecha tego zacofania; to sprawiło, że literatura nasza i w XIV wieku jeszcze najuboższa, daleko w tyle nawet za czeską pozostała, która na każdym polu, szczególniej w poezji, znakomitymi szczyciła się próbami, mianowicie epicznymi, sięgającymi jeszcze i trzynastego wieku, rymowanymi kronikami o Aleksandrze Wielkim i o dziejach czeskich, legendami o Katarzynie i świętych, przeróbkami epopej dworskich niemieckich o Tristanie, Dietrichu Berneńskim i innych bohaterach, zbiorami bajek i t. d. Naszej literaturze XIV wieku brak zupełnie świeckiej treści; umysłów leniwych nie musnął jeszcze duch wieku i ogłady; gnuśnieją one w dawnej kolei, myśli nad najbliższe otoczenie nie wznoszą. Tylko na polu religijnem budzą się potrzeby umysłowe; płeć piękna, lud nizki, od szkół wykluczone, tęsknią za wylewem uczuć i ich wyrażeniem; nie wystarcza im powtarzanie pacierza, bicie się w piersi, witanie dawnem Pomagabóg. Na tem więc polu postęp będzie widoczny.

I tak dotrwały do dni naszych zbiorki kazań polskich, najdawniejsze pomniki prozy naszej, nie wykwiłtne myślą ani stylem, poziome i proste, szacowne wiekiem i służbą językowi narodowemu; jeden z prastarego klasztoru świętokrzyskiego, z Łyśca, drugi z prastarej katedry gnieźnieńskiej. Szczupłe one i krótkie, nie liczne, ale ciekawe i ważne wobec braku innych źródeł; to one jedne re-

prezentują język Łokietków i Kazimierzów; uczą nas, jak wyglądało to najdawniejsze kaznodziejstwo polskie, franciszkańskie i dominikańskie, trzymające się wzorów łacińskich, lecz sprowadzające je na niższy poziom, odpowiedniejszy kornej gromadce, siedzącej na ziemi lub stojącej obok kazalnicy; więc bez subtelności teologicznych, bez splotu cytacji z Pisma św., ojców kościoła i autorów chrześcijańskich czy pogańskich, ogólnikowe nieco, blade i suche, wdrażają przepisy moralności i objaśniają tajemnice wiary i obrzędu. Obok tych na poły oryginalnych kazań stawały przekłady Pisma św., dokonane na większą skalę poraz pierwszy, znowu dla kobiet. Jak w XIII wieku Kinga, tak w XIV druga Węgierka, Jadwiga świętobliwa, „rozkosz świata — nie widziano jej równia po rodach królewskich ówczesnych“, woła zachwycony autor współczesny — wzbudza ruch na polu literatury narodowej. Długosz, opisując jej nabożność, gorącą miłość Boską, wzdargę blasków doczesnych i próżności świeckiej, poświadcza, że przykładła się ona do modlitw i czytania ksiąg nabożnych, to jest pisma Starego i Nowego Zakonu, homilii (kazań) czterech doktorów kościelnych: Ambrożego i Augustyna, Hieronima i Grzegorza, dalej ulubionych w średnich wiekach żywotów ojców (zakonnych), pasyi świętych Pańskich, rozmyślań i modlitw św. Bernarda i Ambrożego, rewelacji św. Brygidy i wielu innych, wyłożonych z łaciny na polskie. Jest to zarazem pierwszy spis biblioteki prywatnej polskiej; przedtem bywały tylko kościelne i klasztorne. Z całej tej biblioteki, prócz psalterza jednego, świętofloryańskiego (klasztoru w Austrii Górnej, przechowującego ten skarb starodawny od XVI wieku) nic nam w oryginale nie ocalało, chyba w późniejszych odpisach ułamki jakieś i resztki — biblioteka musiała uleść wczesnemu rozproszeniu, skoro jedna z następczyń Jadwigi, Zofia, ponownie biblię dla siebie przekładać kazała. A może były to przekłady czeskie (ślady ich widoczne nawet w psalterzu floryańskim); mieściłyby i rzeczy świeższe, jak rewelacje św. Brygidy, szwedzkiej królowny, w których Praga rozkoszowała i słynny nasz teolog praski, Mateusz Stadtschreiber z Krakowa, nie obcy Jadwidze i jej zamiarom. Jadwidze ofiarowano i dzieła łacińskie, ascetyczne, jak Dominikan Henryk Biterfeld to uczynił.

Ciekawsze są próby poezji polskiej, kroczącej po śladach „Bogurodzicy“; i tu okazów ani wiele ani wartościowych, ale brak natchnienia i głębokości zastąpią naiwność uczucia i koloryt miejscowy. Jak „Bogurodzica“ ku Zbawicielowi się zwracała, tak przewa-

żają między pieśniami nowymi pasyjne i wielkanocne, krótsze i dłuższe; krótsze, owe „Chrystus z martwych wstał jest, Nam przykład dał jest, Eż nam zmartwychwstaci, Z Bogiem królewaci“ i „Przez Twe święte zmartwychwstanie i t. d.“ przetrwały wieki w ustach ludu. Z dłuższych wyróżnia się pasyjna, Godzinki Zbawicielowe, najdawniejszy przykład długiego wiersza polskiego, trzynastozgłoskowego, ulubionego wiersza naszego od połowy szesnastego wieku; momenty męki Pańskiej ułożono, jak później wedle stacyi, tutaj wedle godzinek brewiarza:

Jezus Chrystus, Bóg-człowiek, mądrość oca swego,
Po czwartkowej wieczery czasu justycznego
Gdy się modlił w ogrodzie oca bogu swemu,
Zdradzon, jęt i wydan jest ludu żydowskiemu i t. d.

Najciekawszą pozostanie inna pieśń wielkanocna, którą wcześniej do dwóch zwrotek „Bogurodzicy“, niby dalszy jej ciąg, przyłączono; czas uświęcił ten zlepek, i już od XV wieku rozumieją nieraz a później zawsze, te dwie pieśni razem pod spólną nazwą Bogurodzicy. Pieśń:

Nas dla wstał z martwych syn boży,
Wierzyż w to, człowiecze zbożny,
Iż przez trud Bóg swój lud
Odjął dyablej stróżę i t. d.

najbardziej oryginalna ze wszystkich średniowiecznych przez to, że naiwny jej autor nie zawahał się, jak spólcześni i późniejsi malarze, szczegółów z otoczenia domowego wplatać w swój utwór; stróża to termin urządzeń Polski średniowiecznej, tak samo nazwie on Lucyfera starostą piekielnym, jakby o jakim „groddzierzcy“ polskim mówił, a Adam, to Boży kmięć, siedzący u Boga w wiecu, jak „kmetones“ i barones“ Królestwa Polskiego w wiecu koronnym. Do takich zaszczytów przyszedł zaś Adam raz dzięki naiwności średniowiecznej, która go, o kanonizacyę niedbając, do świętych policzyła, jak „świętego“ Jopa, Dawida i inne postaci Starego Zakonu; a powtórę dlatego, że Chrystus to wtóry Adam: zgładził, co pierwszy zawinił. Obok Chrystusowych pieśni były i Maryjne, np. pozdrowienie: Maryja czysta dziewice, Daj nam widzieć boże lice, Niebieska dziedzice i t. d.; mimowoli zastanawiamy się nad tem, dlaczego w pieśniach tych nigdy nie pojawia się dawna nazwa lu-

dowa Maryi — Marza. Takie i inne pieśni, nieraz dosyć nieudolne, o kulawych rymach, z myślą niedolęzną, z słownictwem bardzo niewyszukanem, to cel i czoło tej literatury, dziwnie nie licującej z coraz bogatszym życiem narodowym, z nowymi jego napływami i widokami.

Najważniejszy odkrył jeszcze roku 1340 Kazimierz Wielki. Polska Łokietkowa była zwrócona ku zachodowi, Kraków wskazywał śląskie i czeskie otoczenie, Poznań — marchijskie i pomorskie; teraz odwraca się Polska głównym frontem ku wschodowi. Śluby Kazimierzowe z Litewką, Aldoną, przepowiadały niby symbolicznie ten zwrot; dokonał go Kazimierz sam, anektując w imię rodowych węzłów Halicz po wygaśnięciu linii książęcej. Ale o wiele ważniejsze następstwa zapowiadał krok dalszy na tym torze, ślub Jadwigi z Jagiełłą, połączenie osobiste Polski i Litwy (z Rusią litewską), podjęcie misyi na wschodzie. Polska zasklepiła się dotąd w swych ramach etnograficznych, i z nich już niejedno uroniła na zawsze lub chwilowo; teraz opuszczała węższą podstawę narodową, sięgała na wschód, szerzyła tam ustrój swój i obyczaj, wiarę i język. Misya katolicyzmu na wschodzie była dotąd zaniedbana i najmniej biskupi lubuscy, z dalekiego zachodu, którzy rościli sobie do tego pretensye, starali się o ich urzeczywistnienie, zadowalając się fałszerstwami dokumentów i jałowymi protestami; odosobnione misye franciszkańskie i dominikańskie sięgały nieraz głęboko, lecz trwałych skutków nie odnosiły, ani w Kijowie nawet, tem mniej na Wołoszczyźnie; ster sprawy uchwyciło teraz państwo. Kazimierz sam porządkował wprawdzie wraz z patriarchą konstantynopolitańskim zaniedbane stosunki episkopatu prawosławnego, lecz już planował organizację kościoła katolickiego na ziemi ruskiej, której następcy dokonali; nowe arcybiskupstwo, halickie, później do Lwowa przeniesiono; nową prowincję kościelną zlano później z gnieźnieńską. Kościół ten z początku istniał dla niewielu, dla przybyszów, Niemców-kolonistów po miastach, dla szlachty, coraz liczniej z uboższych ziem mało- i wielkopolskich i mazowieckich na bogatą Ruś napływającej, tu stale osiadającej, rozradzającej się rychło, polszczonej całe otoczenie. Tymczasem przeszła rdzenna Litwa w roku 1387 na katolicyzm, za przykładem księcia swego, który rok przedtem, po prawosławnym nowym chrzest przyjął i królowę polską poślubił; świeżo powstałe biskupstwo wileńskie, a później i żmudzkie, przyłączono zaraz do diecezyi gnieźnieńskiej. Nieliczni franciszkanie, aposto-

łujący już dawno w Wilnie, i męczennicy za wiarę, ogromowi pracy podolać nie mogli; nie starczył jej tem mniej dotychczasowy kler polski i koniecznem było pomnożenie jego szeregów. Tego mogło tylko dokonać wielkie studyum teologiczne, mieszczące się w kraju samym; ta nowa konstelacya, pozyskanie Litwy i widoki na Ruś, wykazały niezbędną konieczność urzeczywistnienia planu Kazimierzowego, od którego sam autor był na razie odstąpił. Zmiana sytuacji odbiła się jednak na cechach nowej szkoły: nie wymagania prawnicze, jak roku 1364, lecz teologiczne, wysunięto w roku 1400 na czoło. Po próbach oparcia o Pragę instytucji potrzebnej, seminarjum dla duchowieństwa litewskoruskiego, chwycono się jedynej skutecznej i zbawiennej drogi, za poradą i wpływami mistrzów polskich zagranicznych, głównie sławnego z wiedzy i życia Mateusza Stadtschreibera z Krakowa, teraz rektora w Heidelbergu, a przybyłego umyślnie w tym celu do miasta rodzinnego, za gorącym wstawiennictwem Jadwigi, przeznaczającej na ten cel testamentem swe klejnoty: odnowiono fundacyę Kazimierzową, lecz na odmiennej podstawie, i rok 1400 ujrzał wejście w życie nowego uniwersytetu, Jadwigi i Jagiełły, z wydziałami filozoficznym i teologicznym, obok których prawo cesarskie i medycyna schodziły całkiem na drugi plan.

Gmachy nowego uniwersytetu stały przy ulicy Żydowskiej (czyli św. Anny). Żydzi ci nie teraz dopiero byli napłynęli do Polski. Prześladowani na zachodzie znaleźli w XIII wieku w Wielkiej Polsce, w Poznaniu, gościnne przyjęcie i rozszerzyli się po dzielnicach polskich, we Wrocławiu i Krakowie, skąd dalej na wschód ruszali, do Lwowa i Wilna, aby na ziemiach ruskich i litewskich spotykać się z bracią, idącą od południa. Rządy Kazimierzowe sprzyjały im stanowczo, i jedyne niezadowolenie głębsze, jakie Kazimierz u Krakowian wywołał, wypłynęło z podtrzymywania i popierania obcego żywiołu, które potem legenda osobistymi wpływami kochanki „Esterki“ i czarami Żyda Lewki, tłumaczyła. Żydzi, rosnący stale w zasoby materyalne, przedstawiali żywioł zupełnie odrębny, wiarą, obyczajem, językiem; na razie pochłonięci robieniem grosza zaniedbywali stronę umysłową, żyli tylko okruciami z wiedzy wschodu i dalekiego zachodu. W jednolitą do niedawna ludność polską wdzierały się więc żywioły obce, niemieckie i Żydów niemieckich; świadczyły o nich choćby nowe nazwy miejscowe, od Kleparza i Melsztyna, od Lancorony i Łańcuta (Landshut), po

Rożenbark lub Giwont w Tatrach i Bartatów, Kulparków albo ie Zamarstynów (Goldbergshof, Sommersteinhof) pod Lwowem lub Fulsztyn na Rusi; świadczył język, np. rot sądowych, wpisywanych po polsku w protokoły łacińskie, gdzie np. roku 1395 stawianie poręczycieli „ugwiesieniem“ (od „gewiss“) stale nazywają; a nawet owych kazań lub psalterzy z słowami, jak *pielgrzym, kielich, szkoda* i t. d. i młodszemi, jak *waga, dach, strofować, szonować, pronga* (pręgierz), *szynkować, budować* i t. d.

Z rokiem 1400, z otwarciem wielkiej szkoły polskiej, kończy się ostatecznie zaściankowość, zacofanie i odosobnienie pierwotnej średniowiecznej Polski; rozchylają się zasłony gór i lasów, opary jezior i błot, mroki niewiedzy i zastoju, jakie Polskę przed oczami Europy dotychczas zakrywały; wprzęgnięta w rydwan postępu wkracza ona na tory wielkiego posłannictwa dziejowego.

ROZDZIAŁ DRUGI.

WIEK PIĘTNASTY. SCHOLASTYCYZM.

Państwo i społeczeństwo. Studium generalne krakowskie; zasługi i wpływ jego; braki i wady. Literatura poza uniwersytetem; Długosz. Nowe prądy: husytyzm, Gałka; Ostroróg. Humanizm, Grzegorz z Sanoka, Kalimach, Celtes. Wzrost ogłady ogólnej. Mania pisania: kazania i poezya łacińska. Proza i poezya w języku narodowym. Zasługi Bernardynów; pierwszy wierszopis polski, bł. Władysław z Gielniowa.

Zaraz na początku wieku dojrzały plony owej polityki wielkiego stylu, zapoczętej w wieku XIV. Czemu nie podołała Polska Piastowska, tego dokonała Jagiellońska: złączonemi siłami polskimi i litewskimi rozbito groźnego wroga — zdawało się, na zawsze. I wyteżała odtąd polityka polska swe siły, aby dzieło, któremu królowę wielką poświęciła, utrzymać, aby uniknąć grożącego nieraz rozbicia unii — lecz o nowe, wielkie plany już się nie kusiła. Trony węgierski i czeski dodawały blasku Jagiellonom, nie sił Polsce; Jagielloni wyszafowali energię na plany dynastyczne, obce narodowi szlacheckiemu. Naród ten, nie pozbywszy się dzielnicowych uprzedzeń i aspiracyi, korzystał z coraz nowego opróżnienia tronu, z wymierania dynastyi piastowskiej i andegaweńskiej, z paktowania z Jagiełłą, aby zapewnić sobie coraz nowe przywileje, a osiągnęszy je sięgał dalej; wojna pruska po roku 1454, prowadzona nie wysiłkiem

jednomysłnym całego narodu, lecz rotami zaciężnemi, nastęczała sposobność targowania coraz nowych ustępstw u króla i już nie możnowładztwo, lecz cała szlachta bierze w nich udział kosztem tronu, mieszczan i kmieci. Wojny stają się niepopularnemi; szlachta zapomina o obowiązkach, a cieszy się prawami i wyzyskuje je coraz bezwzględniej; głęboki pokój zalega Polskę.

Zmienia się odtąd jej postać. Zagospodarowuje i zabudowuje się; rosną dostatki, wygody, użycie; co za Kazimierza u mieszczan się zaczęło, szerzy się i na szlachtę. Zacierają się powoli ślady ubóstwa i prostoty Polski Piastowskiej; znikają bure i szare kolory z odzienia, krój jego poważny, jego niezmiennność; barwne szaty, „rzezane“ kabaty, drogie chusty, trzewiki jak sierpy, włos długi trefiony, wieńce na głowie, lutnia przy boku, sukna najdroższe przywożne, lundzkie, machelskie i inne, kroje coraz inne, coraz wymyślniejsze. Kobiety wymykają się z zamknięcia domowego, zrzucają zasłony z twarzy, strój ich dorównywa pstrością i wymysłami, rękawami, spadającymi aż do ziemi, czapkami rogatemi aż do nieba, męskiemu i wnet go prześciga; pierścienie noszą nawet u palców nóg, a na „szlebach“ ich dyabła jadącego widzą kaznodziej, przerażeni tą falą kolorów, tym szelestem drogich materyi, wonnościami i kwiatami. Trunki są coraz kosztowniejsze, wkrada się rywula, alikant i inne wina, które chytry morawczyk gipsuje; dania coraz obfitsze i różnorodniejsze. Obudza się życie towarzyskie i poza obrębem miejskim; dziki gwar i grobowe milczenie dawnych czasów ustępują coraz liczniejszym i weselszym posiedzeniom, kuligom, zjazdom obu płci; śpiew i muzyka, gry i pląsy, warcaby i karty lub kostki urozmaicają je; rosnące dostatki, pokój zapewniony, brak troski o jutro nadają ton i swobodę temu życiu, które chyba na kresach napad tatarski przerywa, a po stolicach chwilowe podniecenie uczucia religijnego w brzegi, z których już całkiem wylewało, znowu wtrąca i hamuje, lecz chwile skupienia i skruchy, bywają coraz rzadsze i krótsze, jednostki nawrócone coraz mniej liczne, świat chyli się widocznie ku nowemu pogaństwu i materjalizmowi.

Umysłowemu życiu wieku nadaje główną cechę „studjum“ krakowskie; życie to rozwija się teraz również jakby za dotknięciem łaski czarodziejskiej. Nie rozpraszają się już, jak dotąd bywało, siły naukowe polskie zagranicą; pierwsze grono profesorskie złożyli zaraz mistrzowie i doktorowie Polacy, uczący w Pradze, a szkoła stała i nadal siłami krajowemi, chociaż Ślązakom i Czechom przy-

stępu do katedr nie broniono. Poziom naukowy podniósł się nagle; jeszcze w XIV wieku było mało książek w Polsce, — jak ubogim był nawet księgozbiór kapituły krakowskiej! teraz lada profesor, lada kanonik rozporządzał w testamencie, przekazując je wydziałowi lub kapitule, bogatym nieraz zbiorem książek, które nabył lub sam przepisał. Rosła znajomość łaciny: rozumiał ją przedtem ksiądz piąte przez dziesiąte, teraz czytał i pisał w niej swobodnie i zbiory oryginalne kazań układał wyłącznie w tym języku, dogodniejszym dla użytku pisemnego, niż język rodzimy. Z łaciną rosła wiedza pisma św., prawa kanonicznego, autorów średniowiecznych, przez których się i do starożytnych docierało, nauk ścisłych, matematyki i astronomii wraz z astrologią, i w drugiej połowie wieku słynęła szkoła krakowska właśnie z tych nauk: mistrzowie jej układają „judicia“, t. j. prognostyki na rok następny urodzajów, zdrowotności, wojen i t. d., cieszące się wielkiem powodzeniem jeszcze i w wieku następnym, nawet i poza granicami kraju; „Krakauer Schreibkalender“ w Wiedniu przeżył istnienie nawet państwa polskiego; Wojciech z Brudzewa, aby innych nie wspominać, zażywał zasłużonej sławy; tu uczył się Mikołaj Kopernik, nabywał wprawy, metody, wskazówek i podstaw; tu każą nauki odbywać doktorowi Faustowi; w reformie kalendarzowej rzymskiej zabierała głos i nasza szkoła. Uniwersytet nie zasklepiał się w badaniach umiejętności, nie tracił łączności ze społeczeństwem, owszem, przejmował się sprawami ogółu i bronił ich wytrwale: z jego grona wychodzili szermierze praw polskich i prawdy polskiej przeciw uroszczeniom krzyżackim, jak Paweł Włodkowic z Brudzewa; tenże w duchu kolegów i za przykładem Mateusza Stadtschreibera, Krakowczyka, który traktat swój do Krakowa natychmiast przysłał, domagał się reform, usunięcia krzyczących nadużyć w kościele, mianowicie zgubnej symonii pod każdym kształtem; w jego myśli występował wielki uczony, asceta gorliwy, Jakób z Paradyża. W walce, rozdzielającej chrześcijaństwo, między rzecznikami wyższości soborów nad papieżem a poplecznikami papieskimi, stawał uniwersytet po stronie pierwszej, z najwybitniejszymi teologami francuskimi, i bronił stanowiska koncyliarnego do upadłego, odstępując go ostatni z uniwersytetów. Uniwersalny charakter studyów średniowiecznych, wykształcanie znakomitych latynistów (w średniowiecznem znaczeniu słowa) nie wykluczało w Krakowie bynajmniej opiekowania się dziejami ojczystymi i językiem narodowym. Kronikę mistrza Win-

centego wykładano i objaśniano z katedry, i zachował się scholastyyczny jej komentarz Jana z Dąbrowki; Długosz, ukończywszy wiekopomne dzieło historyczne, polecał je opiece mistrzów krakowskich, aby je dalej prowadzili. Były rektor, Jakób, syn Parkoszków, obmyślał ujednostajnienie pisowni polskiej i polecał je w wierszu:

Kto chce pisać doskonale
Język polski i też prawie,
Umiej obiecado (abecadło) moje,
Ktorem tak napisał tobie i t. d.,

a gdy ktoś ułożył wedle źródeł czeskich tak zwany Mamotrept, t. j. słownik biblijny dla żaków, łacińskopolski, nie zawahali się „czci-godni mistrzowie z kolegium słynnej wszechnicy krakowskiej“ poprawić jego polszczyzny, i taki poprawny odpis (z r. 1471) docho-wał się do dni naszych, obok owego mylnego.

Mimo tego ciężenia ku narodowi nie była to szkoła narodowa, partykularna, sam uniwersalny charakter katolicyzmu i wiedzy jego średniowiecznej nie dopuszczał tego. Podwoje jej stały otworem dla katolickiego świata północnego; od Szwajcaryi do Anglii i Szwecyi niebyło kraju, któryby nie wysyłał do niej uczniów, mimo mnożą-cych się uniwersytetów (Erfurt, pod którego murami Jakób z Para-dyża do kartuzy uszedł, gdy mu reguła cysterska nie dosyć się ostrą zdawała; dalej Lipsk, Gryfia i in.); szczególnie od kiedy Praga „zheretyczała“, napływali postronni do Krakowa, najwięcej z tych ziem, które własnych uniwersytetów nie miały, a więc ze Ślą-ska, z Prus zakonnych i z Węgier; spory narodowościowe rozstrzy-gali Niemcy i Węgrzy po bursach i na ulicach krakowskich, napływ ich przetrwał nawet wiek piętnasty. I nietylko uczniowie, lecz i mi-strzowie pochodzili z zagranicy; więcej Ślązaków, mniej Czechów było między nimi od samego początku. Wcześniej, acz sporadycz-nie, pojawiają się na nim i Litwini, Gasztołdy i Giedrojcie; Rusinów wykluczał obrządek.

Uniwersytet był twierdzą katolicyzmu i takim ostał na zawsze; owszem, można go pod tym względem o zbytnią gorliwość i doktrynerstwo oskarżać. Że wymagał wyprzysięgania się husytyzmu; że z grona swego owieczki nim zarażonej, mistrza Jędrzeja Gałki, rychło się pozbył; że stawał jeszcze przy soborze, gdy go wszyscy inni porzucili; że bronił Niepokalanego Poczęcia przeciw Domini-

kanom, to wszystko było w duchu czasu; ale że w Polsce, wobec jej stosunków wschodnich, ślepo litery katolickiej się trzymał, kompromisów nie uznawał, powtórnego chrztu prawosławnych wymagał, dowodziło fanatyzmu, nie mądrości. Spadało to na drugą połowę wieku, kiedy uniwersytet od zenitu swej chwały już stanowczo schodził; jasne słońce szkoły krakowskiej wykazywało niemal od samego wejścia swego pewne plamy, wynikające z samych cech narodowych, i inne, z okoliczności zewnętrznych, składających się niepomysłnie. Nie otrząsł się bowiem naród odrazu ze swej ospałości średniowiecznej, ze swego wiekowego letargu umysłowego; i mistrzowie krakowscy świadczyli bierności słowiańskiej, zadowalali się powtarzaniem cudzych wzorów, nie silili się na używanie sił własnych, na samoistość, nie pracowali wytężenie; przeciętna ich produkcyja literacka ani liczbą, ani treścią nie imponuje wcale; brak energii i wytrwałości dzielili z narodem. Usuwały się też rychło na drugi plan; jeżeli się zdawało, nawet około roku 1446, że z łona ich wyjdą reformatorowie społeczeństwa — przecież mistrz krakowski, Jan z Ludziska, sarkał na jarzmo, gniotące chłopą polskiego, człowieka, jak i inni, w mowie powitalnej dla Kazimierza — to niebawem ustały takie zapędy, i w drugiej połowie wieku nie występował uniwersytet ani razu z powagą i siłą, cechującą go nieraz dawniej. Zacieśniały się wcześniej i same wiązania szkoły; już roku 1450 wytykał kanclerz uniwersytecki i biskup krakowski, Zbygniew Oleśnicki, że mistrzowie promowują rodaków na katedry uposażone, pomijając zasłużonych obcych, a błąd ten rósł z wiekiem i zacierała się kosmopolityczna cecha szkoły. Inne wady płynęły z ustroju duchownego, z niedostatecznego uposażenia katedr, z braku wydziału medycznego, z opuszczania uniwersytetu przez wybitne osobistości między mistrzami, nie zadowolające się karierą naukową, przynoszącą liche zyski i drobne zaszczyty; napływ mieszczaństwa wzmacniał się, a ubywało coraz bardziej szlachty, między mistrzami nie mniej, jak między uczniami; Włochy nie przestawały wywierać uroku, do nich garnęło się, co było wysokiego rodu i wyższych ambicyi. Zasklepiął się nakoniec uniwersytet w rutynie, opierał się nowinkom i reformom, cofał rychło pewne ustępstwa, wracał na dawne tory, dysput, lekcji arystotelesowych, pomijania autorów klasycznych — te wady dzielił uniwersytet krakowski z zagranicznymi, ale upierał się przy nich silniej i dłużej, pomimo kilkakrotnych za-

pędów nie zakwitła na nim np. ani greczyzna, ani hebrajszczyzna nigdy porządnie.

Naukę przedstawiał on scholastyczną; zaniedbywał więc formę, nie przestrzegał czystości językowej, nie nęciły go wdzięki humanistycznego wysłowienia; poezya jego — bo i ona była rzeczą szkoły — sadziła się więc na napuszonosć i nienaturalność wysłowienia, wyszukiwała najrzadsze, napoły greckie słowa i zwroty, unikała prostoty i prawdy; bez komentarza słownego trudno ją rozumieć, a postaci opiewane wyłaniają się słabo z pod komunałów. Co do treści, zaniedbywała nauka ta życie najbliższe, zamykała oczy na dzieje, unikała doświadczeń; żyła wyłącznie w abstrakcyach, badała dyalektycznie mniemania, nie fakty, gubiła się w objaśnieniach i dowodach, ginęła w mżonkach spekulacyi, w „snach niemądrych“. Wystarczał jej autorytet, czy kościelny, czy Arystotelesów; nabierała nadzwyczajnej zręczności w gimnastyce myślowej, definiacjach i sylogizmach, wojowała samymi argumentami logicznymi, pomijając zjawiska i fakty; bawiła się tylko w dedukcye. Szczytem jej była teologia, godzenie wiary z dyalektyką; tryumfem jej wyszukiwanie subtelnosći i rozstrzyganie ich ścisłą argumentacją; podstawą jej autorytet, metodą sylogizm; wyczerpawszy materiał zabawiała się powtarzaniem, sadzeniem komentarzy na komentarze, nie wychodząc z zakłętego koła dyalektycznego. Praca mistrzów krakowskich filozoficzna i teologiczna nie przynosiła więc nic nowego, odbijała słabo walki realistów i nominalistów, skotystów i tomistów; w prawie kanonicznem sięgała w publikacyach swych rzadko poza popularny wykład (np. Sacramentale Mikołaja Pszczołki z Błonia) albo rozstrzyganie spornych kwestyi; bogaciej przedstawiała się tylko w dziale nauk ścisłych, w pracach geometrycznych i astronomicznych Marcina Króla, Marcina z Olkusza Bylicy, Wojciecha z Brudzewa, w słowniku (głównie) botanicznym Stanki, badającego gruntownie florę miejscową, opatrującego synonimy barbarzyńskiej łaciny polskimi i niemieckimi nazwami.

I poza uniwersytetem nie traciła literatura i nauka, posługująca się wyłącznie językiem łacińskim, t. j. światowym, tych cech zasadniczych. Listy, rozprawy, poezye Stanisława Ciołka, Jana z Barlina i innych, aż do łacińskiej poezyi bernardyńskiej z końca stulecia, sadzą się na kwiecistość stylową, na rymy leonińskie, na sztuczki retoryczne; wymowa dba o prawidłową budowę, o najgórniejsze przenośnie i porównania, lubuje się w alegoryi, pomija tak staran-

nie fakty, że za nieznaczną zmianą kilku słów tylko, tę samą mowę możnaby do rozmaitych osób i okoliczności przystosowywać; mowy ówczesne, pogrzebowe, przy różnych uroczystościach, polityczne, zwykle materiału faktycznego nie przedstawiają wcale, nie charakteryzują ani człowieka ani czasu i miejsca, bujają w empiriach, nie raczą schodzić na ziemię.

Z całej tej literatury scholastycznej wyróżnia się znakomicie dzieło **Jana Długosza**, kanonika krakowskiego, pedagoga synów królewskich, zmarłego arcybiskupem lwowskim: lecz za dziełem i człowiekiem stoi ten, co nimi kieruje, Zbysław Oleśnicki, mąż stanu i dostojnik kościoła w stylu wielkim, ostatnia ze znakomych postaci polskiego średniowiecza, z ich hartem i z ich uporem krótkowidzącym, stanowym, hierarchicznym. Wciągnięty wcześniej w sprawy państwowe odczuwał Zbysław potrzebę gruntowniejszego, historycznego ich wyłożenia i związku; nie zadowalały go dotychczasowe ramoty kronikarskie; dowiedziawszy się, że biskup chełmski spisywał dzieje i sprawy społeczne, starał się o wydobywanie tego materiału; szukał, komu by polecił wykonanie gmachu dziejów polskich. Wybór jego padł na Długosza; znał jego sumienność nadzwyczajną, wytrwałość w pracy nadmierną, szerokość jego poglądów, nie zamotanych przedzą scholastyczną, niewzruszoność jego przekonań katolickich, miłość ojczyzny, przenikającą jego wnętrze; jego to pobudzał do gromadzenia materiałów. I odnosi się wrażenie, jakby wszystko, czego się powiernik Zbysława w pracowitym, długim żywocie tknął, miało na celu wystawienie tego okazałego gmachu, tych dwunastu ksiąg dziejów polskich, obejmujących je od początków bajecznych aż do ostatnich dni Długoszowych: czy katalogi biskupów wszystkich diecezji, czy żywoty polskich świętych pańskich, czy studia heraldyczne i genealogiczne, czy inwentarze posiadłości kościelnych w diecezji krakowskiej — wszystko to materiał surowy albo podwaliny owego wielkiego dzieła.

Kunszt dziejopisarski Długosza jest niewielki; nieodrodny syn wieku, jego okiem i duchem widzi i ocenia najodleglejsze dzieje; rozwoju nie upatruje żadnego; szlachecka, a od Mieszki I katolicka Polska Popielów i Piastów, to projekcja w przeszłość Polski jagiellońskiej. Trzymając się porządku lat i dla czasów zamierzchłych nie zna perspektywy dziejowej; figury jego i zdarzenia wszystkie jednej wielkości, na tym samym tle; kieruje nimi Opatrzność, nagradzająca

dobro, karząca występki, lecz Opatrzność to katolicka, strzeże niewzruszenie czystości wiary, powagi duchowieństwa, znaczenia stolicy apostolskiej. Fakty, niezgodne z tym duchem, omawia Długosz półgębkiem, przemilcza niejedno, aby nie wywoływać zgorszenia, poda za fakt życzenie samo, np. że księżę husyckich w Zbąszyniu palono, i zbyt łatwo źródłom swym w błąd wprowadzać się daje; krytyka nie głęboka, godzi po swojemu sprzeczności źródeł, styl nie wykwintny, jednostajne wysłowienie. Ale imponuje Długosz rozmiarami; materiały gromadzi zewsząd, ze źródeł nawet, pisanych po niemiecku i rusku, i na stare lata pisma się tego wyuczył, aby z tych źródeł sam mógł korzystać; z dokumentów i dyplomów, nietylko z annałów i kronik czerpie daty i fakty; wciąga dzieje postronne, węgierskie, czeskie i t. d.; zajmuje go nawet topografia Polski, a wznosi się na wyżyny historyzoficzne, określając charakter polski. Imponuje korną wiarą w Boga i gorącą miłością kraju, choć zaślepiac się nie daje, prawdę świadomie fałszuje rzadko, widąc jak boleje nad rozdarciem Polski dzielnicowej, nad utratą ziemie odpadłych, nad odstępstwem od zasad zbawiennych: dzieło jego ma być zwierciadłem, w którym przejrzą się rodacy, ma być źródłem, z którego orzeźwią się spracowani i wysileni; podjęte ono na chwałę Boską i dla sławy narodu polskiego. Przetrwało wieki, późniejsi zadowalali się streszczaniem, okradaniem Długosza, nie wnosząc wiele poprawek; pracy Długoszowej nikt przed Naruszewiczem nie powtórzył, nie sprawdził; on utrwalił i ustalił pojęcia o dziejach, nawet omyłki jego, np. co do złamania przysięgi przez Warneńczyka, nabrały kanonicznej wagi.

Ostatni to, a najbardziej wpływowy szermierz średniowieczny polskiej, przewagi kościoła i wiary, przywilejów stanowych, nieruchomości instytucji. Ale mury chińskie nie dzieliły jeszcze Polski od zachodu, od Czech i Włoch; nowe prądy religijne, umiejętnie, społeczne przesiąkały do niej przez książki i ludzi bez przeszkody i zwłoki. Husytyzm wprowadzić granic nie przekroczył; zwycięzko; hierarchia i uniwersytet stały na czujnej straży; antagonizmu przeciw duchowieństwu narodowemu nie było, mimo niesnasek z powódów bardzo materialnych; nawet tak popularne hasło: „precz z dziesięcinami!“ nie znalazło w szlachcie oddźwięku; tem mniej utyskiwania na zbyt ni kult Maryi i świętych, albo protest przeciw przyjmowaniu sakramentu pod jedną postacią i słuchaniu mszy świętej u księdza — jawnego przestępcy karności duchownej,

choć w XIII stuleciu polski episkopat sam podobnej puryfikacji się domagał. Husytyzm, niezasilany żadnym prądem narodowościowym, który go w Czechach potężnie wspierał, poprzestawał na jednostkach między szlachtą, na Zbąskich i Melsztyńskich, bo panom, jak dzieciom, wszystko wolno, i na duchownych, alumnach praskich, którzy pieśni husyckie powtarzali, kielicha dla ludu się domagali, na rozwiązłość obyczajów duchowieństwa narzekali i świeckim urzędom karać je kazali. Najwięcej świadectw o tej propagandzie zawierają nie dzieje publiczne, lecz akty kapitulne, płockie i poznańskie, w których odprzysięgają się herezy powołani przed sąd biskupi. Same piosenki husyckie, jak je w Polsce śpiewano, zaginęły; ocalała ta, którą Gałka kolportował, nadzwyczaj zjadliwa, wysławiająca Wiklefa, ojca duchownego husytyzmu, nad wszystkich mistrzów świata, „jemuż nie równego ani będzie większego aż do dnia sądnego“ i kończąca się drastycznym twierdzeniem:

Prawdę popi tają,
Iż się jej lękają,
Łeż pospółstwu bają!

już tu mamy ten dziki argument, którym protestantyzm przez dwa wieki wojował:

Ceśarscy (t. j. rzymscy) popowie
Są Antykrystowie,
Ilich moc nie od Krysta,
Ale od Antykrysta!

Z ostrą krytyką już nietylko uroszczeń rzymskich, lecz i wszelkich nadużyć domowych, luk i braków w ustroju społecznym, spotykamy się kilkanaście lat później, w najjaskrawszem piśmie politycznem, jakie polskie średnie wieki wydały, w Monumentum **Jana Ostrogora**, niby ku radzie królewskiej zwróconem, piętnującym po kolei wszystko, co młodemu magnatowi, zaprawionemu na pojeściach zachodnich, w Polsce się niepodobało, od nierówności w prawie, a równości w ubiorze między stanami począwszy, przez stosunek do kurii, wywożenie annat do Rzymu i kreowanie tamże za taksami doktorów - osłów aż do kaznodziei niemieckiego, każącego przed pustymi ławami i do ławników miejskich, szewców śmierdzących, ślących po „ortel“ zagranicę do równych, jak sami, nieu-

ków: dziwny chaos roszczeń magnackich, przywilejów stanowych, antypatii narodowych i dążeń demokratycznych, chaos, godny młodej, polskiej głowy. Praktycznych następstw pisemko to nie miało, dzieląc losy późniejszej literatury politycznej polskiej; w XVI wieku poczytali je protestanci za wycieczki antirzymskie, chociaż ku wierze niemieckiej właśnie Ostroróg nigdyby się nie był przychylił. Ścieżki husyckie i manowce Ostrorogowe nie wyprowadzały więc Polski średniowiecznej nigdzie.

Na polu umysłowem zato przygotowywał się zwolna wstęp na nowe tory. Ograniczał on się najpierw na stylu i formie, niebawem jednak ogarnął i ducha, który się właśnie przez nowy styl wyrażał. Przeciw scholastyce, jego niekształtności i barbarzyństwu, pogardzie starożytności, nie oświeconej wiarą, tylko rozumem, gotowała się we Włoszech reakcja, na którą składało się u nich wszystko, od ich pogodnego nieba i piękności przyrody aż do posągów, wydobywanych z ziemi, i ksiąg, wywożonych z Grecyi i z klasztorów północnych. Przy ciągłych bezpośrednich stykach Polski z Włochami, z kuryą rzymską, w której się nieraz aspiracje humanistyczne zbiegały, humanizm ten rychło przekroczył Alpy i Karpaty. Zniszczenie potęgi krzyżackiej, rola Polski na pierwszym soborze, bogactwo i polor jej książąt kościoła zwróciły uwagę na kraj północny, barbarzyński, i trafiali tam niebawem humaniści sami, jak Filelfo, albo szumne ich listy, oczekujące brzęczącej nagrody, jak pompatyczne posłania Franciszka hrabiego de Aqua Viva, do Witolda, do arcybiskupa (Rzeszowskiego, lwowskiego) i do innych Polaków. Za włoskimi humanistami zjawiała się wykwintniejsza łacina w Krakowie, nawet w uniwersytecie, za staraniami Jana z Ludziska; kancelarya Zbygniewa, posłowie polscy do kuryi zaćmiewali nową łaciną Niemców; Zbygniew sam i satelita jego, Długosz, odczuwali potrzebę nowego stylu, silili się nań, chociaż Długoszowi, mimo Liwiusza, którego do Polski pierwszy przywiózł, a retorykę i sentencje jego naśladował, rzecz się nie udała. Między tymi pierwszymi humanistami polskimi zarobił na nadzwyczajną sławę Grzegorz z Sanoka, nie tem, co pisał — bo to trąciło średniowiecznością, ile wiemy, lecz tem, co mówił; pierwszy przykład polskiego geniusza bez teki, nieproduktywnej wielkości, błyszczącej na chwilę, jak meteor, aby na wieki zagasnąć — gdyby nie Włochspekulant, co go unieśmiertelnił, nie kryjąc się wcale z osobistymi przytem widokami. Grzegorz z Sanoka, mieszczanin, starający się

brak „rodu“ powetować w jedynej możliwej karierze duchownej zabiegliwością i nauką, dostąpił chrztu humanistycznego na dworze węgierskiego humanisty-biskupa i zrobił w Polsce prędką, a świetną karierę; odtąd spoczywał arcybiskup lwowski na wawrzynach; lubił, gdy mu kadzono i popisywał się nowościami na każdym polu, od wymagania, aby klecha, mówiąc po łacinie, prozodyę oryginalną zachowywał (sztuka obca Polakom i Węgrom), aż do sarkania na dyalektykę scholastyczną, na suchość kaznodziejską albo na niewstrzeżliwość polską przy biesiadach, posługując się argumentami, które wyczytał lub dosłyszał, chociaż mu i własnego, trafnego sądu (np. co do dziejów pierwotnych Polski) bynajmniej odmawiać nie należało.

Czynnie zakrzętnął się około humanizmu i powodzenia jego w Krakowie sam ów chwalca, Filip Kalimach, uchodzący przed pościgami inkwizycji papieskiej przez Konstantynopol, gdzie Turków o swej niezbędności nie przekonał, do Polski, zawsze otwartej i gościnnej dla wszystkich obieżyswiatów. Umiał Włoch zręczny i układny, dowcipny i zdolny, wmówić w swych patronów przeświadczenie o swej wyższości; wsrubowano go na dwór Kazimierzów, gdzie z Długoszem, ogień z wodą, nad kształceniem młodszych dzieci królewskich pracował; Jan Olbracht przylgnął do Włocha, darzył go zaufaniem, gdy na tron wstąpił; w skrytym Włoszu uznawała publiczność głównego doradcę królewskiego, podsuwała mu maksymy, dążące do wyniesienia władzy monarchicznej, które z czasem w tak zwane Rady Kalimachowe ułożono, czy to opierając się na jakiejś istotnej podstawie, czy też fabrykując je dowolnie — bo do pamfletów i paszkwilów w Polsce nigdy najsubtelniejszych inżynierów nie brakło. Przez „Rady Kalimachowe“ należał Włoch nazawsze do literatury: niema w XVII wieku ani rękopisu, ani głowy szlacheckiej, któraby tego domorosłego Makiawela nie powtarzała i nie potępiała. Humanizm jego i działalność polityczna i historyczna były za to objawami, przemijającymi bez śladu: historyk zużywał bez cêremonii, co grubi Sarmaci już przed nim pisali, tylko układał to w szumne tyrady klasyczne; polityka używano przy rokowaniach o sprawy tureckie, bezcelowych, skoro się w Rzymie tylko łudzono, że uda się Polskę zawikłać w wielką akcyę wschodnią; humanista nakoniec zaczepnie nie występował, gdyż nadto się Włoch cenił, aby wywoływać w szranki scholastykę uniwersytecką; działał tylko w kółku dobranych przyjaciół i mecenasów

życzliwych, poglądając z góry na barbarzyńców, przybierając pozy, styl, nazwiska nawet klasyczne, Brudzewczyka np. w Brutusa maskując.

Do walki otwartej stawał inny błędny rycerz humanizmu, Konrad Celtis, Niemiec, nawet nie mistrz, poeta-laureat z ręki cesarskiej. Przybył on do Norymbergi polskiej, do Krakowa, głośnego w całej Europie środkowej (Kraków—miasto! stare przysłowie), aby w imię autorów starożytnych przypuścić szturm do „artes“, do „filozofii“ szkolnej, jej łaciny i filologii. Zbierał poklaski, znachodził słuchaczy i uczniów, szczególnie między Ślązakami, którym świetny rodak mile imponował, ale mimo pozornego powodzenia nie długo dał się Celtis łudzić, rzucił niewdzięczną ziemię sarmacką, przedstawiając Niemcom — mieszczanom coraz mniejsze widoki, a przykład jego znachodził i później naśladowców, których sława Krakowa olśniewała, a rzeczywistość sarmacka odrzucała. Prócz szumu po lektoryach i garstki wierszów nie zostawił Celtis ani jego towarzystwo wiślańskie nic w Krakowie; zato Ślązacy, poruszeni przez niego, Rabe, Sommerfeld i inni silili się w wykładach, wierszach i podręcznikach stylowych zalecać nową łacinę, a z nią i ducha nowego, nie średniowiecznego, uczącej się młodzieży.

Nowy ten duch gardził nie tylko łaciną i dyalektyką średniowieczną, odrzucał on i inne więzy, ideał ascetyczny, krępujący życie i użycie, pojęcia kastowe, uznając tylko człowieka, prawiąc o jego „kalokagatia“ bez względu na ród i naród, zwracając się z tęsknotą, nieraz istotną, nie udaną tylko, do świata starożytnego i jego cnót obywatelskich. Pierwsi humaniści wnieśli też nowy element, erotyczny, do łacińskiej poezji w Polsce i chyba na tem polu najrzetelniejsze święcili tryumfy, Kalimach w swoim Fannietum, i Celtis krakowiankę, Hasilinę (pseudonim wedle mody humanistycznej) sławiąc. Z nazwiskiem tej Hasiliny łączonoby pierwszy występ literacki polki — w czeskim języku; istnieje bowiem w korespondencji Celtisa list, pisany doń z Krakowa roku 1500, w którym Hasilina wyrzuca składaczowi (poecie), że niewdzięcznik słodką ich tajemnicę świata objawił i ją niedyskretnością tą obraził: z towarzystwa bowiem, gdzie wiersze te odczytywano, omal ze sromu nie uciekła. Lecz sam list jest wymysłem humanistycznym, nawet gdyby nie był po czesku i z jawnymi kpinami, bardzo nieprzystojnymi, pisany: list, ulubiona forma humanizmu, dla popisywania się ozdóbkami stylowymi stworzona, nie wymagająca pracy, choć ją udająca,

w tym wyjątkowym razie, kiedyż miał od kobiety pochodzić, nie mógł w łacińskiej szacie się zjawić, więc go Czech - humanista po czesku napisał; wniosków z niego co do Krakowa i Polek żadnych czynić nie wolno. W każdym razie wiersze obu humanistów i treścią i formą zapowiadały, pierwsze w Polsce, zwrot stanowczy, chociaż jeden i drugi utwór humanistyczny, np. Aretyna, Bruni'ego, Franciszka de Fiano i in., dawno przed nimi do Krakowa i szkoły jego docierał, nawet wykładu się doczekał, ale ani mistrza ani uczniów nie wtajemniczał w świat nowy, ceniony na równi ze średniowiecznymi Alanami, Doliganami, „Owidyuszami“.

Były jednak bystrzejsze oczy, niedowierzające, nie dające się ludzić świetnością stylową, zaniepokojone duchem, którego ona kryła. Instynkt średniowieczny przestrzegał już Zbygniewa Oleśnickiego przed niebezpieczeństwami ruchu humanistycznego, rozluźnieniem obyczajów, rozpasaniem instynktów, podkopaniem powag; lecz dopiero za następców jego dojrzały owoce tego posiewu. Narazie był humanizm siłą dodatnią, budził ducha z letargu średniowiecznego; nie sięgał on zresztą głęboko, nie tykał np. jeszcze ani klasztorów, ani masy duchowieństwa, a duchowieństwo stanowiło jeszcze ciągle jedyną wykształconą klasę narodu.

Nową, walną zasługą uniwersytetu było właśnie, że nietylko w szkole głównej krakowskiej, ale i w całym kraju podniósł się znacznie ów poziom wykształcenia. Szkoły i szkółki parafialne, miejskie, kolegiackie i klasztorne, nieraz kolonie akademii, otrzymywały na kierowników bakałarzy i mistrzów krakowskich, ludzi wiedzy większej, prowadzących młodzież poza ciasny program dawnego trivium i quadrivium. Światło nie skupiało się w jedynym Krakowie, szerzyło się po kraju równomierniej, każda kapituła liczyła w swoim gronie mężów nauki, znachodzimy ich po ławach radzieckich i ławniczych, nie rzadcy oni i między szlachtą. Ludzie nie zadowalają się prostym pokarmem umysłowym, nawet kaznodzieje sarkają, że od nich oczekują ruszania węzłów trudnych, głębszych zaciekań. Pomniki literackie szerzą się po całym kraju, wymagania rosną, średniowieczne „wy“ zaczyna razić uszy czulsze; uczucia delikatnieją, ileż to razy odpisują żacy krakowscy dokumenty subtelnej miłości, jakie niegdyś Francuz, kapelan Andrzej, zebrał, i, choć w nagłówkach listów miłosnych wprowadzają osoby polskie, od króla Włodzisława i Zofii aż do rubryk: szlachta, panie, tak prawić ma, albo: szlachcianka, panna, odpowiedzieć tak ma (w odpisie

z roku 1447); symbole więzów miłosnych nosi się jawnie i szczerzy nimi, mimo oburzenia kaznodziei - moralistów.

Gwar ten i życie odbijały się naturalnie w literaturze. W porównaniu do XIV wieku i pomników jego, które na palcach wyliczyć można, ogarnęła wiek XV jakaś mania pisania; po półkach bibliotek można na jeden rękopis XIV wieku sto lub dwieście z XV naliczyć. Książd polski spisywał teraz kazania własne albo obce, naturalnie po łacinie; naszych „postyl“ niedzielnych i świątecznych, lub „sermones“, liczymy krociami. Kazania te — o obcych nie mówimy — zazwyczaj mało ciekawe; kaznodzieja żegnał się od niezdobnej pokusy powiedzenia czegoś własnego, nowego; wołał nizać dawne autorytety i cytacye na cienki sznurek własnych słów. Ale nie każdy był tak wstrzemięźliwy, szczególnie ten, który na uczonych słuchaczy nie liczył, folgował własnemu temperamentowi i poziomowi owieczek, nie stronił od rubaszości, trywialności, wytykał wady pospolite w sposób równie pospolity, sarkał nawet na przełożonych, na niechrześcijański żywot duchownych. Inni lubowali się w alegoryach i symbolach; nie zadowalał ich sens dosłowny, historyczny, pisma świętego, wykładali go moralnie i na inne sposoby, w każdym fakcie starozakonnym odgadując prefigurację Nowego Zakonu i t. d. Kto się zbutwiałą treścią tych foliantów i kwartantów odstraszyć nie da, znajdzie w nich niejeden cenny przyczynek, malujący czasy i ludzi, niejeden ciekawy tekst polski, niejedno niezwykle podanie; kazaniom tym nie brak bowiem i opowiadań, anegdot, nawet żartów; słowo Boże podawano tak często i w takiej obfitości, że już wtedy w przysłowie urosło: kto spać nie może, niech idzie na kazanie; otóż dla urozmaicenia, dla zaostrezenia ciekawości wplatał kaznodzieja opowiadania, zabarwiając je moralnie, albo budował kazania swe jak najkunsztowniej. Przez kazania wsiąkały też w lud rozmaite szczegóły legendowe, wątki powieściowe, anegdoty dziejowe, nie obeszło się nawet bez szerzenia zabobonów i przesądów.

Szereg tych kaznodziei, prawiących kazania zawsze po polsku a spisujących je dla oszczędzania czasu i fadygi zawsze po łacinie, jest nadzwyczaj długi, sięga od początku wieku, gdzie się ich najwięcej skupia, aż do końca; są między nimi Czesi, np. Szczekna, spowiednik Jadwigi, Jan Sylwan albo Hieronim z Pragi, spowiednik Jagiełły, misyonarz na Żmudzie, w końcu kameduła włoski; Ślązacy, np. Maciej z Lignicy; ale przeważają Polacy, Krakowczyk Miko-

łaj Wigand, Łukasz z Wielkiego Koźmina, Piotr z Miłosławia, Maciej z Raciąża i inni. Wydają oni zbiory swych kazań nieraz pod wyszukanyimi tytułami, np. Więzienie duszne, Droga zbawienia, Wirydarz (Mikołaja Pszczółki z Błonia, drukowany w Strazburgu roku 1493, 1495, 1498 i nawet jeszcze roku 1613 w Kolonii) i t. d.; jedni sadzą się na uczoność, dodając nawet do każdego kazania kwestye teologiczne i rozsądzając je; drudzy nie gonią za nią, układając temat możliwie krótko i sucho; najciekawsii są ci, którzy zstępują do ludu, między przekupniów oszukujących, chłopów szalbierzy, księży prostaków, których gniewają szmer rozmawiających w kościele, wystawa sukien, pachnideł i barwiczek panieńskich, tańce zapustne (z wywróconem na nice kozuchem), myśli o Kasi, śmigusy i dyngowania wielkanocne, pieśni świąteczne. Nie wielki ich kunszt kaznodziejski, ale koloryt miejscowy występuje jak najdobitniej; poznajemy społeczeństwo, jego usposobienie, zwyczaje, zdrożności, aż do sposobu mówienia; rubaszością grzeszy i kaznodzieja sam, nie wahający porównywać siebie ze swinią, „jaż (która) dalej pysku nie widzi“.

Obok kazań takich zajmowały najwięcej miejsca inne pisma łacińskie, przepisy Pisma św., ojców kościoła, legend, pomniki ustawodawstwa kanonicznego z niezliczonemi głosami i komentarzami. Z nimi zjawiają się i obfitsze pomniki poezyi łacińskiej.

Średnie wieki rozumiały przez poezyę i wymagały od niej nie tego, co estetyczne poczucie nasze i starożytnych. Nie istniał bowiem dla średniowiecza żaden przedział między prozą a poezyą; poezya miała wyrażać to samo, co proza, tylko krócej, piękniej, dobitniej; służyła w pierwszym rzędzie nie sztuce, raczej mnemotechnice. Reguły, przepisy, streszczenia ksiąg biblijnych, przepisów kanonicznych albo medycznych i t. d. układano wierszami; traktaty gramatyczne, metryczne, o właściwościach kamieni czy roślin, słowniki nazw greckich i innych strojono w metra i rymy. Barbarzyńska ta poezya przetrwała do XIX wieku w regułach gramatyki łacińskiej wierszowanych, w XV układano nią i słowniczeki łacińskopolskie, np.:

Est Albertus *Olbracht*, Adalbertus sit tibi *Wojciech*...

Est aquilo *północ* austerque *południe*...

Modiolus *piasta*, radius *stypa*, est *zwono* cantus...

Est tribulus *oset*, (tribu) la *cepy*, (tribu) lum quoque *wiercioch*...

albo układano w „Cyziojanach“ święta całoroczne i uczono np.:

Duch, Krzyż, Łucja, po Popielcu śrzoda pirwa,
Kaźda parochia *suchedni* wiedzieć jima;

najwięcej popłacało polskie rymowane Dziesięcioro, które kaznodzieja co niedziela ludowi przypominał a protestanci, np. Seklucyan w katechizmie roku 1547 jeszcze powtarzali, w licznych odmiankach, np.:

Pirwa kaźń Twórcą naszego:
Niemasz mieć Boga jinego.
W próżności niestatku twego
Nie bierz jimienia Bożego i t. d.

W polskiej poezji łacińskiej średniowiecznej przeważają znowu same odpisy: biblii czy ewangelii czy dziejów apostoelskich czy legend, przełożonych na wiersze, traktatów gramatycznych, np. słynnego *Doctrinale* Francuza Aleksandra, o którym jeszcze Kochanowski w fraszkach śpiewał („Aleksander ufrasował żaki“); alegoryi i poematów dydaktycznych i moralizujących; opowiadań o złości niewieściej, nieraz tak drastycznych, jakby je z Bokaccia wyjęto a mimo to, dyabła dyablem wyganiając, z katedry je wykładano. Są jednak i oryginalne, np. Marek z Opatowca napisał traktat o prozody i metryce, plądrując owego Aleksandra, Jan Polak reguły kalendarzowe w rytmy ułożył i przedostał się „poemat“ jego, *Computus*, zagranicę. Ciekawsze są poematy mistrza Mikołaja w Poznaniu, który wady wszelkich stanów wierszami przedstawił, a osobno nędzę i grzechy dworskie, choć sam nie dworzanin, karmił, od wyszukanego ubioru dworzańskiego aż do podłego ich życia, spania na twardej ławie, rozjazdów po kraju, wycierania i objadania cudzych kątów: pierwszy poemat przedstawia tylko niby wierszowanie jednego kazania Piotra z Miłosławia i prócz ogólników zbyt w szczegóły nie wchodzi, chociaż np. kmieciom zarzuca, jak, sprzedając wełnę, odwilżają ją dla wagi albo zboże fałszują przymieszkami; drugi poemat, o dworzanach, malujeżato jaskrawie stan i drożności jego, i doczekał się dlatego nawet tłumaczenia na polskie w wieku XVI.

Najliczniejsze były poematy historyczne i okolicznościowe, a więc relacye bitew, grunwaldzkiej czy warneńskiej, wiersze na

zgon królów i dostojników, Jadwigi i Jagiełły, Łaskarza (biskupa) i Szamotulskiego, Zawiszy i Elżbiety (córkę Jagiełłowej) i t. d. — kilka z tych wierszy zamieścił i Długosz w *Dziejach*; mało w nich nieraz treści, tem więcej szumu; język ciężki, wierszowanie niedbałe, obrazowość najpospolitsza: wiersze kanonika Adama Świnki, mistrza Marcina ze Słupcy, Grzegorza z Sanoka i in. Z końca wieku należą tu wiersze kanonika Mikołaja Kotwica, trące już nieco humanizmem, bo rzucają leoniny, t. j. wiersze rymowane, w których dawniejsi smakowali; Kotwic opisał i zatargi arcybiskupa Oleśnickiego z Kośmidrem Gruszczyńskim, osoby występujące poprzedzając w maskary łacińskie. Do wierszy okolicznościowych należały i wiersze Stanisława Ciołka, biskupa poznańskiego, z pierwszej ćwierci wieku, entuzjastyczna pochwała Krakowa np. i inne; jak w chwaleniu, tak i w szkalowaniu był Ciołek nieposkromiony, czego bezecny jego paszkwil prozą, na zaślubiny Granowskiej (przez Jagiełłę), dowodzi, przesadzający i średniowieczne prostactwa. Dalej dialog wdzięcznego Długosza na śmierć Zbygniewa krakowskiego, wystawiający cnoty i zasługi kardynała i broniący pamięci jego, przeciw uwłaczaniu i in.

Mniej bogato przedstawia się proza świecka, której najważniejsze pomniki już wyżej przytoczono, jeśli się nie uwzględni wykładów mistrzów krakowskich i podobnych im traktatów naukowych. Zjawiają się pierwsze retoryki i wzory listów, z których się nieraz najrozmaitszych szczegółów dowiadujemy, np. że już w XV wieku „wymowny, jak Gąska“ (o błaznach, którzy, sławny Stańczyk i inni, w XVI wieku toż nazwisko zachowali) mawiano; wzory te z końcem wieku nabierały już całkiem formy humanistycznej, wiersze ich (pochwała Krakowa np. Korwina - Rabego) wzorują się na Horacym, nie na leoninach średniowiecznych.

Gdy tak na polu literatury łacińskiej rozwidniło się nareszcie, z mroku i mgieł powychylały się i zarysowały wyraźniej pierwsze sylwetki autorskie, ścierały się rozmaite prądy i myśli, zalegało dziedzinę literatury narodowej głucho niemal milczenie. Wobec XIV wieku, i tu naturalnie był postęp, względnie wcale znaczny; mimo to świadczy o dziwnej opieszałości i gnuśności, o zastoju głów i serc, ten brak wydatniejszego ruchu i jednostronność pewna. Jeśli już w literaturze łacińskiej przeważał żywioł religijny, tutaj wykluczał on zupełnie kierunek świecki; chyba względy całkiem praktyczne zmuszały do tłumaczenia rzeczy świeckich; poza tem

było wszystko ascetyczne, i wiek XV powtórzył się później w epoce saskiej. Ale jak i epoki saskiej nie należy wyłącznie wedle jej druków ascetycznych sądzić, podobnie myliłby się, ktoby na podstawie dochowanych zabytków pieśni i prozę polską XV wieku o absolutną jałowość oskarżał. Pisali przecież wyłącznie żacy, mistrzowie, księża; pisali, co im było potrzebne, więc homilie i kanony, podręczniki szkolne i wykłady, traktaty i kwestye, t. j. rzeczy naukowe w języku naukowym; pomiatali językiem „wulgarnym“, a wzgarda ta przetrwała wiek XV, panowała i w XVI, aż ją Rey i Kochanowski nieco przełamali. Teksty „wulgarne“ dostawały się przypadkowo chyba do rękopisów łacińskich; na rzecz tak małoważną, nie świadczącą o nauce, nie popłatną w sferach decydujących, ani w krakowskiem kolegium, ani w żadnej kapitule, ani u dworu nawet, nie tracono czasu i pracy, żmudnej, bo tylko „kto nieumie nics pisać, ten mni-ma, aby mała by była robota“ (zauważył Maciej Zamokło r. 1436); po polsku pisano dla ludzi, nieumiejących po łacinie, dla kobiet; rzeczy zaś pisane dla nich, dla osób świeckich, nie wsiąkały w księgozbiory klasztorne i z góry były na poniewierkę skazane. To nam tłumaczy, dlaczego tak mało ocalało i poezyi i prozy polskiej; tem wyżej cenić należy, im rzadsze są takie zabytki.

A jest ich mimo losów zawistnych nie najdrobniejsza wiazanka. Prozaiczne są niemal wyłącznie tłumaczeniami, nowemi nieraz, jakby owe dla Jadwigi nie istniały, a więc Pisma św.; najobszerniejsze między nimi tak zwana biblia Zofii, napisana na grodzie nowokorczyńskim roku 1455, wyłożona dla królowej - wdowy po Jagielle, Rusinki, przez księdza Jędrzeja z Jaszowic: ksiądz Jędrzej ułatwił sobie bardzo pracę, korzystając bez ceremonii z czeskich przekładów; z olbrzymiej księgi pergaminowej ocalało tylko kilka set kart, uniesionych z rąk protestantów polskich na Siedmiogród do Szarosz-pataku, z drugiego jej tomu we Wrocławiu obrzynki się znalazły. Z innego tłumaczenia Nowego Zakonu ocalał tylko skrawek pergaminowy; z żywotów świętych karta jedna (o św. Błażeju); psalterz w starym języku, choć w późnym odpisie, przetrwał całkowity, zgodny z psalterzem floryańskim Jadwigi; karta z jakiejś encyklopedyi teologicznej (tak zwany urywek Glogera); kazanie na dzień Wszystkich Świętych, płynnym i jasnym językiem wyłożone; modlitewnik (pisany ręką „ubogiego Wacława“) i drugi, przeznaczony dla kobiety, Nawojki (t. j. Natalii), któremu niegdyś najmylniej wiek XIII przypisywano, jakby to się z niego św. Jadwiga ślą-

ska modliła, gdy rzeczywiście z końca XV wieku pochodzi; słowniczki biblijne i t. d. Z rzeczy świeckich były przekłady obowiązujących praw krajowych, przeznaczone dla Mazowsza i Rusi, gdzie właśnie znajomość łaciny była najmniejsza, między liczną a drobną i ciemną szlachtą mazowiecką i w niedawno do Polski i kultury zachodniej przyłączonych ziemiach, przemyskiej i lwowskiej. Przekłady wypadły fatalnie; tłumacz bał się oczywiście zbyt odstępować od brzmienia oficjalnego i trzymał się go tak niewolniczo, że język polski na tej uwięzi łacińskiej wszelkiego ruchu pozbawił: z takich prób nieudatych sądzić o dawnym języku nie uchodzi bynajmniej. Nie lepiej wypadły późniejsze tłumaczenia ustawodawstwa niemieckiego, Majdeburgii, potrzebne i dla mieszczan, zapominających doszczętnie dawnej niemczyzny, i dla wojewody i urzędników jego, nieznających jej wcale; teksty niemieckie tłumaczono na łacinę i polskie; statuty krajowe tłumaczono i na ruskie. Celom praktycznym służyły również słowniczki łacińskopolskie, układane zwykle wedle materyi; najczęstsze i najobszerniejsze między nimi botaniczne, wobec znaczenia roślin, choćby krajowych, dla medycyny średniowiecznej. Z pism politycznych istniał np. polski przekład pamfletu Jana Falkenberga, Niemca, Dominikana na żołądź pruskim; król roku 1418 przed zgromadzonym rycerstwem odczytać go kazał; przekład zaginął. Nakoniec roty przysięg sądowych, od końca XIV wieku w księgach sądowych pisane po polsku, ciekawe przez język.

Gdy się proza, z teologią i prawem złączona, o rzeczy historyczne lub beletrystyczne nie kusiła, posiadała poezya mimo całej szcątkowości o wiele ciekawsze, bo oryginalniejsze i różnorodniejsze próby. Gdy tłumacz prozą sznura łacińskiego się nie puszczał, w pieśni już dla rymów i liczby zgłosek swobodniej sobie poczynano; tok wierszów, nawet tłumaczonych, jest bez porównania więcej szczeropolski, niż prozy; i w wierszach jednak, pierwszych oryginalnych utworach pierwszych rymopisów, przeważa żywioł religijny i dydaktyczny; dzieje i uczucia, epika i liryka, miały jeszcze bardzo niewielu przedstawicieli.

Wierszy religijnych przekazał wiek XV sporą liczbę, ciekawą już przez to, że przetrwały wieki, chociaż żaden z nich powagi dawnej „Bogurodzicy“ nie osiągnął. Liczbą i obszernością przeważały pieśni Maryjne, bo kult Maryi ciągle jeszcze rósł; z innych świętych tylko matka Bogurodzicy a „starka Zbawicielowa“ Anna św., była przedmiotem gorącego nabożeństwa i licznych wierszy; innych

świętych wzywano krótko w rymach, do dawnej Bogurodzicy do-
czepianych, lub w legendzie, opowiadającej żywot i męczeństwo;
takie legendy wierszowane układał anonim jakiś około połowy wie-
ku o św. Stanisławie, św. Katarzynie, św. Jopie; ktoś inny o św.
Krzysztofie i t. d.; wiek XVI w odpisach z licznymi wstawkami
i skażeniami tekstu pierwotnego, je zachował; układ ich był dosyć
jednostajny, po wstępie ogólniejszym szło opowiadanie samo, bez
ozdób poetyckich, proste, szczere, naiwne, dlatego przyjmowały
się te wiersze znakomicie w ustach ludu, dziady i baby śpiewali je
jeszcze w XVII wieku. Pieśń o św. Stanisławie np. wedle odpisu
z roku 1460 zaczyna:

Chwała Tobie, Gospodzinie!
Jiż o twych świętych cześć słynie,
Która nigdy nie zaginie
I na wieki nie przeminie.
Wiesiel się, polska korono,
Jiż masz takiego patrona,
Dostojnego Stanisława,
Jenże wyszedł z Szczepanowa i t. d.

Starsze, niż te pieśni, są legendy o św. Dorocie i najobszerniej-
sza ze wszystkich, dwieściekilkadziesiąt wierszy licząca, o św. Ale-
ksym, co czystość i ubóstwo poślubił, we wstępie z inwokacją obo-
wiązkową, naiwnie a szczerze wysłowioną:

Ach! królu wieliki nasz,
Coż ci dzieją (którego zowią) Mesyjasz,
Przydaj rozumu k mej rzeczy,
Me serce bóstwem obleczy,
Raczy mię grzechów pozbawić,
Bych mógł o Twych świętych prawić.
Żywot jednego świętego...
Kto chce słuchać, ja powiem:

nie jest to przenośnia, gdyż wiersze średniowieczne nie do czytania,
lecz dla słuchania pisano. Zaginęły zupełnie pieśni dawne o św.
Mikołaju, o św. Barbarze i in.

Autorowie pobożnych pieśni z nazwiska nie znani, albo prócz
nazwiska nic o nich się nie wie więcej, np. o mistrzu Macieju, auto-
rze pieśni o Zwiastowaniu „Mocne boskie tajemności O Maryej
wielebności“ albo o Słopuchowskim (?) i jego „wykładzie“. Na tem

większą uwagę zasługuje Warszawianin, pierwszy poeta polski, którego bliżej znamy, poprzednik Stanisława Grochowskiego, **Bernardyn Władysław z Gielniowa**.

Jak Dominikani i Franciszkani w XII, zaważyli Bernardyni—tak nazywano u nas braci obserwantów — w XV wieku w rozbudzeniu uśpionego uczucia religijnego. Nawrót do twardszej reguły, ogień, pałający od Kapistrana, najwymowniejszego ich rzecznika, szerzenie słowa bożego elektryzowały masy, pociągały nowicyuszów, przysparzały regule coraz nowych domów i klasztorów z niesłychaną od dawna szybkością. W drugiej połowie wieku, od kiedy Kapistran z tłumaczem Polakiem na rynku krakowskim kazał, przewodzili Bernardyni nie tylko w Polsce, lecz i na Rusi i Litwie (w Wilnie głównie) w dziele misyjnym. Niestrudzeni kaznodzieje, przykładni robotnicy, pokorni służkowie zyskali popularność, jaką się żaden zakon w Polsce nie cieszył ani przedtem, ani potem, i popularność „Bernachów“, ich rubasznych, jowialnych kwestarzy, przetrwała wieki. Na poziom ten zniżyli się dopiero później, gdy wszystko w Polsce upadało; w wieku XV byli to natchnieni głosiciele słowa Bożego, a najbardziej natchnionym był właśnie brat Władysław z Gielniowa. Żaden kościół warszawski nie zmieściłby tłumów, pragnących słowa jego; na placach i ulicach tłoczono się, by je słyszeć. Ale brat Władysław nie tylko był kaznodzieją, znał wpływ pieśni i składał je gorliwie, po polsku dla ludu, po łacinie dla żaków. Roku 1488 wprowadził on zwyczaj odśpiewywanie po kazaniu pieśni; pieśnią tą był wtedy jego układu „Żołtaz (psalterz) Jezusów“ o męce Pańskiej:

Jezusa Judasz sprzedał za pieniądze nędzne,
Bóg ociec syna wydał na zbawienie duszne i t. d.

jedna z najpopularniejszych dawnych pieśni; toć Kochanowski opowiadał o żaku, śpiewającym bezmyślnie: Jezus Judasza sprzedał i t. d.; każda zwrotka zaczyna się imieniem Jezusowem, później dodawano i wtrącano inne, poznać je po odmiennem zaczęciu. W masie bezimiennej liryki religijnej tego czasu łatwo i inne wiersze odnieść do błogosławionego autora, pałającego osobliwszem nabożeństwem do imienia Jezusowego; każde kazanie zaczynał on od słów „Jezus Nazareński król żydowski“; wykładał je coraz inaczej; otóż parafraza poetyczna między tak zwanymi tekstami łysogórskimi hym-

nu Salve Regina w 11-tu zwrotkach, z których każda przyśpiewem „Chrysta nazareńskiego“ się kończy, pewnie Błogosławionemu należy:

Zdrowa (t. j. zdrowaś Maryo!), my k tobie wołamy,
Wszystkę pewnoś w Tobie mamy,
Grzeszni synowie Jewini;
Racz prosić za nasze winy
 Chrysta Nazareńskiego.
Zdrowa, wybaw nas z padołu,
Jiż nie zaginiem pospołu;
Wyzwól z jeństwa dyabelskiego,
Ukaży nam łaskawego
 Chrysta Nazareńskiego i t. d.;

i następna pieśń tego zbioru, ostatnia, O ciało Boga żywego, Jezu Chrysta niebieskiego, Przyjmi od nas pozdrowienie, Nad cię jinnego boga nie i t. d. jest zapewne pióra bł. Władysława.

Bernardyńskimi utworami są pieśni Maryjne, w których przeciw Dominikanom, przeciw ich nauce i ich rzeźbie krakowskiej (Maryą rodzącą otaczają „babki“), Niepokalanego jej poczęcia bronią Bernardyni, np. w pieśni, której każda zwrotka od słów „O Marya!“ się zaczyna:

O Marya, Tyś córka boska,
Wszystkich grzesznych radość wielka,
Pirwem grzechem niezmazana,
Od trójce świętej zachowana

albo w pieśni o Narodzeniu Pańskim, abecadłowej (t. j. zwrotki zaczynają się literami A, B, C i t. d.) śpiewano:

Kłamając, niektórzy mówią,
A w tem matce urągają,
Aby tam niewiasty były,
Któreby Matce służyły i t. d.

Pióra Błogosławionego jest i obszerne Dziesięcioro rymowane, gdyż kaznodzieje w ten sam sposób je wykładali i z bernardyńskiego rękopisu ono wyjęte, zaczyna się zwrotką:

Słuchaj tego, wszelka głowo,
Napisz to w swem sercu słowo,
Pełni boże przykazanie
By nie wszedł w piekielne łkanie...

Toć jest wtóre przykazanie,
Jezu Krysta miłowanie:
Jimienia Bożego szonuj,
Darmo go nigdy nie mianuj.
Przeciw temu wszyscy grzeszą,
Co się ku przysiędze śpieszą,
Wiarają się, przysięgają,
O swą duszę nic nie dbają...
Toć jest siódme przykazanie,
Brata wierne miłowanie
Nie kradni mu nicze jego,
Życzy mu wszego dobrego.
Tego nie dbają lichwiarze,
Zdrajce, zbójce i kostarze,
Swoje bliźnie zawždy szkodzą,
Do piekła z tym tako wchodzą i t. d.

Bernardyńskiej tej poezji ocalało wiele; niewytworna ona, powtarza dosyć jednostajnie układ treści, budowę wiersza, zwroty stylu; lubuje się w abecadłowych pieśniach, jak w pieśni o Annie św., którą gorąco Bernardyni czcili, np. brat Mikołaj Sokolnicki, może autor tej pieśni:

Anna święta i nabożna,
Miłościwa i pokorna,
Dwadzieścia się lat smęciła,
Albowiem płodu nie miała i t. d.
Falszywie, niedobrze mówią,
Którzy cudną Pannę (Maryę) mażą,
Pirwym grzechem niezmazaną,
Bo przez Boga zachowaną i t. d.

z ową polemiką przeciw Dominikanom; inna abecadłowa o Matce Bożej, czy tego samego autora, znowu zaczyna:

Anna niewiasta niepłodna,
Sprawiedliwa i nabożna,
Czysta Pannę porodziła,
Którą Maryą wezwała i t. d.

Bractwo św. Anny, u oo. Bernardynów na Stradomiu (w Krakowie), odmawiało godzinki, które może bł. Władysław ułożył, a odpis ich mistrz Wacław (Ubogi) z Brodni, teolog krakowski, nam zo-

stawił. Z kultu tego przetrwały jeszcze inne ślady poetyckie, np. pieśń:

Anno matko matki Bożej,
Nie racz gardzić prośby mojej,
Za mną się raczy przyczynić,
Tobieć to łątwie uczynić i t. d.,

lecz pieśń ta sięga może już XVI wieku, skoro osiemnasta zwrotka brzmi:

Być pokoju od Poganów,
Turków, Moskwy i Tatarów,
Abyśmy się polepszyli,
Ciebie przepiecznien chwalili.

I nie koniec tych pieśni; inna była: O Anno, pani szlachetna, O Tobie jest sława wielka, Proś za nami wnuka swego, Jezusa Nazareńskiego i t. d.; z innej „starej pieśni polskiej“ zachował Litwin Mażwid (r. 1547) pierwszy wiersz: O Anno, Pani szlachetna z pokolenia i t. d., który i inną starą polską pieśń „Poprośmy świętego Ducha“ przytaczał. Tyle to pieśni wywołał sam kult św. Anny; — z tego już wynika obfitość dawnej poezji religijnej. Poezja ta zasługuje na uwagę jeszcze i z innej strony.

Ciekawa to bowiem rzecz, jak długo te skromne i proste pieśni w ustach ludu trwały, niemal bez zmiany, jedyne płody literatury polskiej średniowiecznej, które żywotnemi pozostały, gdy wszystkie inne dawna niepamięć zagrzebała nazawsze. Tak np. jest w zbiorze Pieśni postnych starożytnych, drukowanym w XVII wieku, Pieśń o Pannie Maryej:

O nadroższy kwiateczku, Panno panieńskiej czystości,
Marya matko Bożej miłości,
Dla smutku Twojego i dla, Panno, Twej czystości,
Napełnionaś jest, Panno, Boskiej miłości i t. d.,

otóż Aryanin Czechowiec w swoich Dyalogach z r. 1575 wspominał o „piosnkach onych, wszem z dawna pospolitych, jako i ono: O nadroższy kwiateczku, w której tak śpiewają: Która święta Trójca wyzwoliła Ciebie mieć za matkę sobie“. Że to pieśń jeszcze z XV wieku, pokazało się, gdy w oprawie foliantu z roku 1481 odnaleziono pasek pergaminowy z nutami i tekstem tym samym:

O nadroższy kwiatku Panieńskiej czystości
Marya matko Boskiej miłości
Dla twego smutku i dla twojej żałości
Napełnieną Boskiej miłości i t. d.

Dla innych pieśni nie odszukano dotąd starszych odpisów, chyba w owych Pieśniach Postnych Starożytnych, albo w dwu rękopiśmiennych zbiorach, puławskim i kórnickim z połowy wieku XV, np. długą, bo 62 strofy liczącą „Pieśń o zmartwewstaniu Pana Jezusowem barzo nabożną i wesołą“, zaczynającą się od zwrotki:

Nasz Zbawiciel, Pan Bóg Wszechmogący,
Jezus Krystus *Nazarański* w Trójcy,
Wstał z martwych ninie,
Uwiesił ludzkie pokolenie i t. d.

17-tą zwrotkę (Wstał z grobu, nie ruszył kamienia, Ni pieczęci żadnego znamienia, Stróże posnęli, Jako martwi tako popadali) przytaczał ten sam Czechowic w Dyalogach: „wielkonocna ona piosnka, którą chłopstwo obzarszy się w karczmie, także zacy i baby całymi gębami śpiewają, iż też Chrystus wstał z martwych, nie ruszył kamienia, Ni pieczęci żadnego znamienia“ i t. d.

Jedyny to dział w języku narodowym, uprawiany obficie już w XV wieku; gdy wszędzie indziej poezya polska jak najdalej w tyle pozostaje, już nie za francuską i niemiecką, ale choćby za pobratymczą, czeską, w pieśniach Maryjnych i Jezusowych śmiało się z niemi mierzyć może. A zasługa to księży Bernardynów wyłączna, chociaż ich polskie i łacińskie pienia na żaden kunszt poetycki się nie sadziły; intencya pobożna wynagradzała mdłe wysłowienie; nie darmo też poważny Bollandysta, drukując pieśń łacińską innego błogosławionego Bernardyna, Szymona z Lipnicy, westchnął: jeśli święty tę pieśń napisał, poetą chyba niebył. Ależ nie o poezję w takiej pieśni chodziło, a raczej, jak „Słopuchowski“ mówił:

Kto ją będzie śpiewaci
Albo pilno słuchaci,
Panie Boże, raczy mu to wszystko dać,
Co będzie u Ciebie żądać.

I nie wadzi zaznaczyć, jak się po tych pieśniach przetarł język polski, jaki on płynny, czysty, gładki, jak go późniejsza poezya reli-

gijna już nie wiele prześcignęła; ani się wierzyć chce, że pieśniom tym zgórą czterysta lat minęło. Sprawiedliwość każe wyznać, że i na tem polu, nie tylko w prozie, Polacy nieraz czeskie wzory naśladowali. Najjaskrawsze przykłady tej zależności dają teksty z pierwszej połowy wieku; legenda o św. Dorocie np. zachowała miejscami bez zmiany obcy pierwowzór, np.:

Slibując (ślubując) bohactwa mnoho,
Złato, kamienie droho...
Bez studu (wstydu) dziewczkę związachu,
Haniebnie obnażachu,
Biczuwachu tak wielmi Jej to ciało sławne i t. d.

Również w kancyonale, który sobie ułożył, bakałarz niegdyś przeworski, Jan r. 1435, znachodzimy nieraz teksty napoły czeskie. Inne, wolne od takich naleciałości, wskazują różnymi szczegółami przecież, że z czeskich wzorów powstały, np. dawna kolęda:

Stałać się rzecz wielmi dziwna,
Panna syna porodziła,
Przeze wszej stradze cielestnej
Toć jest dziwne a nowe i t. d.

dosłownie z czeskiej wyjęta; również dawna pieśń na Boże Ciało:

Witaj miły Jezu Chryste,
Tyś syn z prawej dziewczki czystej,
Ty jeś za nas na krzyż wstąpił,
Swąś nas świętą krwią odkupił i t. d.

Bernardyni dopiero wyemancypowali polską pieśń zupełnie z tej zależności; w XVI wieku tłómaczą już i Czesi z polskiego, np. ów Żołtaz Chrystusów Gielniowczyka.

Mniej obfite, zato tem ciekawsze, były wiersze treści dydaktycznej. Najdawniejszy z nich, zachowany w odpisie żaków krakowskich w roku 1415, w klasztorze sieciechowskim od XV wieku złożonym, to wiersz o zachowaniu się przy stole, najdawniejszy wykład obyczajności światowej; podobne istniały wtedy po łacinie („Fagifacetus“ t. j. jak „facet“ jeść winien) i w innych językach. Autor, Słota, może sam żak krakowski — w takim razie najwcześ-

niejszy to wkład krakowskiej Alma mater w literaturę narodową —
wzywał na początku i polecał się na końcu pomocy Boskiej:

Gospodnie, daj mi to wiedzieć,
Bych mógł o tem co powiedzieć,
O chlebowem stole.....

Też, miły Gospodnie mój,
Słota, grzeszny sługa twój,
Prosi za to twej miłości,
Udziel nam wszem swej radości! Amen.

Mimo tej ascetycznej obłonki wiersz to świecki, pierwszy
w Polsce, oddychał powietrzem miejskiem, krakowskiem i, co naj-
ciekawsze, pannom i paniom hołdował gorąco:

Przyjmicie to powiedanie,
Prze waszę cześć, panny, panie,

nie darmo:

Boć paniami stoi wiesiele,
Jego (którego) jest na świecie wiele,

wołał więc z serca całego:

Ja was chwale, panny, panie,
Jiż przed wami nic lepszego nie (niema)

— nie dziwnyż to trafi, że świecka literatura, jak religijna od Bogu-
rodzicy, od czci niewieściej zaczynała? Kult Maryjny i uwielbienie
czci pięknej, cechujące Polaków przed innymi Słowianami, zlewało
się w wierszach:

Ktokoli czci żeńską twarz (płeć),
Matko Boża, ji tym odarz,
Przyjmi ji za służę swego,
Uchowaj grzechu śmiertnego
I też skończenia nagłego!

Czy te hołdy były tylko platoniczne, o tem?możnaby nawet
powątpiewać wobec wierszy:

Czci ją (żeńską płeć), jizby żyła z tobą,
Ktoć je chce sobie zachować,
Będą ji wszystkie miłować,
I *kromie* oczu dziękować,
Boć jest korona cna pani (wedle Salomona!)
Przepaść by mu, kto ją gani.

Nie dziwić się już, że żacy krakowscy wzory listów miłosnych z Andrzeja kapelana odpisywali i wiersze łacińskie na cześć swych bogdanek składali. Główna treść wiersza odnosiła się do karności stołowej, zaczynała od podawania wody na ręce, widelców bowiem nie było i do misy sięgało się palcami, a kończyła przestrogą co do małych kęsów i napominaniem uważnego słuchania „dobrej mowy”. Całość wykazywała już kulturę, pewną delikatność obejścia, i, choć poezji w tem niebyło, a rubaszości jeszcze wiele, uczył ten wiersz, jakimi będą Polacy.

Inne dydaktyczne wiersze są przejęte silniej religijnym nastrojem na temat: memento mori. Jeden, abecedłowy, nadzwyczajnej doczekał się popularności; skarga to umierającego, gdy dusza z ciałem się rozstaje, a wyrzuty zmarnowanego na świeckie rzeczy życia się odzywają, z początku XV wieku, w XVI powszechnie znana:

Ach mój smętku, ma żałości!
Niemogę się dowiedzieci,
Gdzie mam pirwy nocleg mieci,
Gdy dusza z ciała wyleci i t. d.

przez całe abecadło, z strofy jednej cytował raz Zygmunt August:

Gdzie ma siła, ma robota?
Głupiem robił po ty lata,
Pięć miar płótna, ośm stóp w grobie,
Tom tylo urobił sobie;

wcześniej dodał ktoś i odpowiedź na owe pierwsze pytanie o noclegu:

Dusza z ciała wyleciała,
Na zielonej łące stała,
Stawszy rzewno zapłakała,
Przyszedł święty Piotr arzkący i t. d.

dziś jeszcze śpiewają dziady o tej duszy na zielonej łące, jak niemal przed pięciuset laty, łąkę tę zna i tradycja ludowa niemiecka.

Najdłuższy poemat polski średniowieczny (490 wierszy) i najudatniejszy zarazem rozszerzał temat łacińskiego traktatu o śmierci, w którym mistrz Polikarp na własne oczy Śmierć oglądał i, ochłoniawszy z przerażenia, z nią rozprawiał o jej wszechmocy, grozie i t. d. Autor, Polak, nieznany bliżej, może ten sam, który i legendę

o św. Aleksym wyłożył, w pierwszej połowie XV wieku, zaczął od inwokacyi i treści:

Gospodzinie wszechmogący,
Nad wszystko stworzenie więcszy,
Pomoży mi działa złożyć
Ku Twej fały rozmnożeniu,
Ku ludzkiemu polepszeniu.
Wszystcy ludzie posłuchajcie,
Okrutność śmierci poznajcie...
Przykład o tem chcę powiedzieć i t. d.

Dalej rozprawiał, skąd się śmierć na świecie zjawiała, jak wszystkich morzy, wojewody i czestniki, bądź książęta albo grabie, aż do najniższych:

Karczmarze złe piwa dają,
Nie często mnie wspominają,
Jako swe miechy natkają,
Wtenczas mą kosę poznają:
Kiedy nawiedzą mą szkołę,
Będę im łać w gardło smołę...
Kanonicy* i proboszcze,
Będą w mojej szkole jeszcze,
I plebani z mięsą (grubą) szyją,
Iż to barzo piwo piją...
Szlachcie bierzę szypy, tulce,
Ostawiam w jenej koszulce...
Stoić mi za mało papież,
I naliszsy żebrak takżeż,
Kardynały i biskupy,
Zadam jim wielkie łupy...
Wszystki mnichy i opaty
Posiekę przeze zapłaty.

Dobrzy mnisi jednak mnie się nie boją, oni światem, a świat nimi wzgardził:

Ale gdy przyjdzie dzień sądny,
Gdzie się nie ukryje żaden,
Uźrzą mądrzy tego świata,
Iż dobra boska odpłata;

inaczej ze złymi mnichami, następuje drastyczny opis złego mnicha, co ma zakon lichy, z niego ucieka,—rzecz nie rzadka przy nadcho-
dzącem rozluźnieniu karność kościelnej:

Kto chce czynić co na świecie,
 Zły mnich we wszystko się miece,
 Jestli wsiedzie na szkapicę,
 Wetknie zanadra kapicę,
 Zawodem na koniu wraca,
 Często kozielce przewraca.
 Kiedy mnich na koniu skacze,
 Nie weźrzałby na kołaczce,
 Umaże się jako wiła (błazen),
 Wždy mu ta rzecz barzo miła...
 Niedba, iż go kijem biją,
 Zawód biega, skaziw szyję,
 A drugdy mu zbiją plece...
 Dam ji czartu na ofiarę i t. d.

Autor, zdaje się, był zakonnikiem, może Benedyktyn z Sieciechowa, bo najszczegółowiej przeorem - infułatem się zajmuje:

Z opata zejmę kapicę,
 Dam komu na nogawicę;
 Z skaplerza będą pilśnianki,
 Suknia pachotkom na lanki (koszule);
 Odejmę mu torłop (futro) kuni
 A niewiem, gdzie się okuni;
 Odejmę mu kozuch lisi,
 I płaszcz, co mu nazbyt wisi;
 Koniecznie zejmę infułę
 I dam za szyję poczupełę (uderzenie) i t. d.

Tekst poematu przerywa się na wystawianiu pań czystych, męczenniczek sławnych. Tak to wyglądała „poezya“ polska pierwszej połowy XV wieku: ze znakomitych początków — bo i Rey by się głądziej nie wysłowił ani szczegółów drastyczniej nie przedstawił — mogła się bezpiecznie rodzima poezya wyłonić. Nie przyszło do tego, zwyciężyły łacina, gdyż wolano do morza łacińskiego przylewać wody, i wrodzone gnuśność i niedbalstwo. Z drugiej połowy wieku możnaby przytoczyć wiersze, które, zdaje się, całkiem dowolnie „Sandomierzaninowi“ jakiemuś przypisano: i to rzecz bernardyńska, tego samego kaznodziei, co i wiersz o Dziesięcioro ułożył, może bł. Władysława z Gielniowa, którego modlitwom cudowne ocalenie Polski od grożącego napadu tureckiego, po klęsce Olbrachtowej, przypisywano, który ułożył krótką łacińską antyfonę przeciw „poganom“; czas drugiej pieśni „sandomirskiej“ dokładnie oznaczony:

Wylej Twój gniew na Tatary,
Turki, Wałachy, Pogany i t. d.

Wiersz pierwszy ułożony całkiem na sposób kazania (jak i owe Dziesięcioro), gdyż przytacza się siedem słów Chrystusa na krzyżu i objaśnia je stosownie, jako wzór, np. trzecie:

Zasmęconą matkę swoją
W trzeciem słowie pocieszył ją,
Miasto siebie Jana jej dał,
Aby ją tamo opatrzał.
Nierówność Chryste przemieniał,
Za królaś jej rybitwę dał;
Miecz boleści ją przenikał,
Jak Symeon prorokował.
Synom i dziewczkom przykład dał,
Gdy swej matki nie zapomniał,
By swą matkę, ośca czcili,
Zawždy jim dobrze czynili i t. d.

Pomysł o bolesnej, upokarzającej odmianie, za króla (Chrystusa) rybaka (apostoła Jana), dawny, np. w kazaniu pasyjnym sławnego Gersona, kanclerza paryskiego, którego dzieła bardzo popłacały w Polsce, i u innych, *locus communis* kaznodziei XV wieku. Podobieństwo z wierszami Dziesięciorga wynika nawet z poszczególnych zwrotów, np. dał Chrystus naukę,

By braci każdy odpuszczał,
Gniew, mierzączkę i złe sierce,
By nie wszedł w piekielne mieście

(por. wyżej: *By nie wszedł w piekielne tkanie* „Dziesięciorga“). Po wyłożeniu słów następuje przykład, *exemplum*, nieodzowny dla kaznodziei średniowiecznego, o złym „kostarzu“ w Budzinie, jak go za bluźnierstwo dyabeł porwał. W drugiej pieśni przykładów więcej, o tem, jak Bóg ludzi karze głodem, morem, „krwie rozlaniem“, z historyi starożytnej, żydowskiej, polskiej:

W Sędomirzu, co się stało
Tatary, płacziwe działa!
Tak ludzi wiele pobili,
Wisłę trupy zastawili,
Dziatki w wodzie z krwią pławili:

czegoś podobnego obawiano się w Polsce roku 1498 ponownie, ale Bóg się zlitował i klęskę na „pogan“ obrócił; wyraźnie jednak zaznaczono w tekście pieśni, że „figury“ te można i opuszczać, jak i przy kazaniu je opuszczano lub dodawano. Będzie to więc jedyne ocalałe kazanie wierszowane bł. Władysława; o podobnych wyraźnie na początku XVI wieku ks. Fabian Orzeszkowski wspominał (w łacińskim wierszu na żywot Błogosławionego: „napisał on bardzo wiele kazani świętecznych, wydał je na święta i niedziele *w metrum i wierszu* i czytałem je, gdym był w szkole Pabianickiej“; kazania wierszami prawiono na zachodzie jeszcze i w XVII wieku).

Tem mniej przechowało się wierszy świeckich, choć było ich wiele, ale raczej krótkich. Każde zdarzenie, ogólnodziejowe czy lokalne, wywoływało gazety wierszowane: o grunwaldzkiej i warneńskiej tak samo, jak o zbój Krzysztofie Szafrancu z Pieskowej Skąły, którego roku 1482 ścięto, „śpiewają tam jeszcze około Szczercowa chłopci po wsi pieśń staroświecką o nim“, prawi Joachim Bielski w kronice w stodziesiąt lat później; pamięć ludowa jest bardzo konserwatywna, przecież i za czasów Długosza śpiewał lud o śmierci Ludgardy, żony Przemysłowej (zmarłej r. 1283), a nawet o zwycięstwie zawichojskiem nad Romanem halickim (roku 1205). Z tych pieśni nic się nie zachowało, kopista jeden przytacza pieśń grunwaldzką po łacinie, dalej miał polską wypisać, ale ją opuścił! ocalały z niej albo z kilku takich kilka wierszy:

Hej Polanie! z Bogiem na nie,
Już nam Litwy nie dostanie (po jej cofnięciu się);

albo u Strykowskiego:

Witold idzie po ulicy,
Przy nim niosą dwie szablidy,

tenże przytacza i z jakiejś (tureckiej) staroświeckiej:

Byli nasi (Turkom) groźni kiedyś,
A cóż potem, kiedy nie dziś?

Roku 1422 zeznawał biskup Łaskarz, że słyszał przed czterdziestu laty pieśń, gdzie twierdzono: „królu Kaźmierzu, wtedy dostąpisz pokoju z „Krzyżownikami“, kiedy Gdańsk twoim będzie“. Ze wszystkich tych „pieśni historycznych“ ocalała trafem jedna, o zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego w Krakowie roku 1461 przez roz-

srożonych mieszczan; pieśń znamienna przez nienawiść, jaką dyszał autor - szlachcic przeciw „chłopom“ - Krakowianom:

Kłamacie chłopi jako psi, byście tacy byli,
Nie stoicie wszytcy za jeden palec jego;
Mnimaliście chłopi, by tego nie pomszczono?
Jużci jich sześć sieczono, jeszcze na tem mało.

Obok historycznych lubował się naród szlachecki w wierszach satyrycznych; humor polski, żyłka do żartów i szyderstw, tak dobitnie przez wszystkie następne wieki występujące, istna mania pamphletów już w XVI wieku tylokrotnie poświadczona, każą początki śmiało do XV odnosić. Wymieniono nawet z końca wieku szlachcica zacnego, który się tem rzemiosłem poetyckiem parał, może być, że z pod pióra p. Ścibora wyszła satyra na chłopów, którą długo pamiętano i jeszcze po całym wieku rozszerzano:

Chytrze bydlą z pany kmiecie,
Wiele sie w jich sercu plecie;
Gdy dzień panu robić mają,
Częstokroć odpoczywają.
A robią silno obłudnie,
Ledwo wyńdą pod południe,
A na drodze postawają,
Rzkomo pługi uprawiają i t. d.

Byłyż to jeszcze święte czasy, kiedy chłop panu tylko dzień (w tygodniu) robił i bizuna ekonomicznego się nie obawiał. Inne wiersze to tylko ucinki, jakimi kopista nad pracą nudną a ciężką się mścił, np. Lutosław z Chrościechowa roku 1414 w Krakowie dopisał do traktatu teologicznego:

Kapłanie, chcesz polepszyć dusze swej,
Niemów często: piwa nalej!
Boć piwo jest dziwny olej
(Pozbawia wołów i rolę, dodawano później),
Więce z nich kłamają chłopi,
Arzkąc: szaleni są popi i t. d.

— podobnych docinków więcej po rękopisach. Lirycznych, miłosnych, ludowych nie zachowało się prawie nic, prócz kilku początków („Świątki lecie“, o słowiku) i urywków, np.:

Ach miłość, coś mi wczyniła,
 Eżeś mnie tak oślepiła,
 Eżeśm się na miłość podał,
 Bych nikogo na świecie znał

albo:

Miłuj miła, miłuj wiernie,
 Miej go w sercu zawsze pewnie:
 Wiernie mienim, nieprzemienim;
 Kto to wzdruszy,
 Dyabeł bądź pan jego duszy.

Takimi to zasobami rozporządzała nie proza, lecz poezya narodowa: bo i w Polsce, jak w całej Europie, narodowe literatury średniowieczne, wierszem, nie prozą stały. Panowanie wszechwładne łaciny w literaturze, w kazaniu, traktacie i mowie, w liście, aktach, kronikach nie wydaje jednak, maskuje tylko stan istotny; język narodowy nie wciskał się do literatury, zajmował w niej szary kącik, chociaż w życiu było naturalnie odwrotnie. Wystarczał on temu życiu, potrzebom jego kuchennym; kto wyższe rościł aspiracye, zażywał łaciny, języka nie tylko poloru towarzyskiego, jak francuszczyzna XVIII wieku, lecz wiedzy istotnej, a tak bywało nie tylko w Polsce, gdzie brak ruchliwości i ambicyi słowiańskiej cudzoziem-szczyźnie każdej drogę zawsze stały, lecz i w krajach ościennych. Zupełnem upośledzeniem języka narodowego w literaturze przypomina Polska sąsiednie i pod tylu innymi względami nader, niestety, pokrewne Węgry; nie należy jednak zapominać, że i w krajach starszej kultury, u Czechów, Niemców, Francuzów, wiek XV to wiek za-stoju i upadku literatur narodowych, to wiek blasku i siły nauki i języka naukowego, łaciny; nigdy ona nie święciła większych try-umfów, a koszty ponosiły literatury narodowe. I zdawało się pano-wanie łaciny ugruntowane nazawsze. Trzeba było nowego tchnie-nia, aby głęboko uspięne księżniczki literatur rodzimych obudzić.

ROZDZIAŁ TRZECI.

WIEK ZYGMUNTA STAREGO.

HUMANIZM.

Państwo i społeczeństwo; spolszczenie mieszczaństwa; obce żywioły etnograficzne, Ruś i Litwa; ich polszczenie. Przewaga łaciny; uniwersytet krakowski; humanizm; poeci: Krzycki, Janiciusz. Początki dramatu. Druki. Historycy. Politycy. Literatura narodowa, rękopiśmienna i drukowana; Opeć, Biernat z Lublina, Rey; jego dyalogi i psalterz. Śmierć Zygmunta Starego.

Oświatą stoją narody, siłą państwa, lecz obie niezawsze w parze chodzą. Rosła Polska Zygmuntońska w bogactwa umysłowe, aż do podziwu i zazdrości ościennym narodom, lecz słabła jej więź państwowa. Jakież zasoby wniosła Polska ze średniowiecza w wiek XVI-ty?

Gdy rządy monarchiczne państw ościennych w coraz nowe siły wzbierały, musiał Polsce na cały dalszy jej pochód dziejowy starczyć ów kapitał, uzbierany za Piastów, powiększony za Jagiellonów. W XV wieku przedstawiał on się imponująco. Zwróciły się oczy i umysły ku tej Polsce: witano w niej wcześniej sprzymierzeńca przeciw Turkom; proroctwa i widzenia opiewały sławę białego orła, który i z Konstantynopola niewiernych, i z Pragi kacerzy miał spędzić i wieczysty pokój ludzkości zapewnić.

Lecz szpony orła wcześniej stępiały. Kłęski, warneńska i bukowskińska, unicestwiły plany tureckie; długa wojna pruska i wojna

z Maciejem świadczyły o dziwnej niegotowości do bojów, o ociąganiu się szlachty od jedynego jej obowiązku, o powolnem ale statecznem jej gnuśnieniu. Na wschodzie przyjęto politykę zupełnej rezygnacyi; ludzono się oczywiście, że podział między wschodnią a zachodnią Rusią da się utrzymać, nie zastawiono się więc o Nowogród i Psków, przymknęto oczy na niebezpieczeństwo od Moskwy, groźne a jawne, skoro raz z Moskwy hasło do zbierania ziemi ojczystych wyszło. Półwiekowe niemal rządy Zygmunta Starego, pana łagodnego, ludzkiego, rozjemcy między monarchami europejskimi, przyniosły błogi pokój, ale okupiły go zbyt drogo, bo i naród zgnuśniał do szczętu, i rzeczone się nabytków i widoków wielkopaństwa polityki. Węgry i Czechy oddano Habsburgom, Prusy ześwieczczone otrzymał Albrecht, przed Moskwą broniono się niedbale, chociaż, kto Smoleńsk stracił, Połocka i Kijowa również pewnym być nie mógł. Schodziła więc już Polska z dominującego na wschodzie stanowiska: ale trwały jeszcze świetne pozory. Bezwładność na zewnątrz tłómaczyły stosunki wewnętrzne. Dobiła się szlachta, już nie samo możnowładztwo, znaczenia rozstrzygającego i wyzykskała je na zduszenie chłopca, usunięcie mieszczaństwa od rządu i rady, ograniczenie króla; kończył się proces wiekowy, rozpoczęty paktami koszyckimi z Ludwikiem i krakowskimi z Jagiełłą. Wyjątkowe swe wygody zapewniła sobie szlachta wszechstronnie, przykuła chłopca do ziemi, do robót i danin coraz cięższych, mieszczańowi zabroniła posiadania ziemi, wejścia do wyższych dostojenstw (duchownych, o świeckich nie było i tak nigdy mowy) i przygotowywała na upadek jego doszczętny osobne ustawodawstwo; królówi, w obawie przed zachciankami absolutystycznymi, wytrąciła oręż z ręki, nie pełniąc służby wojennej, a niedozwalając stosownych poborów na wojsko stałe — stałe dochody polskie, śmiano się później, starczyłyby właśnie na cyrulików dla wielkiej armii; bezkarność mordów i łupiestw zapewniali sobie silniejsi wobec zwłoki i niemocy sprawiedliwości. Już za Zygmunta wykluwało się to wszystko, aby przybrać później potworne rozmiary.

Narazie używało wszystko złotego pokoju, który syn Zygmuntów jeszcze na ćwierć wieku przedłużyć miał. I odmieniła się znowu Polska, najbardziej szlachta, oddająca się gorączkowo gospodarce, coraz intratniejszej wobec pracy pańszczyźnianej i zbytu gdańskiego czy wrocławskiego; ona, która dawniej za mieszczanami ani nadążyć nie mogła, prześcignęła ich teraz i przyćmiła bogactwami,

polorem, kulturą, jak ich znaczeniem i siłą w rządzie już dawno wyprzedziła. I mściło się teraz na mieszczaństwie egoistyczne jego zasklepienie w korzyściach materyalnych, usuwanie się od spraw ogólnych, obce jego pochodzenie.

To zatarało się już było zupełnie, i za Zygmunta Starego znikają ostatnie jego ślady z miast i klasztorów. Proces zaczął się być zaraz w pierwszych latach zjawiania się przybyszów niemieckich, skoro ci się z Polkami żenili, mimo to przetrwał on dwa wieki. Żywioł niemiecki zasilali bowiem coraz nowi goście, nie tylko ze Śląska, ale nawet z Frankonii, Szwajcaryi i Alzacyi nadciągający; nic bardziej pouczającego, jak opis Decyusza, jakto w ciągu XV wieku Wissenburg alzacki w osobie Betmanów, Schillingów, Hersteinów, Decyuszów, Szmalców, Lemboków i t. d. do Krakowa się przenosił. Wzmacniała go autonomia, wymagająca języka niemieckiego, i związki zagraniczne. Rozwielmożył się więc ten język w Krakowie i po innych miastach, nawet miejscami po wsiach, a trwała siedzibę uzyskał po cechach, kramach i ławach; w życiu codziennem ustępował jednak z czasem polskiemu: w połowie XV wieku nawet w Krakowie zaznaczył się stanowczy przełom; w protokołach o cudach różnych świętych, gdzie mieszczenie zeznają, mimo nazwisk niemieckich zeznają oni już tylko po polsku, ci wszyscy Kopperschmider, Frischwoter i t. d., wyjątkowo zapisuje protokół np. *mulier in toto teutonica* (kobieta całkiem Niemka) albo np. roku 1455 piekarz krakowski Szczepan „Niemiec całkowicie“. Na początku XVI wieku wieje już wiatr przeciwny, w samem mieszczaństwie, szczególniej niższem, rośnie niechęć przeciw Niemcom, już się Niemiec rodowity na rynku nie rozmówi i wszystko przepłaca, już Niemców gorzej, niż Żydów, uważają, a w niechęci tej przodują sami „Germanopoloni“ albo *polonicati Germani*; przeniesienie niemieckiego kaznodziei z fary roku 1536 było niby oficjalnem uznaniem faktu dawno dokonanego.

Lecz z mową niemiecką po aktach i kazalnicach, z przybyszami Niemcami, których teraz Włosi coraz bardziej zastępują, nie niknęły z miast pomniki kultury niemieckiej, strzelisty gotyk ich tumów, ratuszów, sukiennic, ich snycerstwo i malarstwo, święące w malaturach np. kodeksu Behema największy tryumf, urządzenia cechów, gildyi i miast, ich zabawy i zwyczaje, cząbry zapustowe, kurki świąteczne (strzelanie), koniki (później zwierzyńskie), śmigusy i dyngusy rozmaite, burkaty cechowe. A już najmniej pozby-

wał się język obcych przymieszek. Właśnie na przełomie obu wieków zakorzeniły się nazawsze najpospolitsze wyrazy, rugując dawne słowiańskie, np. *los* zamiast *žrzebia* i t. p.; słowo już raz dawniej przyjęte, przejmowano ponownie, np. *dank* obok *dzięku*, *helm*, rugujący starszy szłom Jagiellowy; urabiano na modłę niemiecką własne, np. *gajono* sądy albo prawiono o *pokoju* = izbie i *sklepie* = kramie. A nie tylko w ustach mieszczan pojawiały się cudze słowa lub zmienione własne, sięgały one przez kolonistów i do chłopą, i śmiano się później z gasy, tatynku (sporu) i wardęgi (dobytku) mazurskiej; używała ich również i szlachta, dumna ze swych *buntów*, wywołująca *obermana* (jednacza) obcego i *tadynkująca* (spierająca się) po sejmach. Ale nie tylko słowa, narazie nie ginęła ani znajomość niemieczyny ani książka niemiecka, chociaż krakowscy drukarze jej już nie wybiali. W dwudziestych i trzydziestych latach drukowano przynajmniej słowniczk i inne najpopularniejsze książeczki (wiersze Katonowe obyczajowe, Dobrego zdrowia rządzenie i t. d.) z polskim i niemieckim tekstem. Po rzemiosłach nigdy go nie wykorzeniono: słownictwo cechowe całę niem zalane, wystarczy wziąć jakikolwiek inwentarz, z XVII wieku jeszcze, aby się o tem przekonać; opieszałość słowiańska zadowalała się przejmowaniem obcego, byle gotowego — tak samo obfitował język cechowy czeski w niezliczone słowa najgrubszej niemieczyny. Sam żywioł niemiecki tylko miejscami trzymał się uporniej, np. w Wilnie, pod wpływem blizkiego stosunkowo Królewca i Rygi, gdzie dotrwał do połowy XVII wieku: niemieccy nauczyciele, predykanci „szpek augsburski“, drukarze „zur Wilda“, spierali się z Jezuitami i z ich uczniami jeszcze długo.

Rozluźniały się węzły średniowieczne z Niemcami nie tylko, ale i z Węgrami. Węzły węgierskopolskie, zadzierzgnięte jeszcze w X wieku, ścieśniły się najbardziej w XV, przyczynili się do tego nie sami Jagiellonowie na tronie węgierskim; spotykano licznych, wybitnych Polaków u biskupów i gubernatorów węgierskich, Lasocki był dyplomata Jana Hunyadego, Grzegorz z Sanoka uczył jego synów, a Marcin Bylica z Olkusza to znakomity lekarz Macieja Hunyadego; odwrotnie zasilali węgierscy scholarowie bursy i lektorya krakowskie. Stosunek obopólny przetrwał początek XVI wieku; mistrzowie krakowscy przenosili się do Węgier i wracali do Polski, korzystając z opieki możnych Turzonów; dawną spólność podtrzymywały stosunki z Zapolią, później z Batorym; wybijano w Krako-

wie najstarsze druki węgierskie; mimo to zmniejszała się rychło ilość studentów węgierskich, obniżało się znaczenie Krakowa dla Węgier. Węgrzy przywozili swe wina, udzielali ubiorów, sług (hajduków), piechoty i jej musztry i uzbrojenia — w zamian wywozili z Polski już tylko złoto, nie naukę, jak dawniej.

Za to rozsiadało się coraz gęściej i porastało w skarby żydowstwo. Nie pomagały przedstawienia mieszczan, skarżących się na intruzów od XIV wieku, nie pomagała wymowa Kapistrana i duchownych: „niewierni“ znachodzili zawsze gorących opiekunów między dostojnikami świeckimi, choćby u Kallimacha. Wpływy ich wzrastały, już pod r. 1516 zapisał Decyusz skargę, odtąd tylokrotnie, a bezskutecznie, jak wszystkie inne skargi, powtarzaną: niema myta ani cła, którego by nie dzierżeli, niema już prawie żadnego możnowładcy i dostojnika, któryby nie powierzał Żydowi zarządu domowego, Żydom nad Chrześcijaninami przewodzić nie pozwalał i ich nie obraniał, rychlej niż chrześcijan, przed krzywdą choćby zmyśloną; później dodawano skargi na Żydów-lekarzy, Żydów-rzemieślników, Żydów-dzierżawców. Nie tak, jak w innych krajach,—uważało się ich w Polsce za spółobywateli, wedle wyraźnych słów królewskich; nie dziw więc, że się nie tylko organizowali, ale pojawiały się między nimi i wyższe dążenia umysłowe, i ci sami Żydzi polscy, uchodzący w XV wieku jeszcze za nieuków, żyjących okruchami wiedzy Żydów zachodnich, uczyli się teraz, drukowali (w Krakowie i Lublinie), rabinowie ich nabierali największej powagi międzyswoimi, i sława ich dyalektyki niezrównanej rozszerzała się niebawem na zachodzie; z pism ówczesnego Żyda litewskiego, Izaka z Trok, czerpali w XVIII wieku encyklopedyści francuzcy najjadowitsze strzały przeciw chrześcijaństwu.

Obok Żydów wyliczano wtedy Ormian, kupców, przebiegających kraj, osiadłych w koloniach, np. we Lwowie, podejrzrywanych o konszachty z Turkiem; wyrosła z nich klasa zamożna, po przyjęciu unii (r. 1629) zaczęli się zlewać z Polakami zupełnie i od drugiej połowy XVII wieku, mianowicie zaś w XVIII (Minasowicze, Muratowicze, Piramowicze i t. d.) wystąpili, jako pożyteczni pracownicy na polu literatury, cierpiący tylko na słabość przywłaszczania sobie dawniejszych znakomości, choć nie z ich łona wychodziły, np. Szymonowica.

Pominąwszy te nieliczne odłamki innych narodów, które, prócz Żydów, w masę etnograficzną polską całkowicie wsiąknęły,

pominąwszy Tatarów litewskich, którzy się po wiekach również zasymilowali, i cyganów, dzikich i dziś jak i niegdyś, stosunek do Rusi i Litwy rozstrzygał o dalszym rozwoju rasy, obyczaju, języka, a więc i literatury polskiej. W różnych dzielnicach ruskich i litewskich układał się ten stosunek odmiennie. Na Rusi polskiej z dokumentowała się niebawem przewaga polskiego żywiołu po grodach i miastach, emigracya i rozrost szlachty polskiej, wielkiej i drobnej, mieszczaństwa niemieckiego, polonizującego się niebawem, dwory, sądy i szkoły odruszczyły niebawem ziemię przemyską, lwowską, halicką, bełską; sięgnęła kolonizacya polska niebawem nawet na Wołyni i Podole, z wyjątkiem niektórych rodów polszczyła się i katolizowała szlachta ruska, polska zaś domieszkę krwi ruskiej strawiała, wyższa w kulturze; lud tylko i niższe duchowieństwo, po wsiach i miastach (w Przemyśle, Lwowie i t. d.), zostawały prawosławnem, i obrządek strzegł ich od wynarodowienia. Litwa dzieliła się na właściwą, etnograficznie odrębną, która z Jagiełłą katolicyzm przyjęła, i na rozleglejszą ruską, prawosławną. Litwini katolicy, na niedostępnej Żmudzi głównie, pozostali do dziś Litwinami, podczas gdy Wilno z okolicami wcześniej się spolszczyło; wszystkie rody litewskie katolickie, Gasztołdowie, Giedrojcie i t. d. już w drugim pokoleniu były polskimi, była ich w XV wieku spora liczba na uniwersytecie, jeden wliczał się w szereg świętych polskich; przechodzili oni te same koleje, co i ród królewski. Na Rusi litewskiej szły rzeczy z początku odmiennym torem. Sanguszkowie, Ostroscy, Sapiehowie, Czartoryscy i t. d. pozostawali narazie przy obrządku wschodnim, jak i niektórzy Gedyminowicze, rzucali nawet Litwę dla Rusi moskiewskiej (Glińscy, Bielscy, Golicyni i inni), pociągającej ich obrządkiem, nie odstraszałającej przed Groźnym — samodzierżstwem. Ale i wierni obrządkowi wschodniemu nawykali polszczyźnie nie gorzej, jak tamci; w wieku XVI Gasztołd i Radziwiłł, Kiszka i Sapieha władali polszczyzną w piśmie i mowie, jak Tarnowscy i Tęczyńscy; ruskie słowo lub przysłowie, trafnie używane, od czasu do czasu, jedynie Ruś zdradzało. I zaczynał się już z końcem XV wieku wpływ języka i literatury polskiej na ruską i zdobywała polszczyzna drogą pokojową, naturalną, bez cienia przymusu, obszerne dzielnice, daleko poza własnymi granicami etnograficznymi, lecz tylko w warstwach wyższych, kulturalnych. Najpierw na Białej Rusi zaczęli tłómaczyć Rusini dzieła polskie, zaciekawiające ich silniej, niezwykle legendy (np. o Trzech Królach),

Mękę Pańską, zebraną z ewangelistów i rozszerzoną dodatkami, ewangelie Nikodemową, nieznaną Grekom; język ich ulega wczesnie zabarwieniu polskiemu, występującemu silniej i w języku urzędowym i u pisarzy czy tłumaczy jak Skoryna, pierwszy doktor-Rusin. Od Krakowa biło światło na Ruś daleką; nie udała się wprawdzie próba dostarczania Rusi z nad Wisły ksiąg liturgicznych słowiańskich, gdyż cyrylickie druki i drukarnia Swajpolda Fiola, czynne w roku 1491 i 1492, niebawem uległy zakazowi duchowieństwa; katolicyzm średniowieczny był nadto podejrzliwy, przeszkadzał w Krakowie uczeniu się greczyzny, jako czemuś podejrzanemu, stawiał się przez teologa krakowskiego, Jana Sakrana, ostro przeciw „błędom“ ruskim. Mimo szranków wyznaniowych przeciskał się obyczaj i język polski coraz energiczniej na tę Ruś, mimo urzędowego charakteru ruskiego, w sądach i kancelaryach; sam przykład dworu, zjazdy panów ruskich i polskich, towarzystwo broni wytwarzało atmosferę polską; odosobnione protesty nie zmieniały biegu naturalnego; widoczna korzyść, przywileje szlachty polskiej, oświata jej i kultura uśmiechały się możnowładztwu litewskiemu, przewodziły szeregi prawosławne, niepodtrzymywane wysiłkami duchowymi, wobec absolutnego braku wykształconego duchowieństwa, szkół i ksiąg ruskich, wobec idącego z nim w parze rozluźnienia karność cerkiewnej, przybierającego nieraz potworne rozmiary. Patriarchat w sprawę cerkwi ruskiej nie wglądał; ta, pozostawiona sobie, żyła dawną tradycją, przywiązaniem głębokiem warstw niższych, obojętnością katolicką: prób unii nie popierał właśnie episkopat polski; antiruska broszura Sakrana, przeciw której Orzechowski później protestował, wyszła z poduszczenia biskupiego.

Zwycięskiemu pochodowi umysłowości polskiej na wschód nie odpowiadał jednak bynajmniej rozrost literatury narodowej na gruncie własnym. Czasy Zygmunta Starego cechuje rozdwojenie literatury, rozdarcie jej, gorsze o wiele niż w wieku XV. Tam literaturę łacińską i polską przenikał jeden duch, jeden autor pisywał w obu językach, polski ustępował głównie co do liczby utworów. Teraz literatura w języku narodowym zacofana, żyje średniowiecznością, wiekiem XIV i XV, nie dopędza myśli nowożytnej, nie dostraja się do niej, tylko literatura łacińska kroczy z zachodem; Polak wykształcony chlubił się nauką włoską, stosunkiem z boskim Erazmem Roterdańskim — „z czerwonej groblej“ przezywał go niezgrabnie tłumacz polski — z Melanchtonem czy z kardynałem

Bembo; zapominał o istnieniu języka polskiego, przynajmniej na piśmie nie używał go nigdy, a jeżeli już po polsku pisać wypadało, brano do tego nieuka; kancelarye królewskie i biskupie chyba z wojewodą wołoskim korespondowały po polsku; i w sądzie panowała łacina; liczne, coraz lepsze szkoły umożliwiały nawet warstwom niższym jej nabycie; pierwszym, nieraz wyłącznem zadaniem szkoły pozostała łacina. Nie dziwi więc sąd Decyusza: Polacy umieją po łacinie wszyscy, a poszło to stąd, że w narodowym języku żadnych pism czy dzieł pamięci nie przekazano; jeszcze w pół wieku później twierdził, mieszczanin niegdyś biecki, teraz dostojnik kościoła polskiego, że uczą się Polacy chętnie łaciny dla obrządku i urzędu kościelnego i dla utartego od dawna zwyczaju używania łaciny tak po prywatnych pismach i listach, jak w publicznych aktach, dyplomach, mandatach, dekretach królewskich, urzędowych i sądowych, zwyczaj ten i teraz, acz nieco w mniejszych rozmiarach się zachowuje, gdyż język nasz ani tak obfity jak inne, ani łatwy do czytania i pisania — pomieszał tu tylko Kromer skutek i przyczynę i wraz z Decyuszem zapomniał, że w XV wieku znajomość łaciny była wprawdzie ogólna, ale tylko między duchowieństwem, że świeccy ludzie starej daty, nawet kanclerz państwa za Zygmunta Starego, wymawiali się niebiegłością w łacinie. Później już tylko wyjątkowo znachodzili się obrońcy języka polskiego. Izdbieński, biskup poznański, gniewał się na Zebrzydowskiego o list polski r. 1549, a gdy Uchańskiego, który raz do Hozyusza list po polsku napisał, Hozyusz strofował, że nie w „katolickim“ języku się odezwał, ten „niemowlęctwo własne w łacinie“, jako przyczynę tego, wystawił i dodał, „choć pospolitego języka ojczyzny naszej używam, przecież zawsze po katolicku, t. j. szczerze i poufale pisać będę“; tenże Uchański z przekąsem pisał do kapituły gnieźnieńskiej: „kilkakroć piszę o jedną rzecz, a jako widzę, próżno, podobno przeto, że prosto po łacinie, jako ten ksiądz, który we Włoszech nie bywał; teraz po polsku piszę, abych się dał lepiej rozumieć, jako częściej tym naszym domowym językiem mawiam, a podobno też i wy wszyscy także, luboście tam bywali (we Włoszech), gdzie ja nie najrzał“. Napisać do kogoś list po polsku, znaczyło przecież posądzać go o brak elementarnego wykształcenia, i należało się usprawiedliwiać, jak to czynił np. Andrzej Glaber, dedykując Kmicie listem polskim polski przekład psalterza r. 1539.

Tak zajęła łacina w Polsce Zygmuntowskiej stanowisko, jakiego, pomimo pozorów, w wieku XV bynajmniej nie miała, została teraz językiem sfer wyższych, wiedzy i poloru; u Czechów lub Węgrów spółcześnie panowały te same stosunki, i humanista czeski nie spospolitowałby pióra swego utworem czeskim, a przecież mieli Czesi o wiele więcej przyczyn trwożyć się o język własny, niż Polacy. Dlatego to wykształceni synowie miejscy i wiejscy, Jan z Wiślicy, Klemens (Janicyusz) z pod Żnina, Mikołaj z Husowa, unikali języka polskiego, którego nieucy, jak Rey lub Uchański, się dzierzeli; tylko łacina polecała ich mecenasom, Ciołkom, Krzyckim, dawała im wstęp i patent do kościoła, do Włoch, do sfer wyższych.

Wszechwładza łaciny opierała się na szkołach i na ich macierzy duchowej, na studyum krakowskiem. Powaga jednak tego studyum, znaczenie jego i działalność upadały widocznie; już za Zygmunta Starego następuje przełom, stanowcze pochylenie się ku upadkowi. Spada znacznie liczba słuchaczy obcych, Węgrzy i Niemcy zjawiają się niebawem już tylko wyjątkowo, szlachta mija niemal ostentacyjnie jej progi, nauczyciele zdatniejsi porzucają ją, skoro się im los jakiś uśmiechnie; na katedry posuwa nie zasługa i praca, lecz wiek i starszeństwo; uniwersytet, niedawno jeszcze zakład europejski, nęcący przychodniów z Szwajcaryi (Vadian) i Anglii (*Coxe*, chwalcą Akademii wierszem i łaciną), liczący jeszcze na początku wieku tak wybitnych Niemców, jak Henryk Bebel (autor słynnych facecyi, opowiadający i z Polski historyjki śmieszne, ale zastrzegający się wyraźnie, że nie zamierza ubliżać „czcigodnemu i prawemu narodowi“), Tomasz Murner (Franciszkan, uprawiający, jak polscy Be nardyni przed nim, sztuczki mnemotechniczne), Awentyn (późniejszy historyk bawarski) i in., między mistrzami i uczniami; sławiona jeszcze w roku 1495 entuzyastycznie niemal przez Schedelą, zapisująca w roku 1500 najwyższą liczbę nowowstępujących uczniów (508), a r. 1517 jeszcze i 476, utracą siłę przyciągającą (od drugiej połowy wieku liczby 200 nie przekraczając prawie), garną się do niej mieszczenie z Oświęcima, Biecza, Kościana i t. d. (dla różnych fundacyi), schodzi na stanowisko szkoły dla mieszczan polskich. Na upadek ten składały się przyczyny ogólne — nauka uniwersytecka, zaprzepaszczone w dawnej rutynie, nie zdążała za nowym ruchem nigdzie, i w Niemczech nie — i specjalne, polskie, a więc ubóstwo jej wyposażenia, nie odpowiadającego bynajmniej zmienionym stosunkom i upadkowi monety, od-

straszające siły wybitniejsze; rozluźnienie karności, nurtujące już dawniej, teraz jawne; kłanianie się bogom obcym: niebawem nęcą już nietylko Włochy przez humanizm i ogładę, lecz i Witenberg i Lipsk przez nowinki religijne; jeszcze większa, niż gdzieindziej, zasniedziałość trybu szkolnego, wyłączność stanowiska religijnego, nieufność ku reformom, o które się woła, lecz które pozostają na papierze. Półśrodeczki, np. usunięcie barbarzyńskich autorów z planu wykładowego, nobilitacye profesorów-księży i ich potomstwa (!!), jeden i drugi zapis hojniejszy, sprowadzenie jednego i drugiego Włocha, Hiszpana (Rojyzus), Holendra kosztem biskupim, Tomickiego czy Maciejowskiego, mało skutkują; ubóstwo materalne, upadek poziomu naukowego, brak karności wzmagają się z każdym lat dziesiątkiem. Ostatnie naukowe podręczniki większej wartości, scholastyczne co do metody, poprawniejsze co do języka, Sakrana, Głogowczyka i in., skupiają się w pierwszych dziesiątkach, przestają po roku 1540 wychodzić; kto może, nie kończy kursów w szkole krakowskiej, wyrывa się zagranicę; medycyny, jak nie było, tak niema, rażących luk na wydziale prawniczym (przy nieufności Polaków ku prawu „cesarskiemu“, t. j. rzymskiemu) nie łąta się wcale albo tylko dorywczo jakimś przybyszem obcym. Szkoła stoi już tylko jednostkami, np. Marycyuszem; takie pojawiają się i poza jej obrębem, np. w Poznaniu, gdy do dawnej „akademii“ Lubrańskiego Niemców, Hegendorfina i Bedermanna zwabiono. Dzieło szkolne stanowczo upadało, i tu trzeba było nowych impulsów.

Nie zbywało jednak na zdolniejszych wyjątkach w szkole, a tem bardziej poza nią. Między jej „poetami“ zajął zaszczytne miejsce Paweł z Krosna, humanista, wykładający tylko wzorowych pisarzów łacińskich, przelewający nieco z własnego dla nich zapachu i podziwu w piersi słuchaczy, jak na uczniu, Janie z Wiślicy, widzimy. Mistrz Paweł pisywał wiele, rzeczy okolicznościowe głównie i pobożne: nie zawahał się nawet w wierszu sańickim i stylu horacyańskim zejście Pana do otchłani, t. j. ewangelię Nikodema parafrazować albo innych świętych opiewać; zresztą mecenas i Węgrzy, u których gościł, albo znajomi krakowscy wzbudzały brzęki jego liry, mieszającej tony klasyczne i chrześcijańskie, rzymskie i polskie; ani jego ani spółczesnych nie raziła ta sprzeczność.

Paweł Krośnianin to chorąży liczego hufcu swoich i obcych, miernot i talentów. Są to wyłącznie duchowni, mistrzowie, bakałarze, gdyż literaturze daleko jeszcze do ześwieczczenia a chleb du-

chowny, probostwa i inne beneficja kościelne zawsze jeszcze jedy-
nem wynagrodzeniem ludzi pióra; są między nimi dygnitarze ko-
ścielni, biskupi i prymasowie, jak Dantyszek lub Krzycki, i ubożu-
chni kapłani, jak Janicyusz lub Husowczyk; uczniowie Krakowa
i szkół włoskich; pomimo różnic wieku, stanu, temperamentu mają
jedno wspólne: poezja nie jest celem tylko środkiem, jest to sztuka
dla chleba, pochlebstwa lub zemsty. Nie poezja to w nowszym
znaczeniu słowa, z niej ma tylko cechę zewnętrzną, formę i wiersz;
są to raczej ćwiczenia, wypracowania, dowody biegłości w języku,
władania nad formą, oswojenia się z cudowną starożytnością, pa-
cierz za panią matką. Konwencyonalne tu wszystko, od myśli do
słowa, od treści do ramek, od tytułu do podpisu; zaciera się każda
wskazówka czasu, rodziny, otoczenia; pozmieniac napisy, wtrącić
lub opuścić słówko, a można tym samym poematem raczyć papieża
i krzyżaka-wywłokę, króla hiszpańskiego i bakałarza krakowskiego,
zwycięstwo nad Orszą i klęskę pod Mohaczem. Ton wymuszony,
ciągłe reminiscencye z autorów klasycznych, z ich obrazowania, rozu-
mowania i słownictwa, naśladowanie niewolnicze ich formy, treści
i myśli, cechują te powodzie wiersza łacińskiego, zalewające ówczes-
ną Europę. Najjałowsza ta poezja występuje z tem większemi,
tem śmieszniejszymi pretensjami; schylając się kornie ku hojnej
dłoni mecenasa, choćby idyoty lub łotra, żywi przekonanie, że to
ona rozdaje wawrzyny, zapewnia nieśmiertelność, że bez niej zwy-
cięstwo nie zwycięstwem, król nie królem. Wierszokleci ci i rymo-
twórcy, nigdy poeci, ze sztucznemi, wymęczonemi elukubracyami,
powtarzający starożytnych i siebie samych, wygrywający wszystko
na jedną nótę, narzucili się Europie na cały wiek; dziś jeszcze zale-
gają stopy ich piśmideł, nieśmiertelne utwory nieśmiertelnych lau-
reatów, najciemniejsze kąty biblioteczne, oni sami zapomnieni na-
zawsze.

Mimo wszystkie bijące w oczy braki tego szkolarskiego, kun-
sztownego, martwego wierszoklectwa, tej maskary starożytnej,
oznaczało ono niewątpliwy postęp w dziejach piśmiennictw. Wno-
siło bowiem nowe żywioły w średniowiecznyń ducha i myśli; za-
patrzone w ideały starożytne odkuwało ludzi z więzów askezy
i wstecznictwa, wznosiło nad ciasne poziomy narodowościowe i sta-
nowe, proklamowało wolność i swobodę ruchów i myśli, stawiało
wygórowane żądania co do poprawności formy, potoczystości wier-
sza, proporcjonalności budowy; wypowiadało wojnę bezkształtności

i barbarzyństwu średniowiecznemu; wyswobodziło wreszcie poezję z więzów i obsług praktycznych, jakimi je średnie wieki skrupowały, podniosło i wyszlachetniło ją ponownie. Obok tych zasług ogólnych znajdują się wybitniejsze talenty i treść więcej zajmująca i dążenia podnioslejsze, a Polacy nie ostatni na tem polu; tu poraz pierwszy wyłaniają się ich zdolności, zasoby ich wiedzy i ducha i, co dotychczas w samym tyle pozostawali, wysuwają się od razu na czoło pochodu, wyprzedzając nieskończenie np. Czechów lub Węgrów, równając się z najpierwszymi.

Uprawiano wszystkie działy poezyi nowołacińskiej: mamy epepeje, jak *Wiśliczanina* Grunwald, i legendy świętych Pańskich, jak *Husowczyka*--*Jacek*; nieskończoną ilość wierszy okolicznościowych: do zwycięstwa oręża polskiego nad Moskwą, Wołochami, Tatarami, do zaślubin, chrzcin lub pogrzebów w domu królewskim, do nominacy i ingresów zlatują się humaniści z wierszami i wierszydłami, jak muchy na miód; pienia liryczne na wszelkie tony, zawodów i zwycięstw miłosnych, wesela i smutku; elegie tęskniące za ojczyzną lub zdrowiem, opisujące podróże i pobyty, saliny wielkie i łowy na zubry; są epigramy i satyry osobiste, obyczajowe, polityczne, religijne, pierwsze wiersze na herby i walka na nie, np. *Korabiu* (Łaskich) i *Łodzi* (Tomickiego); są żarty, przygody ucieszające, anegdota z niewyczerpanych skarbów, obiegających w Europie; są wiersze budujące, religijne, na święta i świętych, moralizujące, dla młodych, wstępujących w świat, pouczające o stanach i t. d. Żeby niczego nie brakowało, znajdzie się nawet mieszanina dwu języków, na drobną skalę już w wiekach średnich próbowana, teraz we włoskich „makaronach“ Folengi wybujała, którą, jak każdą włoską modę, i na dworze królewskim zaraz naśladowają, chociaż z tej najdawniejszej poezyi makaronicznej polskiej przed *Royzyuszem* i *Kochanowskim* tylko wiadomość o wcześnie zgasyłym młodzieńcu-poezie nas dąsła.

Z masy latynistów polskich, od *Pawła Krośnianina* i lekarza *Adama* z *Bochni*, wystawiającego roku 1507 spór stanów bezżenego, żonatego, duchownego i mniszego i mimo średniowiecznego stylu dyalogowego żonatemu nieśmiertelność przypisującego, aż do *Hozyusza* i *Kromera*, sięgających za innymi po wawrzyny poetyckie — rzemiosłem mógł się przecież parać każdy, skoro wprawy, nie natchnienia wymagano; z całego gronatego wyróżniali się dwaj, *Krzycki*, biskup przemyski, później prymas, wróg i pochlebca *Bo-*

ny, i pupil jego, później Kmity, Klemens Janicyusz, syn chłopski. **Krzycki** to niby Krasicki XVI wieku, z dostojnego rodu, ksiądz również bez powołania, z burzliwszą tylko krwią, nieokiełznanych ambicji i chuci, mądry, zdolny, układny dworak, znawca i wielbiciel sztuk pięknych, mecenas. W mniejszej mierze przypomina Janicyusz Karpińskiego, chociaż elegijny nastrój jego, z powodu dotkliwego ubóstwa i jeszcze dotkliwszego braku zdrowia, mniej sztuczny i robiony, niż u śpiewaka Justyny; pierwszy to poeta, który wawrzyn włoski w północne przeniósł Tryony. Krzycki w wierszach swych folgował rozpuście, dworactwu i nienawiści, chłoszcząc chciwość Łaskiego, nieudolność poetycką Tarły, sprzedajność Bony, prześcigając w najwyuzdańszym wierszu cynizm XVIII wieku i facecyi Poggia, nie przebierając w żartach. Tu miał kompanów doświadczonych, Korybuta Koszyrskiego, nieprzebraną kopalnię dowcipów i żartów obcesowych, protoplastę — chociaż Długosz dawniejszych z XIV i XV wieku wymienia, Kropidłę i Szamotulskiego, — facecyonistów polskich, Reya i Woronieckiego, Smolika i Stawskiego, Paska i Zagłoby, czerpiącego dowcipy, jak błaznowie polscy, Gąski XVI wieku (Stańczyk Gąska i inni), z ksiąg i z inwencji własnej; pod imię Koszyrskiego podszywał też Krzycki pornografię własnej młodości. Do religijnej i dydaktycznej poezyi, jak Dantyszek, co podobną szkołę przechodził, lecz ani temperamentem ani talentem Krzyckiemu dorównywał, nie przeniósł się ostatecznie; politykował i w poezyi, choć nie nawoływał do zgody mocarstw chrześcijańskich przeciw Turkowi, jak ów kolega w urzędzie i piórze, choć, nie będąc mieszczaninem, nie wyszafował, jak ów, ostrych wycieczek i fałszywych prorocत्व przeciw Gdańskowi, bystrem okiem dostrzegał jednak przyczyni nierządu polskiego. Politykował i **Janicyusz**, ale przygodnie, ale mieszając rzeczy ważne i błahe (o stroju polskim), nie idąc za własnym popędem, który urodzonego na poetę, nie przymuszającego się do roli udanej, od wczesnej młodości do opiewania miłości, przygód własnych, zmiennych uczuć, skłaniał; smak wrodzony, niezadowolenie z utworów młodzieńczej niedojrzałości, trzeba było bez litości wczesne te utwory, z których popiołów Feniks poetycki miał wzlecieć, gdyby troski, choroby; śmierć przedwczesna nie złamały jego skrzydeł. Drobną więc jest jego spuścizna, którą godną ogłoszenia uznawał, elegiczna tonem, treścią i miarą. Prócz wdzięcznych nieraz przymilań się do Krzyckiego, Kmitów, Maciejowskiego, do nauczycieli — słynnego Bonamika w Padwie—

lekarzy i znajomych, z nowinami i wynurzeniami są tu listy z podróży włoskiej, pełne podziwu dla wykwintności obyczajów i piękna przyrody włoskiej, są epigramy, utoczone gładko, choć nie zaprawne humorem ani satyrą. Poecie brakowało rozmachu, lubował się w cyzelowaniu rzeczy drobnych, wierszyków, któremi opiewał np. królów polskich po kolei lub wszystkich arcybiskupów gnieźnieńskich aż do Krzyckiego, i te właśnie wiersze przetrwały wieki; drukowano je nawet zagranicą jeszcze w XVII stuleciu, dopełniano i przerabiano na polskie, np. Głuchowski roku 1585, naśladowano je, np. dla biskupów krakowskich, i Rey do Zwierzyńca od niego może się zaprawił; popłacały bowiem takie niepoetyckie rzeczy, lubiono jeszcze zawsze takie wyciągi z kronik, podpórki i ułatwiania dla pamięci. Spółcześni zachowali mu wdzięczną pamięć, był to pierwszy poeta polski, który przetrwał swój wiek; na jego skalę mierzono późniejszych, np. Kochanowskiego. Z innych inwektywę Dantyszka na Gdańsk zapamiętano i powtarzano jeszcze w XVII wieku z przyczyn wyznaniowych i politycznych; z Krzyckiego tłómaczono i naśladowano niektóre bezecenstwa i sprośności, najpierw z nazwiskiem autora, a później i bez tego. Ale on najciekawszy i najwięcej włoski z polskich humanistów, szkrupułów, jak Włoch ówczesny, nie zna żadnych: jakżeż mam w dyabła wierzyć, kiedy w Boga ledwie wierzę — powtarza nieraz, na nieprzyjaciół rzuca się z furią włoską, Tarłę przyprowadziłby chętnie do samobójstwa, również włoska, potworna rozwiązłość jego wierszy, przewyższająca nawet włoski bezwstyd XVI wieku, godna rozpusty rzymskiej, dziwna na dworze starego króla. Charakterystyczna ta poezya do najdrobniejszych rysów, np. zajmuje się błaznami, bo rezygnacya ich, zadowolenie byle czem, przypomina mądrość starożytną niewymagania niczego od życia; zajmuje się literaturą i przestrzega dobrego smaku a mimo to naśladowuje jeszcze średniowieczne metra i sztuczki, jakby na przełomie dwu epok, jakby ucho młodzieńcze zbyt się było wsłuchało w owe prozy kościelne i żakowskie, w owe rytmy pijane wagantów. Pierwsza to ciekawa postać w poezyi polskiej, skomplikowana, choć ani harmonijna, ani sympatyczna, śpiewaka godnego swej pani — Bony i jej dworu, którą dziwne szyderstwo losu Dobrą nazwało.

W całej tej poezyi humanistycznej niema jednak dramatu humanistycznego, komedyi szkolnej, a brak ten bynajmniej nie jest przypadkowy. Mogła Polska naśladować wszystkie wzory umysłowości

średniowiecznej, nie przyjął się w niej tylko jej dramat albo raczej surogat jego średniowieczny, misteryum. Warunki zewnętrzne, zdawałoby się, sprzyjały, też same obrzędy kościelne, z których się dramat na zachodzie rozwijał, Boże groby i jasełka, z udziałem księży, żaków, śpiewów i dyalogów pobożnych, nieraz bardzo szczegółowo opowiadających historię Męki, Zmartwychwstania, porażki potęgi piekielnych, pochodu do raju i niebios albo znowu o Narodzeniu Pańskim, Trzech Królach, rzezi betlejemskiej i ucieczce egipskiej; były nawet te same profanacje obrzędów kościelnych, co i na zachodzie, więc zakazywał jeszcze biskup poznański Łaskarz nieprzystojności, tańców i pieśni sprośnych przy odprawianiu prymicyi, a niemal dwa stulecia wcześniej, roku 1230, uskarżał się opat i konwent tyniecki w Rzymie, że scholarze krakowscy, naśladując zwyczaj zastarzały, w Boże Narodzenie i dni następne nachodzą klasztory, jedzą, piją, śpiewają, dopuszczając się największych nieprzystojności, grabiąc zapasy klasztorne, nie szczędząc i krwawych bitek. Również nie obce było Polsce średniowiecznej widowiska publiczne rozmaitych kuglarzy, wił (błaznów), jigrców; oracye weselne prawili „rymarze“, jak je dziś jeszcze lud nasz prawi, chociaż Kazimierz Wielki rymarzy z wesel krakowskich wykluczał, dopuszczając tylko występowania całej trupy, bo aż ośmiu kuglarzy.

Były więc tylko zadatki misteryów, chociaż pobratymcy, Czesi, już w początkach XIV wieku całe gry wielkanocne posiadali, z olejkarzem, sprzedającym maści Maryom, i z sprośnymi żartami jego i jego pomocnika. W obcej atmosferze niemieckiej, panującej po miastach polskich, w stronieniu szlachty od miast, w braku dworu — Węgier w Polsce ani rezydował, Jagiełło był na poły barbarzyńcą, Kazimierz łowami litewskimi się bawił — szukać należy przyczyn, dlaczego dramat w Polsce zjawił się, bo o rozwoju i wtedy mówić nie można, dopiero w wieku XVI. Misterya wielkanocne obchodzono już i wcześniej, skoro np. synod gnieźnieński z r. 1456 wyraźnie zakazywał „odprawiania igrzysk teatralnych albo dramatów w kościele“ (samym, na cmentarzu było to dozwolonem), ale wyraźne wzmianki o tekstach ich i dyalogach pochodzą dopiero z XVI wieku. Równocześnie zaczynali żacy widowiska sceniczne na zamku krakowskim, lecz sztuki ich były pióra humanistów niemieckich, np. Jakóba Lochera. Sąd Parysów o jabłku złotym między trzema boginiami, przedstawicielkami życia rozmyślającego,

czynnego i rozkosznego, albo tegoż Wizerunek tragiczny o nara-
dach i uchwałach wojennych mocarzy chrześcijańskich przeciw sro-
giemu Turkowi, oba dramaty wystawione przez mistrza Stanisława
z Łowicza, jako reżysera, roku 1522, nawet nie pierwsze tego rodza-
ju. Najśłynniejsze z tych dramatów szkolnych, np. właśnie ów Sąd
Parysów Lochera, albo Akolasta (Niemrawę, parabolę o synu mar-
notrawnym) Gnaphousea, mistrza elbląskiego, i in. tłómaczono nawet
rychło na polskie — oryginalnych dramatów jednak niema; tem
liczniejsze są egzemplarze obcego repertuaru u księgarzów krakow-
skich, którzy jedną i drugą rzecz nawet przedrukowywali, np. „Ko-
medyę“ Diesthemiusza, Homulus t. j. „moralité“ o żywocie ludzkim
i marnościach jego, jak cnota jedyna na drodze śmierci i sądu
nie opuszcza, gdy wszyscy inni dobrzy towarzysze rzucają (dwa
wydania r. 1540 i 1541).

Nakoniec bowiem zawitało i drukarstwo do Polski, chociaż
nie poraz pierwszy gościło w Krakowie. Że stałe drukarstwo, za-
mówienia nakładcy, potrzeby pras wzmagają produkcję umiejętną
i beletrystyczną, a nieraz ją tworzą nawet, to pewna. Już około
roku 1474 wychodziły w Krakowie pierwsze druki łacińskie, lecz
nie utrzymała się oficyna, i zadowalali się potem Polacy drukowa-
niem zagranicą ksiąg (kościelnych mianowicie) własnej potrzeby;
jak przed założeniem uniwersytetu krakowscy uczeni zagranicą się
tułali, tak uprawiali i drukarze Polacy w Hiszpanii lub Włoszech
swój kunszt. Dopiero na początku XVI wieku księgarz Jan Haller
(krewny owego Fiola, co księgi cyrylickie roku 1491 wybijał), dru-
kujący dotąd zagranicą, sprowadził oficynę ponownie do Krakowa;
jeden z pierwszych i najpiękniejszych jej okazów (i na pergaminie
drukowany), zbiór ustaw krajowych, ułożony przez Łaskiego, Bogu-
rodzicą, jako spuścizną św. Wojciecha, się rozpoczynający (r. 1506).
Za Janem Hallerem (i drukarzem jego Kacprem Hochfederem z Me-
cu) pojawili się niebawem inni towarzysze uczonego rzemiosła,
Niemcy, Ślązacy i inni, Floryan Ungler, Bawarczyk, Wietor (t. j.
koszykarz) z Liebentalu, Szarfenbergerowie (Ostrogórcy) i inni za-
służeni około nauk męzowie; dzieła ich oficyn odznaczały się po-
prawnością wydania, doborem czcionek i papieru, i dziś, po czterystu
latach, żółkły tylko, zresztą są, jak nowe; przeważnie to druki ko-
ścielne, mszały, agendy (z polskimi formułami i modlitwami), ustawy
synodalne, hymny i prozy, legendy i t. p.; podręczniki mistrzów
obcych i krakowskich, dla retoryki (wzory listów i t. p.), prozody,

botaniki (z nazwami polskimi roślin), chiromancyi nawet i fizyognomiki, prawnicze, od *privilegium* Łaskiego aż do zbioru ustaw miejskich Tucholczyka, gramatyki łacińskie z tłumaczeniem niektórych wokabuł i t. d.

Z literatury naukowej, o ile stylem i przedmiotem z piękną łączyć się może, wyróżniała się historia polska; Długosz znalazł nareszcie czego pragnął gorąco, następców, kontynuatorów wielkiego dzieła, choć mniejszych co do sił i pilności. Zasłużony wielce lekarz i profesor krakowski, Maciej z Miechowa, przerobił, skrócił i dopełnił Długosza aż do roku 1506; na inny ład przerobił go również Biernat Wapowski, kanonik krakowski, humanista i badacz na polu nauk ścisłych, astronomii. Obaj, Miechowita i Wapowski, zajmowali się geografią. Miechowicie zawdzięcza się pierwsze dzieło, wyłożone na niemieckie zaraz niemal po wydaniu łacińskim, gdy tymczasem przekład polski dopiero w kilkanaście lat później się pojawił. Było to opisanie dwojej Sarmacyi, Tatarów, Moskwy, Litwy i t. d., uprzątające na koniec bajki, któremi jeszcze starożytność północ europejską oplotta, bogate w szczegóły etnograficzne, i dziś jeszcze ciekawe. I kronika Miechowity, pierwsza zarazem ofiara cenzury świeckiej — nie spodobały się bowiem panom-radzie niektóre jej zwroty o pięknej Zośce, o klęsce bukowskińskiej, o królu Aleksandrze i życzeniach poddanych, aby go niebo rychło przyjęło — znalazła nieco później tłumacza polskiego, Chwalczewskiego. Dzieło Wapowskiego, jak i Długosza, wydanem nie zostało, ale korzystali z niego inni, np. Bielski. Najmniejszy między nimi Decyusz-Dietz, Niemiec, Polak przybrany, wierny sługa Zygmunatów, którego dzieje początkowe (1506 — 1516) i zaślubiny z Boną opisał; dzieje owe poprzedził krótką kompilacją rzeczy dawniejszych, dał wiele szczegółów obyczajowych, o zmianach w życiu i stroju polskim, o żywocie, którego w kościele panny Maryi Dominikan - inkwizytor wobec profesorów badał i o bluźnierstwo przeświadczył broniącego się mężnie, spalonego i t. p.; dzieło przysmaczał wierszami typowy lutnista, obcokrajowiec, Gundelius, jak Vadianus, Eckius, Agrykola, tylko dłużej od nich Polsce i jej rzeczom oddany, więc przypominający Ślązaka Kuchlera lub Węgrów Frankoniusza i Emeryka, wierszami i prozą Polskę sławiących.

Do tych czasów dopiero należą pierwsze opisy podróży: nikt tyle nie jeździł, co Polacy, nikt tak mało nie spisywał wrażeń i widoków. Podróże włoskie, trwające bez przerwy od trzech wieków,

pierwszy Janicyusz choć w elegii opiewał; podróże na wschód znalazły nieco wcześniej w krakowskim Bernardynie, bracie Anzelmie, suchego, niby ścisłego opowiadacza, który wszystkie miejsca cudowne i legendowe ziemi świętej wymieniał, notując ich odległości na miary krakowskie; opis jego zażywał w Polsce powodzenia i miewał tłumaczenia i wydania jeszcze w wieku XVII i XVIII. Łascy odbywali wszyscy podróże w zawody, do ziemi świętej i na zachód, już od XV wieku; byli wprawni w pióro, światli i bystrzy, mimo to nie przyszło żadnemu na myśl opisem jakimś wzbogacić literaturę krajową; wojewoda Stanisław przynajmniej Niemcowi rzecz taką zlecił i Bernard Holtorp wydał wierszem łacińskim pierwszą księgę jego podróży europejskiej (r. 1548), do opisu drogi po Azji i Afryce już nie doszedł wskutek śmierci wojewody.

Bliżej łączą się ze sztuką utwory treści politycznej, mniej memoryały księdza Stanisława Zaborowskiego, wahającego się między uznawaniem przywilejów średniowiecznych (duchowieństwa) a wymaganiem nowożytnego państwa; więcej satyry i pamflety, sypiące się na dostojników świeckich i duchownych w trzydziestych latach w takiej ilości i tak drastyczne, że aż senat w to wkraczał i surowymi karami groził — odpowiadał na satyry, nicujące wszystko i wszystkich, Odrowąża i St. Łaskiego na sejmie roku 1535, sam niezgorzszy pamflecista, Krzycki; najbardziej zaś pierwsze pisma polityczne Frycza i Orzechowskiego. Nierówni wiekiem i stanem, temperamentem i uzdolnieniem, równiejsi dołą a raczej jej zwichnięciem, zaczęli społecznie rolę polityczną obsiewać, nie stykając się narażenie, choć w przyszłości nieraz ostro zetrzeć się mieli. **Andrzej Frycz**, Modrzewskim przewany, potomek wójtów wojborskich, występował w mowach, które różnym osobom w usta kładł i różnym dedykował, przeciw najbardziej krzyczącym niesprawiedliwościom prawa polskiego, karnego i cywilnego. Prawo to, zebrane jako tako przez Łaskiego, nie uporządkowane zresztą, dopraszało się „korektury“, nak którą, jak nad wszystkim pożytecznem w Polsce, darmo pracowano; Frycz wybrał najsłabsze jego punkty, prawo o karze za mężobójstwo, domagające się przy zabiciu szlachcica wieży i grzywien, przy zabiciu chłopą mord niżej taksujące, niż głowę psa lub konia, prawo więc, pobudzające raczej do mordów niż odstrasżające od nich, mnożące mordów bezprzykładnie. Wymownie i mądrze zwalczał je Frycz wszechstronnie, z praw boskich i przyrodzonych, i sofistyczne wywody przeciwników zwycięsko

rozbijał, lecz, choć mu przyklaskiwali roztropni, rzeczy samej nie zmienił, jak i drugiego prawa, przeciw któremu biadał, zabraniającego mieszczanom nabywania dóbr ziemskich, prawa podyktowanego przez egoizm i niechęć szlachecką.

Orzechowski nie od takich tylko szczegółów zaczynał, rozentuzjazmowany wojną kokoszą, t. j. mowami domorostłych Demostenesów, Katonów i Cynceronów, które na łacinę wyłożył, puścił się na trybuna szlacheckiego, a wypróbowałszy siłę swej wymowy na ziemianach przemyskich, stanął roku 1543 i 1544 w trzech pismach przed światem i odniósł pierwszy wielki sukces literacki w Polsce.

Dwa były nie drukowane, krążyły w odpisach, a dopełniały się nawzajem: w jednym zwracała się Polska, wedle ulubionej manieri Orzechowskiego, wprowadzającego dla większego efektu ojczyznę czy wielkich przodków mówiących, do rycerstwa sejmującego w Krakowie; w drugiej „wierny poddany“ apostrofował młodego króla. Rzeczpospolita wyliczała wszelakie braki w wymiarze sprawiedliwości, obronie granic, szafowaniu poborami; poddany pouczał króla, jakim go chce mieć, jak wychowanym, gdzie rezydującym, w otoczeniu jakich ludzi - dworzan i rady - senatorów. Obie mowy cechowała ta śmiałość, bezwzględność i otwartość, którą w Polsce przeciw głowom koronowanym stosowano; zarazem ujmował się Orzechowski, czego później nie czynił, ludu wiejskiego, kreślił jego ucisk, wyzyskiwanie przez dziedziców i księży: czyż mniemamy, że skargi ich ustawiczne nieba nie przebijają; jeśli się tylko nie wstydzimy, toż choć Boga się bójmy, jeśli tylko w niego wierzymy. Były i przeciw Żydom ostre wycieczki, przywileje ich nazywał przywilejami na rozboje i oszustwa, oburzał się na rosnące ich wolności, na niemożliwość uzyskania przeciw nim wyroku sądowego; świadectwo bowiem chrześcijan nic przeciw Żydowi nie ważyło, chyba że przystępowało i świadectwo Żyda. Królowi stawał się również hardo, przytykał jego wychowaniu, wczasowaniu się w Krakowie, zamiast przywykania do bojów na granicy, wrażał mu uszanowanie prawa, bronił wyboru biskupów przez kapitułę, nie przez nazywanie królewskie, już tu wyznaczając biskupom stanowisko niemal nadludzkie. A wszystko wyraził łaciną najznakomitszą, toczącą się wartkim potokiem, wzbudzającą respekt przed mówcą i siłą jego.

Wyżej jeszcze wzniósł się on w dwu mowach przeciw Turkowi, tamte bowiem rozrywały się na paragrafy, omawiały rzeczy naj-

rozmaitsze, te zaś, jedna ku rycerstwu, druga ku królowi, toczyły się jednym ciągiem. Pierwszą mowę rozchwytało w najkrótszym czasie, drukarz odbił ją zaraz powtórę, przetłómaczono ją natychmiast na polskie (jeszcze roku 1543) i na niemieckie (1544), a drukowano jeszcze przy końcu wieku i w następnym stuleciu. Tłómacz polski, bardzo niezdarny zresztą, pouczał, że autor pisał mowę „wspaniałym i dwornym językiem“, jaki ledwie bakałarz, cóż dopiero szlachcic dobrze zrozumie. Te „książki o ruszeniu ziemie polskiej przeciw Turkowi“ dotyczyły materii, po śmierci Zapolii i zdobyciu Budy przez Solimana, największej aktualności. Myśl wciągnięcia Polski do wojny z Osmanem, wygrzebywania żaru tureckiego jej rękami, kielkowała długo w Europie, już w liście owego humanisty włoskiego do Witolda z roku 1429 były takie brednie o Turkach i Jerozolimie. Za Warneńczyka — pod Warną utracił dziad Orzechowskiego szlachtę przemyską—myśl przybrała kształty, i odtąd wciągano Polskę do coraz nowych kombinacji antitureckich, do ligii chrześcijańskiej. Zadomowiała szlachtę, mimo całej grozy tureckiej, która na Polskę, otwartą, bez fortec i granic warownych, spaść miała, mimo łudzających obietnic pomocy od innych, a szczególnie ruchu narodów słowiańskich, trafny tym razem instynkt od wszelkich awantur dla wygody Habsburgów odwodził; hałasowano i emocyowano się po zjazdach, strumieniami jednak nie krew, chyba wino rozlewano. Ten ruch antiturecki wywołał był już na początku wieku tłómaczenie Pamiętników Janczara ¹⁾, częste po rękopisach; Czesi je wcześniej przetłómaczyli i kilkakrotnie drukiem wydali. Serbów, janczarem jeszcze, brał udział w wyprawach tureckich, był i pod Konstantynopolem i gdy Bośnia ginęła; zemknął potem do chrześcijan i w Polsce relację spisał z wielką znajomością rzeczy o historii tureckiej, o sposobie ich wojowania, o ich wierze i obyczajach rozprawiając: wyjątki z tej relacji, mianowicie o szyku wojennym, płaczą się i luzem po rękopisach; rzecz cała czyta się z wielkiem zajęciem; było to najdawniejsze i najdokład-

¹⁾ „Poczyna się czasów popisanie o tureckich sprawach przez (Konstantego syna) *Michała Konstantynowica* z Ostrowice raca (Serbina), jen był wzięt od Turków między Janczary“, „pisana literą ruską lata 1500“, jest to pierwsze zarazem tłómaczenie z „cerkiwnego“ na polskie. Rękopisy u Zamoyskich, w Petersburgu i t. d.; wydania nowsze tego bardzo ciekawego zabytku są nad wyraz podłe.

niejsze przedstawienie tureckich przodków i przyczyn ich powodzenia w literaturze europejskiej, o wiele ciekawsze i więcej pouczające niż np. liczne a liche pisemka Kroata „Bartłomieja Gieorgiewitsa“, który czternaście lat tureckim więźniem był, tłómaczone na polskie roku 1548 (Rozmowa z Turczyinem o wierze krześcijańskiej, Wieszcza tureckich obrzezańców o krześcijańskich nędzach). Klęska budzińska wywołała i pieśni polskie, np. jedną z roku 1541, wzywającą do skruchy, straszącą gniewem boskim, który dotknął sąsiadów naszych, co to teraz:

Służą w pęciach panu baszy,
Już gospodarz gospodarza
Nie pożonie przed rychtarza...
Węgrzy zostali na koszu,
Turczyn radzi na rakoszu (polu elekcyjnym).

Opisawszy klęskę ich i Niemców, wylicza skarby, jakie carzowi (tureckiemu) zniesiono i kończy prośbą o zlitowanie pańskie:

Wszak jeszcze między Polany
Najdzie dobre krześcijany...
Obróć ten gniew na pogany,
Przejmi w łaskę krześciany.

W tej to sprawie liczono już na Hieronima Łaskiego, jako wodza i „Uliksesa“ przyszłej wojny — wygotował on był przecież plany do niej, Turcyę i jej siły znał z własnego pobytu w Stambule — pomieszał je nagły zgon, opłakiwany po łacinie (przez Janicyusza) i polsku (wierszem tak lichym, że mógłby być Rejowy, ale ciekawym, bo pierwszym śmierć dostojnika, opłakującym i niegorszym od późniejszych „kamen“ i „trenów“ i „echów żałośnych“:

Wiele ta Łodzia po światu pływała
A sam to Bóg wie, kędy nie bywała,
Już teraz marnie na suszy została,
I wszelkie żagle swoje połamała,
Gdy tak śmierć chciała...

Ach miły Jaroszu, i cóż ci się stało?
Skrążywszy świat w koło i morza niemało,
Żeś w niebie nie był, małoć się to zdało,
Pośłałeś duszę: acz zostało ciało,
Nam na tem mało...

jak zaczął pobożnie, tak kończy autor na tęż nutę:

Bo, nasz miły Panie, myć tu tak słychamy,
Iż tam w niebie pokój, a tu kłopot mamy,
A wždy nam bierzesz potrzebniejsze stany!
Niechże Cię samego za hetmana mamy,
Takci wygramy.

Nic dziwnego, że i gorączka Orzechowski zapłonął. W obu mowach powtarzał te same argumenty, obrazy, ułudę i groźby, zachował jednak tyle trzeźwości, że nie wystawił samej Polski na sztych, lecz żądał wpierw zgody w Niemczech, gdzie się o błahe rzeczy, bo tylko o wiarę! swarzą, aż ich Turczyn pogodzi. Do zgody nawoływali wszyscy, naturalnie darmo, bardzo wymownie między innymi żołnierz - anonim, w piśmie „Napomnienie polskie ku zgodzie do wszech krześcianów wobec a mianowicie ku Polakom uczynione“ z roku 1545, w jędnym języku, wydającym trudy obozowe i hart wojenny, nie celę zaciszną i szkaplerz bernardyński, pierwsze wystąpienie żołnierza w literaturze polskiej, godne stanu rycerskiego.

Gdy tak w życiu publicznem i politycznem polszczyzna o własnych siłach znakomicie się wyrabiała, panowała jeszcze zawsze łacina w nauce i literaturze, w poezyi i korespondencyi, w bibliotekach (spisy ówczesnych bogatszych bibliotek nieznają ani jednej polskiej książki) i szkołach, gdzie polszczyzna do programu wcale nie należała. Mecenasi: Łascy, Tomiccy, Krzyccy, Maciejowscy, dumni ze związków z Erazmem lub Melanchtonem, sprowadzający do Polski francuskich poecików i włoskich uczonych, podejmujący hojnie humanistów z Dubrownika i Dalniacyi, którzy im w zamian poezjami hołdowali, utrzymujący na swe koszty zagranicą Hozyuszów, Janicyuszów i tylu innych, -ci książęta północy na południu podziw wzbudzali, wysyłający swych krewnych z całym orszakiem do włoskich siedzib nauki (np. ekspedycya Łaskich) o język polski i literaturę narodową ani dbali ani myśleli, jakby te ambicyi ich dogadzać nie mogły. Nerozumne to pomiatanie językiem własnym, zasadnicze, wyjątkowo przełamano, np. kiedy Samuel Maciejowski, ku zgorszeniu humanistów polskich, nad zwłokami starego króla w katedrze krakowskiej po polsku żywot i zasługi jego wystawiał; oddziało to fatalnie na stan literatury polskiej, unieruchomiło jej rozwój, uprawniło rozszczepienie łaciny i polszczyzny,

którego najjaskrawszym znakiem, że w Krakowie od lat niemal dwudziestu po łacinie drukowano, nikt jednak o książce polskiej ani pomyślał, a gdy w końcu obcy drukarze w własnym, dobrze zrozumianym interesie i druku polskiego się chwycili, do warstw najniższych go stosowali i odpadkami średniowieczyzny je żywili; gdy z druków łacińskich światło i nowa myśl biła, czuć polskie stęchłą i średniowieczną, anachronizm jakiś, spóźnienie o pół wieku. Aż nadto uzasadnione były np. skargi sejmiku średzkiego, przedstawione na sejmie walnym piotrkowskim roku 1534: prosimy, aby nam księża nie bronili imprymować po polsku historyi, kronik, praw naszych i też inszych rzeczy, a zwłaszcza o biblią. Albowiem każą bić sobie rzeczy rozmaite, a czemuż też nam nie mają bić naszym językiem? Tu też nam się krzywdą wielką widzi od księży, albowiem każdy język ma swym językiem pisma, a nam *księża każą głupimi być*.

Choć nie w drukach, skołatała literatura polska jakie takie zasoby; wymagały ich nieodbita kobieta, które czytać i pisać się uczyły, a nie miały co czytać i pisać; nie mniej dworzanie i słudzy pańscy, nie umiejący ni „kęsa po łacinie, jakoż ich dosyć roście prawie (całkiem) jako świnie“, jak Rey mawiał, chociaż kiedyś sam do tegoż cechu się liczył. Należało przedewszystkiem zapełnić najdotkliwsze luki; istniały już modlitewniki, psalterze, ewangelie, reguły zakonne (książka bractwa trzeciego zakonu św. Franciszka), traktaciki (o chowaniu czeladzi z pism św. Bernarda) i pieśni nabożne, teraz zgłaszają się na początku wieku i inne tłumaczenia; tak kazała królowna polska, panna Elżbieta (urodzona roku 1478, od roku 1515 księżniczka Legnicka), mistrzowi krakowskiemu, Balcerowi Opecowi, wyłożyć na polskie „Żywot Chrystusów“ św. Bonawentury (zm. r. 1274) i stworzyła tem pierwszą książkę popularną, która w kilkudziesięciu wydaniach do nas dotrwała. Opec obniżył znacznie ton „doktora seraficznego“, skracał albo opuszczał jego alegorye i dedukcyje, a wstawiał opowiadania o młodości, o sędziwości i o Wniebowzięciu Maryi, folgując polskiemu jej kultowi, czerpiąc z prastarego źródła łacińskiego wraz z innym autorem, który równocześnie „Rozmyślanie o żywocie Pana Jezusa“ o wiele obszerniej wypisał, gdzie zebrał wszelkie opowiadania apokryficzne, jakie o dzieciństwie i o męce Pańskiej krążyły, i na „czcienia“ (oddziały) je rozłożył, od poczęcia Maryi w żywocie św. Anny i następem jej oświeceniu przez Ducha św., aż do drogi na Golgotę

(tu bowiem urywa kwartant przemyski o 840 stronicach); opowiadanie jego proste i naiwne, lecz obfite i zajmujące (podobnie obfitego inne literatury nie posiadają), czerpie ze wszystkich dostępnych źródeł, z prastarych rytmów łacińskich (XII wieku), z komentarza do ewangelii Piotra Comestora, z ewangelii Nikodemowej i t. d. „Żywot“ (Opecia) i „Rozmyślanie“ (przemyskie) czyta się nader gładko, gdyż niebyły to tłumaczenia, tylko opracowania wzorów obcych; inne społeczne tłumaczenia trzymały się, wedle starej nawyczki, niewolniczo tekstu łacińskiego i przez to samo stawały się niemal niezrozumiałymi, np. tłumaczenie Księgi o Trzech Królach, z bardzo zajmującym, jeszcze Getego naiwnością swą czarującym tekstem (XIV wieku, Jana z Hildesheimu) o cudach i dziwach Wschodu i jego sektach chrześcijańskich, tłumaczenia Męki Pańskiej i ewangelii Nikodemowej, tłumaczenie „Żywotu Aleksandra“ Macedończyka (z średniowiecznego romansu, pochodzącego jeszcze ze starożytności — odpis polski z biblioteki Zygmunta Starego przechował się w zbiorach Zamoyskich) — wszystkie bardzo niefortunne, bo niezgrabne i ciężkie, z pod niedołężnego pióra jakiegoś żaka, który nawet po łacinie porządnie nie umiał. Lepiej wypadło tłumaczenie „Szczytu Dusznego“, modlitewnika, ułożonego przez eremitę Polaka po łacinie i kilkakrotnie po łacinie w XVI wieku drukowanego; polski egzemplarz również dla króla Zygmunta przeznaczony dochował się w Monachium. Dalej trzy traktaty Maryjne eksbernardyna mistrza Jana Paterka z Szamotuł (zabitego r. 1519), o poczęciu i narodzeniu Maryi, dowodzące wszystkiego „Pismem św., prawami duchownemi i cesarskiemi, założeniem filozofów“, wedle nauki franciszkańskiej i szkoły krakowskiej, obszerne, wielomówne, uczone, z dyspozycją scholastyczną, bardzo systematyczną; inne modlitewniki dla kobiet, np. dla siostry Konstancji (odpis z r. 1527), żywoty świętych, np. „Żywot św. panny Eufraksyej“ (odpis z r. 1524, późniejszy ojca Amandusa (mistyka Henryka Susona) i in.

Z całej tej grupy pisarzy i pism budujących — bo i romans o Aleksandrze miał napominać o znikomości i marności sławy i chwały świeckiej — wyróżnia się znakomicie pierwszy świecki autor polski, **Biernat z Lublina**, lekarz Pileckich. Niezwykły to człowiek, miłujący język rodzimy, gdy nikt oń nie dbał, krytykujący ostro same podstawy katolicyzmu, gdy Luter jeszcze nie wystąpił, pracujący dla dobra ogólnego, gdy się każdy w sobie zamykał. Literatura polska nie posiadała zbioru bajek, kursowały tylko Ezopy

łacińskie, dawny średniowieczny zbiór kilkudziesięciu bajek, układany i w Krakowie, i nowsze wydania Steinhöwela, z żywotem mędrca - niewolnika, późniejszego doradcy królewskiego i niewinnej ofiary zawiści Delfijczyków. Biernat przełożył ten żywot i dodał paręset bajek, uzupełniając je z innych zbiorów, włoskich (Abstemiusza) i wschodnich (Kalila i Dimna w tłumaczeniu średniowiecznym łacińskim); bajki opatrywał przysłowiami polskimi, jako napisami, stworzył więc oraz najdawniejszy zbiór przysłów polskich, z którego jeszcze po wieku Rysiński (r. 1618) korzystał; wszystko wyłożył owem *metrum* średniowiecznym, w ośmiozłotkowych dwójkach rymowanych. Dzieło jego, stojące na czele poezji polskiej, jak Opeć prozę rozpoczyna, przechowało się tylko w późnym druku z roku 1578 („Żywot Ezopa Fryga, mędrca obyczajnego i z przypowieściami jego“), niepoprawnym, kusym (brak przedmowy, karcącej ostro duchowieństwo i jego rozwiozłość), a przecież nadzwyczaj ciekawym. Biernat, którego antikatolickie idee list łaciński, drukowany nieraz przez niemieckich protestantów jako „świadectwo prawdy“, objawia, zaznacza je nawet w wykładzie bajek; łasica np., która zęby o pilnik krwawi, to teologowie-scholastycy, okłamujący ludzi, jakoby coś o bóstwie wiedzieli, albo wycieczki przeciw wilkom szarym i czarnym (zakonnikom) w skórze owczej. Prócz tendencji antiduchownych znajdujemy grube przytyki panom (po sprawiedliwości należałoby wszystkich powywieszać!) i — cudzoziemcom, Węgrom i Niemcom, którzy nas tylko zdradzają, jak kruk, co go głupie sowy z litości przyjęły, on wyszpiewował ich słabe strony i wrogom wydał. Rymy, jako średniowieczne, bardzo nieszczególne, ale język gładki i czysty, prócz kilku przestarzałych słów (*koga* dla okrętu np.) i form. Jak Ezo-pem, pierwszym większym dziełem poezji świeckiej, dotąd znanem, przysłużył się Biernat literaturze i pierwszym większym dziełem le-karskim po polsku, „Lekarstwami doświadczone“, choć je dopiero r. 1564 Marcin Siennik, nie znający autora, z luźnych jego rękopi-sów zebrał, uporządkował, w języku ogładził i wydał; lekarstwa, wedle członków ułożone, poprzedza wykład ogólniejszy o tempera-mentach, humorach, zabieganiu i poznawaniu chorób i t. d.; dodane są i lekarstwa końskie, na rycerskim dworze pp. Pileckich niezbęd-ne; lekarstwa te całkiem średniowieczne, po kilkanaście dla każdej choroby, bo skoro kompleksy rozmaite, więc i leki różne, z naj-dziwniejszymi środkami, podeszwami staremi, moczem dziecię-

cym, kałem wilczym, który na ziemię nie upadł, chociaż autor sam przeciw gusłom występował. Wszystko to zastrzegą jednak w odpisach, dostępnych niewielu śmiertelnikom; jedyny obszerniejszy nieco druk polski, przy Agendzie łacińskiej Hallerowej z roku 1514, mieścił „Powieść o papieżu Urbanie“, t. j. polecenie kilku modlitw przy zgonie. Z końcem roku 1521 pojawiła się wreszcie pierwsza całkowita polska książeczka.

„Jeronim (Wietor z Libentalu) z Wiednia, cudzoziemiec *impressor*“, opowiada w przedmowie: „gdy częstokroć słudzy (Anny z Jarosławia, kasztelanki wojnickiej, wielkorządczyni krakowskiej), przychodząc do mnie, cni słudzy cnotliwej paniej, odemnie żądali, iżbych polskim pismem nieco wybijał... wziąłem przedsię śmiesznego a krotofilnego Marchołta gadanie z Salomonem, który przez Jana bakałarza, z Koszyczek, wyłożon jest w polskie z łaciny“. P. bakałarz wywiązał się z niełatwego zadania znakomicie, „Marchołt“, z barbarzyńskiej szaty średniowiecznej przeobłął się w piękną polską; miejscami wierszowany, i to wcale niezłe, z wyćieczek przeciw duchowieństwu nieco okrzesany, ciekawy treścią, przeciw mądrymu psalmiście prosty rozsądek chłopa-gbura na plac wywodzący i króla proroka zawsze pobijający, coś z Ezopa i Sowizdrzała razem, rozszedł się w kilku wydaniach między polskim czytelnictwem, tak, że ani jeden egzemplarz czasów nowszych nie doszedł, prócz kilku ułamków; figura sama stała się przysłowiową: mawiano „marchołtowe drzewo“ o wykrętach i t. d. Trefnym „Marchołtem“ rozpoczynają się druki polskie. Tenże sam Wietor wydał następnego roku, 1522, „*Ecclesiastes* księgi Salomonowe, które polskim wykładem kaznodziejskie mianujemy“, tłumaczenia „družby“ (imiennika jego) Hieronima z Wielunia, który w „prozie do czciciela a wiernego tej sławnej korony polskiej przyjaciela“ przyczynę i pobudkę dzieła wyjaśniał: „dlatego pewno, jakoby wždy polskie księgi były, ażeby się Polacy w mądrości mnożyli. Gdy zaiste wszyscy jini narodowie, Włochowie, Niemcy, Czechowie, swoje biblije mają, a w mądrości niewymownie się kochają“. Po tych książeczkach wydał on trzecią większą, ów *Żywot Chrystusów* Opecia, który zaraz Jan Haller przedrukował, pomnażając go wierszami nabożnemi Jana z Koszyczek i Hieronima Spiczyńskiego (roku 1522, 210 kart z drzeworytami).

Pierwsze te druki miały i tę zasługę, że ustaliły ortografię, chociaż nie przyjęły pomysłów ks. Stanisława Zaborowskiego, zale-

cającego r. 1518 swoją ortografię, ze znakami dyakrytycznymi, kreskami i kropkami, wedle wzoru czeskiego, Husa. Po rękopisach XV wieku ortografia chwiała się całkiem dowolnie, i na początku XVI wieku doszła do największego zamieszania; drukarze pierwsi ją ustalili, i, chociaż po rękopisach dawna dowolność jeszcze długo się utrzymywała, normy ich, prócz kilku zmian, zachowały do dzisiaj moc obowiązującą. Do druków Wietorowskich i Hallerowskich przyłączyły się Unglerowe i Szarfenbergerowe: rywalizacja jednak czterech nakładców nie popchnęła produkcyi literackiej na szybsze tory; książek polskich nie wychodziło wiele, nie były to rzeczy większe, tem mniej celniejsze, a już najmniej oryginalne. Do roku 1548 znajdziemy między niemi trzy rozmaite przekłady psalterza w kilkunastu wydaniach, jeden mistrza Wróbla z Poznania, wykonany dla Katarzyny z Górki, a poprawiony przez mistrza Andrzeja Glabera z Kobylina, najrozmaitsze modlitewniki: Ogródek duszny, Tarczę duchowną i in.; legendy o patryarchach (Józefie, Tobiaszu) i świętych (Aleksym, Annie, Eustachym, powieść o klasztorze świętokrzyskim, o częstochowskim obrazie) i inne rzeczy ascetyczne; rzeczy dla początkujących, wydawane i przez Ślązaka Mimera, krewnego Szarfenbergerów, z podłą polszczyzną, np. „Dobrego zdrowia rządzenie“, przepisy średniowiecznej dyetetyki szkoły salernitańskiej albo paryskiej dla króla angielskiego, naturalnie wierszowane, co jeść, kiedy żyłę puszczać i t. p., albo dystychy „Katona“ albo „Seneki formułki cnego żywota o czterech głównych cnotach“; pierwsza strofa wystarczy dla okazania wartości polszczyzny i wiersza:

Zawiosnych (kardynalnych) cnót tych sztyrzy są,
Które człowieka nauczają,
Jako swój żywot ma sprawiać,
Panu Bogu się podobać;

związek polskiego tekstu można nieraz dopiero z łaciny uchwycić. Są drobne alegorye, apokryfy, zwrócone i przeciw Żydom; pierwsza mała nauka rachunkowa, kuchmistrzostwo, sprawa a lekarstwa końskie i podobne trywialności; są przekłady dramatów szkolnych, Historji o synu marnotrawnym (Akolastus Gnapheusa) i Locherowego Sądu Parysa, o wiele naiwniejsze, pospolitsze, zgrubiałe wobec oryginału humanistycznego; zapłaczę się i traktat Erazma Roterдамczyka o języku, a obok niego Żywoty filozofów Burleja,

sprośna średniowieczyzna, z najobszerniejszym żywotem Aleksandra Wielkiego, cenione dla mądrych maksym; albo „Gadki Arystotelesowe“, bynajmniej nie Arystotelesowe, plotki średniowieczne, odpowiedzi scholastyczne na różne dworne pytania, dlaczego kobiety wąsów nie mają, dlaczego niedobrze wodę po rybach pić albo co za umysł rude włosy czy długie palce oznaczają i t. p. i dziś jeszcze ciekawe do czytania, później przerabiane (w XVII wieku) i tłómaczone na ruskie, przeznaczone dla pań, więc opuszczające wiele nieskromnych rzeczy. Najobszerniejsze dzieła to „herbarze“, ogrody zdrowia, opisywanie roślin, kruszców i t. d. z głównym względem na ich wartość leczniczą i zastosowanie w owych komplikowanych receptach, gdzie chyba jedno leki drugie paraliżowały, a całość nie szkodziła, z dodawaniem traktatów medycznych, o „powietrzu“ (morze), puszczaniu krwi, babieniu; są dalej Ezopy prozą, kroniki polskie, katechizmy i t. d.

Postęp był nadzwyczaj powolny, ruchliwość minimalna. Gdy Stefan Falimirz r. 1534 herbarz wydawał, pisał w przedmowie, że skłoniły go do przekładu brak lekarzów powszechny i to, „iż ta sławna Korona, ksiąg żadnych językiem swym nie mając tak sławnym, tak była sirocią, iż też innym obcym narodom prawie (całkiem) w pośmiech i dziwowanie było“, a obcy, drukarz - nakładca, Ungler, tak samo pisał: „ten język wasz w niedbałość ludzką przyszedł a snadź przez obcy naród mało nie w upadek... tego wielmi lutując pracem się tej naprzód i przed innymi podjął, żem księgi polskie nigdy niebywałymi buksztaby drukował, potym inni ze mnie przykład brali. Już teraz to pismo na wsze strony rozszerzyło się i szerzyć się będzie“. Ta nadzieja była zbyt optymistyczna; r. 1541 inny cudzoziemiec, Wietor, pisał z równą słusnością (w przedmowie na Język): „będąc ja wmięszkanym a nie urodzonym Polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój przyrodzony miłuje, szyrzy, kraszi i poleruje, czemu sam polski naród swym gardzi i brząka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać“; przyczyny tego upatruje on słusznie w skłonności polskiej do obczyzny, niesłusznie w trudności wyrażania polskich dźwięków; „prasował więc z pilnością“ te książki, ażeby „się też język polski szyrzył“. Wszystko drukowano przeważnie dla kobiet, więc w *iudicium* czyli prognostyku p. t. „Osądzenie spraw niebieskich sławne nauki krakowskiej“ na rok 1529 czytamy, że przetłómaczono je z łaciny, aby „pospolity

człowiek polski mógł czytać a osobnie panny, panie, gdyż matka Ewa to im po sobie zostawiła, żeby każda z nich wiedzieć tajemności chciwa była, a to co wie, żadnym obyczajem nie zataiła“. Glaber, tłumacząc Problemata Arystotelesowe, przyznaje też kobietom bystrzejszy z natury rozsądek, niż mężczyznom, którzy z zawiści nauki przed nimi tają.

Największe zasługi około przełamywania tych lodów, oprócz księgarzy-wydawców, położyli tłumacze, bakałarz Jan z Koszyczek, który Marchołta i Poncyana, t. j. „Historyę o siedmiu mędracach“, a może i „Historye rzymskie“ tłumaczył; Poncyan, drukowany dziś jeszcze dla ludu, to zbiór nowel o chytrości niewieściej, pochodzenia wschodniego, rozszerzony we wszystkich językach świata od średnich wieków: król każe syna, oskarżonego przez macochę, tracić, lecz mędrcy wstrzymują zawsze wykonanie wyroku, póki niemy syn-Józef fałszu macochy - Putyfarowej nie odkrył, mowę odzyskawszy. „Historye rzymskie“ z Rzymem nic wspólnego nie mają; zbiór to anegdot, legend, alegoryi, z wykładem moralnym, z którego stukilkudziesięciu numerów tłumacz polski tylko trzydzieścikilka wybrał; i to książka, jak Poncyan, drukowana niezliczone razy, zawsze do szczętu zaczytywana przez fraucymer i dworzan, w polskiem tłumaczeniu do najdalszej Rusi dotarła, przełożona na cerkiewny język. Nie wszyscy tłumacze byli jednak tak zdolni i pilni, jak Jan z Koszyczek; Niemiec Mimer tworzył nazwy polskie wedle niemieckich, np. Winnik — Weinmonat zamiast października, albo jesiennik — Herbstmonat zamiast września; inny przemycił żywcem czeskie słowa i formy, tak posiadamy rodzaj „biblii dla pauprów“, obrazki ze starego a głównie z nowego zakonu z tekstem ewangelicznym na przeciwnej stronie, który chyba jakiś Szlązak sporządził, bo nie raziły go słowa napoty lub całkiem czeskie, jak maudrosi, od tamtąd sem, przatielu i t. p. Jeszcze zawsze bowiem przeważał język czeski starszą swoją kulturą i literaturą obfitszą; jeszcze się wzorował na nim polski, szczególnie w dziale religijnym, w oznaczaniu pojęć oderwanych, a nawet terminów państwowych. Uchodziło to tem łatwiej, skoro obie mowy za jedną nieraz uważano, rozdzieloną tylko narzeczowemi właściwościami każdej; tak twierdził Hieronim Malecki jeszcze r. 1574: Czesi „są pirwszy niżeli Polacy i w tłumaczeniu ksiąg luterskich, chociaż mowa polska już dostatecznie *elegans*, ale w teologii prawie barzo mało albo nic nie jest wypolerowana“; dlatego nie wahał on się czeskich słów zapożyczać. Przyby-

wała nasza mania popisywania się czemś obcem, i jeszcze Górnicki (1566) wyśmiewał Polaków, co ledwie granicę szlaską przejechali a już mowę czechizmami pstrzyli, zamiast o stanach, o „stawach“ mówili i t. d., a Seklucyan (r. 1551) wyraźnie zastrzegał się, żeby go dla niektórych mniej używanych słów jego przekładu nikt „Czechem od Czerwieńska“ nie chrzcił. Czescy pisarze i księgarze liczyli zawsze na odbytych dzieł czeskich w Polsce, poświęcali je też panom polskim, np. lekarz Czerny i inni. O znajomości czeszczyzny na dworze Zygmunta Starego, o porównywaniu obu języków, które dla polskiego, zacofanego, grubszego niekorzystniej wypadało, prawi Górnicki wyraźnie, lecz były to już ostatki przewagi czeskiej; niebawem miała się literatura polska wzbąć na wyżyny, dokąd czeska nigdy nie sięgała, czeska zaś tracić grunt pod własnymi nogami.

Narazie święcił pierwsze tryumfy na polu literatury narodowej stan mieszczański; szlachta się do niej jeszcze ani przyznawała, ślepo hołdując językowi cywilizacji i świata. Dla zaspokajania potrzeb malutkich wystąpili mieszczenie, mistrze i bakałarze krakowscy, Jan z Koszyczek, Hieronim z Wielunia, Piotr z Poznania, Andrzej Glaber z Kobyłina, wcale zasłużony, który i „Problemata“ i Miechowity „Wypisanie o dwojey Sarmacyi“ i inne rzeczy dobrze wyłożył; Walenty Wróbel, Tomasz Kłós, Rusin Stefanek Falimirz i inni, nieznani nieraz z nazwiska, i poświadczyli poraz pierwszy wyraźnie, że całe mieszczaństwo polskie, do niedawna napół niemieckie, złało się z narodem, przejęło się jego językiem, zwyczajem i życiem. Szlachtę reprezentuje nie tyle Hieronim Spiczyński, który całkiem się zrośł z Krakowem, ile Marcin Bielski. Lecz mimo zasług mieszczaństwa około polerowania polszczyzny i zawojowania coraz nowych dla niego działów, druki polskie za Zygmunta Starego literatury bynajmniej nie stworzyły, gdyż były same tłumaczenia lub przeróbki starzyny łacińskiej.

Nawet pieśń religijna, przez ojców Bernardynów, Władysława z Gielniowa, Mikołaja Sokolnickiego i in. pielęgnowana, nie robiła postępów. Nie sprzyjały czasy, za widocznym upadkiem nabożeństwa, za rozpasaniem duchownych (Franciszkanie krakowscy, kaznodzieja i inni bracia, zabili r. 1516 świątobliwego przełożonego, za co trzech ścięto, innych w Lipowcu zasadzono), za pierwszemi podmuchami luterstwa. Śpiewały przeważnie kobiety, i nie przypadkowo oba najdawniejsze kancyonaliki katolickie, rękopiśmienne, z po-

łowy wieku (1551 i 1555) przemieniają, nie dbając na wiersz i rym, w tekście rodzaj męski oryginału na żeński, np. zamiast pierwotnego:

Ach niestojcie grzesznemu, czemu w onczas niebył,
Gdy się namilszy mój pan Jezus narodził i t. d.

wypisują oba teksty, puławski i kórnicki, dla Tercyarek franciszkańskich:

Ach niestojcie *mnie grzesznej*, czemu w onczas *niebyła*,
Gdy się namilszy mój pan Jezus *narodził* (!!).

Celne miejsce między temi pieśniami zajmowały kolędy jasełkowe; Franciszkanie za przykładem św. Franciszka czcili nadzwyczaj Dzieciątko i coraz nowemi pieśniami obchód uświetniali. Liczne są one w obu śpiewnikach, które zresztą dawne i nowe pieśni, bernardyńskie i franciszkańskie, mieszały, jak i Żywot Opeciów, gdzie, obok nowych pieśni Jana z Koszyczek i Hieronima Spiczyńskiego, znachodziły się „dawne nuty“ (tak je Seklucyan nazywa): Trzy Maryje poszły, Drogie maści niesły i t. d. W kolędach lubował sobie mianowicie lud prosty; tworzone coraz nowe, coraz drastyczniejsze, z szczegółami o pasterzach i apostołach, nie licującymi z powagą czasu, miejsca i święta; już też r. 1602 potępił synod gnieźnieński wyraźnie „niestosowne i mniej nabożne pieśni w narodowym języku na Boże Narodzenie“. Zakazy jednak nie skutkowały, i lud zachował te kolędy i pastorałki po dziś dzień, jak wszelkie inne zwyczaje. Już w XVI wieku, tak jak dziś, czeladź na św. Szczepan służbę wymawiała, prawiąc: „Przyszedł św. Szczepan, Każdy sobie pan“; tak samo śpiewa ten lud dziś jeszcze kolędę w dzień św. Jana Ewangelisty, zapisaną już w XVI wieku:

Mesjasz przyszedł na świat prawdziwy
I Prorok zacny z wielkimi dziwy,
Który przez swoje znaki
Dał z wody winne smaki W Kana Galilei...
Piotr z Apostoły stoi przy dzbanie,
Woła na Jana: pij do mnie Janie...
Pił Jakub garncem do Tadeusza,
A Jędrzej kuflem do Mateusza...
Kiedy Bartłomiej szukał szklenice
Judaszk Skaryot podał donice...
Pawle z Maciejem, wam oskomina,
Boście niepiłi dobrego wina i t. d.

Pieśń ta naśladowała niby łacińską:

Messias venit huic saeculo
Propheta magnus cum miraculo
Ei muri muri infernales
Casuri estis, quamvis duri etc.,

ale daleko odbiegała od wzoru, nieznającego szczegółów owych z karczmy polskiej. Zaczynano nawet w kolędach wyszydzać stany, narodowości i gwary, układano „kolędę Mazowiecką“ z wyrazami gwarowymi, jak po dzisiejszych pismach humorystycznych:

Perolmy sie sibretkowie tą gasą..
Tędurędu do tej to wyskulichy,
Niech rozdergnie na nase pienie słuchy,
Przeto my sie tutka przywäkrolili i t. d.,

za przykładem scholarów krakowskich, napastujących swych kolegów abecadłem mazowieckiem albo pytaniami: któryto apostoł Mazurów ochrzcił (Judasza) i t. p., że aż sąd rektorski narodowi mazowieckiemu cześć przywracał (r. 1517).

Już tu przebijają owa niewybredna, dobroduszna jowialność staropolska, ów zmysł spostrzegawczy, które cechowały i pierwsze go poetę narodowego, **Mikołaja Reja**.

Rok 1543 pozostanie na zawsze pamiętym w dziejach literatury; wystąpiły w nim poraz pierwszy na jaw dwa wybitne typy dawnej umysłowości polskiej, krańcowe jej wyrazy. Obaj zrodzeni na Rusi, jeden z krwi mieszanej, Orzechowski pod Przemyśłem, drugi z krwi polskiej, Rej w Żurawnie nad Dniestrem; jeden namiętny i gwałtowny, zadzierający z całym światem, w wiecznej niesnasce nawet z samym sobą; drugi, choć hulaka, spokojny i pogodny, od ludzi się ani opędzi, tak go wszyscy lubią; obaj towarzyscy, wymowni; jeden głęboko wykształcony i w świat starożytny wpatrzony, drugi kompletny nieuk w tym wieku wronom płatki przyszywał, kiedy Orzechowskiego już humaniści w Wiedniu i Wittenbergu trybowali. Szczęściem dla literatury narodowej — bo inaczej byłby ją zdradził i Rej, jak ją zdradzali Krzyccy i Janicyusze, Kochanowscy i Szymonowicy — nie umiał Rej po łacinie, choć w różnych szkołach kąty wycierał i mógł go p. wojewoda (Tęczyński) na dworze swoim tylko do korespondencji polskiej używać.

Zato umiał Rej co innego; był muzykalny i improwizował z nadzwyczajną łatwością, „teksty dziwne a wiersze rozmaite tak nic się nie rozmyślając czynił“, świeckie i pobożne, na wesela i pogrzeby, na herby i sprzęty, a wszystko nocą, ile chciał, boć mu w dzień panięta i młodzież przeszkadzali. Wystąpienie Reja jest nadzwyczajne, rozstrzygające niemal, w dziejach literatury narodowej. Przed nim istniała książka polska niemal wyłącznie dla kobiet: gdy Hieronim Spiczyński wykład pacierza (Erazma z Roterdamu) 1533 roku lub mistrze krakowscy wykład psalterza (mistrza Walentego Wróbla, Poznańczyka) roku 1539 drukują, myślą oni głównie o „paniach i panienkach“, o zakonnicach — do kobiet zwraca się przezważnie cała ta literatura, poczynawszy od Opecia i Marchołta; przeciwnie Rej zawsze tylko z „dobrym towarzyszem“ rozprawia, jego wyłącznie ma na myśli, żywioł męski wprowadza, odczuwając żywo brak ukształcenia, trudność w zdobywaniu wiedzy, w rozgarnieniu myśli, skoro się monopolu łaciny nie uznawało, jemu nie poddawało wyłącznie. I drugi ważny krok postawił: przed nim tłumacza tylko, trzymając się niewolniczo, jak dzieci, paska łacińskiego, jakby się lękali, żeby przypadkiem polska myśl, polskie słowo samostne nie wymknęły się w druk; Rej pierwszy nie tłumaczy, lecz tworzy swobodnie, choć wzór łaciński ma przed sobą, nie korzysta z niego lękliwie, nieśmiało, występuje zamaszysto, otwarcie. I występuje odrazu w wierszu i w prozie, na polach rozmaitych; lecz przeważa kierunek religijny, głęboko we własnej naturze, szczeropolskiej, zakorzeniony. Obok Żywotu Józefowego przekłada Psalterz i poświęca obszerny swój a wcale swobodny, nie przekład, parafrazę tylko, polskiemu Dawidowi, Zygmuntowi Staremu. Od końca XIII wieku, od Kingi, zajmuje Psalterz, najważniejsza, nieodstępna księga chrześcijanina (główna część składowa modlitw, wigilii, nieszpórów) w literaturze polskiej celne stanowisko; modernizują pierwotny przekład jego w wieku XV, około roku 1460 czy 1470, i ten średniowieczny przekład drukują bez zmian w Krakowie roku 1532; nowy, z obszernym wykładem nieuchwytnego nieraz sensu psalmów, zatrudnionego chęcią wynajdywania w niem coraz innych prorocstw i alegoryi, wydają mistrze krakowscy. Tę to księgę świętą uprzystępnia Rej (roku 1545?) i dobrym towarzyszom, podejmuje pracę w nadzwyczajnym skupieniu ducha, nie pozwala sobie na najlżejsze odstępstwo, wybryk, tak częsty u niego skąd-

inąd — w najgłębszej pokorze, z namaszczeniem, z prawdziwą wymową, jakiejby i Skarga później się nie powstydził, rozmyśla i modli się na tematy psalmowe. I stary król uznaje wdzięcznie nowe, niesłychane dotąd zasługi szlachcica polskiego: „rymarzowi“, *vati polono* nadaje wieś Temerowce (rok 1546), zachęcając go do dalszych prac, pierwszy hold urzędowy, złożony literaturze polskiej.

Na oficjalny tytuł „rymarza polskiego“ zasłużył był Rej roku 1546 już rzetelnie. Z owych ulotnych wierszy bowiem przeszedł do kompozycji większych; milczenie muz polskich zachęcało go do coraz nowych wysiłków. Bezimienny poeta polski — bo nigdy się Rej na żadnej książce nie podpisywał, o wydania nie dbał, sławy autorskiej nie pragnął, ledwie że jaki anagram w pieśni imię jego zdradzał — wystąpił był r. 1543 z „Krótką Rozprawą między trzema osobami, panem, wójtem a plebanem, którzy i swe i innych ludzi przygody wyczytają a także i zbytki i pożytki dzisiejszego świata“ — tytuł wedle mody ówczesnej długi, ale treść dobrze wyrażał. Pierwsze to większe dzieło oryginalne polskie jest satyrą dyalogową, w której każdy z „rozmówców“ wady innych stanów a dolegliwości własne wylicza, w owym krótkim wierszu średniowiecznym, w którym Rej sobie długi czas lubował, nim do trzynastozgłoskowca się nawrócił. Język jędrny, przesypany przysłowiami, porównaniami, malowniczy, trudny dziś dla tego, co nie przywykł do staropolskiego toku, ale płynny, wielomowny miejscami; treść codzienna, ale zaobserwowana znakomicie; nie ludzi się oko Reja, przenika sobkowstwo posłów, wykręty prokuratorów (adwokatów), zdzierstwa duchownych, praktyki ku wyludzaniu ostatniego grosza z mieszka chłopskiego, które w tym samym roku Orzechowski tak dosadnie wyliczał (w przemowie Rzeczypospolitej); krótko a dobitnie wystawia on życie nad stan, karciarstwo, pasyę myśliwską (której zresztą sam hołdował), strojnisiostwo kobiece, swywołę żołnierską; wszyscy mu „krzywi“ (winni), za wszystkich pokutuje nędzny kmiotek. Motto tych wierszy, ich zamiar i cel:

...gdy też kto z miary wykroczy,
Nie źleby mu prawdę rzec i w oczy;

sposób ich drastyczny, obrazki realistyczne przepelniają je; oto najkrótszy:

Kiedy się zejdą na odpust,
Ksiądz w kościele woła, wrzeszczy,
Na cmyntarzu beczka trzeszczy,
Jeden potrząsa kobiałką,
Drugi bębniem a piszczałką,
Trzeci ,wyciągając szyję,
Woła, do kantora pije,
Kury wrzeszczą, świnię kwiczą,
Na ołtarzu jajca liczą i t. d.,

ale pod śmiechem i figlami kryje „rymarz“ gorzką prawdę, wybuchając szczególnie w końcowem narzekaniu Rzeczypospolitej na niewdzięczniki i wyrodne jej syny, co to

Upad blizki a gniew boski baczą,
Przedsię jednak bujno na to skaczą.

Od tego dyalogu, którym Rej tak znamiennie i świetnie zawód swój pisarski zainaugurował, przeszedł on r. 1545 do owego Psalterza i do misteryum, które tylko do czytania przeznaczał: „Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego, syna Jakobowego, rozdzielony w rozmowach person, który w sobie wiele cnót i dobrych obyczajów zamyka“, w dwunastu „rozprawach“, pierwszy oryginalny dramat polski, chociaż zawisły miejscami od utworów obcych, np. od Krokusa „Komedyi świętej Józef“ (r. 1537), a warunków dramatycznych nie wypełnia. Nie rozwija się akcja, tylko rozmowy; treść biblijna wyłożona z tą wielomownością, która odtąd Reja coraz bardziej cechuje, w wierszu płaskim i pospolitym, który go już nigdy nie opuści; wykład jednostajny ożywia się i urozmaica tylko w rozprawie trzeciej i najdłuższej (wiersz 880 — 3580), z Zefirą, żoną Potyfarową, której afekty, walka między skromnością i wstydem a „niezbędną“ miłością i zwycięstwo tejże wcale dobrze przedstawione. Całość ma cel moralny: uczy ufać Bogu i prawości, nie fortunie, a ma zarazem pobudzać do dalszego czytania i ćwiczenia się, do przestrzegania się ze szkód obcych.

Równocześnie wychodziły z pod jego pióra liczne, krótsze dyalogi, odpowiadające najlepiej żywemu usposobieniu „rymarza“: „Kot ze lwem rozprawia o swobodzie a o niewoli“ — sens moralny, bo z polityką nic nie ma do czynienia jak i następne, „lepszyna trocha w swobodzie, niżli wielki koszt w niewoli“, maksyma iście

Rejowa, który się nigdy żadnym urzędem nie pętał; Kostere z pijanicą, Gęś z kurem, Śmierć z szewcem, Warwas z Dykasem — ten ostatni najciekawszy, bo wystawia, co Rej o kobietach sądził. Nie był on o nich zbyt pochlebnego mniemania; uskarżali się i inni, np. p. Hieronim Łaski „żądał czegoś od Boga dla większego ciepła Polkom“; więc użył Rej i w rozmowie dobrych towarzyszków wysypał wszystkie zarzuty i docinki, jakie słyszał i jakie wymyślił, lecz zmysł jego praktyczny nie opuścił go: nawymyślawszy dowoli, cofnął się i przyznał tę wartość kobietom, której inni współcześni pisarze tak często im odmawiali; okazał się wyrozumialszym, sprawiedliwszym, niż większość ówczesna. Warwasa zaczytali do szczętu; ocalał w Czeskim Muzeum w Pradze jedyny, zniszczony nieco egzemplarz czeskiego przekładu: pierwsza książka polska, która się tego zaszczytu doczekała, chociaż pieśni polskie, np. ową Władysława z Gielniowa (Żołtaz Jezusów) i inne, Czesi już nieco dawniej przekładali.

Przekład jest dosłowny i z pod powłoki czeskiej przebija wyraźnie wiersz polski. Po wezwaniu Wenery (Wenusie! białych głów pani bądź przytomna mojej pieśni) opowiada „składacz“ czyli „rymarz“ treść; Lupa chce się żenić, ale boi się chytrłości niewieściej i radzi się cnego kumpana, Warwasa z Czarne-go Dołu, bo trudnoż ufać i matkom, które córki pięknie mówić i „jak za wiechą dudki łowić“ uczą, jak w tańcu kroczyć:

Ujmi się Jóźko pod boki,
A ty jej graj na trzy skoki,

a jak one twarz malują! Warwas radzi bogate, stare, piękne, brzydkie, chude, tłuste (te lubią pijać), szczupłe, rude, piegowane nawet, lecz przeciw każdej Lupa słuszne przywodzi argumenty; mają się rozchodzić, nic nie uradziwszy, gdy Paszczeka im prawdę ostro wystawia, jaki pan taki kram, sami się w tym sądzicie, wilk sobola nie urodzi; dajcie lepiej pokój,

Są także w męskiej kolejii
Mnodyz totrzy a złodzieji,

poczem autor panie przeprasza:

Chcecie snadź, bych krzyżem padał,
Mówiąc, bodaj zabít składał,

Temu łajcie, kto to mówił,
Wszakem ja się z nim nie zmówił i t. d.

W dziełku rozsiano wiele rysów charakterystycznych, np. o rozkochanych rycerzach opowiada Lupa:

Dziwy broją, jak szalony,
Harcując padają z koni,
Prze zdrowie z trzewików piją,
Bez ługu się często myją...

każda panna swego przedrzeźnia:

Ukazuje jego sprawę,
Jego krok, jego postawę,
Jak ma krótkie nogawice,
Długi kabat, złe trzewice,
Pas nisko, rapierz wysoko,
Gdy idzie, kroczy szeroko,
K niebu lub ku ziemi głądzi,
Nierówno na koniu siedzi,
Kołpakiem zakrywa oczy,
Głowę wždy na stronę boczy i t. d.

Rzeczywiście grały panny już wtedy cenzurowanego, one to wynalazły wyraz *przekwinty* na nadmierne „wydwarzanie“, a choć oczęta spuszczały i usteczka sznurowały, nie one, tylko „panicy“ „kota ciągnęli“.

Takimi to, coraz innymi, debiutami literackimi Okszyć Rej wzbil się nad wszystkich „składaczy“ polskich i rzeczy ich drobne i nieciekawe¹⁾; zacierała się nawet pamięć o nich i wyrabiało się przekonanie, że to od Reja dopiero po polsku pisać zaczęto, że to on te lody pierwszy przełamał: inni pracowali, on odniósł zaszczyt, on już teraz rej wodził. Tymczasem układały się nowe stosunki

¹⁾ U innych wadził język, np. Opecia lub Biernata z Lublina, dla ludzi XVI wieku stanowczo przestarzały; nie rozumiano ich, jak Rej później przyznawał. Inne rzeczy świadczyły chyba o dziecinnej nieudolności autora, np. Księgi próbowane czyli Stary obyczaj wiary z roku 1545, poświęcony przez szlachcica jakiegoś Hedwidze „marchiance brandenburskiej i t. d.“, gdzie w 334 długich wierszach punkty wiary wyłożone, a każdy z nich w cytaty i objaśnienia zaopatrzone; najlepsze jeszcze dwa pierwsze wiersze:

w literaturze i życiu narodowym i Rej miał niebawem zająć rolę jeszcze wybitniejszą.

Rok śmierci Zygmunta Starego jest pamiętny w literaturze i w dziejach. Milczące zawieszenie broni, różnych partyi, religijnych i politycznych, nie wytaczających przedtem, wobec zgrzybiałości królewskiej, żadnej zasadniczej walki, wyczekujących niedalekiej chwili zmiany rządów, ustąpiło gorączkowemu ożywieniu, spotęgowanemu sprawą osobistą, fatalnym ożenkiem młodego króla. Jak pierwszy, tak i ostatni Jagiełło rozdrażnił uczucia narodowe, pojmując bezdzielną wdowę kochankę, „ją czcząc a hańbiąc Polskę“ i przyszłość dynastyi narażając najlekkomyślniej. Do walki na pióra stanęli, jak wówczas Ciołek, tak i teraz literaci; pamflety Orzechowskiego, młodziutkiego Jędrzeja Trzecieckiego, Reja i innych, łacińskie i polskie, biblijne i świeckie, mowy i listy, dyalogi i satyry, zarożyły się, mianowicie w Wielkiej Polsce; jeśliby się tam królowa z królem udać mieli, przestrzegał Mikołaj Czarny, „upstrzą kolebkę paskwylusy, trzeba będzie osobnych sztafierów (lokai), coby je oddzierali“. Rej wprowadził w grę ulubioną fikcyę: „Rzeczpospolita polska chramiąc tuła się po świecie szukając pomocy a narzeka na swe pany, iż o nią nie dbają“ (r. 1549); sarkał tu strasznie na jad niewieści, jakim nas Bóg zniszczyć zamierza, niby Troję nową (pan Rej coraz bardziej w łacinie i mitologii się polerował), „zwłaszcza mając pana szalonego“, który zawinił:

Kładąc złoto na parszywe ciało,
Które płodu już nie będzie miało,
Bo ten żywot czart zapieczętował,
Iż nie według Boga postępował;

równie ostre są wycieczki przeciw biskupowi Maciejowskiemu i hetmanowi Tarnowskiemu, przeciw Radziwiłłom, którzy nie z nazwiska, lecz herbami oznaczeni, Ciołkiem, Orłami, ogoniastą gwiazdą i t. d.; nasiekaj z nich bigosu, ty ostry Toporze (Tęczyński); nie dziw że księża hołdują Barbarze: rokieta i ciasnocha (koszula żeńska)

—

Poradź mi w tym, miły kleryku, bo to ciężko na mię,
Gdy się na to rozmyślę, głowę w tym sobie łamię,

inne nieraz wręcz niezrozumiałe — nie dziw, że Reja ceniono w obec takich próbek.

jednakie odzienie! Orzechowski zwracał się równie gwałtownie ku rycerstwu wielkopolskiemu, skoro małopolskie biskup i hetman zpraktykowali dla króla; wystawiał zapomniane dawno dzieje, żeć to Wielkopolska, właściwa Polski kolebka, swoją krwią resztę zdobyła, niechżeż i teraz wszystkich ratuje jego, powtarzał i Rej. Trzecieśki pisał spokojniej; winił rozwiozłe wychowanie królewskie, które go kobieciarzem uczyniło; otoczenie, dla własnych zysków jemu zawsze potakujące; szydził z orłów radziwiłłowskich na ład humanistyczny (o Ganimedzie); przedstawiał przykre wrażenie zagranicą, król węgierski (Ferdynand) będzie myślał, że mu siostrę (Elżbietę), pierwszą żonę Zygmunta Augusta, otruto; winił i Bonę, która między owem młodem małżeństwem niesnaski budziła.

Próbka ta pamfletiarstwa polskiego jest tem ciekawsza, że Rej nigdy zresztą osobistości nie szczypał i kasał. Wrzawa o Barbarę ucichła wnet; upór królewski i nagła jej śmierć — tak się z niej cieszyli, jakby Turka zwyciężyli, skarżyła się królowa w pieśni pośmiertnej ¹⁾,—zahamowały rozpasane pióra. Inna jednak wrzawa uciszyć się nie dawała niczem i rosła z dnia na dzień gwałtowniej. Lecz, jak Zygmunt August nadzieje narodu ślubami nieopatrzny był zawiódł, również zawiódł on nadzieje wszelkie, jakie, nie w Polsce tylko, lecz i zagranicą na nim pokładano w sprawie o — wiarę.

¹⁾ Pieśni polskich na zgon Barbary pojawiło się kilka; w jednej z r. 1551 (drukowanej 1558, Napis nad grobem zacney krolowey) przemawiała królowa do przechodnia, wypominając kruchość szczęścia ziemskiego i nie darmo Dydonę powołując (boć i to wdowa); druga, ciekawsza, Narzekanie Królowej na nieszczęście, przeprowadza rozmowę między nią a szczęściem, chełpiącym się swymi darami.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

DRUGA POŁOWA XVI WIEKU. REFORMACYA.

Początki ruchu religijnego; przyczyny późnego jego wschodu i rozbieżności jego. Lutrzy, Bracia Czescy, Kalwini, Aryanie. Polemika o wiarę; wpływ na literaturę. Reakcyja katolicyzmu; dlaczego zwyciężył? Jezuici; Wujek i Skarga. Unia brzeska. Pisarze, wykołajeni polemiką teologiczną: Orzechowski, Frycz, Wolan.

Jak umysłowe, tak i religijne życie zachodu wkraczało stale w granice polskie i wciągało naród w nowe wiry. Już w trzynastym wieku sekta biczowników i Polskę przebiegała; w piętnastym zaciągał husytyzm między panami, mistrzami i duchowieństwem jednostki, chociaż ani dosyć liczne, ani dosyć energiczne, a reformacya XVI wieku miała, jak się między latami 1550 — 1560 zdawało, całą Polskę pochłonać.

Siłę i gwałtowność nowego ruchu tłumaczył straszny zanik życia religijnego w stanie, powołanym do jego strzeżenia. Zemściło się teraz, że biskupi byli świeckimi dostojnikami, panami radami, jak wojewodowie i kasztelanowie i nawet przed nimi w radzie stawali; hierarchia, Łascy i Krzyccy, Łatałscy i Górkowie, Gamratowie i Dzierzgowscy, była całkiem obojętna w rzeczach wiary, i nie jej to zasługa, że reformacya późno Polskę porwała; wyjątki, jak Maciejowski między biskupami, liczniejsze po kapitułach i w klerze niższym, nie zrównoważały zeświecczenia duchowieństwa polskiego

i zgorszenia, jakie ono w myślących i widzących budziło; karność klasztorna, życie zakonne rozprzęgło się zupełnie. Niesmak przejmował niechętnych, a przyczyn do niechęci, zawiści, pogardy, dostarczały olbrzymie bogactwa kleru, które już w XV wieku skrupulatnie obliczano, żądając ich konfiskaty; uwolnienie obszarów duchownych od obowiązków, jakie na dobrach szlacheckich ciążyły; gorszące spory o dziesięciny; annaty i inne opłaty, wywożone do Rzymu; bezprzykładowa kumulacja prebend i beneficjów w rękach uprzywilejowanych, zagarniających chciwie dochody, a spychających obowiązki duszpasterskie na bylejakich głodomorów; indywidua bez czci i wiary, kupczące biskupstwami, bo z targu je dostawano; nieuctwo kleru niższego, który, za przykładem z góry, nie o kościół i owieczki, lecz o intraty dbając, byle czem, średniowiecznymi baśniami i plotkami, potrzeby duchowe opędzał, zewnętrznymi praktykami się zadowalał; na podatnej niwie słowiańskiej zepsucie przybrało przerażające rozmiary. Niechęć i nienawiść ku duchowieństwu rosły między szlachtą, napastowaną o dziesięciny, o miedze, o prestacye, ciąganą przed sądy duchowne (rządzące się innem prawem), oburzającą się na nieopatrność przodków, którzy takie jarzmo nieznosne na nią włożyli.

Do tego ognia domowego dolewały oliwy nowinki zagraniczne. Szerzyły się one najpierw po miastach w pasie granicznym; po ziemi pruskiej, w Poznaniu, Krakowie, dokąd od Gdańska i Torunia, od Wrocławia i Marchii przy ciągłych związkach dostać się musiały, między Niemcami odzywały się najpierw, a potem przez propagandę ustną, przez książki i do szlachty docierały. Ciekawa nowinek młodzież zaczytywała się książkami, tem ponętniejszemi, im surowiej je zakazywano; niebawem zrzucali nawet niektórzy jawnie maskę prawowierności; większej wrzawy narobił np. mistrz Jakób z Iłży w Krakowie, głoszący z kazalnicy (u św. Szczepana) rzeczy luterskie, przeciw odpustom, czyśćcowi i t. d., a choć mistrz sam z Krakowa przed sądem biskupim uszedł, liczne pamflety, za i przeciw, o sprawie jego zapominać nie dawały. Przyczyniały się wycieczki młodzieży polskiej do blizkiej Witenbergi, przypadkowe, jak Orzechowskiego, umyślne, jak Frycza i innych; rosła powoli liczba Polaków, nie humanizmem Melanchtona, lecz sławą Lutra wabionych. Zaczynają się pojawiać zakazy królewskie wyjazdu, nakazy powrotu, ale te, jak i zakazy książek, wykonywano miękko albo odwoływano niebawem. Stary król, łagodny z usposobienia

i zasady, ku ostrym środkom wyjątkowo, np. w Gdańsku, nakłaniać się dawał, nie przywłaszczając sobie, jak później i syn jego, sądu nad sumieniami, chcąc panować, jak mawiał, nad kozłami i nad owcami.

Mimo sprzyjających okoliczności nie szerzyła się narazie reformacja, i biskupi z królem mogli mniemać, że, jak husytyzm, poza jednostki nie wyjdzie, że zastosowaniem dawnych edyktów da się niechybnie wytrzebić. I rzeczywiście, najznakomitsi zwolennicy reformy albo się jej wypierali (np. Decyusz), albo opuszczali kraj, jak Jan Łaski, synowiec prymasa, czciciel Erazma z Rotterdamu, którego bibliotekę zakupił, zostawiając mu wielkomyślnie, jak Katarzyna II Diderotowi, użytek jej do zgonu; z Erazmem dzielił on narazie stanowisko niechętnie nowatorom, zagrażającym postępowi humanistycznemu swymi sporami jałowymi o wiarę; wróciwszy do Polski wciągał się coraz konsekwentniej w nowy ruch, prześcignął niebawem i Lutra, a nierówny swoim kolegom, zrzekł się widoków na biskupstwa, trzymał prebendy, aż spłacił węgierskie długi braciszka (Hieronima), a potem rzucił wszystko, kraj i rodzinę; nagi sługa nagiego Ukrzyżowanego poszedł na tułaczkę i zaważył na szalach protestantyzmu niemieckiego i angielskiego, urządził kościoły we Fryzyi i Londynie, gdzie pamięć wielkiego, świętobliwego męża, zaraz po Lutrze i Kalwinie, dziś jeszcze wdzięcznie przechowują. I jego zelektryzowała wieść o zgonie starego króla, i nasłuchiwał ciągle, czy się do niego na obczyznę nie odezwą głosy ukochanej ojczyzny.

Tutaj jednakże czyniła reformacja bardzo wolne postępy; Polak wierzył, jak król jego, twierdził słusznie Luter; nie rwali się do nauki niemieckiej — lud przez konserwatyzm, szlachta przez obojętność. Duchowieństwo i szlachta rozruszali się powoli, w Krakowie, nawet w otoczeniu starego króla i w kapitule samej; w Wilnie, obok młodego króla, u jego kaznodziei, oddziaływał i blizki Królewicz i książę Albrecht, wielkiego w całym kraju poważania używający. Już odbywały się schadzki w Krakowie u Trzecieckiego (ojca); Leonard Słończewski w kazaniach w kościele Maryackim napał ostro na papieża i duchowieństwo i został mimo to biskupem, za wpływem Bony; Bona udzielała kazań reformatorskich Ochina opatowi franciszkańskiemu, Lismaninowi, i od Franciszkanów wysła niebawem herezyja, którą się szlachta krakowska powoli зараżała; między ruską, przemyską i sanocką agitował Orzechowski.

Już na sejmie piotrkowskim (z roku 1547 na 1548) domagała się szlachta w pierwszym artykule „przepowiadania czystego słowa Bożego“, t. j. bez domieszek ludzkich, rzymskich. Wszystko jednak odbywało się zawsze jeszcze niby cichaczem, prywatnie, bez walki.

Dzień zgonu królewskiego objawił grozę położenia; czem dłużej ogień się taił i taił, tem gwałtowniej teraz wybuchnął. Hasło rzucono w Krakowie; napływ cudzoziemców wprowadził tu już i skrajne żywioły; biskup kamieniecki (Leonard) kazał przeciw prymatowi Piotra, celibatowi, rozpasaniu duchownych, a gdy się u niego tłoczono, szydzono z katolickich kaznodziei; już odzywały się głosy: „Gdybyż to od nas zależało, małoby się w Polsce papieżników za rok jeden ostało“. Księża i mnisi - apostaci, między nimi i nauczyciel hebrajszczyzny na uniwersytecie, Stankar, reorganizują kościoły, t. j. wyrzucają obrazy, wprowadzają kielich, usuwają mszę, żenią się lub grożą ożenkiem, a panowie, Oleśnicy, Stadnicy i inni, podtrzymują ich i podniecają.

Na tę chwilę przypada wskrzeszenie literatury polskiej w celach propagandy. Do działania na szersze masy nadawał się tylko język narodowy; skoro protestantyzm z pisma św. broń wyłącznie czerpał, należało przedewszystkiem pismo to ogółowi uprzyścić. Najkonsekwentniej postępował ks. Albrecht; jego Prusy obejmowały ludność i litewską, i pruską, i mazurską; z nowego, królewieckiego uniwersytetu mieli więc wychodzić nauczyciele i pisma w tych językach, a działalność ich miała sięgać poza granice księstwa, do Polski i Litwy. Z zadania tego wywiązał się książę znakomicie: na kilka lat przesunął on rzeczywiście centrum nowej literatury polskiej do Królewca i nowinki pruskie, z drukarni Weinreicha, później Daubmana, zalewały Koronę i Litwę. Pomocnikiem był **Jan Seklucyan** z Bydgoszczy, niegdyś kaznodzieja u Maryi Magdaleny w Poznaniu, o protestantyzm napastowany i wywieziony przez księcia do Królewca. Katechizmy, kancjonały, Nowy Testament i inne pisma, wzburzały umysły polskie, gdyż Seklucyan nie zadowalał się tekstami, ale dodawał do nich uszczypliwe komentarze. Rok 1549 był nadzwyczaj płodny: wydał wtedy Seklucyan cały szereg popularnych książeczek, jedną zjadliwszą, niż drugą, dyalogi, dramaty i t. d., bijące taranem w mury papieństwa. Nie on był ich autorem, najcelniejsze wychodziły z pod pióra **Reja**, który z satyryka i moralisty, z nieuka i „dobrego towarzysza“ nagle przedzierzgnął się w zręcznego, namiętnego teologa i apostoła; teologia

nie była głęboka, apostołstwo fantastyczne, ale skutek i powodzenie były olbrzymie; poraz pierwszy od czasów Galki i jego pieśni o Wiklefie miał wiersz polski służyć wykorzenieniu dawnej wiary.

Najobszerniejsze dziełko, to „Kupiec”, komedia niby „Józef”, około 10000 wierszy licząca i naukę katolicką o dobrych uczynkach, postach, odpustach i t. d. strasznie nicująca, wymysłem ludzkim wiarę samą, jako jedyny grunt zbawienia, przeciwstawiająca. Nie oryginalny to plód Reja, naśladowanie, miejscami nawet tłómaczenie „Merkatora” Tomasza Kirchmajera (Naogeorga), najzręczniejszego i najnamiętniejszego z polemistów protestanckich; alegorya o kupcu, którego przy zgonie opuszczają dobre uczynki wobec dyabła, kpiącego z nich; kupca na sądzie Chrystusowym ratuje tylko gorąca wiara; najdrażliwsze sceny pamfletu Polak osłabił, a w innych, w słowach skruchy i pokory, wzniósł się wyżej, niż autor oryginału. A był to tylko jeden z utworów, coraz liczniejszych, coraz gwałtowniejszych, czy Reja czy Seklucyana czy innych. W tym samym roku 1549 wyszła i „Rozprawa o niektórych ceremoniach a ustawach kościelnych”, gdzie w formie dyalogu student z Witenbergi rodziców od papieżstwa odwodził, argumenty księżę zbijając; inna, gdzie grzesznik z szatanem się rozpierali, ale szatan ten to kościół rzymski:

Msza twoja, czarcie, fałszywa
Od twych sług jest wymyślona...
A Chrystusowej przeciwna i t. d.
Księża za grosze czytają,
Nikomiu nic nie dawają,
Jedno przez głowę ukażą,
Potem sami spośnikują (zjedzą ciało Pańskie);

następuje opis procesyi Bożego Ciała, godny pióra Rejowego. W trzeciej rozprawia z księdzem rzymskim — ruski, ale ten ruski to ewangelik, szydzący z obu obrządków, w których błędów co niemiara, np. wzywanie umarłych:

Wasz Stanisław, nasz Mikuła,
Staśka oświęciła buła,
Wybornego muła!
Patriarcha urząd kupił,
A papież go przez krew nabył...
Zowie się tylko językiem
Chrystusowym namiestnikiem...

rozterki między obrządkami powstały tylko,

Gdy (papież i patriarcha) się o zwierchność spierali,
Czci próżnej żądali,

ale gorsze jeszcze błędy rzymskie:

Niecnotliwy ślub czystości,
Czyśccowy ogień, odpusty,
Z czego tyje wasz wieprz tłusty,
Tem czyniąc lud pusty,

a łgarstwami opętaliście się, np. jakoby Piotr w Rzymie był i Neron go zabił, który sześć lat przedtem umarł, więc chyba Neron:

Z góry nań spaść zdechły musiał,
Czapką ji ściął, w której leżał,
Ściąwszy go w grób wbieżał.

Do takich zaczepek wciągał Seklucyan coraz innych pomocników, np. Stanisława Murzynowskiego, który dla niego wytłómaczył r. 1551 „Historię o Franciszku Spirze“ (protestant wyrzekł się herezyi, a potem w rozpaczę zginał); usprawiedliwiał się Murzynowski, że na książce polskiej śmiał swe imię położyć, skoroż tylko z łaciny „dziś pospolicie naukę sądzą“, jakoby w języku polskim, niemożna być żadna rzecz pożyteczna a poważna wypisana, abo, jeśliby mogła, tedyby to krom wszelakiej trudności każdemu, ktoby chciał, przyszło. I ztądże niektórzy za lekkie sobie ludzie wąż ty, którzy co po polsku piszą, zwłaszcza jeśli swe imiona podpisują“.

Jak pisma Seklucyanowe działały, świadczy r. 1555 autor „Nauk duchownych“ dla Zofii Odrowążówny, narzeczonej młodego Tarnowskiego, przestrzegający swoją owieczkę duchowną: „nie dawaj uszu twych ani serca sobie kazić onym to pannam i paniom, które się włóczą z książkami kacerskimi, mówiąc i zwodząc dobre i proste w wierze dziewczeczki stanów wielkich“ (że nie kazał Chrystus świętych wzywać i t. d.). „Nadewszystko radzę, czytaj historie i żywoty świętych, które z łacińskiego języka przełożono na polski nie dla kogo jnego, jedno dla panien i dla pań stanów wielkich, aby, czytając, brały wzór życia... czytaj Żywot Pana Jezusów (Opecia)... miasto tedy niepotrzebnych rytmów i dwornych a świeckich pism,

których czasu dzisiejszego wiele jest polskim językiem drukowanych a zwłaszcza podejrzanym ksiąg i pism kacerskich, a osobno Jana Seklucyana i jinych, których jest mnóstwo puszczo po polsku... nie czytaj jich ani z dworności ani z żartu ani z krotofile ani kwoli komu... nie daj się unosić ani czyją namową ku czytaniu pism i książek pokatnych żadnej pani i wielmożnej, żadnej pannie najwyższego stanu, własnemu mężowi“.

Tak to szerzyły się nowinki pruskie i zmuszały katolików, aby tą samą bronią odpierali napaści. Na owe dyalogi odpowiadali innymi, gdzie student witenberski albo królewiecki, pobity pismem św., uznawał argumenty katolickie, albo gdzie wykładano i uzasadniano naukę katolicką w rozmowie z plebanem czy mnichem. Już roku 1549 uczeń szkół krasnostawskich, Stanisław z Szczodrkowic, pokusił się o taką „Rozmowę pielgrzyma z gospodarzem o niektórych ceremoniach kościelnych“; nastąpiły dowcipniejsza „Komedia o mięsopuście“, całkiem dla sceny przeznaczona, z pobożnymi pieśniami przy końcu aktów, zabraniająca zapustu (jeśli protestanci ten zwyczaj starodawny zachowali, czemuż inne, świętsze, zarzucają), a broniąca celibatu; Kromera „Mnich“ (rozmowa dworzanina z mnichem o rzeczach wiary, w coraz nowych wydaniach i tłumaczeniach na łacinę i inne języki); Korczewskiego „Rozmowy polskie“ r. 1553, jedna o obrządkach (popielcu i t. d.), druga o dziesięcinie i kłatwie, z babą czarownicą, naiwnie do swych sprawek się przyznającą:

W wiliją świętego Jana
Doiłam mleko ze zwona,
Ale tylko jeden szkopiec,
Bo mi nie chciało więcej cieć i t. d.

Tak samo należało katolikom pismo święte do rąk dawać bez głosu protestanckich, więc roku 1556 pojawił się Nowy Testament, a roku 1561 cała biblia, tak zwana Leopoldy, chociaż ksiądz Jan użył gotowego, średniowiecznego przekładu, poprawiając nieco tekst a modernizując język. Taką biblią całkowitą ubiegli nawet katolicy protestantów, którzy dopiero roku 1563 ciężkie działo biblii brzeskiej (kalwińskiej) wytoczyli; zato pozostawali katolicy znacznie w tyle za kancynałami protestanckimi i postylami ich. Seklucyan wystąpił już roku 1547 z pierwszym zbiorem Pieśni duchownych a nabożnych, krótkim, tłumaczonym po części z niemieckiego, niezdarnym; rozszerzył go znacznie i poprawił roku 1559; równo-

cześnie roku 1554 przekładał kancynał braci czeskich ksiądz Walenty z Brzozowa na polskie, chociaż i przekład obfituje w czechizmy (np. żądając *uczastenstwo*, jemż wierne *obżywiuje* a grzechów *umartwiuje* w nowy żywot *splodzuje* i t. p.); ten „kantonał albo księgi chwał boskich“ i t. d. (z melodyami), śliczny druk królewiecki, powtórzono jeszcze dwa razy (1569 i 1589 r.), lecz i przedtem nie lenili się i katolicy wybierać pieśni z kancynału czeskiego i wydawać ich osobno (np. Pieśń o narodzeniu pańskim na świat roku 1550 i t. d.); wreszcie wydał u Wirzbięty w Krakowie r. 1558 Jakób Lubelczyk przekład psalterza całego w „piosneczkach polskich i pięciu księgach“. Postyle, kazania na niedziele i święta — Arzacyusza, krótką i obszerniejszą — Corvina (Rabe Antoni), bardzo popularną, wyłożoną i na litewskie, przetłómaczył **Ostafi Trepka** z Poznania, obok Seklucyana równie gorliwy apostoł królewiecki, który pisma Waldisa (Mleko duchowne dla karmienia i wychowywania chrześcijańskich dzieciąt roku 1556), Wergeryusza, Brencyusza i innych protestantów wykładał na polskie; i Seklucyan zdobył się na postylę roku 1556; lutrową przełożył jednak dopiero Hieronim Małecki, pleban łecki roku 1574. Największej popularności zażywała postyla **Reja**.

Dokończona roku 1556, zamyka ona, wraz z wykładem Apokalipsy św. Jana z roku 1565, opartym o łacinę genewskiej powagi, Henryka Bullingera, całą długoletnią propagandę Reja dwoma najcelniejszymi, najdorzalszemi dziełami, ozdobami polskiej literatury protestanckiej. Gdy wiersze i dyalogi, psalterz i alegorye, odpowiadające wymaganiom chwili, niebawem niepamięć pochłonęła, tak, że znaczną większość ich tylko z tytułów znamy, przeżyły postyla i wykład apokalipsy autora; postyla Rejowa jedyna, mimo obszerności, kilku wydań się doczekała, protestanci śląscy przedrukowali ją (opuściwszy wycieczki antirzymskie) jeszcze roku 1864; rozeszła się ona po całej Polsce, i między katolikami, a nawet na Rusi znano postylę „światocho Reja“; Wujek jeszcze świadczył o niej, że „dla dworności a gładkości mowy języka polskiego między innymi górę otrzymała“. Mylił się wprawdzie Trzeciecki, twierdząc, że Rej w niej „niczym nie allegował dla lepszej pewności jedno Starym a Nowym Zakonem (i wielu ludzi się było tą postylą w prawdzie obaczyło z onych dawnych zwykłych a zawikłanych nałogów starych)“, ponieważ częste są i cytaty z ojców kościoła, które może na karb współpracowników odliczyć należy; nie zmniejsza

sza to jednak jej zasługi. Ciekawa jest już przedmowa, przyznająca, że naród polski, chociaż, jak mówią, z natury ostry i roztropny, ale snadź pośledniejszy za wszystkimi innymi w naukach świata tego, że język jego „nieforemny“ i „zatrudniony“, że „barzo prosta szkoła się tu zniosła do tego“ (dzieła), i powtarzająca maksymę i motto całej pracy życiowej Reja, o kamieniach (prostakach), które wołają, gdy powołani milczą. Sama postyla ułożona organicznie; pierwsza część rozprawia o bóstwie Chrystusowem; druga o obowiązkach naszych; trzecia o świętych pańskich; lecz nie o teologię i dogmata chodzi, głównie stoi moralność na widoku. Stąd żywotność i dostępność książki, unikającej jałowych sporów, a cudnym językiem, malowniczym stylem, szczegółami powszedniego życia nęcącej. Maryi np., która nie uniosła się pychą, gdy jej wielkość jej syna przepowiadano, przeciwstawiał Rej nasze kobiety, które, i bez przepowiadania, gdy się zejda, jedna drugiej o synie prawi, toć będzie pewnie biskup z niego albo wojewoda i przynoszą na to „konfekty i poczty“, tymczasem ów pan biskup albo wojewoda z chłopami w karczmie zasiadywa albo za pługiem chodzi. I podobnych krótszych lub większych obrazków ani się naliczyć.

Apokalipsa, to szczyt prozy Rejowej. I tu czytamy we wstępie:

„Ja, będąc Polakiem a życzliwym narodowi swemu i ojczyźnie tej, która mię, jako własna matka, w pośrodku siebie wychowała, gdyżem widział, iż ini, od Boga obdarzeni, a snadź ci, co im to po winnie należało, mało o tym dbają, musiałem się tym jednym kamieniem uczynić, któryby mówić umiał, powinienby każdy wyznać tę chwałę Pańską, a z strachem się o to pokusić, abych wołał o tej dziwnej wielmożności jego, aby też ta ojczyzna moja, a zwłaszcza w tych zaziębłych krajach a w ludziach mało dbałych, przypatrowała się tym zakrytym tajemnicom Pańskim a temu Bóstwu żadnym rozumem nie ogarnionemu, gdyż bez tego nic dobrego nikomu ani zacząć ani zstać nie może. I pokusiłem się o to, acz z wielkim postrachem, abych też Polskim językiem, jako tako dogrzebając, Braciey swoiey a Narodowi swemu na pamięć zostawił“.

I ona odznacza się niehamowanym językiem przeciw wszystkiemu co rzymskie, tryumfuje, że „nie leda ten handel (rzymski), darmo wzięwszy i drogo sprzedawać“ upada, „jakoż już i dziś na oko widzimy smutek niemały między tymi kupcy, bo im barzo jakoś ta apteka wietrzeje, już w niej tańsze recepta, niż pirwiej bywały“. Jeszcze roku 1900 Niemiec protestant z rozkoszą zbierał te

wycieczki na pokrzepienie wojującego szyku protestanckiego. W Apokalipsie jednak musiał się Rej kalwin już nietylko przeciw Rzymowi, lecz i przeciw własnym towarzyszom wczorajszym obracać.

Dziwne bowiem przechodził zmiany protestantyzm polski w ciągu tych lat kilkunastu. Nie długo trwała jednolitość ruchu. Jeszcze w roku 1554 mógł Stanisław ze Lwowa, układając „apologię wiary krześcijańskiej“ pisać ją „obyczajem rozmowy Polaka z Prusakiem, bowiem z Prus najpierwej kacerskie pismo do Polski polską mową poszło“; w istocie jednak luteranizm pruski trzymał się niemal już tylko miast pruskich, z Gdańskiem i Toruniem na czele, i Wilna, gdzie od Królewca i Rygi wzmacniana, augsburska konfesja, z niemieckimi kaznodziejami i książkami, do XVII wieku przetrwała. Do Wielkiej Polski, gdzie luteranizm również zakorzenionym się zdawał, uszli przed nietolerancyą Ferdynandową bracia czescy, znajdując u Górków, Ostrorogów, Leszczyńskich, walne poparcie, a obrządek ich, chociaż się Luter niegdyś chrześcijaństwem braci czeskich zachwycił, różnił się znacznie od luterskiego choćby co do stanowiska ich duchownych, odpowiadał gruntowniej demokratycznym tendencyom słowiańskim. W Małej Polsce zaś masa nawróconej świeżo szlachty a nawet mieszczaństwa nie zatrzymała się przy luterstwie, lecz stoczyła się ku konsekwentniejszemu, radykalniejszemu kalwinizmowi, a niebawem dała się porwać najkrajcowszemu wirowi. To była wada organiczna protestantyzmu polskiego, który prędko się wzniecił, ale świecił jeszcze krócej.

Teraz zemściło się na nim długie wyczekiwanie. Gdyby protestantyzm rozszerzył się był w Polsce równocześnie, jak w Królewcu i Gdańsku, w latach dwudziestych, byłby już zyskał jakąś organizację, przywódców, którzyby nim jednolicie kierowali. Po roku 1548 w samym ruchu protestanckim zagranicą jednolitości już nie było, i zdawało się wtedy, że protestantyzmowi grozi większe niebezpieczeństwo we własnem łonie, niżli od Rzymu; tak zażarcie zwalczały się mniemania i sekty. Taki to rozszczepiony prąd porwał Polskę, nieprzygotowaną, gdyż niebyło nikogo powołanego, któryby zapanował nad ruchem. Chciwie słuchała szlachta coraz nowych nowinek, wymysłów, argumentów i otworzyła się jej nagle perspektywa, wprost olśniewająca, niebywała dotąd na świecie.

Szlachta ta, po dwuwiekowej niemal walce z tronem i władzą, dobiła się szczęśliwie zupełnego usamowolnienia; *nil de nobis sine*

nobis było już jej świadomem hasłem, i już nurtowały myśli, że do ustawy obowiązującej wszystkich potrzeba i zgody wszystkich; i już powtarzał szlachcic polski dumnie, że nie miał sobie równego w Europie, wszystko chłopci, on jeden królowi swemu „niewiniem ci więcej nic jedno podymne (t. j. dwa grosze z łanu, które chłop, nie pan płacił), pospolitą wojnę (o którą nikt nie dbał) i tytuł na pozwie“. Ten szlachcic autokrata, to królewiatko, był dotąd tylko w rzeczach wiary wiązany tradycją. Teraz uśmiechało się rozbijałemu indywidualizmowi, samowoli, instynktom anarchicznym, że będzie decydował każdy szlachcic sam, co on i Bogu powinien; że on będzie regulował wedle swego widzimisię stosunek obopólny; on rozkazywał, jak jego „minister *verbi Dei*“, gdyż tytuł „księdza“, jako przypominający niewolę rzymską zarzucono, miał wierzyć i uczyć; on zagarniał dochody i skarby kościelne i wydzielał z nich ministrowi swemu, co łaska, a wydzielał na rzeczy wiary tak skąpo, że, gdyby nie Radziwiłł, to i biblij protestanckiej nie byłoby za co wydać. Sługę słowa Bożego uważał on za sługę własnego, i słusznie, gdyż, kiedy ksiądz rzymski bywał szlachcicem i radą, senatem, minister protestancki z najniższych warstw pochodził; Łaski, Lubomirski to świecące wyjątki, reszta to albo wątpliwa szlachta (Krowicki, Wolan), albo obce przybłędy (Stankar, Lismanin, Francuzi i Niemcy), albo miejscy i wiejscy synkowie, którzy do szlachectwa się pięli, jak Kalinowski (bo tak się ze szlachecka przezwiał, chociaż mu się tylko „z Kalinówki“ patrzyło), Grzegorz z Żarnowca, z którego inni szlachcica udziałali, i tylu a tylu innych, Sudrowski np., co to był sobie katem lwowskim, Suderkiem.

I nie było powagi, siły, ręki, któraby rozbieżne koła zahamowała. Żebyż to jeszcze król do jakiejś sekty przystąpił albo jaka głowa kościoła polskiego się oświadczyła — ale biskupi albo z każdej wiary szydzili, albo odgrażali się Rzymowi, lecz po cichu, np. Uchański, który i najstraszniejsze bluźnierstwa na Rzym miotał jeszcze roku 1559 ¹⁾: rzeczywiście apostatowało ledwie dwu dalekich

1) Na pozew rzymski księży „zawieśników“ (kardynałów) odpowiedział on „Jedyną obroną, prawdą Bożą“, tłómacząc i nicując każdy ustęp pozwu, przeciw „nieurzędnemu urzędowi rzymskiemu“, służącemu mamonie; moja przysięga posłuszeństwa papieżowi nie więcej waży, jedno jako starodziejskie zaklinanie; Rzym przesładuje prawdziwą wiarę i chce świat, „słowem Bożym w tych czasach niedawnych lepiej niż przedtem *średnich czasów* oświecony zasię w ciem-

biskupów, bez znaczenia, kijowski i żmudzki. I przemieniła się szlachta polska, od pola, na które już nie wychodziła, w teologów, decydujących o naturach Chrystusowych i wzywaniu św. Trójcy, wedle swego widzimisię, ich normy i prawniczej, jak obcy jurysta, Rojzyusz, z przekąsem konstatował.

Jedyną powagę posiadał Łaski, lecz zwlekał on z przyjazdem do Polski, czekając wezwania królewskiego na próżno. Gdy narreszcie wrócił, zmarnował już był na dalekiej tułaczce i w ciężkich przejściach wewnętrznych i zewnętrznych siły swoje; była to ruina, cień człowieka; trzymał się żelazną siłą woli, lecz niebawem zamknął znużone powieki na zawsze. I głowami protestantyzmu pozostawali panowie świeccy, Boner i Radziwiłłowie, Zborowscy i Sapieha, Górka i Chodkiewicz, a gdy ich życie albo wiara się urywały, i sam protestantyzm ginąć musiał.

A ginął on tem pewniej i rychlej, skoro sam sobie jeszcze grób kopał. Bo gdybyż choć było zostało przy tych trzech obrządkach, jakie przed rokiem 1560 w Polsce się zainstalowały! Luteranie, Kalwini, Bracia Czescy, acz różni nawet w dogmatach, np. o sakramencie ołtarza, mieli przecież jeden grunt spólny, nie targali się na podstawowe dogmaty chrześcijańskie, na Bóstwo Syna, Trój-

ności wciągnąć“; on obłudny, gardzi prawem boskim i ludzkim, ale teraz już nie tak straszny, jak dawniej, kiedy to Bóg świat karał „tą plagą ciemności i niewoli rzymskiej, która się faraonowej równała“; narabiając starym dyabłem, poduszczającym Rzym i żalując, że mszy dotąd nie zarzucił, kończył biskup jawną groźbą: pożał się Boże, że są tu jeszcze, którzy was (Rzymu) słuchają, nie wiedząc co czynią; owa „da Pan Bóg, że rychło i ci się obaczą; ale będą oni was upornie słuchać więcej chcieć, jeszcze z wolej Bożej może ich to potkać, co też takie przed laty w Polsce potykało“ — co to za groźba? czy nie najdawniejsza aluzya do tak zwanego rokoshu gliniańskiego, gdy to niby Granowski wyścinać kazał Polaków-senatorów, schlebiających i potakujących Ludwikowi węgierskiemu? Uchański należy do literatury nietylko przez ten pamflet; wyłómaczył on z *cerkiewnego na polskie* — rzecz niesłychanie rzadka u Polaków, możliwa w ziemi chełmskiej, gdzie się z Rusią stykano — katechezy („pouczenia czyli ogłoszenia uczytelne“) Cyryla, patriarchy jerozolimskiego, księgi o wierze i o świętych „tajnach“, zachowując nieraz terminy słowiańskie. Przekładu dokonał on niemal równocześnie z Janem Grodeckim, który grecki oryginał poraz pierwszy na łacinę przetłomaczył i w Wiedniu, Antwerpii, Kolonii go wydawał. Rękopis polskiego przekładu Uchańskiego posiada biblioteka uniwersytetu warszawskiego; Uchański znał, jedyny z Polaków, dobrze literaturę cerkiewną, cieszył się np. z jej wykład-
du psalmów Teodoreta, poszukiwał rękopisów jej i na Bałkanie.

cę św., nieśmiertelność duszy i ciała. Ale co Luter zaczął, zdzieranie dachu, Kalwin dalej poprowadził, burząc mury, dokonali, burząc fundamenty, Serwet, Ochini, Gentilis, Blandrata, Socynowie, wszystko Włosi, zguba Polski, jak zauważył trafnie Beza. Protestanci, odkrywając właśnie Polskę, jako jedyny kraj wolności sumień, gdzie *cuius regio eius et religio* nie obowiązywało, dostrzegli niebawem, co to „u nas w Polsce, wolno jak kto chce“ w rzeczach wiary znaczyć miało; kacerstwa, prześladowane i tępione, nie tylko przez św. inkwizycję, lecz i przez luteranów i kalwinów (stracenie Serweta, Gentilisa i t. d.) znalazły przytułek, bezpieczeństwo i rozwój w gościnnej, wolnej Sarmacji; tu ściekały, jak do kłoki, wszelkie ryny i herezy, utyskiwano w Szwajcaryi, w Marchii i w Prusiech. Subtelna a konsekwentna mądrość włoskich prawników i lekarzów, stosowana do teologii, wydała owoce, a gdy ci, co je szczepili, uchodzić musieli z rodziny, zwracali wzrok swój ku dalekiej Polsce, ku jej młodemu królowi, który sumień gwałcić nie chciał, jej możnym panom, których ramię przed Rzymem i Genewą chroniło, jej bogatym a gościnnym domom szlacheckim i mieszczańskim. I dziwny, poruszający widok tych starców, ślących z dalekiej Gryzonii do Polski dzieła i listy, taki Negri np., co dla wieku i odległości do Polski nie pójdzie, lecz poświęci Radziwiłłowi tragedję o wolnej woli (roku 1559), paszkwil na katolicyzm, z nadmiernymi pochwałami Radziwiłła, Andrzeja Trzecieckiego, znawcy trzech języków (łaciny, greki, hebrajszczyzny, języków narodowych w języki nie liczono), Reja (za jego Kupca). Negri nie zdążył już ująć do Polski; za to wnosili tam inni to zarzewie dalszych swarów, dla których przygotowywał umysły Piotr z Goniądza, pierwszy polski antitrynitaryusz i nowochrzczeniec; czem w Szwajcaryi i na Morawach nasiąknął, ziarna tych wątpliwości zasiewał on u samych przeciwników swoich; jeszcze fatalniej wpływał luteranin Stankar nauką o Chrystusie, który znajdował przekonanych uczniów, np. Krzysztofa „Przechackiego“ ze Lwowa, autora piśmka „Okazanie tego, iż P. Krystus Pośrednikiem jest Boga i ludzi z strony człowieczeństwa telko“ (1560), chociaż dotąd nie teologią, ale szkołą się parął i język polski dla takich rzeczy jeszcze mu był nie dosyć wypolerowany. Coraz bardziej wznagało się „aryanstwo“; to Piotr Statoryusz (Stoiński później, Francuz rodem, w szkole pińczowskiej i przy tłómaczeniu Biblii Brzeskiej zajęty) odezwie się, że Duch św. nie osobą boską, lecz tylko własnością Boga Ojca,

ze wzywać się Ducha św. nie godzi; to synod sam poleci ministrom, aby w kazaniach wystrzegali się używania „filozoficznych“ terminów (nie istniejących w Piśmie św.), o Trójcy św., o przedwiecznej istności i t. p. Już roku 1560 jedność między protestantami, małopolskimi przynajmniej, najruchliwszymi, była stanowczo zachwiana.

Rok ten przedstawiał szczyt agitacyi protestanckiej, naciskającej zewsząd. Jeszcze roku 1556 zmobilizował był Trzeciejski cały obóz antykatolicki, wyliczając w elegii łacińskiej „o początkach i wzroście ewangelii po zdemaskowaniu antychrysta“ (t. j. Rzymu) jednym tchem od króla aż do „ministrów“ wszystko niemal, co wybitniejszych umysłów w Polsce było i jawnie lub skrycie nowej ewangelii sprzyjało. Odbił bolesny ten sztych Rojyzusz, z jurysty w apologetę się przedzierzgnawszy, swoim „Tysiącznikiem“, gdzie z większym ferworem lecz mniejszym skutkiem „heroów katolickich“ głównie z duchowieństwa samego rekrutował; ci jednak nie wstrzymywali zwycięskiego pochodu nowowierników, nie zbierali się na energiczniejsze wystąpienie. Więc mieli już protestanci własne drukarnie: nie wystarczał Królewiec, nie potrzeba było Lottera w Lipsku, u którego jeszcze Marcin Krowicki swe patetyczne posłania do króla i narodu polskiego przeciw Rzymowi, niby nowy Luter, drukował: teraz miano drukarnie w Pińczowie (Oleśnickich), w Brześciu Litewskim (Murmeliusz), w Krakowie (Wirzbięta), w Wilnie, do których się później przyłączały inne, w Węgrowie, Łosku, Nieświeżu i t. d. Teraz drukowano już w Polsce najzjadliwsze pamflety na katolicyzm, tłómaczone i oryginalne, tak obie „tragedje krotofilne“ Ochina, o papieżu i o „mszey“, które Lismanin wydał, wykazując w formie dramatycznej szatański obu początek, i obszerną Apologię **Marcina Krowickiego**, zbijającego „Krótką odpowiedź“ biskupa krakowskiego (Zebrzydowskiego) stałym przeciwstawianiem krzyża, wiary, pokory i t. d. Chrystusowej a Rzymskiej; pismo tak ostre, że w przedruku po dwudziestukilku latach już się nowy wydawca usprawiedliwiał, jakoby na rzymskie pokrzywy takiego mrozu trzeba było; jeszcze w roku 1602 przetłómaczył ją na niemieckie i poświęcił miastu Rydze Cyryak Moller, przyczem zaznaczał, że mowa jego z ozdobnością polskiej równać się nie może. Krowicki kończył wywody twierdzeniem, że papież to Antykryst, i wydał zaraz (roku 1561) nową książeczkę o tym właściwym obrazie a konterfekcie antychrystowym, rozszerzając pomysł niegdyś husycki, później luterski, wykazując, gdzie jego członki i t. d., a dodając auto-

biografię swoją w wierszu polskim, pierwszy utwór tego rodzaju. Jeszcze większe znaczenie miała polemika, którą spółcześnie włoski eksbiskup i rzymski eksnuncyusz a teraz nadworny teolog wirtemberski, Wergeryusz, z Hozyuszem prowadził. Do Polski zazierał Wergeryusz już od roku 1556; wydawał listy nuncyusza i papieskie, drukował w Królewcu a rozrzucał po Polsce zjadliwe utwory, np. Historię o papieżnicy, bajkę średniowieczną, którą kronika papieżów i cesarzów Marcina z Opawy uświęciła; agitował przeciw Łaskiemu; liczył na króla, który właśnie roku 1560 wysyłał do Tubingi dla nauki „czystej“ wiary kilku młodzieńców. W Czterech Dyalogach (roku 1559) polemizował on z „Osyuszem“, którego *osor lucis*, nienawistnikiem światła nazywał: szydzić z nazwisk i przewierzgać je lubił on nadewszystko, on to wynalazł owe *apostaticus* zamiast *apostolicus*, *Satanissimus* zamiast *sanctissimus* i t. d., którymi się i w Polsce rozkoszowano, bajędy z agend, katolików (pokątnej wiary) z katolików i t. d. Na poły Słowianin wstawiał on się za używaniem języka narodowego dla biblij i liturgii, czemu *Germanopolonus* Hozyusz się sprzeciwiał, twierdząc, że rozumienie słowa Bożego nie konieczne; któryż uczony rozumie choćby psalterz, któryż laik choćby modlitwę pańską? na Rusi i duchowny sam nie rozumie co czyta. Narzecz słowiańskie różnią się; czyż dla każdego z nich tłómaczyć wszystko z osobna? któż zaręczy za prawowierność tłómaczenia? Tu wyłonił się osobliwszy pomysł Wergeryusza, znającego z biskupstwa i rodziny język kroacki; on twierdził, że należy dla Słowian, jak dla Niemców lub Francuzów, wybrać jedno narzecze, najpospolitsze między nimi, i nim zabarwić przekład, więc on pierwszy stara się utworzyć niby język wszechsłowiański i zapowiada wydanie obu Zakonów w języku, który i inni Słowianie zrozumieją, do czego jednak nie przyszło.

Postępowała nawet organizacya kościoła; na synodzie w Książu roku 1560 podzielono kalwińską Polskę na prowincye i powiaty i przedłożyli panowie „porządek zborowy“, który ministrów wykluczał niemal ze zborów; na protesty ich zmieniono projekt, przybrano ministrów do „seniorów“, do starszych świeckich, lecz świeccy stanowczo przeważali. Rosły nadzieje protestanckie; na króla liczono, nęcono go przecież widokiem zerwania nienawistnych ślubów z Austryaczką; liczono na magnatów, nawet Tarnowski uchodził za sprzyjającego nowej wierze; wybitniejsza szlachta była niemal już protestancką; protestancy posłowie wodzili rej na sejmikach

i sejmach; Litwą trzęśli Radziwiłłowie i Kiszka; ze skuteczniejszym oporem duchowieństwa katolickiego już się nie liczono. I mimo wszystkich świetnych widoków:

wiatrem nadziane puknęły nadzieje;

protestantyzm wrzawy i hałasu narobił ogromnego, lecz podstaw nie miał żadnych. Rozbił się przedewszystkiem o bierność ludu, chłopów i mieszczan. Ci żyli się z dawną wiarą, z wiarą ojców, za której kwitnęły sioła i miasta, dobrobyt i wiedza; nieufnie spoglądali na nowego księdza, z żoną i dziećmi roztasującego się w probostwie, zabraniającego postów, zasłaniającego lub wyrzucającego obrazy i posągi, który żadnem nowem objawieniem, żadnymi cudami misyi swej nie popierał, ciału tylko dogadzał, świętych ani czcił ani wzywał, jakby to do Boga samego przystęp był tak łatwy, o Matce Boskiej niczego nie dzierżył, z „deski częstochowskiej“ szydził. Zarzucenie ceremonii, któremi się nabożeństwo chłopskie trzymało głównie, niepokoiło; jakżeż rozpędzać chmury, czem leczyć siebie i dobytek, jak zapewniać obfitość w stodole i oborze, jeśli żadnych „świętości“ nie będzie? do kogoż się udawać, jak nie do św. Agaty od ognia, do św. Rocha od moru, do św. Apolonii od zębów, do błazeków, paschałów, różgi palmowej, kwiecia święconego? A gdybyż jeszcze z nową wiarą kmiotkowi ulżyło! przeciwnie, pan - nowowiernik zdierał jeszcze niemiłosierniej, nie czuł przecież nad sobą żadnej już grozy. Ta apatya chłopów polskich uderzała protestantów, tem bardziej, że w Niemczech właśnie od siół i miasteczek ku nowej wierze najbardziej się garniono. Pytanie to poruszył na synodzie toruńskim roku 1595 ks. Turnowski, opowiadając o ewangeliku, który chłopą pytał, dlaczego nie rzuca rzymskiej wiary z jej widocznymi błędami? Lecz chłop odpowiedział: „azaż się nam czego chce w tej niewoli? Niemamyć my czasu i o Bodze myśleć. Najdą panowie i w niedzielę nas czym zabawić. Już nas z tej ciężkiej niewoli ani Bóg, ani dyabeł nie wybawi. W gorszynieśmy u państwa swego poważeniu, niż bydło. Psią krwią nas nazywają a jeszcze barzej swoje psy niż nas poważają. Już nam tak przyjdzie i na tym i na onym świecie cierpieć“. Na apaty i konserwatyzm słowiański ugrzązł, jak na mieliźnie, protestantyzm polski, który wsi ani się tknął, nawet do miast (Łwów, Przemyśl) nie docierał, u drobnej szlachty, na Mazowszu np., zwolenników nie znajdował. Była to wiara pańska i niemiecka.

Głowy lekko zapalne, skłonne ku naśladowaniu wszystkiego, co nowe, obce, modne, przyzwyczajone do samowoli, zajęło nowatorstwo; „teraz król do kościoła, a większa połowica senatu i dworu, jako złe z trzewika, króla o drzwi kościelne otarszy, do swych borów abo zborów się rozbieżą“, sarkał wójt wileński, Rotundus, roku 1564. I między panami jednak nowa wiara głębszych korzeni nie puszczała; przeszkadzały temu widoki świeckie; pytano się, czy po wypowiedzeniu posłuszeństwa papieżowi i kościołowi nie nastąpi i złamanie porządków państwowych, czy luterstwo, jak Tarnowski mawiał, w loterstwo się nie przemieni? Później przecież sami ewangelicy nie życzyli sobie króla protestanta; król papieżnik dawał im choć tę gwarancję, że kogoś nad sobą uszanuje, będzie się bał przysięgi. W ten punkt bili katolicy: kto się wstydzi być papistą, i regalistą nie zostanie. Jeszcze gorzej skutkowało rozszczepienie protestantyzmu; tryumfująco dowodzili katolicy: zaczęło się to od brakowania nadużyciami kościelnymi, od jubileuszów i odpustów, od mszy i czyścica, od świętych i postów, a skończyło na przeczeniu Trójcy św., bóstwa Chrystusowego, nieśmiertelności duszy i skłaniało się widocznie ku ateizmowi. Sami protestanci czuli ten brak zgody; sromali się na pytanie, któraż to nowa wiara prawdziwa, czy królewiecka, czy genewska, czy morawska? składali na dopuszczenie boże niesnaski, a po cichu próbowali budowania wspólnej podstawy. Z góry jednak wyłączali z niej „Aryan“, brzydzili się nimi gorzej, niż Rzymianami, żądali ich wydalenia — nie dopuszczał Hozyusz; jednych wydać znaczyłoby drugich autoryzować; rozłam między zboiem większym (kalwińskim) a mniejszym (aryańskim) był faktem dokonany. Więc nie pomagała i powaga pisma św., bo któż miał rozstrzygać, jak je wykladać należy? pismo przecież to niby statut, i musi jeszcze ktoś być obok niego, kto je zastosuje i objaśni, nie może pierwszy lepszy uzurpować tej władzy, skoro wszystkie błędy na pismo św. się powołują. Po wyłączeniu Aryan skołatały tamte wyznania jaki taki „konsens sandomirski“, krok nadzwyczajny, w owych czasach, gdzie o literę się kacerzowano, przedwczesny, dla innych kościołów więc nie obowiązujący, a nawet w Polsce samej pozorny raczej, niż istotny, skoro do rzeczywistego złania się zborów nie przyszło; ustawały chyba gorszące, podjazdowe, wewnętrzne walki, gdyż wspólny wróg, katolicyzm, coraz bardziej głowę podnosił. Po konsensie z roku 1570 odniósł protestantyzm polski tylko jedno jeszcze świetne zwycięstwo, gdy

mu się udało, mimo oporu biskupów i Mazurów, artykuł o wolności sumienia (dla panów szlachty) *de pace inter dissidentes servanda*, w pakty henrycjańskie wstawić, roku 1573. Niedbalstwo katolików umożliwiło ten tryumf, wcale już nie odpowiadający stosunkom sił obopólnych; już się protestantyzm cofał, już postradał najwybitniejszych przedstawicieli, Chodkiewiczów, Łaskich, Radziwiłłów; nowych zdobywczy nie robił już żadnych, tracił tylko, co posiadał.

Z obcego tego posiewu na ziemi polskiej wyrzelił przecież dziwny jeden kwiat—aryanizm polski. Opór Łaskiego, a po jego rychłej śmierci, Sarnickiego, nie udaremnił zakusów nowej sekty, luźnej, żadnem wspólnem wyznaniem, obrządkiem, nauką nie związanej, stojącej kilkudziesięciu ludźmi, Piotrem z Goniędza, Grzegorzem Pawłem z Brzezin, bardzo czynnym w latach sześćdziesiątych, Krowickim i Włochami wraz z Statoryuszem. Mimo to reprezentowali ci nowatorzy siłę w społeczeństwie szlacheckiem, rozgorączkowanem swarami o wiarę, o którem „Zgoda“ Kochanowskiego r. 1562 prawiała:

Jęli się sami kazać i żony wéwicyli,
Więc teraz wszyscy każą, a żaden nie słuha;
Spytajże, zkąd apostoł?—Duch, pry, gdzie chce dmucha;

a w roku 1564 „Proteusz“ (Wolana):

wasze biesiady
(Zwłaszcza na wety) o wierze dysputują rady:
A chcą ci być doktormi, co nic nie umieją,
Tym rozumu przybywa, gdy szyję naleją.
Fraszka u was, swarzyć się o Pańską wieczerzę (jak u Niemców),
Powadziła was, słyszę, ona święta Trójca;
Chcecie wiedzieć, jako Syn urodził się z Ojca,
Chcecie wiedzieć, jako duch z Obudwu pochodzi,
A widzę, żeście barzo w tych naukach młodzi...
Ztąd wielkie zamieszania rosta i fasoły;
Drudzy się korda radzą, nie prawdziwej szkoły i t. d.

Z początku poszli tylko ministrowie za nowinkami włoskimi, ale później pociągnęli za sobą i nieco szlachty i mieszczaństwa, Miłkołaja Sienickiego, Demostenesa izby poselskiej, Niemojewskiego (choć brat jego przy kalwiństwie ostro się ucierał z arianami i katolikami; obszerne wywody jego przeciw ks. Herbestowi przetłómaczono nawet na niemieckie— pierwsza protestancka książka polska

o wierze, którą zaszczyt taki spotkał), Taszyckich, Błońskich, Otwinowskich, Lubienieckich, Morsztynów, Potockich i innych. Szeroko jednak arianizm nie wylał nigdy; trzymał się Podgórza, podsycany tu z Węgier i Siedmiogrodu, był i na Litwie, skąd potem w Lubelskie, do Rakowa, się przeniósł, usychając powoli w litewskiej kolonii. Istota tej wiary nie dopuszczała jej szerzenia; ariani polscy konsekwentni byli nie tylko w przeczeniu dogmatów chrześcijańskich, ale, trzymając się samej ewangelii, żądania jej nie na żart wypełniali: nie zabijać (a więc i nie wojować), nie sądzić innych, aby nie być sądzonymi, w imię braterstwa chrześcijańskiego nie dopuszczać niewoli ludu, nie sprzeciwiać się czynnie złemu, unikać marności świeckich, tańców i zabaw, strojów i wymysłów, chrzczyć nie niemowlęta, lecz dorosłych, którzy wiedzą i wierzą, co ślubują Bogu,—przechodziło powoli w dogmata i obyczajowość arikańską. Już roku 1568 spierano się na synodziku litewskim o to, „jeśli się godzi Chrystyaninowi mieć poddane i niewolną czeladź, abo nie”—nazywali się oni Chrystyanami, nie Chrześcijanami, boć „Pan nasz Chrystusem, nie Chrzestusem się nazywa” (wedle Piotra z Goniędza). Strony ścierały się namiętnie; ci ariani, którzy, jak Szymon Budny, odmawiali Chrystusowi bóstwa i dlatego obok Nowego Zakonu Stary promowali, aż się do żydostwa staczali, nie dopuszczali skrajności, urząd, miecz, niewolę i sobie przywłaszczali; inni, którzy Nowego Zakonu nie poniżali, nie poddawali się wymaganiom świeckim i zatrzymali w dziejach kościelnych miejsce między Mennonitami, Kwakrami, Baptystami i innemi racjonalistycznymi sektami. Że taka nauka w świeckiej i światowej Polsce licznych zwolenników zyskać nie mogła, że żaden magnat między tą szarą bracią się nie zjawiał, że garnęli się do niej ludzie z miasteczek, od cechów i kramów, było naturalne. Lecz również wyływały z takiego założenia troski o oświatę, o życie myślące, o zgodę i harmonię, i ariani, acz mała garstka, w literaturze zajęli stanowisko wybitne. **Marcin Czechowic** i **Szymon Budny**, znawca cerkiewszczyzny znakomity, należą do najznakomitszych pisarzy polskich; nie pisywali oni po łacinie, zwracając się do wszystkich, nawet do Żydów; pierwszą polemikę wyznaniową z rabinem żydowskim po polsku odprawił właśnie Czechowic. Dzieła ich tępiąco; były to nie tylko polemiczne, katechizmowe, moralizujące, dyalogi, wiersze, traktaty, lecz były i tłumaczenia Pisma św., jak biblia nieświeska Budnego, który, Białorusin, polski przekład z cerkiewnym porównywał, Nowy testament

i Budnego i Czechowica i in.; oni najwcześniej zbierali pamiątki po swoich mistrzach, materyały dla historii tych „bohaterów chrystyańskich“. Właściwą naukę reprezentował u nich obcy, Włoch, Leliusz Socyn młodszy, tworząc w licznych dziełach teologię Rakowian, ich katechizm, tłómaczony na wiele języków, angielski, holenderski; krańcowe, antyspołeczne dążności uśmierzał on i przeciw Czechowicowi i innym zagorzałcom zwyciężył; żył i umarł w Luławicach; jako Włoch, pisał wyłącznie po łacinie, który to język i w późniejszych dziełach aryańskich przeważał, gdyż dla subtelności dogmatycznych nim się posługiwać należało; wyjątkowo zjawiała się u nich jaka polska książka w tej materii, np. Odpowiedź Piotra Statoriusa na księgi jezuitę Śmigleckiego.

Język łaciński przeważał raz dlatego, że wmieszało się wielu obcych, np. ów Mantuańczyk Stankar, później Niemcy, Szmalcysz i in., wyłącznie po łacinie piszący; dalej, ponieważ do sporów teologicznych znakomicie się nadawał. Żeby działać na tłumy, należało naturalnie pisać po polsku; pierwsze więc dzieła, Seklucjana i Reya, Lutomirskiego i Krowickiego, od których ruch wychodził, były polskie i do rozszerzenia praw języka narodowego walczyć się przychodziły. Później ustawała ta potrzeba, i łacina wracała do dawnych praw. U protestantów pierwszy szereg wymownych głosicieli słowa Bożego niebawem zamilkł, najwybitniejsi, Lutomirski, szlachcic jak Łaski, autor konfesji polskiej, wydanej roku 1556 w Królewcu, zwróconej przeciw „ziemnym, błotnym a glinianym doktorom, muniom a słupom prymaszkarzonym“, „pieńkom a strugałkom malowanym“ (nie znającym prawdziwego słowa) i Krowicki z innymi przeszli do „aryan“; Sarnicki rzucił zniechęcony pióro teologiczne; wytrwali Gilowski, objaśniający katechizm, i piszący kazania; Gliczner, jedna z nielicznych powag luteranów polskich; Łasicki, brat czeski, historyk ich zgromadzenia. Coraz przeredzały się ich szeregi, zapelniane chyba synami ministrów lub jakim śląskim czy niemieckim przybyszem; czasem zaplątał się między nich i stary szlachcic, taki np. Chrzastowski, co sam roku 1574 jeszcze pospółstwo do zburzenia brogu (zboru) kalwińskiego krakowskiego podbudzał, pod Pskowem walczył, a potem najwymowniejszym kaznodzieją kalwińskim został, nigdy w kazaniu ani powtarzając się, ani utykając, i najgorliwszym szermierzem piórem — więc niby Bernatowi Maciejowskiemu podobny, co też z żołnierza biskupem i kardynałem został. Między ową młodszą nieco generacją wyróżniał się **Grze-**

gorz z Żarnowca, choć mieszczanin szanowany między szlachtą „z cnót prawie ewangelickich”, autor postyli, po Reyowej najpopularniejszej dla jasnego wykładu i pięknego języka, którą wraz z Gilowskim przeciwko Wujkowej wydali i wycieczkami przeciw Jezuitom „nafasowali”; obszerne to dzieło miało dwa wydania w XVI wieku, na niemieckie przełożył je roku 1587 Freiherr Heinrich Kürtzbach starszy, w XVII wieku zalecał je synod ministrom, nieumiejącym po łacinie, a jeszcze r. 1864 wydał ją ponownie dla protestantów śląskich ks. Th. Haase; ciekawa w niem częsta obrona Reya przeciw Jezuitom, szydzącym z „dworzanina i doktora apostackiego kościoła”, co swój żywot „w żarciech, karciech a rymowaniu strawił, nie teologii się uczył”; Grzegorz wskazywał Chrystusa, który z celników i rybaków, nie w piśmie uczonych, apostołów wybierał, Mojżesza, który również był dworzaninem, nie teologiem. Obok postyli wydał on cały szereg dzieł i dziełek polskich, to w jej obronie, to przeciw Aryanom i katolikom, zawsze wymownie i cięcie. Dalej Piotr Artomiusz (Krzesichleb), piszący również po polsku, piosneczki i kazania; brat czeski Turnowski, po Jerzym Izraelu, Żydzie niegdyś, pierwszym organizatorze ich zborów polskich, najznakomitszy; ów niby kat lwowski, Sudrowiusz, wykładający pacierz roku 1580 i t. d.

Z bogatej literatury różnowierczej XVI wieku zaginęło niejedno, najciekawsze nawet; są pisarze, po których dziś niczego dotąd nie odszukano, taki rajca niegdyś wileński, stary Łukasz Mundius np., który z wójtem wileńskim Rotundem po polsku i po łacinie polemizował, aby się w wiarach rozejrzeć, po świecie jeździł i bywał na Morawach, aby dla swych arian przypatrzeć się trybowi braci morawskich, i nadzwyczaj ich polubił; lecz oni ariana wyświecili; albo Daniel Bieliński, później minister wileński, co dla zohydzenia nowego testamentu, staremu folgując, sto trzydzieści dziewięć sprzeczności między ewangelistami wyliczał, do żydostwa i turectwa pomykał; o innych autorach i dziełach nawet takich szczegółów nie znamy, chyba, że na indeksach ksiąg zakazanych figurują. Ciekawą zaś jest ta literatura dla historyi nie dogmatów i obrządków, lecz obyczajowości polskiej: we wzajemnych napaściach, gwałtownych i nieskromnych, objawiają się ci ludzie, jak żyli, mówili, myśleli, aż do najdrobniejszych rysów, jeśli np. Wolana pomawiają, jakoby on do czarów dyabelskich się udawał, gdy mu sto złotych ukradziono, a Łasicki go bronił, że nie dyabła przy tem wzywał, lecz dla obja-

wienia kradzieży ser połykać kazał, i to nie on nawet, lecz jego znajomy ¹⁾). Wszystko się tu odnajdzie, od żaczka, z garnuszkiem, pod oknami mieszczeni pieśń nabożną *pauperibus* śpiewającego, przez cały tryb szkolny, aż do wystąpienia jego w licznym orszaku szlachty i mistrzów, gotujących się do dysputacyi publicznej z Jezuitą; od ciekawych szczegółów historycznych, np. że na Litwie nie Radziwiłłowie dopiero protestantyzm szerzyli, lecz przed nimi Kieźgajło to czynił ²⁾), aż do wiadomości literackich i innych.

Lecz ta literatura jest nie tylko kopalnią niewyczerpaną najrozmaitszych rysów obyczajowych i innych; ważną jest i jako wymowny dowód ostatecznego przepolerowania języka.

Oto jak pisał Orzechowski (do Stadnickiego) o kacerzach w r. 1560: „Ej, miły Panie (Boże), cóżes wždy na naszą Polskę dopuścić? Oto ci zbiegowie pogańscy, mahometanie jawni, chłopi nikczemni, ludzie przez wiary, przez sumienia, przez gruntu i przez prawdziwej nauki, zapługawili nam w Polsce wiarę, którą nam ojcowie nasi mili po sobie zostawili... a pan Stadnicki rzuci prawie w czac duszę swą między kacerze te, aby ją duźszy i jadowitszy kacerz sobie miał i dyabłu dał... Oto w Polsce jakoby króla nie było; sprzysięgania jawne się dzieją, tak, iż też przeciwnej strony ludzie sprzysięgają się nie jeść ani pić, nakoniec ani Pomagabóg mówić przeciwnej stronie, sędziego nie mieć, jedno człowieka sekty swojej, nie apelować od niego, nie słuchać starosty... Bo co się teraz w Polsce dzieje!... Owo, by król Zygmunt wstał z martwych, pewnieby tak rzekł: żem ani ja, ani przodkowie moi w tej Polsce królowali, nie tom ja królestwo synowi swemu był zostawił. Jam był Polakom zostawił obyczaje stare, wiarę starą, całe kościoły, nieodarte ołtarze, duchowny stan cały; tu teraz widzę, że plebany wygnano, nadania kościelne pobrano, ołtarze zburzono, kościoły zchlewiono, wiarę zturczono, urzędy zwojowano; za mnie w Polsce urząd albo od kró-

¹⁾ Przesąd to dawny; „Jeżeliś syr dawał święcić i on w piątek ludziom jeść dawał dla doświadczenia się w kradzieży“? pytał Zbiór generalny grzechów z roku 1776.

²⁾ Seklucyan poświęcił katechizm królewiecki z roku 1547 Kieźgajle, stolnikowi, acz mu nieznajomy, dlatego, że „raczyłeś k sobie uprzejmie nakładem swym ludzi uczonych a kaznodziei prawdziwych słowa Bożego wezwać, naprzód w Litwie, niż kto iny słowo Pańskie od nieprzyjaciół Bożych wyrzuczone, zatłumione i podeptane zalecać, wychwalać i przyjmować“ i t. d.

ia polskiego abo od rzymskiego papieża szedł, tu teraz widzę nowe urzędy, nie wiem zkąd, widzę, iż wybierają sobie niektórzy sami przez się biskupy i ministry, a czemu też i nie króla“?...

Lecz Oksza (siekiera) Orzechowskiego trafiła na sęk gładki, i oddał mu przyjaciel niegdyś serdeczny, Krowicki, piękne za nadobne, pisząc między innemi: „Plebanów też waszych nie wyganiają, ale sami przed Chrystusem ukrzyżowanym i słowem Jego prawdziwym uciekają, abowiem chłopci z pleszami (tonsurami) nic nie umieją, jedno beczyć, mszyć, plesze i brody golić, kucharki chować, przed bałwany dudkować i po gospodach biegać, siadać i gorzałki szynkować... O papieżu, drugim panie w Polsce, nie chcemy nic wiedzieć, abowiem gdzie dwu panów rozkazują i rządzą, nie bywa tam dobrze: dosyć mamy na panie jednym, od Boga nam danym, abowiem papież nie ma żadnego prawa na Polaki sprawiedliwego, jedno tylko ma prawo złodziejskie, łotrowskie i dyabelskie, którym króle i pany tego świata zmamił, podszedł i zhołdował, iż się tej mersze rzymskiej kłaniają... toć jest on wieprz dziki, byk tłusty, ono drzewo bez owocu, on wilk, niedźwiedź i smok, pies niemy, złodziej i łotr chytry, grób pobielany, syn dyabelski, mężobójca zdradliwy, prorok fałszywy, którego Bóg brzuch jest, a chwała jego w posromoceniu... o uchowaj nas, Panie Boże wszechmogący, tego sędziego ślepego i syna zatraconego, który siedzi w kościele Bożym i uzłocił się złotem, srebrem i kamieniami drogiemi, aby mędrce tego świata zmamił i osiadł i wspiał się naprzeciwno Bogu nawyższemu nie inac, jedno jako on Lucyper... A iż też jeszcze piszesz, iż mnisi są zębaci — i my tak o nich trzymamy i rozumiemy, a wiesz czemu? powiem. Abowiem je Duch św. tak zowie, -dzikimi albo leśnymi wieprzami, którzy kły swoje naprzeciwno Królowi i Panu nad pany wyszczerzyli i pyski swoje wzgórc podnieśli w niebo, które Pan Bóg duchem ust swoich porazi i zetraci, abowiem nie macie uczonej wiary, ale macie wiarę, jako powiedasz, przyrodzoną od matek, od mamek i od bab, t. j. wiarę cielesną, zmyśloną i dyabelską... A iż nas też zowiesz nikczemnymi niemotami, ludźmi przekłętymi, wiecznemu potępieniu poślubionymi, mordercami dusz ludzkich, wilkami jadowitymi... gdzie też przykładasz księdza Łaskiego nieboszczyka, człowieka świętego, przed którymś ty w Pińczowie nie umiał, kiedyś się z nim gadał, i sameś to tym twoim plugawym językiem natenczas wyznał, a naostatek, klękawszy przed nim, kołanaś jego i ręce całował, mówiąc do niego te słowa: te ręce zwy-

ciężony tobie, mężu Boży, oddaję — czyniłeś to, jako Judasz, kiedy Chrystusa syna bożego zdradzał“ i t. d.

Do takiej to mocy i jasności doszedł ów język w prozie; nie w poezyi, chociaż pieśń religijna, zaniedbana nieco od początku wieku, po roku 1548 już dla celów propagandy gorliwych znachodziła czcicieli. Pojawiały się odtąd u „Łazarza Jandrysa“, Sibenejchery i innych luźne pieśni i psalmy—najrozmaitszych autorów, przeważnie protestanckich, pieśni, które kancyonały protestanckie jeszcze w XVII wieku powtarzały. Autorowie ich albo oznaczani literami M. R. (Mikołaj Rey), A. T. (Andrzej Trzeciecki), J. L. (Jakób Lubelczyk) i t. d.; albo z anagramu, t. j. z pierwszych liter strof czy wierszy, wypłyne to „Jan Dziki, lutenista gdański“, to „Pomóż Panie służyć twemu Andrzejowi Trzeciekiemu“, to „Zofia Oleśnicka z Pieskowej Skały“ (choć nie ona sama jest autorką tej pieśni, tylko wielbiciel jej dla niej ją napisał), to „Jeronim Bużeński“, możny żupnik wielicki, to „Lament Jeronima Szafranca“, starosty chęcińskiego o śmierci syna jego i t. d.

Lecz jakżeż zachowywał się katolicyzm wobec tego najazdu sekt i wiar najrozmaitszych, gdyż Polska—szydził Rotundus—to wendeta (tandeta) nie tylko strojów i mody całego świata, ale i dogmatów jego? Z początku nader obojętnie; kler wyższy, zeświecczony, dbał o wygody i używanie; wierz i w kozła jeżeli chcesz, płac mi tylko dziesięcinę—mawiał biskup krakowski (Zebrzydowski, prawiący wobec lutra o „jakieś tam różnicy w wierze“, choć się później na ostrą odpowiedź Krowickiemu zdobył); kujawski, Drohojewski, o którym twierdzono, że się jawnie z pięknąszwagrową ożenił, mawiał do kaznodziei, grożącego wyrwaniem kąkolu: ostrożnie z tem, szczególnie u nas, gdzieś żadnej pszenicy ani widział, ani się takowej spodziewam. Lecz znaleźli się i w tym episkopacie, urosłym z symonii (zakładała się przecież Bona z duchownym o 20000 złotych, że zostanie biskupem tam i tam) i protekcji, co oparli się energicznie, nie tylko fanatycy, jak przemyski, Dziaduski, niemogący ścierpieć księży wykształconych, greczyneków, lecz i światli a cnotliwi, jak **Hozyusz i Kromer**. Obu wymieniał razem już roku 1543 Orzechowski, jako zaszczyt kościoła polskiego; obaj występowali na polu piśmiennictwa—dawniej z wierszami humanistycznymi, teraz z pismami apologetycznymi najdonioślejszego znaczenia, obaj wreszcie zawiadywali tą samą dyecezyą i złutrzaniu jej zupełnemu jedyni przeszkadzali; obaj byli wreszcie mieszczana-

mi; Kromer był tylko więcej dyplomatą i historykiem, Hozyusz apostołem i reformatorem; ów kościołowi polskiemu, ten, jako prezes soboru trydenckiego, powszechnemu służył. Hozyusz, jak z całego duchowieństwa największych wpływów, tak zażywał ze wszystkich autorów polskich największego rozgłosu; jego „Wyznanie wiary katolickiej”, złożone na synodzie piotrkowskim roku 1551, doczekało się najliczniejszych przedruków i tłumaczeń: gdy je w roku 1560 w Wiedniu wydano, „rozeszło się 1400 egzemplarzy w kilku dniach, zatem je drugi raz tegoż roku w Wiedniu przedrukowano“; *Confessio* ta i inne rozchodziły się w tłumaczeniach czeskich, niemieckich, francuskich, holenderskich i angielskich — pierwszy światowy sukces pióra polskiego; Hozyusz sam po polsku nie pisywał, chyba listy do dworu królewskiego, polskie wydania tłumaczyli inni z oryginałów jego łacińskich; polemika jego, choćby z Łaskim, przyjacielem i mecenasem niegdyś, nie przekraczała nigdy granic przyzwoitości; tem ostrzej napadał na niego Łaski, stałe go „Caligula“ od nazwiska (*Hose* = *caligae*) przezywając.

Lecz współpracowników obaj prawie nie mieli. Akademia krakowska, twierdza katolicyzmu, niegdyś tak gorliwie Husytów zwalczająca, zaśniedziała w swojej średniowieczyźnie, w Arystotelesie i Lombardzie (którym się jeszcze Stankar zachwycił i nad stu Lutrów go przekładał), nie dorastała potrzebom nowym — „napróżno ważyłem się uczyć owych zastarzałych zagadek szkoły krakowskiej, wnioski z Arystotelesia i reguły dyalektyczne z Piotra Hiszpana“, twierdzi Sylwester w dialogu Czekanowskiego (pseudonim) „O zepsuciu obyczajów u papieżników i ewangelików“ (około roku 1562¹⁾. Na szkołę skarżono się powszechnie: wedle Ossolińskiego (na sejmie piotrkowskim r. 1563), w taką się jaskinię łotrowską obróciła, że ludzie stateczni chronią się synów swych dawać, bo więcej złych, aniż dobrych, obyczajów się uczą; toż samo powtarzał Siennicki roku 1565, „jako to wszystko opustoszało, jako z wielkim nakładem młodzież do innych krajów ślać trzeba, bo doma w Polsce niemasz

¹⁾ Dialog nadzwyczaj ciekawy, pełny aluzji do rzeczy społecznych, niezawsze dziś zrozumiałych, opowiada horrenda o obu stronach, biskupie, który, napominany by się wyrzekł „Epikura“, wołał: *lassa me godere di questo episcopato*, o innych zagłuszających trzask upadającego kościoła biesiadami głośnymi i t. d.

się czym bawić... anoby czas już Polakom inną łaciną nauczyć się mówić aniż oną dawną polską, z której gdzieindziej się śmieją“. Najczarniej jednak malują stan szkoły katolicy sami; tak np. czytamy w instrukcyi na synod spółczesny skargi na nieuctwo księży, których kazania panowie słusznie bajkami nazywają, którzy używają samych starych szpargałów (*Dormisecure, Vademecum* i t. p.). Akademię krakowską zagarnęli plebejusze, nienawidzący nielicznych między nimi szlachciców, jak węzów, mszcząc się na nich za wykluczenie plebejuszów z kapituł; gardzą nimi właśni uczniowie; oni czytają przed jednym słuchaczem, nieporządnie, barbarzyńskich Wojciechów (Wielkiego z XIII wieku), Cezaryuszów, mieszając wszystkie fakultety, a żadnego nie znając (mistrze awansowali bowiem od filozofii do innych wydziałów); upada już słynne niegdyś studyum astronomii; śmieją się z nas powszechnie dla rzeczy, których tu uczą. Mistrzowie promowują tylko swoich; starsi nic już nie robią; czytają ledwie raz w kilka tygodni albo dają się zastępować; prawda, że filozofowie mają bardzo szczupłe dochody, i tych im nawet nie płacą. Biskupi muszą się podjąć reformy szkoły, zdolnego rektora powołać, a w razie potrzeby i mistrzów z zagranicy, jak i dawniej bywało.

Wobec takich stosunków w kraju należało się chwycić środków radykalnych i transfuzją obcej krwi odświeżyć organizm kościoła polskiego. Powołano więc Jezuitów. Wspominała o tem już owa instrukcya, ale nie wiele sobie po tem obiecywała, gdyż to obcy, nie nasi, chyba że szkoły całkiem przez to opustoszeją. I rzeczywiście, nowy zakon, sami cudzoziemcy, Niemcy i Hiszpanie, Anglicy i Włosi, zdobywał sobie, mimo najdzielniejszego poparcia biskupów, Hozyusza, Noskowskiego, Protasowicza, powoli a żmudnie uznanie; pierwsze jego szkoły świeciły narazie pustkami; drwiąco spoglądali różnowiercy na nową „sektę“ Lojolitów, jak ich jeszcze najłagodniej przezywali. Ale rygor, poświęcenie, zapał nowych zakonników, tak odmiennych od wszystkich dawniejszych, porywał i opornych, przełamał i apatyę i niekarność słowiańską; ich wiedza i metoda, nowe podręczniki i obszerniejszy program, znakomite, wszechstronne oddziaływanie na młodzież zapewniły ich szkołom niebывały sukces; nawet protestanci sami, pewni, że ich synom to nie zaszkodzi, skoro ojcowie sami z Rzymu do nowej wiary drogę odnaleźli, oddawali dzieci do ich szkół. Zbyt późno spostrzegli się ministrowie, co za niebezpieczeństwo nowym wiarom

od tych wychowanców jezuickich groziło; przetłómaczyli więc dla przestrzeżenia niebacznych rodziców pisemko jeneńskiego profesora Miliusza, posługującego się tymi samymi argumentami przeciw szkołom jezuickim, których później Broscyusz za akademią zażywał. Nicował on bezpłatność ich w końcu bardzo kosztownych szkół, na które się ofiarność obywatelska składać musi; przyznawał wprawdzie, że młodzież wprawiają prędszej, niż inni, „w naukę i języki“, skarżył się jednak na zarozumiałość uczniów, którzy „insze za proste Biernaty mają“, przeświadczeni, „że więcej u nich w pięcie, niż u drugiego w głowie“, i tylko to uznają, czego się nauczyli „u swych bakulów rogatych“. Nadmierną odpowiedzialność biorą na się rodzice, dufające w to: umie (syn) katechizm, *ergo* może u Jezuitów bezpiecznie mieszkać; kazał się „jako biesa strzedz Wyzuitów“. Przestrogi przychodziły po niewczasie; już młodzież należała do Jezuitów i Rzymu; już zeznawał Chrzastowski roku 1591, strofując ostro niebacznych rodziców: tuszą sobie Jezuitów, że, gdy tylko powymierają starsi, między panami i śladu „czystsze go chrześcijaństwa“ się więcej nie odnajdzie. I nie pomylili się Jezuitów.

Siłę ich stanowiło ich poświęcenie bez granic, posłuszeństwo ślepe, kierownictwo wytrawne, nie trzymające się pewnej modły, nie zacieśnione do jednego pola działań, lecz zażywające każde *ingenium* wedle jego zdolności, wypychające tych do dworów pańskich i królewskich na spowiedników, owych do szkół, posuwając ich wedle lat i zasług, innych na misye do Rusi, na Litwę, między ludem katolickim, dopełniając, czego zaniedbali duszpasterze powołani; inni organizowali uczynki miłosierne, odwiedzali szpitale i więzienia lub wyzywali heretyków na dysputy publiczne; jeśli heretycy się nie zjawiali, rozdzielali Jezuitów między sobą ich role i akt publiczny odprawiali; działali na wrażliwy umysł i fantazyę młodzieży i ludu wystawnością nabożeństwa, muzyką, śpiewami, procesyami, widowiskami dramatycznymi, wciąganiem do programatów szkolnych (na koniec „bakchanaliów“, zapust, na święta patronów zakonnych, na Boże Ciało wystawiano z wielką okazałością udratyzowane legendy i alegorye); wreszcie bractwami rozmaitemi. Dobór osób, ściśle a długoletnie próby nowicyatu przesiewały najlepsze *ingenia*. I zerwało się wszystko, co zdolniejsze i gorętsze, do Jezuitów i zajaśniały między pierwszymi nazwiska Stanisława Warszawickiego, ucznia niegdyś Melanchtona i Witenberga, pierwszego niegdyś tłumacza greckiego Heliodora (romansu Etyopik) na

łacinę, teraz tłumacza dzieł ascetycznych Ludwika z Grenady, kaznodziei i Bogomodlca natchnionego, który młodego Zygmunta w szwedzkim otoczeniu kacerskiem od herezyi sześć lat strzegł; św. Stanisława Kostki, towarzysza jego w zakonie; Marcina Later-ny, Rusina z Drohobycza, męczennika za wiarę w Szwecyi, który Batoremu po łacinie, a dworzanom po polsku kazał, zastępując stale Sokołowskiego chorego, a wydał polski modlitewnik z pieśniami, „Harfę duchowną“, liczący niebawem wydań szesnaście i zwalczany ostro, lecz daremnie, przez protestantów; dalej Benedykta Herbesta z Rusi, niewyczerpanego w walkach z herezjami, w książkach moralizujących, pierwszego promotora unii ruskiej; Stanisława Grodzickiego, znakomitego kaznodziei, obrońcy kalendarza gregoryańskiego; Lwowczyka Wuchaliusza, tłumaczącego również Grenadę, i tylu a tylu innych. Jezuici ci wydawali pisma polemiczne i pod obcemi nazwami, taki Łaszcz pod kilkoma, i inni; wszystko żywo, dowcipnie, ostro, choćby owe broszury Sawickiego, pod nazwiskiem Gołubskiego wydane, pełne i żółci i soli. Oni to nawracali magnatów i przekupki; pod każdym rokiem zapisuje kronika domu krakowskiego św. Barbary córki i synów, a choćby i samych ministrów nawróconych, a oprócz tego nazwiska Chodkiewiczów, Radziwiłłów, Gostomskich, Opalińskich, Mieleckich (co to Skargę, gdy mu powrót bliski do katolicyzmu zapowiadał, z mostu zamkowego zrzucić chciał) i innych.

Najwydatniejsze zasługi około literatury katolickiej polskiej położyli dwaj z nich, Wielkopolanin **Wujek** z Wągrowca i Mazur **Skarga** z pod Warszawy. Obok ks. Białobrzeskiego z jego zbyt ciężką, niepopularną więc postylą stanął Wujek z większemi i mniejszemi postylami, zbiorami kazań własnych, które pierwsze poderwały wziętość postyl kacerskich, Reyowej i innych; w samym XVI wieku wyszły one aż cztery razy i przetłumaczono je na czeskie, a ks. Dauksza wyłożył je na język żmudzki; była to pierwsza większa rzecz katolicka w tym języku (1599). Wujek, który kazalnicy na szkołę rychło zamienił, gnany aż na Siedmiogród dla urządzania i kierowania kolegiami rozmaitemi, oddał ostatnie swe lata w Krakowie tłumaczeniu pisma św.; dawna biblia Leopolicy, acz i w drugim wydaniu nieco poprawiana, nie odpowiadała czasowi już samym językiem przestarzałym, protestanci wygrywali już samą gładkością stylu swoich biblii, Nowych Testamentów i psalterzów; należało im przeciwstawić coś doskonalszego. Nie doczekał się Wujek

wykończenia biblij, już po jego śmierci ofiarowali Jezuici królowi, który im wtedy właśnie kościół św. Piotra i Pawła budował, Biblię o 1500 stronicach roku 1599, jedyne dotychczas aprobowane tłumaczenie katolickie, „mając ono przed oczyma, co niekiedy Izajaszowi św. rzeczono, żeć nas Bóg nie do obcego i nieznanego języka ludzi posłał, ale do braciej naszej, ludzi jednegoż narodu, kość z kości, ciało z ciała, krew ze krwi polskiej, na to abyśmy naszej ojczyźnie miłej we dnie i w nocy służyli“!

Jeszcze znamienitsze są zasługi księdza Piotra Skargi. Obok Harfy Laterny, Postyli Wujka, stały jego Żywoty Świętych, jako czytanie domowe katolickie i zatrzymały do dziś, po dwudziestukilku wydaniach, znaczenie swoje. Mniejszego rozgłosu nabyły jego kazania, z góry przeznaczone dla kół szczuplejszych; lecz właśnie te kazania, to szczyt wymowy religijnej polskiej. Nie goniąc za efektem, prosto a skromnie, bo takim był i człowiek, ale rzewnie i wzruszająco, przemawiają natchnione słowa jego i dziś jeszcze do czytelnika; stroniąc od wszelkich subtelności, od świeckich przydatków, równie od rubaszości późniejszej, jak i od jej dworności i sztuczności oddalone, pociągają one, przejęte prawdziwą wiarą i pobożnością, myśl i serce. Kaznodzieja nadworny nie schlebiał nikomu, ani królowi, ani możnym, ani narodowi; nie dawał się zaślepiac powodzeniom chwilowym; ojciec sumienia, roztrząsał on je ludowi swemu; gdy miał za świetne Zamoyskiego zwycięstwo hołdy składać dziękczynne, przerywał tok tryumfującej myśli a zwracał się do ciężkich grzechów i win narodowych, do opuszczeń lekko-myślnych, które wojnę wywołały, i zamiast próżność narodową głaskać, wybuchał żałami i skargami. Tak samo, gdy widzi przed sobą zebrane głowy narodu, panów możnych, dzielnych, mądrych, nie cieszy się on ani raduje na widok kwiatu narodu, ale wytyka przed nimi ogólne braki, winy i grzechy tak ostro i tak otwarcie, że oburzają się katolicy i wniosą — przynajmniej wedle zeznań kalwinów, Górajskiego i Dorohostajskiego — artykuł przeciw Jezuitom na konfederacyi Sandomierskiej, „iż się w sprawy świeckie na dworze i publiczne wdawają, na kazaniach zachwalając *absolutum dominium*, wolność i porządki Rzeczypospolitej gania“. W wydaniu Kazań przygodnych, gdzie się osiem sejmowych pojawiło, drugim z roku 1610, wypuścili nawet Jezuici szóste, „o monarchiej i królestwie“, uchodząc owych przytyków. Kazania sejmowe, nie przeznaczone dla jakiejś specjalnej kadencji, tworzą rodzaj całości.

Pierwsze, wstępne, uczy zgromadzone stany mądrości, skąd jej czerpać, przy widocznym nierządzie, przy braku władzy u króla—a cóż bez władzy i Salomon mądry poradzi? — przy próżnej stracie czasu i kosztów waszego sejmowania, przy nadchodzącej grozie tureckiej. Drugie—o miłości ojczyzny, bo teraz rozbiera kaznodzieja po szczegółach wszystko, czego brak uczuwać się daje i zaczyna od niemiłości kraju, od niesytej nigdy zachłanności. W trzecim wytyka brak zgody, psujący państwo z wewnątrz, nader niebezpieczny. Że katolicyzm upragnioną jedność i zgodę wyłącznie zachowuje, że religia i władza duchowna jest podstawą państwową, dowodzi czwarte choćby teokracją Starego Zakonu albo ruiną węgierską; na skale Piotrowej zbudowane królestwo nasze, a kacerstwa roztrącają państwa, co piąte kazanie bliżej rozwija. Szóste wykazuje potrzebę władzy: i Pismo św. i prawo natury takiej się domagają, despotyzm nawet byłby dobry, gdyby despota tylko był zawsze mądry a cnotliwy; ponieważ tej pewności osiągnąć nie można, mamy monarchów, ograniczonych prawami i radą, ale prawdziwa złota wolność to nie samowola nieokiełznana, panująca w Polsce, lecz poszanowanie prawa. O prawach siódme traktuje: naturalnych, duchownych i świeckich, mających moc boskich, ale nieważnych, jeśli się ich nie wykonywa, jako u nas, my „karty mażem a papier ukazujem, a postaremu w nierządzie żyjem: na czym to królestwo i ludzie w niem bardzo chramie. Mówić, pisać, wywodzić umiemy a czynić najmniej“ (jest to późniejsze: przegadaliście, przedysputowaliście ojczyznę waszą). Są jednak i prawa niesprawiedliwe — tutaj obok praw czyli przywilejów rzeczywiście zgubnych, jak niewoli poddanych, nie więzienia nikogo, chyba prawem przekonanego, odsyłania spraw głównych do krótkich a swarliwych sesji sejmowych (pisane to, jakby trybunały koronne i litewskie jeszcze nie funkcjonowały), wymienia Skarga i prawa, gwarantujące wolność sumień — przeciw konfederacyi roku 1573 bił on i osobnemi, wymownemi pismami i ujmował się za tymi, co zbory burzyli, a na Aryany przeżarł go gniew świątobliwy; więc chociaż do gwałtów nie wzywał, w duchu czasu przeciw tolerancyi stawał. W ósmem, imponującym zakończeniu, wyliczał, co wszystko w Polsce bezkarnie uchodzi.

„Przełożę wam i ja, niegodna proroczyńska wasza, niesprawiedliwości, krzywdy, potwarzy, zdrady, któremi to królestwo i obywatele jego uwichłani są, a wychodzić z nich i poprawować się nie chcą, dla których ziemia ta was podobno wyrzuci, a Pan Bóg innym ją na-

rodem osadzi, a od was i synów waszych królestwo odejmie i da je obcym, nieprzyjaciołom waszym, pogubiwszy was i syny wasze, jeżeli się nie upamiętacie". Tu należy „ona krew albo pot żywych poddanych i kmiotków, który ustawicznie bez żadnego zakreszenia ciecze, jakie wszystkiemu królestwu karanie gotuje? Powiadacie sami, iż nie masz państwa, w którymby bardziej poddani i oracze uciśnieni byli, pod tak *absolutum dominium*, którego nad nimi szlachta bez żadnej prawnej przeszkody używa... tak to królestwo poddane robaczki nędzne, z których wszyscy żyjem, opatrzyło... Jako ziarna pod młyńskim kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swymi. Jeżeli nie kupni ani pojmańcy, jeżeli Polacy tejże krwi, nie Turcy ani Tatarzy, jeżeli Chrześcijanie, czemuż w tej niewoli stękają? Czemu ich nie jako niewolników, ale jako najemników używać nie mamy? Na twojej roli siedzi, a źleć się zachowa, spadź go z swej roli; a wrodzonej i chrześcijańskiej wolności mu nie bierz i nad jego zdrowiem i żywotem panem się najwyższym sam bez sędziego nie czyni... A my wierne i święte Chrześcijany, Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą znie-
 wałamy i jako okupione bydło, gdy dla swej nędzy uciekać muszą, pozywamy i gdy żywności swej indziej ubodzy i znędzeni szukają, okup na nich, jako Turcy za więźnie, wyciągamy. Czego we wszystkim Chrześcijaństwie nie słysząc... Jakoż się z takim prawem wszystkiego na świecie Chrześcijaństwa nie wstydzić? Jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy Boskie ukazać? Jako się nie bać, aby nad nami na pomstę od Boga poganie takiej mocy i *absolutum dominium* nie używali“?

Obok tak groźnych wyrzutów stają równie groźne prorocтва:
 „I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obróca... Bo wszyscy z domy i zdrowiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą. Ziemie i Księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą... Odbieżą was, jako chałupki przy jabłkach, gdy owoce pozbierają, którą lada wiatr rozwieje, i będziecie jako wdowa osierociła, wy coście drugie narody rządzili, i będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim. Język swój, w którym samym to królestwo między wielkimi onemi słowieńskimi wolne zostało, i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu tak starego i po świecie rozkwitnionego, potracicie i w obcy się naród,

który was nienawidzi, obrócić, jako się inszym przydało. Będziecie nie tylko przez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnaćcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, które popychać nogami, tam gdzie was pierwszej ważono, będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności i rozkoszy mieć mogli? Urodzi-li się wam i synom waszym taka druga matka? jako tę straciecie, już o drugiej nie myśleć“.....

„Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo? kto tu na was ze wszech stron królestwa zebrane i na głowy ludu patrzy i wasze obyczaje i sprawy widzi, domyslać się może, jakie niezbożności i grzechy po wszytkiej koronie panują. Bychbył Izajaszem, chodziłbym boso i na poły nagi, wołając na was, rozkoszniki i rozkosznice, przestępniki i przestępnice zakonu Bożego... Ustawicznie się mury Rzeczp. waszej rysują a wy mówicie: nic, nic. Nierządem stoi Polska! Lecz gdy się niespodziejecie, upadnie i was wszystkich potłucze... Bójcie się wżdy tych pogroźek. Jać objawienia osobliwego od Pana Boga o was i zgubie waszej nie mam; ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abym wam złości wasze ukazaował i pomstę na nie, jeśli ich nie oddalicie, opowiadał. Wszytkie królestwa, które upadły, takie posłańce Boże i kaznodzieje miały, którzy im wymiatali na oczy grzechy ich i upadek oznajmiali“.

Na takie wyżyny nie wzniosł się żaden kaznodzieja, spółczesny ani późniejszy, katolicki ani protestancki. Spowiednik swego narodu, gorącą jego miłością niepokojony o przyszłość, nie zaniedbywał Skarga żadnej sposobności, by nawoływać do kolei, co z niej wykroczyło, czy żołnierstwo polskie, które wedle słów Jana św. strofował (Żołnierskie nabożeństwo, 1606, przetłómaczone na czeskie, Pobożny soldat, 1636); czy trybunały polskie, na które wybierają ludzi młodych i kacerzy (1609); nie przewidywał Skarga, że już w trzydzieści lat później przyzna katolik:

Gdyby czasem nie Lutrzy oparli się sami,
Snadźby wszytsek trybunał wzgóre stał nogami

(Twardowski S., „Satyr“ 1640 r.). Ostatnią jego pracą kaznodziejską było „Wzywanie do pokuty obywatelów Korony i W Księstwa Litewskiego“, streszczenie niby Kazań Sejmowych, przedsięwzięte na

usilne prośby spowiednika królewskiego, pytającego słusznie: któż je w grubym owym tomie Kazań Przygodnych czytuje? w pierwszej jego części wylicza przewinienia narodowe, w drugiej wzywa do skruchy i żalu. Dalej epilog niby tego kazania: Wzywanie do jednej zbawiennej wiary i Na moskiewskie zwycięstwo kazanie czynione w Wilnie 25 lipca roku 1611; we wrześniu umarł; „twarda rola strudziła wołu starego, a pracy na niej w dobrem żniwie nie znać; chytne ryby, od sieci Twej uciekając, poimać się nie dają... nie pomagają im poselstwo Twoje i wołanie moje, do pokuty rzadki bardzo powstaje“.

Wujek i Skarga pisywali niemal wyłącznie po polsku, nawet na zaczepki łacińskie; z przekąsem mawiali protestanci, że czyni to Skarga dla udatniejszych żartów i żeby na pospólstwo działał. Skarga przyłożył się waleśnie do jeszcze jednej roboty, otwierającej najdalsze widoki, najfatalniejszej jednak w swych skutkach.

Proces polonizacji, a po części i łatinizacji, Rusi polskiej i litewskiej odbywał się w coraz żywszym tempie, gdyż Rusi brakowało żywiołów moralnych, o któreby się w nierównej walce opierać mogła. Trzymał ją jedynie obrządek; poza nim Ruś szlachecka mówiła, pisała, myślała tylko po polsku; ta szlachta spolszczona dostępowała nieraz i episkopatu ruskiego, nadawanego przez króla i byle jakiemu grzesznikowi, który na stare kolana wczasów i dostatków biskupich chciał zażywać; od szlachty przechodził język polski i do ruskich mieszczan, którzy się około cerkwi i bractw, założonych na wzór zachodni, jeszcze kupili; chłopcy tylko i duchowieństwo wiarę i język i obyczaj dawny zachowywali. Nauki, wiedzy, poloru nie było; kto ich nabywać chciał, szkoły polskie, dwór pański nawiedzał; domorośli uczone, jak ów ihumen suprański Kimbar, poprawiał chyba Pismo święte, np. Waryona na Howory o nich, albo, choć mędrszy i głębszy, odrzucał fanatycznie naukę łacińską, jak Jan z Wiszni, gorący wielbiciel Rusi patryarchalnej; wychodźca z Moskwy, książę Kurbski, dziwił się upadkowi, brakowi książek, tłumaczeń i sam łaciny się uczył, aby niedostatki łątać. Jednostki, nawet rozporządzające tak olbrzymimi środkami, jak książę Ostroski, twardy Rusin, nie uchroniły syna własnego od zupełnego spolszczenia i przyjęcia katolicyzmu; inni trafiali do Rzymu przez Genewę lub Witenberg; przy Konstantynopolu nie został rychło nikt prócz ludu. I ci nawet, którzy nie

rzucali pisma ruskiego i mowy przodków, naginali się coraz bardziej do polszczyzny; tłómaczyli rzeczy polskie językiem, wchłaniającym coraz więcej elementów polskich, tak, że w końcu tylko pisownia i formy niemal oba języki dzieliła. Gdy więc po chwilowem powodzeniu protestantyzmu katolicyzm znowu na siłach się poczuł, gdy coraz liczniejsze odstępstwa przerzedzały szeregi luterskie i kalwińskie, musiała u Jezuitów, postępem dotychczasowym ośmielonych, zakiełkować i myśl, czy nie da się o wiele łatwiej i szybciej i duchowieństwa ruskiego, a z niem i ludu do uznania Rzymu, do unii nakłonić; mogłaż przecież ta Ruś, jeśliby do unii doszło, oddziaływać i dalej na wschód, i zamajaczyło może gorącym wyobrażniom niby powetowanie straconego zachodu i północy, pozyskanie wschodu, tak jak i szerzenie katolicyzmu w Indyach wschodnich i zachodnich szczyty europejskie zapełniać miało wedle planu Opatrzności. Herbst, na ruskiej ziemi zrodzony, i Skarga, w Wilnie o Ruś prawosławną ocierający się, wydali hasło, szczególnież ostatni księgą dedykowaną księciu Ostroskiemu „O jedności kościoła Bożego pod jednym pasterzem i o greckiem od tej jedności odstąpieniu“ (1577, dziełem tępionem przez prawosławnych, powtórę 1590 wydanem). Lecz uznał Skarga sam, że łatwiej nowotnych kacerzy nawracać albo choć pokonywać, niż Ruś, na starodawną cerkiew i ojców swoich się powołującą; mimo to nie ustawał, dowodząc, że nie prawdziwego słowa, raczej prawdziwego kościoła szukać należy, że, kto się z katolikiem nie połączy, bez głowy uschnie. Myśl nie padała na opokę; próby porozumienia podejmowano i dawniej; sam związek państwowy myśl tę poddawał ciągle; po jej urzeczywistnieniu mogła Ruś oczekiwać zrównania swego duchowieństwa z katolickiem, nabywania szkół, szerzenia oświaty i moralności. Więc i Ostroski sam jakiś czas myśli tej sprzyjał, choć ją później bezwzględnie zwalczał, i wyższe duchowieństwo ruskie, metropolita i episkopi, nie mogąc od patryarchatu z pod niewoli tureckiej ani moralnego poparcia skutecznego otrzymywać ani zbyt się go obawiając, zaczęło pertraktacye z Rzymem, które na synodzie brzeskim unią ukoronowano. Dziejopisem tej unii został Skarga: „Synod Brzeski i jego obrona“ (przeciw prawosławnym, odmawiającym synodowi wszelkiej prawomocności). Rok 1596 zaczął więc nową walkę wyznaniową; do dawnych sporów z protestantami wszelkich odcieni przybyła walka o unię i prawosławie, i poraż pierwszy, co się protestantom niemieckim w Konstantynopolu nie

udało, dobić się jakiegoś uznania od patryarchy, dokonali oni na ziemi polskiej przeciw wspólnemu wrogowi, przeciw katolicyzmowi; na synodzie toruńskim bratali się jawnie protestanci i prawosławni, ślubowali sobie pomoc skuteczną.

Otóż i ta walka toczyła się wyłącznie niemal piórem polskim, nawet ze strony ruskiej. Na księgę brzeską Skargi odpisał z polecenia starego Ostroskiego Philalet —prawdolubca, który dla swej *Apokryzis* ten pseudonim wybrał, aby nie zdradził, że to Polak i kalwin Rusi i prawosławia bronił; i to dzieło, zjadliwie a zręcznie napisane, wywołało dalszą polemikę po polsku, podobnie jak pisma Zyzanii, które inny Jezuita zbijał, chociaż pojawiały się natychmiast i ruskie tłumaczenia; Hipacy Pocięj, metropolita unicki, i prawosławny Ostroski pisywali do siebie po polsku; na Rusi polskiej język urzędowy był polski; na Litwie utrzymywało się używanie języka i pisma ruskiego po kancelaryach, chociaż w życiu prywatnem i publicznem już górowała polszczyzna, rozszerzając się daleko poza etnograficzne granice, docierając już do najdalszych kresów państwowych.

Tak wszechstronną działalność rozwijali Jezuiti. Zwalczali protestantyzm na każdym polu; oni wyłącznie polemizowali z Wolańcem na Litwie, z Socynem i Grzegorzem z Żarnowca w Małej Polsce, z Glicznerem i Turnowskim w Wielkiej, po łacinie i po polsku; ich kazania i przekłady Pisma św. rugowały inne; ich szkoły zaludniały się, coraz nowe kolegia przybywały, od Rygi i Połocka aż do Sandomierza; kolegium wileńskie przybrało tytuł i funkcje Akademii, choć tylko o dwu wydziałach, filozoficznym i teologicznym; już zaczynała się lękać akademicka krakowska o przywileje i egzystencję, chociaż dotąd zgodnie z Jezuitami przeciw kacerzom stawała. O ile szkoły jezuickie przewyższały akademickie, dowodziły najlepiej pisma, z nich wychodzące, np. co „retorowie“ poznańscy za Belarminem przeciw Chrzóstowskiemu roku 1600 spisał (*Defensio*, obrona i t. d. 1602 roku wydana): znajomość greczyzny, cytaty z Arystotelesa, Platona i t. d. w oryginale, wzorowanie się na najlepszych źródłach łacińskich, czerpanie pełną ręką z Ojców kościoła wykazywały wiedzę i wprawę, jakiej nie w szkole krakowskiej nabywano; starsi uczniowie ćwiczyli się codziennie w „kontrowersjach“, młodsi tylko w dni świąteczne.

Że te nadzwyczajne postępy, fawory Batorego, Zygmunta III i Zamoyskiego, książąt kościoła i magnatów, połów dusz coraz

obfitszy, strasznie protestantów w oczy kłóły, było naturalne. Nie-nawisć całą wyzionęli oni w pisemku, naśladowacem niby Ostroro-ga dawne *monumentum*, protestantom znane, a podszywające się pod firmę szlachcica polskiego, w słynnem *Equitis Poloni in Jesui-tas actio prima*, wydanem r. 1590, powtórzonem 1591, przetłóma-czonem roku 1592 na niemieckie (*Schwarm des heiligen römischen Bienenkorbes*), wywołującym bogatą literaturę; w samej Polsce od-pisał natychmiast Reszka, prawa ręka i wielbiciel Hozyusza, wy-dawca pism jego, autor i pięknych rzeczy polskich, np. Przestrogi pastyrskiej do miasta Warszawskiego roku 1585 z ślicznym listem o jubileuszu rzymskim roku 1575, napisanym do Zborowskiego, z opisem Rzymu, z wzmianką o „wierze węglarzowej“ wedle Ho-zyusza (ja wierzę w to w co kościół św. wierzy — a kościół? w to, w co ja, tak uszedł węglarz sideł doktorowych); dzieło Reszki (Gąb-ka, którą mażą się wyzwiska i t. d., łacińskie) powtórzono r. 1591 w Ingolsztadzie, a roku 1592 w Neapolu, i kanonik, a późniejszy bi-skup krakowski, Marcin Szyszkowski, wydał jeszcze roku 1590 mo-wę za Jezuitami. Autor owej napaści, udający młodego szlachcica polskiego, był kalwinem, nauczycielem szkoły lewartowskiej, Woj-ciech z Kalisza; zdradzał się też co chwila z protestantyzmu i ba-kalarstwa; już on wytoczył te działa, z których przez wiek XVII Je-zuitów, nie tylko w Polsce, ostrzeliwano, nabite kłamstwem i oszczer-stwem. Jezuici to nowi krzyżacy na usługach króla hiszpańskiego, którego absolutyzm zachwalają, drogę mu do Polski torują, w sześć dni dostanie on się przecież okrętem z Antwerpii do Gdańska; dla niego to budują oni swoje kolegia na wzór fortec. Nicuje wszyst-ko, ich ubranie, sposób życia, głównie zaś szkoły; one wyludniły krakowską, liczącą dawniej po cztery tysiące młodzieży; one nęcą wystawianiem bogatem, a częstem komedyi i tragedyi; mimo to ze szkół ich, bezpłatnych niby, pożytku niema, nie wychodzą z nich większe talenty; narażają tylko kościół rzymski pismami swojemi na pośmiewisko, nawołują do wytępiania protestantów mieczem i gwałtem, burzą pokój publiczny; kto ojczyznę miłuje, zguby tej dłużej niech nie znosi. Spółcześni wiedzieli dobrze, kto tę „akcyę“ uknuł, a kto ją w Niemczech wydrukował; apostrofowali więc auto-ra, „ucznia niegdyś szkoły krakowskiej“, „gdybyś ty na świat kiedy wyjrzał z prochów i ciemnic Lewartowskich“ i t. p.; ale już w XVII wieku przenieśli Jezuici sami autorstwo słynnego w całej Europie pisemka na znajomego i przyjaciela Wojciechowego, Klonowica,

i bajka ta do dzisiaj się utrzymuje. Nie jedyny to zresztą pamflet polski na Jezuitów XVI wieku; pisano je i po polsku i wierszami, np. Konterfet Jezuitów, Rycerstwo jezuickie, z powodu napadu na zbór poznański; odpowiadano tak samo, np. w zjadliwym, a trafnym Odpisie „Chwaliboskiego“, roku 1597, lecz z *Actio* nic porównać się nieda.

Inne zakony i duchowieństwo świeckie, wobec tej nadmiernej ruchliwości jezuickiej, cofają się zupełnie na drugi plan, chociaż i z nich wychodzą nieraz najdzielniejsi szermierze, np. słynni kaznodzieje dominikańscy, Łukasz ze Lwowa i Melchior z Mościsk, których Orzechowski, Nidecki, Sokołowski i Wojciech z Kalisza tyłkrotnie wspominają; gdy w Przeworsku Łukasz przyszłe klęski polskie wzorował, drżeli wszyscy, jakby dzień sądu nadszedł. Kaznodzieja Batorego, Sokołowski, działał więcej uczonością, niż wymową, i głównie po łacinie kazał i pisał; on to odkrył Europie konfuzyę, w jaką patriarcha konstantynopolitański protestantów wprawił. Kanonik poznański, Hieronim Powodowski, z polskich kazań swych układał traktaty moralne, np. Korab zewnętrznego potopu (przeciw zbytkom w jedzeniu i picu, r. 1578) w jędrnej polszczyźnie, chociaż twierdził, że różnych słów albo tytułów dyalektycznych „naszym polskim językiem, który się więcej kuchnią, niż dyalektyką, bawił — Polski język o rzeczach kuchennych obfity — właśnie wyłożyć nie możemy“, tedy je po „łacinie“ kładł. Układał ze swych kazań i traktaty polemiczne, np. Wędzidło na sprosne błędy a bluźnierstwa nowych Aryanów (1582) r. i t. d.

Swary teologiczne zaprzętały głowy świeckich i duchownych; nic więc dziwnego, że wykoleiły one liczne talenty, sprowadziły je z dróg właściwych na manowce jałowej polemiki, w której zmarnowały się siły najlepsze. Zapowiadał się np. ks. Patrycy Nidecki, jako filolog, zbiorem swym fragmentów Cycerońskich, tymczasem zeszedł w końcu na „miedź brzęczącą“, której jedyną zasługą było, że marną polemikę, obce argumenty, zajmowania katolicyzmu w najświetniejszą szatę humanistyczną, Chrystusa w Cycerona ubierała. Luteranin Erazm Glicznier, wypowiadający trafne poglądy pedagogiczne w najdawniejszej polskiej książce o wychowaniu dziecinem (1558), tłómaczący, acz nadto niewolniczo, mowę Izokratesa¹⁾,

¹⁾ Dodał ją do dzieła Reinharda Lorichiusa o wychowaniu i o ćwiczeniu każdego przełożonego, które Koszucki na życzenie książąt Ślucskich z łaciny wy-

niebawem rzucił pedagogię i filologię na zawsze, aby się z nowo-chrzęścianami o chrzest dzieci, z kalwinami o konfesję augsburską a z „księżą szkolną Jezuitami“ o wszystko spierać; ledwie że w tych swarach o kronice polskiej pomyślał, chociaż i jej nie wykonał. Toż było z Jezuitami, Warszewickim i Herbestem; ale i zwycięski antagonistą Herbesta w sporze gramatyczno-dyalektycznym o budowę okresów, pierwszym w Polsce, poruszającym wiele piór, Jakób Górski, najzasłużniejszy profesor krakowski, od filologii i wymowy do teologii dał się przeciągnąć. Przykłady odwrotne należały do rzadkich wyjątków, np. Marcin Płachta, później Kwiatkowski, co to od fałszowania wyznania augsburskiego do panegiryków łacińskich i polskich na cześć Stefana Batorego przeszedł; Sarnicki zbiegł od teologii do historii i praw polskich. Najwybitniejsze przekłady zupełnego wykolejenia przedstawiali głównie Orzechowski i Frycz, po części i Wolan.

Anarchizm ruski, wybujały jeszcze za walk bojarskich z Romanowiczami, nie poskromiony późnem przyłączeniem Rusi do Korony, objawiał się i w rodach polskich, osiadłych na Rusi, u Stadnickich, Zborowskich, Herburtów, Szafranców, Jazłowieckich i in.; udzielał się i blizkim małopolskim sąsiadom, a wyróżniał ich dobitnie od Wielkopolan i Mazowszan; ujawniał się i w przeciwieństwie dwu odmiennych typów, demagoga - warchoła Orzechowskiego i Frycza, pedantycznego niemal rzecznika porządku monarchicznego. Obaj, wystąpiwszy z pismami politycznymi, dla teologii je rzucili i, razem idąc z początku, niechybnie zderzyć się musieli. **Orzechowski** wolnomyślniejszy od młodości swej, wypiełgnowa-

łożył, usprawiedliwiając się, „choćby się w niem jako nieforemnie polszczyzna poplotła, jakoż zaprawdę trudno polską rzecz ku łacińskiej wieść (1555 r., wydane 1558 r. z wierszami Glicnera, który książętom wiele zawdzięczał). Obce te dzieła moralno-pedagogiczne oddziaływały znacznie na literaturę domową, na Reja np.; tu należą przekłady z dzieła starszego Wergeryusza, które acz z XIV wieku pochodzi świeższym duchem owiane (Marcina Kwiatkowskiego książeczki rozkoszne o pocziwem wychowaniu dzieci roku 1564) i, przy samym końcu wieku, za przykładem Niemców i Czechów, Hermana Schottena, „O nocie albo żywocie człowiekowi przystojnym“, dziełko XVI wieku, ale trybem średniowiecznym napisane, z ciągłemi cytatami autorytetów chrześcijańskich i pogańskich, prozaików i poetów, których tłómacz gładkim wierszem polskim przekładał; traktat Schottena i w oryginale i w przekładzie polskim zażywał wielkiej popularności, większej znacznie, niż we własnej ojczyźnie.

nej w Witenbergu, nie nawrócony w Rzymie, zgorszony nieuctwem kleru i biskupa, wobec których perły swej wymowy miotał napróżno, rozwiozłością ich obyczajów; nachylający się już dla samej przekory ku Rusi macierzystej, oburzony na potępienie jej krakowskie, z punktu celibatu, wniesionego do kościoła, jako obowiązującego późno, zaczął się na kanony i autorytety burzyć, odgrażając, że i sam do Grecyi trafi, do której właściwie z plemieniem słowiańskim należy; że zaś przedewszystkiem był retorem czy sofistą, iście aleksandryjskiego wyrobu, więc i argumentów za greczyzną, a przeciw celibatowi mu nie brakło. Listem polskim do Modeckiego, który w miesiącu całą niemal „Sarmacyę“ obiegił, łacińskimi mowami i pismami do papieży poruszał opinię publiczną, wyzywał przełożonych, a miary dopełnił, żeniąc najpierw Krowickiego, potem siebie samego. Tu jednak zwiechnęła się karyera jego; żenił się i inni, od Lutra poczynawszy aż do Łaskiego i Krowickiego, ależ konsekwentnie rzucali i kościół rzymski; tegoż więc oczekiwali protestanci polscy od Okszyca, co to dostawał już jurgielty od Radziwiłła; iecz Okszyć o wystąpieniu z kościoła przodków ani myślał, choć „Precz z Rzymem“ nawet napisał, za dumny, żeby jakiej nowej wierze się poddać, pójść pod komendę jakiegoś wywłoki czy wyrwy; teologia sama była mu obojętna, nie wiele on też z niej wiedział, chociaż przeciw herezyom, przeciw Stankarowi i Fryczowi pisał, a przyjaciela dawnego, Krowickiego, i napaści na wiarę rzymską już się roku 1551 uroczyście wyrzekał; co pisał przeciw nim, ma wartość, jako próbka tej wiary, sarkazmów, sofistyki, ślepego zaciętrzewienia wreszcie, tylko z teologią i z prawdą, a choćby powagą, nie wiele ma spólnego. Więc nie tylko przy katolicyzmie został, ale nawet na jego najgorliwszego obrońcę się wykierował, gwałtownością wystąpienia zagłuszając głos wewnętrzny i opinię protestantów, którzy chwiejność jego nerwom, lunatyzmowi przypisywali. Tak strawił Orzechowski na polemice teologicznej, przeciw Rzymowi i za nim, lat kilkanaście, kłusując, kto się nawinął, choćby Frycza lub Kromera, którego dawniej podziwiał — jakżeż śmieli miejscy synkowie być innego zdania, niż szlachcic z antenatów? tem bardziej, skoro zdanie Kromera cały kościół dzielił. Innemi rzeczami przez ten czas mało się bawił; najważniejsze, to pamiętniki burzliwego pięciolecia po śmierci starego króla, pisane łaciną, z pod której żywość temperamentu i barwność opowiadania na wierzch biją; znaczenie ich umniejsza nieco wysunięcie zbytnie

sprawy własnego ożenku. Ale wyłajawszy dosyć teologów, a heretyków oplwawszy z wściekłością, pofolgował Orzechowski wrodzonej żyłce publicystycznej, odzywając się na każdą potrzebę i złość dnia, i zaczął pisywać dyalogi polityczne, aby „Policją Królestwa Polskiego“, niby w kontr platonowej i arystotelesowej, zakończyć, co jednak śmierć, styranego i znękanego walkami, wywołanemi lekkomyślnie, uprzedziła. Te dzieła miały szlachcie oczy otworzyć na prawdziwe znaczenie ruchu egzekucyjnego, na fundamenty ustroju polskiego, na grożące ich nadwątlenie; lecz i tu nie ustrzegł się najkolosalniejszych paradoksów; owszem, jakby umyślnie, brnął w nie coraz głębiej, prowokując, a w danym razie i policzkując opinię publiczną, np. tyradami o niewoli litewskiej, predestynowanej dla Wielkiego Księstwa, a złotej wolności polskiej, Koronie w darze od niebios zesłanej; nawet arcykatolik i dobry Polak, wójt Rotundus, musiał się na to srogo „oszunąć“ (ofuknąć), wykazać matactwa, „łapaczki“ „przybranego“ Polaka. Paradoksy, o hierarchicznym ustroju Polski, o nadwładzy prymasowej, bo boskiej, o węglach duchownych, na jakich filary państwowe osadzał, czyniły dyalogi, rozrzucone podczas sejmku, niesmacznymi, bo jednostronnością i skrajnością ich raziły w oczy, schlebiali nadto stanowi, którego znaczenie właśnie wtedy się podrywało; płynął więc polityk przeciw prądowi, zyskiwał aprobatę nuncyuszową, a tracił powagę między bracią, jak nieraz,

gdy go pióro unosi, a tak się rozbaje

(A. Wolan o nim roku 1564). Po raz ostatni wystąpił publicznie na sejmiku wiszeńskim roku 1566, prawiać od rycerstwa ku panom, skromnie niby, a ostro, zarzucając im, że nie wiedzą, co się w Polsce dzieje, jak obrazy malowane: oto ja ich przed wami spytam, o święci malowani, powiedzcie nam ludziom grzesznym, co się teraz w niebie dzieje — pytam was, czemu milczycie? Oto milczą, nic nie mówią — tym świętym podobni w radzie polskiej wyście są, nasi miłośnicy panowie! I tu to wyznanie chylenia się ku upadkowi: „my wszyscy, co nas kolwiek ludzi w Polsce jest, mówimy i to słowo w uściech swych mamy zawsze: zginiemy... niemasz w niej Boga, niemasz prawa, niemasz rządu, niemasz zgody“; i tu skargi na obniżenie władzy prymasowskiej. Występowaniem przeciw władzy królewskiej zaskarbił sobie Orzechowski łaski szlachec-

kie i aż do XVIII wieku kołatały się po obronach anarchii polskiej cytaty dzieł nawet rękopiśmiennych, nie mówiąc o przedrukach, w których „Wiernego Poddanego“ (*Fidelis Subditus*, od roku 1584, potem 1639 i 1696) i „Apokalipsę“ (około roku 1580, potem 1626 1630, 1660, 1696 — nie mówiąc o polskich jej przeróbkach) coraz odnawiano; warchoł Zborowski na sejmie konwokacyjnym r. 1587 czytał nawet słowa „naszego Orzechowskiego“ (z „Wiernego Poddanego“), aby panowie Rada wiedzieli, „jako chwalić i jako się opowiadać Panu o wolności i dobro pospolite“.

Z dzieł tych jedno, „Apokalipsa“, nie było nawet wcale pióra Orzechowskiego; znaleziono je między jego skryptami i, jako jego, zawsze wydawano; tonem, otwartością przypominało Okszyca, chociaż godziło właśnie w Zborowskich i Szafranców. Napisał je i ofiarował królowi roku 1564 **Solikowski**, późniejszy arcybiskup lwowski, przedtem dyplomata i historyk w rodzaju Kromera, popisujący się niegdyś i wierszami łacińskimi i polskimi (o Lukrecyi, gdzie najlepsze jednak wiersz polecający Trzecieckiego); umyślnie jednak zostawił rzecz w manuskrypcie, aby obcy nie dowiedzieli się o stanie Rzeczypospolitej ¹⁾. Widzenie to autora, rzuconego na wyspę Patmos, grodu otoczonego wrogami, wewnątrz niedbałego i rozerwanego, gdzie śpią prawa i władza, a panuje prywat - sobkostwo, pędzący nawę państwową ku rozbiciu; opierają się król i cnoty, porządek się przywraca, nieprzyjaciele strwożeni odstępują. Aluzye były bardzo przejrzyste, dotyczyły wszystkich hasel ówczesnych, unii, egzekucyi, bezdietności królewskiej, anarchii religijnej — wstawiał się autor nawet za ubóstwo akademii, żądał nagród dla jej pracy, a w przedmowie przestrzegał trafnie przed Moskwą, której potęgę

¹⁾ Dziecinny ten wzgląd wystawiano nieraz, np. gdy zakazywano przedruk Długosza i t. d., jak gdyby ci obcy nie wiedzieli byli lepiej, niż Polacy sami, co się w Polsce dzieje, gdzie żadnej tajemnicy państwowej ani na chwilę ukrywać nie umiano; wiedzieliż o niej zaraz przekupki na trece. I „Apokalipsa“ natychmiast się w obce ręce dostała: najlepszy jej odpis posłano z Piotrkowa w lutym roku 1565 do Gdańska, gdzie w archiwum miejskiem do dzisiaj przetrwał. Odpis ten ma liczniejsze, niż inne, rysunki i wiersze łacińskie Solikowskiego do możnowładców, gdzie ich o zgubę ojczyzny oskarża: napisałem, com widział... nie dosyć słów samych i tylko powtarzać zawsze, zginęliśmy, zginęliśmy, nieszczęśni... wasza to (możnowładców!!) zasługa, że ginie my i Macierz nasza z was ma przyczynę swej zguby! Oblicze króla, ratującego wóz państwowy przed stoczeniem się w przepaść, to portret Zygmunta Augusta.

nawet liczne klęski nie nadwerężą. Przeróbka polska Grzegorzko-wica około roku 1589 (wydana przez Herburta roku 1616) w bardzo lichym wierszu całkiem swobodnie z oryginałem sobie poczyną, i tu zjawienie (młodego króla i „niemieckie nieuszanowanie“ (Byczyna) ratują porządek i państwo, chociaż jeden z kamieni przydrożnych nawet woła:

O przed upadkiem nad kamień stwardziały
Narodzie polski, przygód zapomniały,
Jeśli przypadki blizkie cię nie zkróćą,
Twoje wywróćą.

Orzechowski to w dawnej Polsce pierwszy pisarz z temperamentem, nerwowy; inni, jeśli prywatnie nie folgowali, pisali rozważnie, chłodno, głową, nie sercem, nadrabiając. Orzechowski pierwszy odczuwał gorąco i głęboko, co pisał, pisał namiętnie, z krzykiem na ustach i z bólem w sercu; chciał słuchacza to olśnić przepychem i doborem słów, to przerazić zeznaniami straszliwymi: „byś serce moje rozkroił, nie znalazłbyś w nim nic innego, jedno to słowo: zginiemy“, albo „iż nas i tę sławną koronę postronni sąsiedzi między się, jako psi flak, roztargną“. Ta miłość gwałtowna tej ojczyzny nierządnej i tej braci nieopatrznej każe nam zapominać o paradoksach tej świetnej a burzliwej, wichrowatej głowy — nie darmo z tej samej ziemi wychodzili i inni podobni patryoci, a doktrynerzy, Herburta i Fredro. Mało pisywał po polsku sędzić przemyski, dbający o rozgłos po świecie, ale co pisał, czy to panegiryk na Tarnowskiego hetmana, czy paszkwil na Stankara lub Krowickiego, krwią a żółcią pisał, a tak wymownie, że świadectwo o złocie jego piórze, wobec którego Górnicki swoje własne ołowianem nazywał, tylko mu sprawiedliwość wymierza.

Nie dziw więc, że zapalała się szlachta do pism i pomysłów Demostenesa roksolańskiego, chociaż między nimi jak w śliwkach przebiegała, odrzucała teokratyczne hiperbole i sarkania na kacerzy jadowitych, a trzymała się oburącz tyrad opozycyjnych. Tylko duchowni szli całkiem za Orzechowskim, np. taki ks. Hieronim Krzyżanowski, który kazania swe (r. 1566) poprzedził przemową do Polski; nastawał na blizkie jej zginienie: nic się nam nie wiedzie, wewnątrz rozdarcie, na zewnątrz niemoc, daremne obrady, daremne nawoływania, a wszystko dlatego, że rzuciliśmy dawną, prawdziwą

wiarę — tak zwalono winę anarchii na reformację!—, „których kacerzów obłudliwych a sprośnych takeś się barzo rozmiłowała, ucieszna Polsko (nieszczęśliwa teraz), że chodzisz za nimi, jako za jakimi skokany, bowiem cię wiedli i jeszcze wiedą za nos tam, gdzie chcą“. Już to duchowni zawsze źle wróżyli Polsce, już w pół wieku przed Skargą Górski (Stanisław) w żywocie Kmita prorokował to samo, że zaślepił nas Bóg, aby nas dla grzechów naszych „oddał w niewolę ludowi okrutnemu, ludowi sprośnemu, ludowi, którego języka nie rozumiemy — zguba wasza nadchodzi“. Nie przypadkiem więc i pleban we „Wrózkach“ Kochanowskiego tak „bardzo źle tuszy Rzeczypospolitej: wszyscyć to ludzie tak mali, jako i wielcy, wobec mówią, żeśmy zginęli“, chociaż on inaczej, niż Górski, w rozterku około wiary „wzruszenie fundamentów Rzeczypospolitej, upatruje.

Miedzy duchownymi więc znachodził Orzechowski przekonanych wielbicieli, takiego Górskiego (Jakóba), co po jego śmierci dzieła jego („Poddanego“, czy i „Apokalipsę“?) wydawał, albo Jana Łazarzowica (syna drukarza Łazarza Jandrysa), później uszlachconego i Januszowskim przezwanego, który niegdyś był dworzaniem królewskim (dlatego i pod pseudonimem Jana Podworzeckiego piszący?), później duchowny. W „Sion pochyłonom“ (r. 1587, przyczyny pochylenia Syonu, osierocenia Polski, jawnego jej upadku, upatrywał on w odstępstwie od wiary, w związaniu sumienia królewskiego niebożną konfederacją, w ograniczeniu władzy duchownej, którą z „onym wielkim Orzechowskim“ na czoło wysuwał, żądając, żeby nareszcie jego „Policyę“ ogłoszono; Polska mu wszyskiem, tu mogłaby być Wenecya z bogactwami, Paryż z wielkością i ochędóstwem, Rzym z duchowieństwem i starożytnościami, „których pełno około Kijowa“: mogłaby być, jednym słowem, krajem najpiękniejszym i najbogatszym, gdyby tylko chciała! Wdzięczniejsze zadanie wypełniał Januszowski, wydając dzieła innych, Górskiego lub Kochanowskiego, troszcząc się o ortografię polską, zbierając konstytucye polskie w brzmieniu polskim, nawet pisując *ascetica*, np. „Naukę umierania chrześcijańskiego“, i rzeczy obyczajowe, „Poprawę niektórych obyczajów polskich potocznych“.

Frycz po polsku nie pisał; pedant, łaciny nie odstąpił ani na krok, prawda, że w latach późniejszych głównie rzeczy dotykał, które nie horyzontem polskim się określały. Gdy Frycz raz politykę rzucił, już do niej nie wrócił, zastygł przy swych sporach dogma-

tycznych, do których przystępował ze spokojem i chłodem włoskich herezyarchów - jurystów, Alcyatów i Socynów, i do podobnych rezultatów docierał, w naiwnej wierze, że trafne argumentowanie każdego, i katolika i aryana, przekonać potrafi. Przedtem gardłował, jak wszyscy protestanci polscy nawet przy końcu wieku, za soborem narodowym i od niego oczekiwał zniesienia celibatu, a dozwoleń kielicha. Nim jednak sekretarz królewski w spory teologiczne z Hozyuszem się wciągnął, do których już w czterdziestu latach zaglądał, układając niby instrukcye dla posłów na sobór, złożył on swe przekonania polityczne w najobszerniejszym traktacie politycznym, jaki dawna literatura (przed Konarskim) posiada, w łacińskich naturalnie księgach o poprawie Rzeczypospolitej, tłumaczonych w całości na niemieckie (r. 1557), na polskie (r. 1577), w XVII wieku na rosyjskie, częściowo na hiszpańskie (roku 1555). Naturze Frycza odpowiada ten nie tylko najobszerniejszy, ale i najsystematyczniejszy wykład wszystkiego, co sądził o obyczajach, prawach, wojnie, kościele i szkole — bo na tyle materji i ksiąg podzielił dzieło, które w Krakowie roku 1551 (i w polskiem tłumaczeniu Bazylika) tylko trzy księgi obejmowało; Hozyusz bowiem przeszkodził drukowi czwartej i piątej; dodawano je dopiero w Bazylei.

Najdotkliwszy cios politykowi Fryczowi zadał Frycz teolog; dla jego herezyi odrzucali Jezuici polityczne dzieło, które całkiem wedle ich myśli wypadło, a Reszka oburzał się na samo zestawienie z Hozyuszem i Kromerem „człowieka, oddanego oborze i gnojówce, dlatego, że coś tam o Rzeczypospolitej bredził“. I zapomniano o monarchiście w Polsce, gdy pamięć anarchisty Orzechowskiego przetrwała, chociaż zagranicą nazwisko Frycza bynajmniej się nie ulotniło. Dzieło jego nie było ani utopią hierarchiczną Orzechowskiego, ani się skłaniało ku absolutyzmowi Makiawela; uznawało ustrój polski stanowy; nie żądało równouprawnienia politycznego ani społecznego, ani mieszczan ani chłopów, chociaż żądało jednego prawa, t. j. żeby szlachcic nie cieszył się przywilejem główszczyzn, żeby chłop ukrzywdzony mógł się z panem prawować, żeby żołnierz nie grabił bezkarnie, żeby ustawał wyzysk w kupiach. Polityk liczył się więc z istniejącym porządkiem; znał i obce, niemieckie i włoskie, i zapożyczał się u nich, np. co o ludziach zebrzących prawa, wyjęte jakby z spółczesnych ustaw gdańskich, albo żądanie większej kary za te same winy, jeżeli znaczniejsi je popełnią, przeszło z Wenecyi. Od rzeczy najogólniejszych, od poję-

cia państwa, wzorowanego na starożytnych, aż do najdrobniejszych, o ustawach rzeźniczych np., wszystko obmyślane porządnie; sarkanie na ucisk kmiecy, projekty poprawy sądów polskich, utworzenia skarbu stałego są najznamienniejszemi dla całego dzieła. Najkrócej uporał się Frycz ze szkołami, upatrując im prowentę tylko i protestując przeciw nauczaniu dawnej skażonej łaciny i owych rzeczy, „które nie nam, lecz jakiemuś nieznanemu światu, służyć miały“. Mógł on się powołać na świeżo wyszłe dzieło mieszczanina pilźnieńskiego, **Szymona Marycyusza** („O szkołach czyli akademiach“, po łacinie naturalnie, roku 1551); autor wyniósł był z Włoch wysokie wyobrażenie o godności, zasługach i zyskach stanu nauczycielskiego, ale rozczarował się w kraju, widząc upokarzającą rzeczywistość: dochody czterdziestu profesorów krakowskich, nie przenoszące tysiąca dukatów, t. j. tyle, ile we Włoszech jeden pobiera; barbarzyński tryb nauczania — na autorach niemoralnych i niezrozumiałych; awansowanie od stołu i stajni, nie od nauk — skarga to powszechna na rzucanie nauk dla dworów przed ukończeniem nawet wieku chłopięcego, pogarda mistrzów i wiedzy dla praktyki dworskiej, opustoszenie wskutek tego audytoryów. Od skarg i żalów przechodzi Marycyusz do dobrze obmyślonych i skutecznie polecanych programów lepszego nauczania, chociaż nadto wielką wagę, za trybem czasu, na styl wykwinął kładzie. Lecz sam niebawem rzuca niewdzięczne nad wszelkie miary bakalarstwo i korzysta z protekcyi Hozyusza, by się innego chleba czepić; tak samo opuszcza inny znakomity kolega, **Wojciech Nowopolczyk**, szkołę i autorów, aby i teologicznej polemice się poświęcić. Została szkoła krakowska „kołem w oczach kacerskich“ (reformacya i dwory dobiły ją do szczytu), ale życia już nie budziła, chociaż mistrzowie jej „na dziesięć grzywien jednak dosyć wymyślali“.

Papież kalwinów litewskich, **Andrzej Wolan**, zapowiadał się, jak Orzechowski i Frycz, również jako polityk — z tej karyery zupełnie nawet się nie zrzucił nigdy — raczej, niżli jako teolog. Podziwiał **Rotunda**, i obaj sobie nawzajem dzieła własne wierszami i listami pochwalnymi polecali; w pierwszym dziesięcioleciu pracy literackiej, od satyry wierszowanej na zmienność polską, nie tylko w strojach i głowie („Proteusz czyli Odmieniec“) aż do księgi „O wolności Rzeczypospolitej albo szlacheckiej (*De libertate politica seu civili*), pod takim tytułem w roku 1606 wytłumaczono oryginał łaciński z roku 1572) poświęcał on się wyłącznie obserwowaniu krytyczne-

mu życia potocznego. Skreślił on je, w barwach bardzo posępnych, w owej księdze, gdzie nie zaciekał się nad sprawami politycznymi, o sejmowaniu i t. d., lecz głównie bił na obyczaje, zbytek, brak sprawiedliwości, więcej satyryk i moralizator, niż polityk, i tem od tamtych różny. I Frycz i Wolan zwracali się do indywiduów, budząc moralne ich uczucia, żądali nie praw i instytucyi, lecz polepszenia, poprawy i ludzili się najzupełniej. U Wolana przebija też skarga na wieczne odkładanie wszelkich spraw do sądnego, nie do sądowego dnia, na owę dojutrkowość Zygmunta Augusta, która nawet takich zawziętych rojalistów, jak Rojzysza, Rotunda i innych drażniła. Przeważała u Wolana strona obyczajowa, lecz niebawem stanął on do wyłącznej niemal walki wyznaniowej, prowadzonej na dwa fronty, przeciw „Ebionitom“ (Czechowicowi, Budnemu i in.), przeciw którymby cały świat chrześcijański chciał poruszyć, i przeciw Lojolitom, przeciw Skardze, a później Jurgiewiczowi, uczniowi akademii wileńskiej, a potem kanonikowi wileńskiemu, który browarczyka z Lwówka, bo tak Wolana ochrzczono, szarpał strasznie: pisma Jurgiewiczowe wychodziły w pięciu językach, najwięcej podobają się jego zjadliwa „Pięta Ewanielia“ (czyli wojna jego przeciw maszkarze konsensu sandomierskiego) i „Najstarsi wyznawcy piątej ewangelii, Żaden i Nikt, ukryci w niewidzialnym kościele protestanckim, a przez Lutra, Cwilingiusza i Kalwina z ciemnic wyprowadzeni“ (roku 1599, tłumaczenia niemieckie, czeskie, francuskie roku 1608). Wielkopolanin Wolan na Litwie znaczenia i majątku się dorobił, ród jego do dziś istnieje, ale, schodząc w sędziwym wieku do grobu, widział nadzieje zawiedzione, tryumf katolicyzmu zapewniony.

Tryumfu tego dopinał katolicyzm nie środkami gwałtownymi, jak w krajach habsburskich lub włoskich; dla terroryzmu religijnego miejsca w Polsce wcale nie było. Jeżeli Lippomano, gorąco kąpany Włoch, doradzał, aby z ośmiu herezyarchów ścięto, poczem ruch cały uwięźnie; jeżeli nawet w owej instrukcyi synodowej z roku 1563 żądano krótkiego procesu i natychmiastowego potem ścięcia (aby ich nie odproszono) Filipowskiego i Lasockiego, Oleśnickiego i Szafranca, Bonera i Górki, to projekty te były akademiczne chyba, wszędzie, tylko nie w Polsce możliwe. Zarzekali się obaj królowie, stary i młody, gwałcenia sumień, nie przywłaszczał sobie Zygmunt August roli Ducha św., a nawet gorliwy katolik, Zamoy-ski, ubolewający szczerze nad rozterkami wyznaniowymi, opowiadał

się jawnie przy nienaruszalności praw dysydenckiej braci szlacheckiej; nie zdołano, mimo biadań jezuickich i duchowieństwa, osłabić artykułu konfederacyi. W Polsce szlacheckiej wyznania nie dzieliły ludzi; ku zgorszeniu Włochów zasiadał jawny protestant przy stole dostojnika kościelnego, i nikt na to nawet uwagi nie zwracał; do zaostrenia waśni wyznaniowej, do namiętnych jej wybuchów nie przychodziło. Że po miastach młodzież szkolna i rzemieślnicza, podrażniona niewczesnem wystąpieniem jakiegoś akatolika, brogi i zbory czasem napastowała, Socyna i jego książki poturbowwała, którego mistrz Wadowita wybawił, było wobec tego, co na zachodzie się działo, niewinną igraszką. Protestanci mieli prawa zawarowane; nie skutkowały wcale perswazyje jezuickie, że protestanckie państwa katolików nie tolerują; w łagodnej, dobrodusznej naturze słowiańskiej miejsca dla nienawiści wyznaniowej jeszcze nie było; cierpiano obok siebie Ormian, Żydów — czemużby nie i protestantów? Na polskiej ziemi łagodniał nawet sam protestantyzm; powtarzał on dawne pieśni katolickie bez skrupułów, a protestantyzm śląski i posty i kult Maryi zatrzymywał. I została Polska gościnnym krajem słowiańskim, do którego trapiiony o wiarę, ścigany, jak zwierz dziki, Moskwicin (Kosy albo Artemij) czy Włoch, tęskne zwracał oczy. Wobec niecznych zbrodni, zapelniających dzieje zachodnie, wobec rzezi hugonockiej, prześladowań angielskich, hiszpańskich i włoskich inkwizycyi, spoczywa wzrok chrześcijański z upodobaniem na cichej, spokojnej Polsce. Mógł Łaski żądać wygnania duchowieństwa katolickiego „nie tylko z Rady koronnej, ale i z Polski, jako Anglia nie dawno udziałła“; można było wypowiedzieć pobyt starcowi, Ochinowi, ale do walki bratobójczej przyjść nie mogło nigdy — braciaż to, nasza krew! Na szerokich niwach polskich, gdzie życie nie ześrodkowywało się, gdzie rozpraszaly się hasła, a słabły prądy, różnice wyznaniowe jeszcze się nie zaostrzały. I pokazało się niebawem, że pożoga protestancka spaliła tylko na to pola i łąki polskie, aby użyźnić je pod przyszły, bujniejszy posiew nowego katolicyzmu.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

LITERATURA NARODOWA.

Literatura staropolska: Bielski i Rey, Paprocki i Strykowski. Tłómacze. Beletrystyka (powieści ludowe). Wierszoroby. Dyalogi i dramat szkolny. Literatura humanistyczna. Historycy: Kromer, Warszewicki. Listy i mowy polskie. Poezya humanistyczna łacińska, Szymonowic; polska, Kochanowski; pierwsze włoskie tchnienia; Szarzyński; ksiądz Grochowski; mieszczanin Klonowic. Tłómaczenia, Górnicki i inni. Wynik tej pracy umysłowej; wysoki poziom literatury narodowej. Język.

Skrzydła reformacyi musnęły wodę sadzawki Siloe, i wyszedł z niej uzdrowiony niemocny język polski, i ruszył o własnych siłach w dalszą drogę. Lecz zbyt bogate było to dawne życie polskie, żeby miało się wyczerpać w jednym ruchu, choćby religijnym; na chwilę tylko mogła walka o prawdziwe słowo Boże zagłuszać inne potrzeby umysłowe, przerywać tok myśli humanistycznej i politycznej, zubożętnić ludzi dla sztuki i piękna. Reformacja przyspieszyła tylko rozwój ich prawidłowy.

Humanistom była ona nadzwyczaj nie na rękę; gniewali się po prostu na ten gwałtowny zwrot ku ideałom średniowiecznym, ku sporom teologicznym, zagrzebanym, jak mniemali, na zawsze; Erazm Roterдамczyk i Jan Łaski ubolewali nad sekciarstwem rubasznem Lutra, tak niezgodnem z wykwintnym ich humanizmem, pogardzającym i potępiającem bożyszcza pogańskie. Ale wobec prądu okazali się bezsilnymi: Erazm wstąpił do grobu, pokłócony

z protestantyzmem, pozbawiony nimbu nieomylności; Łaski wciągnął się sam między najgorliwszych szermierzy o wiarę; humaniści, Hozyusz, Kromer, Nowopolczyk i inni, mieniali klasyczne elegie i panegiryki na obrony i wyznania wiary. Nie nazawsze jednak i nie wszyscy; wracano do przerwanych studyów, a przy nich domagał się język narodowy, wywalczający sobie prawo w piśmienictwie, coraz większego uwzględnienia. Po tej drodze zaś kroczyli, najlepszym wzorem dla innych, ludzie, którzy albo humanistycznej szkoły, jak stary **Wolski**, albo żadnej szkoły nie przeszli, jak Rej.

Stary Wolski przywłaszczył sobie później zasługę:

Jeszcze od swoich młodych lat
Pisał wszem polskie rzeczy rad,
On się na to pirwej obrał,
Drogę impressorom podał,
Pisma polskie imprymować —

rzeczywiście przyłączył się on był już roku 1535, jedyny niemal szlachcic, do mieszczan, tworzących literaturę narodową, i wydaniem „Kroniki świata“ po polsku, trzykrotnie w krótkim przeciągu czasu wybijanej, zarobił na imię polskiego Kariona: kronika ta, opowiadająca o monarchiach uniwersalnych, o nowym świecie, o dziejach postronnych, czeskich i węgierskich, najobszerniej zaś, podług Bernata Wapowskiego, o dziejach polskich, od czasów pogańskich aż do opisu pogrzebu starego króla, stanęła znacząco u samych wrót drugiej połowy wieku, roku 1551. Wolski albo, jak się później od nowej posiadłości ziemskiej nazywał, **Bielski**, nie był jednak historykiem z zawodu: pisarz to średniowieczny, moralista, satyryk, dydaktyk i prócz kroniki tylko na tem polu pracował, ale zawsze po polsku i tem na wielką wdzięczność zasłużył, chociaż mu to nie-pamięcią oddano, wysuwając Reja na plan pierwszy. „Prawdzic“ ten, nietknięty od humanizmu, pokazał w swoich wierszach, satyrach, alegoryach, jakimi drogami samorodna, domorośla poezya polska kroczyć mogła bez podpór i ozdóbek humanistycznych, fałszujących styl polski. Wydał on roku 1557 pierwszą polską oryginalną *moralité* „Komedję Justyna i Konstancyej, brata z siostrą, jaką im ociec naukę po sobie zostawiał“, niedramatyczne zapasy występków i cnót o posiadanie obojga młodych, zakończone tryumfem cnoty; wiersz wstępny, oprowadzający książkę po ziemi naszej,

jest jednym z piękniejszych okazów całej poezji wieku; nigdy nie napisał Rej czegoś podobnie wdzięcznego i miłego. Znamienne są i satyry jego, „Rozmowa dwu baranów“ (z owej narożnej kamienicy krakowskiej pod Baranami), kreśląca stosunki miejskie—Bielski, choć na wsi mieszkał, myślą do miasta zawsze wybiegał i szlachtę do polerowniejszego, miejskiego życia mądrze i gorliwie, ale próżno nakłaniał — i „Sjem niewieści“, szydzący z niezaradności i opieszałości męskiej, narzucający się na zbawcę ojczyzny polskiej; dowodzą one wiele daru spostrzegawczego, dowcipu domorostłego, pojęć zdrowych, wystowienia jędrnego.

Syn, **Joachim**, wdzięczny pamięci ojca, już się torów jego nie trzymał; wciągnął się w szeregi humanistyczne, pisywał gładkie wiersze, ale łacińskie, nie polskie, i tylko rozszerzeniem i doprowadzeniem kroniki polskiej ojcowskiej aż do Zygmunta III znakomitą piśmiennictwu narodowemu wyrządził przysługę; czytając jego kronikę, odczuwa się żywo, jaką krzywdę wyrządził humanizm literaturze polskiej, jak zatracają się cechy polskie w elukubracyach łacińskich Orzechowskiego, Orzelskiego, Solikowskiego i innych.

Równocześnie z „poetą“ Wolskim wrócił na pole poezji obyczajowej i satyrycznej, zarzucając polemikę wyznaniową, **Rej**, teraz już pięćdziesięcioletni mąż, rymami i propagandą na całą Polskę sławny. W krótkich odstępach wypuścił on na świat „Wizerunek własny żywota człowieka poczcziwego, w którym, jako we zwierciadle, snadnie każdy swe sprawy oglądać może“, wzorowany na dziele łacińskim, *Zodiacus Vitae* „Palingeniusza“, humanistycznym, filozoficznym, i oryginalny „Zwierzyniec, w którym rozmaitych stanów ludzi, zwierząt i ptaków kształty, przypadki i obyczaje są właśnie wypisane, a zwłaszcza ku czasom dzisiejszym naszym niejako przypadające“. W pierwszym dziele oprowadzał autor młodzieńca po rozmaitych filozofach pogańskich, a z nimi razem po ogrodach Epikura, po piekle i raju, ażeby w obszernych przemowach cel bytu, drogę żywota, manowce występków wykazać; rzecz w filozoficznej części naiwna i słaba, pozostająca daleko w tyle za wykwentem i głębokością oryginału, w części opisowej zato, obserwującej, satyrycznej, pełna Rejowej werwy, rysów dosadnych, obrazów trafnych. We wstępie znachodzimy znowu to charakterystyczne wyznanie, malujące czasy i ludzi: słysząc, że „postronni narodowie język, a podobno i dowcip polski na małej pieczy mają, jakoż też z łaski Bożej nie bardzo się jest czym chlubić, gdyż niedbalszych ludzi nie-

masz, jako Polaka, coby się w swym języku mniej kochali... Kto pomni mało przeszłe czasy, albo czyta pierwsze pisma polskie: jeśli-że język, albo wymowa, albo każdy iny kształt dzisiejszych Polaków, ku pierwszym terminom polskim jest podobny: którym snadź drugim ledwie rozumiemy. A to się niczym innym nie dzieje, jedno iż nastało niemało ksiązek polskich, a są drugie i od zacnych i od uczonych sprawione. A tak ty książki, niżej napisane, acz za wstydem wydane: gdyż puścić co na świat, na rozmaite sądy, jest się na co rozmyślić. Ale iście więcej z chuci prawej, niżli dla czego innego są pisany: aby ci, którym Pan Bóg ten funt dał, tu znalazzsy co poganić, z tej przyczyny do czego się szerszego a potrzebniejszego pisać przychyliłi, a naród swój i język zdobili, a z tego mnimania nikczemnej niedbałości u postronnych się ludzi wywodziłi“.

„Zwierzyniec“ natomiast to świadectwo owej niewypowiedzianej łatwości wierszowania Rejowego, to wiersze na króla i szlachtę, na kobiety zacne w dziejach, na cnoty, na stany i sprzęty, zakończone pierwszym zbiorem fraszek polskich, figlików, przeważnie z obczyzny zaczerpniętych, z facecyi włoskich i niemieckich autorów; wszystko w szczupłe ramy ośmiowerszowe i w bardzo lakoniczne, cięte zato wysłowienie ujęte, zresztą drastyczne i rubaszne aż nadto. W obu dziełach nie wyzwolił się Rej jeszcze od wycieczek przeciw katolicyzmowi i jego porządkom; dopiero w ostatnim, najdojrzałszem, porzucił je, chociaż podstawy swej kalwińskiej bynajmniej się nie puścił. Jest to zbiór kilku dzieł i rozpraw, objęty głównym tytułem „Zwierciadło albo kształt“ i t. d., mieszczący w sobie na czele „Żywot pocziwego człowieka“, drukowany od roku 1567 do 1568, każda część dedykowana innym osobistościom, z coraz nowego miejsca pobytu, dowodząca najwymowniej, jak to pana Reja bracia rozchwytywali. Do „Żywotu“ przydane są traktaty polityczne, alegorye, wiersze na ludzi i narody — pierwsza ich charakterystyka, po części wcale trafna, choć Rej z granic polskich, a raczej małopolskich nogi nie wychylił—i napisy na sprzęty: ówczesna „poezya“ rozkoszowała się w nich, jakby napis z moralną nauczka ręczył za moralność właściciela czy mieszkańca; wiara w magiczną siłę słowa czyli przesąd ten trzymały się głów jeszcze uparcie. Katechizm Reya o obowiązkach i trybie życiowym, od kolebki do zgonu, choć ogólnikami swymi wpływy Seneki, Schottena i Lorchiusza ciągle zdradzał, zastosowany ściśle do pojęć i potrzeb

szlachty - braci (innych stanów nie dotyczył), malował już tę szlachtę zadowoloną, która od przygodnych posług obywatelskich, mieczem i radą, stale do domowego ogniska, do żonki i dzieci, do konika i piesków, do gospodarstw, pola i książki się wymykała, jakby ta Polska szlachecka żadnych granic otwartych, żadnych wrogów czujnych, żadnych skarg wewnętrznych nie miała; krótkowidzący optymizm autora nie znał rozdzierającego piersi okrzyku Orzechowskiego: giniemy!

Jak polityka - Frycza, tak i moralistę - Reja zabił protestantyzm; stanowisko wyznaniowe ograniczało wpływ autora kołami protestanckimi i, gdy protestantyzm wymierał, ginęła i pamięć o rymarzu polskim, którego dzieła wyjątkowo jeszcze protestanci przedrukowywali, a katolicy pomijali, nawet nazwiska jego w najdawniejszych dziełkach o historii literatury polskiej nie wymieniając. W szesnastym jednak wieku wpływ i przykład Reya znano i ceniono ogólnie; naśladowano jego styl, np. Marcin Siennik w „Historii w Lundzie“ (o ukaranej niewdzięczności dzieci) roku 1569, tak, że (bezimienny) ten wiersz za utwór Reja uchodzić mógł w oczach późniejszych badaczy; naśladowano jego pomysły, np. ze „Zwierzynicy“; naśladowano jego prozę, okradając go żywcem, np. ks. Wesselszyczyński. Nadto popularny za życia, niedbały o dzieła swe, dający im marnie ginąć, stracił po śmierci rychło tę popularność i przyćmiony od innych i przez własne stanowisko wyznaniowe — mimo to rej wodził między pisarzami polskimi, uchodził za polskiego Dantego (bo od tego literaturę włoską zaczynano) i Enniurza; tak szczylicili się nim protestanci.

Literatura narodowa, tworzona przez Bielskiego i Reya, coraz koła swe rozszerzała; z późniejszych należeli do niej głównie dwaj Mazurzy, katolicy naturalnie, pilni i gorliwi pisarze, **Paprocki** i **Strykowski**. Pierwszy przedstawia szlachtę zaściankową, oddaną już na usługi panom możnym, ale sarkającą jeszcze na uniżenie, rojącą jeszcze sny szlacheckiego równouprawnienia, zazdroszczącą mieszczanom ich zasobów. Wiedza i myśl, forma i język nie wykraczały poza zaścianek, choćby Dobrzyński, którego antenatem w literaturze jest Imię pan Bartosz Paprocki; góruje tu „cnota“ stara i wyraz jej zewnętrzny, „herb“ jako oznaka szlachectwa; morały tu patryarchalne, z kijem, jako receptą niezawodną, mianowicie przeciw babom i ich naturze węzowej; jest i silna żyłka pamfletarska; jest zaciekawienie tego, co się też w naszej Polsce dzieje; książ-

żek czyta się mało, ale tem głębiej przyswaja się treść ich i powtarza się je lub przerabia, w naiwnej zarozumiałości, że maksymy, pozbierane tu i owdzie, nanizane na wązkie paseczko słów własnych, pouczą choćby samego króla, hetmana, senatora o ich obowiązках — wszystko kompletna parafianiszczynna. Gdy się los p. Bartosza w Polsce wykoleił, pracował on i na obcej ziemi jak najprzystojniej w tym samym herbowo - moralizatorskim kierunku: pierwszy to Polak, który do dwu literatur, do polskiej i czeskiej, należał. Chociaż po łacinie lepiej umiał, niż pan Rej, trafiał tylko polskiem pismem do braci-szlachty, czy kiedy im zbiór bajek łacińskich, drugi po Ezopie Biernatowym, lichym, gorszym, niż Rejowski, wierszem rymował i aluzyami na zepsute czasy, przeciw panom, różnowercom i mieszczanom cukrował („Koło Rycerskie“, bo w kole takim zasiadają stworzenia i nauki nam prawia); czy to, kiedy im „Dziesięcioro Przykazanie Mężow“, „Naukę obierania żony“ i t. d. wierszem, „Króla“, „Hetmana“ i t. d. prozą, najazdy tatarskie na Ruś i własne najazdy na cześć i sławę Batorego i Anny, Zamoyskiego i Zygmunta wierszem i prozą wystawiał. Większą i trwalszą zaślugę, niż temi wierszydłami i piśmidłami, wyrobił on sobie pracami heraldycznymi i historycznymi, „Herbami rycerstwa polskiego, na pięcioro ksiąg rozdzielonymi“ (roku 1585), czerpanymi z aktów, dyplomatów, nagrobków, i „Ogrodem królewskim“ (roku 1599), dopełnieniem niby do owych „Herbów“ rodami panujących w Austrii, Rusi i t. d.; prace te urosły z poetyckich prób „Panoszy“ i „Gniazda Cnoty“, gdzie trybem „Zwierzyńca“ Rejowego szlachtę ruską, a potem całą polską, herby i ludzi, opiewał; Paprocki więc zainaugurował długi szereg heraldyków polskich i litewskich, Okolskiego i Kojałowicza, Potockiego i Niesieckiego, i trafił w sam gust drobnej szlachty, ceniącej nadewszystko herb i koligacye. Tę szlachtę z jej narowami, mniej z jej przymiotami, wyrażał on, czy to nienawidząc Niemców — gdy „czytelnika“ prosił o wybaczenie myłek w nazwach pruskich, jako ten:

Kto niemej tej przeklętej mowy
Niemoże właśnie *exprimere* słowy;

czy to dla niesforności nienawidząc Batorego i Zamoyskiego tak szczerze, że nienawiść mu jedyne jego wymowne wiersze podyktowała, gdy twierdził, że z Batorym

Zaczątek nędzy i niewoli wszelki,
Wolności ucisk, nieporządek wielki
Wionął na Polskę przez Tatry wysokie;
Wewnątrz próchniało królestwo szerokie;
Sobołe drogie staniały, tak darzy,
A w cenę wielką weszli wilcy szarzy (Saryusz Zamojski).
Jenoć to wino, panowie Polacy,
Z tych krain dobre! mów lepiej — kto raczy.

Podobną nienawiścią dyszy Jana Karczowskiego „Oclenie (Uleczenie) mieć albo Przestrożnik“ i t. d., podczaszego czerskiego, Mazura więc — czytając te namietnością i prywatą napiętnowane, a pod płaszczykiem *pro publico bono* kryjące się elukubracje, widzi się ciągle klucznika Gerwazeńka i spryt jego podziwia.

Sympatyczniejszy jest inny Mazur, co to również od wierszydeł okolicznościowych (opis koronacyi Walezego) i polemicznych (przeciw Aryanom) do kreślenia dziejów się zabrał, Matys Strykowski, który jednak, jak Krakowianin Rotundus w XVI wieku, jak Wołynianie, Rzewuski i Kraszewski w XIX wieku, całkiem na Litwiną przeszedł. I on najpierw w wierszach, w „Gońcu cnoty do prawych szlachciców“, wysławiał cne czyny królów i książąt, odstępstwo potomków od dawnych torów, fałszywe pojęcie szlachectwa (z rodu i t. d., zamiast z własnej cnoty), aby potem w obszernej kronice, „Która przedtym nigdy światła nie widziała, Kronika Polska, Litewska, Żmudzka i wszytkiej Rusi“ i t. d. (r. 1582) wyłożyć w prozie, coraz wierszami przerywanej (w opisach bojów i podobnych efektownych scen) dzieje, czerpiąc z Długosza, z latopisców ruskich, których mu Rotundus i Chodkiewicz dostarczali, z kronik niemieckich, nie gardząc tradycją miejscową, bacząc na wykopaliska nawet, na zwyczaje i zabobony. Podanie o rzymskiem pochodzeniu szlachty litewskiej, jakie próżność litewska już w XV wieku, czepiając się powierzchownego podobieństwa litewszczyzny i łaciny (*Litواني* = *L'Italiani*), wypiełęgnowała, zastosował on w całości.

Te same żywioły, wyłącznie narodowe, przedstawiał biskup kijowski, pełen wojowniczego animuszu, jako na kresach chrześcijaństwa stojący, **Józef Wereszczyński**, syn zlaszonych rodziców, w imię wspólnej narodowości i wspólnego wroga, półksiężycy, i w zruszczonych wierszach do hosudara moskiewskiego się zwracający. Pisma jego polityczne dotyczyły przyszłej wojny tureckiej, groma-

dzenia na nią sił i zasobów, utworzenia szkoły czy zakonu wojennego na granicy, osadzenia opustoszałego Kijowa; obyczajowe były w formie kazań i traktatów, np. „Reguła dobrego życia króla“ i t. d., albo „Gościniec pewny niepomiernym moczygębom a obmierzłym wydmikuflom“ i t. d.; najciekawsze z nich to „Wizerunek na kształt kazania“ (nad zwłokami ojca), świadectwo wyraźne, jak to rodziny ruskie polszczyły. Zresztą nabrał biskup, dysputujący z „infułaty oczakowskimi“ (Tatarami) nie biblią, ale szablą, tatarskich pojęć o własności, bo wypisywał poprzedników, Reja, „Dworzanina“ i innych bez skrupułów; za to odznaczał się wykład jego, aby „wszystkim stanom folgował“, nadzwyczajną przystępnością i dosadnością.

W tej to literaturze, której artystyczne zakusy zupełnie obce, która wyłącznie o rzecz samą dbała, nigdy o jej formę, która starała się szerzyć w narodzie szlacheckim i miejskim zajęcia umysłowe, wiedzę jakąś, książkę polską do rąk wtykała każdemu, odgrywali znaczącą rolę tłumacze, często i z nazwiska nieznani, lecz skromni a pożyteczni pracownicy. Jeden z najcelniejszych między nimi był **Cyprian Bazylik**, mieszczanin sieradzki, tłumaczący i Frycza „O poprawie Rzeczypospolitej“ i historię Attyli Olaha (Węgra) i Włocha Barlecyusza historię o „żywocie Skanderbega“, aby do wojny tureckiej otuchy dodawać, składający, jako gorliwy protestant „Historię o srogim prześladowaniu kościoła Bożego“ (Husa i t. d., aż do dziejów „zboru cudzoziemskiego“ Łaskiego w Londynie) z rozmaitych źródeł, który spisał z innych znowu też bardzo ciekawy „Postępek prawa czartowskiego“: starej średnio-wiecznej fikcyi, procesu o człowieka między Chrystusem a Belialem, w formach przewodu kanonicznego, użył Bazylik, aby za przykładem niemieckiej literatury dyabelskiej, którą pierwszy do Polski wprowadził, dyabłów od kufła, kart, kostek, strojów, gachów i t. d. i ich robotę wystawiać; pismo drastyczne, które jeszcze w XVII wieku na Rusi moskiewskiej tłumaczono, z którego wyszedł „Sejm piekielny“ w kilkunastu wydaniach (jeszcze w połowie XVIII wieku drukowany), czyli „Examen księcia piekielnego“, gdzie to przed Lucyferem dyabły babskie, heretyckie, szkolskie, ruskie i t. d., co który wyrządził, się chlubią, jedno z najudatniejszych pisemek wierszowanych dawnej literatury ludowej, pełne szczegółów o przesądach, czarach i gusłach.

Inny protestant, mieszczanin krakowski, **Marcin Siennik**, do rzeczy wyznaniowych wyjątkowo rękę przykładął, między luterskimi modłami a ustawami soboru trydenckiego nie brakując; wydawał i tłómaczył rzeczy lekarskie, wobec braku lekarzów, ciesząc się wielkim odbytem na prowincyi — zielniki, herbarze, medyczne, ciągną się nieprzerwanie od Stefankowego aż do Syreńskiego, od roku 1534 do 1611; ale najwięcej zaskarbił sobie Siennik łaski płci pięknej, drukując dla niej pierwsze powieści i romanse, przekładając je z nieprzebranej skarbownicy niemieckiej. Ten dział świecił dotąd pustkami; jedyny Marchońt i Poncyan, bo już „Historye rzymskie“ alegoryę zbyt umyślnie wysuwały na cel, zastępowały brak świeckiej beletrystyki. Teraz zjawia się cały liczny jej szereg, historye o Meluzynie, Magielonie, Cesarzu Otonie, Fortunacie, Sowizdrzale, Ezopie — wszystkie tłómaczone z niemieckiego; z łaciny „Historia Trojańska“ jakiegoś protestanta, bardzo starannie i przyzwyczajenie ułożona, „Historia Aleksandra“ (Macedończyka), o bojuwaniu, o wiele mniej ogładzona; wszystkie prozą; wierszami z łaciny, „Historia o Euryalu i Lukrecyi“ Gołiana, niezdarne przeróbki słynnej, acz nadto ryzykownej noweli Eneasza Sylwiusza; z „Przemian Owidyuszowych“, o „Lukrecyi“ i t. d.; z nowel Bokaccia: przeróbki Jana Stoka, Dębowskiego, Pudłowskiego („Dido“), anonimów, „O Gryzeldzie“, co i prozą wydano, bardzo rozszerzone naukami o małżeństwie w porównaniu z oryginałem Petrarki; o „Barnabaszu kupcu i jego wiernej żonie“, o „Wdowie Berytoli i jej ciężkich przejściach“ i t. d. i t. d. Losy tych książeczek czy powieści ludowych bywały najrozmaitsze; jedne ginęły rychło zapomniane; drugie pojawiały się w nieprzerwanym ciągu wydań aż do XIX wieku, a po części i dziś je jeszcze Foltyn w Wadowicach, inni w Warszawie na jarmarki drukują; tłómaczono je w zawody na ruskie w XVII wieku, biblioteka ks. Golicyna i innych magnatów ruskich w nie obfitowała. Książeczki te, pomimo niezliczonej ilości wydań, tak zaczytano, że egzemplarzów dawniejszych, z XVI, nawet z XVII wieku, doszukać się niepodobna; stanowią one ważną rubrykę w umysłowości dawnej, jedyną karm powieściową przez trzy stulecia; wsiąknęły one aż na dno ludu samego, który powtarza w swej tradycyi, zmieniawszy lub zapomniawszy nazwy, treść lub szczegóły tych fabuł naiwnych, zmysłowych, okrutnych, romantycznych.

Główny zrąb tych powieści powstał właśnie w tych czasach; zaczynają się one r. 1551 od Aleksandra—o Łokietku powtarza dziś

lud, co o Aleksandrze mu niegdyś rozpowiadano — a kończą bardzo udatnemi przeróbkami Jana Achacego Kmity, „niestrudzonego wierszopisa. Szczególniej „Sowizdrzał“ zyskał popularność nadzwyczajną; i Szildburgerzy się przyjęli, przynajmniej dziś jeszcze opowiadają o Papajach i t. p. historyjki przemądrych mieszczan, co atusz budując o oknach zapomnieli, światło słoneczne w worach nosili i t. d. Wszystkie te powieści wychodziły luźnie, o zbieraniu ich (jak np. w niemieckiem *Buch der Liebe*) nikt nie myślał. Tłumaczenia bywały wcale udatne; im starszy ich tekst, tem poprawniejszy, chociaż nie brak nieporozumień i nazwiska nieraz poprzerkęciano. *Meluzyna* (ona to weszła, jako „syrena“ w herb warszawski) opowiada o losach kobiety - potwora, uszczęśliwiającego męża i kraj, póki tajemnica się nie wydała, i o losach jej dzieci; *Magielona* o rozłączeniu pary wiernie kochającej i jak się w szpitalu znaleźli; *Otton*, to waryacya Genowefy, tylko świekrowa zastępuje miejsce Golona; *Fortunatów* mieszek (niewyczerpany) podstępem wykrada kobieta niewierna i podstępem go traci; *Sowizdrzał* płata mieszczanom - kołtunom, czyli zamsikom, szycom i łykom, jak dawniej mawiano, najdotkliwsze psoty, dosłownie zlecenia ich wykonując, tryumfując w złośliwej, udanej naiwności nad zarozumiałym kupcem lub mieszczką, mszcząc zniewagi ludzi, wyświecanych z miast, gdzie chciał siać złych, gdyż dobrzy i takby na tym gruncie nie urosli.

Poraz pierwszy więc powstaje — i to jest zasługą mieszczaństwa — obfitsza literatura powieściowa, choć bardzo prymitywna, wyłącznie kosztem obcych żyjąca. Ujawnia się zarazem przewaga wiersza nad prozą, rosnąca z każdym dziesiątkiem lat; czy materya do wierszy się nadaje, nie pytano nigdy; kryterjum stanowił język nieraz, po polsku wierszem pisywano, a prozą po łacinie, — zasada, którą wiek XVII jawnie sformułuje. Polskim wierszem, dla wszystkich, pisano więc i rzeczy biblijne, polemiczne, historyczne, a maczał w tem pióro i sam Kochanowski. Tak np. ulubioną zabawą wierszopiską było historie starego i nowego testamentu przelewać w wiersze; czynili to katolicy i akatolicy; tak opisał Kochanowski epizod z „Danielowych ksiąg o Zuzannie“, trzymając się dosyć wiernie oryginału; inny o „Heliaszu proroku“ (1572); tak wierszował Trzeciecki historię biblijną, Mojżeszową, ale wiersze te naszych czasów nie doszły, a spółwyznawca jego, szlachetnie urodzony pan Chryzstoporski, „Niniwe Miasto wykonterfetował“ (roku 1572);

przypodabiając mu Polskę, której „Bóg już dłużej nie sfolguje“; więc zgromiwszy łakomstwo, opilstwo i t. d. nawoływał do pokuty, do postu, t. j. do wstrzymywania się od jadła, nie do śmiesznego brakowania pokarmami, jakby to Bóg lepiej widział brzuch „rybami, rzodkwią i grzanką nafasowany, aniżeli mięsem albo mlecznem“ (powiada Grzegorz Żarnowczyk w Postyli); nie dziw więc, że cenzura biskupia „Niniwę“ między zakazane księgi umieściła.

Podobnymi wierszami wsławił się arian polski, **Erazm Otwinowski** herbu Gryf, co to z bratem Jerzym, niegdyś mnichem tynieckim, w budującej zgodzie długie lata w Rakowie trawił. Niecierpieli katolicy „starego wyrwy“ za sam srogi despekt, który w Boże Ciało monstrancyi w Lublinie roku 1564 jeszcze był wyrządził i co mu bezkarnie uszło, gdyż Rej, broniąc go, o krzywdę Bożą Bogu samemu upominać się kazał; zaginęły też dzieła jego, np. wiersze polskie o „Bohaterach Chrystyańskich“, t. j. o rozszerzeniu wiary „prawdziwej“, o jej wyznawcach (np. Dudyczu, niegdyś biskupie pięciokościelskim, ożenionym z Polką) i o jej „męczennikach“ w Polsce — źródło bardzo ważne, nam tylko z cytat u Lubienieckiego i Węgierskiego nieco znane; albo dyalog satyryczny p. t. „Spór piekarza i z malarzem o bogach swoich“ (pieczonych w hostyi, i malowanych, w obrazach i puszkach; malarz wygrywa, gdyż jego bogi trwalsze i mniej przypadkom podlegają, niż piekarzowe). Ocalały za to jego „Przypowieści pana naszego Jezusa Chrystusa“, roku 1599 na kolędę staremu księciu Ostroskiemu posłane, ciekawe i jako dowód ścisłych związków schyzmatycznego książęcia z arianami, „których W. Ks. M. i w szerokich państwach swoich (por. Filaleta!) i na sławnym dworze swym wiele z dawna chować raczysz“. Poezyi w tych wierszach niema, ale polszczyzna ich wytworna, ton spokojny i równy, arikańskie zakusy nie zbyt ostro wydane, aluzyi do spółczesnych stosunków wiele; dzieło ważne i przez to, że w XVII wieku W. Potockiego do podobnej, o wiele obszerniejszej, pracy pobudziło. Arian dopuszcza użycia miecza tylko urzędowi dla karania przestępcy, zresztą:

Miecz tedy *dziatkom bożym* ten tylko przystoi:
Słowo Boże, którego i sam się czart boi;
A mieczów zaś i broni wtenczas będzie trzeba,
Gdyby nam wojnę podnieść Pan rozkazał z nieba.

Aryan obrusza się na puste zabawy świeckie, np. na świąteczne strzelanie do kurka:

Więc niewiem, dobrzeli to dziś drudzy działają,
Gdy wtenczas w wielkich mieściech wszyscy wychadzają,
Obchodząc tu pamiątkę zesłania onego (Ducha św.),
Miasto Gołębia kura stawiają spornego i t. d.;

argumenty przeciw dziesięcinie powtarzał później po niezliczone razy Potocki, z owem sarkaniem szlachty na dobra duchowne, przewyższające szlacheckie, więc prawi Otwinowski (do rozdziału 23 ewangelii św. Mateusza albo Macieja, jak go dawniej i dobrzy katolicy stale przezywali):

Ten nienawistny trybut złe ma przywileje,
Gdyż pod Nowym przymierzem precz zakonne dzieje,
Bo go tylko Lewitom w zakonie dawano,
Dawano dobrowolnie, nie przyniewalano!
Cóż się zstało, że potym faryzeuszowie
Dawali dziesięcinę (trybut i pogłowie)
Z miętki, z ruty i z kopru — zboża nie wspomniano,
Znać że tam w kopach nigdy nie przepyskowano.
Dawał i on, co się ztąd lepszym być rozumiał,
Choć zakonnik, tej łaski bożej nie rozumiał,
Gdyż pod Nowym przymierzem Pan Bóg wszystkie stany
Pod urząd świecki poddał, ubogie i pany,
Którzy wszyscy zwierzchności czynsze oddawali,
I sam się Pan i z Piotrem k temu przykładali.
Przeto, co się dziesięcin dziś upominają
I wielkie o to burdy z bracią zaczynają,
Mieliby na tych przestać, które Pan wspomina,
A kto się jego mieni — już wymówki nie ma.
Zwłaszcza gdy nas i wsiami daleko przebrali,
Których tam Lewitowie żadnych nie trzymali.
Niechże to mądre głowy dobrze uważają,
Panowie li, czy służy bogatszy być mają?

Przed Otwinowskim inny aryan, Marcin Czechowic, wypisał był wierszami „Summaryusz wszystkiego Nowego Testamentu“; gdzie treść każdego rozdziału wyraził, co Wirzbięta, mimo jego wiedzy, wydał roku 1570. Katolicy nie zostawiali dłużni; wydawał np. Erazm Otwinowski wierszem opisy dysputacyi z Jezuitami, ci natychmiast w „Pogromie lewartowskim“ z roku 1592 nader kosztownie i drastycznie zwycięstwo swe zwierszowali i t. p.

Tak samo wierszowano każde ważniejsze zdarzenie, i tu po-woływanoby się na przykład Kochanowskiego, który w „Jeździe do Moskwy“ (Krzysztofa Radziwiłła) rymowaną jej gazetę wydał, wyliczając dosyć jednostajnie wszystkie jej stacye i szczegóły. Przed nim, np. Jan Ponętowski, „na prędcie opisał“ Krótki rzeczy polskich sejmowych pamięci godnych komentarz 1569, t. j. sejmu unii lubelskiej, bardzo prozaiczny, ale pełny wycieczek przeciw zdrożnościom, głównie zaś przeciw sektom, przeciw krakowskim mieszczanom, umyślnie główną szkołę katolicką poniżającym; z radością, że Kondego porażono, z pobożnem życzeniem:

Boże! by się Orandzie też także dostało!

Albo „Lament nieszczęsnego Hrehora Ościka“ (za zdradę świętego roku 1580 Stanisław Wawrzyńcovic opisał, z całą historią zbrodni i procesu i z piosnką z modlitwy Ościkowej, gdy klęczał na placu. Tak opisał wierszami „własne wyobrażenie Kniazia W. Moskiewskiego“ (Groźnego) minister słowa bożego Walenty „Neothebel“ roku 1581, w języku pełnym prowincyalizmów, co się protestantom nieraz zdarzało ¹⁾, a z czego katolicy sztydził; zresztą ucierał on się gorąco z „Marciszkiem“ (małpą, t. j. Marcinem Czechowicem) i t. d., lecz podobnych pisem i pisemek możnaby długi szereg zestawzić.

Mania wierszopiska nie zatrzymała się u historyi; opisywano rzemiosła i gry, a najchętniej dydaktycznym albo okolicznościowym celom (witaniom, pogrzebom i t. d.) służono. Jeśli Kochanowski w „Szachach“ wykład reguł szachowych z opowiadaniem turnieju połączył, toć i Jan Grochowski np. „o szlachectwie rozmowę“, czy tylko na rodowitości pòlega, czy też własnych zasług wymaga, Dyo-

¹⁾ Tak pisywali oni i z kaszubska, np. Szyman Krofei, Duchowne pieśńie Dr. Marcina Luthera (Gdańsk, r. 1586), „aby potem więce potrzebnych księ-gów w te mowie wyłożono... aby wiekują ciekiew i pospolstwo westrzód tych ludzi zbierano być mogło, naostatku, aby jem też wdzięczność i pokorę procimu-W. Ks. M.... do uznania dał“. Podobnie z kaszubska wydał Brückmann — Pon-tanus (Mostnik) roku 1643 „Catechism... to jest z niemieckiego w słowieski wy-stawion“ z Passją Pańską i t. d., gdzie czytamy: „czwarte“ przykazanie, albo w ósmem: ty niemasz fałszywie swiadczyć procimko twemu bliznemu i t. d. Jedyn-e to „kaszubskie“ druki przed XIX wiekiem i Dr. Cenową; szlaskie dla „Wasser-polów“ miłych mniej gwarą trąciły.

genesowi i Temistoklesowi w usta włożył, chociaż rody polskie wysławiał, a nietrefnym obyczajom przyganiał, które skąpstwo gospodarnością, pychę dworstwem, pijaka godnym, co łotrostwa pomoże dobrym towarzyszem i t. d. przechrzcili: pomysł ten, podobny w „Radzie Pańskiej” Górskiego, w XVII wieku rozszerzano na tak zwane Kalepiny czyli Leksikony dworskie, uczące takiej „dworskiej” mowy. Tu wystąpili na arenę pierwsi Rusini i Litwini w literaturze polskiej, np. „Wojciech Bassaj z Szczebreszyna Rusak” w ckliwej ramocie wierszowanej „Wyprawa niewinnego człowieka” (przeciw oszczercom, z roku 1566), albo Mikołaj Pac z Kiwaczyc, podkomorzy brzeskolitewski, zmarły r. 1595, który „stał za wdzięcznego tego wieku Orpheusza”:

wielkiego człowiek rozsądku, poeta wytworny,
krasomówcą roztropny, filozof wyborny...
znać to było po księgach, których miał nie mało,
tak, że dla nich w mieszkaniu ledwie listew stało.

Albo Jan Benedyktynowicz Protasowicz na Mohilnej, w powiecie pińskim leżącej, z Jałmużnikiem, Konterfetem człowieka starego i t. d.; najciekawsze jeszcze były wiersze jego o wynalazkach różnych, opracowane wedle źródła łacińskiego, nie bardzo trafnie, skoro np. o Gocie Ulfilasie czytano:

Gulfila też *Tatarom* charakter podała,
Skąd nieśmiertelnej sławy u onych dostała,

ale ciekawsze uwagi o naszym całowaniu się mężczyzn, każdy pierwszej go rad używał:

Dzisiaj ten zwyczaj prawie (całkiem!) ustał u Polaków,
Lecz tylko jeszcze został u Rusi prostaków,
Bowiem się przywitawszy, radzi pocałują —

później nieforemny ów zwyczaj znowu odżył. W niezliczonych tych produktach — bo trzeba dodać wszelkie możliwe „Nadobne Pieśni o błogosławionym a najjaśniejszym Książęciu” (Batorym, protestanta Kwiatkowskiego, 1577), „Pieśni Nowe o Królownie Annie” (1592, Tomasza Bielawskiego, arcykatolika), „Witania”, „Threny” (Strussowi Marcyana Kobiernickiego, wiersze o „Hołubku”)

i t. d. i t. d.—poezyi niema, lecz dla dziejów obyczajowości mieszczą się tu nieocenione nieraz szczegóły, np. w takim „Myśliwcu“ tegoż Bielawskiego (r. 1595), gdzie w szesnastu „obrotach“ wszelkie łowy zwierza, ptactwa, ryb wierszami najciekawiej opisane: ostatni obrót daje opis polowania w pruskiej kniei. Albo takie „Gospodarstwo dla młodych a nowotnych gospodarzów“, w kilku wydaniach, dla maluczkich przeznaczone z trafniemi anegdotami sielskiemi o głupim Maćku, cieszącym się, że mu Kaśka nie „radziła“, bo tylko mu poroże (włosy) urwała, a sama upadła, albo o leniwej Maście i t. d. Niektóre sięgały nawet starożytności, np. wykład wierszami tablicy filozofa Cebes (biegu życia ludzkiego) roku 1581 i t. p.

Rozpanoszyło się więc znakomicie wierszopistwo polskie, epiczne, okolicznościowe, dydaktyczne z bardzo wybitnemi cechami narodowemi, nawet tam, gdzie z obczyzny zarywało, chociaż bez żadnej sztuki i stylu, proste, czasami aż prostackie, ale też nie bez humoru staropolskiego; tylko jeden dział zawsze jeszcze nie miał przedstawicieli; brakowało dramatu. Pisał wprawdzie ks. opat i biskup Białobrzeski „misterya“ o Jobie i o Tobiaszu,—czy na podobieństwo Rejowego „Józefa“, aby w dramacie z kalwinem, jak i w postyli z nim spółzawodniczyć—niewiemy, gdyż w druku się nie pojawiły i tylko Trzeciecki je wymienił.

I na tem polu Jezuici torowali nowe drogi; wystawianie dyalogów w dni doroczne było zadaniem profesorów poetyki i retoryki i już z XVI wieku posiadamy pierwsze rękopisy — do druku nie dostawało się nic — z dyalogami, np. kaliski od roku 1584; dyalogi Knapiusa ¹⁾ i innych. W łacińskie (albo i polskie pobożne) dyalogi wstawiano dla urozmaicenia sceny komiczne, bez związku z akcją główną, monologi albo rozprawy całe, humorystyczne i satyryczne, ucieczka uczniów ze szkoły, łgarstwa samochwała, nieuctwo albo szalbierstwo chłopskie i t. p.; najdawniejszy z nich „Sołtys z Klechą“, który ksiądz Sebastyan Skarga w kolegium pułtuskim roku 1590 wystawił (drukowany roku 1616); sołtys chwali

¹⁾ Pięć jego dramatów (trzy trajedie i dwie komikotrajedie), wedle zwykłej normy zbudowanych, t. j. w pięciu aktach łacińskich z polskimi prologami, chórami po każdym akcie i epilogami, z końca XVI wieku i początku XVII przechował rękopis niegdyś poznański, dziś upsalski.

się wobec klechy, że ma Pana Boga w swej woli, a w domu klu-siątko (bydełko), mędrsze i szlachetniejsze, niż klecha — klecha po-zywa go o bluźnierstwo, ale sołtys wygrywa sprawę, bo postępuje wedle woli Bożej, a bydełko nadmiarę nie pija i zawsze je w pole prowadzą jak pana — anegdota dawna, na polski ład przerobiona; jak potem ten mądry sołtys chłopców latańskiego języka i dragu-mentów uczy, jak klecha znowu pana „szlichciwego poczcica rodu szlichetnego“ (od szlichty tkackiej) rozumu uczy i t. d.

Lecz już przed Jezuitami uprawiano po szkołach komedię, mianowicie w głównych miastach, tak, że i w Krakowie i Lwowie i mieszczenie przy byle uczcie uczniów do odegrania komedyi przy stole zamawiać mogli, lecz giną one bez śladu, niema nawet tłuma-czeń komedyi szkolnych, jakie pierwsza połowa wieku niejedno-krotnie wykazywała; widocznie grywano je i po łacinie. Przypomi-na taką chyba komedia o „Lizydzie w stan małżeński wstępującej“ roku 1597, Czernym, gdy siostrzenicę wydawali, przez Adama Pa-xillusa z Brześcia poświęcona, niby rozszerzona z ostatnich scen „Konstancyi“ Bielskiego, tylko rozwlekłej, nndniej napisana: Lizy-da, bogata sierota, oczekuje z utęsknieniem męża, aby mogła zażyć świata; ostromądr (astrolog) jej go wyprorokował; po różnych nau-kach para się pobiera; element komiczny zastępują pijacy Liżyczop, Dybidzban i t. d. Nierównie ciekawszą była, ale raczej satyra oby-czajowa, niż dramat, tragedia żebracza z roku 1552, Trzeciekiemu (ojcu) poświęcona, przeciw żebrakom — zachowana całkowicie, acz z opuszczeniem miejsc nieskromniejszych, w przeróbce czeskiej. Opowiadający tę tragedję mówi:

Widziałem jednego roku
Przed Częstochową w Potoku
Wszystko zuchwałę żebraki,
Zgromadzone jako szpaki,

Parzychosta. Wrywanta, Żyżkę, Kłysza, Wilkołka i t. d.; hulankę ich przerywa nadchodzący kupiec, swarzą się i lżą nawzajem, aż kupca silnie pobili, a „wójt“ ich rozsądzał: istny skarb dla oby-czajowości, ze szczegółami i mową bardzo drastycznymi. Lecz zresztą cisza na tem polu mimo, zdawałoby się, sprzyjających okoliczności, np. sutej wystawy jasełkowej, nęcącej ludzi każdego stanu i wieku; albo na Wniebowstąpienie wyciągają do góry Chrystusa, a zrzucają Judasza na dół, wloką go przez ulice pod zbór i biją tam szyby,

a czasem przyjdzie i do gorszego ekscesu; literatura dramatyczna z zarodków tych jednak nie korzysta. Tylko „Historya o chwalebnem zmartwychwstaniu Pańskim“, t. j. „Historya częstochowska“, w ostatecznej redakcyi zakonnika, **Mikołaja z Wilkowiecka**, dostaje się do druku i w oryginale lub przeróbkach aż do połowy XVIII wieku przetrwała. Utwór to całkiem średniowieczny, w języku, wierszu i treści, nie zadowolający się apokryfem, ewangelią Nikodema o zstąpieniu Pańskim do otchłani, lecz rozszerzający go szczegółami z innych źródeł, które i w pieśniach wielkanocnych współczesnych się powtarzały; nie pozbawiony komizmu, owszem, miejscami, np. przy straży u grobu, w scenach piekielnych i in., aż nadto poufały i rubaszny, chociaż sprośności średniowiecznych już się wystrzegał. Z tą częstochowską (bo tam stale wyprawianą) historyą i kilku innemi misteryami o męce Pańskiej, o Abrahamie, o Janie Chrzcicielu i Herodyadzie wypełnia się już dawny repertuar; prócz pierwszego zachowało się w całości i misteryum o św. Annie, na jej święto w Polsce tak czczone, Komedia o niepłodności Anny św. z Joachimem mężem jej i t. d., przeznaczone dla sceny:

Rzecz, którą teraz na tym placu zaczynamy,
 Acz nie owszem niegodną Waszych osób znamy,
 Prosim o trochę czasu, byście jej słuchali...
 Historyą przykłądną Waszmość obaczycie,
 Jeśli oczu i uszu pilno przyłożycie;

element komiczny zastępują pasterze (Bardej, Mizgoła, Dygudej) i służące Anny, Bascania ze służą — Gąską Sarksem. Należały tu i liczniejsze dyalogi polemiczne, „Komedia o Mięsupuście“ i t. d., jak z dodanych pieśni nabożnych (przy końcu aktów) wynika, również do wystawienia i słuchania. Najpopularniejsze jednak były dyalogi, prace klechów i mistrzów, szydzący z mizeryi szkolnej, z rabusiostwa wojskowych, z zacofania wiejskiego, taka „Wyprawa Plebańska“ (żaka Albertusa) na wojnę tatarską i „Albertus z wojny“, opowiadający dziwy plebanowi o wojnie i ciężkich czasach: osoby i dyalog komiczne, rubaszne, prawdziwe; Albertus stał się typem przysłowiowym; przez cały XVII wiek pojawiają się bądź przedruki, bądź wzmianki o nim.

Wobec tej niesamoistności w pomysłach, niedbałości w formie i wyrażeniu, a zacofaności w myśli, odbijał znacznie szerszy połot duchowy literatury humanistycznej; wybredność i smak jej

stylu w wierszu i w prozie, pogłębianie treści, pomysły oryginalne. Owe pomniki jej polityczne i historyczne dzieła, Frycza, Wolana, Orzechowskiego nie były jedyne. Na czele stawał **Marcin Kromer**, który, obok zajęć dyplomatycznych, a później i duszpasterskich, znalazł czas na ułożenie i kroniki polskiej, sięgającej niestety tylko po r. 1506 — ostrożny autor nie chciał się narażać kreśleniem rzeczy bliższych — i statystyczno-politycznego opisu Polski i jej urządzeń, których liczne wydania i tłumaczenia kroniki (na niemieckie 1559, na polskie dopiero roku 1610) o poczytności obu dzieł najlepiej świadczą; skrócił ją i przedłużył do roku 1548 kasztelan Herburt r. 1571; i ta kronika doczekała się licznych wydań, przetłumaczona na francuskie już roku 1573, z powodu wyboru Walezego, który to wybór na rzeczy polskie we Francyi i Włoszech wielki popyt wywołał; wtedy to młody Krasieński, uproszony od ciekawych, Sygoniuszowi i Włochom Polskę szlachecką niezgorzej opisał. Dzieło Kromera, oparte na Długoszu i Miechowicie, uświęciło na zawsze ich przedstawienie; Kromer bowiem samoistnych studyów nie podejmował, złożył tylko na wstępie, początki polskie omawiając, dowody myśli krytycznej, nie dającej się byle pozorami łudzić; w przeciwieństwie do Bielskiego (syna), Sarnickiego i in. nie mieszał narodów germańskich ze słowiańskimi, lecz słuszne uwagi jego zagłuszono, oskarżając go, że odziera naród ze starożytnej sławy. Zresztą przełał tylko treść poprzedników we wzorową łacinę i tą formą właśnie zaskarbił sobie wdzięczne uznanie rodaków, a głośną sławę zagranicą.

Do łaciny zobowiązywał się więc i nadal każdy historyk; przykład Bielskiego nikogo nie nawrócił; dzieje czy bezkrólewia, czy wojny moskiewskiej, wyczerpujące i pragmatyczne, czy krótsze rzeczy o wyprawach wołoskich, gdańskich i innych, pisali po łacinie, Orzelski i Heidenstein, Górecki i Solikowski; tłumaczono to i na niemieckie, tylko o polskim tekście nikt ani myślał. Zostało więc przy dawnem rozszczepieniu obu literatur: po polsku pisze się rzeczy nieskomplikowane dla zaścianka i dla dzieci, choćby dorosłych, bo kobiety za takie uważano, albo dla prostaczków; po łacinie zaś, co tylko za granicę prymitywności wykraczało, nie tylko obcy, taki Heidenstein, Niemiec rodem, lub Włoch Gwagnin, którego opis Sarmacyi europejskiej, po Miechowicie bardziej obfity, zaraz na niemieckie (r. 1582) i czeskie nawet (r. 1590) tłumaczono, a na polskie dopiero roku 1611 autor do tego się zabrać raczył, lecz i swoi, jak-

by obcy język jedyny wystawiał patent nauki i pożytku. Sarnicki, który choć w polemice wyznaniowej polskim językiem szermował, Solikowski, Warszewicki, którzy choć od polskich wierszy karierę literacką zaczęli, zarzucali potem polszczyznę dla łaciny.

Świadczyła zato łacina świetnie o „ingeniach“ polskich; humaniści włoscy i francuscy, belgijscy i szwajcarscy, podziwiali wynurzającą się z mgieł średniowiecznych północ sarmacką; imponowały im zdolności młodych Polaków, Nideckiego, Zamojskiego, Goślickiego i tylu innych; imponowało im używanie języka klasycznego, obszerniejsze w Polsce słowiańskiej (niestety!), niż we Francyi romańskiej; uderzał ich król i kanclerz, starający się zwabić do Polski najznakomitszych filologów świata, Mureta i innych, nie skąpiący na to ni kosztów, ni zachodów. Jak reformatorowie z wyteżoną uwagą śledzili rozwój nowej wiary w Polsce, jak łudzili się rychłem i zupełnem zwycięstwem, jak się potem gorzko rozczarowali, podobnie humaniści i łudzili się, i łudzić się pozbawiali. Nadzieje zawodziły na wszystkich punktach: ani klasztory polskie nie przechowały żadnych skarbów klasycznych, nieznanych na zachodzie — bajka o Cyceronowych księgach *De Republica*, ocalałych w Polsce, kołatała się długo, równie długo, jak wieść o skarbach literatury greckiej w Kremlu, o które się jeszcze Łaski starał, — ani mężowie nie dotrzymywali tego, czego się po młodzieńczych ich pracach spodziewano; brak wytrwałości, rzucanie nauki dla życia politycznego, w którym i duchowni udział brali, osierocały stale panteon nauki polskiej, zadowalającej się wtórem miejscem, pozbawionej szlachetnej ambicyi celowania nad innymi; kończyło się zawsze na świetnych zadatkach. Przy literaturze pozostawiali z reguły tylko wykolejeni, co pismami brak innych zasług wetować, królowi i mecenasom przypominać się chcieli, taki Sarnicki np. lub Warszewicki; zresztą przyszli filologowie lub profesorowie albo w podwoje naukowe wcale nie wstępowali, albo rzucali je jak najrychlej.

Najruchliwszym pisarzem był **Krzysztof Warszewicki**, brat Jezuita, który w karierze zawsze się spóźniał, a w literaturze zawsze naprzód wybiegał: mimo znacznej i rozległej wiedzy, niezaprzeczonych zdolności krytycznych, szerokich a nowych widokręgów, wielkiej ambicyi, ani w życiu, ani w literaturze na nic trwałego się nie zdobył. Żołdak habsburski, jak inny rodak — Mazur, Paprocki, z góry skazywał się na rolę niewdzięczną: polskim obszernym poe-

matem (Wenecya, r. 1572 i 1587) i łacińskimi mowami, wysmażanemi na wzór filipik, krucyatę turecką głosił, lecz słuchaczów nie znachodził — przynajmniej nie w Polsce, którą zdrowy instynkt przestrzegał, że nie od Osmanów grozi jej niebezpieczeństwo. Nawoływania literackie, przedruk „Okszy (Orzechowskiego) na Turka“, „Gwałty na pogany“, „Wróżki“, „Pożary“ Paprockich, Wereszczyńskich, Kłonowiców, pisma polskie i łacińskie, swoich i obcych; przepowiednie i wyrocznie, że od północy — naturalnie od Polski — Turkom upadek grozi; sojusze moskiewskie; dywersye perskie i wołoskie; pewne bunty chrześcijan bałkańskich; zabiegi nuncyuszów papieskich i agentów habsburskich — nic nie skutkowało, naród szlachecki mądrzej ostatnich Jagiellonów polityki nie rzucił, choćby dla złotego wczasu ¹⁾. Równe niepowodzenie spotykało i inne pisma, dyalogi i t. d. Warszawickiego, rozrzucałe w interesie Habsburgów przy elekcyach. Ale i historycznym nie wiodło się lepiej: skrytykował on wprawdzie dosadnie dawniejszą historyografię polską, np. Bielskiego, który chyba o wylewach Wisły lub spaleniu Malcherowej rozprawiać umie, nawet biografom Tarnowskiego nie przepuścił — ale sam albo nic natomiast nie pisał, lub niedokładnie, chaotycznie, pobieżnie zestawiał notatki własne i obce, chociaż sięgał wysoko, z Plutarchem rywalizował w paralelach biograficznych, zbierał daty synchronistyczne, kładł niby podwaliny nawet historyi literatury, pierwszym spisem autorów polskich. Lepiej powiodło mu się na innem polu.

Wystawiano wtedy chętnie w eleganckiej łacinie, z miną wtajemniczonego i znającego się na rzeczy, obowiązki, cele i drogi mężów stanu, panujących i wojowników; o to ubiegali się Hiszpani i Włosi, a Polacy niezgorzej dotrzymywali im placu. Tak napisał

¹⁾ Najfantastyczniej występował jakiś Daminaeus w broszurze p. t. Liga i t. d. 1596, gdzie już dla królewica tron cesarski w Stambule upatrywał, siłami Kozaków i Moskwy operował — do przymierza przyjść musi, „zarwon Bogu z Smoleńskiem“ (co tam o Smoleńsk się spierać!) i inne gruszki na wierzbie okazywał. Specyałność to duchowieństwa polskiego, jak owe grożenie zagubą z powodu sekt, tak to nawoływanie do wojny, oboje dla miłości Rzymu, nie z rzeczy samej płynące. Daminaeus był więźniem tureckim, ale i to go nie upamiętało. Projekty, które do poprawy finansów i wojennej gotowości zdążyły, układano głównie w widoku kampanii tureckiej, np. „Zdanie syna koronnego“ ks. Piotra Grabowskiego, i in.

Goślicki rzecz znakomitą o senatorze, którą Anglicy jeszcze w XVIII wieku tłumaczyli; tak napisał Warszewicki o posłach i poselstwach; nie bez mądrych uwag, stosownych wskazówek (dokąd kogo posłać), znamiennych anegdot (o posłach polskich i moskiewskich). Jeszcze później Heidenstein rzecz o sekretarzach wyłożył. Ale, pisząc po łacinie, więc dla świata, autorowie ci polskich stosunków i wymagań nieraz wcale nie przestrzegali, narabiali ogólnikami.

Z politycznych jego pism, tyjących Polski wyłącznie, najlepsze było najkrótsze, mowa polska z roku 1587, wyliczająca przyczyny upadku i kary Boskiej; najobszerniejsze łacińskie, „O najlepszym stanie wolności“, ciekawe pomysłem, przeprowadzeniem formy dialogowej (między warchołem Orzechowskim a monarchistą Ocieskim; Padniewski był „obermanem“, arbitrem rozmowy) i odpowiedniemi rozdzieleniem ról, lecz nie myślami, pożyczanemi lub powtarzanemi za Fryczem, za starożytnymi. W ostatnich latach życia, niby dla przybranej świeżo sukienki duchownej, i teologicznemi rzeczami parał się autor, z nielepszym sukcesem, jak historią i polityką, jako cyceronianin i chrześcijanin. Tak zmarnował się raczej talent, niż wyrobił.

Sarnicki i talentu nie posiadał, zato presumpcyi wiele. I on rzucił się na pole historyi, ale, chcąc olśnić rodaków, nie powtarzał dawnych dziejów, zato wywodził ich od arki Noego, od Assarmotha i innych równie pewnych przodków; i on pisał księgi hetmańskie, chociaż wojownikiem nie był, ale, wedle znanej recepty, starczyło plądrowanie pisarzy starożytnych, deklamacje moralne i polecenie środków wcale nie moralnych; w ten sposób pisali o wojnie wszyscy ci niepowołani, od Frycza i Przyłuskiego aż do Sarnickiego; powołani, Jan Tarnowski, Łaski (Stanisław, żołnierz Franciszka I, dzielący z królem więzienie), zadowalali się spisywaniem krótkich artykułów (o porządku podczas marszu, przy rozbijaniu obozów, o ludziach luźnych, o „bitunku“ - łupie i t. d.), nie szerokich traktatów, przyczem Łaski nieraz wcale dowcipnymi aforyzmami szafował — lecz obaj pisali po polsku i to jeszcze w pierwszej połowie wieku; tłumaczono nawet na polskie artykuły podobne księcia pruskiego Albrechta (Strubicz). Wyjątkowo taki zagorzały humanista, jak **Jakób Górski**, najwybitniejszy z profesorów krakowskich drugiej połowy wieku, gorliwy jej rzecznik, biadający nad upadkiem szkoły szczerze, autor podręczników retorycznych i gramatycznych, pisemek antysemitycznych i prelekcyi teologicznych, zdobył się również

na polską przeróbkę włoskiej „Rady Pańskiej“, którą i Warszewicki na łacinę wyłożył (z oryginału hiszpańskiego, Furyusza Cerioli, którego dziełka i Paprocki na polskie tłumaczył, „Król“ 1578, „Senator“ 1579). Ciekawe, że profesor niegdyś krakowski „mazowieczyzną“ narabiał, tak, że wydawca i uczeń jego, Januszowski, musiał wpiery język „wypolerować“; ciekawsze, że dodawał do obcego dzieła własne trafne uwagi o polskiej zaściankowości, nie na człowieka, lecz na to, kto go rodzi, patrzącej, czy to Mazur, czy Litwin; o polskiem nieposzanowaniu praw i o samowoli możliwych i o innych brakach i wadach narodowych, niedocenianiu wroga i t. d.

Stanisław Górski sekretarz jeszcze Tomickiego i Bony, przysłużył się historii swego czasu lepiej, niż tamci, Kromer, Herbert i inni, zbiorem olbrzymim (w dwudziestusiedmiu tomach) „Tomicyanów“, t. j. listów, instrukcyi t. d. wychodzących z kancelaryi królewskiej, za Tomickiego i później, opatrując je ważnymi dopiskami; sam napisał po łacinie „Życie Piotra Kmity“, gdzie z Kmitą i Boną wraz z jej kreaturami duchownymi, Polakami i Włochami, surowo się obszedł, ale nie szczędził i króla i Tarnowskiego, i obum wymarcie rodu przepowiedział; opłakując nie ich, lecz Polskę, zawichrzoną fakcjami wewnątrzniemi. Orzelskiego, gorliwego protestanta, rzecz o bezkrólewiu po Zygmuncie Auguście była napisana po polsku, lecz tylko łaciński jej przekład po rękopisach się zachował, w druku bowiem rzecz tak otwarcie odsłaniająca wszelkie machinacye, już się pojawić nie mogła; już rosła nadzwyczaj drażliwość przeciw każdemu niedyskretnemu słówku; już gniewano się coraz bardziej o szczerą prawdę i napastowano dzieła (Heidensteina i Rzeczyckiego) i drukarzy, gdy na autorach za prawdę mścić się nie było można. Doznał tego i Solikowski, który nagabanego drukarza wyręczać musiał; sam pisywał tylko rzeczy krótsze, pamiętniczki i t. p. Najobszerniejsze i najwięcej pragmatyczne dzieło zostawił Heidenstein o wojnie moskiewskiej, komentarze w rodzaju Cezarowych, ze źródeł oficjalnych czerpane, Batoremu i Zamojskiemu przychylnie, więc po śmierci króla od szlachty napastowane. Dzieła te i inne (Padniewskiego „O mężach sławnych“ i t. d.), ważne dla historyka, ze sztuką nie liczą się wcale.

Do tej należą jeszcze mniej opisy podróży; ubóstwo ich uderzające; honor domu ratuje jedyny książę Sierotka (Radziwiłł), opisujący w listach do przyjaciół Ziemię świętą w ciągu podróży 1582 — 1584; listy zebrał i wytłumaczył na łacinę kanonik Treter:

wiek XVII miał ich wiele wydań i przekładów, na niemieckie (roku 1603), i polskich (wydań pięć); lecz i książkę całej drogi nie opisał, chodziło mu wyłącznie o miejsca święte. Oprócz niego istnieją tylko „Wypisania drogi tureckiej“, Otwinowskiego i Taranowskiego, lecz i te w druku nie wychodziły; zadowalano się tłumaczeniami obcych, tak dostarczył Ślązak - arian, Jan Licinius (Namysłowczyk, nauczyciel w Jewiu, który dla szkoły we wzorowym łacińskim, a prostym polskim i niemieckim wierszu „Sentencye życiowe“ zebrał) tłumaczenia Busbequiusa legacyi tureckich; łacinnik planował więcej, przełożyć Polakom, co Niemcy już dawno mieli, historyków łacińskich (Liwiusza, Cezara, Józefa Żydowina i innych) i na próbę w podróży do Wilna i na Żmudź Busbequiusa wyłożył na wozie i po gospodach; jako arian zastrzegał się naturalnie, że tłumaczył i nawoływanie do wojny nie z zamiłowania ku niej. Zresztą milczą źródła polskie; przygody podróże można znaleźć np. u Paprockiego (z podróży hiszpańskiej Tęczyńskiego), więc przypadkowo; nie nęciło Polaka kreślenie wrażeń cudzej ziemi, co najwyżej wpisywał on w dyaryusz noclegi i odległości; nawet Kochanowski nie wypowiada się, jak to przecież Janiciusz czynił, albo ci obcy, Ślązacy i Szkoci, którzy Wieliczkę zwiedzali i opisywali (Schroterus, Loechius). Zawodzą więc oczekiwania nasze i dziejopisarze i podróżnicy, nie roztaczający żadnych obrazów wielkich, nie malujący tła, zadowoleni kreśleniem faktycznego przebiegu lub suchym wyliczaniem, utykający nieraz w drobnostkach, jak Górnicki w swych „Dziejach“ uczynił; wiek XVI nie tylko sam nie wydał Długosza żadnego, ale i dawnego na świat nie wypuszczał; napróżno żałował Orzechowski „tego zawsze barzo, iż ten polski tak zacny historyk na świat ludziom wydany nie jest, a iż się on po kąciach u panów tylko walca“, a za przyczynę podawał „zmazy wielkie Polaków i domów polskich, czemu ludzie folgując Długoszowi na świat dotychczas niedali“.

Jeżeli mimo braku narodowego dziejopisarstwa — literatura polityczna przewyższa je o wiele — wiek XVI nagle się ożywia, jeżeli wybitne postaci jego nabierają wypukłości i kolorów, drgają życiem i ruchem, kiedy na szarem tle wieków dawniejszych wszystko złane w jedną masę, martwą i niemą, zawdzięczamy to po części listom i mowom w języku narodowym, bez owego pokostu łacińskiego, zacierającego wszelkie cechy, rysy i kolory. Występują w nich już nie owe średniowieczne, niby maryonetki, owe nieme

przybory akcyi i faktów, lecz żywi ludzie, którym się usta rozwiązały, którzy własnymi słowami radują się lub żalą, oskarżają lub bronią, zamysły własne i obce odkrywają lub barwią, masę plotek i intryg, dalej szczegółów potocznego życia wyjawiają, okazują się w obozie lub radzie, na rynku lub w kościele, na drodze i w domu, przy uczcie i pracy, w gronie familii, sług i przyjaciół, czcząc się i łącząc, smutni i weseli, otwarci i obłudni.

Właśnie dla drugiej połowy wieku staje się zapas listów polskich obfity. Po polsku piszą wszyscy ludzie świeccy; tylko duchowni pozostają przy łacinie. Cała korespondencya duchownych, listy Zebrzydowskiego, Kromera, Hozyusza, Uchańskiego, Karnkowskiego t. t. d., humanistów, Janicyusza, Orzechowskiego i innych jest łacińska, list polski zapłaczę się wyjątkowo; również korespondencya od i do Batorego.

Lecz i list polski listowi nie równien. Ludzie XVI wieku, zajęci równocześnie tylu sprawami, obarczeni korespondencyą tak wszechstronną, udzielają sobie nawzajem tyle wiadomości domowych i zagranicznych (gazet jeszcze niema, a progres wojen tureckich lub zająć francuskich bardzo ich zajmuje), tyle intryg i plotek w domu i poza domem, zabiegają o tyle tytułów i intrat, sporów i procesów, przypominają się przy każdej sposobności rodzeństwu i przyjaciołom z zalecaniem swych służb i pytaniem o łaskawe zdrowie, że list to często tylko kupka rozwlekłych frazesów służbistych, dobrze jeszcze, jeśli i jaka wiązanka suchych wiadomości. Z masy bezbarwnej korespondencyi wyróżniają się znacząco listy niewielu osób, Radziwiłłów, Zamojskiego, Sapiehy, Chodkiewicza.

Wrażenie, jakie się z tych listów o rządzie i kraju odnosi, jest bardzo smutne; ci ludzie nie łudzą ani siebie, ani innych, i na ustach ich wciąż wyrazy zniechęcenia i zwątpienia; powtarzają, giniemy, bez obrony, bez rządu, bez skarbu; pełnią chwilowy obowiązek, bez zapалу, bez ufności — a są i tacy, którzyby się zupełnie wszystkiego wyrzekli, by odpowiedzialności za wszystko nie dzielić.

Prócz spraw wewnętrznych i zewnętrznych mowa w tych listach o wszystkim; Jan Zamojski posyła Krzysztofowi Radziwiłłowi obrazy Jana Tarnowskiego i Konstantego Ostroskiego, pośle i swój, gdy będzie zgotowany; Sapieha dziękuje Radziwiłłowi Sierotce za klawicymbał z fletem i za terminaturę peregrynacyi (t. j. dziennik pielgrzymki do Ziemi świętej), którą przepisawszy odeśle; komisant jego pisze mu, że ks. Śmiglecki żądał, „żebych mu flor. 20

dał na drukowanie książek od niego wydanych, jakim sposobem zastawy iść mają, a lichwy się uwarować, które książki radby WMi przypisał“; wspominają o niemieckich książkach *de re militari* grafa Solms, oprawnych w złoto i zielony aksamit, drukowanych przez hrabiego doma u siebie i rozsyłanych tylko książętom, ludziom rycerskim.

Cytują w listach „Fraszki“ Kochanowskiego i „Zwierciadło“ Reja; Zamoyski donosi o gramatyce języka polskiego, którą dla małego Tomasza piszą; układa emblemata z trofeów, postaci alegorycznych i włócznie herbowych, siląc się na kunsztowne *motto*, daje to w Wilnie wymalować, a we Flandryi na oponach wytkąć; z Flandryi sprowadza kilku muzyków-chórzystów, lecz drodzy, wymagają każdy, prócz utrzymania całkowitego, dwieście talarów rocznie. Zamoyski zamawia dwa puzdra srebrnych talerzy u Glazera, złotnika poznańskiego, za robotę da 100 zł.; u wileńskiego złotnika Dyle daje Sapieha miednicę srebrną włoską robić, z nalewką, pytają, czy każe w środku miednicy herb (Lisawiec z wiankiem, albo ze lwy, z innemi herbami) odrysować. Obszernie traktują sprawę nauki zagranicznej, nie godzą się na Strasburg, gdzie licha nauka i porządek nie ozdobny, cały ten kąt tam ciemny i sprosny, nie dla młodzi pańskiej, polecają Leodyum z Lipsyuszem lub inne; tylko o szkole krakowskiej już milczą, jakby nie istniała wcale.

Więcej miejsca, niż kunsztom, literaturze, poświęcano opisom, jak urządzono w Wilnie egzekwie dla synowca Batorego, w jakim szyku prezentowali się słudzy kanclerza, cudzoziemcy zaciężni, hufy litewskie; jak się odprawowało wesele w Knyszynie od niedzieli do czwartku, jakie upominki i kto dawał i całkowity rejestr potraw pierwszego dnia (na trzy dania, na misy i półmiski, gdzie to były: zwierzyna słona, potrzęsiona cukrem wielkim i migdały, kapłon z zieloną juchą cukrowany, w czarnej jusze baranki angielskie, kiełbasy warzone z brunatną juchą, mostki cielece nadziewane i t. d.); opis „Derptu“, „mniejszy niż Toruń, kamienice wszystkie ze szczyrego muru, na kształt toruńskich, drewnianego domu żadnego nie masz, lecz cóż potem, kiedy całego żadnego nie masz; wojna w niewecz obróciła, sklepy popsowano, izby one kosztowne połamano, kletki drewniane dymne naczyniono; trzeba wielkiej reformacyi. Znać, że tu ludzie przedtym bogaci i rządni byli. Jeśli tu będą mieli nasi Polacy osiąść, wątpię, aby od wojny w gospodarstwie poprawić się mieli, trzebaby tu onych rzadkich niemieckich kupców... ja

wątpię, byśmy z tem wiedzieli co rzec“. Przyznanie to, to chyba kartka do dziejów upadku miast polskich.

Jeszcze więcej miejsca zabiorą opisy burd i swarów w mieście i obozie, mimo srogich kar, odslaniające niezwykłą niepohamowaną i porywczosć tych ludzi, której nawet podochocenie i długo tajona nieprzyjaźń niezawsze tłumaczą, lub zły humor dla przegranej w karty, z którym się nikt jeszcze nie kryje.

Miedzy autorami listów są wszelkie stany, płeć i wiek, posiadamy nawet listy karlicy, bądź opisujące, jak się chroni od napaści przerastającego ją już Zygmunta — siada na ziemię, jak żebrak przed psami, bądź proszącej, by księżna (Zofia) o siostrzankach (Zygmuncie i Annie) w testamencie nie zapominała. U wszystkich, czy pisze królowa czy karlica, kanclerz czy arcybiskup, ksiądz czy żołnierz, styl jednaki i ortografia ta sama, nieco chwiejna, dowolna, jak po ówczesnych rękopisach ogółem. Styl mężczyzn naturalnie jędrniejszy, chociaż i kobiecemu dosadności nie brak; liczne słowa, zwroty i przysłowia łacińskie pstrzą niepotrzebnie styl męski; efekt listów od mężczyzn, jak od kobiet, psuje tylko ów nieszczęsny „Raczył“, przyczepiany ciągle, i owo mościwanie, szczególnie na początku listu bardzo rozwlekłe, zabierające zawsze dwie lub trzy linie, przeciw któremu już Frycz występował; wysłowienie łatwe, tok mowy gładki, choć nie dla uszu XX wieku.

Wobec całej prostoty, nieraz rubaszości tonu uderza tembardziej, jacy ci ludzie — prócz kobiet, gdy do kobiet piszą, np. królowa Anna do sióstr o swojej fluksy i innych dolegliwościach — w rzeczach fizycznych, w potrzebach i przypadkach ciała wstydlivi, jak je omawiają; Zamojski np. pisze: przeszłej zimy, *uczciwszy osobę WMci*, zmroziłem sobie nogi — lud i dziś jeszcze podobnie się wyraża; taksamo np. książę Sierotka do drugiego Radziwiłła: przyjechał, gdym, *uczciwszy WM.*, do wanny wchodził. Zato np. Chodkiewicz napisze: musiałem starać się, żebym nie, jako świnia, kwicząc poległ, ale społem z moim wrogiem, a mogli być, i na jednej miedzy i t. d.

Najciekawsze z tych listów, barwny pamiętnik ludzi i miejsc, zostawił sekretarz królewski, ks. Jan Piotrowski, z wojen moskiewskich Batorego; z listów tych i Heidenstein korzystał. Pisywał je, o mrozie i głodzie nieraz, do marszałka koronnego, Andrzeja Opałińskiego, co „doma siedząc pieniądze zbierał“, ale ciekaw, co się działo w Rzeczypospolitej, korespondentów licznych miewał, tak,

że żartował kasztelan wileński: „ten Polak wielki doma siedzi, a chce wszystko wiedzieć, co się na wojnie dzieje, czemu na nią nie jedzie?“. Z listów Piotrowskiego, pisanych żywo i barwnie, dochowały się tylko listy z r. 1581.

Od poufalego tonu i niewymuszoności listów odbijają mowy, szczególnie polityczne i okolicznościowe, przy weselach i pogrzebach. Już wiek XVI wyprodukował ich liczbę nieskończoną. Znaczenie polityczne szlachty, jej życie towarzyskie, wrodzona łatwość wymowy i nieodparta chęć popisywania się nią — pięciuset słów użyje Polak, gdzie innemu cztery starczą, zauważał w Polsce obcy — sprawiły tę powódź oratorską, która w wieku XVII i XVIII jeszcze bardziej z brzegów wylewać miała. Już tu, jak w niektórych listach, np. Kochanowskiego, zagęszczają mowę polską zwroty łacińskie, co później mylnie makaronizowaniem nazywano; prawda, że poseł „makaronizujący“, gdy na zły humor czyjś trafił, mógł jeszcze usłyszeć, co Szafraniec marszałkowi izby poselskiej wrzucił, gdy ten zamiast *oskarżony*, *accusatus* powiedział: Panie, mów WM. po polsku, wszakeśmy tu wszyscy Polacy. Mowy grzeszą rozwlekłością — a błąd ten miał się później tem bardziej stopniować, im rychlej malała doniosłość spraw i ścieśniał się widokrąg; dalej powtarzaniem ciąglem; mowy posłów protestanckich, Siennickiego, Leszczyńskiego, mówców cenionych najwyżej, odznacza namaszczenie pastorskie, ton biblijny czy ewangeliczny, bramowanie cytatami z Pisma świętego; inne cechują dobitność i dosadność wyrażenia, zwroty przysłowiowe, przenośnie. W ogóle stoi ta wymowa polityczna wysoko i od roku 1548, od sporów o Barbarę, a później o egzekucję, o unię i t. d., ciągnie się nieprzerwany szereg ciekawych jej zabytków, od Podłódzkiego przez Reja do Czarnkowskiego, starego, ślepego kłótnika, Zamojskiego. Jak dalece nie wahano się przed wystawianiem prawdy, poucza choćby „prozycya sejmowa“ podkanclerzego koronnego, ks. Piotra Myszkowskiego, z roku 1563; wystawia najpierw czasy dawne:

„Przodkowie WM... gospodarstwem się nie bawili, bo je włodarzom a kmieciom swym zlecali; prawa nie umieli, bo się każdy z nich nie statutem, ale swą cnotą sprawował; pisma, języków postronnych uczyli się wprawdzie niektórzy, ale nie dla wykretów, nie dla skazy dobrych staropolskich obyczajów, ale żeby tym ojczyznę swoją zdobili, a sami jej tym godniejsi ku służbie byli“; tak uczynili oni Polskę wielką.

„Teraz kiedyśmy z pola zjachali, a miasto drzewa i tarcze pługówęśmy się i czego innego jęli, wprawdzie więcej złota, więcej pólisków, więcej majątności ma każdy z nas na swą stronę, ale Rzeczpospolita mało nie do gruntu zginęła. Granice otworem stoją, ku potrzebie nietylko o Hetmana, nietylko o Rotmistrza abo o Towarzysza, ale i statecznego pacholika trudno. Młódź się zależała, a zbytki tak potargała, że, gdzie ich pospołu kilka abo kilkanaście będzie, ledwie się między nimi jeden prawie zdrowy obierze. Kmiecie, rzemieślnicy, niewolą ściśnieni, mieszczenie znędzeni a prawie zniszczeni i inne wszystkie członki RP., które, acz są podlejsze, niż stan rycerski, ale tak potrzebne, że bez nich RP. żadną miarą stać nie może, prawie zemdleli a upadli; porządku żadnego niemasz, sprawy żadnej, karności żadnej. Nakoniec i wstyd, który jest stróżem wszystkich cnót i bojaźń Boża, początek mądrości i wszystkiego dobrego, którąchmy do tych czasów za łaską Bożą przed innymi narody świecili i za niąchmy prawa pospolitego a swobód szlacheckich dostąpili, i ta już w nas gaśnie, a na to miejsce następuje swawola, zuchwalstwo, najazdy, gwałty, mordy, wzgarda prawa i wszelakiej zwierzchności“. Mowa ta i w literaturze pięknej się zapisała, gdyż „Satyr“ Kochanowskiego jest w części jej powtórzeniem, nieco nawet osłabionem. Inne mowy nie bywały tak poważne: nie wspominały położenia kmieci i mieszczan, nie wychodziły poza kresy kastowych przywilejów, zazdrośnie strzeżonych, i uprzedzeń; jednak i w nich, jak i w spółczesnej literaturze politycznej, przewijały się zdrowe myśli i rady, chociaż skutku nie odnosiły: ze słuchaczami bywało, jak z owymi, o których Rej mawiał, że rano na kazaniu spłaczą się skruszeni, a wieczór znowu pijani pod ławami leżą. W końcu skrzywiono nawet wszelką reformę, egzekucję siekucyą przezwano, a na koronę zwalono ciężar utrzymywania wojska stałego, „kwarcianego“, całkiem niedostatecznego dla strzeżenia szerokich a otwartych granic, choćby przed „moszką“ tatarską. Trybunał, judykaturę najwyższą, również zepsuto ustanowieniem coraz nowych wyborów na każdą kadencję; wprowadzano przez to w trybunał ludzi nieraz młodych, z prawem nie obeznanych należycie, przystępnych mimowoli i poduszczeniom partyjnym i machinacyom „prokuratorów“. I sprawę unii narażono na szwank, zostawiając Litwie osobne urzędy, narzucając tylko sejm wspólny. Tem wyżej stanął parlamentaryzm i wymowa jego; każda sesya, notowana po „dyaryuszach“ sejmowych,

o tem przekonają np. sesye, debatujące nad unią, od roku 1563. Tak wyraził (1563 r.) Mikołaj Radziwiłł, wojewoda wileński, nadzieję, że po dokończeniu unii Bóg wszystkich pocieszy jeszcze potomstwem królewskim „tak iż przyjdzie nam na piosnkę onę, której X. Arcybiskup w poselstwie swem zacnem na sejm litewski przed lat kilkiem dołożył słowem onem *Łado Łado*; będzie to z łaski miłego Pana Boga *łado* nam wszem wiernym WKM poddanym ku pociesze i weselu osobliwemu, którego i łagodnej jego harmoniej a zgodnej muzyki pomogą nam i oni, którzy w tenże bunt (złączenie) są od przodków WKM wstawieni, jako JM. Panowie Pruscy“. Niebawem znowu wyraził otuchę, że akt się niebawem dokończy „tak że się prędko rozjechać możemy, ono nasze stare *łado* zaśpiewawszy, bacząc być ten czas naszego dobrego i dzień on *quam fecit Dominus*“. „Łado“ było przyśpiewem gminnych pieśni polskich i ruskich, świątecznych, wiosennych, weselnych.

Wojewoda mówił zazwyczaj z wielkiem namaszczeniem i szumnie, np. „jakoś teraz WKM miejsce zacnej sprawie tej w pośrodku prawie szerokich państw swoich nad tą Białą Wodą (t. j. Wisłą) złożyć raczył, którą przodkowie WKM. pijając srodzy nieprzyjacielom swym bywali: raczże też ich przykładem jako po napiciu wody tej tak czynić“ i t. d. Innym razem zwrócił się ku Radom i Połom z mową, w której wskazywał pożytki „buntu“ (złączenia) i poparł je cytata: „teraz, gdy to zjednoczenie nam dojdzie, chcemy onego hymnu Pruskiej wojny (t. j. starej pieśni o grunwaldzkiej) pomagać, który, jeśli dobrze pamiętam, taki jest: Hej Polanie z Bogiem na nie“... Chcąc przeciw Padniewskiemu i Zborowskiemu, którzy, o usługach i dobrej chęci Polaków mówiąc, na kroniki dawne i na świeże fakta się powoływali, dowieść, że i litewska uczynność była nie mniejsza, że „pomocy wspólne także bywały“, powtórzył ową cytata i usłyszał, czego sobie nie życzył, „czego świadkiem jest on hymn polski starodawny o pruskiej porażce, gdzie przodkowie nasi naprzód się potykali, krew przelewali: Hej Polanie z Bogiem na nie, bo nam Litwy nie dostanie“ — tu wtrącił kasztelan krakowski, Marcin Zborowski, „Ba, Litwy nie dostawa, bo była uciekła“ — na co się wojewoda wileński bardzo zachmurzył, ale, nie dając się zbić z tropu, oburzenie swoje na niewinnym kronikarzu wywarł, na Kromerze, zowiąc go „mataczem, który wiele zacnych domów szkalał nieprawdziwie“. Hymnu tego pewnie już nie cytował. Cytował i łacińskie przysłówia, ale zawsze skromnie, ustępując

„palmy“ Polakom, wymawiając siebie i swoich, że u nich pod zimniejszym słońcem umysły tępsze być muszą.

Dalej zaostrzał się spór: pan kasztelan twierdził, że „acz się wyszpociła unia i do prawej wiary swojej jeszcze nie przyszła, ale to zawsze nasza miłość i chuć zakrywała, wiele się milczało, wiele zacierano... co nam podali panowie litewscy około uniej na swem skrypcie, podobniejsze jest *maszkaram*, aniżeli własnej unii, a niemali być unia, niechajże będzie *nasze spełna*... przeto już nam WKM racz co dobrego powiedzieć, boć *się czasem z kazania po lepszy człowiek*. I wojewoda wileński ostrzej się stawiał, mówił np. bywa to pospolicie, co się komu śni, że mu się to i na jawie stawia; jakążby to była *majestas* tej *reipublicae* (litewskiej), kiedyby się jej co ująć miało, podobnoby *był nasz staw, a inszego ryby*; chociaż zawsze jeszcze nadrabiał skromnością, mówił, że nie potrafi tego tak porządnie „jako JM. Panowie Rada Koronna w radzie siedząc *jako wianek* a głos angielski zgodnie mówić raczyli“. Nie brak przymówek, kasztelan zarzucał niemal niewdzięczność Litwie, gdzie wiele Polaków zginęło „i teraz na tę świeżą potrzebę wysłałiśmy *prawie jądrow* z pośrodku siebie, nie litując braciej i nakładów nie żałując, nie wspominając, że się tam wiele naszych *w ten szanć sadziło*“; wojewoda żądał ciągle głębokiego rozmysłu, bo tu „nie o wioskę idzie“, „bośmy nie są od Korony kupieni ani gwałtem wzięci... nie wszyscyśmy kosili siana ani rąbali drew, pozwalicie nas do wolności — jest jarzmo niewoli, ale nie pod ciwunem, nie jako chłop sołtys“, potem znowu łagodniej: „Pan Bóg nas do winnice swojej wezwał i ukazał nam do którego *klasztoru a bractwa* nas przyłączył a w tym *konwencie bracią WM* uczynił“.

Na sejmie roku 1569 sprawa unii szła „skrzypiąc“, jak przedtem, chociaż nowe osobistości układy prowadziły. Wprawdzie zapewniał kasztelan Sandecki Ossoliński, że „niechcemy my *papierem ani woskiem* z WM. unią stanowić, jedno sercem braterskiem“, ale nowy wojewoda wileński, Mikołaj Radziwiłł (Rudy), choć to rad słyszał, zastrzegał się natychmiast: WM powiadasz, że król polski dawno w Litwie rozkazuje, nie wiem, czy aby już Księdzu Wielkiemu Litewskiemu *requiem odśpiewano*; przeczył, że darmo czas tracą: *prawieśmy cwałem kniej przypuścili*, do której *kłósem* przodkowie naszy postępowali... za czasu i potrzebą, która przodków naszych nie dolegała, bo *już to ostatnia Jagła nam dowiera* (t. zn. ostatni Jagiełło wiek swój kończy).

Mielecki, odzywając się w młodym wieku pierwszy raz jako rada, mówiąc o unii, twierdził: „tu chodzimy, jako *między dwiema brzytwami*, na którą stronę się uchylisz, strzec się trzeba, aby się nie oberznął” i rozprowadzał szeroko to porównanie. Zwięźle wyrażał się kasztelan lubelski, podejrzewał, że nie „zwalają” na unię—podobno *cioska* ekzekucya to czyni (myślą ją tem rozerwać, ale się mylą; *cioska*, spółmienniczka...) podobno nam przyjdzie na panów Litwinów recesem dowodzić *jako na żyda nowym testamentem*, bo oni o recesie nie wiedzą. Biskup płocki „w długich mowach się nie kocha, wszak to *vulgare proverbium* u cudzoziemców, iż *Poloni comiciali morbo laborant* (chorują na sejmowanie), dosyć by to pijanym ludziom sprawować tak, jako my długo sprawujemy a nie obacznie“. Wydatki wielkie, a skarb pusty, więc skargi na poborców, dziwią się, że pobory małe, poradne przynosi teraz mniej, niż przed półtorasta lat, chociaż tyle osiadłości przybyło, skąd to? Marszałek poselski objaśnia, że jedni dają (pobory), jako przystoi, a drudzy, jak chcą, poborcy siła sobie biorą, szafarze także, a tak ztąd Rzeczypospolitej szkoda wielka. Inaczej wyraził to król sam: ta jest przyczyna, iż *Es Tus Dryja — ci dają spełna, Quater Cynek już ten co chce, Zes —ten już daje spełna bo na tego wszyscy oczy mają* (*Es Tus Dryja* ziemianie; *Quater Cynek* panowie bo ich żaden o to niepozowie, choć niedają, i starosta egzekucyj nie czyni bo sobie folgują; *Zes* imiona królewskie, bo tym starostowie żadnej winy nie przepuszczają).

Coraz częściej zapisywany w dyaryuszach głos pana Szafranieca z województwa krakowskiego, starosty lelowskiego, później wojewody sandomierskiego, zażywającego wielkiego miru u braci, jemu ofiarował też Rej czwartą część „Zwierciadła”, ale nieodrodnego od przodków, których ścinano, człowieka niepohamowanego, który też nieraz „z wielką furyą” występuje: „*litewski to strych* do nas się przeniósł, bo tam kiedy rzeką *nie*, to już inaczej być nie może”; „my żadnego poboru nie damy — wolimy zginać z majątnościami i z dziećmi, niżlibyśmy nad rozkazanie braciej uczynić mieli”, mimo to zapewnia, „że nikomu naprzód dać nie chcą okazaniem wierności i poddaństwa swego przeciw IKM i Rzeczypospolitej, choć tak wiele nie wykrzykają jako kto inszy...” „wszakoż na majątności swe kilka nas możemy nabyć tego co pobór województwa krakowskiego wyniesie a ja sam naostatek, aczżem się nauczył *całą gębą chleb jeść*, gotowem *sobie obroku ująć* a zdąd odjechać wolę ubogo

a z nieobruszeniem miłości braci swej pocziwej, przed którymi nie chciałbym nigdy nieść *zapłonionej twarzy*, gdyżem im zawždy zwykł *bezpiecznie w oczy patrzeć*“.

Wobec wymowy politycznej i okolicznościowej sądowa mała odgrywała rolę; stan „prokuratorów” (adwokatów) sam nie zażywał powagi, „sprzedawanie języka” i sumienia raziło; Tarnowski, Orzechowski liczyli ich do ludzi nieuczciwych, stawiali z katami i nierządnicami na równi.

Życie szlacheckie toczyło się coraz gwarniej i szumniej. „Posiedzenia” towarzyskie, biesiady krotofilne, gdzie to młodzieńce z wiankami na głowach do muzyki i żartów zasiadali, odbywały się i bez płci pięknej, bez „podwiki”, lecz i z nią się zabawiano, w licznych tańcach, obcych i własnych, w cenie, gdzie jeden drugiego naśladował, w gonionym, świeczkowym (z świecami w ręce) i t. d., Zresztą płeć piękna bardzo powoli średniowieczne zawarcie domowe opuszczała; nie pomogły nawet narazie Włoszki Bony, które ona za szlachtę swatała; jeszcze Rej się wcale niepochlebnie o „białogłowach naszych” wyrażał, a gdy Górnicki rozmowy włoskie przeobrażał, musiał panie dworskie mężczyznami zastąpić, gdyż polskie nie nadawały się jeszcze do konwersacyi dowcipnej. Obniżał te biesiady coraz znaczniejszy nałóg pijaństwa, ale w XVI wieku sarkano jeszcze nań, wyłamywano się z pod grozy pełnienia kielichów, „wilkumu”, „prze zdrowie”, „pełnej”, „pokurka”, z pod ceremoniału choć to coraz mniej pomagało; za przykładem niemieckim któremu napróżno włoską trzeźwość przeciwstawiano, grzązł naród coraz bardziej w nałóg haniebny.

W rozbudzonem tem życiu towarzyskiem — i mieszczaństwo bawiło się nieczgorzej między sobą — literatura nadobna nie poślednią odgrywała rolę. Do serca bogdanek szturmowano pieśniami; hołdy składano Zosiom i Kasiom, nieraz bardzo obcesowe; rymy kreślono zawzięcie i bez osobliwszej przyczyny; gospodarz rad gościom wzywał:

Pójdźmyż do izby, niż będzie gotowo (jedzenie),
A rzeccie sobie jakie dobre słowo;
Dodaj gorzałki, mów: Boże, daj zdrowie!...
Są też i księgi, jeśli kto chce czytać;
Jest i kałamarz, kto ma pozew pisać;
Jest kreda, kto chce, niech ściany maluje...

Zatem się jedni do kredy rzucili,
A drudzy zasię w pozwy uderzyli,
Ci swoje rymy po ścianach pisali,
Drudzy wczas sobie pozwy gotowali...

Tak wyglądało „posiedzenie” przed obiadem, nieco później zato:

Jedni się wadzą; drudzy piwo piją;
Miasto śpiewania na ośm głosy wyją;
Szklenice tłuką, czasze przewracają;
Jedno wždy dla kart przed sobą ścierają i t. d.

Obudziło się więc towarzystwo polskie ze średniowiecznej niemoty; rzuciło się do wyrażania swych uczuć wierszami, i dziś trudno już wyobrazić sobie dawną ich obfitość; bo w parze z zamięłowaniem do wierszu szła iście polska niedbałość o zachowanie i wydoskonalenie jego; do druku nie dostawało się z tej powodzi wierszowej nic; z druku były namaszczenie i propaganda religijna, zapełniały go nauka i historia, szkoła i „konstytucye”; czysty traf zachował wiersze miłosne, od których poczynali Górnicki, Szarzyński i inni zawód literacki.

I nadobna literatura rozszczepia się na łacińską i polską, lecz obie mieniąją rolę; brak wartości większej, ciągłe powtarzanie, naśladownictwo ślepe stanowią tym razem cechy literatury łacińskiej, zaczynającej widocznie przed polską ustępować. Wybitniejszych talentów, któreby się jej wyłącznie poświęcali, prawie już niema wcale; nie był takim ani Samborczyk Grzegorz, profesor krakowski, piszący wiersze okolicznościowe, eklogi, pochwały i t. d. i wierszujący biblię na poemat epiczny; ani prawnik—Hiszpan, Piotr Rojzusz, kujący tysiące wierszy na królów, na panów duchownych i świeckich, na epitafia i epitalamia, nawet na *Baccheis* czyli *epos* dydaktyczne o pijaństwie polskiem i jego regułach, z wielką łatwością w łacinie, lecz bez smaku i dowcipu, choćby we fraszkach. Od tych „latynistów”, swoich i obcych (Ślązaków, jak Schonaeus), roją się spisy bibliograficzne, jest między nimi wielu mieszczan, wyjątkowo tylko ciekawsza jaka osobistość, taki Andrzej Trzeciecki (syn) np., który po polsku pisuje wyłącznie religijne rzeczy, pieśni, psalmy i t. d., w łacinie zaś całkiem w panegiryzm się rzuca i w swoich „*Silvae*” wszystkich dostojników i znajomych w najwyszukańszych słowach i rytmach okadza albo Aryanów wyklina; nie pojawiła się

wtedy książka, którejby on na drogę wierszów polecających, chwala-
jących autora pod niebiosa, niby paszportu literackiego, nie wyda-
wał, bez względu na autora czy kalwin czy katolik, czy Rej czy Bia-
łobrzski. Jeszcze osobliwszy Stanisław Niegoszewski, improwi-
zujący po łacinie, jak Rej po polsku, imponujący nawet Włochom
gotowością dysputowania z punktu wierszami w każdej materii na-
ukowej, kujący nadzwyczajne sztuczki, np. wiersze, które, z przodu
i z tyłu czytane, o jeździe końskiej uczą:

*Si bene te trades, sedes sed arte tenebis,
Et si se retro feret, utere, forte resiste,*

którymi w Polsce później febrę zamawiano między ludem! Niego-
szewski jednak większych rzeczy nie pisywał, tylko okoliczności-
we, np. na śmierć Kochanowskiego i innych.

Takich było wiele Maciej Piskorzewski, sekretarz Zamojskie-
go, Andrzej Dzierżanowski i inni; talentem, smakiem i wiedzą wy-
bijał nad nich wysoko mieszczanin lwowski, **Szymon Szymono-
wic** (t. j. syn mistrza Szymona z Brzezin, Mazura, który na Ruś
wywędrował i we Lwowie imię i majątek zrobił), uczeń Górskiego,
Sokołowskiego i Skaligera, filolog (tłumacz rzeczy greckich na ła-
cińskie) i poeta, rywalizujący z Pindarem wierszami łacińskimi,
okolicznościowymi, opiewając śmierć Górskiego, zasługi Zamoj-
skiego, szczypane przez zazdrość, gody weselne Zygmunta i Zamoj-
skiego, a prócz tego to św. Stanisława, w kontr Rojzyuszowi, wy-
sławiając, to proroka (Joela) parafrazując, to o dramat biblijny
w szacie klasycznej się kusząc. Napisał bowiem „Czystego Józefa“,
w stylu Euripidesowej Fedry (i Seneki) nowelę biblijną przera-
biając ¹⁾, a dramat ten, właśnie dla braku dramatyczności, tak się
w Polsce dla swoich morałów podobał, że go i na polskie nieba-
wem wyłożono; przekład polski (Stanisława Gosławskiego z roku
1597) bardzo nieudolny, rozwlekły (dla dobierania rymów), rubasz-
ny, tak że zaciera zupełnie wytworne cechy humanistyczne orygina-
łu, np. myśl Szymonowica (zaprześciń słów, o matko, błagam cię,

¹⁾ Pozwolił sobie przytem kilka dodatków, np. złowrogi sen Józefa przed katastrofą, gdzie, przemienionego w ptaka zapędziła w przepaść kukułka, motyw wcale stosowny, skoroż kukułka symbolem lubieżności była.

abym i ja przeciw tobie nie wykroczyła) oddał Gosławski wierszami:

Stulże już powiadaczkę, dosyć było tego,
Byś też nie oberwała, strzeż się, sama czego.

Lecz jak „Dzierżanowski poeta, którego Kameny (Muzy) U wszystkich są przyjemne i niemałej ceny“ (słowa Zbylitowskiego w Drodze do Szwecji roku 1597), tak i Szymonowicz próbował się i w wierszu polskim, pisząc między innymi rymy na ślub Sieniawskiego i Kostczanki (r. 1593); pomysł był znowu całkiem humanistyczny, ale treść, dowolnie wyłożony mit o Adonisie i Wenerze, trawestowana tym razem po polsku. Dlaczego? wypowiedział się z tego kolega pióra, mieszczanin również (sekretarz toruński), Jan Rybiński, gryzmołający stale panegiryki łacińskie, lecz zrywający się dla wesela Ostroroga z Firlejówną na „melos“ polskie (roku 1594): jedna z „dziewięci“ muz zaleca poecie nie zwykły wiersz ateński lub łaciński:

teraz spraw rym winszowny z polska a chędogo,

— ażeby i *oblubienica* nim się nacieszyć mogła, więc prosi poeta o łaskawe przyjęcie:

choćby się też zdało
Co nie po Kochanowsku — w lot ci się pisało;
Częściej Statut, niżli Rej w rękę się przewija,
Częściej Themis obrotna, niż cicha Thalija.

Wszyscy trzej poeci spóźnili się znacznie; już w pół wieku przed nimi dokonał był stanowczego kroku Jan Kochanowski, gdy odwiązał nareszcie poezję narodową od pręgierza lekceważenia i wzgardy jawnej, u którego jeszcze w oczach Krzyckiego i Janicyusza tkwiła. Za jego to przykładem złała się po raz pierwszy poezja polska z łacińską, narodowa z humanistyczną. Oddziało to na nią nadzwyczaj dodatnio; nie wyrzekała się ona wprawdzie średniowiecznego rymu, ale stosowała się do sztucznej formy łacińskiej, do jej zwrotek i rytmów, lubowała się np. w strofie safickiej, nawet w poematach opisowych. Jeszcze bardziej naginała się do innych jej wymagań; dotąd „poezja“ różniła się od prozy rymem, a prześcigała ją wielomównością i rozwlekłością (dla tego ry-

mu); teraz dopiero, pod wpływem łacińskim, nabrała ona stylu, stroju i kroju, rzuciła zwroty banalne i prozaiczne, szukała wzniosłości i malowniczości, upiększenia, porównania, figury, piękną myśl pięknie wyrażała, o gnomy i sentencje się kusiła, rzecz wedle planu obmyślanego układała, dbała o harmonię i nie zadowalała się pierwszym rzutem, ale za przykładem Horacego gładziła i piłowała do możliwej doskonałości. Obok tych nadzwyczajnych korzyści, jakie Kochanowski osiągnął odrazu, zjawiały się jednak i ważne braki: obca pomysłowość, obce obrazy przygniatały nieraz swojszczyznę; czytając oryginalne wiersze polskie ma się wrażenie, że to tłumaczone łacińskie: ten sam duch, te same ozdóbki, ta sama sztywność i napuszoneość, ta sama niesmaczna gmatwanina pojęć pogańskich i chrześcijańskich, starorzymskich i polskich, sztuczki i regułki szkolarskie zamiast natchnienia i prawdy. Poezya ta wznosi się odrazu wysoko, w porównaniu do dawnego pełzania jej po ziemi, ale na wyżynach nie zdobywa warunków dalszego rozwoju, niebawem wysila się i jałowuje.

Na skale „pięknej Kalliopy, gdzie dotychczas nie było znaku polskiej stopy“, stanął pierwszy **Jan Kochanowski**, Sandomierzanin. Talent poetycki obudził się w nim wcześniej, a rozwinął we Włoszech, gdzie się lekkie miłostki sarmackiego Tybula i Propercyusza w wierszach łacińskich wynurzały, aż podziałał naoczny, przekonywający przykład poezyi włoskiej, poezyi Petrarcki, Ariosta i Tassa, że to samo, mniej uczenie, ale z większym ogniem i zapałem, da się i w języku narodowym wyrazić. Pierwsze próby miłosnej poezyi polskiej może i nie zadowalały poety, łamiącego się z nową, twardą formą, nie odnajdującego w swym wierszu wdzięków i harmonii włoskich; ale na drodze raz obranej wytrwał on, a przykład francuski Ronsarda, którego w Paryżu poznał, mógł go tylko wesprzeć w usiłowaniu przelewania w wiersz ojczysty piękności starożytnego, wyrażania w nim „myśli godnych siebie“, stworzenia poezyi, gdzie dotąd tylko wiersze i rymy były, gdzie pomysł najwdzięczniejszy zeszpecało liche jego, Rejowe wydanie; teraz i najbłahszą rzecz uszlachetni kunszt Kochanowskiego.

Natura jednak sarmacka jego, poważna, chłodniejsza, w fraszkach miłosnych tonąć nie mogła; taki wieszcz, jaki słuchacz; przed gronem wytrawnych ludzi, hetmanów i senatorów, w imieniu nowej sztuki z przygodami erotycznymi występować — tem mniej się godziło, skoro umysłu młodego musiał się dotknąć wicher religijny, sza-

lejący za Karpatami, nie uśmierzony całkiem i nad Apeninami. Lecz do zbytłych zaciekań dogmatycznych natura, choć z gruntu religijna, nie ciągnęła; tradycja wiekowa, wpływy domowe działały swoje, i już we Włoszech sformułowałby Kochanowski stanowisko religijne słowami Orzechowskiego (z listu z roku 1560): „pycha rzymska, sodomia, symonia, wojny świętokradzkie, zbytek i wszelka pompa—toć upaść musi, bo ten klucznik (papież) tego od syna Bożego nie wziął; wziął to od złego ducha, jako dalibóg tego doczekamy, iż to wszystko upadnie; ale co od Pana Boga ten klucznik ma, próżno tego czekać mamy: nigdy on tego nie utraci“. Na takim stanowisku wytrwał Kochanowski do końca, wierny kościołowi, nie ślepy na błędy duchownych, obojętny, jako stoik i humanista, na zewnętrzne oznaki kultu, stroniący od swarów wyznaniowych. Tem głębiej odczuwał on moc i łaskę Bożą, kierującą wszechświatem; tem wdzięczniej ją rozpatrywał i przeciw pompie i symonii rzymskiej, ranionej ostro we własnych wierszach łacińskich, wyśpiewał popolsku hymn dziękczynny do Boga; i oto zajaśniał pierwszy dzień wiosenny poezji polskiej, gdy skowronek sandomierski wzbił się do nieba z pieniem natchnionem:

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary,
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?

A takich pieśni rozlegało się teraz więcej i coraz inaczej wysławiał poeta cuda mocy Boskiej i wiersze (fragmentu III, spółczesnego):

Jego porządkiem lato wiosnę goni,
A czujna jesień przed zimą się chroni...
Ten opatruje, że morze nie zbierze,
Choć wszystkie rzeki w swoje łono bierze,

poprzedziły może ostateczną redakcyę owego hymnu:

Za Twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi...
Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi...

Do wierszów miłosnych i towarzyskich; do fraszek, przysmaczających trefne biesiady przy lutni i wieńcu na głowie; do wierszów religijnych i okolicznościowych, jak „Pieśń o potopie“, od-

skakująca od społecznych pieśni religijnych różnych B. W., S. K., a choćby A. T. i M. R., lub „O śmierci Jana Tarnowskiego“, o „Tęczyńskim młodym“; do poematów opisowych i epicznych (Zuzanna; Szachy) przystąpiły niebawem dwie satyry polityczne, „Zgoda“ i „Satyr“, parafrazujące mowy Padniewskiego i Myszkowskiego dowcipnie i trafnie. I rozniosły te utwory, choć do druku wyjątkowo się dostawały, chciwie rozchwytywane w odpisach, sławę poety po całej Polsce, i już roku 1562 Rej bez cienia zazdrości kazał podziwiać:

Jako go przyrodzenie z ćwiczeniem sprawuje,
Co jego wiele pisma jaśnie ukazuje...
Tybulus... nie wiem umiały tak cnotą zafarbować.

Hymn ów naśladował arian Grzegorz Paweł roku 1564, a kalwin Andrzej Wolan, naśladując w „Proteuszu“ (r. 1564) Satyra, nawet w całym układzie, dołączając nauki „pana dla syna“, jak Kochanowski „Chirona dla Achileśa“, w osobnym „Zamknięciu do poetów polskich“, wysławiwszy poetów-kalwinów, Reja, co bez żadnego wodza przyrodzonym dowcipem wielkiej sławy dostał, i Trzecieckiego, którego język i nad cukier słodszy, stawia *przed nimi*

Kochanie wieku tego, bo strunami swymi
I uczonym śpiewaniem tak się popisuje,
Że też przeszłemu wieku mało ustępuje...
Jeśli w moich rymiech będzie co chwalnego,
Z nieba naprzód, a potym *mam to z łaski jego*.

I odtąd rośnie coraz sława poety, pierwszego poety polskiego, który świadomie w poezji cel i zasługę i chwałę życia całego pokładał; który nie nadużywał jej dla zaskarżenia łaski, darów, protekcji, aby ją potem rzucić; który nie kwapił się z ogłaszaniem pierwszego rzutu, lecz gładził i piłował, wszystkie tajemnice swej sztuki posiadłszy; który wycofał się z urzędów i obowiązków, podziękował za kanonie i prowenty, za lafę i jurgielly, aby, „ludnemi miasta wzgardziwszy“ i wycieraniem podwoi pańskich, w sielskiem zaciszu, w gronie rodzinnem, sobie, a Muzom

Tem głośniejsz śpiewał, a nie podlegał nikomu.

Tylko nie był on poetą, co „słuchaczów próżen gra za płotem, przeciwiając się świerczom“, i nie potrzebował wątpić o nagrodzie po-

śmiertnej. Nie skąpiła takiej i społeczność: Padniewski i Myszkowski, główny jego wielbiciel, Batory i Zamoyski, małopolscy panowie, Tarnowscy i Tęczyńscy, Firleje i Czerni, i choć się poeta z drukiem nigdy nie kwapił,

Nacieszywszy naprzód uszy domowe swych panów,
Posyłał też nowe psalmy do innych ziemianów;
Potym też przy dobrej myśli czasem się przydało,
Że się też to, choć nie rychło, między gmin podało

(Klonowic o nim). Bardzo produktywnym poeta nie był; zdobywał się wprawdzie na wiersze okolicznościowe i większych rozmiarów (Proporzec na hołd pruski roku 1569), pociesywał dawniejsze pieśni, dodawał coraz nowe „Fraszki”, tłumaczył niejedno ze starożytnych, np. z Iliady, aby toku epickiego dla wystawiania rzeczy polskich nabyć, reagował od czasu do czasu na jakie zdarzenia polityczne, szczególnie pieśniami łacińskimi, lecz głównym plonem całego dziesięciolecia był „Psałterz” jego przekładania, wydany roku 1578.

Humanisty szkockiego Buchanana parafraza psalmów Dawidowych była zewnętrznym bodźcem tej pracy, do której dawno poeta się skłaniał. Swary teologiczne o łączeniu natury boskiej i człowieczej w Chrystusie lub o jedynym trafny wykład słów, ustanawiających wieczerzę Pańską, odrażały humanistę - poetę, który poza ewangelie i zażarty bój o nie toczony cofał się na grunt i spólny fundament wiary, gdzie królował z niezachwianą potęgą psalmista: wyśpiewywał już przedtem Kochanowski wszechmoc Pańską, a nie chcąc siebie samego powtarzać, trafiał mimowoli do psalterza. Wybierał pojedyncze psalmy, odpowiadające nastrojowi własnemu lub okolicznościom; powoli rosła liczba tych luźnych przekładów, aż urosła chęć pozapełniania luk i wykonania całości ozdobnym wierszem. Nie brakło dotąd bowiem przekładów psalmowych; Rej i Trzeciecki i Jakób Lubelczyk próbowali się w wierszowaniu całości lub wyboru, prozaiczne tłoczyły się dla wszystkich konfesji, były i łacińskie humanistyczne parafrazy rozmaitego układu i ceny; nie było polskiej, godnej. Tę szczerbę zappełnił Kochanowski; zebrał niesłychaną dotąd w wierszu polskim ilość układów stroficznych; nie trzymał się tekstu niewolniczo, snuł na nim nieraz własnej myśli pasma; zmieniał coraz ton, od spokoj-

nego, równego, do skruszenia duszy upadłej i do tryumfującego okrzyku zwycięzcy, trafiając każdy, i stworzył dzieło, acz nie oryginalne, ale rzetelnej wartości poetyckiej. Rzuciły się do niego wszystkie konfesye, nawet Aryani, „pokinawszy Jakubków psalterz, zaś Grzegorzowe krakowskie pieśni i Czechowicowe wileńskie, trzymali się psalmów, które złożył osobliwiej Kochanowski”. Posypały się coraz nowe wydania, dwadzieścia do roku 1641, i czerpały z nich kancjonały protestanckie, Rybińskiego i innych, i szerzył się „słodki Kochanowski” aż do Moskwy samej, skąd go Szymon Połocki swoim niefortunnym przekładem poetyckim (r. 1674) rugować zamierzał. Ci, co później w tory Kochanowskiego wstępowali, jemu powagą, siłą i lotem nie dorównali nigdy, ani Gawiński w XVII, ani Karpiński w XVIII wieku.

Równocześnie wyszła „Odprawa posłów greckich”, dramat okolicznościowy, jakim festyny społeczne ozdabiano, ale wysoko nad nie wzniesiony, jako pierwsza próba oryginalna dramatu humanistycznego, ze świata starożytnego zaczerpnięta, a tysiącznemi nici do społeczności nawiązująca, tendencyjna niemal i aktualna. Forma klasyczna skopiowana wiernie, aż do zachowania chórów, stychomityi, t. j. odcinania się mówiących co wiersz, i długiego opowiadania, zastępującego akcję; lecz nie tylko forma i treść, duch sam starożytnej Hellady z utworu tego wieje, chociaż i polskie sejmowanie, polskich demagogów i polską niegotowość wojenną autor wystawił, zamiarom Batorego i Zamojskiego forytując, animusze pobudzając do wojny. Że właśnie Polska w obozie trojańskim stanęła, coś dziwnego, skoro głos był powszechny:

Giniemy! Giniemy!

Ale temu zginieniu kto wiernie zabiega?

Zabiegali Batory i Zamojski, lecz ramię ich paraliżowały niechęć, zażdrość i nieufność polska; za Antenorami ujął się Kochanowski przeciw Parysom - Zborowski. Pod względem językowym rzecz była mistrzowska, mniej zadowala sam dramat dla luźności scen, jak w szopce następujących; charaktery nie rozwijają się, ani akcja napięta należycie—lirykowi brakło żyły dramatycznej, ale samo przezczenie się nagle ze świata hebrajskiego w klasyczny, z liryki w dramat, z form zwykleszych do zupełnie obcych i nowych, dowodziło wszechstronności autorskiej, siły i pocucia jej.

Stał on już u zenitu i, czując to, zabierał się do uporządkowania spuścizny poetyckiej ćwierćwiekowej, gdy go w szczęśliwym dotąd pożyciu rodzinnem trafił cios bolesny; umarła mu ulubiona córeczka, Urszulka, rozwinięte nad wiek dzieciątko, wsłuchane w muzykę, dziedziczące niby po ojcu prawa do lutni; rychło po niej umarła i siostrzyczka. Wybił narazie ten cios poetę z równowagi, którą mądrością i umiarkowaniem zdawało się zdobył nazawsze, i wyśpiewał miotające nim teraz uczucia w kilkunastu luźnych trenach, które, jak dawniej psalmy, w całość zaokrąglił, ze wstępem, najslabszym, przygrywką niby do tych bólów, z ich stopniowaniem, dochodzącem do szaleństwa i bluźnierstwa, z powolnem upamiętywaniem się, ukołysaniem, którego „Sen” słowami i radami matki poety dokonywa. Treny nie są wszystkie jednej wartości, nie wolne od powtarzania motywu, reminiscencyami klasycznymi, z lektury, miejscami nadto przetkane, ale kunszt słowa i wiersza, głęboka rzewność uczucia, piękne obrazy, mądre myśli nadały temu utworowi, oryginalnemu nawet pod względem budowy, wiązania, wartość nadzwyczajną.

Była to jego praca ostatnia; o nowy dramat się nie kuśił; próby epiczne zawodziły stale, po wawrzyn Wirgiliusza, szczyt ambicyi humanistycznego poety, nie sięgnęła jego ręka, napróżno mamiły go i wabiły i Grunwald i Warną; rozmachu epickiego brakowało mu zawsze. Teraz zbierał wiersze łacińskie i polskie; śmierć nagle i tę czynność przerwała.

Cóż po nim zostało, co zrobiło go wielkim, jedynym poetą polskim przed Krasickim i Trembeckim? dlaczego ten jednogłosny hołd podziwu, jaki mu składają wszyscy, szlachta i mieszczenie, kronikarz i jezuita, Zamojski i Klonowic, Bielski i Wielewicki, Kochowski i Potocki? Nie było działu wiersza lirycznego, okolicznościowego, dydaktycznego, sielskiego, któregooby on nie uprawiał godnie a wdzięcznie. Pisywano i przed nim wiersze miłosne, o zakroju domowym; lecz on dopiero wprowadził pustotę anakreontyku i zadumę tybullową i horacyuszowskie wdzięki i namiętność katulłową; jego to pomysły, zwroty, obrazy stworzyły kanon polskiej muzy erotycznej, który chyba u Morsztyna porzuciła; jeśli on np. zapewniał:

*Złota to strzała i krom wszego jadu była,
Którą mię niepochybna miłość uderzyła i t. d.,*

to nie trudno dopatrzeć się wzoru dla Szarzyńskiego, śpiewającego;

A ty, co serca ranisz hartownemi
Strzałami, czasem nie jadowitemi,
Ugodź ją (Zofię) złotą, aby twe postrzały
Już tam moc miały.

I zaroilo się odrazu na polskiej niwie poetyckiej od erotyków w guście Kochanowskiego, u Anonima, Szarzyńskiego, Smolika i in. Jeszcze bardziej wzorowano się jednak na jego „Fraszkach”. Pisali je dawno przed nim Rej i inni, sarkał Rojzyusz na fraszki, w których nic, prócz tytułu, warowniejszego nie było; sarkał Bielski w roku 1569:

Dosyć się inisi w Polsce błazeństw napisali...
Gdzie pojrzysz, ali fraszki...
I tych się nacytawszy, ali pieprz zawinąć,
Żeś dał pieniądze w ten dzień, źle możesz wspominać.
I składaczowi (poecie) za to sławy nie przyroście...

Lecz zrządzenie staruszka, dydaktycznemu wierszowi stale hołdującego, nie trafiało do przekonania, i siliły się dowcipy za Kochanowskim na fraszki; tak wydał zaraz w następnym roku po nim (1584) Malcher Pudłowski, nie młodzik już, piękne i poważne fraszki swoje, których tytuł nie całkiem nawet odpowiedni, bo więcej w nich statku, niż u Kochanowskiego, a humor tylko miejscami przebijał, mianowicie w owym testamencie Mazura, rozrządzającego rupieciami swymi, jakby skarbami. I z lekkiej ręki czarnoleskiego śpiewaka, który w swych fraszkach rzeczy obce i własne, śmieszne i smutne, bezecne i prawe, anegdoty i refleksye, żarty i przestrogi, szyderstwa i pochwały, świeże i dawne, krótkie i dłuższe pomieszał, wyroiły się fraszki, fraszkolasy, fraszkorytmy, dworzanki, wety parnaskie i jak je tam nazywano.

Największe wrażenie, chociaż niejednemu rzecz sama „lekką” się przedstawiała, wywołały Treny, i od roku 1580 ciągnie się ich szereg nieprzerwany, pod tem samem lub zmienionem nazwiskiem, ze szczegółami, zwrotami, myślami, zapożyczanemi bez ceremonii. Podobnie ma się rzecz i z „Satyrem” jego. Pomysł nie był nawet bardzo szczęśliwy, bo po cóż było „dzikiego męża”, utwór fantazyi słowiańskiej, jakim ona swe lasy zaludnia, koniecznie w starożytnego satyra przedzierzgać, prawiącego Polakom przestrogi naj-

świeższej daty, choćby i o szkole krakowskiej, a latającego je naukami Chirona — mimo to, dzięki Kochanowskiemu, ten satyr właśnie zdobył w literaturze polskiej prawo obywatelstwa; Wolan przynajmniej zastąpił go jeszcze Proteuszem, ale późniejsi, Twardowski i in., stale z Satyrem wychodzili i jeszcze Gracyan Piotrowski w XVIII wieku ze czcią go wymieniał. Jedyna „Odprawa“, jako rzecz „nie wedla uszu naszych“, naśladowców nie znalazła. I niektórymi mniejszemi rzeczami bardzo pociągał poeta, czy to przez „epitafium“, czy przez pamiątki nagrobne Tarnowskiemu i Tęczyńskiemu, czy Sobótkami, w których poeta - ziemianin „wczasy i pożytki“ „wsi spokojnej, wsi wesołej“ opiewał, naginając się miejscami całkiem do nuty ludowej. Nawet sztuczki rozmaite za nim powtarzano, takie „Raki“ np., gdzie pochlebny wiersz nawspak czytany hańbił i sztydził: broń, której w politycznych i religijnych pamfletach nieraz używano i in.

Poetę ziemiańskiej Polski odznaczały umysł niezawisły, przedstawianie na „równem“ (miernem) ale swojem, umiłowanie żywota sielskiego, niewspinanie się ku szczytom i dostojeństwom, kwietyzm pewny, dbałość o wczas, wygodę i zdrowie, nie wykluczająca jednak żywego udziału w rzeczach, obchodzących ogół, biorąca do serca i obcych wyzwicka na Polskę (odpowiedź skrzeczącemu Francuzikowi) i niewdzięczność Walezego i klęski, żywiołowe czy tatarskie, bolejąca nad nieładem, nad rozterkami religijnymi, ceniąca co obce, ale miłująca co swoje, choćby starą, zasłużoną a sponiewieraną szkołę krakowską. W fizyognomii jego moralnej żadne namiętności bródz głębokich nie wyorały; wyszumiał rychło; uczucie było rzewne, lecz spokojne, ciche; przebijała wszędzie dobrotliwa, gościnna, towarzyska, jednym słowem polska natura. I estetyczna równowaga zachowana: rozwój naturalny, bez gwałtownych przeskoków; wzorowanie na jedynie cenionych, na dziełach starożytności, ale bez jednostronnego zapatrzenia się w te dzieła, z zachowaniem większej swobody od powiagaków klasycznych, krępujących plejadę Ronsarda; siła wyobraźni mierna; dar obserwacyjny znaczny; humor pogodny; pierwsze zwroty ku naturze, obce jeszcze zupełnie Rejowi lub Bielskiemu, dla których tylko ludzie istnieją. Pomysłowość nie uboga; tok wiersza gładki; mowa jędrna, trafna, obrazowa, bez Rejowych rozwlekłości, trywialności, prostactwa; język poetycki stworzony po raz pierwszy i wiekom całym za wzór podany, ponad który się wyżej nigdy nie wznosiły. Skłonność ku

refleksyi i dydaktyce widoczna, i uczucie religijne tak zabarwione. Obcowanie z nim podnosiło i polepszało; wiało od niego ciepłym moralnym i przenikającą wszystko swojskością; miło z nim szaleć, kiedy czas po temu; z nim służyć pocziwej sławie, „a jako kto może, niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże“.

Stąd ta sympatya, którą poetę za życia i po śmierci otaczano; jeszcze w czterdzieści lat po zgonie apostrofował go poeta - mieszczanin:

Najsławniejszy poeto między poetami!
Ty nigdy nie umierasz, zawždy jesteś z nami,
Bo zawsze poglądając na twój wiersz *wspaniały*,
Musimy się dziwować, że był rozum cały.
By nas kilka tysięcy stanęło z wierszami,
Żaden taki nie będzie, musim przyznać sami,
Choć jeszcze drudzy kradną ziarno z twej spiżarnie,
Przywłaszczając za swoje...
Woli wiersz, choć kradziony, by jedno gotowy.
Biedneż nasze żebracze płaszczyki łatanne...
Przełoż też naszej pracy marnie używają...
A Kochanowski przeciw jako pan na stole,
Czasem dwakroć oprawny, co pojadył mole.

Nie wybredny to wiersz, ale szczery, a podobnych możnaby wiele naliczyć; Miaskowski roku 1612 powtarzał, co Wolan r. 1564 wyprorokował — o nieśmiertelnej sławie, a Paprocki zapewniał:

A śnać by mieli mówić po polsku bogowie,
Iścić by z Kochanowskim przestali na mowie!

I był to pierwszy poeta, którego sława nie zamykała się w obrębie stanu, prowincyi czy konfesyi, rozciągała się jednostajnie na całą Polskę; zgon nagły poety opłakiwał i Kraków posiwała od ołownych dachów, i Poznań staropolski, i Litwa spolszczała, dwugrodne Wilno i porządny Lwów a Lublin, śpiewał słusznie Kłonowic.

Spółcześnie z Kochanowskim, wywołane po części przez niego, występowało całe grono pisarzy; dzielili oni z nim zwyczaj fatalny nie drukowania wierszów, rozszerzania ich w odpisach tylko, a za tem poszło utrata i dzieł, zanik i autorów całych. Tak ocalały przypadkiem tylko wiersze **bezimiennego dworzanina=protestanta**, pisane około 1562 do 1568 r., wiersze miłosne, blade i konwencyonalne nieco, i wiersze okolicznościowe, fraszki, żarty, anegdoty

i wykończone obrazy starszslacheckiego życia, np. szlachty, wybierającej się kuligiem, a przerywającej niewczesną zabawę za przybyciem posła, donoszącego o najściu tatarskim i zwołującego na odsiecz; albo „Biesiada o dobrym gospodarzu“, jak się goście jego mile bawią, aż mruk jakiś, żubr, pijany zwadę zaczyna i t. p.; wykończone do najdrobniejszych szczegółów obrazki rodzajowe, z wyraźną żyłką epicką i lubowaniem się w opisach, czego u Kochanowskiego zupełnie niema, z dobroduszością, nie wolną od lekkiej ironii, gdy np. mówił o Zygmuncie Auguście, co na przedstawienia p. hetmana w radzie „czapeczki poprawiał“,

*Do jutra tę rzecz każdy raz odkładał,
Czasem też z gniewu pilnie główką trząsał...*

albo o swoich „dilektach“—Polakach, co siła na się nieprzyjaciół macie,

*a wždy nic nie dbacie,
Choć się źle dzieje, wszystko u was fraszka!*

Fraszki anonima odznaczają się wobec figielków Rejowych i fraszek Kochanowskiego i tem jeszcze bardzo dodatnio, że niema w nich prawie przywoźnego towaru, że odnoszą się, acz imion nie nazywają, do małopolskiej i ruskiej szlachty, są najbardziej swojskie, grzeszą tylko wadą polską albo słowiańską: rozwlekłością dykcji — nie „teskno“ przecież autorowi przy flaszy bajać swobodnie:

*Aby tym snadniej płynęły te fraszki,
Muszę się przysiąc do tej waszej flaszki,
A wy co wiecie, wszystko powiadajcie;
Czego nie wiecie, pisać mi nie dajcie.*

Za to tok ich nadzwyczaj gładki, chociaż to łatwość i gładkość prozaiczna. Z fraszek wieje silny duch akatolicki; jadąc więc między Mazurów, gdzie „się twarde kijce rodzą“, musi „swoję gębusię zasznurować śpieniem“, używa za to we fraszkach; taki „Indult papieński“ np. — na temat apokryfu, Listu z nieba zesłanego, i dziś między ludem znanego—to jakby odpowiednik poetycki do najdrastyczniejszych kart Apokalipsy Rejowej. Kazi jego wiersze treść, rozwozła strasznie, ale rubaszna, bez śladów włoskiej lubieżności — przypomina i tem W. Potockiego z XVII wieku. Nazwiska jego nie

znamy; może to Stanisław Porębski, „złoty“, którego „skotopaski“ (idyle) Kochanowski wysławiał z Teokrytowymi na równi, albo Chwalibogowski, Jan czy Krzysztof, o których społecznie jako o poetach wspominają (o Janie, jako znakomitym poecie, wyraża się pisemko z roku 1578, o Krzysztofie pisze Paprocki „wieku mego był poeta *non vulgaris*“). Poeta sam siebie wysoko nie stawiał, wymieniał „dwu mistrzów, Kochanowskiego, Reja“, siebie „prostym, z wierszów nic niećwiczonym“ nazywał. Gdyby nie jego erotyczne pieśni, możnaby go do szkoły Rejowej zaliczyć, do Kochanowskiego znowu, gdyby nie brak zupełnymitologicznychreminescencji, bez których Jan nawet w „Sobótkach“ się obejść nie zdołał. Czy nie był ten anonim na najlepszej, najwłaściwszej drodze rozwoju oryginalnego poezji polskiej? starożytnych znał, Owidyusza elegię wytłumaczył, mimo to ich nie naśladował.

Naśladował ich za to tem bardziej **Szarzyński**, przynajmniej w młodocianych wierszach miłosnych do różnych Zoś i Kaś, z anagramami i innemi sztuczkami, mitologią, Wenerą, Kupidynem, Narcyzem brak własnej inwencji łąając; igrając raczej z miłością, niż nią przejęty. Lecz podniósł się niebawem Szarzyński z tego stopnia niższego, rzucił miłostki; wpatrzony w odmienność świata zagrzewał do cnoty, sławił waleczne czyny przodków, torując sobie tutaj sam ścieżkę; poezya jego nabiera hartu, nawet wyraz jej z lekkiego, wodnistego tężej, staje się szorstkim; religijność jego odmiennie od Kochanowskiego natury, ściśle katolicka, „był wielki Panny Maryej służka i gorący miłośnik“, mówi o nim spowiednik jego, „miał do tego od Pana Boga niedosiężony dowcip“, „dziwnie wedle stanu swego pokorny“. Lecz nie szczęściło się Szarzyńskiemu ani w życiu, gdyż bogdanki (Tarłówny) nie otrzymał, ani w literaturze, gdyż pozostałe w odpisach dzieła niszczały, tak, że własny brat w dwadzieścia lat po śmierci jego już tylko drobną ich wiązanekę od zagłady wiecznej ocalił. Nadziejom, może i wygórowanym, jakie społecznie o nim żywili, przedwczesna śmierć położyła; mimo to widać usilną jego pracę nad sobą, respekt przed sztuką, która dla niego była nie krotochwilą tylko, myśli poważne, gorącą miłość ojczyzny. Uderza znajomość literatury włoskiej, posługiwanie się formą sonetu, igraszkami słów i obrazów, przypominające już Marina i barok.

Jeszcze dobitniej występują wpływy włoskie u dwu młodszych. **Sebastyan Grabowiecki** naśladuje lirykę religijną włoską

w dwu setnikach Rymów duchownych, o formie wierszów bogatej bardzo, o wystąpieniu nadzwyczaj jasnym i gładkim; to biada ciągle, nieco jednostajnie, nad upadkiem i grzechem, to wznosi się z korną nadzieją, prawie bez wszelkich aluzji do miejsca i czasu, jak późniejsza liryka protestancka; mimo to nie przypomina uciemiężonego ludu:

Pot ludzi robotnych nie może mi z ręki,
Za co ja przeklęstwo rychlej, aniż dzięki,
Odnoszę i pewne do Ciebie wołanie,
Abyś na swej łasce mnie pokarał, Panie!...
Iż mnie krzywda ludzka dawno boli, Boże!

Jak Grabowiecki, tak i **Jan Smolik** z dworzan królewskich wyszedł; pisywał przy końcu wieku, ale poezya jego całkiem późniejszą, Hieronima Morsztyna, Szlichtynga, przypomina, treścią swych wolnych fraszek erotycznych, konwencyonalnością pieśni miłosnych, przebiegających od jednej „panny” do drugiej, łatwością, ale i wodniastością wiersza, z którego precyzja Kochanowskiego już się całkiem ulotniła. Tłumaczy jeszcze pieśni Horacego, pozostając daleko w tyle za Kochanowskim, lecz zarazem tłumaczy pierwszy pastorele z włoskiego i z włoskiej tragedyi *La Dalida* Grotta (wydanej roku 1583) początek — możnaby i jemu przypisać początek przekładu tragedyi pasterskiej, słynnego Guarina („Wierny Pasterz”, w rękopisie z początku XVII wieku).

Innego rodzaju poezję uprawiał **Andrzej Zbylitowski**, głównie dworacką, powinszowania koronacy i zwycięstw, pieśni na śluby i pogrzeby, nawet epopeja jego „Droga do Szwecyi” (Zygmunta III z roku 1594) jest całkiem dworska, wychwala i zaleca dworzan, owego Niegoszewskiego z jego „darami Pegaskich bogiń”, Warszewickiego „Demostenesa drugiego”, i różnych dygnitarzów. Forma i mowa nadzwyczaj gładka, nieznośna jednak mieszanina całego mitologicznego balastu, bez którego i kroku nierobi poeta — narów ten udziela się poezyi ostatniego dziesiątka wieku, jak i drugi — nieskończonego tworzenia złożonych przymiotników, niepolskich, które z łaciny naśladowali Rybiński, w „różnorymnych” gęślach na „zgodnościągłych” strunach „skrzydłopiętą” cnotę sławiący; Lirycysz, w długim poemacie: „Wzory Cnót”, „przedziwny żywot” św. Franciszka (z Assyżu) opisujący z dygresyami, naturalnie i przeciw polskiemu nowowiernikom; Gosławski, tłumaczący dramat Szymono-

wica. Konwencyonalnego balastu mitologicznego nie rzucił Zbylitowski, ojciec tego bezsmaku, nawet i wtedy, gdy dworacka poezya ze służbą dworską nie zbyt mu się opłacała i gdy zacisze wiejskie opiewał w „Żywocie Szlachcica na wsi” i w „Wieśniaku”; za przewodem „Sobótek” Kochanowskiego trafił tu na ziemiańską nutę, „rozmyślając w chłodnym cieniu, twe rozkoszy, twe pożytki i uciechy, wczasy wszystkie, wsi wesola!” W „Żywocie” zamieścił wycieczki ostre przeciw modnym zbytkom i marnotrawstwu; „Wieśniak” w krótkich rymach, wypadł żywiej, lecz i tu nie obeszło się bez wyliczeń z mitologii i z dziejów Polski, jako treści lektury zimowej.

Jedynie gładkość wystąpienia ratuje Zbylitowskiego; tej nawet brak poetom-żołnierzom, Gruszczyńskiemu i Czahrowskiemu, którzy z ręką, od władania kopią ociężałą, do pióra się brali, Gruszczyński— obowiązki towarzyszków i panów kreśląc i tych, z którymi razem u króla węgierskiego służył, wyliczając i opisując; Czahrowski— trafunki niewdzięcznej służby węgierskiej, rozmaite przygody, śmieszne i smutne wystawiając, w wierszu, którego się z musu chwycił, leżąc na bruku i szturmując do łaski Zamojskiego, przeciw któremu nieopatrzny pod Byczyną stawał; poeta z niedoli i musu wie:

że tego nie pisał Rey ni Kochanowski,
Lecz żołnierski pacholek, ja Adam Czahrowski,
Ktoremuby przystojniej rybne *wiersze* (sieci) składać,
Niż nad polityczkimi *wierszmi* piórem władać

— dowcip ten z „wierszami” powtarza się przez cały wiek następny. Tak to się czasy zmieniły; milczeli przedtem powołani, teraz i całkiem niepowołani się odzywali, choćby „żabim skrzekiem”.

Do powołanych chyba należał ksiądz **Stanisław Grochowski**, wychowanek Jezuitów pułtuskich, więc humanista, zarazem uczeń Kochanowskiego wdzięczny. Łatwość do wiersza miał wrodzoną, niby Rey; odzywał się od młodych lat w satyrycznych docinkach osobom i stronnictwom, które z czasem ginęły, niszczone później umyślnie przez starca; niewiele z nich nabrało rozgłosu, który się przykro i na pocie odbił, np. „Babie Koło” jego, nicujące kandydatów do biskupstwa krakowskiego. Jawnie występował, jako panegirysta, niegorszy od Zbylitowskiego, chociaż, jako ksiądz, głównie pogrzebowym, nie weselnym aktom służył, naśladowujący Zbylitowskiego (np. tegoż „Witanie Zygmunta III” roku 1587 lub „Epi-

thalamium" r. 1592) i w tem, że gratulacye czy pociechy od rozmaitych ziem, stanów, a choćby części domu prawił: taka „Kalliopea słowieńska“ r. 1587 od owego „Witania“ niczem się niemal nie różniła. Wiersze te jednak powstawały dla festów czy „planktów“ i z nimi ginęły; dłużej przetrwała pamięć poety ascetycznego, chorążego owego rozmodlonego hufca poetyckiego, który przez półtora wieku z górą parnas polski oblegał, zagłuszając nieraz każdy inny, świecki ton. Jako poeta ascetyczny, wypełniał Grochowski program, na który się i w XVII wieku godzono: nie tworzyć oryginalnie, lecz przelewać w gładki wiersz polski, co po łacinie, prozą lub wierszem, Tomasz a Kempis czy Jezuiaci (Androcyusz, Pontan i inni), „Hymny“ brewiarzu lub mszału wyrażały; nie szedł jednak Grochowski za przykładem Kochanowskiego w „Psałterzu“, lecz starał się np. w „Hymnach i Prozach kościelnych“ oryginału jak najwierniej się trzymać. Łatwość rymowania i nadzwyczajna płynność mowy wyniosły go nad późniejszych tłumaczy i wierszopisów, którzy w tych „Hymnach“ lub w „Tomaszu a Kempis“ z nim współzawodniczyli; zresztą pisywał on i legendy (o św. Cecylii i in.), wszystko niezgorzej, a rymy liczne nie tylko po kilka razy wydawał, lecz i o obszernym ich zbiorze pomyślał (roku 1608 i później). Miał humor i werwę, udawały mu się najlepiej rzeczy nie pretensjonalne, gdzie się nie sadił na „treny“, a pisał, co czuł, czy to w elegii p. t. „Nocy toruńskie u schyłku życia“, do starca, jak on, do Skarżi, zwrócony, czy dawniej, w imię snu zagrożonego na hałasy warszawskie się skarżąc lub z postępów Dymitra i zgody ruskiej się ciesząc, albo trefnisią biskupiego opiewając lub polszczyznę ministra pruskiego wyszydzając. Mazur ten władał wierszem, jak mało kto inny, szczególnie krótkim, ośmiozłotkowym, w którym całe dziełko układał.

Szereg tych poetów, obok księdza, zamyka mieszczanin, **Sebastian Klonowic**, Wielkopolanin, który, jak inni, na Rusi, we Lwowie i Lublinie, stanowiska się dorobił; humanista, Greczyn znakomity, mógłby i Szymonowicowi dorównać, gdyby nie troski i kłopoty, które go w gmin nazad tłoczyły, ilekroć głowę wychylał, chociaż „zmarszczywszy czoło“, zawsze wracał do swych „zabaw uczyńnych“. Jak Rej szlacheckiego, tak to śpiewak życia miejskiego, z żyłą satyryczną, spostrzegacz bystry, ciekawy natury i otoczenia. Zaczął, jak każdy mieszczanin, jak Szymonowic i inni, łacińskimi wierszami, żeby nikt syna Klonowego o nieuctwo nie posądzał,

i dzieła największego rozmachu tylko po łacinie wykonywał. „Roksolania“ jego to pierwszy malowniczy opis kraju malowniczego; od skrzypiącej maży, od kwilącego niemowlęcia, które kuma tuli, aż do listu, wtykanego umierającemu Iwanowi do rąk, aby się przed św. Piotrem wylegitymował, opisane tu wszystko: i kraj i ludzie i zwierz i łowy na niego i czary miłosne; najciekawsza to rzecz z całej łacińskiej poezji polskiej, z którą chyba „Łowy żubra“ Husowczyka mierzyć się mogą. „Zwycięstwo Bogów“ to znowu największy poemat alegoryczno - dydaktyczny, na jaki się poezja polska kiedykolwiek zdobyła; mieszczanin protestuje przeciwko wyłączości szlacheckiej, która samo urodzenie zaszczytami i przywilejami zarzuca, wykluczając od nich godność i zasługi osobiste, nie wylegitymowane herbem, majątkiem, urodą; olbrzymi, bo kilkanaście tysięcy heksametrów liczący poemat znalazł nawet tłumacza polskiego, obfitował w dygresye i epizody, o szarańczy żydowskiej, pielęgnowanej przez panów na zagubę klas niższych, o nędzy kmiećcej, o grozie tureckiej i t. d.

Mniej górne temata opracowywał mieszczanin lubelski wierszami polskimi, i tak opisał w kontr Roksolanii, niby Bedeker wierszowany, „Flisa“ czyli spuszczenie statków Wisłą, od mostu warszawskiego do bramy gdańskiej, ze „szpruchami“ i zwyczajami „bosmańskimi“, z wyliczaniem rzeczulek, ostrowów i miast, a w kontr „Zwycięstwa Bogów“ „Worek Judaszów, to jest złe nabycie majątności“, gdzie rajca i ławnik z praktyki sądowej i obywatelskiej najrozmaitszych wydrwigroszów i łupieżców opisał, realistycznie, z szczegółami miejskiego żywotu, i pedantycznie, jakby jaki sędzia śledczy czy prawnik, dzieląc materję na rubryki i ustępy. Honor mu czyni ujęcie się za dolą kmieć:

kmiotaszek ubogi ustawnie do dwora
Robi sobą i byłem aż do wieczora,
Karmi się ustawiczną biedą i kłopotem,
Zimnem i upaleniem, łzami, dymem, potem,
Cierpi kuny, biskupy, korbacze, gąsiory,
Osoczniki, pochlebce, podatki, pobory
I pany furyjate, opiłe tyrany,
Pyszne, chciwe, wszeteczne, gorsze, niż pogany...

Lecz jeszcze znamiennejszem, dla wybryków i nietolerancyi czasów, było wyznanie „poety“, który o „lwiej skórze w worku juda-

szowym“, t. j. o jawnym rozboju i zdzierstwie możnych, mówić się nie odważył; strach o tej skórze pisać:

Więc mamli o niej pisać, namyszę się na tym,
Bym się zaś nie uprzykrzył Judaszom zębatym.

Nietylko wybór tematów cechował mieszczanina, lecz i język jego; Klonowic, chociaż Wielkopolanin rodem, przejął się tak ruszczyzną okoliczną, lwowską i lubelską, że wiersz jego pstrzy się nieraz od słów i form ruskich; *izmiennik*, *hołowienko*, *diedu*, *mołodziec* i t. d. mają u niego prawo obywatelstwa, a obok ruskich znajdują się i czeskie. Nazwisko jego uległo wczesnemu zapomnieniu, ledwie że „Flisa“ później przedrukowano; zaszkodziło gorliwemu katolikowi w życiu i pismach, że się z protestantami wdawał, Gorajskim, kalwinom zajażdżonym, dzieła dedykował, u arcykacerza Sternackiego prace swe wydawał, z Wojciechem z Kalisza się bratał, tak, że nawet na niego autorstwo słynnego pamfletu antyjezuickiego zwalono.

Obok tych dzieł oryginalnych odegrały i tłumaczenia ważną rolę w oddziaływaniu humanizmu na literaturę narodową. Na czele tłumaczy, jako najwpływowwszy między nimi, stanął **Łukasz Górnicki**, mierny talentem, wielki zasługą pisywania wyłącznego po polsku mimo wszelkich ponęt łacińskich, którym ani Kochanowski i Szarzyński, tem mniej Szymonowic i Klonowic się opierali. Zaczął on wierszami, lirycznymi, własne miłostki opiewając, i epicznymi, o „Grunwaldzką“ się kusząc: w obu jednak nie zdradzał żadnych zakusów humanistycznych; kroczył śladami Bielskiego i Reja. Pobyt i studia włoskie zmieniły go zupełnie; wyrzekł się wprawdzie samoistnego tworzenia, jakby się na siłach nie poczuwał, lecz oddał się adaptowaniu włoskich i łacińskich rzeczy na ład polski. Brał się do wszystkiego, i do tragedyi Pseudoseneki i do traktatu Seneki, naśladował dyalog Platonowski, przyczem poziom jego strasznie obniżył — prawdziwy sukces odniósł tylko, „Dworzanina“ polskiego wedle włoskiego „Cortegiano“ odtwarzając. Dzieło Castigliona znachodziło wszędzie tłumaczy, Polak jeden zamiast tłumaczenia dał przeróbkę, przenoszącą nas z dworu esteńskiego i wyrafinowanego renesansu włoskiego do Prądnika Maciejowskiego i na Zamek krakowski. Kilka lat tylko dzieli przeróbkę Palingeniusza Rejową od tej przeróbki Castigliona — lecz cóż za różnica: Palin-

geniusz schłopiał, Castiglione spolszczał; włoski ideał harmonii fizycznej i psychicznej, równego ukształcenia ciała i umysłu, wcielił się w formy polskie. Z raz obranego toru Górnicki zbić się już nie dał: przeciw Orzechowski i Solikowski pamiętnik swój z czasów Augustowskich spisał po polsku, przyczem pofolgował żyłce retorycznej, umieszczając próbki wymowy sądowej przy opisywaniu sprawy Halszki Ostroskiej. Przeciw Wolanom i Warszawickim również po polsku napisał obszerną „Rozmowę o elekcji, o wolności, o prawie i obyczajach polskich“ (między Włochem, dziwiącym się porządkom polskim, a Polakiem, ich broniącym, podczas elekcji Zygmuntovej roku 1587) i „Drogę do zupełnej wolności“, krótkie streszczenie nowych poglądów autora: jedyne to jego (prócz króciutkiego „Raczyła“ t. j. wyszydzenia, w imię mowy rozumnej, owego niewczesnego „raczenia“ polskiego — raczył umrzeć i t. p.) oryginalne pisma, które, jak wszystkie inne, prócz „Dworzanina“ (wydanego roku 1566, powtórnego r. 1639 i 1761, tłumaczonego nieraz i na niemieckie), niechybnie byłyby zaginęły, gdyby starosta tykociński nie zostawił był synów, dbałych o imię ojcowe; szczególnież ks. kanonik warmiński zasłużył temi wydania-
mi (i własnemi tłumaczeniami) na wdzięczność późniejszych. Polityczne pisma Górnickiego, uszlachconego mieszczanina, grzeszą przeciw zasadzie, przez Skargę sformułowanej: „przezacni panowie, nie czyńcie z Królestwa Polskiego niemieckiego rzeskiego miasta, nie czyńcie malowanego króla, jako w Wenecyey, bo weneckich rozumów nie macie i w jednym mieście nie siedzicie“. Górnicki zaślepiony Contarenim i porządkami włoskimi, jak ich literaturę i kulturę, takby i politykę ich do Polski przenośli; niestosowność zasadniczą wynagradzają szczegóły obyczajowe, z praktyki sądowej mianowicie, nadzwyczaj wymowne; krytyka włoska polskich nieporządków nadzwyczaj udatna; bardzo znamienne dla rosnącej drażliwości Królowej Opinii, że ludzie wpływowi, Zamojski i inni, którym Górnicki odpisy przesyłał, ogłaszania odradzali, choć zapatrywaniom autorskim nie przeczyli.

Inni tłumacze nie pojmowali tak wysoko zadania swego. Jedyny **Ciekiński** poszedł w tropy Górnickiego i „Potrójnego“ Plautusa nie przełożył, lecz do Polski i Lwowa dostroił. Gdy Bielski stary oryginalną komedią o „Justynie i Konstancji“ niemoralnego Terencyusza w szkole zastąpić albo wyrugować pragnął, co już dla rozmowy łacińskiej, z Terencyusza się stale zapożyczającej, możli-

wem nie było, Ciekliński przebrał Plauta „w giermak i kowane buty“ i zyskał aplauz znawców — Lwowianie i Zamojszczycy nie mogli się go dosyć chwalić, Szymonowic niemniej jak Szczęsny Herburt; Średziński porównał go nawet z „dawnymi komikami polskimi“ (Rejem, Bielskim — tych tylko znamy), którzy pisali:

Na jeden dzień wielu lat dzieje zgromadziwszy;
O rzeczy i podanie ich kształtne niedbając;
Osób i zapędów serc wyrazu chybiając,
Własnych słów, gładkiej mowy i w żarciach wdzięczności;
Do mowy pospolitej wierszów podobności
Nie patrząc...

Zalety, których im brakowało, połączył Ciekliński, i rzeczywistość komedya jego, przeznaczona na scenę (mowa o dekoracjach: to miasto malowane Lwowem niechaj będzie) wrażenie wielkie zrobiła, i ślady jej można i w XVII wieku odnaleźć, chociaż ona Plauta tak nie spolszczyła, jak Górnicki Castigliona. Dodał Ciekliński wiele od siebie, wycieczki satyryczne na zbytki, na utratniki, którzy radzić sobie umieją:

Będę umiał z inszymi mówić na sejmiku,
Że drugim pójdzie w pięty... i posłem zostanę,
Muszą mi przedsię co dać, choć z niedobrej woli!!

na wszelakich warchołów polskich, których sprawy zjadliwie wyjawiał; zresztą z moralnością delikatniej się nie liczył i od przedmieścia halickiego swoim bohaterom docinał chętnie; stworzył jednak, obok dramatu Kochanowskiego, jedyną polską komedię XVI wieku, godną widzenia. Inne tłumaczenia dramatyczne, ani „Troadés“ Górnickiego, tem mniej „Jephtes“ (Buchanana) Zawickiego, porównania nie wytrzymują.

Najczęściej jednak utwory klasyczne adaptacyi, śpiewania na polski ład, z góry nie dopuszczały, np. „Eneida“, którą Kochanowski Jędrzej nie zbyt szczęśliwie wyłożył; Wirgiliusza humaniści najwyżej cenili, tusząc, że i z pomiędzy nich Maro wyjdzie, skoro się tylko Mecenas znajdzie („siłać więc jeden Mecenas naczyni Maronów, nie szczędząc swych zagonów“ dopraszał się Klonowic) —nie dziw więc, że całą spuściznę po nim przetłumaczono, Kmita bukoliki („Pasterskie rozmowy“), a Świrski georgiki, chociaż o Ziemiaństwie polkiem, jak Koźmian później, nie pomyślał; z przekła-

du Świrskiego ocalała tylko jedna księga, o pszczołach („Pasiecz-
nik“), tamte trzy w trwogę tatarską

Na kęsy roztargane od pogańskiej ręki;
Ciebie (Pasiiecznika) prawie zgniłego naleziono w błocie,

poświęcił on go Sienieńskiemu (założycielowi Rakowa) nie dla
ostentacyi, lecz dlatego,

Abym cię do pisania pobudził jakiego,
Coć Bóg dał, byś nie kopał.

Kmita nawet „księgi trzynaste o Eneaszu trojańskim“ wyłożył (do-
robione przez humanistę-poetę Wegiusza). Wszystkie te przekła-
dy dosyć liche, ze względu na rymy konieczne zbyt rozwlekłe, ni-
gdy nie dopinają siły oryginału, np. *Timeo Danaos et dona ferentes*
brzmi: niechaj co chce będzie, Boję się Greków, chocia dary niosą,
wszędzie, albo *Et haec quondam meminisse iuvabit*: snadź na to
wspomnieć potym będzie nam rzecz miła. O wiele lepiej udała się
pierwsza komiczna epopea polska, jedyna przed Myszeidą, Kmity
Spitamegeranomachia, bój żorawi i pigmejów (piędzimeżyków), na-
śladująca niby homerowe boje myszy z żabami i t. p., pełna aluzyi
do stosunków polskich, czerpiąca z umysłowości ludowej, z przesąd-
dów i bajek, komicznych efektów nie pozbawiona, formą udat-
niejsza.

Innym autorom klasycznym nie wiodło się tak. Jeszcze Ho-
racego najczęściej tłumaczyli i naśladowali, np. Jan Kochanowski
i Jan Smolik, ale tylko wybrane ody; podobnie, tylko jeszcze
mniej, z Owidyusza np. z Przemian i in., z Anakreonta i t. d., nie-
raz raczej przeróbki i parafrazy, niż tłumaczenia, Pudłowskiego,
Dębowskiego i in. Dla prozaików przeważały względy dydaktycz-
ne, lubowanie się w morałach, więc Plutarch znajdował tłumaczy
chętnych, w druku i rękopisach; zbiór „Moralia“ przełożył r. 1570 Mi-
kołaj Kochanowski, brat Jana, autor „Rotuła“ nawet Lucyan się tu zaplą-
tał (Kur z greckiego na polskie przełożony r. 1578, ale przerobiony na
ład chrześcijański); częściej Cycero w księgach o obowiązkach (tłu-
maczył sekretarz niegdyś Barbary od listów polskich, Stanisław Ko-
szutski, który i Lorichiusza tłumaczył), albo o starości (Bieniasza
Budnego); dalej Seneka, Cebes i inni. Niektóre tłumaczenia po-
dejmowano dla względów wyznaniowych, np. „Justyna rozmowa

z Tryfonem żydem“, przekład dla przedmowy, terminologię chrześcijańską i początki aryaństwa polskiego objaśniającej, nadzwyczaj ciekawy; albo „Józefa Żydowina“, księgi o wojnie żydowskiej Le-narta z Urzędowa r. 1554 i t. p.

Samemu językowi służyły słowniki i gramatyki. Najobfitszy wydał Mączyński, słownik łacińsko-polski, nakładem Radziwiłłowski-m, a dzieło protestanckie (bo nawet w słowniku ganiło „superstycye“ rzymskie) wysławiali katolicy, Rojzyusz i Kochanowski — ale polszczyzna jego nie zbyt polerowna, miejscami narzeczem i cudzoziemczyzną trąciła. O gramatyce dla Polaków nikt nie myślał; żeby obcokrajowcom wyuczenie się języka ułatwić, napisał Francuz niegdyś, teraz już zadomowiony Polak, Stoiński, pierwszą, wcale niezłą gramatykę polską po łacinie.

Literatura polska, do połowy wieku nieobfita i pozioma, w drugiej połowie wzniosła się na wyżyny, na jakie ani węgierska ani czeska, do niedawna o wiele wyższa od polskiej, nigdy się nie wzniosły. I wybiła się ona odrazu na same czoło Słowiańszczyzny, gdyż tylko jeszcze literatura dubrownicka mogłaby pod względem kunsztu z nią zawodniczyć, gdyby nadto ścisła zawistość jej od włoszczyzny i szczupłe pole, na którym działała, znaczenia jej z góry nie podrywały. A zawdzięczała literatura polska wzlot swój ogólnej kulturze narodowej i talentom specjalnym. Polak, otarty zagranicą — a któż nie wyjeżdżał? — imponował i obcym układem, ugrzecznieniem, czytaniem i na otoczenie domowe działał w tym samym kierunku; dostojnicy kościoła i mężowie stanu, od Tomickich, Krzyckich i Kmitów począwszy, stawali się mecenasami, dwory ich rozsądnikami wyższej kultury, poloru humanistycznego. Prym dzierżał między wszystkimi żak niegdyś padewski, teraz kanclerz i hetman, Jan Zamojski, który się nawet pokusił, czego gdzieindziej ledwie i królowie się ważyli, o stworzenie nowej akademii dla wschodnich dzielnic Rzeczypospolitej w swoim Zamościu, akademii, któraby z kolegiami jezuickimi i szkołami protestanckimi spółzawodniczyła, któraby nie przyszłych mnichów i pastorów, lecz obywatelów koronnych wychowywała; w tym celu otaczał się wybitnymi talentami, filologami mianowicie, jak Szymonowic, Klonowic, Ursyn-Niedźwiedzki (autor gramatyki łacińskiej, która ze sławnym „Alwarem“ się mierzyła, a polszczyznę szeroko uwzględniała) i in.; nawet wśród szczęku oręża nie zapominał hetman o muzach i obsyłał listami poetów, od nich wszystkich po łacinie i po polsku sła-

wiony, stojąc czas niemały, jak w polityce, tak i w literaturze na samym jej czole: Zawicki, Zbylitowski, Schonaeus, Bielski i inni pisali mu ody i poematy, bronili go przed zawiścią, składali zasłużone hołdy, a dawno przed nimi festyn ujazdowski uświetniał Kochanowski „Odprawą posłów greckich“ i „Dryadą zamechską“; podobnej postaci wiek XV nawet w Zbygniewie Oleśnickim nie wydał. A Zamojski nie był odosobniony; w radzie koronnej, między biskupami mianowicie, liczył towarzyszków padewskich, owianych tym samym duchem.

Polor ten nie pokrywał jednak Polski całej równą warstwą; najmniej znało go Mazowsze, ludne, biedne a ciemne, chociaż Warszewka jego coraz częściej i dłużej w murach swoich, królów, radę i posłów witała; Mazurowie mili z pod Warki, zadowolewili, i rynsztunkami wojennymi i umysłowymi popisywać się sami zbyt nie mogli, ale z ich to grona wychodzili pisarze, wszystko twardzi katolicy i patryocy polscy, choćby pod kapeluszem jezuickim i w płaszczu hiszpańskim, Skarga i Grochowski, Warszawscy, Paprocki i Strykowski, a mazowiecka krew płynęła i w żyłach Uchańskiego chełmskiego i Szymonowica lwowskiego; i w dali od Mazowsza rozwijały się ingenia tej ziemi. Wielkopolska, z piaskami nad śląską a błotami nad marchijską i pomorską granicą, której Poznań coraz bardziej znaczenie i dostatki utracił, błyszczała wyjątkowo synami swoimi na parnacie polskim; drobne jej mieściny i ubogie szpłachcie opuszczali chętnie Wujek, Klonowic i Miaskowski. Wszystko cisnęło się na Małopolskę i Ruś. Kraków ściągał cudzoziemców, mianowicie Włochów, budowniczych i rzeźbiarzy, którzy go świetnie zdobili, kupców i przemysłowców; taki Prowana, Paruta i inni Włosi krakowscy zwabiali nawet prześladowanych za wiarę ziomków i torowali drogę największym herezyom w Polsce; już też skarżyli się mieszczenie na ich zbyt rosnące dostatki, wyprowadzane potem do Włoch. Ziemianie krakowscy, sandomierscy i lubelscy przedstawiali najwyższą ogładę, najwytworniejszą towarzyskość, tam też powstała taka Rzeczpospolita Babińska, z własnym królem i senatem, dygnitarzami i urzędnikami, gdzie napoły satyrycznie, napoły z humorem z „deliktów swych“, z ich wad i śmieszności trefnowano, a nikt tego panom Pszonce i Kaszowskiemu za złe nie brał; owszem wpisywali się chętnie w rejestry babińskie i poeci, Rej i Kochanowski, Trzeciecki i Szarzyński, i król i hetmani.

Bogactwo literatury polskiej drugiej połowy XVI wieku trudno nawet objąć; zastój i ciemnota późniejsza, lekkomyślność i nieuważa, pożary ciągle—cudzoziemiec twierdził, że po dworach polskich i mebli się nie sprawa, ponieważ prędzej czy później wszystko znowu spłonie — przetrzebiły ją strasznie. Był jakiś inwentarz po księgarzu czy jakiej dawnej bibliotece, a czasem nawet oprawa dawnej książki pouczała coraz o stratach niepowetowanych. Lecz i to, co zostało, dowodzi najwyższego rozbudzenia umysłowego; język, jeszcze niedawno o nieforemność pomawiany, nagiął się do wypowiedzania każdej myśli i każdego uczucia. Literatura ześwieczyła się zupełnie; w duchu czasu było wprawdzie, że pisma ascetyczne i polemiczne z pod pras ciągle wychodziły, lecz skargi dawniejsze, że duchowieństwo tylko dla siebie księgi „bije“, ustały: prawo, dzieje, wiersze, księgi gospodarskie (np. Gostomskiego „Gospodarstwo“ lub tłumaczenie „Krescentyna“), pisma polityczne, powieści (choć dla obszernych romansów, Amadisów i Lancelotów, w Polsce ziemiańskiej miejsca nie było; ciągle turnieje i przygody miłosne jeszcze nie bawiły), aż do kalendarzów i senników (tak zw. Danielowych)—wszystko było reprezentowane: od potrzeb najelementarniejszych do wzorów prawdziwej, wysokiej sztuki, jakichbyśmy w współczesnych Niemczech np. próżno szukali, jakich ani Ronsard z plejadą nie przesięgali, a może im nawet nie dorównywali. Nie była to wprawdzie tylko polska krew, co w żyłach tej literatury krążyła, nie brakło starorzymskiej przymieszki, ale młody a silny organizm, zdawało się, zasymiluje wszystko. I w zwycięskim pochodzie szerzyła się literatura na południe aż do Wołoch, a na północy Królewca jeszcze nie rzucała i wchłaniała w siebie całe życie europejskie, a mimo to narodowości i cech jej nie traciła.

Tak bogata i różnorodna literatura wypielęgnowała i język; skargi na jego ubóstwo ucichały; przy końcu XVI wieku już nie powtarzano słów np. Mazura, Wawrzyńca z Przasnysza, który w *Nauce o pokucie* (r. 1559) „przyszyszemu“ się rozpisywał, „dla niedostatku słów języka naszego, dla którego jeno słowo łacińskie musi i trzemi języka naszego wyłożyć dla łatwiejszego wyrozumienia ludzi prostych, dla których ja jako prosty nawiczej te księgi pisał, mądre do mądrych odsyłając“. Baczono coraz więcej na czystość, dokładność i gładkość języka; już Budnemu wydawał się w Nowym Testamencie Seklucyanowym język „grubym“; coraz rzadziej dopuszczano wyrazy narzeczowe, chyba umyślnie w polemice ich

używano, jeśli np. ks. Żagiel Mikołajewskiego apostrofuje: *Ochciemienko*, lub: o moje drogie *ćędo* (dziecie). Polemika teologiczna, acz często z przekupkami o lepsze walcząca, krytykowała wyrazy same; protestanci zarzucali dawną terminologię, wprowadzali nową: zamiast chrześcijan chrystyanami się zwali, a chrzest ponurzeniem zastępowali. Wzdrygali się przed nazwami *kapłan* (czy nie *kapłun*, pytając) i *ksiądz*, zarzucając „mszarzom i popom papieżnikom“, że nazwę tę panom (*ksiądz* znaczył książę, więc Wielki Książdz Litewski i t. d.) wraz z ich dostatkami i powagą odebrali, „przeto ich też *książęty*, jakoby szydząc, nazwali, a siebie całymi księżdzami postanowili, acz im tego tytułu żaden naród, okrom Czechów i Polaków, niepostąpił“ (Budny w tłumaczeniu „Justyna“ roku 1564); również *biskupem* się brzydzili; alby, kanonie i t. d. w hańby, konewnie i t. d. przeistaczali. Oddawali im katolicy (kątolicy) wet za wet, z ministrów sinistrów i świniestrów robili, mszcząc się Suitów i Wyzuwitów. I ustalił się jeden język, z jednolitem słownictwem, pisownią, formami—chyba Prusacy się z tych norm wyłamywali, strofowani przez Grochowskiego i innych. I pozbywał się ten język naleciałości obcych; ginęły dawne słowa niemieckie (z „rumrychtu“, swaru, natrząsał się Budny), chyba Bartosz Groicki w tłumaczeniu Majdeburgii pozwolił sobie „*gierady* a *hergewetu*“ i „w ogrodzie na *celstacie*“ się znajdzie; z tancmantlików, brutki, żemły i t. d., których jeszcze w pierwszej połowie wieku nie brak, w języku Orzechowskiego, Kochanowskiego i Szarzyńskiego nie pozostało i śladu. Mimo to język w puryzm przesadny nigdy nie zapadał; trafnego słowa obcego, szczególnie łacińskiego, nigdy się nie wyrzekał; Górnicki nawet „patryej“ używał, ponieważ „ojczyzna“ jemu ojcowiznę znaczyła; jak literatura, tak samo i język ten wchłaniał bez szkody dla swej wyrazistości, żywioły obce i przetrawiał je. I już wtedy doprowadzono go do tego, że

język giętki

Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

WIEK SIEDEMNASTY.

TŁO DZIEJOWE i PRĄDY UMYŚLOWE.

LITERATURA PROZAICZNA.

Upadek państwa; anarchia szlachecka. Upadek protestantyzmu; wszechmoc katolicyzmu i Jezuitów; Sarbiewski, pisarze prawosławni. Upadek mieszczaństwa; rola jego w literaturze; Szymonowic i Zimorowic; literatura sowizdrzalska; dramat szkolny. Literatura polityczna; optymaci, Łukasz Opaliński; republikanie: Rej i Fredro; pesymista Lubomirski; antysemici. Historycy; polihistor Starowolski. Pamiętnikarze; Pasek. Powieści i romanse.

Po wieku XVI, wieku nowinek i reformy, zaprzestała szlachta szturmów o niebo; niema miesiąca (pisał już roku 1589 neofita z Aryanów, Kacper Wilkowski, lekarz księcia Sierotki, do swego pana, neofity z kalwinów), żeby nie wracał kto znaczniejszy do wiary ojców. I poddała szlachta karki odporne pod słodkie jarzmo katolicyzmu i praktyk jego religijnych i wszelką herezyę nazawsze wyklęła.

Za to zrzuciła ona każde inne jarzmo i urzeczywistniła nareszcie ideał słowiański, ową demokrację, o której, jako dla Słowian charakterystycznej, już pisarze greccy szóstego wieku wspominali. „Ty król nasz – my twoi panowie“, popłacało i w Polsce, jak niegdyś w Czechach i Węgrzech jagiellońskich; „szlachcic na zagro-

dzie, równy wojewodzie“, tem znowu warowało się stanowisko równouprawnionych wobec możnych, a jeżeli pan jakiś o tytuły zagraniczne się wystarał, skoro domowych nie było — pełno hrabiów, książąt, margrabiów, rzeskich i włoskich, w wieku XVI — to o tytuły, orderzy i t. p. sejmy zrywano. Jednakie wychowanie, jednaki nawet tryb życia dopełniły niebawem wszelkich wymagań tej jedynej w swoim rodzaju demokracji szlacheckiej, niwelującej różnice talentu i temperamentu, urodzenia i znaczenia. I zacierają się, nikną w szarej masie szlacheckiej indywidua, i coraz bardziej występuje ona ławą zwartą czy stadem i kieruje się nie rozumem, lecz instynktem.

Nawet historję XVII wieku cechują te masowe zjawiska; i tak przejmują masy strach paniczny pod Pilawcami i nic mu się nie ostoi; masą rusza się szlachta pod Tyszowce i wyrzuca wroga z kraju; i za Lubomirskim, i za królem (Michałem) staje ona tak samo; ostatni wybitny charakter polski, Jan III, jakżeż on, mimo francuskiej przymieszki, podobny do tej szarej masy szlacheckiej! Masą czy stadem występuje szlachta i w literaturze: nigdy nie było tylu piszących, jak w wieku XVII, nigdy mniej różnicy, wybitności, cech indywidualnych. Nie przypadek to, lecz rys znamieny, że jeden i ten sam wiersz najrozmaitszym „poetom“ przypisują; że przeważna ilość rękopisów zawiera wiersze kilkunastu poetów, pomieszane bezładnie, bigos poetycki czy *Olla putrida* lub torba dworska, jak słusznie te zbiory same się tytułowały; że tylko wprawne oko odgadnie, gdzie się w rękopisie kończą np. wiersze Wacława Potockiego, a innego poety zaczynają. Śmiało można też całe stulecie traktować razem, nie tworząc sztucznych, dowolnych okresów czy przedziałów; jeśli jest jaka różnica między początkiem a końcem wieku, to chyba wysychanie powolne rzeki literackiej, osłabienie, zubożenie prądu i ruchu, nie zmiana jego zasadnicza.

Równocześnie wzrastała stale anarchia. Już wiek XVI sformułował był tę rozpaczliwą tezę: Polska nierządem stoi; dopiero siedemnastemu przypadł zaszczyt sofistycznego bronięcia, uzasadniania tej potworności, wierszem i prozą, po łacinie i polsku, przez mądrych i głupich. Już w XVI wieku niemile uderzała króla i senat przewaga Izby posłów, „grabarzy Rzeczypospolitej“ już w roku 1556, a w tej Izbie przewaga wszelkich warchołów; jacy oni wszyscy wymowni, ci Zborowscy np., i w wojnie kokoszej i za Batorego; jak im argumentów, zapału, aplauzów coraz przybywało; jak oni

panowali nad uchem, sumieniem i sercem szlachty; jakie trusie i munie wobec nich ci, co i w imię prawa, porządku, władzy się odzywali i nieśmiałe słowa rozmaitemi zastrzeżeniami, nieszczęsnem schlebianiem *aurae populari* osłabiali, choćby Karnkowski prymas i Jan Zamojski; *se opponere* umiano tylko wobec tronu, nigdy wobec warchołów. I było coraz gorzej. Instynktem niemal odczuwał naród szlachecki, że z wygaśnięciem rodu Jagiełłowego *hic regnum mutabitur*. Wprawdzie nie zginęło państwo, jak przepowiadano, gdy Zygmunt August w Knyszynie powieki zamykał; owszem, nawet podczas bezkrólewia utrzymano ład wewnątrz, a pozory potęgi na zewnątrz; lecz nie uszło bezkarnie, że w ciągu lat kilkunastu naród szlachecki kilkakrotnie mógł zaświadczyć czynem, iż Polacy, „lubo to nie poszli ze krwi królewskiej, ale przecie przy nich jest berło i korona, i komu ją chcą dać, temu dają“ (Birkowski). Jeśli koronę dawali, to mogli ją i odbierać, i rzeczywiście, rokosz Zebrzydowskiego zdetronizował Zygmunta, wybranego chyba na to, żeby zgubność elekcyi dokazać. Zgnieciono wprawdzie rokosz, lecz skutki zwycięstwa partyi „monarchicznej“ były najfatalniejsze; pokazało się, że rokosz nic nie ryzykuje, że nawet w razie sromotnej porażki nic nie grozi gardłu, czci, mieniu; że wystarczy za wszystko ucałowanie rączki królewskiej; kto zaś uparty, rączki nie ucałuje, posiedzi troszkę w wieży (naturalnie nie *in fundo*) i za to z Kastyliny nawet w oczach najzagorzalszych rojalistów — język polski terminu tego nie zna, jak i historia polska — w „Herkulesa słowieńskiego“ niechybnie urośnie; zbrodnia uchodziła nietylko bezkarnie, ale święciła tryumfy i nęciła do prób coraz nowych. Myśli politycznej w rokoszu nie było: przecież wiązali się najzacieklejsi protestanci z najzarliwszym katolikiem przeciw królowi i Jezuitom. Gdy nieszczęściem dla Polski król pod Guzowem zwyciężył, wzrosła tylko — jedyny uchwytny wynik tego zmarnowanego zwycięstwa — nieufność i nieprzyjaźń między królem a Koroną. One to paraliżowały odtąd wszelkie przedsięwzięcia i zamiary królewskie; w każdym upatrywano zamach na złotą wolność, zamiar zmiany *statu quo* tak dogodnego dla szlachty, dla synów Korony — innych nie liczono. Ale, przywołując Wazów na tron, osłabiano Polskę, zważając najniepotrzebniej nowych nieprzyjaciół, i odtąd pasowały się Szwecya i Polska z sobą, aby drogę do potęgi utorować Moskwie i Prusom.

Z sytuacji dogodnych korzystać nie dozwolano, a jeżeli, mimo oporu Korony, wciągnięto ją do wielkich przedsięwzięć, uniemożliwiło żołnierstwo, niepłatne i niesforne, wyzyskanie zwycięstw. Broń tryumfującą pod Kirchholmem i Kłuszynem, pod Beresteczkiem i Cudnowem, zwracano w bratobójczej walce przeciw własnym piersiom pod Guzowem i Mątwami, albo wtykano w pochwy konfederackie, gdy jej dobywać a nieprzyjaciela dokonać należało. Nieprzyjaciół przybywało; po Szwedach Turcy; po Turkach Kozacy, a za nimi czyhali coraz inni już na ostateczne rozerwanie Rzeczypospolitej.

Oparła się jeszcze zwycięsko Korona, ale nie oprzytomniała; opromieniła ją jeszcze nowa chwała chocimska i wiedeńska, ostatnie przebłyski gasnącego w chmurach coraz groźniejszych słońca. Tymczasem wydawała anarchia coraz zgubniejsze owoce; co w umysłach szlacheckich już w XVI wieku w zarodku tkwiło, sformułowano teraz uroczyście; kiedy o zgodzie ogólnej już mowy nawet być nie mogło, wysunięto ją właśnie, jako zasadę, i zażądano jednomyślności dla uchwał sejmowych, uniemożliwiając tem samem raz na zawsze podejmowanie jakichkolwiek zmian lub prac organicznych. I utworzyła się najpotworniejsza forma rządowa, niebywała w dziejach: monarcha, wydany na łaskę swych ministrów, których ani z urzędu składać, ani do odpowiedzialności pociągać nie mógł; monarcha z rękami związanymi wobec zawsze zwycięskiej opozycji; Rzeczpospolita szlachecka, a z królem na czele; państwo bez wojska i finansów, zato otoczone coraz silniejszymi i groźniejszymi wrogami. Tak przetrwała Polska wiek XVII; świeżo imponująca na całym wschodzie, której chorągwie powiewały na Kremlu, o której zastępy rozbiła się najstraszniejsza potęga turecka, jaką Europa widziała, schodziła z schyłkiem wieku na bezładną i bezsilną kupę, która się o własnych siłach nawet pała, tkwiącego w jej wnętrzu, nawet Turków w Kamieńcu, pozbyć nie mogła; epopeja niesłychanych zwycięstw i powodzeń kończyła się smutną farsą elekcyi Sasarenegata.

Ręka w rękę z upadkiem sił państwowych, z dezorganizacją wewnętrzną, ze wzmaganiem się najpotworniejszego kwietyzmu i optymizmu, zbywającego żartem najgroźniejsze objawy, upatrującego arkana wolności i pomyślności polskiej w braku wojska, grosza i władzy, — szedł upadek kultury polskiej, ubożenie bujnej umysłowości. I na tem polu zapowiadał się wiek XVII świetnie;

z każdym dziesiątkiem lat zdobywała sobie przecież kultura polska nowe obszary; Wołoszczyzna, niegdyś całkiem od cerkiewszczyzny zawisła, nią tylko oddychająca, zwróciła się ku Polsce, hołdowała nie państwu, jak w XVI wieku, lecz polskiej ogładzie i towarzyskości; Mohiłowie czuli się Polakami, a najznakomitszy autor wołoski owego wieku opiewał dzieje swego kraju w eposie polskiej. Ruś kijowska, niegdyś tak obca wszystkiemu, co łacińskie i polskie, wzorowała swoje życie duchowe na obraz polski; polskie porządki szkolne, polską literaturę, polskie wiersze, nawet religijne, nie mówiąc o świeckich „kantach“, sobie przyswajała, i najwybitniejsi przedstawiciele jej prawosławia należą obszernymi dziełami swemi, w prozie i wierszach, wydawanemi i po polsku lub tylko po polsku, do literatury polskiej; szkoły kijowskie nazywały się greckimi i słowiańskimi, w istocie zaś były łacińskimi i polskimi. Przez Ruś kijowską oddziaływała kultura polska na Ruś moskiewską; gdy się reakcja narodowa, wywołana wypadkami „Smuty“ (zamieszki za Samozwańców) ukołysała, zaczęły się szerzyć polska książka, ubiór, mowa, w Moskwie i w samym Kremlu; stulecie XVII przedstawia w literaturze rosyjskiej nieprzerwany niemal ciąg tłumaczeń z polskiego, poczynawszy od facecyi, żartów i powieści, aż do literatury budującej i historycznej, czerpiących bez różnicy ze źródeł protestanckich i katolickich, od Bazylika niemniej, jak od Jezuity Drexeliusza, z Kromera i Strykowskiego, Starowolskiego i Modrzewskiego. Teraz staje literatura polska niezaprzeczenie na czele wszystkich słowiańskich; właściwie ona jedna je reprezentuje: czeska, po utraceniu kwiatu narodu, wegetuje w podziemiach ascetycznych, barbarzyńska treścią, formą i językiem, osuwająca się coraz głębiej z każdym rokiem; tak samo, jeśli nie gorzej, ma się na południu słowiańskim; nawet cieplarniany jej kwiatek, dubrownicki, usycha zupełnie, gdy źródła jego włoskie zanikają, a dobrobyt gminy, trzęsieniem ziemi poderwany, ku upadkowi się chyli.

Mimo tak świetnych widoków, mimo zdobywania nowych przestworów, mimo rozszerzenia się daleko, już nie poza etnograficzne, jak w wieku XVI, ale nawet i poza państwowe granice, mimo wchłaniania nowych, włoskich i francuskich pierwiastków, traciła kultura polska w samej Polsce grunt pod nogami, bo zwężała się, jałowiła i wysychała; z jej bogato wyposażonej kapeli wymykał się jeden grajek po drugim; jednostajny pisk panegiryzmu i ascetyzmu zagłuszał w końcu każdą inną nutę. Zubożenie to rażące

polskiego życia umysłowego uwidoczniło się najpierw na polu wyznaniowym.

Drugą połowę XVI wieku cechowało spółzawodnictwo rozmaitych wyznań, w literaturze, życiu i szkole. Z walki tej wyszli zwycięsko katolicy; przewrót był rychły i doszczętny. Jeśli, przesadnie zresztą, twierdzono, że za Zygmunta Augusta cała rada koronna świecka, prócz dwu, była protestancką, to teraz z całą prawdą już na początku wieku tylko dwu wojewodów, obu brzeskich, do akatolików liczone; jak prędko nowinkami religijnymi się przejęto, tak prędko niemal od nich odstąpiono. Magnaci, z wyjątkiem Radziwiłłów birżańskich, rzucili je w końcu wszyscy, między szlachtą tylko miejscami, na Podgórzu, nad heretycką Srzeniawą, w Sandomierskiem koło Babina, na Litwie przy Radziwiłłach utrzymał się kalwinizm i arianizm; dogorywał i w mieszczaństwie, w Krakowie, Lublinie, Lesznie i Wilnie, chociaż w obu ostatnich miastach jeszcze przez niejakiś czas ministrowie, jak za dawnych dziejów, obszerne polskie, niemieckie, łacińskie dzieła spisywali; zresztą wracano do wiary pierwotnej, albo jeszcze w tej samej generacji (np. w Krakowie stary Szembek — syn jego Jezuita i pisarz znany; w Lublinie ów lekarz Kacper Wilkowski, literacko czynny nie tylko w przekładzie słynnej alegorii ascetycznej hiszpańskiej, „Desiderosus“, któryto Desiderosus polski i na Ruś moskiewską powędrował, lecz w bardzo ciekawej autobiografii, p. t. Przyczyny nawrócenia do wiary powszechnej od sekt nowokrzęściców samosateńskich roku 1583) lub zaraz w następnej, np. Ronenberk, syn zamożnego i wykształconego bardzo aptekarza krakowskiego, jednego z filarów arianstwa. Propaganda i szkoły jezuickie, przykład arcykatolickiego Wazy, siła tradycji, rozszczerzenie protestantyzmu, wrażliwość i płytkość umysłowa sprawiły ten przewrót. I ucihła walka wyznaniowa w literaturze, i ustało spółzawodnictwo w szkole; szlachty dysydenckiej, dlatego że szlachta, nie trwożono w jej wolności sumienia, pozostawiano ją przy wszelkich prawach politycznych, ale przeciw mieszczaństwu, przeciw obcym, wychylała się niecierpkość coraz gwałtowniej; mnożyły się jej ofiary, a trupem padło najpierw arianstwo.

Najwykształćsza warstwa polska najmniej miru miała w narodzie. Już w XVI wieku z młodym Zapolyą, z Kiszką, z książętami Słuckimi, z Filipowskimi i Lasockimi wymarli jej najwybitniejsi przedstawiciele; przetrwało arianstwo w Luławicach, nad Łużną

i Śrzeniawą, na Podgórzu, pod Piaskami i Rakowem przy Lublinie, między „równą“ szlachtą i po cechach. Wszyscy znaczniejsi Aryani są wymienieni w pisemku Daniela Frankoniusza z roku 1612 i w albumie starego Lubienieckiego, założonem roku 1618: liczba nie mała, tem znaczniejsza, jeśli się porówna z nią liczbę czynnych na polu piśmiennictwa; żadne wyznanie w Polsce tak wysokiego procentu nigdy nie dosięgło. Aryanów tych, chociaż rzucali świat i jego zaszczyty i uciechy, cechowała nauka, nie darmo słynęła z niej ich „akademia“ rakowska; arian umiał bronić swego wyznania, znał języki, był wyćwiczony w dyalektyce, nęciły go studia poważne. Moskorzewscy, przeciw którym Skarga pisał; Volkelius, którego Śmiglecki zwalczał; Szlichtyng, Przypkowski i Wiszowaty, którzy się przed Cichowiuszem bronili, należeli do najwykształceńszych ludzi całego wieku, nie tylko w Polsce; szczególniejsz wyróżnia się między nimi poważna twarz Samuela Przypkowskiego, piszącego wiersze łacińskie i polskie — prócz traktatów teologicznych, biografii Socyna i korespondencji politycznej — niezwykle treścią i myślą, wysoko ponad szablony wierszów ówczesnych szlacheckich stojące, czy kiedy z dzielnej obrony twierdzy *La Rochelle* tryumfował, czy kiedy Polskę pocieszał, że wobec bohatera północy, owego „ślodka szwedzkiego, co w wieloryba urósł“, uległa. W tym samym szeregu stoją Otwinowscy: Samuel, co Giuli- stan (Ogród różany) Saadego z języka perskiego w pięknej formie mieszanej, wierszem i prozą, wyłożył, zbiór powieści i przypowieści z celem moralnym w ośmiu księgach, z życia królów, derwiszów, starców i t. d., pierwszy wkład wschodu do literatury polskiej; i drugi, Waleryan, co Owidyusza Przemiany i Wirgiliusza Georgiki polskiej literaturze przyswoił; z jego to przekładu, z wykładem alegoryzującym, przeszły „Przemiany“ do literatury rosyjskiej. Dalej Lubienieccy, od Stanisława dziada do Stanisława wnuka, autora bardzo cennej historii reformacji polskiej, którą niedokończoną odumark; dziad napisał, prócz wierszów¹⁾ i rzeczy religijnych, „Po-

1) Dla rzadkości wierszów arianskich, wymienimy choć „Anatomię wieprza i człowieka, wieprza karmnego, człeka łakomego“ (drukowaną, Stanisława Lubienieckiego dziada — jest to porównanie satyryczno-dydaktyczne: jak z wieprza tylko zabitego pożytek, podobnie i z chciwego łakomca, którego zbiory rozrywają po śmierci sługi, żona, dzieci — na wieprzach uczono ogółem anatomii). Wiersz Przypkowskiego *Ad Poloniam de pactis Prutenicis* 1630 r. figurował

loneutichiję“, szczęście Polski, które szwankować zaczęło, gdy wskutek prześladowania nowowierników Bóg błogosławieństwo swe odjął,—rzecz ciekawa ze względu na obyczajowość i nietolerancję. Dalej Wiszowaci, u których ingenia literackie, jak u Lubienieckich, dziedzictwem spadały, aż na Jędrzeja Wiszowatego, co to r. 1660 ostatnią dysputę publiczną za wiarę odbył, w Chronowie Wielopolskiego, za upoważnieniem biskupa krakowskiego, odcinając się przez cały tydzień Cichowiuszowi i mnichom; jemu zawdzięczamy spis autorów i dzieł arianów polskich, bardzo wyczerpujący, przez Sandyusza wydany. Szlichtyngi z Bukowca, Jerzy (znakomity liryk), Jan i inni z tej rodziny; Morsztynowie—Zbygniew, Tobiasz i Samuel, z nich Zbygniew najznakomitszy, dzielny żołnierz i wierszopis niestrudzony; Olbrycht Karmanowski, poeta - dydaktyk; Wacław Potocki, autor pieśni religijnych i poematów biblijnych. I inni, aż do pocziwego Józefa Domaniewskiego, piszącego gładkie, acz niewytworne wiersze, od porównania bytu wiejskiego i miejskiego i t. p. aż do wrażania (w Ekscytarzu roku 1623) szacunku przed pracą, tak w Polsce pomiataną, gdzie to

U świata szlachcie—uczciwy,
Chocia będzie dyabeł żywy,
A kto robi, to gbur prawy.

Pogrom szwedzki przypłacili ariani. Prześladowanie ich wyznania, zamykanie szkół rakowskich i innych zaczęło jeszcze za Władysława, bardzo wolnomysłnego (szczególniej gdy był królewiczem), procesując ich za byle wybryk ich młodzi albo i bez tego. Gdy w walce ze Szwedami obudziły się instynkty religijne, gdy

przez cały wiek XVII (tłumaczył Wiszowaty, naśladował po sromotnych paktach buczackich Potocki); z wierszów polskich rozeszła się szerzej parafraza *Te deum laudamus* dla Władysława IV; łacińskie tłumaczył i rozszerzał Zbygniew Morsztyn. Wiszowaty wystosował i dowcipną filipikę wierszem polskim przeciw bałamutnym wywodom ks. Dębołęckiego, upatrującego Polaków w Babilonie (babilonem łonie) i Atenach (uczeniach) i t. d. Właśnie z poetyckiej spuścizny polskiej arianów ocalało jak najmniej, gdy teologiczne ich traktaty i spory łacińskie do dziś pułki biblioteczne pokrywają, druki rakowskie, a potem holenderskie, z przeważnym udziałem cudzoziemców, z których nie każdy się tak w Rakowie klimatyzował, jak np. Niemiec z Gotha, Smalczyusz, spisujący wyborną polszczyznę i sny swoje (ariani byli na tym punkcie nie mniej przesądni, niż inni) i odpowiedzi na „paskwilusy“ kalwińskie.

protestanci polscy szwedzkich i siedmiogrodzkich najezdników - jednowierców nieraz z nietajoną witali radością, obruszyła się na arianów, nie bronionych ani przez protestantów, zohydzonych przed całym światem — arcybiskup duński zaprzeczał im nawet ziemi dla pogrzebu, niech na powietrzu giną — cała złość i zemsta katolicka. Roku 1658 kazano im się albo wyprzedać i wynosić z Polski, albo przejść na katolicyzm; znaczna część wyszła z kraju, prześladowana, gdziekolwiek się obracała, mniejszość wyrzekła się wiary ojców, między nimi i Wacław Potocki. Znękani znaleźli przytułek w Prusiech, gdzie ich wielki elektor przeciw rozszereżonym pastorom utrzymał; za jego następcy jednak musiał Lubieniecki, malarz, berlińską akademię sztuk pięknych, gdzie był profesorem, dla wiary rzucić; dalej w Siedmiogrodzie i w Holandyi. Tu wydawali oni w „Kosmopolis“ czy „Eleutheropolis“ (wolnem mieście) dzieła Lubienieckiego, Wiszowatego - Sandyusza; tu przedtem już zaczęli wydawnictwo wielotomowe „Bibliotheca fratrum Polonorum“ z pismami Socyna i innych wybitnych arianów polskich. Lecz więcej, niż te subtelne elukubracje łacińskie, zajmie i wzruszy nas inny, ostatni ślad polskości, cienki zeszyt protokołów z „dyscypliny albo świętego przygotowania“, odprawianego czterokrotnie do roku, od 1722 do 1772, w siedmiogrodzkim Koloswarze. Zanim przystępowano do stołu Pańskiego, „rugowano się“ między sobą, „młódź była napomniona ze strony tańców, aby się ich wystrzegali“ (nawet przy weselach własnych); „drogi brat“ był notowany, że miarę w trunku przebrał; siostry, że „od dawnego czasu zawsze się kásają, uszczypłymi słowy jedna nad drugą przewodzi“; rugowany nie przystępował do stołu, „póki sumienie swoje uspokoi“; nowowstępujących wytrzymywano na próbie, że „napołym nie po świecku, ale po chrystyańsku mają się sprawować“. I tak dokołała się ten „zboreczek osierociały“ do końca wieku, walcząc z własną młodzieżą, która po polsku już mało umiała i do zboru węgierskiego przechodziła; z brakiem ministrów, bo rzadko posyłał im Bóg którego na ratunek; z nieporozumieniami i odstępstwami we własnem łonie. Do ostatka przewijają się w „regiestrze braci i siostr“ najświetniejsze imiona Arciszewskich, Wiszowatych, Geżanowskich; do ostatka wieje z tych protokołów ów korny duch chrześcijański, którego byśmy próżno u ich przeciwników szukali.

Tak zaginęli dla kultury polskiej ariani, a oni stali drogę innym dysydentom. Narazie ci się trzymali, ujęły się przeciw za

nimi i traktaty oliwskie i z Radziwiłłami niebyło co żartować, którzy na zagubę Rakowian obojętniej patrzyli, ale o krzywdę zboru wiłeńskiego protestowali i krzyżów przydrożnych w swoich majątnościach niecierpieli.

I dysydenci, szlachta i ministrowie, odznaczali się większym wykształceniem, już dla podróży zagranicznych, do Heidelbergu i t. d., które, choćby dla samej wiary — podobnie jak aryani — odprowadzali. Nie było też w Polsce ówczesnej takiego drugiego umysłowego centrum, jakim był dwór birżański w dwudziestych i następnych latach; można go tylko z dworem Zamojskiego porównać; wystarczy wymienić dworzan radziwiłłowskich, Jerzego Szlichtynga, Daniela Naborowskiego, Przypkowskiego, Karmanowskiego i innych, co w zawody wierszami i listami księciu hołdowali; chociaż i Lubomirscy i Mniszchowie i Zasławscy na Rusi swoich nadwornych poetów, Danieckiego, Żabczyca, Twardowskiego iniewali, nie mogli oni z Radziwiłłem, z atmosferą jego dworu, z doborem jego szkół kiejdańskich „paragonować”. Właściwa polemika wyznaniowa już była ucichła; jeszcze w drugim dziesiątku wieku wymieniono kilka ostrych strzałów (Żygrowiusza papopompe np.), ale już katolicy byli stroną nacierającą, i jawna wzgarda wiary „saskiej” i „pludrów luterskich” przebiegała z ich pamfletów, zwróconych ku „ministraszku ptaszku”, co to „przy niewieścisku, jak pies przy ścierwie, leży” i „klimkiem rzuca” (oszukuje), iż się pisze z Poznania, a on „przed Poznaniem na łysej górze, gdzie się czarownice złatają, ludzie oszukiwa”, szlachcica udaje, co za herb? chyba pałka Kaina, którą dusze traci, a nazwisko (Dąbrowski)? chyba Dębowski albo Powrozowski, gdy wisieć będzie. O polemice, która się w wieku XVI między Skargą Wolanem, Wujkiem a Glicznerem, Gródzickim a Chrzastowskim toczyła, nie było nawet mowy; jeszcze bardziej ucichła zażarta owa walka, którą sami protestanci, Wolan czy Gliczner, z „Samosatenami” i „Ebionitami” (aryanami) niegdyś toczyli — choćby dla przekasów katolickich, szydzących, że płód jaszczurczy własną matkę tępi; tylko przejście protestanta na aryaństwo, np. Chrzastowskiego, wywoływało jeszcze ciętą polemikę, w której szlachcie, choć nie tęgi w łacinie, gorzkie *verba veritatis* ministrom zborowym wysypał. Zresztą nie w Polsce samej, ale i w całej Europie, ucichały już spory, tak żywe w XVI w.: wszystkie argumenty, obelgi i kalumnie dawno wytoczono, nowych nie przybywało; przemoc brutalna, nie kazuistyka, rozstrzygały w rze-

czach wiary i sumienia, a wszędzie indziej działa się gorzej, niż w Polsce, rosła nietolerancja (zniesienie edyktu nantejskiego we Francji) i wyłączność.

Ostatnia jasna karta w dziejach wyznaniowych Polski, to *consilium charitativum*, zwołane za inicjatywą króla do Torunia dla pogodzenia ognia i wody, dla pogrzebania sporów o wiarę na drodze miłości i porozumienia; z „soboru” wykluczono naturalnie arianów. Próba ta rozruszała całą społeczną literaturę teologiczną zagranicą, w Niemczech; praktycznych następstw nie miała żadnych, ale w czasach wojny trzydziestoletniej poświadczyła po raz ostatni wobec Europy odmienne stanowisko polskie, jedynie ludzkie i szlachetne. Potem zasępiło się niebo i nad Polską; powiał wiatr ostry, i, jeśli już dawniej nie brakło srogich prześladowań ekscesów rzeczywistych lub pozornych, to teraz przebierano wszelką miarę: wypędzenie arianów, zniszczenie szkół leszczyńskich i zboru braci czeskich, szczególnie jednak spalenie Łyszczyńskiego, niewinnego, posądzonego o ateizm.

Srożono się już od dawna i przeciw książkom, nie tylko arian-skim: Bolestraszyckiego tłumaczenie francuskiej, kalwińskiej książki, kursującej swobodnie w katolickiej Francji, musiał już r. 1625 kat palić. I kierunek prądu wyznaniowego odwraca się coraz bardziej w Polsce; gdy w Europie nareszcie rozwidniać się poczynąło, mimo wszelkich ekscesów katolickiej reakcji we Francji i Austrii, zachmurzał się horyzont polski, cofał się rozwój polski. I tak skupiali się dysydenci w zaciszu domowem, tracąc jedną pozycję po drugiej, szkoły i zbory, i ci, co jeszcze w pierwszej połowie wieku między wykształconymi rej wodzili, z Leszczyńskimi, Rejami i innymi, ustąpili na ostatni plan. Tylko w Prusiech królewskich, po miastach głównie, w Toruniu i Gdańsku, utrzymały się stosunki XVI wieku, kwitnęło mieszczaństwo protestanckie, szkoły jego znakomite nęciły i z dalszych okolic katolików, a nietolerancja protestancka nieraz do odwetu wzywała.

I Śląsk, oderwany politycznie wiekami całymi, nie stracił, przynajmniej w górnej połaci, ani charakteru polskiego — czuli się Polacy w Brzegu i t. d., jak u siebie w domu — ani łączności z kulturą polską i językiem. Wrocław, Brzeg, drukują nie tylko polskie gramatyki i słowniki, łacińskie rzeczy polityczne i historyczne, ale liczą i samodzielnych autorów polskich, chociaż wyłącznie konfesyjnych.

Szczególniej odznaczył się ksiądz „fararz” Kluczborski, Adam Gdacyusz, uczeń luteranów wileńskich, potem pół wieku między „Wasserpolakami” kazący i drukujący (1640 — 1685), nie dający się „od swego zawziątku odgromić”, chociaż rozmaici „ożuwcy, szczekuły i gryzislawy” osoby jego „do nasytku językiem się naczosali”. Fararz wyborny ze swoją polszczyzną, którą objaśniał artykuły wiary „tak pogmatwolone, iż do wywięzienia i wymacania prawdy potrzebaby jakiego oddennego, ktoby ją na wierzch wywindował, pływacza”; z cytacyami z Kochanowskiego, o których się w Czarnym lesie nigdy ani śniło, z anegdotami nieskończonemi; z pouczeniem słuchaczów „kiedy się małżonkować mają“, albo że się nie mają „żołądkować“ na jego polszczyznę „Wasserpolowie nadęci, niech pierwej polskie czytają autory z chęci, a też ich szczekania są błahoważne u mnie”; w zapędzie kaznodziejskim on nawet powie słuchaczom i „czytańcom“: „cudujecie się, żem jest tak cielisty, moja żona mięszszejsza (grubsza), a przecież w jednym łóżku rumu dosyć mamy”. Mimo niektórych germanizmów władał on polszczyzną znakomicie, a z nim wraz i inni „Wasserpolowie”; ci nauczyciele i fararze „twardogórscy” (Festenberg) i in. wiersze piszą niezgorsze, a jaki ich respekt przed językiem polskim, „tak wytartym i wypolerowanym, że biegły w nim mowę, jak grekowie, łacinnicy i inni, łagodnymi i wdzięcznymi słowy, niby farbiczkami niejakiemi, upiększyć i ozdobić może”!

W Polsce samej gaś powoli protestantyzm i jego walki; inaczej powiodło się unii; chociaż i tu w końcu stagnacya i marazm, jak po wszelkich innych działach umysłowych, zapanowały. Myśl i mowa, a nawet i wiersz polski, zdobyły tu szerokie przestwory; najgorliwsi obrońcy prawosławia, taki Zizania np., myśleli i mówili po polsku i cyrylicą tylko wypisywali sens polski. Nie inaczej działo się pod bokiem starego księcia Ostroskiego, filaru najpotężniejszego całego prawosławia w Koronie; „Litwin” Andrzej Rymsza (przełożył z łaciny na polskie chorografię Ziemi świętej, którą na cerkiewny język później przełożono), pisał w Ostrogu roku 1581 wiersze na miesiące (najstarsze to drukowane wiersze ruskie), które np. na sierpień tak brzmiały: „w tom miesiecy Aaron umier bożij jerej, tego sobie na prikład ty, popie, zawždy miej” i t. p. I polemika toczyła się głównie po polsku; sami Jezuici nie łacina przeciw prawosławnym szermowali. Polemikę tę odziedziczył wiek XVII po XVI; umarł wprawdzie (r. 1603) Konstanty Ostroski, i utraciło

z nim prawosławie fautora dysydentów, opiekuna typografii, szkół i monasterów, rozporządzającego zasobami królewskimi; inni, Czartoryscy, Wiszniowieccy i t. d., opuszczający sami rychło dawne prawosławie, jego zastąpić nie mogli. Ale szkoły i zachody Ostrońskiego wydały owoce: w pierwszym rządzie obrońców prawosławia stanął teraz uczony, wymowny, namiętny Melecyusz Smotrycki; jego „Lament cerkwi prawosławnej”, wydany pod pseudonimem, jak i Apokryzis, ale z innego powodu, zrobił nadzwyczajne wrażenie; sam Skarga u schyłku swych dni zerwał się jeszcze do odpowiedzi. Polemika tych wszystkich Ortologów, te Weryfikacye, Obrony niewinności i jak się te pisma nazywały, toczyła się znowu wyłącznie w języku polskim; i ona pełna najciekawszych szczegółów obyczajowych, i jej nie brak chwil dramatycznych, tragicznych: zabójstwo Kuncewicza i innych ofiar; chwiejność Smotryckiego, który w końcu rzucił prawosławie i Kozaków, broniących je argumentami wcale nie teologicznymi; polemika strasznie drastyczna między Sakowiczem, eksunitą, a Mohiłą-Pimenem (pasterzem, w Kamieniu wiary) należą do najwybitniejszych momentów tej walki na pięści, rzadziej na pióra, do której się miesza co żywo, i wójt warszawski (Skupieński) i protestanci, jak Diplic. I ta walka jednak ustaje w połowie wieku: z cel i ławek szkolnych przenosi się na pola Ukrainy; burza rozszalała niszczy, co półtora wieku zabiegliwej pracy stworzyło; milion ofiar ludzkich, ruina dobrobytu, odpadnięcie Kijowa i Zadnieprza, inwazyja turecka, utrata Kamieńca, hańbiące paktu buczackie—oto ostateczny rezultat unii brzeskiej, lichu okupiony szerzeniem jej w granicach polskich.

Udało się bowiem walki kozackie, z ich podkładem ekonomicznym, społecznym, przykрасić tendencją wyznaniową; chłop ruski, pędzony przez Chmielnickiego, Mazura rodem, i Kozaków na szańce polskie, umierał za wiarę, pewny raj, i znęcał się nad bratem - unitą, dla jego lackiej wiary. W drugiej połowie wieku raczej wyjątkowo odzywała się polemika wyznaniowa i na tem polu: rozmowy, dysputy zazwyczaj nie dochodziły; Jezuici ostrzeliwali plac, chyba że Galatowski i Baranowicz za „starą wiarą” przeciw Boymowi się ujmowali.

Obok Boyma i Cichowiusza (nieznużonego pogromcy aryków) odznaczył się Rusin-Jezuita, Rutka, najliczniejszymi pismami przeciw Kijowianom, chociaż i on, jak Baranowicz, o lidze antytyreckiej marzył i sposoby pognębiaenia Koranu wymyślał. Przy koń-

cu stulecia doznała unia jeszcze rozszerzenia na ziemię lwowską i przemyską; było to ostatnie jej powodzenie.

Unici sami, odpychani od prawosławnych, jako odszczepieńcy, od katolików nie przygarnieni jak należało, liczniejszych pisarzy i obrońców z własnego grona nie wystawiali; najpoważniejsi między nimi dwaj ich metropolici, Hipacy Pocij na początku XVII, i Lew Kiszka na początku XVIII wieku, Pocij, broniący wymownem pismem i słowem, listem i kazaniem, unii przeciw Ostroskiemu i jego adherentom, kalwińskim i prawosławnym; Kiszka, wydający jego kazania, piszący historię cerkwi unickiej, dbały o podniesienie Bazylianów i kleru unickiego, wymowny jego rzecznik wobec Rzymu; obaj mistrzowie słowa polskiego, Pocij szczególniejszą werwą drastyczną narabiający, Kiszka spokojniejszy, równiejszy. Między Bazylianami np. wileńskimi znaleźć można i poetów nie najgorszych, hołdujących ówczesnym muzom polskim, religijnej, historycznej i panegirycznej; ani ich odróżnisz od reszty braci parnaskiej. Za to upadała widocznie znajomość cerkiewszczyzny, tak, że w XVIII wieku drukowano w księgach duchownych obok tekstu cerkiewnego (cyrylicą) tenże tekst łaciną, albo i całkiem po polsku.

W Kijowie, i jeszcze dalej na wschód, w Czernihowie np., stała cerkiewszczyzna twardo, ale najwybitniejsi przedstawiciele życia duchowego, archiepiskopi, igumeni i rektorowie kolegium, czy do hetmanów zaporoskich czy do samych gosudarów się zwracali i polskie dzieła im poświęcali, łaciną żyli, scholastykę średnio-wieczną uprawiali i dla jej dystynkcyi i terminów w Moskwie zarzuty odszczepieństwa łacińskiego, szczególnie w trudnej nauce o świętych darach i o ich transsubstancjacyi na się ściągali. Szczególniej niestrudzony był między nimi archiepiskop czernihowski, Łazarz Baranowicz, sypiący, jak z rękawa, obszerne dzieła polskie, wierszami, prozą i mieszane, cytujący raz po raz Jezuitów, Rychłowskiego i innych, układający „wieniec Matki Bożej”, jak Kochowski swój wirydarz, w alfabetycznym porządku epitety jej zestawiając, w wierszach ciężkich i bez smaku, lubując się za to w ciągłej grze słów, w nieskończonych kalamiburach, zapelniając nimi i „Apollina chrześcijańskiego“ (żywoty świętych, poświęcone carewiczom) i jeszcze o wiele obszerniejszą „Lutnię Apollinową każdej sprawie gotową“ z tysiącem poczyi nabożnych i świeckich, i „Księgę o śmierci” i „Nocyj pięć” (o Duchu ś., o cechach, nocyach jego) i t. d., np. „Aryusz zdał się sobie być ingeniosus ale prawie

był ingenio sus”, lub: przyczyn szuka kto się chce z przyjacielem rozstać, Syna Rzymianie uczynili przyczyną Ducha św. (filioque w symbolum zachodniem), tem się rozstali z Rusią. Nie darmoż sam pisał:

Nie Kochanowski lub te rythmy noszę,
Byście się przecie w nich kochali, proszę...
Nie poetyckim pegazem biegano,
Kochanowskiego w tym nie dojachano,
Osłem tu prostym jachano leniwo —
Kto biegł pegazem lotnym, co za dziwo?
Że Pan na osłe jeździł, respektujcie
I osła, jako gościa, w dom przyjmujcie.

I rzeczywiście, robota bardzo nie osobiwa; „nad wszystkie wodki Jezus jest słodki” albo „dziękuj Bogu za orzechy, Rusinie współ i z Lachy”, albo „Bogu za śliwy dziękuj kto żywy” antycypują warzyny Baki; lepsze proroctwa, choć się nie sprawdziły, przeciw Turkowi: Rusin go mężny i Lech potężny Walecznie pobije, lub nawoływania do zgody: Mężny Rusinie nie wadź się z Polaki, Wzięliście zwyczaj zgoła ładajaki, Jest z kim próbować siły: Turka z Tatarami zbijcie i t. d. Usprawiedliwia się nieraz ze swych wierszów, np.

Łazarz, że w bólu wiersze srogim składał,
Przebaczcie, gdyby co nie grzeczny gadał;

bo coś innego powiemy np. o takim kalamburze:

Ordo na *order* kiedy przełożono,
Der (dery, zdzieraj) żołnierzowi namieniono pono,

albo gdy się, choć przedwcześnie, ze światem żegna:

Mnie jest dobrze do Boga miesiąca każdego
Lipnąć, a barziej w *lipcu*, z imienia samego.
Łazarzowa do ziemi, że już *lipnie* dusza,
W *lipcu* Łazarz do Boga niech na schyłku rusza;
Pomoc Bożą tak Łazarz znaczy, że nie duży,
W *lipcu* niech k Bogu *lipnie* i onemu służy i t. d.

„Rusin rad, że się u was Jezitów nauczył łaciny” w licznych dziełach dbał głównie o dwie rzeczy: połączenie obu obrządków po

usunięciu Filioque; zjednoczenie potem „Rusaka” z Polakiem przeciw Turkom. Alegoryzował zawzięcie, nawet Trójkę świętą dla Rusi wyłożył: Syn jak kokoszka dla Małej, Ojciec jak orzeł dla Wielkiej, Duch jak gołąb dla Białej Rusi, dwugłowy orzeł Boską i ludzką naturę mu oznaczał i t. d., a wiersze pisywał nieraz, jak Baka, np. Łazarz kaleka, zawsze ucieka, po Bogu do Matki, ta i w złej toni, od przygód broni nas, jako swe dziatki i t. d.

Uczeńszy znacznie i miarkujący się bardziej z wymaganiami stylu, więc nie płodzący podobnych wierszydeł, Joanniki Galatowski, walczył z Alkoranem, z niewiarą żydowską, z herezjami całego świata, ograniczał się jednak wyłącznie dziedziną teologiczną. Innocenty Gizel, Niemiec (Prusak, nie pierwszy między teologami prawosławnymi w Kijowie), wyrósł w tej samej sferze, ale pisał głównie po cerkiewnemu (między innymi i sławną kronikę, Synopsis, zawołany uczebnik przez stulecie z górą, czerpiący ze Strykowskiego i t. d.). Tylko po rusku pisali Radziwiłowski, Symeon Połocki (rywalizujący, daremnie, z psalterzem Kochanowskiego) i św. Dymitr Rostowski, lecz w duchu i środkami tymi samymi, co i tamci. Radziwiłowski układał olbrzymie folianty z kazaniami, naśladując ślepo polskie, ale przejmując się tylko ich wadami, nie wznośząc się na wyżyny choćby Młodzianowskiego, narabiając Dziełowskiemu, „Wielkiem Zwierciadłem“ i t. d.: w poezyi powtórzył się ten sam stosunek. Za to znowu metropolici, Mohiła, Kossów, ważniejsze dzieła po polsku pisali (np. Pateryk, „Żywoty ojców św. pieczarskich“ i t. d.). Tak zbratały się poraz pierwszy polska i ruska muza, i o kreszczatyku kijowskim śpiewał ojciec archiepiskop po polsku:

Pomnię w Kijowie, Chreszczatyk tak słynie,
Pełno tam krzyżów, woda czysta płynie,
Że się Ruś chrzcila, na pamiątkę tego
Krzyże zostają od wieku dawnego.

Tak szerzył się język polski daleko w stepy na południu i wschodzie (por. np. „Modlitwyienne i nocne według zdania Św. Ojców“, wydane roku 1689 dla niemal stuletniego Baranowicza w czernihowskim monasterze Iljińskim). Na północy przenikał on do Łotwy i na Żmudź, i znowu Jezuici, Elger, Szyrwid i inni, pielęgnowali język ojczysty, układali w nim kazania i t. d., pisali jego słowniki i gramatyki; na misyach wypleniali resztki upornego

pogaństwa. Rywalizowali kalwini; w zeszłym wieku zaczęli byli luteranie królewieccy literaturę narodową litewską, za ich przykładem poszli kalwini wileńscy i szczególnie w Kiejdanach radziwiłłowskich w połowie wieku drukowano książki do nabożeństwa litewskie, zabrano się nawet do przekładu całej biblij (tak zwana biblia Chylińskiego, niedokończona). Język sam, szczególnie żmudzki, nasiąkał coraz bardziej polonizmami. Lecz po tej nieodzownej wycieczce na dalsze pola wracamy do rzeczy specjalnie polskich.

Gdy przeważna część prawosławnych do Moskwy odpadła, gdy arianów wypędzono, a protestanci się z życia publicznego wycofali, katolicyzm i unia Polskę wypełniły; jednolitość wiary, bo i Ormianie unię przyjęli, zapanowała na nowo, jakby w czasach piastowskich. I zmieniała się rola duchowieństwa; gdy ono w XVI wieku stale wołało: giniemy, zginęliśmy, i w szczytnych słowach Skargi najwymowniej grozę przyszłego niechybnego upadku wystawiało, teraz, po zginieciu różnowierstwa, w błogiem uczuciu tryumfu, nie podnosiło już hiobowych głosów i wołania Jeremiaaszowego. Byli wymowni kaznodzieje, gorący miłośnicy ojczyzny; nie było zaś proroków upadku, właśnie gdy wiązania państwowe coraz głośniej trzeszczały. Kaznodzieje bili teraz na przywary i niecnoty prywatne, oskarżali jaśniewielmożnych sędziów trybunałskich o przekupstwo; przestawne wojsko koronne o nielitościwy rabunek i zdzierstwo chłopów i mieszczan; przeraził ich upadek Kamieńca, w którego mury wpłynął zawój turecki na falach krwi i łez uciśnionych niewinnie ludzi; sarkali na promowanie żydowstwa, na przepych i zbytki panów a wyssanie kmiotków, na pijaństwo ogólne; zresztą schlebiali słuchaczom, ich próżności i dumie; ich kazania pogrzebowe, np. były wstrętnem, odurzającym, ogłupiającem kadzidłem. Gniewali się chyba o to, że panowie świeccy duchowieństwu wczasu i dostatków zazdroszczą, albo że zawsze jeszcze między wiernymi Pańskimi jakiś dysydent się przewija i karę boską wywołuje. Kaznodziejstwo polskie schodziło szybko z wyżyn Skargi.

Już u **Birkowskiego**, który, co do nauki, Skardze nie ustępował, a talentem oratorskim, ogniem i namiętnością; stanowczo go przewyższał. Kazania Skargi wydają się mniej wyrazistemi, mniej wypukłemi, chłodniejszymi, poważniejszymi obok tej lawy, jaka nieraz z piersi Dominikana-żołnierza wybucha; tamte jakby wypra-

cowane, mimo całej swej prostoty; te dyszą żarem, czuć je prochem bitwy; przeciw kaznodziei sejmowemu staje kaznodzieja obozowy; ów roztrząsa sumienia, jakby w konfesyjale; ten gromi, przeraża, swoich i wroga, niby krucyacie przewodząc; ów przemawia do rozsądku i rozwagi, ten na kolana upada, krzyż wznosi i zaklina na rany Zbawiciela. Ale ani widoki jego nie były tak rozległe: nie przetrął się po świecie, tylko z celi do obozu się dostał i zwężył się mu świat; ani sztuka jego wielka; on nie wyróżniał między koniecznem a zbędnem, trafnem a mylnem, on sztukował i łątał pomysły byle czem. I nawracał on na drogę zgubną, fatalną, którą kaznodziejstwo polskie pod wpływem reformacyi było zarzuciło, a na którą się staczało, gdy wpływ ten ustał, bez hamulca i przeszkody. Słuchacza teraz nie chciano wzruszać tylko, lecz zająć go i rozerwać, porównaniem, dykteryjką, niezwykłym kawałkiem z historii, z baśni o płodach natury, wyszukaną alegoryą, symbolicznym wykładem; nie podnosić słuchacza ku sobie, lecz zniżać się do niego, obracać się w jego kole zajęć i pojęć, mówić do niego językiem jego i otoczenia, o rzeczach najwyższych, o tajemnicach najświętszych, spoufalić go z niemi, a raczej sprofanować je tonem świeckim, rubasznym w gruncie, choć pieśzcotliwym, poufałym na pozór. Te grzechy i skażenia kaznodziejstwa polskiego XVII wieku u Birkowskiego kiełkowały poraz pierwszy; wybujały dopiero u następców, sadzących się w zawody na najdziwaczniejsze pomysły, zajmujące nieraz nadzwyczaj, np. taka niesłusznie osławiona „Kokosz“ Mijakowskiego, chorująca na pypeć barbaryzmów i solecyzmów u młodzieży szkolnej, inaczej u innych stanów, wieków i płci. W ciągu wieku znajdują się kaznodzieje, nie popadający w takie jawne uchybienia i błędy; ani Wydźga ani Gołębiowski (kaznodzieja Sobieskiego) nie profanowali w ten sposób kazalnicy; ale nawet jezuita Młodzianowski nie ustrzegł się tej przywary, cóż dopiero inni.

Kaznodziejstwo protestanckie nie grząźnie nigdy tak nisko; nawet u Gdacyusza, który swoim „Wasserpolom“ bardzo dobitnie i rubasznie prawił, nie znajdują się takie fałszywe ozdóbki, takie łechtanie ciekawości. Że rozmiłowanie się stylu barokowego w takich niestylowych dodatkach, w wykrzywianiach i przesadzie, w emblematkach i alegoryach, kaznodziejstwu społecznemu tylko drogę torowało, zaprzeczyć się nie da; ale to nie skreślił fakt, że wbrew rozwojowi naturalnemu wróciło kaznodziejstwo polskie na manowce

średniowieczne, że skarłało, że zamiast budzić sumienia usypiało je, baraszkując ze słuchaczem, plotąc troje niewidy, zapewniając szczęśliwego o osobliwszej łasce Pańskiej, czuwającej nad ucieszną Polską. Bez bodźca zewnętrznego osłabł ów, niebawem jedyny głos, który z prawdą mógł się ozywać.

Brak tego bodźca uczuła cała literatura teologiczna. Bronić prawd wiary nie było prawie przeciw komu, protestanci i prawosławni do boju już nie stawali — przynajmniej w drugiej połowie wieku; argumentowano chyba w szkole lub dla popisu na dysputach, które po kościołach urządzano, między zakonami, a które zakrawały coraz bardziej na opisane w Monachomachii. Zamiast dzieł polemicznych i historycznych przeważają pobożne ćwiczenia, akademie pobożności, gościńce do nieba, zegary skruczę wybijające, młoty grzechy drelujące — Družbicki i Wojciech Tylkowski, ratują sławę polskiej teologii; rzeczy tłumaczone przeważają, a w nich, jeżeli nie sięgną do ojców dawnych, hiszpańska i włoska askeza, życia zakonników i zakonnic, cuda i legendy. I mota się serce i myśl coraz bardziej w tych powijakach, oddala się coraz bardziej od jedynej krynicy wiary: od Pisma świętego; ani Nowego Testamentu, ani Biblii do rąk laikom już nie dają i znowu wraca życie duchowe polskie na ścieżki czy manowce średniowieczne, z których je prądy reformacyjne, zdawało się, na zawsze wywiodły. Zamiast ksiąg świętych, zamiast choćby psalterza Kochanowskiego (który po roku 1640 już nie wychodzi), drukują na nowo „Żywot Chrystusów“ Opecia, „Zwierciadło Przykładów“, olbrzyma średniowiecznego w przeróbce jezuickiej, „Historye Rzymskie“ i podobne zbiory budujące; o Piśmie świętem znowu tak samo głucho, jak na początku XVI wieku; sparzone na gorącym duchowieństwo dmucha na zimne.

Zwyciężyło ono na całej linii, a właściwie Jezuici. Ci stoją niewzruszeni na zdobytych pozycjach i wypróbowanymi środkami, starannym wyborem osób — odpychając co zawiodłoby — działaniem przez młodzież na rodziców, przez szkołę na młodzież, wszelkiemi miarami i miarkami na tłumy, zdobywają coraz obszerniejsze wpływy, gromadzą coraz większe bogactwa, pokrywają coraz gęstsza siecią domów i kolegiów Polskę, od Krosna do Rygi, od Braunschbergu do Kamieńca Podolskiego. Ale i oni obniżają wartość swej wiedzy i szkoły; spuszcza ją się na otaczający ich poziom, zaniedbują np. doszczętnie greczyznę — z wielkiego słownika Knapiusza

opuścili ją w późniejszych wydaniach, jako całkiem zbędną, i, jeżeli jeszcze roku 1553 proboszcz, który w Bieczu bakałarza osadzał, od niego znajomość greki wymagał, to w XVII wieku i po uniwersytetach jej nie wymagano; latyniści pierwszorzędni, taki Sarbiewski, z ich grona niebawem na zawsze ubywają. Pochłaniała ich niegdyś walka z różnowierstwem; zwyciężywszy, ostygli i tylko dbali o zapewnienie zwycięstwa, wpajając w młodzież bigoteryę i fanatyzm. Monopolu wychowywania tej młodzieży *de nomine* nie uzyskali; oparła się im akademia, ostatek swych sił w bezowocnej walce mitrząc; znaleźli się rywale w nowym zakonie *Scholarum piarum*; elementarnego wychowania Jezuici wcale nie udzielali; mimo to jedna szkoła i jeden typ jej rozgościł się na olbrzymich przestrzeniach Rzeczypospolitej: ten sam Alwar zbyt trudny i rozwlekły; ci sami przetrzebieni autorowie klasyczni; te same bractwa szkaplerzowe; te same przedstawienia dramatyczne, tragedye (o świętych, o męczennikach, o cudach, o nawróceniach) z intermedyami śmiesznymi panowały we wszystkich kolegiach czy szkołach, chyba że Alwara nieco łatwiejszy Piotrowski zastępował. Odznaczali się kaznodzieje jezuickcy, Makowski, Piekarski, znienawidzony dla swego „rojalizmu“, Młodzianowski, który wiele świata zwiedził; historycy, jak Wijuk Kojałowicz, dopełniający historię Litwy, polityczną i kościelną, a dla rodzin litewskich prace — heraldyczno-genealogiczne Paprockiego i Okolskiego; poeci. Największy między nimi, nietylko w Polsce i nietylko w wieku XVII, Horacy chrześcijański, **Maciej Sarbiewski**, znużony pracą kaznodziejską na dworze królewskim, towarzyszący Władysławowi IV do Merecza na łowy i do Karlsbadu na wody, liryk natchniony, opiewający wierszem łacińskim i Bogurodnicę, i ligę turecką, i wrażenia z podróży i Rzymu; tęskniący za przyrodą i jej zaciszem, za wdziękami lasów, dumający nad jasnymi wodami, obrazem duszy własnej.

Zaczął Sarbiewski uprawiać muzę obowiązkowo, bakałarzując po kolegiach, składając w pretensjonalnych panegirykach hołdy duchownym i świeckim. Później otrząsł się nieco z tych naleciałości szkolnych, chociaż, idąc i za własnym popędem, i za rozkazem zwierzchności zakonnej, papieżowi i kardynałowi wieńce panegiryczne spletał; podróże, wrażenia ruin Rzymu pogańskiego, coraz ściślejsze przejęcie się Horacym, coraz miłsze zatapianie się w samotności, coraz żarliwsza pobożność oskrzydlały potężnie jego muzę. Forma jej wzorowa, niepokalana, między latynistami świata

całego prym trzyma; treścią za to zakonnica, wstydliva, skromna uczy unikania świata i walk jego, kwietyzmu, rezygnacyi; najwymowniejsza, gdy się korzy przed świętymi; napuszona, gdy, świeckimi torami krocząc, wolność polską sławi lub, przeciw instynktowi narodowemu stawając, posłuszna za to intencyom papieskim, Habsburgom się łąsząc, najniepotrzebniej do krucjaty przeciw Turkom zagrzewa, ambitnym planom królewskim napróżno drogę torując; stronnicza, gdy do jedności w wierze nawoływa.

Sarbiewski to wyłącznie liryk; tylko w liryce refleksyjnej najwyżej się wznosił; nie kusił się nigdy, inaczej niż Szymonowic, którego zresztą i wykwinnym smakiem i filologicznem wykształceniem i życiem samotniczem bardzo przypomina, o epiczne czy dramatyczne próby: obaj poeci - uczeni przyrodzie z namiętnością niemal hołdowali. Po polsku nie pisywał, chyba kazania i listy, i niź w kraju, był sławniejszy za granicą, w Rzymie, Belgii i w Anglii. Polska szlachecka ceniła coraz mniej własnych latynistów. Zakon wydał ich więcej; od Sarbiewskiego idą nieprzerwanym szeregiem Inez, Hiszpan rodem, Polak zakonem, kuszący się o większe kompozycje, historyczne (hymny o królach polskich, Lechias) i o liczne fraszki, chcąc jezuickimi moralnemi rugować swywołnego nieraz Owena, Douzę i innych, swywołnego Kochanowskiego: więc pisał **Inez** i polskie, których wyborem Borkowski zbiór łacińskich epigramów uzupełnił. Dalej Kanon, Karwat i inni, jeszcze mniej znani: jedyny Inez cieszył się rzeczywistą popularnością, nawet kosztem własnego mistrza i ideału, Sarbiewskiego. Jezuici dbali zazdrośnie o opinię publiczną; dzieła, w których mniej chętne o sobie znajdowali wzmianki (np. Kronikę Piaseckiego) napastowali; oburzała się szlachta na „prepotencyę“ jezuicką, wpisywała do *Silva rerum* wiersze, sławiące wygnanie Jezuitów z Wenecyi, doradzające tego samego w Polsce; obruszała się na kaznodzieję nadwornego, ks. Piekarskiego, za inwektywy na rokoszan; w końcu nie podejmowała niczego na seryo, i, chociaż popularnym zakon nigdy się nie stał — nie pił przecież ze szlachtą ani rubaszył się z nią, jak Bernardyni — wszechwładzy jego nikt już nie tknął: bez Jezuity aniś żony, aniś starostwa nie uzyskał.

Doniosła w swych skutkach wszechwładza zakonu odbiła się i w literaturze teologicznej i polemicznej, którąby słusznie jezuicką nazwać można — tak szczupłą była rola, jaką inne zakony albo duchowieństwo świeckie w niej odegrały. Zmieniły się czasy, ubyto

owych dawnych pisarzów, Wróblów, Novikampianów, Powodowskich, Wargockich, Dominikanów kilku, tak płodnych w XVI wieku; miejsce ich zajęli Jezuici, Wysocki, niezmordowany tłumacz i inni, gdyż nawet dzieła, wydawane pod imionami księży świeckich, Słupskich, Paulinów, Linowskich i t. d., wszystkie z pod piór jezuitickich wychodziły; Jezuici: Łaszcz, Sawicki, Rościszewski i inni, pisywali nieraz i pod sześciu pseudonimami; Wielkopolanin Łaszcz np. wydawał cięte swe pisma pod firmą ks. Słupskiego, Paulina, Tworzydła, Isiory, Żebrowskiego, Skargi nawet! spółcześni nieraz nie domyślali się nawet prawdziwych autorów. Tylko do wierszów zabierali się Jezuici rzadko, chyba chcąc dysydentów ośmieszyć. Literatura to bardzo ciekawa, nawet i pod habitem jezuickim nie wyzywano się z animuszu polskiego i dotkliwymi, acz bardzo niewybrednymi żartami, ironią gryzącą, a choćby i obelgą i szyderstwem napastowano głównie ministrów, iksów - Bombizów, a za nimi i wyznanie samo. Z broszur polemicznych schodzili Jezuici i do prostych pamfletów, szczególnie w Wilnie wysadzali się na najsprośniejsze listy luterskie z piekła, opowiadania o ministrze, co, po kury laząc, ze schodów spaść i szyję złamać raczył (napisał Jezuita Chądzyński) i t. p. i wzniecali tylko nienawiść religijną, którą młodzież niesforna w bójkach i napaściach ulicznych na całe brogi i zbory i na indywidua wyszafowała.

Ale „u nas w Polsce, jak kto chce“, więc nie dziw, że właśnie z Polski wyszły i najzjadliwsze pamflety przeciw Jezuitom, pierwsze utwory polskie, które Europę obiewały i nawet do niedawna kursu nie straciły, od protestantów, z zakonu Jezuitów samych i od prawowiernej akademii krakowskiej, zagrożonej w monopolu nauczania. Jeden z takich pamfletów poznaliśmy wyżej; słynniejsze było „Consilium“ czyli „Rada odzyskania i ustalenia pokoju w Polsce za wypędzeniem Jezuitów“, od roku 1607 kilkakrotnie wydawana, i w Upsali i we Frankfurcie nad Menem, tłómaczona na niemieckie, drukowana jeszcze w XVIII wieku. Śledzi ona ową *Actio* z roku 1590, powtarza jej argumenty, formę i fikcyę, sarka na Jezuitów głównie dla ich pism przeciw konfederacyi, dla ich wpływów na dworze, chociaż uznaje ich szkoły i sposób nauczania. Wyszła z pod pióra Polaka, rokoszanina (cytuje np. Annales Orzechowskiego, które wtedy Herbut chyba lepiej znał, bo je i wydał), dowodzi wcale bystrego oka (co mówi o nieufności ku monarsze i t. d.) i proponuje to, co komisya edukacyjna w 170 lat później rzeczy-

wiecie zrobiła — użycie skasowanych funduszków jezuickich na szkoły publiczne. Odparł ją Mikołaj Ziemięcki roku 1610, ale raczej wyzwiskami, niż argumentami; gruntowniej uczynił to jezuita Sawicki pod imieniem ks. Cichockiego. Najstynniejszy pamflet wyszedł jednak od jezuitę, Tomasza Zahorowskiego, którego „Monita privata societatis Jesu“ jeszcze do dziś nieraz za autentyczne, za rzeczywiste prawidła i maksymy zakonne, uchodzą: jako takie wydał je nawet sławofil Samarin z rękopisu (!) praskiego, a innego nowego wydania rozeszło się w półtora roku kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzów, i musiał jeszcze roku 1895 tym Monita (tłumaczonym i na polskie i t. d.) osobny artykuł Niemiec - Jezuita Duhn w swoich „Jesuitenfabeln“ poświęcić.

Najciekawszy płód literacki, na jaki się w XVII wieku pióro akademika krakowskiego zdobyło, to zasłużonego wielce matematyka, ks. **Broscyusza**, ostatniego dzielnego reprezentanta tej nauki w Krakowie, wielbiciela Kopernika i korespondenta Galileusza, „Gratis plebański“, szereg broszur, w ciętej, dowcipnej, formie dyalogicznej, nicującej niemiłościwie zakon i jego szkoły. Nie śmiał jednak Broscyusz wydać dziełka imiennie; drukarza zasądzono na śmierć (od której go Jezuici odprosili) — a czwartego dyalogu, najostrzejszego, pod tytułem „Varietas“ (o odmienności Jezuickiej) nie śmiał Broscyusz ani bezimiennie wydać, za to po rękopisach częścię go znachodzimy; w tym „dyskursie“ przydał Broscyusz jeszcze i krótki wiersz łaciński pod tytułem „Gratis“ (że darmo Jezuici uczyli, nie za pieniądze), należący więc właściwie do pierwszego dyskursu, który tu powtarzamy:

Discere qui *gratis* soliti *gratisque* docere;
Aedificare domos, fucorum alvearia, *gratis*;
Justitiae sanctae *gratis* corrumpere dextram;
Edicta intrepidi contemnere regia *gratis*;
Testamenta senum captare et premia *gratis*;
Qui populi mores turbatis et otia *gratis*;
Insidias struitis renuentes munera *gratis*,
Cum tactae nares lucri maioris odore,
Cantantes *gratis gratisque* plorare iubentes,
Sedibus antiquis mira quos pellitis arte;
Fas quibus est *gratis*, pueris orbare parentes —
Vos ergo adoro lubens, o servatoris Jesu
Felices socii et fatui nova numina saeculi,
E nostro ut migrent caedes ac proelia regno,
Omnia qui facitis *gratis*, discedite *gratis*!

Słów bardziej dojmujących żaden protestant nigdy nie wygłosił. Tak ostrych form, przynajmniej publicznie, długoletnia walka akademii z Jezuitami więcej nie przybierała — na walkę tę zużywała akademia resztki zasobów umysłowych i finansowych, solidaryzując się z Broscyuszem.

Ze szkół jezuickich, pijarskich i akademickich wychodziła młodzież z głową, wypchaną łaciną, kująca wiersze, wprawiona w retorykę, wylewającą tem więcej z brzegów, im mniej w Rzeczypospolitej pozostawało cośkolwiek do chwalenia. Powódź retoryczna, grożąca już w wieku XVI, zerwała teraz wszelkie tamy, i rozbrzmiewała Rzeczpospolita od jednego końca do drugiego mowami pochwalnemi, panegirycznemi. Wiek XVI wzorów ich nawet nie podawał; tem bardziej czynił to XVII. Niebyło rękopisu szlacheckiego, któryby nie mieścił wzorów mów pogrzebowych, weselnych, politycznych.

„Spizarnia aktów rozmaitych“ doczekała się ze wszystkich książek najwięcej wydań, a z nią zawodniczyły dzieła Jezuity Wojsznarowicza i innych. Ceremoniał polski, mianowicie weselny, konsumował znaczną ilość mów i przemówek: pierścienie, dary, marcypany, pannę młodą oddawano zawsze z oracyami, a temat do nich brano od herbów, kamieni, kruszców; nie brakowało i parodii, ale te tylko po rękopisach się kryły w owych oracyach „serbskich“ albo „alamodzkich“, zbudowanych na samych dwuznacznikach. Prawdziwych mówców wydawał wiek tem mniej, im więcej mówił; najznakomitsi należą jeszcze do jego początków, ale i między nimi nawet Marek Sobieski, nawet w najdramatyczniejszych chwilach, nasze oczekiwania nieco zawodzi; nadto to robione, sztuczne, nie porywa. Najlepiej udają się jeszcze wymówki królowi i jego władzy rozdawniczej (*distributiva*), jedynej realnej, którą mu szlachecka anarchia zostawiła; sarkania na Ichmość żołnierzy, grabiących ojczyznę, i Ichmość duchownych, skąpiących zasiłków pieniężnych. Zresztą i przy najwierutniejszych łotrach sławią ich katońskie i scypiońskie cnoty, a jeśli ten wątek się urywał, snuto go dalej od herbów i przodków chwałebnych i koligacyi przeświectnych; śmiała się szlachta z tych kłamstw i chciwie je połykała i uroiła sobie nowy świat starorzymski, wyższy, bo chrześcijański, a siebie w roli Kurcyuszów, Cyncynatów, Decyuszów.

W ciągłem tem szermowaniu starożytnością, nie tylko pojęcia, ale i mowę nawet pstrzono łaciną. Brzydki ten zwyczaj, oparty na

gnuśnej opieszałości, leniącej się przed wysiłkiem umysłowym, chwytającej za gotowe; oparty na chęci popisywania się nauką i ogładą; na manii naśladowczej, czepiającej się tego, co obce, pannaował już w wieku XVI, ale teraz przybrał jeszcze większe rozmiary, a z mowy dostał się i do pisma. Dla obrzydliwego nałogu tego utrwaliła się, najniesłuszniej zresztą, nazwa makaronizmu, i cały wiek nawet ochrzczono panegirycznie - makaronicznym, chociaż to tylko dwie cechy jego, uwydatniające się, prócz najlichszych, niestety najliczniejszych pisemek, w nieskończonych przemowach. Panegirykami wsławili się głównie mistrze krakowscy, Bielecki, Biezanowski, Cyboni, Cynerski Rachtamowczyk i inni; na tem tylko polu pobili oni Jezuitów; szczególnie Biezanowski, który od tej pracy aż wzrok utracił, zato 150 panegiryków wydał. Najczęściej po łacinie, z tytułami niesłychanej długości, w stylu nieraz nakamiennym, winszując wszystkiego, zaślubin, ingresu na dostojęństwo, biretu doktorskiego, śmierci chwalebnej; po polsku niemal wyłącznie, jeśli mieszczan, Królików, Attelmaierów, Kłosowiczów i t. d. wysławiano, wierszem nader niewybrednym, np.:

O jako piękna tej pary jest cera,
Oberszter bierze córę obersztera i t. d.

Plon tych panegiryków wypadł bardzo rozmaicie: tak dostał Cynerski za dziewosłęb Olbrychtowi Radziwiłłowi, kanclerzowi, 60 dukatów, ale za takiż sam tej samej objętości (dla Czarnkowskiego i Lubomirskiej) próżno się trudził: cóż zrobisz z ludźmi, którzy jakby z urzędu pochwał wymagają, lecz w prawdziwej i uczonej chwale nie gustują, dodaje on rozżalony. Tego samego zakroju była wymowa polityczna i sądowa, tylko jeszcze bardziej łaciną narabiała. Występowano wprawdzie przeciw takim bigosom językowym, lecz sami krytycy, np. Opaliński, grzeszyli nie inaczej; oprzeć się zgubnemu zwyczajowi, grożącemu fatalnem zubożeniem języka narodowego, nikt nie myślał, i wżerał się ten nałóg coraz głębiej, ogołacał język ze swobody i naturalności słowiańskiej, a wciskał go w kluby nienaturalnego, klasycznego wystowienia i szyku słów, z czego język nasz do dzisiaj się nie otrząsł zupełnie. Jedyna wymowa kaznodziejska nie uległa temu zepsuciu; mając przed sobą kobiety i lud prosty, wahał się ksiądz przynajmniej na kazalnicy przed tą obczyzną. Również do poezyi „makaronizm“ przystępu

nie miał, i dziwne to sprawia wrażenie, że poeta, najświetniejszą polszczyzną w wierszu swobodnie władający, w prozie np. listowej i pół zdania polskiego bez łaciny skleić nie potrafił, np. taki W. Potocki — jak przed nim Jan Kochanowski.

Ze szkoły więc wynoszono tylko łamany język i dzikie pojęcia o równości obywatelskiej, o przodków cnocie starorzymskiej i o ich wierze niezachwianej. W szkołach jednak zbyt długo się nie bawiono; przechodzono rychło na dwór pański lub do palestry i tam nabierano poloru życiowego i wprawy do pieniactwa; trzymając się klamki pańskiej, posuwano się dalej, brano udział w życiu politycznem, gardłowano przeciw królowi i dorabiano się estymy obywatelskiej; tak bywało w czasach głębokiego pokoju za Zygmunta i Władysława, za Michała i Jana; dopiero za Jana Kazimierza przerwały się błogie czasy, i „taniec Rzeczypospolitej“ był tańcem krwawym, marsowym; w kampaniach Sobieskiego pospolite ruszenie i Litwa wcale udziału nie brały. Czas trawiono na gospodarce prymitywnej, bo pracą darmo opędzanej; na rozrywkach, również prymitywnych, bo wilkumami, pełną, kolejną, strzeziennemi, podkurkami głównie zaprawianych; zresztą procesowano się, dyscyplinowano, poszczono i politykowano; polor towarzyski XVI wieku zaczął się zacierać, nauka i wykształcenie upadać. Ustawy nawet wyjazdy zagraniczne dla studyów; młodzież, nawiedzająca niegdyś tłumnie Padwę, mistrzowie, opuszczający Kraków gromadnie dla Włoch, zjawiali się teraz coraz rzadziej, ale i zakłady niemieckie, w Ingolsztadzie dla katolików, w Heidelbergu dla protestantów, nie ściągały już liczniejszych gości. Magnaci tylko, dla względów towarzyskich, odbywali pielgrzymki po dworach obcych; młodzież szlachecka z zagranicy nauki właściwej nie wynosiła i w sarmatyzmie domowym ścierała niebawem ślady cudzoziemskie. Za to wydobywa się na wierzch powoli kobieta; przy coraz niższym stopniu ukształcenia męskiego przyrodzone jej dary nabierały coraz większej wagi; przykład dworski, francuski, zaczynał coraz bardziej działać, nie przemijająco, jak za Bony; od królowych począwszy, od Ludwiki i Marysieńki, po dworach i dworkach, obok trzech stanów koronnych, zaczęły one nowy, czwarty, formować; one czytają, choćby romanse francuskie; piszą, nie tylko rzeczy ascetyczne i gospodarskie; nadają ton posiedzeniom towarzyskim; już liczy się literatura z tą Rzecząpospolitą domową; najpierw szydersko, skargi ich na mężów, artykuły nowego porządku formułuje, petycje panień-

skie do sejmu przedrzeźnia (o młodszych mężów, dłuższe ich wcześnie i t. d.), fortele białogłowskie i adwizy koła panińskiego odsłania i przynosi, aż w ostatnich dziesiątkach wieku coraz ostrzejsze inwektywy na mężczyzn, babożeniów, liczykrupów, piecuchów wytacza.

Powoli, niepowstrzymanie obniżała się kultura staroszlachecka. Bystrzy spostrzegacze już na początku wieku uderzali na alarm, taki Szymonowic np., dla którego „wiek ozdobny“ już do przeszłości należał — Jana Zamojskiego cały wiek XVII wykazać nie mógł, człowieka, w którym nie wiedzieć co więcej podziwiać, czy wszechstronność umysłową, wiedzę rozległą, smak wytrawny, troskliwość o nauki, czy pracę, skoro na nim hetmańskie i kanclerskie sprawy, obrona Rzeczypospolitej i zarząd dóbr olbrzymich spoczywały; nie dorównał mu nawet orzeł tak wysokiego lotu, jak Żółkiewski, najbliższy mu duchem; tem mniej który z protestanckich Radziwiłłów. Skarłała i „akademia“ Zamojska i sam potomek hetmański, gdy Jana nie stało; akademia zesłała w końcu na równie źle uposażoną kolonię, jak jej macierz krakowska, gdzie mistrzowie z zaparciem własnej osoby ubogi żywot kołatali; zamiary fundatora spełzły, i szumny tytuł krył niebawem próżnię materyalną i umysłową; syn i wnuk wyszli na najzwyczajniejszych śmiertelników. Więc nie dziw, że Szymonowic, dedykuje Wolskiemu sielanki:

 żeś ty prawie:(całkiem) sam z grona onego
Ludzi chędogich został, którzy ozdobnego
Wieku kwitnęli,

a na innem miejscu skarży się:

 wszystko się pomyka
Na dół, zginęli dawni dobrze kantorowie.....
..... jakie dzieje, takie pienie.

Nie mniej ucierpiała kultura polska na zaniku, również niepowstrzymanym, mieszczaństwa. Mieszczaństwo polskie, krakowskie przedewszystkiem, dziwne przedstawia koleje; jeśli zazwyczaj twierdzą, że krzyżowanie ras wydaje znakomite rezultaty, to przykład tego mieszczaństwa uczy przeciwnie. Póki było niemieckiem, było rządne, czynne, gospodarcze, przedsiębiorcze; gdy spolszczało, straciło te przymioty, a spotęgowało wady; nie przyjęło polskich

cnót, dążenia do niezawisłości, wybijania się nad gmin, rozmachu, bystrości, ale zaraziło się lenistwem, opieszałością, optymizmem niewzruszonym, życiem nad stan, obojętnością dla spraw ogółu. I nie obroniło ono — prócz Gdańska — swego stanowiska, nie opierał się na niem król, nie wywalczyło sobie miejsca w Radzie koronnej; tam dostawały się spanoszone jednostki, Bonery, Morsztynowie, Szembeki; ogół sarkał na obcych przybyszów, na Włochów, Delpaców, Cetysów, Dzianotych, na Żydów, Szołów i Ormian, ale nad próżne skargi nie zerwał się do niczego. Ekonomiczna polityka szlachecka, wyłączna ochrona gospodarstwa wiejskiego, rujnowała mimowoli mieszczan, narażonych i tak od dawna na straty, skoro handel tranzytowy, główna podstawa potęgi finansowej Krakowa i Lwowa, nowe obierał szlaki; uwalnianie szlachty od opłat, ubożenie przemysłu i handlu domowego na korzyść obcych, Włochów i Szołów, wabienie ich formalnemi premiami do kraju odbiły się ciężko na mieszczaństwie polskiem.

Przeniesienie stolicy do Warszawy — w Krakowie królów już tylko koronowano i chowano — dobiło starą stolicę; Lwów, chociaż jego handel i tak był zmalał, skoro wielki szlak na południe opustoszał, w wojnach kozackich i tureckich zginął do szczętu; wielkopolskie i podgórskie miasta niszczały za Szweda, ale gorzej grasował wewnętrzny nieprzyjaciel, szlachcic, sprowadzający i wyprowadzający towary bez cła, wraz z duchownymi nabywający nieruchomości miejskie, wolne od ciężarów miejskich. I ubożały miasta, upadały cechy, waliły się wieże i mury, kwitnęło pijaństwo, ciemnota, przesady, wiara w czarownice, w Żydów, hostye przekuwających i krwi dziełek chrześcijańskich pragnących. Co mogło, zapierało się bytu nędznego, podszywało się pod szlachectwo, przybierało nazwy na — ski zamiast odojcowskich na — ic, z *genere sus* darło się na *generosus*, na co lekkomyślność szlachecka przez szpary patrzyła; wyjątkowo trafił się w ziemi krakowskiej, gdzie najgorzej się działo, stary Trepka - Nekanda, który bez litości z aktów sądowych, z informacji prywatnych, z badań osobistych wielką „księgę chamów“ (*Liber Plebeianorum*) w porządku alfabetycznym ułożył, gdzie każdego, od najwyższych, od Betmanów, Bonerów, Morsztynów, Szembeków, od Górnickiego (Łukasza), Cetnera, Szlichtynów i t. d. aż do najniższych, do żaków krakowskich, rodowody ich od jatek, szlichty (tkackiej, nie szlachty) i bułek, od cepów i łopaty wywodził, „szlichciców“ tych wytykał, gromadząc niewyczerpany

zasób rysów obyczajowych i portretów dla przyszłego czy badacza czy powieściopisarza.

Tak uciekały z mieszczaństwa jednostki, energiczniejsze, ruchliwsze; stan sam coraz niżej upadał. Przed swoim ostatecznym upadkiem jednak przysłużył się on walnie literaturze narodowej i, jak po mieszczanach niemieckich zostały pomniki materyalne, po farach i sukiennicach, tak i polscy, choć w literaturze, zaznaczyli swe myśli i czucia.

Szymonowic wprowadzie za takiego ich reprezentanta ledwie uchodzić może; nadto to natura wyjątkowa, zorganizowana delikatnie, uczony i poeta, i, choć w lwowskiej atmosferze, w dostatkach ojcowskiego domu wyrósł, z miastem, z jego zgiełkiem, z coraz widoczniejszym brakiem umysłów wyższych, kulturalnych, nigdy się nie zżył i chętnie Lwów na Zamość wymieniał. Wytrwały piewca osoby hetmańskiej, wcielonego na ziemi ideału jego, po śmierci mecenasa narażony na kolizye i rozczarowania i z opiekunami, i z wychowankiem, przecież do Lwowa nie wrócił. Uczony śpiewak muzom łacińskim nie sprzeniewierzył się nigdy; Pindar chrześcijański próbował i w XVII wieku, jak dawniej, swych sił w panegirycznych nieraz odach i hymnach i w nowej, jeszcze mniej dramatycznej tragedyi, „Pentesilei“, ciekawej wyborem mniej zwykłego tematu i myślami o emancypacyi kobiecej; jak Sarbiewski, zbierał za to poklaski od zagranicy, która jego „poematy złote“ drukowała, chociaż w kraju tak mało o nich wiedziano, że nawet Jezuita, Inez, nieprzepominający Klonowica, o Szymonowicu milczy — jeszcze w XVIII wieku zachwycał się nim i przedrukowywał go Durini, legat papieski. Tem bardziej ceniono polskie jego wiersze, mianowicie „Sielanki“, wydane roku 1614 poraz pierwszy i w ciągu wieku osiem razy przedrukowane, albo jego „Nagrobki zbieranej drużyny“, które inni chętnie naśladowali — rodzaj bajek, w czteru wierszach nagrobku układanych. Sielanki Szymonowica zapisały się w dziejach literackich wieku tak, jak przekład Tassa Kochanowskiego; od nich wyszedł cały rój sielanek i sielankopisarzów, na nich wzorowali się Zimorowice i Gawiński i ktokolwiek sielanki pisywał, „idąc Symonidowym niedostępnym śladem“.

Jego sielanki wzorowały się na starożytnych, na Wirgiliuszu i Teokrycie. Czasami były to tylko tłumaczenia czy naśladowania wierne i właśnie takimi cały zbiór umyślnie rozpoczął, jakby chciał czytelnika oswajać z nową formą, po polsku dotąd niepraktykowa-

ną. Czasami przebierał on pomysły własne w formy pożyczone, jeśli np. jego Thyrsis w sielance „Rocznica“ *Daphnisa*, t. j. Zamojskiego wystawiał; po takich właśnie sielankach najczęściej aluzji do społecznych wypadków, których bieg przekonanego Zamojszczyka, co w Lutni rokoszańskiej o łaskę i pojednanie do króla wzywał, bynajmniej nie zadowalał; tu wypowiadał poeta własne ideały, bronił siebie i swe ciche, jasne Muzy:

kto was (Muz) nie ogląda,
Nigdy ozdobnym, zawsze wzgardzonym być musi...
Najszczęśliwszy, kto z wami do śmierci wiek trawi;

bronił swego sposobu tworzenia, w którym go, w całym XVII wieku, jedyny Łukasz Opaliński świadomie naśladował:

Zazdrość mówi: nie mistrz to, co po trosze śpiewa
I co się, jako morze, z pieśnią nie wylewa...
Wielka egipcka rzeka wiele błota wlece
(a pszczołki Himetu) Z małych się a przezornych strugów napijają¹⁾.

Jeden z jego najszcześliwszych, najprawdziwszych zwrotów nadaje się niestety, jako motto, tym czasom i następny, gorszym jeszcze, gdy mowa o gnuśnych i nikczemnych:

którzy radziby *zgasili*
Słońce na niebie, a tym błędy swe pokryli.

Najudatniejsze są te sielanki, w których mitologię i starożytnych rzucił i zwyczaje szlacheckiej Rusi i niedolę ludu wiejskiego opiewał. W „Kołaczech“ już sam początek, po wszystkich Najadach i Adonisach, dziwnie za serce chwycił swojskością, niewymuszonością, prawdą:

¹⁾ Podobnie zresztą i Zimorowic o sobie, nie całkiem bez racyi, twierdził, że kto inszy

sto wierszów w godzinę na papier wyleje,
A ja z gospodarnemi pszczołami na łące
Auzońskiej ledwie z kwiatków co soku wysącę.

Srocza krzekce na płocie, będą goście nowi.
Srocza czasem omyli, czasem prawdę powi.
Gdzie gościom w domu rado, srocze zawsze wierzą,
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerą;

srocza nie omyliła, jadą goście weselni; następuje opis ślubu aż do śpiewów i rozdawania kołaczy. Inne tło mają „Żeńcy“: żar lipcowy, pod którym Olucha i Pietrucha przy sierpach omdlewają, skarżąc się na srogiego starostę i nahajkę jego, na gospodynię jego, która go na ludzi szczuje, złorzecząc mu — w te skargi wstawione pieśni z owym napiewem:

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego

lub:

Naucz swych obyczajów starostę naszego,

poczem typowe zakończenie słowami starosty:

Pietrucho, prawieś mi się sianem wykręciła;
Ta nahajka mocno się na twój grzbiet groziła.
Kładźcie sierpy, kupami do jedła siadajcie;
W kupach jedzcie, po chróstach się nie rozchadzajcie.

Odmienny, popularniejszy, niższy typ przedstawia **Bartłomiej Zimorowic**, nie poeta ani uczony, mieszczanin, oddany z zapałem chwale i dziejom grodu lwiego, poświęcający w krytycznych chwilach mienie i życie na jego ratunek, dzierżący ostatni a chlubnie sztandar miejski w szeregach literackich. Najzwyczajniejszy był jego rozwój duchowy; zaczął, jak mieszczenie, od erotycznych i satyrycznych wierszów (na lisowczyków, na lutrów); próbował się w hymnach religijnych i wierszach panegirycznych, po polsku i po łacinie, aby, jako poeta polski, sielankami zakończyć, poczem jeszcze długo i wytrwale historyk łaciński troistego miasta (ruskiego niegdyś, niemieckiego potem, nakoniec polskiego) dzieje, instytucje, mężów sławnych, klęski badał i opisywał, w nadto wyszukanej, umyślnie zawilej mowie, Tacyta na gruncie lwowskim parodując. Jego sielankom brak spokoju i wytworności Szymonowicowej; i czasy, i okoliczności nie były już po temu; widokrąg obniżył się i ścięsił, ciąży na nim dewocya, choć szczerą i głęboką; język pstrzy się nieraz od rusyzmów, chociaż nabiera przez to samo

cech lokalnych, gminnych, którychby wykwinął Szymonowic unikał:

Tak ja swe kąty chciałem odrysować pieniem...
Idąc Symonidowym niedostępnym śladem,
Bywszy jego i ziomkiem i blizkim sąsiadem.

Miłość ku Lwowu i jego „lanczawtom z uciesznym wejrzeniem“ przebija wszędzie; więc obok ciężkich klęsk jego nie przejdzie obojętnie, wyśpiewa je w „Kozaczyźnie“ i w „Burdzie ruskiej“, gdzie się nawet mieszczanin nieśmiało odezwie o przyczynach dopustu Boga, który chciał

Zbytکم Roksołańczyków (szlachty) dumnych przytrzeć rogu,
Aby łacniej ukrocił umysły ich harde
I odwetował *prostych* odrzutek *pogardę*...
Do takiej nas niewoli *zbyteczne swobody*
I *łakomstwo* przywiodło do tak znacznej szkody.

Zimorowic kładzie nacisk na religijną stronę tych walk; pierwszym hasłem Chmielnickiego pod Lwowem było: strach Boży bije Lachy, a o sobie Chmiel mawiał: trudno ja rękę Boską mam hamować,— i smętnie dodaje poeta:

o *wiarę wojują! cóż będzie po wierze,
Kiedy się pokolenia ruskiego przebierze?

Oprócz historycznej przebija u Zimorowica o wiele silniej i indywidualna treść, własne przejścia, smutki i radości, za przedwcześnie zmarłym bratem ukochanym i natchnionym śpiewakiem, za pierwszą żoną, której wpływ moralny wysoko cenił. Przeważa, w porównaniu do zakonnego żywotu i usposobień Szymonowicowych, nuta erotyczna: wdzięki miłości i oblubienicy wyśpiewały były już Roksolanki, t. j. ruskie panny, brata **Szymona**, zmarłego w dwudziestym roku życia, nader obiecującego; perypetye miłości, żale, zazdrość, rozstanie, niewdzięczność, wierność sławił wiersz jego nadzwyczajnej gładkości, narabiający nieco zanadto motywami antologicznymi i mitologią. I sławetny rajca lwowski od erotyków nie stronił, ale lata i doświadczenia wyziębiły zapały i stale zjeżdżał p. Bartłomiej z opiewania wdzięków miłości na morały i przestrogi, bo miłość:

Odwagi, ciężkie prace i nieznośne grzechy
Lekkim gwichtem odważa króciuchnej uciechy,
Sprośności swe, przypadki, utrapienia, maryl,
Piękną twarzą pokrywa anielskiej maskary.

Kunszt autora, jak z tego wyjątku już wynika, nie wielki, całe ustępy jego sielanek (np. w „Roczyźnie” skarga Dorylasa, szczególnie od wierszów „Ona to trąba, która kiedy krzyknie”) do kantyczek chyba i do Baki, nie do poezji należą; odbiegły od Szymonowica daleko. Jak Szymonowic, żeby się w konwencyonalnym tonie pasterskim utrzymał, maskuje siebie i swoich (Zamojskiego i innych), tak i Zimorowic utrudnia zrozumienie aluzji sztucznem maskowaniem; sam występuje jako Miłosz, Dorylas i t. d., i zdarza się, że nawet najdokładniejszego znawcę swych poezji w gruby błąd wprowadzie, np. Sielanka „Płaczennica” nie odnosi się bynajmniej do żony, lecz jest raczej odpowiednikiem do „Lamentu Gospodarowej Wołoskiej”, który po r. 1653 Zbygniew Morsztyn wyśpiewał. Najciekawsze jednak, to koloryt i zapatrywania na świat episyera lwowskiego. Mieszczkańskie jego gusty i mieszczańska ambicja (Szymonowic od obu wolny): on cieszy się ze swej wilegiatury dla jej zdrowia i t. d., a nadewszystko miasto „leżące pod bokiem”, co za wygoda najmniejszej osadzie, „która w sąsiedztwie miastu głównemu osiada”. Godni kumowie radzą mu do postawienia świątyni, on się kosztu boi, rzecz to pańskiej szkatuły; ale Samujło prawi: tać nie książęta ani panowie wielmożni, raczej z pospólstwa nasi przodkowie pobożni (św. Jura wystawili). Św. Jur nasuwa osobliwszą uwagę, dziwne forsowanie ruskiej nuty u Mazura - katolika Zimorowica! Czytając „Sielanki”, gdzie tyle razy mowa o Spasie, wieczerni i obiedni, o trużenikach, o knyszach, o Pałachnach i Paraszkach, o dniu Piątnic i t. d. pomyślałby kto, że to Polak prawosławny albo Rusin pisze (unii wtedy jeszcze we Lwowie nie było), i dziwnieby się z tem spierały np. takie „Przenosiny” (relikwii katolickich) i to co wiemy o Zimorowicu samym i o ówczesnym Lwowie, gdyby to nie pomysł poety, który w ten sposób *couleur locale* utworom tym nadawał, t. j. sielankom, jakie koniecznie sioła i „sieluszeki” (wieśniaczki) ruskie opiewać musiały: w innych dziełach ten sam Zimorowic o takiej *couleur locale* nic nie wie. I tu rozchodzi się on zupełnie z Szymonowicem, u którego chyba jakaś nazwa tylko, np. *Nais Purska* Roksolanię przypomni. Mimo tych usterek i dziwactw i skażonego znacznie smaku—barok wszędzie się wciska—

sama różnorodność tematów, większa niż u Szymonowica, i wdzięczne nieraz, często jędrne wysłowienie i cechy społeczne a miejscowe—jedną tylko sielanka jest całkiem obca, z mytu klasycznego wzięta, w innych tylko niektóre motywy z antologii wyszły — Sielankom tym, w porównaniu ze szlacheckimi, większe nadają i znaczenie i powab.

Szymonowicem i Zimorowicami, sielankami, nie wyczerpała się poezja mieszczańska bynajmniej; w mieście ostrzył się jej wzrok na wady i nieład i wyrobiła się żyłka satyryczna, znamieną już u Klonowica, którego Zimorowic podziwiał, chociaż nie naśladował. Przyroda jej nie zajmuje, za to ludzie, burkownicy, wyrwy, ktosie (złodzieje), szalbierze, na których sprawiedliwości nie ma; korektura ustaw polskich niezbędna, wołają poważni szlachcice, wtóruje im bakalarz **Jurkowski**, najnamiętniej w „Poselstwie z dzikich pól“, gdzie korzystając z fikcji w „Potrójnym“, wysyła na Podole Połoków (nie Polaków, t. j. pijaków), jaratyków, Żydów, judaszów, aby się „zła ojczyzna z dobrą rozstrzygnęła“; „zbołał każdy cnotliwy człowiek, patrząc na niekarność okrutników“ przemawia stary szlachcic do braci, a Jurkowski woła:

Już mówią sami, że nas wywiesić z połowę
Trzeba, chcieli mieć Polska całą zewsząd głowę!

Opisuje potem drastycznie ciągnięcie i szyk tych hufów, od „miłych karciać“ (Rusa, Turma i t. d.), taktyki i strategii ich ucząc. Satyrze polskiej, kręcącej się w naśladowaniu Kochanowskiego, tu się nowe otworzyły widoki, na satyrę groteskową, jak u Rabelais'go i Fischarta, przesadzającą karykaturami, wyliczaniem, stopniowaniem. Inne jego utwory są słabsze, chociaż i „Chorągiew Wandalinowa“ (t. j. „wiślnego bohatera“) gwałtownie na swawolę się rzuca:

Tak swawola, gdy z burdą korektę praw zwłóczy,
Już ojczyznę w śmiertelną koszulę obłóczy...
Karność, siostrę wolności, z Polski wyrzuconą,
Kto przywróci?

równie namiętnie i szlachecka satyra ledwo się odzywała, a nie skąpił on i innych przytyków, np.: „gdy Moskwę bić, toście w się sami uderzyli“, albo jak Turcy z chrześcijan szydzą: zawsze jedzą gorąco, oziębło wojują i t. d. I tragedia jego („O Scylurusie“), choć nieudol-

na, jako dramat, ciekawa dla intermedyów (np. scena Ktosiów z ich szwargotem złodziejskim) i dla tendencji satyrycznej i dydaktycznej; zapowiadał się widocznie większy talent, ale po kilkuletniej pracy wytrwałej (1604 — 1607) umilkł na zawsze.

Inni poeci mieszczanie tak wysoko nie sięgali; ich wiersze miłosne rozwadniały styl i motywy szlacheckie; fraszki za to i żarty albo komedye czerpały i z otaczającego życia, i tu są ci mieszcza- nie najciekawszi. Nie z literatury szlacheckiej dowiemy się, jak się żyło w warsztacie, kramie i cechu, jak się biedowało na kantoryi i bakałarstwie, jak służby po panach odprawiano.

Żałom tym i skargom, fraszkom i żartom brak nieraz zupełnie artystycznej ogłady, głębszej myśli, większej różnorodności, lecz brak finezyi i artyzmu nagradza rodzimość tych słów, obrazów i myśli. Autorowie mieszczańscy zagranicą nie znają, Włochów nie naśladowa- ją, łaciną nie wiele usta pomazali, reminiscencyi klasycznych nie cenia, ani nie wyszukują; obcy im Pertrarka i Tasso, Aryost i Mari- no, Ronsard i Bartas; za to nuta ich rodzima, jędrna, staropolska; humor dosadny, ale własny; forma niewyszukana, ale swojska; po- dziwiają oni (i okradają) Kochanowskiego, ale stokroć im bliższy Rej, chociaż sami nigdyby się do „lutra“ nie przyznali; nie obce im żywioły ludowe, chociaż nie opuszczają stanowiska „łyka“, drwiącego z opitego „gbura“, z jego tańców i śpiewów, nie wnika- jącego głębiej w stosunki realne, tem mniej w duszę chłopca. Są oni wszyscy dobrzy katolicy, o lutrach tylko z przekąsem wspomi- nają, czasy „za heretyków“ należą u nich już do dawnej przeszło- ści; co gorsza, pogodzili się oni zupełnie z odepchnięciem stanu swego od życia i wpływu politycznego, nie aspirują do żadnej roli wyższej, nikną w szarym tłumie, sarkają na przewagę Żydów i ob- cych, na nadużycia szlacheckie, zagrażające ich dobrobytowi, na przywary chłopskie, na ogólną opieszałość i niedbałość. Za to ob- chodzą się bez panegiryzmu i „makaronizmów“; złota staropol- szczyzna przelewa się i mieni w ich niekunsztownych zwrotach, nie boją się oni przesady, parodyi, nawet rzeczy świętych nie uszanują, rubaszni, wszystko po imieniu nazywają i gorszą tem ucho cenzo- rów duchownych. Wawrzynów nie zbierają żadnych, nieznani ni- komu z imienia i czasu; *Januarius Sowizdralius*, Prawdzic Nie- drwił (t. j. Jurkowski), Jan z Kijan, Jan z Wychylówki, Jan Oleski, Jan Dzwonowski — toć niby autorowie, a czas oznaczony np. tak:

Tego roku kobyły piechotą chodziły.
Niewiasty cknęły bez jajec, że się nie zrodziły,
Ziemia się na ten czas trzęsła całe dwie niedzieli,
Kiedy ją chłop wziął na takach, toście niewiedzieli,

albo tak:

Spisany roku niedawno przeszłego,
Dnia pierwszej niedzieli niektórego miesiąca jasnomokrego.

A miejsce druku: w Oleśnicy na pacanowskiej ulicy i t. p.
Nikommu, albo raczej wszystkim przypisują swe karty, żartując z obo-
wiązkowych (wówczas) dedykacyi:

żebym ja miał chodzić od pana do pana,
Wychodził-bym nogi do same kolana...
Przyjmijcie od Sowizdrzała, najmiłsze sowy,

zwracając się do „kwiczelnika (czytelnika) paskudnika“ i t. d.

Okradają się też nawzajem niemiłosiernie: wiersze z kierma-
szu na Zawisłu (O pijanych ludziach) powtarza Nowy Sowizdrzał;
wierze o skąpym panu i Dedykację Operis powtarza Sejm Oleśnic-
ki z Sowizdrzałów i t. d.; niewyczerpani za to w conceptach.
Ośmieszają wszystko, od „Piętego Światra“ w niebie i jego macierzy,
aż do Nauk Potrzebnych do Rzemiosła, parodiujących nauki war-
sztatowe malarza krakowskiego, Franca Śmiadeckiego, który i poe-
zye biblijne wydawał w ślicznych obramowaniach. Patronem ich,
Sowizdrzał niemiecki, ale plugawego kumpana średniowiecznego
okrzesali i przebrali, złośliwość jego jowialnością zastąpili. Mia-
steczka podgórskie znają wszystkie i dziwy o nich opowiadają:

W Bobowej, w Ciężkowicach, są takie zegary,
Więc raz bije piędziesiąt, drugi raz dwie kopie,
Południe wtenczas, kiedy było z pola ryczy;

chleba próbowali ze wszystkich pieców, wracają najczęściej do
szkolnej mizeryi, boć np. jakież było ich podczaszostwo:

Kazano mi nalewać krowom we żłób wody,
Tom się i sam napijał, zawsze były gody i t. d.,

więc pielęgnują naukę na swój sposób, wykładają eklogi Wirgiliu-
szowe (Tityre, tu patule i t. d., Tyruśku szczeniátko a tyż to bż... na

Kubę — w *Colloquium* Jannasa Knutla z roku 1633, trzykrotnie wydawanym, autora Jana Łopeskiego, pisującego i wiersze pobożne) albo wiersze Katonowe, na których łaciny uczono, np. morał o skromnym darze ubogiego przyjaciela, który z wdzięcznością przyjąć należy, wyłożył Jan z Kijan tak:

Jeślić kto da wiercimakiem,	Przyjmi, choć cię boli szyja,
Nie swarz się z nim, nieborakiem,	Bo nie miał dłuższego kija

i t. d. Oni wydawali „Facecye polskie“, z różnych je autorów, choćby z Bokacyusza, zebrawszy, które pod coraz innym tytułem „Burleszki“, „Furfanterye dworskie“ i t. d. jeszcze i w XVIII wieku wydawano, a popłacały one nawet na Rusi moskiewskiej, która Sowizdrzałów jednak nie przyjęła. Domowe facecye, księdza Woronieckiego za króla Stefana, Stawskiego i in. zbierały „Siekanka“ i „Prażonka albo Nawara dla zabawki uczciwej drużynie“ (r. 1615, autor sarka na Szeligę, przedrukującego go bez ceremonii: ty drukarzu z Dobromila, potka cię nieszczęsna chwila i t. d.). Niewyczerpane to źródła staropolskiego humoru; okradali tych anonimów później i szlachta, i Kochowski i Potocki; czasem i szlachcic tu się zawieruszył, np. w „Biesiadach“ rozkosznych Baltysera z powiatu kaliskiego, ale „szycom“ (mieszczanom) nie dorównał. Tu objawił się ten humor staropolski, humor Pasków i Zagłobów, poraz pierwszy w literaturze: dla historii obyczajowości polskiej również to źródła pierwszorzędnej wagi: czy to w formie dramatycznej, jak „Synod klechów podgórskich (na szkolną nędzę), czy dyalogowej („Potkanie Jannasa z Gregoriasem klechą“ i t. p.), czy wreszcie w luźnych fraszkach i pieśniach i tańcach.

Taka np. „Peregrynacya Dziadowska“, zwłaszcza owych Jarmarczników, Trzęsigłowów i t. d. (1612, 1614), odpowiada „Tragedyi żebraczej“ roku 1552, tylko jeszcze obfitsza w rysy obyczajowe: autor podsłuchał „miłych staraków“ pod Pilznem w Jodłowej i wykrywa wszystkie ich nieczne praktyki, jak czarzą, guślą, zwodzą, oszukują, jak się wygodnie „gnarują“, ze szczegółami nadzwyczajnej drastyczności. Autor, świadom żebraków, świadom i chłopów i wyszydza mazowieckich, przedrzeźniając ich gwara, w „Komedyi o Wawrzku do szkoły i ze szkoły“, którego ojciec bardzo uczony, bo u Zegzułtów (Jezuitów) kęs nie cały tydzień studował, oddaje synka i chce, by w szkole „klorem“ został, ale

pierdolenie jego z kałamarzem bierze smutny koniec i ojciec zabiera nazad synka, żeby go nabdziszkołą nie zwali. Píše i bajkę śmieszną, Peregrynacyę Maćkową z Chodawki Kurpetowego syna, jak wędrował przez g.... morze aż na us.... świat z mendacją od p. Blujmistrra i drzystem od Rzycipospolitej, co widział i jadł, aż wrócił do rodziców, matka „jaz sie ozplakała uzrawsy mię i nanko (ojciec) takze, toć mię kuškali (całowali), daje ich Walantemu“. Inni później Mazura do Wilna wysyłali i co on się strachu po drodze najadł, a jak go w mieście okradli, znowu w narzeczu opisali.

Nie zapominali jednak ci żartownisie o smutnej rzeczywistości. „Jan Dzwonowski“ w Gęsiej wojnie sztydził z niepospolitego ruszenia, które niby pod Chocim ciągnęło, a tylko chłopów i gęsi ruszało i potykało się, ale w błocie! I dziś jeszcze na scenie niezłeby się wydała „Komedyja rybałtowska nowa“ (wydanie drugie, roku 1615), z chórami po każdej scenie: głodem trapieni klecha z kantorem i dzwonnikiem idą na wieś żebrać u zamożnego chłopca, któremu konfederaci — bodaj się nigdy nie byli z Moskwy wrócili — wszystko wybrali. Nadchodzi nowy konfederat i butnie rozkazuje, ale tamci zmówili się na niego i daliby mu „znaczną cięgę“, gdyby nie ów z Podola Albertus, co to choć sam zbrzydził sobie wydzierką (żołnierską) sławę i do szkoły wrócił, jednak towarzysza ratuje, pogodzeni rozchodzą się; kończy scena z czarującą (by nie straszyla) babą.

Osobną grupę stanowiły „Sejmy białogłowskie“, „Sejmy albo konstytucye domowe w Oleśnicy“ i t. d.; w tamtych przewodziły kobiety nad mężczyznami, dyktując im artykuły posłuszeństwa i hołdów, wydając proces konwokacyi z osobliwszą pieczęcią, naśladując polskie sejmowe porządki; niewinniejszy był „Sejm Oleśnicki“, żartujący raczej z głodnej Rzeczypospolitej (domowej), z rzemiósł i cechów. Naturalnie panował w tych pismach ton bardzo rubaszny, nieprzyzwoitości było wiele i ściągnęły na siebie te wiersze i proza groźną burzę: nowy biskup krakowski, Marcin Szyzskowski, wszystkie na indeks ksiąg zakazanych włożył, a oficyał dopilnował, żeby z palonych na rynku przez kata, księgarze w kramach innych egzemplarzów nie trzymali, i wyginęła ta literatura, skupiająca się najgęściej między 1612 a 1617 rokiem (późniejsze przedruki bywały coraz rzadsze) niemal do szczętu.

Do cechu takich pisarzy należał i miejski synek z Sambora, podszywający się później pod szlachtę, **Kacper Twardowski**,

co „trochy dowcipu na rytmy drugich gorszące rozpuścił“ i chciał je mimo zakazu biskupiego drukować, gdy go ciężka choroba powaliła, z której pobożnym autorem powstał, wydając natychmiast „Łódź młodzi z nawalności do brzegu płynącą“ (roku 1618), „żywot swawolny w łodzi pobutwiałej uwodząc od matni przekłętej na maszt zbawienny“ (Zbawiciela) i posypały się z jego pióra liczne, wcale udatne alegorye i wiersze pobożne; zarówno w „Łodzi“ jak i w „Pochodni miłości Bożej z pięcią strzał ognistych“ przedstawił on w losach pielgrzyma i strzelca, walczących z pokusami Kupidy na i innych, strzeżonych przez rycerza *Amor Dei*, pouczanych przez świątobliwego pustelnika, w snach i na obrazach, losy własnego odrodzenia moralnego. Wszystko należy do najlepszych okazów poezyi religijnej XVII wieku. W „Biczu Bożym albo krwawych łzach utrapionej matki Ojczyzny Polskiej“ sięgnął Twardowski wyżej, oskarżał zniewieściałe i kupczące szlachectwo, ociągające się do służby wojskowej, nie nagradzanej jak należy, i wciągające do kraju bezbronnego łupieżców tatarskich, którzy „już kuczańskich i czarnych kątów (szlaków) zaniechali, a — bodaj i załsnęli — nowe wyszperali“; wymownie nawoływał do skrucy, żądał od szlachty, by „szlachecko żyła“, nie „wrzeciona się jęła“ — więc po pogromie pilawieckim przedrukował Pruszc ten Bicz, „dziewięcią tylko wierszów akomodując“ go nowym czasem (1649). W kołędach i t. p. uderzał Twardowski w tony swojskie a rzewne, tak samo w Bylicy świętojańskiej, w Gęsi świętomarcińskiej i t. d. — z epikiem wielkopolskim, Samuelem Twardowskim, nic go nie łączyło, chociaż Inez ich mylnie braćmi nazywał.

Jedna z najdrastyczniejszych ramot mieszczańskich, przedrukowywana nieraz, to „Nędza z Biedą z Polski idą“: mór i głód trapił wioski i miasteczka, niejeden cnotę nawet zastawić musiał i jej dotąd nie wykupił, ależ zawitała nadzieja (po roku 1630), „pałuby niecnotliwe“ odeszły precz — urodziły się one, gdy, gorzej jak w Turcyi, zaczęto „heretyków i wiary po kadłubach macać“, tak że teraz „Lutra w Polsce nie pytaj“, stanowisko odmienne od braci sowizdrzalskiej. Spotykają się Nędza i Bieda z chłopem, który je odgania; z Dyabłem, następuje wymiana zdań o rozmaitych dyabłach,

pięknyć dyabeł niemiecki i foremny, sztuczny,
jedno nazbyt poważny, a do tego bucny,
ruski zaś gamratliwy, ba i wnet ukradnie i t. d.,

boć Rusin od ruszania nazwany, polski zwinny, zuchwały i zabawny i t. d., on też wraca do swoich miłych Polaków, sprawiwszy sobie nowy rejestr na nich; jak to nam pójdzie, szczególnie w dzień ostatni:

Strasliwy to czas będzie i gniewu srogiego,
Dzień gorczycy i czosnku, dzień chrzanu gorzkiego.
Drugi, płacząc, zakrzywi głowę na półmili i t. d.

— tak nawet *Dies irae* nie uszedł parodyom. Lecz wychodzi „goła“ (śmierć) i wszystkich straszy, spotyka żaka i rozbiera z nim ten sam temat, który Polikarpowi polskiemu w XV wieku służył, nawet z podobnymi szczegółami, acz krócej; żak prosi, by goła bogaczów zabierała, bo przy ich śmierci żyacy zarabiają — zresztą śmierci-by się nie bał, bo raz umrzeć musi, żal mu tylko Anuśki i dziewcząt, tak skorych

nakarmić, napoić szkolnego młodzieńca,
Koszulę dać i chustkę, nie wspominam wieńca.

Niebawem jednak zamiera cała ta literatura sowizdrzalska widocznie.

Najdłużej ocalała ona w formie zmienionej—w dramacie, w którym właśnie literatura mieszczańska najbardziej zaważyła. Stroniła od niego literatura szlachecka: swobodne życie po dworach i dworkach, rozrzucone, nie sprzyjało z góry sztuce, wymagającej największej koncentracji nie tylko myśli i formy, ale nawet — publiczności i aktorów, których chyba przypadek, festyn jaki zgromadzał. Mieszczanie - bakałarze, przeciwnie, już dla samej szkoły w dramatach ciągle się ćwiczyli; niestety, warunki dramatu szkolnego nie znosiły rozwoju, krępowanego rolami (chłopcy grywali wyjątkowe role kobiece) i wyborem tematu, odpowiedniego budującym i moralizującym celom szkolnym; stąd wynikała absolutna jednostajność, kręcenie się w kółku tych samych tematów z legendy, ewangelii, alegoryi, robota zupełnie rzemieślnicza. Ale literatura to nadzwyczaj bogata, chociaż z niej właśnie nie wiele ocalało: dramatów tych nie drukowano; rozdawano widzom sproszone drukowane ich scenarya, po łacinie i polsku, streszczenia króciutkie sztuki samej, „synopsis“, czy jak je tam nazywano. Na najprzeciwniejszych końcach Rzeczypospolitej, w Gdańsku i Kamieńcu Po-

dolskim, w Krożach i Krosnie, w szlacheckiem kolegium jezuickiem i w miejskiej szkole protestanckiej, to samo na ten sam ład grywano. Nas — a prawdopodobnie i widzów XVII wieku — zajmuje dramat bakalarski mniej „tragedyą“ i jej chórami, jak raczej intermedyami, wstawianemi dla rozrywki widza, nietylko w widowiska karnawałowe, scenami komicznemi, dramatyzowanemi anegdotami, facecyami, monologami, z życia chłopów, Żydów, cyganów, Kozaków, Niemców-kolonistów, Mazurów, zbiegłych uczniów, głodnych dworzan, komesów na Wątorach, a choćby dyabłów, czarownic, ostromędarzów (astrologów), medyków, żebraków. Temat może być obcy, wzięty ze starej, jak świat, powiastki czy alegoryi, ale ubrany on w formę rubaszną, domową, staropolską, tak, że się nią dosyć nacieszyć i ubawić nie można; sowizdrzałskie nawyki muzy mieszczańskiej rozpasły się w tych „intermedyach“ nie gorzej, jak w owych „Nowych Sowizdrzałach“, „Prażonkach“ i t. d., i dlatego należy cała ta literatura do mieszczan polskich, choć się między nią i jaki szlachcic zapłącze (np. Jezuici Rudnicki i inni, wstępujący tylko w ślady mieszczan - jezuitów, Knapiusza, Skargi i innych), albo sztuka sama przeznaczona dla festu szlacheckiego, np. Baryki „Z Chłopa Król“. Sowizdrzałów mieszczańskich naśladowali Jezuici nieraz i w swoich pamfletach przeciw innowiercom, czy to ministrowi Burchardowi kark ukrećali czy też nowego Iksa Lutermachra w Wilnie sześcioma językami witali.

Aby czytelnikowi wystawić literaturę, której produkcyę nie dziesiątkami, lecz tysiącami liczyć należy, wystarczy streszczenie kilku takich „dramatów“ z przeciwnych końców Rzeczypospolitej. „Tragedyę o bogaczu i Łazarzu“ dedykował roku 1643 senatowi gdańskiemu niewiem kto, prawdopodobnie ks. Jan Guliński, kaznodzieja i profesor języka polskiego w gimnazjum gdańskiem. Po wstępnej kantacie i prologu (z obowiązkową prośbą do widza, aby nie tęsknił,—„nic nie zabawimy“) występuje bogaty ów młodzian, Candidus, osierociały świeżo, którego Liberius i Mundanus do życia świata wzywają,

bo wierę nieprzystoi takiemu panięciu
obrazków polizować, jakoby żaczęciu,
lepiej ci się obrazom żywym przypatrować...
zaprosimy fraucymeru, niech muzyka graje;

w alegorycznej scenie łowi Kupido serca na wędkę. Następuje intermedyum o ojcu pijaku i synu szewcu, ojciec przepił pieniądze za buty i z obawy przed synem umarłego udaje, gdańskie karczmarki odmawiają za duszę jego psalterz nadobny:

O mein lieber, komuż relinquisti szwarcbier...
Jam kaczmarki sind traurichen,
Iże pozbyły sein liebichen
Própterea za twoję duszycę
Klingili faciunt w sklenicę...

ale syn poznaje fałsz i zmusza ojca, by odprzysiągł się pijaństwa, co ten na Jowisza czyni w stylu, parodującym znakomicie mitologię, przed wszelkimi trawestiami późniejszymi Scarrona, Blumaëra i innych:

Proszę cię przez boginie wszystkie, które w niebie
Bródkę twą rozczesują, siedząc podle ciebie,
Mój mościwy Jowiszu w papuciach złocistych i t. d.

Na Kandyda zastawiają sieci świat i dyabeł, i on im pewnie nie ujdzie. W drugim intermedyum kuchmistrz targuje kota w worze u Kaszuby, wita go:

A nasz ci to Sobieraj, jakoż się miewacie?
Kaszuba: Dziękują Waszoc, pyszno, lecz kakoż mę znacie,

prawiać wszystko w narzeczu swoim; oszukawszy go, ucieka a kuchmistrz:

Patrzcież złodzieja chłopą, a dze chłopaturo,
Nagrodzęc to za czasem, psia ty kompaturo!

Kandyd brnie coraz dalej w rozpuście i złości; przed Sprawiedliwością Bożą skarżą się w nowej scenie alegorycznej utrapione cnoty, najpierw czystość:

Rewerendy, kapice, purpury, szarłaty,
Magierki i z wieńcami, także szare płaty,
Wszyscy się już sprzysięgli, wszyscy się zmówili.
Jakoby mnie, ubogą Czystość, zadławili i t. d.;

przestrach zesłany na Kandyda w śnie nie upamiętał go, tem mniej upominania Łazarza, na którego się ofuknął: a kieby pysk stulić Bym ci go j... swą mater niekazał kijmi zbić... smrodzie wyjechany...

Jeszcze mię ślepym czynisz, zgniły psie śmierdziuchu,
A nie będziesz uczciwy, ty gnojku, piecuchu!

Lecz kara przyśpiała, Bogacz śpiewa: biada — i biadać nie przestanie;
chór końcowy — na temat marności świeckiej:

Wielkie dostatki, uroda i sława,
Wszystko zginęło, jako polna trawa,
Ciało pieszczone robacy szmerają,
Z ziemią równają.
Przeto gdy komu cne bogactwa płużą,
Niech one tobie, a nie ty im, służą,
Umiej ich zażyć, serca nie przykładaj,
W Bogu pokładaj i t. d.

Epilog dziękuje za łaskawe słuchanie i prosi o wybaczenie: „że mi niedostatek person zabroniło nie jednego”.

W tym samym Gdańsku wydrukował roku 1693 inny nauczyciel polszczyzny, M. P., „Historię o starym i młodym Tobiaszu“ w celach moralnych i w przedmowie zaznaczył, że już przed kilku laty ta „Historia“ przez wyćwiczone osoby do każdego aktu, mianowicie żaczki, kochankom języka polskiego miała być reprezentowana i t. d.; zamiast intermedyów daje on sceny z dyablami, popisującymi się połowem ludzkim.

Takie odgrywano sztuki nad Bałtykiem, nie inne na Podgórzu lub Rusi, chyba że Kaszubę Mazur, Białorusin albo Litwin zastępował. Oto „tragiedya albo wizerunek śmierci Jana Chrzciciela, na pięć aktów rozdzielone, przydane są i intermedya dwoje“ Jakóba Gawatowica Lwowianina, bakałarza krakowskiego, uczącego w Kamionce Strumiłowej, i tamże na jarmark na 24 czerwca (r. 1619) odprawowany. Tryb zwykły, prolog do „szlachetnych gości“, chóry; anioł wzywa Jana z puszczy na świat; dyabli, Kuflik, Garstka i Krzaczek, zamiast intermedyum, kuszą go napróżno i, gdy się im nie udaje, babę naślą na Heroda, który Jana uśmierci. Przemowy Jana do świata; Heroda o sobie i frasunkach swoich; dworzan, namawiających go ku dobrej myśli; Herodyady, wymyślającej martwej

głowie jeszcze; dyabłów, wyliczających swe przewagi obszerne, zdradzają u 20-letniego autora wyższe zakusy, którym później ksiądz proboszcz i kanonik lwowski, teraz już Gawatem przezywający się, nie folgował, tłumacząc chyba ascetyka maryjne i inne. Najciekawsze są oba intermedya, z chłopami z pod Kamionki, rozprawiającymi znakomitą ruszczyzną, dziwną wgotyckim druku, z Klimkiem bogatym i ze Steckiem, który mu kota w worze przeda, od słów Klimka:

Szczo tu ty, pobratyme, sobie porablajesz,
Każy myni, jak żywiesz ta i jak sia majesz?

Stecko: Ja tu nie robłu nyczoho, Oś idu do domu swoho i t. d.;

podobnie w drugim — z wołowcami głodnymi i jednym pirogiem i kto z nich go zjadł. Są to najlepsze i najdawniejsze próby ruszczyzny ludowej.

Ale ten sam dramat opracowywali niezliczeni inni bakałarze, np. w rękopisie Załuskiego z dyalogami mamy taki sam, tylko że krótszy znacznie, że dyabli się tu Wąglik i Cudzik nazywają, że cztery akty, nie pięć, a w epilogu, gdy Gawatowic, mając myto od Reginy Żółkiewskiej, z gośćmi mile się zegnał, nasz bakałarz o datek upraszał:

Małom też nie przepomniął w ostatniej potrzebie

Prosić, byście sprawili, łaskawi panowie,

Pogrzeb (św. Janowi...). Lecz, by wam ciężko nie było, od was od-
[bierzemy i t. d.

Z Janem św. sprawił się ten anonim krótko, tem obszerniej wystawił „Dyalog na Narodzenie Pańskie“: scena z pisarzem poborowym Cyrynusem, marznącym srogo, a czekającym wypłaty poborowej, ze szlachcicem, chłopem najgłępszym, z Józefem, szukającym gospody, jak go baba „obiesiu“ nazywa i kijami traktuje, z pastuchami Maścibrzuchem, Nierobotem i Drzemałą, z dyablami Kopci-dymem i Klekotem, należy do lepszych całego repertuaru żakowskiego; kończy prośbą do słuchaczów, aby „nas dobrą na ten czas kolędą uczcili“.

Oto próbki z kilkudziesiąt rękopisów i druków; najliczniejsze są tylko scenariusze; wymienię choć jeden, nie zapisany w bibliografii Estreichera: Summa komikotragedyej na historyą żywota św. Stanisława patrona i t. d. przez ks. Mateusza Jagodowi-

cza, kanonika poznańskiego Imćp. Stanisławowi Baryczce, wójtowi warszawskiemu przypisanej... na dzień święta jego w Warszawie na Nowym Mieście wystawionej roku 1633; trzy akty z chórami i z intermedyami po każdym akcie, chociaż z reguły po ostatnim akcie intermedyów nie dawano; treścią ich: rozmowa wieśniaka z żołdakiem o rozbicie syna; Pluto ze dwunastą swego towarzystwa wychodzi (dla słuchania liczby z obławów na świecie—a więc naśladowanie „Sejmu piekielnego“); człowiek potępiony narzeka i t. d. Summary komedyi o założeniu akademii krakowskiej brózdził długo w literaturze, ponieważ na nim mylnie rok 1537, zamiast 1637 wystawiono. Szkolarska ta poezya, dramatyczna, jak i panegiryczna, wczesnie przekroczyła granice polskie: kolegium Mohilańskie w Kijowie przejęło je bez zastrzeżeń; Kijów drukuje panegiryki Mohiłom i Mazepom i po polsku, nie tylko po cerkiewnemu; „dIALOGI“ wystawia ruskie wedle recepty jezuickiej, a z Kijowa powędrowały one dalej na Wschód, i w dalekim Rostowie odprawiał podobne bogobojny metropolita rostowski, Dymitr, i kwitnęły one na Rusi, gdy już odkwitały w Polsce, gdy rubaszość i prostotę ich „regularnymi“, klasycznymi tragedjami Konarskiego i Jezuitów zastępowano; do ostatnich ruskich należą np. „Interludia“ z roku 1736 i 1737 Dowgaleskiego, gdzie się Kozak nad Lachem i Żydem (żysiu!) mści, a z Litwina śmieje, co go zagadnął:

ha! ha! kabuźnik, o pczołkach czy znajesz,
w mszaniku (ulu) jost skolko, czy whadajesz i t. d.,

żart, który jak z Hercena wiemy, w historyi statystyki rosyjskiej się uwiecznił.

1
Między dyalogami tymi wiele strasznie lichych i nudnych, taki np. bakałarza Pawła Świętkowica, co później różnych ascetyków próbował, „Drogi Herkulesowe albo dyalog o jednym młodzieńcu, obierającym stan Żywota swego“ (roku 1608), witający gości „Okazała Korono, przezacne osoby“ i t. d., upraszający na końcu znowu o pieniążki na pogrzeb, bo młodzieniec ów, Myślobiecki, umarł, nim się zdecydował, za kim się udać, czy za przywrzałą swywołą, czy też za rozkoszą niebiańską. Wyróżnia się w tej literaturze Scilurus, bakałarza **Jana Jurkowskiego** r. 1604, nie tyle dla kreślenia trzech „stanów“ (żołnierza, gacha i filozofa), ile dla znakomych intermedyów, szczególnie owego o „głupim śwędrze“ Orczy-

kowskim, jego żonie „hardozbytnej i pysznostrojnej niewieście“ i o studencie - pedagogu; Orczykowski szuka za drogie pieniądze kawalkatora do koni; żona, strojnisia zresztą, tym razem radzi, by na dzieci, na pedagoga koszt tenłożył, dla Wosia, Stasia, Zysia, Grzesia, Krzysia, Piesia, Pasia i innych, z których jeden będzie biskupem — z takich rojeń żartował już Rej niegdyś; więc Orczykowski, co dla koni dwieście dukatów chciał poświęcić, za kopę pedagoga najmuje, wzdygającego się przed dworem pańskim, gdzie w większej cenie, niż uczony,

kuglarze, pasorzyty, głaszczouchy łośskie;

żąda dla siebie 20 dukatów, tracąc swą wolność, którą mu Orczykowski wszelką pozwala: wolny bór ptaków słuchać, wolno ci głódować i t. d., za takie pieniądze będę miał konia turskiego—dwuch, mówi student, jednego kupnego, a drugiego domowego!

Najlepsza „Z Chłopa Król, komedia dworska“ **Baryki**, wystawiona na dworze pańskim po koronacyi Władysława IV przed wielu gośćmi w zapusty, a r. 1637 do druku podana. Zamiast prologu występują myśliwiec z Piwowskim, dworzanie; izbę obito kobiercami, więc pyta ów, co tu będzie, a Piwowski opowiada treść, żałując, że akcja nie po plecach dworskich, dla jej wystawienia należytego trzebaby studentów krakowskich albo włoskich komedyantów—a naszy jako długo i gdzie się uczyli? niech się tylko komedia spodoba widzom,

Bo już drugi zapomniał, jak dawno był żakiem,
A drugi się urodził tak pono kozakiem;

tak to komedia i żakostwo nierozłączne były kiedyś, i w spółczesnej literaturze częste są wzmianki tego rodzaju. Baryka, nie Gawiński, przerobił na komedję pierwszą anegdotę „Facecyi polskich“; dla żartu żołnierze pijanego sołtysa, jak króla, ubierają i czczą, a gdy ponownie pijany zasnął, zdejmują zeń drogie szaty i kto na niego przedtem wotował, będzie nań teraz wo..... Znakomite tu sceny wojskowej drużyny sieradzkiej, zmęczonej po utarczkach z Gustawem Adolfem, co na wiosnę znowu „witezować“ będzie, pp. Żyburowski, Kwasipiwski i t. d., Kozak Hryczko, co piwo i wódkę w kołczan, a ten w „horło“ wlewa, prezenty, jakimi „wsie wujko kozackie“ króla wita, któremu sie najlepiej „kostur dubowy“ podoba:

dajże go pesztelenicy, pono cętnar waży. Rola sołtysa przeprowadzona znakomicie, w każdym słowie i ruchu; język pyszny, skarb dla gwaroznawstwa polskiego. Intermedya dobrane: służalec żywot żołnierski i obyczaje językiem maluje; w drugim Kozak Skoczylas Żydowi kij sprzedaje — oba tematy coraz po intermedyach odmieniano, np. w „chełmińskich“, które „Skoczylasa“ dosłownie niemal powtórzyły; w nich pyszny monolog Kuflewskiego z zacnymi przodkami, bo je na weselu polewką oblał, w takich dwuznacznikach wielkość rodu i majątku wysławiającego; inny dramat szkolny jezuicki całego „Z Chłopa Króla“ na intermedya porozrywał. Tematy, osoby, gwary najciekawsze; gdy np. Litwina na scenę wprowadzają, każą mu rz zamiast r; k zamiast ch wymawiać, np.

ak! jak szzogim sen jakić przerzaził mię strzakiem i t. d.

Mazur przekręca słowa, przynosi „biskupa dla księdza cietrzevia“ i „recki białe“ (owoce kokosze); Żyd mówi stosunkowo dobrze po polsku, jeśli nie z ruska zacina; Niemiec strasznie szwargoce i t. d. I tutaj druga połowa wieku coraz mniej nowych i trafnych rzeczy przynosi, powtarza i osłabia dawniejsze, w rutynę najpodlejszą wpadając.

Tak stała polska literatura dramatyczna mieszczaństwem czyli raczej bakałarstwem; lecz nie kończyły się tem wkłady mieszczańskie.

I wierszami miłośnymi zapełniali mieszczenie kramy księgarskie; oni to ulali ów „Dzwonek serdeczny, do którego się co żywo na głos zbiega, tak młodzieńcy, jako i panny“ (1620, piętnaście pieśni miłośnych, powtarzających się i w „Nawarze“, i dwie inne: „Pieśń o babie i o żaku“ i „Żal chłopski na złe lata“, wymowna skarga na upadek własny — z pieśni niektóre w ton gminny trafiają, np. Ojże, Ojże! kowalowa dziewczko, i inne; inne siłą się na włoszczyznę, np. jeśli kochanek pannę zawiezie:

Gdzie oliwne drzewa swoją bujność mają,
Gdzie cytryny, pomarańcze przypadają i t. d.);

ich wyrobem były „Wesoła ochota przy dobrej myśli, pieśni, tańce, padwany, balety, pieszczonej młodości gwoli“ od „Celestyna Bozdarzewskiego *equitem pedestrem comitem de Kijow*“, w r. 1647

prima aprilis, z licznymi „taneczkami“, sztucznymi o Kloryndzie i ludowymi, np. Tyś pan Jan, Tyś pan Jan, a ja panna Hanna, Tyś bogaty młodzieniec, ja uboga panna i t. d., lub: A gdzieżeś się: miły Maćku: zabawił i t. d., albo, Niebogoż Bietko, nie u matkić to Wygnać owieczki, a z parobeczki zawsze pozartować; niektóre z ruska: Pod lipoju stojała, Z mileńkim rozmawiała, Rusaja kosa, czernyje oczy, komu się dostać macie i t. d.; ostatnia (Biada teraz na żaki i t. d.) z przyspiewem „Pauperibus“ po każdej strofie wskazuje autora.

Jeden z najpłodniejszych pisarzy - mieszczan był Jan Dachnowski, choć się pod herb Ślepowron podszywał, pisarz olkuski (własnoręczne jego „lauda“ Ilkussiensa przechowała biblioteka Dzieduszyckich), nieznużony autor „lubomiłych rymów“ i pamiątek żałośnych, wdzierający się i w dzieła obce, a przy końcu życia z powodu kłęski pilawieckiej „Trąbę na rozproszonych do obozu przeciw Kozakom“ wydający. Cech pisarski, przedstawiony przez Pawła Świętkowica, Dachnowskiego i innych nie wyczerpuje się w tych epitalamiach, dyalogach o męce Pańskiej, kolędach; produkuje coraz nowe, coraz słabsze; tłumaczy i przerabia (np. pisarza wileńskiego St. Dyczkowskiego „Rythmo-filozofia albo zwierciadło żywota ludzkiego“, r. 1639, wiersze o śmierci, sądzie, piekle i niebie), lecz wybitniejszych talentów, choćby Jurkowskiego, nie wydał więcej. Duchowni jeszcze, wychodzący z tego stanu, najczynniejsi; są między nimi i ciekawsze osobistości, np. Lwowianie Bojmowie, obaj Jezuici, z których jeden, pierwszy i jedyny Polak, chińszczyznę znakomicie znał (misyjonarz tamże) i z literatury chińskiej dzieła medyczne tłumaczył; relacje jego chińskie wychodziły w różnych językach w połowie wieku, prócz polskiego; drugi, dzielny szermierz o „starą wiarę“, walczący z Gizelem, Gałatowskim i Baranowiczem. Albo reformat Klemens Bolesławczyk, którego „Przeraźliwe echo trąby ostatecznej“, r. 1670 poraz pierwszy wydane, aż do naszych dni przedrukowują: w sześć echach, poświęconych Chrystusowi, przerabiał autor wierszem polskim i najdawniejsze średniowieczne utwory, np. Philiberta spór duszy z ciałem albo „wizję rycerza Tundala“, Irlandczyka „wizerunek oczywisty mąk piekielnych“, dopełniając niby luki dawnej literatury; tenże i średniowieczną Chrystyadę Hondemiusza wierszem wyłożył i skrócił. I takich pisarzy i piśmideł nie przebierało się.

Ostatni, nawracający na dawne, ciekawsze tory, to Jakób Boczylowic, w Toruniu piszący, prócz zbiorów listów i mów (Wymowny Polityk), damom i miłości hołdujący, np. w „Łowach Apollina z dziewięcią dam parnaskich na sarmackim polu“ i t. d. roku 1694, gdzie „przy wytchnieniu po polowaniu“ Apollo różne tematy „damom“ podaje, rozprawiającym za i przeciw, poczem sam „konkluduje“, tematy erotyczne, jak sobie damy łaski kawalerskie zaskarbiają, jak swe tajemnice wydają, jakich wolą kawalerów i t. d., niektóre wcale dowcipne (np. jak z niczego coś powstaje), ale i draścycznie ułożone, z nie wykwinutymi rymami, np. gdy dama hożego Polaka ujrzy, „drży serce, pała jak w płomieniach kierce“. Nakoniec pyta Apollo „dam“, jak im się Polska podobała, nie mogą się kraju pięknego i ludzi wesołych dosyć nachwalić, żałują tylko zbytku polskiego:

Już to polska moda niesie,
Prędzej wyda, niż przyniesie...
To jest polska maniera,
Wesoła i w smutku cera,
Choć szwankuje, nie frasuje...
Polskę sam Bóg w rękach trzyma;

tym hymnem na „Polską sławę, Zawsze w swej odwadze żwawą“ kończy najgodniej jeszcze udział miejski w literaturze. Zresztą przeważa w nim albo ascetyka, albo panegiryzm; ten posługuje się zaś językiem łacińskim, szczególnie, jeżeli ku szlachcie się zwraca. Zszarzała się i spospolitowała ta literatura; zamilkła jej nuta osobista; wtórowała ona temuż kierunkowi, który się w literaturze coraz bardziej panoszył, wszystko zdrowsze, uczciwsze, mędrsze zagłuszał.

Obniżenie poziomu etycznego w działaniu, intelektualnego w myśli odbiło się najwyraźniej na literaturze politycznej. Dzieł, jakimi się wiek XVI szczycił, wielkich konstrukcyi, jak Frycza, projektów reformy, a choćby należytego skodyfikowania prawa obowiązującego, jak Taszyckiego, Przyłuskiego i innych, wiek XVII już nie przedstawiał; ale brak nawet rzeczy pomniejszych, takich jak np. Górnickiego. Kwestye rozmaite poruszały pióra; na początku wieku choć „korekta praw“, ale potem popłacała więcej „przestroga o tytułach i dygnitarstwach cudzoziemskich“ (Dargodzkiego = Grodzieckiego), boć obruszała się szlachta na książęce i margra-

biowskie tytuły, uwłaczające jej równości i za jednym zachodem za-
dała, żeby i dawne książęce tytuły litewskie zniesiono, czemu się
naturalnie inni oparli (Obrona tytułów książęcych Bielejowskiego¹).
Z tej samej obawy zazdrosnej o równość wystąpiono przeciw „ka-
waleryi“ (orderowi Niepokalanego Poczęcia, który Władysław IV
założyć pragnął) i unicestwienie zamiaru sławiono, jakby jakie wal-
ne zwycięstwo nad wrogiem obcym, nagrobkami szumnymi. Spra-
wy bieżące więc wywoływały walkę na pióra, z czego w druku ma-
ło się co pojawiło, ale w odpisach kursowało wszystko, projekty
dworskie do wojny tureckiej zachęcające, ostre ich zwalczania
i t. d. — a co sprawa Lubomirskiego albo elekcji *rege vivente* lub
po Janie Kazimierzu, broszur. pamfletów, paszkwilów (prozą i wier-
szem) spłodziła, i wyliczyć trudno. W elekcjach brała i zagranica
udział, zalecając swoich kandydatów; najciekawszą, pozornie najlo-
giczniej zbudowaną i niepowszednią znajomość rzeczy polskich
wykazującą, sympatyczną i poważną była broszura Leibnica, pod
przybranem nazwiskiem i indygenatem (Ulikowiusza), polecające-
go swego starego i ociężałego falcgrafa, który Polakom i *liberum*
veto i nietykalność państwa jedyny zapewni. Nie Leibnic Lu-
bieniecki (bo tak się, mylnie zresztą, wywodził) w rumel trafił, lecz
Olszowski, który w „Cenzurze Kandydatów“ (łacińskiej, tłumaczo-
nej zaraz na francuskie i holenderskie, wywołującej inne *Censurae*)
wszystkich obcych kandydatów usunął i Piasta — piastuna przy-
szłego słabej Rzeczypospolitej wskazał i wyróżzył, lecz piastun
Rzeczypospolitą do grobu byłby wtrącił, gdyby go sam pierwszej nie
zaległ.

Wobec gradu broszur, omawiających złość dnia, rzeczy ogół-
niejsze pojawiały się rzadko i śladu nie zostawiały wcale. Na po-
czątku wieku spłacił niegdyś filozof akademii, potem jej medyk,
czcigodny **Sebastyan Petrycy**, dawny dług wdzięczności, tego
Arystotelesa, z którego traktatów całą wiedzę polityczną wyłącznie
czerpano, przyswajając nareszcie literaturze polskiej, tłumacząc po

¹) Niekonsekwencja ludzi XVII w. jest rażąca; obcych tytułów nie zno-
sili, a własne im tak mało wystarczały, że, niesłychanym gdzieindziej trybem,
dla synów i córek tytuły od urzędów, nigdy nie dziedziczących przecież, bez
skrupułu urabiali; zastąpili więc prastowiańskich Piotrowiców, Pawłowiców i t. d.
sędzicami, stolnikowicami i starościcami! Spotykamy się z nimi już na początku
XVI wieku (chorążyc i in.).

kolei jego Ekonomię, Politykę i Etykę, każdy rozdział dla „uław-
cwienia“ resumując, argumenty pro i contra całkiem wedle trybu
szkolnego przywołując i konkludując; opatrując nareszcie księgi po-
jedyńcze osobnymi przydatkami. Dzieło Petrycego pachnie jeszcze
całkiem szkołą i trybem średniowiecznym, argumentuje w sposób
najnaiwniejszy (np. wielcy mężowie muzyki znać nie powinni, gdyż
ani przy bogach, ani przy nich poeci muzyki i śpiewów nie wspomi-
niają nigdy, przynajmniej póki trzeźwi), narabia przeważnie staro-
żytnością, ale w dodatkach zawiera cenne nieraz, a zawsze charakte-
rystyczne uwagi; zbija astrologię, chociaż autor święcie wierzy, że
sera z nakreślonem *prax max emax* złodziej nie przełknie nigdy;
jako mieszczanin nienawidzi Żydów i żąda ich wygnania, powta-
rzając bajki o krwi i hostyach; ale ujmuje się rzetelnie za akademią,
biada nad poniżeniem stanu uczonego w Polsce — we Francyi do-
ktorat nadaje szlachectwo, u nas też baba na tychże kolech; Polak
we Włoszech nie doktoryzuje się, bo to dla szlachcica zbyt cenne;
najbardziej jednak ujmuje się za plebejuszami i za pospółstwem
i tu staje się najwymowniejszym, kończy westchnieniem: „owo
wszędzie biada, wszędzie niewola, wszędzie ucisk i udręczenie ser-
ca na pospółstwo nędzne“, którego przecież „więcej daleko likiem,
niż szlachty“. Na swe wywody polityczne byłby chyba usłyszał,
co każdy, który „rząd składny chciał podać“:

wara ty duda, mauczysz po szkolsku,
Łacinaś tylko mądry, a błazen po polsku,

gdyby go losy nie zagnały były do więzienia moskiewskiego, gdzie
Horacego składał i ody wenuzyńskie do smutnych czasów i okoli-
czności polskich naciągał. Ale dzieła jego, począwszy od dedyka-
cyi biskupom i wojewodom z ciekawymi szczegółami biograficznymi,
pełne są trafnych uwag mimo scholastycznej obłóczki; już on ża-
dał, aby na sejmach większością, nie jednomyślnością konkludowa-
no, której osiągnąć niepodobna; na nią zwał słusznie niedochod-
zenie sejmów, krępowanych nadto instrukcjami partykularnemi.
Petrycy przedstawia wybitnie naukę i tendencje mieszczaństwa;
godnie stawali obok niego juryści i filologowie i medycy Dresner
i Burski (zamojscy), Syreniusz (autor herbarza obszernego), Joani-
cy i Sykst (dzieło o Cieplicach, w Szkle, tłumaczone i na rosyj-

skie!) — ale już następna generacja mieszczańska mężami podobnej nauki szczyć się nie mogła.

Trafne wywody Petrycego rozwinął i uzasadnił, jedna z największych powag szlacheckich całego wieku, uczony i wymowny, polityk i poeta, znawca hebrajszczyzny i greki, rojalista z przekonania, **Łukasz Opaliński**, marszałek nadworny w (anonimowej naturalnie) „Rozmowie plebana z ziemianinem albo dyskursie o postanowieniu teraźniejszym Rzeczypospolitej i o sposobie zawierania sejmów” (1641), najmądrzejszem piśmie politycznem całego wieku, rozdzielonem na owe dwie części, w tytule wyrażone, żądające z naciskiem powiększenia władzy monarchicznej, „której teraz cień i godność władzy próżna“, gdyż niemożliwe, żeby państwo w tym stanie, do którego teraz zdąża, długo istnieć mogło, jeśli „nie cofnie się pod większą panów swoich władzę“, z której wykroczyło. Krytykuje pleban wszystko, mniemaną wolność, zwłoszczą Polskę i t. d., jak niegdyś pleban Orzechowskiego i Kochanowskiego (we Wrózkach, które Opaliński znał i naśladował), ale szlachcic, i to jest smutne, o „utopiach“ tych nawet słyszeć nie chce, nasza wolność nie zniesie porządku, „*ataxia*“ jest jej cechą przyrodzoną; praw mi nie o tem, co być powinno, lecz co być może. Ogranicza więc pleban dyskusję na drugi dzień do sejmu i jego obrad, których bieg świeży marszałek sejmowy najlepiej znał i oceniał; podaje bardzo trafne uwagi nawet przeciw retoryce sejmowej, trawiącej czas bezpłodnie. Władysław IV i senatorowie chwalili wielce to pismo, szlachta odpowiedziała na nie „posłem z Upity“, Sicińskim.

Sympatye szlacheckie były po innej stronie; im schlebiała np. „Perspektywa“ starego Korycińskiego, próbka chyba spustoszenia i obłędu, jakie „złota wolność“ w myśli polskiej stworzyła: najwymowniejszym jej wyrazem był traktat polski, drukowany dopiero w XVIII wieku (1728 i w tłumaczeniu łacińskim), lecz napisany w drugiej połowie XVII i po rękopisach częsty: polski, choć z łacińskim tytułem, dyskurs o królowej wolności, między przyjaciółmi, roztrząsającymi pytania, co jest prawdziwa wolność, czy ją wszystkie ludy posiadać mogą (klejnocie drogi, Lechowe progi, oddane tobie, ulubuj sobie!), czy i kiedy ona zniszczyć musi, jakie jej podstawy (*liberum veto*, zachowanie ziemianstwa i t. d.), w czym nakoniec obcy ją ganią. Wiek XVII bowiem odznaczał się wielką wrażliwością na niedyskrecję obcych, którzy z niewiedomości lub „zawiści“ porządki polskie ganili, wierszyki np. o tem niebie szlacheckiem,

raju żydowskim, czyścicu panujących, piekle pospólstwa układali, gdzie to żyją bezprawnie, stroją się po anielsku, biesiadują po królewsku, mieszkają po świńsku, śpią po piesku, a giną—kiedy i jak chcą. Już Starowolski występował przeciw „obmowcom“ Polski; więcej Barklaj, słynny humanista, krótką o tem wzmianką poruszył umysły, i ten sam Łukasz Opaliński na kilka jego wierszów odpowiedział obszerną księgą, „Obroną Polski przeciw Barklajuszowi“ (po łacinie, 1648 r.), napisaną w przeddzień katastrofy, więc jeszcze dumną i niestrwożoną, odbijającą wyniośle wszelkie zaczepki obcych. Ten sam Opaliński, któregośmy właśnie poznali, jako krytyka polskiego nierządu sejmowego, teraz, obrażony w godności narodowej, nicuje nawet styl Barklaja, co już do rzeczy wcale nie należało.

Księga jego zresztą świadczy najkorzystniej o nauce, trzeźwości i patriotyzmie autora, który już chyba na przewisko Salomona polskiego zasłużył, choć ono się dopiero zięciowi jego (Lubomirskiemu) dostało: historię, ekonomię, autorów starożytnych, aż do romansopisarzów francuskich (*d'Urfé*) — wszystko zna, cytuje (ze szczególną lubością Kochanowskiego i Sarbiewskiego) i krytykuje, przyczem się Francuzom, ich literaturze, ich wychowaniu szlacheckiemu, nawet bezpieczeństwu nocnemu po ulicach paryskich porządne cięgi dostają.

Mniejszą wrzawę wywołał znany statysta i profesor, stronnik szwedzki, Conring, który się na prelekcyach helmsztadzkich o celu Polski szlacheckiej (*vita luxuriosa*) uszczypliwie wyraził i ze strony ucznia - słuchacza spóźnioną ale obszerną odprawę wywołał; i ta wyszła po łacinie naturalnie, pod pseudonimem (Marinius) i traktowała szeroko o rzeczach polskich wogóle, a wywołała nową, zgryźliwą refutację, gdyż nadto od założenia odbiegła. I inni obcy (?) zabierali nieraz głos w sprawach polskich (Frangepani i t. d.), np. w dyskursie o nieszczęściach Polski, rozmowie między Wielowiedzkim a Prawdomowskim, tyczącej głównie rzeczy wyznaniowych (po wywołaniu arianów, gdy kalwini o własną skórę drżeli), i elekcyi *vivente rege*, zaprzatającej żywo umysły: obawa przed i niechęć przeciw Habsburgom jawnie w tych pismach przebijają.

Imci Pan **Rej**, prawnuk Mikołaja, wojewoda lubelski, autor owej *Domina Palatii* (Królowej wolności), miał zadanie o wiele trudniejsze, gdy po smutnych doświadczeniach lat 1656 — 1670 głosy obcych coraz częściej i coraz nieżyczliwiej się odzywały, ale

i on głównie „zawiścią obcych“ operował, korzystając przytem z Opalińskiego, którego właśnie jako autora owego Dyskursu z r. 1641 cytuje. On przyznawał, że Polska „nierządem stoi, t. j. nie zwyczajnym u inszych narodów trybem, niby też nie po ludzku, *ale po niebiesku*; on powtarzał smutny argument, że Bóg czuwa osobiłwie nad Polakami, żeby go „rekreowali i cieszyli“, jak błazen, od którego Pan chłopców odpędza, gdy mu zbyt dokuczają — tak i Polskę ratuje Bóg zawsze z niechybnej na pozór toni; on świadomie twierdził, że wolimy wolność, choćby w błocie, niż niewolę w złocie. Traktat cały nadzwyczaj ciekawy, już choćby dla niezwykłego czytania w rzeczach polskich (i rękopiśmiennych, np. Orzechowskiego), dla wielu bardzo charakterystycznych orzeczeń, anegdot, rysów (co np. wojewoda Koberzycki o podwójnem gospodarstwie polskoliteńskiem, o podwójnych hetmanach i t. d. zauważył).

Wobec rojalisty Opalińskiego Rej jest istnym antypodą, lecz tylko za Rejem, choć go dla praktyk dworskich nienawidziła, stała szlachta cała, z najpoważniejszym, najpatryotyczniejszym swym reprezentantem, **Andrzejem Maksymilianem Fredrą**, marszałkiem właśnie tego sejmu, który największe obawy Opalińskiego jeszcze prześcignął. Opłakiwał czyn posła z Upity marszałek sejmowy gorącemi łzami, ale od doktryn republikańskich na włos nie odstąpił, owszem, w *liberum veto*, w elekcyi *viritim* i wszystkich podobnych kwiatkach nierządu upatrywał uparcie arkana powodzenia Polski szlacheckiej — nie bez racyi, jeśli tylko o szlachecką i chwilową chodziło.

Wyrozumowana anarchia, bijąca z jego aforyzmów, jak i z dyalogów Rejowych, ciekawa, pouczająca, nadzwyczaj smutna, chociaż zdobywa się na zdania mądre, jak np. „Kto mówi: Polska nierządem stoi, sam ma nierząd w głowie“; obok niego zaś twierdzenie: „nie poratuje Polski, tylko stary geniuszem Polak“. Fredro dzieli zapatrywania Rejowe, broni Polski przeciw uszczypkom obcym tak samo, a jeżeli większej sławy zażywał, to dlatego, że Rej dyalogów nie drukował, podczas gdy przestrogi, aforyzmy, przysłowia kilkunastu wydań w kilku językach się doczekały. Fredro obejmował zarazem szersze widokreśli, był mową politycznym wydał też niby teorię wymowy, głównie panegirycznej, ucząc, jak rozpychać mowy aluzjami od herbów, nazwisk, dni urodzin i t. d.; był historykiem, opisał, dosyć błaho zresztą, dzieje za Walezego, gdzie ekspedycja wołoska za Iwoni najwięcej mu zabrała miejsca; był pisa-

rzem wojskowym, obok obersztera Przyjemskiego opisując wszystko, od hyberny i stacyi dla wojska, obioru hetmana aż do sypania szaniców i musztry piechotnej, którą i pod nazwą porucznika Lipowskiego osobno wydał¹⁾; przedewszystkiem zaś posługiwał się łacińską, którą Rej gardził.

Opaliński i Fredro mają jednak to wspólne, że się nie w swoich rzeczach wyłącznie zatapiają, że zachowują ogólnoludzkie widoki. I tak pisze Opaliński, równocześnie z „Obroną Polski“, rzecz o obowiązkach, drukuje ją jednak (roku 1649) tylko w dwudziestu egzemplarzach, i Fredro wydaje po jego śmierci (r. 1662) ją ponownie. Jak Opaliński w swoim „Poecie“, przerwał rzeczy świeckie, żeby nauczać o celu życia, żeśmy do życia zaproszeni, jak do stołu jakiego i mamy się przy nim miernie i trzeźwo zachowywać, gotowi, gdy nam dadzą znak do powstania, i od rzeczy poetyckich przechodził do moralizacyi—tak samo w trzech księgach o obowiązkach, przeciw sobie, bliźnim i Bogu, uchylił się od starożytności pogańskiej i od scholastyki średniowiecznej, od stylu wyszukanego i od cytat, ażeby jak najprościej i najjaśniej, z Pisma św. głównie czerpiąc, o obowiązkach tych uczył i prawdy katolickiej przeciw wszelkim herezyom, których był wrogiem nieubłagany, dowiódł. Gdy tak Opaliński na teologa się wy kierował i rozsądkowi kościoła księgi swe polecał, przyjaciel jego młodszy do etyki i maksym się rzucił i w swoich „Przysłowia ch“ i in. mądrze, poważnie, uczciwie o życiu, ludziach, skłonnościach pouczał, ubierając wszystko w aforyzmy, językiem polskim bez skazy, bez makaronizmów — występując przeciw nim: „weź jeno trochę namysłu przed się, nie znający dobra twego Polaku, a poradź się z uwagą: nie tylkoć dostarczy, ale zbywać nadto będzie słów polskich i wyboru“, niestety, nikt tego wtedy nie słuchał.

Jeszcze bardziej przypominał kosmopolitę **Stanisław Herakliusz Lubomirski**, Salomon polski, pesymizmem na wzór ów

¹⁾ I tu tylko nowy dowód niekonsekwencyi Fredrowej; skarży się na zaniedbanie polskie ćwiczenia piechotnego, a przecież twierdzi na innem miejscu: skoro kopija (husarza) zginie, zginie i polska cnota. Jeśliby nawet Fredro nie był autorem „Piechotnego Ćwiczenia“, toć Lipowski wszystko na jego dworze zaczerpnął. Pan kasztelan używał następnej terminologii: pułkownik, pułkownicz, strażnik (major) i t. d. — w piechocie i szarżę i komenda były niemieckie, na co mocno sarkano, ale, jak ze wszystkim, tak i z tem się godzono.

starohebrajski przesiąkły, zgorzkniały. To, co obok siebie widział, np. losy ojca - rokoszanina, o skuteczności rad ludzkich i stałości fortuny przekonywać go nie mogło; widok przejść nagłych, odstępstw, upadków wyrobił w naturze kontemplacyjnej, melancholijnej — Śrzeniawici do łez skłonni zawsze — ową filozofię niby stoicką, niby chrześcijańską, o marności świata, o marności rad ludzkich, o marności nad marnościami; przeciw zupełnemu zwątpieniu, o nieśmiertelności duszy np., które go kiedyś trapiło, ustrzegły go głębokie religijne uczucia, od jezuickiej Brunsbergi wpojone. Wielki marszałek koronny, młodzieńcem jeszcze, z drukowaniem maksym („Przysłowiów moralnych“, bo od przysłowiów je zaczyna) się śpieszył, dojrzałe rzeczy za to tał, aż przyjaciele na nim wydanie „Rozmów Artaksesa i Ewandra“ wymusili, polskich, pod wschodnimi nazwami, wedle mody ówczesnej, dworzan czy senatorów w przedpokojach lub ogrodzie zamkowym warszawskim dyskutujących, jeśli dyskusyami monologi ich nazywać wolno,—o wszystkim, o literaturze i stylu, z bardzo ciekawymi uwagami, nawet o „romaniach“ (romansach) francuskich, które znał o wiele lepiej, niż teść; o przymierzach i wojnie; o duszy i mikrokosmie, w języku wzorowej czystości, fredrowskim, ale płynniejszym, gibszym. Uwag złotych tam wiele, choćby taka: „nie dosyć to i miłować autorów, lepiej być samemu autorem, a starsi kogo naśladowali?... Tacit z nikogo tekstów nie cytował, a przecię my go cytujemy“ i t. p.; poezję określał, jak teść, na którego się też powołuje; imponuje nadzwyczajne odczytanie, literaturę włoską i francuską, łacińską i polską, Montaigne'a i Bakona zna i cytuje, a przytem nietylko w alchemię, której literatury znakomicie świadom, ale i w gorsze gusta ślepo wierzy. Uwagi polityczne trafne, co o „suspicyi“, o „kreaturach albo nieuważnych promocyach“ powie, zdradza magnata, w znakomitość „rodu“ jedynie wierzącego. Najbardziej rozeszło się w licznych wydaniach i tłumaczeniach piśmko o próżności rad, gdzie każdej domniemanej korzyści i szkodliwe następstwa widoczne nawzajem się znoszą, tak, że wynika chyba rozpaczliwa nauka apaty politycznej, u Polaka z czasów Sobieskiego aż nadto zrozumiała.

Obok Opalińskiego i Fredry, Reja, Lubomirskiego i Kazimierza Zawadzkiego (łacińskie Zwierciadło anomalii państwa Sarmackiego z trafnymi uwagami o wszechwładzy hetmańskiej i zrywaniu sejmów, zwrócone przeciw magnatom i miastom pruskim, przeciw dysydentom, przeciw królom, że granic i lenników nie pilnowali,

drżące o złotą wolność — dlatego i dla srogiej nietolerancyi jeszcze w wieku XVIII przez Jezuitów przedrukowane) popłacały rzeczy popularne, choćby taka „Recepta na to, abyśmy się długo w ojczyściej ziemi osiedzieli“ (r. 1682, tłumaczona na niemieckie), przeciw niebezpieczeństwu tureckiemu na gwałt dzwoniąca i wprowadzająca ojczyznę z siarczystą przemową do synów-wyrodków, wyliczającą ich występki, brak miłości ojczyzny; nieznoszenie prawdy, zbytki, ucisk chłopski i t. d. Albo uprawiano abstrakcyę, np. mieszczanie, taki Siemek, Lemka lub Petrycy (syn), jakby mszcząc usunięcia plebejuszów od rzeczy państwowych, wykładali tajemnice rządzenia (w dyalogu między Augustem a Lakonem) albo obowiązki „dobrego obywatela“, albo edukacyę synów książęcych; zresztą tłumaczono, przedewszystkiem Justa Lipsyusza, zażywającego w w. XVII sławy, jaka w poprzednim Roterdamczykowi przypadła; niewszystkie z tych przekładów były drukowane; najobszerniejszy i najgładszy pozostał w rękopisie. Oprócz niego tłumaczono dalej Włochów i Hiszpanów; szlachcic znał ogółem tylko i zastosowywał dwa pisemka, „Rady Kalimachowe“ i „Rokosz Gliniański“; wyjątkowo doczekała się Lipsyuszowa „Politica pańskie t. j. nauka, jako pan i każdy przełożony rządnie żyć i sprawować się ma“, powtórnego wydania; inne, już nie pragmatyczne, raczej ascetyczne pismo, Willegasa „Polityka Boża, rzady Chrystusowe“, zwierciadło ewangeliczne dla króla, ciekawe choć tem, że je z hiszpańskiego Hiszpan (Janusz Iberski z Andaluzyej) na polskie wyłożył.

Oprócz ogólnych, traktowano kwestye szczegółowe indygenatu pruskiego, ekonomiczne, cłowe (Cikowski), mennicze, nie tylko prozą, ale i wierszami, np. „Suplikacya do Zygmunta III od pospolitego człowieka dla ortów uciśnionego“, gdzie przyczyną tego ucisku wytknięci „hawrusowie“, nasze „kruki chowane, które panu oczy wydłubią“, t. j. Żydzi, przeciw którym w pierwszej połowie wieku obfita literatura antysemitcka prozą i wierszem, rzadziej od szlachty, głównie od mieszczan, na ruinę wystawionych, wychodziła. Impuls dał jej ks. Mojecki (r. 1602), przywłaszczwszy sobie i przetłumaczywszy pisma wojskiego sandomierskiego, Hieronima Balińskiego, szlachcica zadomowiałego, gorliwego katolika, niegdyś protestanta, zwalczającego „samoszatańską“ (aryańską) wiarę, i Hubickiego.

Najobszerniej wystąpił ks. Sebastyan Miczyński w „Zwierciadle korony polskiej urazy ciężkie i utrapienia wielkie, które ponosi

od Żydów wyrażającym“ (1618); najdrastyczniej i najczęściej pisywał wierszokleta Jan Achacy Kmita, w Talmudzie, Procesie bocheńskim, Sendschreiben i t. d., plotki i prawdę, baśni i anegdoty mieszając; poezji tam nie było, za to dla historii Żydów polskich, są rysy niezmiernie ciekawe, dla szybkiego ich rozrostu i wpływu; jak już r. 1618, nie dopiero 1818, normą było: u Żyda najlepiej kupisz, najlepiej sprzedasz, bez niego się nie obejdiesz. Organizacja ich dopełniła się tymczasem w Polsce rządem czterech miast, i pierwsza połowa wieku widziała ich u szczytu zamożności. I tu nastąpił jednak rychły upadek: ruch chłopsko-kozacki zwracał się przeciw Żydom, zniszczył ich na Rusi i wypychał gromady zubożałe na Polskę i Litwę, obniżając tylko kulturę i sposób życia współwyznawców, tak że już Rej szydził z tego niby raj u polskiego dla Żydów: uciekałbym z takiego raj u, gdzie zawsze Żyd „aż po szyję błotem się zaszarga a parchem śmierdzi na ćwierć mile, lada klechom kozubały daje a od samych łokietnych dzieci prześladowania znosi“, ale i on przyznaje głębokie wkorzenie się ich w Polskę, z którejby ich chyba archanioł z mieczem ognistym wygnać potrafił. Z całej spuścizny „poetyckiej“ Kmity tylko antysemicka przetrwała wiek XVII-ty.

Nawet takich dzieł, jak literatura polityczna, nie przedstawia historyczna, ponieważ się niemal wyłącznie łaciną posługuje; w obcej szacie, w imponujących powagą składkach togi klasycznej ginie wiele, co charakterystyczne dla Polski XVII wieku. Jeszcze początek wieku zdawał się wprawdzie na lepsze tory nawracać, gdy pojawiały się, acz bardzo spóźnione, przekłady polskie foliantów Kromera (Błażowskiego) i Gwagnina (Paszkowskiego); lecz niebawem łacina rozpanoszyła się wyłącznie, w obszernych i krótkich, świeżych i dawnych dziejach; jeżeli się co na polskie tłumaczyło, to pozostawało w rękopisach. Z dzieł ogólniejszych tylko Jezuita Botera, Włocha, „Relacye powszechnie albo Nowiny pospolite“ w przekładzie Bernardyna Lenczycyusa światło ujrzały: tłumacz polecił się jednak, choćby ustęp Botera o Polsce odmienić czy uzupełnić; zresztą bez niewoli moskiewskiej i do tego dzieła nie byłby się zabrał.

Był jednak jeszcze interes dla historii i obcokrajowej; podejmowano przekłady, dowodzące stanowiska europejskiego umysłowości polskiej, z którym np. czeska na półtora wieku stanowczy rozbrat wzięła. I tak było znakomite dzieło Jezuita Strady o woj-

nie belgijskiej (tłumaczone na włoskie, francuskie, hiszpańskie i t. d.) wcale jeszcze świeże, gdy i Polak je wytłumaczył, w rękopisie (z r. 1652) widzieliśmy jednak tylko pierwszą jego dekadę: wobec sympatyj hiszpańskich Jezuity tłumaczył to chyba katolik. Były dzieła o historii szwedzkiej — pociągającej choćby dla dynastji, a niebawem i wojen. W innych przeważał ferwor antymohamedański, i tak doczekały się tłumaczeń historia zakonu maltańskiego (Włocha Bosyusza, w r. 1623) i historia wojen krzyżowych, średniowieczna jeszcze, ale również znakomita, 23 ksiąg Wilhelma, arcybiskupa tyńskiego wraz z ich kontynuacją (Helmoda). Tłumaczem ostatniego dzieła był Zygmunt Stefan Koniecpolski, sędzia sieradzki, r. 1652, który rok przedtem obszerny rodowód swej rodziny również po polsku wnukom wypisał, nie dla chwały rodziny, lecz „aby wiedzieli o związkach pokrewnych, a w nich raz będąc onych nie powtarzali“, gdyż niema nad niemi błogosławieństwa boskiego, „skąd i rozumny gospodarz konia stada swego ze stadem swoim nie łączy, mając w tem *experientiam*, że się to nie nadawa“.

I mieszczenie nie zalegli pola całkowicie, ale tylko Lwów doczekał się w Zimorowicu sumiennego i gorliwego badacza swych dziejów; Warszawa, zbyt młoda, żyła teraźniejszością i nęciła do opisywania swoich dworów i pałaców, królewskich i pańskich (wierszami Jarzemskiego); Kraków tylko swoje kościoły i relikwie ich opisywał (Przewodnik czyli Kościołów krakowskich opisanie z roku 1603, rozszerzone w „Klejnotach stołecznego miasta Krakowa“, właściwie Cezarego, niby to pedla akademickiego, Pruszcza) albo na kronikę zboru protestanckiego (Wengierskiego, wydaną z rękopisu dopiero przez Bandtkiego) się zdobył. Ale mieszczanin i profesor, ów Petrycy, ufundował roku 1621 osobną posadę historyografa akademickiego, który roczne dzieje, własne i obce, miał spisywać i akademii przekładać. Fundacya weszła w życie i przez cały wiek XVII, acz ze znacznemi przerwami, przetrwała; najpierw syn fundatora, również medyk krakowski, Innocenty Petrycy, dzieje roku 1620 i 1621 drukiem ogłosił; reszta prac w rękopisach zaległa, owego panegirysty słynnego, Bieżanowskiego, z lat 1666 — 1688, a przed nim roczniki Stanisława Temberskiego, z lat 1647 — 1656. Temberski, chociaż szlachcic pochodzeniem, tak się zżył z Krakowem i akademią, że za rzecznika mieszczaństwa krakowskiego i jego zapatrywań i biadań na szlachtę i nierząd uchodzić może;

w roczniki swoje wciąga surowy materiał, listy, akty, a choćby paszkwile polskie (na poborcę i zdziercę, Chrzastowskiego) i łacińskie, na akademię i t. d., lecz o wyższy stopień kunsztu dziejopisarskiego wcale się nie pokusił.

Wiek XVII wydał ogółem licznych historyków, lecz znakomitszego między nimi niema. Zaczął on pracę historyczną wprawdzie od ważnego zadania: jedyną trwałą zasługą warchoła szlacheckiego, Herburta, było spłacenie długu narodowego wobec dawnych dziejopisarzów, wydawaniem ich dzieł, w Dobromilu, Orzechowskiego, Kadłubka, Długosza; lecz Długosza musiał przerwać na pierwszym tomie; nietolerancya i wrażliwość szlachecka zaprotestowała przeciw dalszemu ciągowi, odsłaniającemu niby tajemnice polskie zagranicy, skoro głupszej wymówki nie można było wynaleźć, i znowu skazany został gorący miłośnik ojczyzny na wiekowe milczenie, które dopiero konsyliarz rosyjski (Huysen) przerwać miał; z dzieł Długoszowych pojawiły się w druku tylko żywoty biskupie (poznańskie i płockie) i legendy, w oryginale i tłumaczeniach (św. Kinga Mojeckiego, św. Stanisław Wilkowieckiego, jeszcze w wieku XVI). Ta nietolerancya odbijała się tem bardziej na historykach społecznych, nawet na Piaseckim i Łubieńskim, acz biskupach, traktujących dzieje Zygmuntove: że Piasecki śmiał Boboli i Jezuitów dotknąć, że Łubieński bąknął prawdę o rokoszu i Guzowie, wywoływało to protesty, paszkwile (jezuickie na Piaseckiego, któremu zaraz od matki i rodu łajano, ale w obronie jego powstawali inni — po rękopisach ówczesnych), utyskiwania; tylko puste i panegiryczne dzieła, jak Kobierzyckiego Władysław IV i t. p. uchodziły burzy. Brakom nie zaradziło naturalnie i owo ustanowienie historyografa uniwersyteckiego, którego praca pozostawała w rękopisie, jak i Radywińskiego zbiory pożyteczne dla dziejów uniwersyteckich przez całe dwa wieki, jak dzieje domów jezuickich, prowadzonych rocznie, z których dziś ocalały dyaryusz ks. Wielewickiego, bardzo obfity, domu św. Barbary, krakowskiego, i mniej obfity poznański.

Dzieła te mieszczą nieraz bardzo cenne szczegóły, szczególnie Wielewickiego (np. o Samozwańcu i jego roli w Krakowie), lecz przeważają w nich sprawy dla nas drobne, zatargi akademii z biskupem, Jezuitów z akademią i t. p., wyłożone nadto obszernie; rzeczy obce traktowane pobieżnie; język obcy zaciera cechy polskie; sąd bywa stronnicy, *pro domo*, samodzielny zaś np. w gorzkich uwagach i przytykach Temberskiego.

Wobec milczenia źródeł domowych nabierały i obce znaczenia, np. takiego Francuza Bizardière z historyami sejmów elekcyjnych (tłumaczonemi na angielskie, niemieckie, holenderskie), przed nim Pastorius, Wassenberg, Rudawski (Polak, przenoszący się do służby cesarskiej, wydany zresztą dopiero roku 1755) i inni. Z domowych, prócz Sobieskiego, Kobierzyckiego, Kuszewicza i innych drobniejszych jeszcze, najobszerniej i najsumienniej wywiązał się z zadania, historyograf Sobieskiego, poeta dawniej, Wespazyan Kochowski, który w czterech „klimakterykach“ (peryodach siedmioletnich) dzieje Polski od śmierci Władysława IV wyłożył, z których jednak tylko trzy za życia autora wyszły (1683 — 1698); korzystał on z aktów urzędowych i listów prywatnych, z relacji pisanych i ustnych, przedmiotowo, spokojnie, obszernie, pragmatycznie; wadą jego styl i język, oba łacińskie, przyćmiewające zupełnie kontrasty, cechy, blaski zawieruchy polskiej, za Kozaków, Szwedów i Michała, a inna wada, zbyt uwielenie, szowinistyczne niemal, wszystkiego, co polskie. W każdym razie było to ostatnie większe dzieło historyografii polskiej, aż do Naruszewicza; Zawadzkiego bowiem „Historia arcana“ (czasów Michała) tytułem swem ludzi, odsłonięcie tajemnic zapowiadając, czego w dziele samym niema. Również nie wnikają głęboko pierwsze polskie „Rozmowy Umarłych“, forma wtedy w Europie nadzwyczaj lubiona i nadużywana, w której z pól Elizejskich niby miano odsłaniać właściwy sens i cel zdarzeń i kroków dziejowych; pierwsze polskie, między Wiszniowieckim (Jeremim) a Sobieskim, między Wydźgą a Radziejowskim, zawierają kilka ciekawych a choćby skandalicznych szczegółów, głębiej jednak nie sięgają, chociaż autor (Jabłonowski) mógł niejedno wiedzieć.

Najwybitniejszym polihistorem wieku był **Szymon Starowolski**, przypominający uprawą wierszów i prozy, teologii i historii Warszewickiego XVI wieku, niższy od niego co do formy, stylu, talentu, przewyższający go wiedzą i pracą, powagą i charakterem. Bakałarzował on w uniwersytecie i po dworach magnackich; był sekretarzem, jeździł po świecie i dopiero w późnych latach wstąpił do stanu duchownego; w domu i obozie, w kraju i za granicą pracował najwytrwalej na najrozmaitszych polach, zawsze służąc miłej ojczyźnie: w dziełach, po łacinie spisywanych, jej dzieje i chwały świata wystawiając, po polsku strofując braki, budując umysły; czynny i ruchliwy wszędzie. Nie powiodło mu się tylko

za pierwszym występem, gdyż dzieło o Zygmuncie Starym natrafiło na przeszkody nieprzewidziane, na ową podejrzliwość i zazdrość, o którą i Długosz się społecznie rozbił; odtąd rzucił Starowolski historię, chociaż o jej pożytku i metodzie osobną książeczkę, pierwszą jej metodologię wydał, i pracował tylko na polu biografii, statystyki (opracowując dla Elzewirów „Polonię“) i innych nauk pomocniczych. On to przedstawił światu sławnych mówców i hetmanów polskich w szeregu krótkich wizérunków, nie bez ogólnikowych pochwał i porównań ze starożytnymi; on wyliczył kilkuset literatów polskich, głównie niemal prozaików tylko, i to przeważnie z dzielnicy małopolskiej i ruskiej; i tutaj narabiał nieraz ogólnikami i pochwałami zbytnimi, mimo to stworzył pierwszą rzecz na nieco większą skalę o literaturze i literatach i, chociaż np. o Reju nie wspomniał i żadnego porządku nie zachował, ocalił niejedno i niejednego od zupełnego zapomnienia. Również przysłużył się zbieraniem nagrobków i t. d. — to wszystko, jak i rzeczy kanoniczne i inne, po łacinie, dla Europy. Za jego przykładem P. Potocki setkę sławnych Polaków w drugiej połowie wieku po łacinie opisał.

Dla ziomków opisywał i Dwór cesarza tureckiego, co potem na rosyjskie tłumaczono, wedle źródeł obcych, wcale zajmująco i pouczająco. Ale Polak - autor ciekawy tem, że wyraża sobą niemal publicystę, najpłodniejszego, najwymowniejszego i najbardziej patriotycznego, któremu równego w XVII w. nie znajdziemy. Jego, jak współczesnych zajmuje kwestya wschodnia, piekająca, groźna, tatarska i turecka; dalej materyalne zatargi szlachty z duchowieństwem; wreszcie stan, a raczej upadek moralny kraju; pióro jego zdobyło się na kilkadziesiąt broszur, wpajających to samo na coraz inny ład, bezimiennych lub literami S. S. znaczonych, wierszem i prozą, suchych i wymownych, satyrycznych i poważnych. Już w roku 1618 wystąpił z „Pobudką albo Radą na zniesienie Tatarów perekopskich“, a w r. 1633 z „Dyskursem o wojnie tureckiej“: projekt systemu obronnego, linii fortyfikacyjnej przeciw Tatarom, za którą linia kolonizacyjna zdążyć miała, był bardzo wykonalny (tak Moskwa działała), projekt ligi europejskiej (i po łacinie dla Europy formułowany) należał za to do mżonek; do pytań tych wracał i w innych pismach polskich. Pomijamy ascetyczne, dosyć abstrakcyjne, najobszerniejsze ze wszystkiego, co pisywał, zbiory homiletyczne, kazań, mianowicie i Maryjnych, nie wyróżniające się zbyt od powodzi ówczesnych, mniej jednak płaskie, mniej drastyczne, a zatem

i mniej zajmujące, niż np. ks. Liberyusza i innych. Co kaznodzieja pomijał, tego dotykał tem ostrzej i częściej satyryk-moralista, od—niestety — wierszowanego „*Votum* o naprawie Rzeczypospolitej” (r. 1625) aż do Robaka sumienia złego człowieka i t. d.

W *Votum* najkrócej rzecz przedstawił, wyliczając krótko materye *status* i projekty reformy; w „Reformacyi obyczajów“, „Robaku” i t. d. obszernie nad zepsuciem obyczajowem, nad uciskiem chłopów i mieszczan, nad zbytkiem i swawolą biadał, w prozie prawiąc, co Krzysztof Opaliński w wierszu wyrażał i, jeżeli Opalińskiego o przesadę, o zbyt posępny koloryt, o nadmierne uogólnianie tra-fów i przypadków oskarżano, tożby i Starowolskiemu zarzucać należało, kreślącego obrazy nie jaśniejsze, dającego szczegóły przerażające, jakich i u Opalińskiego niema. W obu późniejszych pismach, w Reformacyi i Robaku (wydanem roku 1853 pod tytułem Wady staropolskie), przeważa jednak już duchowny—kaznodzieja i, chociaż materye polityczne porusza, powołując się nawet na *Votum*, narabia alegorycznym wykładem emblematów, cytacyami ze starożytności, jej anegdotami i maksymami. Obok tych większych obrazów zepsucia, niewdzięczności synowskiej, zdradstwa „szarpackiego“ (umyślnie zamiast „sarmackiego“), swejwoli żołnierskiej zwalczał on szczegóły; w „Prawym Rycerzu“ pouczał o obowiązkach żołnierskich (wedle słów św. Jana); głównie wojował o „stacye“, o zaprowiantowywanie się żołnierzy w dobrach duchownych i królewskich — szlacheckie były od „stacyi“ wolne — wybierających bez miłosierdzia co się im podobało, grasujących gorzej, niż nieprzyjaciele. „Zguba ojczyzny stacya“, podobne broszury powtarzał ciągle, głosem wołającego na puszczy, a zaczął je dyalogiem dramatycznym między księdzem a żołnierzem, który owego bez ceremonii nachodzi i łupić zamierza: O stacyej, żołnierz z teologiem, roku 1624, czego niech choć początek próbkę da: żołnierz, służywszy na sześć koni, wraca „na chromej parepie“, więc powetuje sobie na księży:

Jam potrzebny, a księża nad potrzebę mają,
A przytem do herezyjej duże się skłaniają,
Bo heretyckich książąt na srebrze wybite
Obrazy zachowują w szkatułach pokryte;

ksiądz nie chce mu dawać chyba *pauperibus*, chyba gdy kleką posłuży i przypomina sobie żołnierz, kiedy zamiast akwawity dzwony dołt,

Kiedys to, kiedys w głowie było: *smigma* mydło,
Abaguder głab dębów, *gilgil* motowidło i t. d.,

wyrzeka się tego, wyprawia raczej koncert o kozaczniku:

Hojże bre bre tałała, drysz brysz bryzelia i t. d.,

a gdy ksiądz mu piekłem grozi:

Co księżę? już ośm lat jak piekło zgorzało,
Dyabli boją się Boga, iż piekło spalili,
Wszyscy się na wędzonce jednej obiesili...
Także kozackie dusze z piekła spalonego
Zniosły przednią gorzałkę do kraju ruskiego i t. d.,

dysputacja kończy się nijako, ale autor przestrzega przed przekleństwem, które w dom cnych przodków żołnierze zaciągają. Równocześnie uderzył Starowolski w drugą słabą stronę, na Prywatę, w wierszu „Prywat Polską kieruje, po nim stateczny sługa Rzeczypospolitej następuje“ roku 1624; powtórzył on to samo, rozszerzając o Pilawce i nowe skargi, r. 1649, jak Pruszc w tedy „Bicz Boży“ Twardowskiego na nowo wydał. Bardzo tu ostro określono prywatę, co sam mięso jada, a ojczyznę „rad częstuje gnatem“, co sejm rozerwie, że i Salomon go nie skleci, a podłą robotę „zasłoniąm potrzásając gębato prawy i wolnością“; moi zaufani śmieją się do zdechu, że prosta brać we mnie prawdziwego obrońcę wolności widzi — takie to rzeczy już roku 1624 pisano! Wziąwszy więc „prywatą“ z Reja, zamiast „statecznego sługi“ wprowadził piękny wiersz Kochanowskiego, którego nad wszystko umiłował, jak i Łukasz Opaliński i co wtedy mądrego było. Czy i jego pióra „Lech wzbudzony i lament jego żałośny, widząc tak utrapione państwo“ roku 1648, nie wiem, styl nieco odmienny, ale skargi Lecha, apostrofującego wyrodków, bardzo wymowne, zaczyna od chwały:

Rozkwitły wielożołnie, rozkwitły Polaku...
Tyś jest starszym na ziemi w państwie Słowianinie...

i przeciwstawia terażniejszy upadek, niema mężów, wy wszyscy jak dzieci:

Wiatr sięją, dym kupują, mak drobia, świat wiją,
Sitem wodę czerpają, w murze cegły myją,

Lech już zwątpił, by przestrogi co kiedy skutkowały i pełen wiecznego niepokoju odchodzi smutny. Polihistorów miał wiek XVII w Europie mnóstwo, lecz od zachodniego odznaczał się polski polihistor tem głębokiem poczuciem obywatelskiem, które mu nigdy w antykwarstwie samem zagrzać, zapomnieć o braci i jej potrzebach nie dozwoliło.

Starowolski nie jest jedynym satyrykiem-moralistą; nawet w obie jego satyry prozą, w „Reformę“ i „Robaka“, wpłynęły pisma innych, powstałe na początku stulecia, może Januszowskiego (rękopis z roku 1603, wydany przez Bielowskiego pod tytułem: „Paradoksa koronne publice i privatim potrzebne“), potem rozszerzone i beziemiennie nieraz od roku 1625 wydawane („Poprawa niektórych obyczajów polskich potocznych“ i t. d.); nastaje głównie na wady szlacheckie i żołnierskie, na niezbożne konfederacye, na zbytki przy stołach, nadmierne pijaństwo i t. d.

Satyra w prozie mniej jednak popłacała, od Kochanowskiego nauczono się dla niej wierszów; z prozaicznych wypadłoby wymienić, prócz np. alegoryi „Koło ptastwa powietrznego“ (drukowanej jeszcze i w XVIII wieku, gdzie polską elekcyę, z marszałkami, z niepozwalam i t. d. przeniesiono w państwo ptasze), jeszcze Fali-bogowskiego „Dyskurs marnotrawstwa i zbytku Korony Polskiej“, zamiast wierszów pobożnych, które „zabywając strachu i nędzy“ pisał w więzieniu moskiewskim, za Dymitra, „kiedy weseleć było jako tako, ale przenosiny w długą były poszły“. Rozmowa to między Włochem lekarzem a autorem, pełna najciekawszych szczegółów obyczajowych, dykteryjek uciesznych, rysów trafnych: od wtargnięcia Maksymilianowego, kiedy to nikt nie słuchał, wszyscy dufali, „aż nie długo naszy ku Pradze wylażą, oskubując się, by wróble z ciernia“, do historyjek również z ziemi krakowskiej, jak to ojciec z synkiem „jeli się za boże poszycia (włosy), zdłużał młodszy starszego i gdy go przez próg przeciągać miał, usłyszał: stój zdrajca, póty ja swego ojca wodził“ i do historyi o Mazurze i naszej „Werszewce“; z bardzo wymownemi skargami na to „lej, rozlej aż wioski lecą“; na tych utracyuszów, u których buczo było, aż się prędko „wypierzył, aryańską (dla ich szarej prostoty) przyjął“.

I jeszcze wymowniejsze skargi na Tatarów, na brak gotowości wojennej, na ich bezkarne plądrowanie, jak to jeden carzyk tatarski miewa dwieściekilkadziesiąt szlachty u siebie w niewoli, nie licząc kobiet i dzieci; na nędzne wychowanie, na upadek akademii, gdzie

dzieci oddają „bławatno, pierno, kowano, szabeltaszno, jako na zaloty“, mistrzów chudzinieczek nikt nie uważa — i napróżno przestrzega kaznodzieja tumowy, ojciec Dominikan Bartłomiej: ba nie-tylkoć my wołamy ale i nasz Zygmunt brzmi, wszędy błędy, wszędy błędy.

Poważną literaturę polityczną i historyczną, a choćby satyryczną, przygłuszała panegiryczna, głównie herbowa. Im więcej się od trybu i zasług przodków oddalano, im mniej dbano o własne obowiązki i spełnianie długu, im rzadziej odnawiano dawne wawrzyny własnym trudem, tem wyżej ceniono klejnot szlachecki, herb i koligacje. Cenił je już wiek XVI, np. wierszami na herb zaczynał każdą dedykację, ale ustąpił on daleko siedemnastemu. Rej, nawet Paprocki, malowali herby, ale prawili wyłącznie lub głównie o ludziach; wiek XVII rozkoszował się w samych herbach. Więc pojawiały się ich zbiorki (Jagodyńskiego, Giermana, Górczyzna, Grodzieńskiego i innych); więc szerzyły się one po szumnych a próżnych, zawsze dziwacznych a niesmacznych tytułach, których wiek XVI jeszcze nie znał wcale, w których XVII i czasy Saskie tak się lubowały. Barok polski przemawia do nas wymownie z owych nieskończonych tytułów — czem podlejsza praca, tem szerszem buńdziuczy się napisem: Srebrne złotej Nałęczy zadziergnięcie... dobrze i szczęśliwie rozdziergnięte i zerwane (1657), Złote runo przyjaznych chęci i t. d. przez fortuną po herbownej Śreniawie Jazona polskiego nawigacją w rodowitej bramie pod czułą Grzymały strażą znalezione i t. d. (1737), Pałac nieśmiertelnej sławy, a raczej świątynia honorów trzema trąbami prześwieatnego herbu Jordaniów głośna i ozdobna i t. d. (1745) i niezliczone inne polskie, a takie same łacińskie: *Pegasus Wielopolscianus ad gentilitia Komorviorum flumina decurrens* (1655), *Sidus aureum in triumphali Cynthiae sinu fulgentissimis Sieniavianaie gloriae radiis coruscans* (1683) i t. d. — Biegaczewiczów, Bieżanowskich, Cynerskich i niezliczonych innych panegirystów, o których już wyżej, dla ich makaronicznego języka wspominaliśmy. Poświęcali więc obszerne dzieła heraldyce, łacińskie, Okolski Koronie, Kojalowicz Litwie; około herbów toczyły się wiersze łacińskie Jezuita Ineza (Stemmata) i polskie Potockiego w foliancie „Pocztu herbów“ i w „Odejmu“, gdzie samemi nieskromnemi aluzjami do herbów poeta narabiał; znajdzie się ich wywody w księgach, niczem zresztą tego nie-wskazujących, np. w „Demokrycie Śmiesznym“ ks. Kuligowskiego

(1699) na stu stronicach herby, od Abdanku do Zenowicza, wyliczono i opisano ich dzieje czy początki; tu przeważał jednak zamiar pedagogiczny (aby młodzieży wzory cnót i zasług przypomnieć) i moralizująco - satyryczny, aby szlachcie - żołnierzom ich zdzierstwa i opresy wytykać, obcokrajowcom nałajac, tym szewcom i krawcom niemieckim i francuskim, u nas plądrującym — bodaj ich z naszej krainy wygnano; do wojny „zgodniejszy” Sarmata - szlachcic, nie chłop, bo „który z Chama,

Ten nie folguje i krwi szlacheckiej, bo żywy
Póki świat, chłop nie będzie szlachetnym życzliwy“.

Przeważały jednak w tej literaturze same chwalby; przyczyniał się jej panegiryzm tylko do uśpienia sumień i ogłupienia głów, profanując owe mistyczne niemal znaczenie klejnotu i szlachectwa, jakie jeszcze Rej żywo odczuwał.

I na innych polach prozy ustępował wiek siedemnasty szesnastemu, nawet i w listowaniu, już choćby dla rugowania i z listów polszczyzny przez łacinę; ślady ówczesnego jej rozpanoszenia się i do dziś przecież nie zatarły się w języku naszym, obfitującym nad wszystkie słowiańskie, a nawet i nad niemiecki w łacynizmy, jak despekt i respekt, rankor i anse, emulacye i reputacye, plagi i hebesów. Korespondencyi zresztą tak ciekawej, jaką była Radziwiłłowska, Sapieżyńska, Zamojska dawniej, wiek XVII już nie pozostawił, chyba listy w. koniuszego koronnego, Zbaraskiego, odznaczały się stylem i dowcipem; inne sławne listy, niezmiernie po rękopisach częste, trąca raczej pamfletami, niż korespondencyą, np. listy Jazłowieckiego i Dyabła Stadnickiego: ów zaczyna „Niecnotliwy człowiecze, łańcucki krzywoprzysięzco, zdrajco pana swego”, ten odpowiada na „niecnotliwe, zdradzieckie, lżywe, ku....., chłopskie“ i t. d.; niemal również ostre listy mieniali kasztelan krakowski Warszyski i prymas Prażmowski, tenże Prażmowski i Kochanowski, z najwzsteczniejszymi obelgami wzajemnymi; humorystyczne listy kasztelana rawskiego, Mazura Wołuckiego, pytającego np. „cemus by tes (slachta) przy Królu IM. pieconecki z cebulą, wędzonecki z co-snyckiem pozywać nie mieli”, przepędzając „onego sk.....a Sfiedzika” (Gustawa Adolfa), podobały się również powszechnie.

Góruje za to wiek XVII nad poprzedzającym pamiętnikami, wprowadzającymi lepiej, niż wszelkie listy i mowy w ducha i szcze-

góry epoki. Dawna literatura pamiętnikarstwa nie znała: jedyny Górnicki w „Dziejach Korony Polskiej” zbliżył się do niego, opisując tylko to, co widział. Wiek XVII jest wiekiem pamiętników. I nie dziw, wobec nadzwyczajnych przejęć, najdziwniejszych zbiegów okoliczności, gwałtownych przeskoków, że się w uczestnikach szalonych tryumfów i strasznych upadków myśl rodziła zapisywania tego, co widzieli lub w czem udział brali. Wiek XVI upływał w pokoju, i największe namiętności religijne nie wybuchały żadnym płomieniem na zewnątrz, ciszę przerywały na krótko czy elekcye czy wojny Batorowe; teraz, u samego progu stulecia, sam udział w cudownej i tajemniczej sprawie Samozwańców rozruszał umysły i pióra. A był to tylko godny wstęp, przygrywka tego, co całe stulecie przynosić miało. Wojny domowe i moskiewskie, tureckie i tatarskie, kozackie i szwedzkie; Kluszyń i oblężenie w Kremlu, Czeretowa i Chocim, Pilawce i Beresteczko, Częstochowa i Warszawa, Kamieniec i znowu Chocim, Wiedeń i Parkany, a choćby Guzów i Matuszów: same katastrofy i tryumfy, w jakich Polska od Grunwaldu i Warniejskiej nie bywała.

Pamiętnikarstwo polskie urodziło się 26 maja roku 1606, w krwawe gody moskiewskie, które tylko z paryskimi porównać się dają. Jak wtedy świat uradowany witał te gody, zapewniające nazawsze pokój krwawiącym się dotąd wyznaniom, uchylające nazawsze bratobójcze walki, ani przeczuwając, jak straszna rzeź nocy Bartłomiejowskiej gody te zakończy i sygnał nowych, nieskończonych walk poda, tak samo witano gody moskiewskie, jako zakład wiecznego pokoju między dwoma wielkimi narodami słowiańskimi, jako brzask nowej ery słowiańskiej, groźnej dla całego mahometaństwa, rozstrzygającej w Europie, i doczekano się jeszcze tylko rychlejszego, jeszcze straszniejszego rozczarowania, rozognienia i rozjątrzenia zawiści plemiennej do rozmiarów niebywałych. Niedarmoż winowajczyni tych godów Maryną się zwała—nazwisko fatalne, które dopiero protestanci pierwsi swoim córkom nadawać poczęli, chcąc dowieść, że Marya „taki człowiek, jak i ja”, choć już w drugiej połowie XVI wieku śpiewano, że, co Maryę pojmie, „rzadki, co go nie zabiją”. Przepowiednia sprawdziła się i tym razem, nie skończyło się jednak na Dymitrze samym.

Tajemnicze zjawienie się „hospodarczyka” w Krakowie, dokładnie przez Jezuitów i nuncjusza, pierwsze ofiary mistyfikacji, opisane; pierwsze jego kroki, protegowane przez panów polskich,

Mniszków i Wiśniowieckich, powodzenia, śluby krakowskie, witane wesołym okrzykiem Grochowskiego na zjednoczenie narodów, krwawy ich epilog, kilkuletnie więzienie i wczas wymuszony uczestników obchodu weselnego, odbiły się w literaturze pamiętnikowej, posługującej się przeważnie językiem polskim, spisywanej jednak dla niewielu, dla rodziny, i dopiero po wiekach całych ogłaszanej drukiem.

Na czele jej stoi „Pamiętnik” **Stanisława Niemojewskiego**, który w tragedję tę wlaźł, jak Piłat w Credo, wyjechał do Dymitra z klejnotami królowny Anny na sprzedaż, a wrócił dopiero po paroletnim więzieniu. Miał czas przypatrzeć się rzeczom moskiewskim i opisał je otwarcie i bezwzględnie, poraz pierwszy uzupełniając luki literatury polskiej, nie troszczącej się nigdy o to, co ją najbardziej obchodzić winno, o sąsiadów; gdy Anglicy mieli już najbogatsze i najdokładniejsze informacye, Fletchera i innych, u nas o Moskwie bajano byle co; przeceniano jej środki i bogactwa niegdyś, teraz popadano w błąd jeszcze niebezpieczniejszy; przekonawszy się bowiem naocznie o jej strasznem ubóstwie, moralnem i materyalnym, wmawiano w siebie, że łatwo ją pożyć będzie, zapominając co znaczą choćby drobne siły, wytężone w jednym kierunku, kierowane jedną wolą, wobec rozprzężenia własnego.

Pamiętnik Niemojewskiego ciekawy dla sądów i uwag bardzo nieraz słusznych i trafnych, nawet o ubiorze i pożywieniu, począwszy od niemowlątek, mlekiem bydlęcem hodowanych, więc bydlęciemających nawzajem, nuży nieco powtarzaniem wszystkich, całkiem bezpłodnych, choć ciągle ponawianych pism i listów, apelujących daremnie do prawa narodów. Inne pamiętniki nie mają tych szerokich widoków, ograniczają się nieraz dosyć suchem streszczaniem ciekawych faktów, pochodów, noclegów, utarczek, np. pamiętnik Borszy, porucznika Dymitrowego; Dyamentowskiego, ochmistrza Maryny; Jana Piotra Sapiehy, kondotyera drugiego Dymitra i Maryny; Marchockiego rotmistrza. Ciekawszy Maskiewicz z dyaryuszem, opowiadającym tryumf niesłychany Kłuszyński i również niesłychany głód Kremłowski i uwijanie się konfederatów po Polsce, z pijatykami, awanturami nocnymi, dyabelskimi widzeniami; Maskiewicz, Litwin z humorem polskim, zapowiadającym Paska, nie zadowolili się faktami, jak spółcześnie jego towarzysze broni, lecz kreślił i samo życie moskiewskie, pogardę tańców i muzyki, ciemnotę ogólną, aż do szczegółów choćby o izwoszczykach, za grosz

na turę najmowanych, taksametrów XVII wieku przed „fiakrami” paryskimi. Dalej Tytłowskiego Macieja o roku 1620 i 1621, Dominikana-kapelana Okolskiego o wojnach kozackich roku 1638 (co wszystko i Rusini tłumaczyli na cerkiewne).

Nad to ptactwo drobniejsze wzbija się orzeł wysokiego lotu, **Stanisław Żółkiewski**, hetman i kanclerz, charakterem i talentem (wojennym) górujący nad Zamojskim, ustępujący mu w szerokich widokęgach umysłowych. Jego pamiętnik kampanii moskiewskiej może się równać z komentarzami Cezarowymi, które hetmanowi widocznie przyświecały; przedmiotowe to i bezstronne sprawozdanie, spokojne i równe, ledwie odczuwać daje grozę położenia, próżne wysiłki hetmańskie, gdy najzdrowsze rady ślepy upór królewski odrzucał, a mimo to heroiczne pełnienie obowiązku, od czego się zawsze u nas z najblęższych powodów, dla zadraśniętej ambicyi czy próżności, usuwano. I nie wysuwał się hetman na pierwszy plan, i uchylał komplementy niezasłużone; on jedyny nie stroił się nigdy w żadne barwy i blaski, i niebawem już nie za Cezarem, lecz za Leonidasem przypadło mu zaledz własnem ciałem szlak do Korony otwarty; prostota wielkości prawdziwej bije z każdej karty „Progresu” czyli „Początku i progresu wojny moskiewskiej”.

Jakżeż odmienny pamiętnik kanclerza litewskiego, **Olbrychta Radziwiłła**, niestety po łacinie pisany, chociaż już w XVIII wieku przez innego Radziwiłła na polskie wytłumaczony. I to niby rojalista, patriota i katolik, ale przede wszystkim Radziwiłł, więc za kalwinem gardłować będzie, skoro tylko swój, więc w opozycję uderzy, skoro mu intrat uszczupłą, więc o wzmocnieniu władzy królewskiej nie pomyśli, bo mogłaby widokom familijnym zaszkodzić, warchoł w zarodku, chociaż w Janusza Radziwiłła lub Krzysztofa Opalińskiego możeby jeszcze nie wybujał. Człowiek pokojowy i pokojowiec, familiant głównie, wiedzący o wszystkim, opisujący *con amore* i ludzi i czasy, aż do „wircauzów“, do zabaw improwizowanych i maskarad na dworze królewskim, bardzo nabożny, tłumaczący nawet sam ascetyczne pisma innych i komponujący własne.

Obok tych więziennych, wojennych i dworskich pamiętników (pomijamy opisy Cecory i Chocima i t. p.) należałoby wymienić pamiętniki podróży zagranicznych, z których najciekawsza, królewicza Władysława, w osobie towarzysza, Paca (pisarza litewskiego)

wcale szczegółowego, bystrego acz nie całkiem szczerego znalazła sprawozdawcę, a takich dyaryuszów i itineraryuszów jest więcej, Sobieskich i innych, lecz wartości literackiej one nie mają, ciekawe dla ludzi, miejsca, czasów, nie ciekawe ich wystawieniem, ograniczające się nieraz wcale suchem wyliczaniem odległości, noclegów, kościołów i t. p., np. Oświęcima, Grudzińskiego i innych, Austryę, Niemce, Francję, Belgię, Włochy opisujące, przeważnie po polsku.

W drugiej połowie wieku mnoży się coraz bardziej różnolitych pamiętników. Jedne trudno i nazwać takimi, np. Golińskiego, Jerlicza, Jemiołowskiego i innych, skoro opowiadają rok za rokiem dzieje ogólne polskie; inne spadają do rzędu krótkich zapisek choćby codziennych, ale jakby notatek gospodarskich, z skrupulatnem zapisywaniem każdodzienniej pogody, np. Chrapowickiego, ciekawsze nieraz dla metereologa, niż dla historyka; inne znowu nadto krótkie, konotatki raczej, niż pamiętniki, np. Wierzbowskiego lub Zawiszy i Poczobuta - Odolanickiego, obu Litwinów, miejscami tylko więcej obszerne i barwne; inne wreszcie ograniczają się do osoby, np. Wydźgi, broniącego Ludwika Maryi; albo łączą razem akty i sprawozdania, nie opowiadając ciągu, np. Medekszy księga pamiętnicza. „Wiedeńska“ wywołała najrozmaitsze zapiski, lecz nikt nie wzniósł się do wysokości epicznej, ani kusił się o odtworzenie imponującej całości. Z powodzi tej literatury, do literatury, przynajmniej pięknej, nie roszczącej zazwyczaj żadnej pretensyi, wyróżniało się owiane jednolitym duchem pokory i ufnosci chrześcijańskiej, opowiadanie przeora Kordeckiego o gigantomachii, o daremnem kuszeniu się szwedzkich olbrzymów przeciw częstochowskiemu olimpowi katolickiemu i jego kultowi Maryjnemu, po łacinie, wielkie dziwną prostotą, dziwnym przedmiotem, dziwnymi szczegółami, na poły mistycznymi; dokładne, aż do wciągania *in extenso* wymienianych pism i not, aż do rozdzielenia roli między obłożonych, od wytrąbywania melodyi Maryjnych ze szczytów wieży i rozganiania chmur począwszy; jeden z bardzo niewielu pamiętników spółcześnie drukowanych.

Całkiem do literatury za to należą pamiętniki **Paska**, w jedynym, nie zupełnym niestety rękopisie zachowane, jeszcze gorzej zeszepeczone ciągłymi makaronizmami, obowiązującymi coraz bardziej każdego piszącego, i najpodlejszymi wierszami; w formie najprostszej, bo chronologicznie wedle lat ułożone, nie równomiernie

zresztą, bo całe lata kilkunastu wierszami zbywające, gdy w innych materji aż nadto, t. j. w dawniejszych, gdy p. Pasek w Danii i Litwie harcował, podczas gdy na piaskach małopolskich Mazurowi fantazja i szczęście już mniej dopisywały. Śmieją się z przygód myśliwych, że wymyślone, ale i żołnierskie nie zawsze lepsze, czego dowodem romanse p. Paska. O prawdę dziejową historykowi babińskiemu nie chodziło; o sobie wymyślał różne awantury z bogatą szlachcianką duńską, od Amora tak zranioną, że, mimo różnicy wiary i ojczyzny, Paskowi się na szyję rzucała, o nadzwyczajnych posądzeniach, niebezpieczeństwach i badaniach, z królem, z za ko-bierca się przysłuchującym, rzeczy godne Dumasa, trącające Zagłobą; o zwycięstwach na lądzie i morzu, w istocie bardzo wątpliwych. Ale darujemy chętnie, że przywłaszczał sobie Pasek zasługi, których mu nigdy nie przyznamy, podobnie jak bynajmniej nie wszystko w jego rękopisie z jego pióra wyszło (np. paszkwil na Prażmowskiego i innych); zapomnimy nawet o człowieku, nie sympatycznym bynajmniej; czem Pasek nieoceniony, to humorem, werwą, życiem, zamaszystością, z jaką opowiada, co było i czego nie było. Pierwszy to romans historyczny Polski, godny stanąć obok „Trzech Muszkieterów“ i bohaterów Sienkiewiczowych. Te same nieraz przejścia opowiada stokroć sumienniej, wszechstronniej, gruntowniej, Kochowski: co język i styl za czarodzieje, widzimy na Pasku; tylko on, nie Kochowski, daje barwne obrazy, o mieniącym się ruchu i połysku; wprowadza nas w samo życie, między te dziwne natury, czy przed ołtarz, z bębnow sklecony, czy w namiot carskiego wojewody ze strasznem wódczyskiem i huznem łabędziem, czy w taniec odbijany między ziemian małopolskich, sztydzących z „Mazurów miłych, gdzieście się popili?“ Każde zdanie, nawet z tą łaciną fatalną, wyjawia Polaka, szeroką i wesołą naturę, animusz rycerski, czy się z piwnicy Litwinom ogania, czy mieszczuchów obuszkuje, czy w twardej przeprawie szabli nie żałuje, a równocześnie za obłowem zerka.

Nim się Pasek do pisania zabrał, opowiadał on nie raz jeden w kole szlacheckiem te dzieje, w gawędach bez końca i tak mu się one od ręki, bez namysłu, na papier wylały, ze szczegółami coraz nowymi, coraz wyrazistszymi za każdym nowem opowiadaniem, że w końcu chyba i sam autor święcie w to, co napisał, uwierzył. Jowialność, szczerość i otwartość bije z tych kart ziemiańskich, okurzonych prochem, poplamionych krwią, uznojonnych potem; niema

tu delikatności, jeszcze mniej było jej w życiu; nie wykwintnego, wszystko aż nadto rubaszne, ale poczucie żywe honoru, klejnotu szlacheckiego, daru, który odsługiwać należy życiem i poświęceniem; nie spadł ten szlachcic na domatora, czepiającego się klamki pańskiej i już tylko za powodzenie Jaśnie Wielmożnego łeb i sumienie nadstawiającego; a choć zaściankiem trąci, choć widok umysłowy nie daleki, choć nadto krewki i rubaszny, bije od niego poczucie, choćby i zawadyackie, godności osobistej, któregośmy u innych Słowian wtedy napróżno szukali.

Z pamiętnikami dzieliły opisy podróży, że nie do druku to je przeznaczano, że je notowano dla własnej wiadomości chyba, ale w języku polskim, i nieraz nie wystarczały już więcej wyliczania samych noclegów czy popasów i ich odległości. Coraz bardziej wyróżniała się Polska od sąsiadów i mimowoli odmienne otoczenie oddziaływało; Wschód nęcił swemi osobliwościami, Zachód uchodził coraz więcej za szkołę poloru i smaku. Wierszomania stulecia brózdziła i tu; co pisarz litewski, Pielgrzymowski, w drodze do Moskwy z Sapiehą, albo co Samuel Twardowski po drodze konstantynopolskiej ze Zbaraskim zanotowali, to samo oni przelewali za wczasu domowego w wiersze; inni jednakże pozostawiali notaty w pierwotnej ich formie. Byli to albo uczniowie, i ich notaty najmniej ciekawe, np. takiego Mikołaja Grudzińskiego z podróży na Zachód, do Gdańska i miast pruskich roku 1649, a potem z Wiednia do matki pisane, wszystko bardzo lakoniczne, albo ich ochmi-strzowie, np. Sobieskich, notowali za pupilów swoich; ciekawsze bywały relacje np. Zygmunta Lubienieckiego, dyaryusz legacyi tureckiej, którą za Miaskowskim odbył roku 1640, gdzie od wyjazdu do powrotu wszystko, co widział, obszerniej wypisywał, życie na Wołoszczyźnie, przeprawę przez Dunaj i Bałkan, pobyt w Konstantynopolu z ciekawemi spotkaniami jeńców i więźniów, nieraz już od kraju odwykłych całkiem, a czasem jeszcze biedną matkę w domu pozdrawiających, z zakupnami bazarowemi, z etykietą obcych posłów i t. d.

Jego opis to jeden z najciekawszych, chociaż krótki, pisany z wielką werwą, nie szczędzący skąpstwa pana pośła ani prędkości towarzyszków, którzy za byle co, za tytuł braciszka nawet (jam cały brat!) *ad malos verbos*, a potem do korda się brali.

Zapiski Oświęcima, ciągnące się przez dłuższy szereg lat, zamieszczają i dyaryusze obcych (np. tureckie Krusińskiego i Biega-

nowskiego), ale zbyt ściśle i skąpe w szczegóły. Koniuszy koronny, Jerzy Dzieduszycki, opisał obszerniej podróż z roku 1691, zaczął po łacinie, lecz prowadził dalej po polsku, zwiedził Holandję i Francję i najbardziej interesował się fortyfikacyami, Vaubana i innych, które dokładnie opisywał — chyba na śmiech, skoro w Polsce stare fortece burzono, zamiast nowe zakładać; wiele cudzoziemszczyzny, z fatalną nieraz ortografią, w jego notach, chociaż później koniuszy i po francusku traktaty całe pisywał, jeden z pierwszych Polaków.

Ruchliwy to był człowiek i pisarz, bywalec po świecie, stronnik Sasa, pisywał wierszem polskim i prozą polską i francuską, traktaty polityczne (o elekcyi króla polskiego; *L'éloquence des conseilles de Pologne*, niby pendant do dziełka Fredry, wyłącznie o wymowie politycznej traktujące) i alegoryczne, np. „Opisanie ogrodu“ wierszem, dosyć ciężkie i suche, niby protoplasta Drużbackiej i jej opisów, chociaż nacisk na moralną stronę porównań położony, pilności, pracy i t. d.; jest nawet traktat jego, jako koniuszego koronnego widocznie, o podniesieniu chowu koni w Polsce — chociaż i ten bez wierszów się nie obył. Pan koniuszy jak własne podróże i przemowy (i do cesarza Leopolda od Sasa wysłany), a nawet wiersze łacińskie spisywał, tak zbierał i opisy obcych, np. poselstw tureckich; prace jego sięgają już i w czasy saskie; do druku się nie dostawały.

Każde poselstwo pozostawiało w aktach relację urzędową obok prywatnej, od sławnego wjazdu np. Osolińskiego do Rzymu, począwszy, przez relację Opalińskiego o drodze królowej Ludwiki z Francyi, aż do dyaryusza poselstwa wielkiego wojewody, Rafała Leszczyńskiego, do porty otomańskiej roku 1700; więc jest np. i obok prywatnego dyaryusza Lubienieckiego urzędowa relacja samego Miaskowskiego o poselstwie. Po rękopisach zalega takich relacji i podróży jeszcze sporo, np. „Dyaryusz drogi z Wilna do Warszawy“, Antoniego Burnickiego, albo „Itineraryusz peregrinationis Romanae“ (po polsku) z roku 1693 i 1700, do ciekawszych należy opis podróży zachodniej (do Belgii i t. d.) Andrzeja Reja roku 1637 (w towarzystwie posła polskiego), który fantazji nigdy nie tracił, nawet przejeżdżając obok powieszzonego za eksces towarzysza: nasi zawsze górą! Podróże powtarzają się w dyaryuszach i pamiętnikach, np. najciekawszy ustęp w pamiętniczku mieszczani-

na zamojskiego, Golliusza, dotyczy roku „pennalstwa“ jego na uniwersytecie lipskim (r. 1650).

Bogactwa XVII wieku (wobec rażącego ubóstwa XVI wieku) nawet nie łatwo wyczerpać: wymienić możnaby jeszcze innego mieszczanina, rajcy kazimierskiego, Marcina Golińskiego, „żałośny dyaryusz pod Zbarażem“ (wraz z wierszowanym „Lamentem Korony Polskiej“) i tegoż *Polonica memorabilia* (1621 — 1661); Świrskiego *annales* (1637 — 1666), Grabieckiego (1663 — 1686) i t. d., pamiętnik wojewody Obuchowicza (znanego ze Smoleńska i innych Obuchowiczów, więźnia też moskiewskiego z ciekawymi szczegółami o Moskwie r. 1660); Jana Cedrowskiego, dysydenta, „Żywot“ (1617 — 1682) — najciekawszy między nimi dla osobistości niezwykłej, przewrotnej, bujnej, *cursus vitae* Boguchwała Radziwiłła (wydany i drukiem w polskim tłumaczeniu), albo Tokarskiego „Memoryał żywota ks. Radziwiłła“ (kanclerza Olbrychta, z rysami ciekawymi arcy pobożnego pana, który swe grzechy sługom śledzić, a potem dyscyplinować się kazał, jego hojności i dobrotliwości — dobrodziej nasz i chłopów, nie pan — ale również musieli dostępujący przez niego urzędów i godności zawsze mu „dziękować“ tyłu a tyłu tysiącami złotych i t. d.).

Najmniej rozwinęła się w porównaniu z wiekiem XVI beletrystyka w prozie; i jej zakres raczej się cofnął i zwężył, jak w innych objawach umysłowości polskiej; rzeczy, co niegdyś przełożyli bakałarze krakowscy, Jan z Koszyczek, Marcin Siennik i t. d., a więc „Historię siedmiu mędrców“ (Poncyan) i „Historye rzymskie“, Aleksandra i Fortunata, Meluzynę i Magielonę, Ezopa i Sowizdrzała i t. d., wybijano coraz i sprzedawano po jarmarkach, np. na Jarosławskim, dokąd księgarz lwowski znaczne ich partie wysyłał. Duchowieństwo przeciw nim występowało, chciało prawdziwemi czy pobożnemi historyami zmyślane rugować; tak napisał ks. Kazimierz Auspurger „historię o jedenastu tysiącach dziewic“ (roku 1674) i zaczął od przemowy:

Fortunat z Meluzyną, fabuły zmyślane,
Mając dla próżnujących koncepta pieszczone i t. d.

Dawne zasoby już się nie pomnażały; przybyła właściwie tylko „Historia bardzo ucieszna o Charykłej królownie i Teagene-sie, z niemieckiego przetłumaczona“ (1663), lecz nie spodobała się

widocznie, bo brak liczniejszych edycji, chociaż to najslawniejszy romans starożytny, „Etyopiki“ Heliodora, które niegdyś pierwszy Stanisław Warszawski z greckiego na łacinę wyłożył, ciekawe treścią awanturniczą (porwanie przez zbójców morskich, szukanie się kochających, dziwne ich przygody i t. d.) i formą. Lepiej podobały się zato niewybrednym „Facecje polskie“, z wierszykami moralizującymi, pod różnymi tytułami co raz przebijane, przeważnie towarem obcym (z Bokaczia i t. d.) zapchane; mniej dowcipne, lecz przyzwoitsze i co najważniejsze, swojskie fraszki zebrał „Maurycyus Trztyprzytycki Radopatrzek Gładkotwarski“ w „Co nowego abo Dwór mający w sobie osoby i mózgi rozmaite i t. d.“ (r. 1650), czerpiący z żywej tradycji, o Piotrze Smoliku, o Danieckim, Żabczycu i innych; dworstwa jego miały tę zasługę, że nie „śmierdziały, jako Sowizdrzałowe“, ani szczypały lub bolały, chociaż szczególnie o „dworstwach dworzanina wielkiego Smolika“ nie zawsze to powiedziećby można; były i żarty np. „Fedka grubego Rusina“ z podróży włoskiej, gdzie mu się podobało, że chleb panem nazywają, ale panów Swiniorami, a trawę jedzą, jak barani, (odwieczny to żart polski na sałaty włoskie) i płaszcze noszą, jak cygani.

Największą popularnością cieszyły się dla swych sentencji Bieniasza Budnego, sługi Radziwiłłowego, „Krótkich a węzłowatych powieści, które po grecku zową Apoftegmata, księgi cztery“, wydawane z dziesięć razy w pierwszej połowie wieku, tłumaczone na ruskie po rękopisach i w drukach XVIII wieku. Pierwsza najobszerniejsza księga obejmuje filozofów, druga królów, książąt i senatorów, trzecia Lakończyków, czwarta kobiety, z Wandą i Jadwigą na czele, wszystko głównie ze starożytności, lecz przystosowane do rzeczy polskich, cytacyami z poetów i mówców ozdobione, chociaż wiersze nieraz bardzo szwankują, np. Owidyuszowe *ingenio formae damna rependo meae*, brzmi tu „więc dowcipem nagradzam, gdzie w gładkości dziura“.

Charakterystycznem pozostaje, że wiek nie sięga już do źródeł niemieckich, lecz do włoskich, a już i za francuskiemi oglądać się zaczyna. I tak miała trzy wydania „Historia bardzo ucieszna z francuskiego języka przełożona młodzianom i pannom przystojnej miłości hołdującym gwoili, a raczej jednej damie w Koronie Polskiej za sam hołd i powinny honor oddana“ (1642 roku), pierwszy romans francuski, a raczej nowela z dodatkami tłumacza i gładkiem przerabianiem listów miłosnych na wiersze: tłumaczem

był, zdaje się nam, Łukasz Opaliński, lubujący się w drobnych rzeczach, korzystający z możliwie moralnego toku opowiadania, w gruncie wcale nie moralnego.

Na dworach czytano gorliwie romanse francuskie; Stanisław Lubomirski np. znał je wszystkie, te „zmyśłone historye co się Romaniami nazywają... Cyrus, Eromena, Stratonika, Kaloander, Dianea, Talikleia, Klelija, Kleopatra, Faramond i inne, dla polerowania stylu i wymowy przez dworzan i damy pisane“; Sobieski, korespondując z Marysienką, gdy jeszcze Zamojską była, używał stale kryptonimów z tych romansów, Celadona i Astrei (z Astrei Honorego d'Urfé), polecał jej gorąco „Kleopatré“ (pana de Calprenède), a od niej odbierał pierwszą część „Cyrusa“ (panny Scudéry). Mnożą się przekłady z francuskiego, wychodzące nie od bakalarzów już, ale od szlachty; tak tłumaczy Stanisław Działyński, starosta kiszewski (zm. 1719), kawalera de Préchac „Historyę o kawalerze polskim“, wojewodzie chełmińskim, Walewskim, rozkochanym w panie z fraucymeru Leonory, żony króla Michała, Berałdzie, jako po najrozmaitszych przygodach, przebraniach, wbrew rywalce i niechęci ojcowskiej, wierna para się połączyła. U Francuzów nie był to pierwszy romans, wzięty z Polski, i w granicach historii jako tako utrzymany; poprzedziły go *Les amours de Bonne Sforza, reine de Pologne* roku 1682 (na angielskie wyłożone r. 1684), które anonim i na polskie przetłumaczył, „Romans o królowej Bonie“, częsty po rękopisach, niemożliwy wówczas w druku: dwór Bony przedstawiony, jako szkoła miłości, gdzie w oczach starego króla o względy królowej ubiegają się biskup krakowski, co w brewiarzu swoim ma Bonę wymalowaną jako różne „święcice“, a siebie u nóg jej klęczącego, Tarnowski i Ostroski; o najniemoralniejszych rzeczach opowiada się z największą swobodą, stosunki wersalskie na Wawel wprowadzone, najostrzejszymi wycieczkami przeciw duchowieństwu ubarwione, np. „ludzie profesyej tej tak są do pacierzy przyzwyczajeni, że, gdzie za grzech żałować potrzeba, tam się o pomoc do grzechu modlą“ i t. p. Romans o Don Pedrze, obok „Bony“ się pojawiający, najrozwoźlejszy, dyskredytuje niewiarę żeńską, przed którą nikt się nie ustrzeże: bohater jego wycofuje się wcześniej ze wszelkich awantur, ale zdradza go w końcu i najgłupsza, właśnie dla swojej głupoty: i Bokaczia tu prześcignięto. Kryło się to wszystko po rękopisach; w drukach granic średniowiecznej powieści bynajmniej nie rozszerzano; a z druków czerpały znowu rękopisy, zbierające

take powieści zewsząd, wystawiające za główny cel naukę moralną.

Najciekawsza między tłumaczami osobistość to niegdyś wojski, potem podkomorzy brzesko-litewski, **Krzysztof Piekarski**. Służył on długie lata wojskowo, w każdej potrzebie za Władysława IV, od Chocima począwszy, szablą nieprzyjaciela ojczyzny zwalczając, a na stare lata próżnowanie — piórem; najdoskonalszy to typ „baroku” polskiego. Wybierał tylko takich Włochów; zaczął „Adamem” Loredana, którego i Stanisław Lubomirski bardzo cenił, Włosi sami dawno o nim zapomnieli, rozbierając w napuszonym stylu wszelkie ciekawostki i kwestye o raju i pierwszym człowieku; lecz najwięcej użył on na „Strasznym Bohatrze” i „Suplemencie Bohatyra Straszego”, przetłumaczonych z *Capitano Spaventa*, drukowanych nieraz. Są to rozmowy Bohatera i sługi, Totumfackiego, niby Don Kiszota i Sancho Pansy, najstraszliwsze rodomontady, skoroć Bohater i gwiazdy do szabeltasu chowa, z bogami najpoufalej się rubaszy (trawesty to najdawniejsze), od kolebki już na pierwszego Bohatera się kieruje, niewiernych, zbójców rozbija, a przytem na uczoność się sadzi, „encyklopedyę erudycyi” dając, bo rozprawia o Apellesie i o Likurgu, o koniu Sejańskim i o srebrze Tolozańskim (przynoszącem nieszczęście), o ucztach Neronowych, zbiór „dumą wyniosłą rozdętych żartów” „niepróżnującego próżnowania” siedemdziesięcioletniego starca. Jest to „Panie Kochanku” i „Münchhausen” XVII wieku, ale w stylu zupełnie groteskowym, bizarre; bohater odwiedza i słońce, gra w karty z Fatum i Fortuną, pije na krasę i lelum po lelum z bogami i półbogami, pluje Wenerze w kaszę, a śmierci - kochanki niewczesnej odkaraskać się nie może, spożywa głowiznę kołtunowatą Meduzy, rozdaje po piekle ordynanse swej hałastrze urwipołciowatej — jednym słowem, Włoch przebrał się w szaty domorosłego, niewybrednego, ale nieraz arcydrastycznego humoru. Nieprzeplącony styl jego, nie inwencya (bardzo wątpliwego smaku), styl strasznie rubaszny, dziki i ordynarny nawet, zamaszysty, jedyny, ale barwny, aż jaskrawy, przesadza Paska, Kochowskiego i Potockiego, pełen animuszu, wojskowym uszom tylko ponętny, ale sztukmistrz języka, od którego i Krasiński uczyć by się mógł: od łbowatej mózgownicy począwszy, łyżakiem do podkasałej szubienicy przytaśmowanej, od tego jak się naumordusił kaszlem, nim się wtorbanił na łóżko, dla zamieszanego rumrychtem smrodliwym powietrza, aż do Endymiona owcza-

rza, bryndzą utuczonego, farynnika Jowisza, mydlarza Apolina i do owej maksymy o żonach: dobra jak bażant, pióra podłe, ale mięso smaczne, zła jak liszka, skóra dobra, ale mięso jej chyba dla świń, gdy zdychają nagle — niestety, najciekawszych zwrotów przytaczać nie można, np. z narodzin „Strasznego Bohatyrą” wychodzącego na świat z takim krzykiem, że Dobrodziejka, bólów zapomniawszy, nie oparła się aż w trzecim boso folwarku, mamka, padłszy wznak, straciła pokarm, a kumoszki i t. d.; tacy i jego kapitanowie, Dusigardziel, Stobijgłowa, Burzywalka, Palikyskawica, Gromiburza i t. d.

Nie wytrwał jednak stary Piekarski przy samych żartach, wystawił „Cnoty cel, nie ów do którego zmierza Macchiawel i inni w akademiej onegoż promowowani politycy”, napisał też „Periphrasis nawrócenia do wiary Szawła surowego, politycznymi przepłatana aforyzmami”, korzystając z wielkiego czytania w politykach (Bodinus) i historykach (Guicciardini i innych). A za jego przykładem poszła cała literatura prozaiczna, w drugiej połowie wieku coraz wyłącznie ascetyczna.

Poważne dzieła historyczne nie pojawiały się; co jeszcze tłumaczono, zalegało w rękopisach, wydawano chyba ascetyki, coraz potworniejszych rozmiarów i myśli, a więc Bernardyna Krupskiego „Objaśnienia Brygitty”, albo Dzielowskiego „Kalwaryę Zebrzydowską” lub „Gościńiec prosty do nieba” (na dnię tygodniowe rozdzielony, 802 stron, częściej wydawany, z którego Wacław Potocki tak szydził, wiedząc tylko o stromej ścieżce do nieba, nie o wygodnym gościńcu); Karmelity Jana a Jesu Maria i jego tłumacza Cyryla a s. Francisco „Praktykę dobrej śmierci” i t. d.; Jezuitę Druzbickiego, Sieradzanina, ratującego wraz z Jezuitą Tylkowskim jako tako honor polskiej teologii XVII wieku, dzieła tłumaczone na najrozmaitsze języki (wydawane po angielsku i hiszpańsku w XIX wieku, po francusku i niemiecku w XVIII); Tylkowskiego tłumaczono i na rosyjskie; z nimi zawodził trzeci Jezuita, Niemiec, Drekseliusz, w wydaniach i tłumaczeniach i z polskiego przedostał się również do Moskwy w XVII wieku, jego „Oko wieczności”, „Obraz wieczności”, „Wieczność piekielna” i t. d.; jego „Słonecznik albo porównanie woli ludzkiej z Bożą” przetłumaczył kanclerz Olbrycht Radziwiłł r. 1630, któremu Drekseliusz inne łacińskie opus dedykował.

Powódź druków ascetycznych rosła z roku na rok; pojawiały się coraz więcej wyszukane tytuły np. u książek do nabożeństwa:

„Młotek duchowny, w sercach ludzkich, tor Chrystusów drelujący“ (r. 1656) i t. p.; prócz nich coraz liczniejsze zbiory kazań, ciekawych chyba dla anegdot, żartów i zwrotów drastycznych. Umiejętności zamilkały, ostatnie dzieła poważne wychodziły z pod piór ludzi starej daty, Starowolskiego i Broscyusza, ostatniego matematyka krakowskiego przed Śniadeckim, sarkającego wobec Galileusza na to, że prawdziwie rzeczowej „opinia“ przeszkadza. Cenili go bardzo koledzy, ale nie dlatego, że „cyferkami się bawił“ i do kursów czysto scholastycznych gustu nie miał — dlatego nie miał szczęścia do nich, chociaż na teologię przeszedł — lecz, że Jezuitom strasznie przyciął, wykazując, co ich „gratysowe“ uczenie kraj kosztuje (*Gratis*), że akademia ma „Przywilej“ uczenia i że „Konsensu“ z Jezuitami nie było, na co Jezuita Szembek - Pięknorzecki w strasznie obszernym „Gratysie wyćwiczonym“ osobno odpowiedział, nie dorównywając ciętości napastnika.

Te dyalogi, nie matematyka, zjednały Broscyuszowi fawory koleżeńskie; dla matematyki starczyło zbywanie jej wykładami, koleją lub losem wyznaczanymi. Nie dziw więc, że niebawem na polskiej ziemi już tylko przychodnie sławili się nauką, filozof-pedagog Komeński i polihistor Jonston w Lesznie, poprzednik B. Chmielowskiego i Akademii jego; Heweliusz, astronom w Gdańsku, jurysta Olizarowiusz w Wilnie; że coraz rzadziej nawet z tłumaczeniami dzieł poważnych, naukowych (o artylerji, miernictwie, architekturze i t. d.) się spotykamy; że nawet na polu gospodarstwa domowego, nauki pszczelarskiej, łowieckiej i t. d. połów nie obfity, chociaż „Hippiki“ Dorohostajskiego na początku wieku, a Haura „Skarbiec ekonomii“ na końcu tegoż (często przedrukowany i skracany) wcale poważnie ten dział reprezentują, by o pracach innych, Zawadzkiego i t. d. nie wspominać.

Prace cenniejsze wycofują się jednak powoli, jak i w poezji, z widoku publicznego. Jako oznakę czasu, wymienić należy dzieła biskupa łuckiego (potem poznańskiego), **Stanisława Witwickiego**, treści moralnej, wcale nie poślednie tak, że drukowano je bez zmian i za Stanisława Augusta, górujące nad spółczesnymi, a mimo to głęboko w nich grzęznące, pełne niekonsekwencji, znamiennej dla ludzi XVII wieku, rażącej nas w Opalińskich i Fredrach. Biskup protestował przeciw pławieniu i paleniu czarownic, lecz sam najgorliwiej na nieszczęsnego Łyszczyńskiego instygował; śmiał się z uroszczeń szlacheckich, z przesadnego mniemania o zacności „krwi“ —

toć-by pchły szlachecką krwią najwięcej szczyścić się mogły, a sam wymyślał dla siebie rodowód od Gotów hiszpańskich i Witigesy i najprzedziwniejsze tytuły np., księcia na Słupcy i Krobi; objaśniał jak najdokładniej ustrój makrokosmu i mikrokosmu, a protestował przeciw rozpychaniu głów młodzieńczych słomianemi gęsiami, t. j. baśniami starożytnymi, całkiem jak niegdyś protestant Rej, albo prawosławny mnich, Wiszeński, przeciw „łacinie“ Ruś przestrzegający; kazał uczyć, że właściwy rzeczownik to Bóg, a czasownik to słowo przedwieczne i t. p., wciskając wszędzie teologię. Pomijamy jego „animastykę“ i chemię, traktaty fizyologiczne i kosmogoniczne, porównywanie ustroju człowieka, odbijającego w szczegółach ustrój przyrody (tępanie pulsu przypomina mu przypływ i odpływ morski i t. d.), ale to pomieszanie prawdy i fałszu, przesądu i przenikliwości, wiedzy i zabobonu cechuje czas i ludzi; on przeczy, jakoby się Żydzi ślepo rodziili i krwi chrześcijańskiej i hostyi dla przejrzenia potrzebowali; on wywodzi, wedle utartej etymologii ówczesnej, nazwę szlachty z niemieckiego *Schlachten*, ze srogiego przelewania krwi nieprzyjacielskiej; odradza od nauk, od hyperprodukcji inteligencji, niebezpiecznej w państwie wolnem (co już książę Gonzaga w XVI wieku wywodził): skoro przy księgach zniewieszcie człowieka, odwyknie od szabli i najemne wojsko zdusi potem jego wolności — ale słusznie wymagał, by się szlachta do broni, powołania swego wkładała i jeszcze słuszniej krytykował np. rozszczenia sejmików relacyjnych, protestujących się przeciw uchwałom sejmowym; każdy stan, wiek, płeć obdzielał „Nauką powołania chrześcijańskiego“ (1684), najobszerniej — stan duchowny naturalnie, nawet i dla księży unickich; nie skąpił anegdot, szczególnie aby marność rycerzów świeckich wykazać — pisząc wyborną polszczyzną, w zdaniach krótkich, urwanych, niby maksymy mędrca zwołanego.

Nie w prozie jednak święcił polski wiek siedemnasty właściwe tryumfy. Jakby wetując zacofaność i ubóstwo średniowieczne, które poezyi polskiej nie stworzyło, rzucił się on teraz dopiero na poezję, i, gdy w literaturach sąsiedzkich, francuskiej i niemieckiej nawet, proza powoli praw coraz większych się dobijała, narazie w romansie, noweli, historyi, gdy poezję ograniczano do dramatu i liryki, zalewały w Polsce flukty poetyckie całą literaturę, stawały się niby normą dla książki polskiej. I nie tylko tryumfuje forma, ale nawet tematy, ulubione w poezyi gnomicznej średniowiecznej

teraz, spóźnione o całe wieki się zjawiały, np. spory wody z winem, rozmaitych stanów, rozmaitych nacyi, spór duszy z ciałem i t. p., albo apokryfy średniowieczne, wizya Tundala i in. w wieku XVII zamiast XIV lub XV, literaturę naszły. Niewyczerpane są też bogactwa tej „poezyi“, chociaż z właściwej sztuki ona najczęściej tylko formę zewnętrzną posiadała; dla wydania należytego obrazu literatury narodowej, a właśnie w poezyi przeważa najczystsza polszczyzna, poezyi tej, długi czas zapomnianej, wzgardzonej, nieznanej, obszernej wzmianki, choćby dla częściowej jej rehabilitacyi, odmówić niemożna.

ROZDZIAŁ SIODMY.

POEZJA SZLACHECKA.

Uwagi ogólne o pisarzach; o pismach anonimowych; stan piszących, treść i forma pism. Pisarze wybitniejsi; epika historyczna i romantyczna; Twardowski. Epika religijna, mesyady polskie. Satyra Opalińskich. Wiersze dydaktyczne i fraszki: Wacław Potocki. Lirycy, religijni i polityczni, Miaskowski i Kochowski; erotycy, Morsztynowie; liryka gnomiczna Naborowskiego i in. Próby dramatyczne, Lubomirski. Kobiety autorki, Stanisławska.

O bogatej, różnorodnej, a przede wszystkim narodowej poezji siedemnastego wieku, ani wykwintnej wprawdzie, ani artystycznej, uprawianej całkiem po dyletancku, zbywanej nieraz byle czem, lecz rzeczywistą potrzebę wieku stanowiącej, popularnej niezmiernie, wyrażającej wszystkie jego ideały i pragnienia, narodowe i osobiste, zapomniano rychło a gruntownie, tak że, dopiero w XIX i XX wieku zasobów, jeśli nie skarbów tej poezji, nanowo doszukiwać się musiano. Kto w tem zawinił? skąd ta niepamięć?

Przedewszystkiem pisarze sami, dbający jak najmniej o trwałą po sobie pamięć, trwoniący bogate zasoby, nie oglądający się na przyszłość. Gdyby literaturę ich sądzić tylko z tego, co na jaw wydali sami, niewątpliwie wypadłby sąd wcale niepocholebnie, bo i cóżby się na nią złożyło? U początków jej Szymonowica sielanki, naśladowane ze starożytnych, i przekład „Jerozolimy Wyzwolonej“; w środku napuszone epopeje Twardowskiego i niesmaczne satyry Opalińskiego; na końcu znowu przekłady Morsztynów i ciężkie liry-

ki Kochowskiego, a zresztą same piśmidła ascetyczne, o formie haniebnej i myśli poziomej, albo panegiryczne, wstrętne treścią i formą, jedne trywialne i dzikie, drugie przesadą i wyrazem śmieszne. Jak na całe stulecie, byłby to plon nadzwyczaj ubogi. W istocie zaś tych kilku cenniejszych autorów i kilka dzieł i owe seciny niezdatnych błahostek ani wyczerpują, ani przedstawiają nawet umysłowego życia epoki. Właściwe jej skłonności i upodobania artystyczne, najgłębsze i najszlachetniejsze jej myśli, nadzwyczajna ruchliwość jej piór, wszystko, co dla epoki tej jest znamieniem, co chlubę i zasługę stanowi, nie zjawiało się w druku, publicznie, dla oka profanów i tłumów, lecz krążyło w odpisach, w szczupłym gronie znawców i miłośników, a później ginęło, nieraz bez śladu i na zawsze.

Czy jakakolwiek inna literatura coś podobnego wykaże? Gdybyż to jeszcze panowało grube średniowiecze, kiedy to kosztownego pergaminu byle czem zapełniać się nie godziło, a sztuka pisania tylko wybranym jednostkom służyła, nie dziwiłaby zatrać dzieł autorów, a choćby i całej literatury. Ale w XVII wieku, gdy już od dwuset lat prasy drukarskie pracowały, papier coraz taniał i wszyscy pisali, liczyć się ciągle tylko z rękopisami, z zaginionymi dziełami i autorami, z unikatami, z kopiami błędnymi—to chyba niezwykłe zjawisko; a przecież literatura tego czasu do niedawna była zagrzebana w rękopisach, albo i zatracona; w druku najlepsza jej część, znamienna dla niej, nie istniała nigdy.

Wydobywać ją z zapomnienia i zmieniać zupełnie sąd o niej zaczęto też dopiero w XIX stuleciu, na podstawie rękopisów. W czwartym dziesiątku XIX wieku odszukano Paska, a z nim barwne obrazki obozowego życia i zabaw domowych; w piątym, odnalazłszy liryki Andrzeja Morsztyna, odczuto po raz pierwszy i w dawnej poezji żar namiętności; w szóstym zaćmił rycerski poemat o boju Chocimskim całą dawną epopeę, choćby Krasickiego. Lecz wszystko to, razem wzięwszy, o zasobach właściwych tej literatury trafnego pojęcia jeszcze nie daje.

W wieku XVII pisywali wiersze i zajmowali się literaturą wszyscy: od Władysławów i Sobieskich począwszy, służyła wena poetycka każdemu na zawołanie; szczególnie młody, wrażliwszy umysł rwał się do wierszów, lecz nikt z nich rzemiosła nie robił: więc wierszów ani zbierano, ani gładzono, ani kuszono się o coraz większą doskonałość, wreszcie zapominano o nich całkiem. Taki

Andrzej Morsztyn, prawdziwe *ingenium* poetyckie, to typowa postać dla całego wieku. Za młodu pisuje i dobrze i wiele; bynajmniej nie przesadza, gdy do swej lutni się odzywa:

Tyś i mych myśli uciecha jedyna,
Z tobą się szczerą dobra myśl mi wszczyna,
Z tobą zabawa, z tobą próżnowanie
Za zysk mi stanie.

Lecz w druku, publicznie nie występuje nigdy i nigdzie; pisze sobie: „takem sobie w domu gędził, abych zły humor odpędził“. Więc bynajmniej nie dba o swoje rymy; obcy przywłaszczają je sobie i składają innym w ofierze; on sam, zajęty coraz wyłącznie sprawami wielkiej polityki, już tylko czasem jakieś zdarzenie, np. skandal towarzyski, głosuje rymami; Sobieskiemu, choć partyzantowi własnego obozu, nie przepuści przedwczesnych zalotów i urychlonych ślubów z Marysieńką (po Zamojskim) i napisze mu wiersz wcale uszczypliwy¹⁾, albo na rozwód panny Stanisławskiej (z kasztelanem krakowskim, Warszyckim, roku 1669) wygotuje trenpaskwil. Po latach dopiero wymuszają na nim nalegania przyjacielskie, że odgrzebie z prochu i pleśni coś z tego, co sam za młodu pisywał, i wydać z pracami innych pozwoli — gdyby nie ta przypadkowa publikacja po latach trzydziestu, bardzo wątpimy, czyby „Psyche“ i „Cyd“ naszych czasów dotrwały. I tak bywa ciągle: dawno już legł wielki rokoszaniec w grobie, a jego przekład „Wiernego Pasterza“ ukrywał się jeszcze zawsze w cieniu domowym. Syn jego również prac swych nigdy nie ogłaszał, i niejedna z nich, może najciekawsza, zaginęła; inne, np. „Ewandra“, wydarli mu dopiero obcy, przykrząc się prośbami. Za to wychodziły ciągle rze-

1) Serenada północna na ślub niezwykle wielkiego stadła, intonowana w Warszawie przy skończonej sprawie (między kawalerem i damą). Kawaler mówi:

Pytam, kiedy to będzie, że na jawi
Dawna nam Venus przenosiny sprawi?
Porzućmy przeszłe pokątne zaloty i t. d., .

przy końcu dyalogu czytamy: „przed ślubem wesele... przykład mamy nowy, tak się legą sowy“; w drukowanym tekście wierszu na Warszyckich brak większej jego części.

czy najniepotrzebniejsze i najmarniejsze: panegiryki i ascetyki, które pisało ubóstwo, a drukowała próżność; nawet znakomici pisarze, na domiar złego, ogłaszali ze skarbów swoich rzeczy najslabsze, np. taki Potocki, który „Argenidą“ i „Poczem Herbów“ czytelnika tylko odstraszyć albo znużyć potrafi.

Muzom nie sprzyjały czasy, i z każdym rokiem pogorszały się stosunki. Coraz mniej odczuwał ogół potrzebę wrażeń estetycznych: bito się, a potem, gdy pokój wreszcie nastał, prawowano, gospodarowano i bawiono się coraz zawzięciej i hałaśliwiej, a z codziennego trybu książka i literatura wymykały się coraz bardziej stanowczo. Przerzedzały się z przerażającą szybkością szeregi znawców i miłośników Muz, a dla tych niewielu, co pozostali, jeden lub kilka odpisów dzieł już wystarczało zupełnie; powiewał coraz silniej duch nietolerancyi, askezy faryzeuszowskiej; nikły i gasły wszelkie światła, i rozdzieliła się literatura na drukowaną, szkolarską, trywialną, i rękopiśmienną, w której kryło się wszystko wolniejsze, śmielsze, piękniejsze, cenniejsze; dla druku schlebiał i łgał żak, kaznodzieja i „astrolog“ albo „minucyaryz“; w rękopisie cieszył, skarżył, malował poeta, satyryk, nowelista; tu prawda, humor i piękno — tam przesada, pochlebstwo, maniera; tu poufałe grono znawców, co pracę ocenić umiało i nią się delectowało, tam ogół, który jednak prócz kalendarza, książki do nabożeństwa i awizów z Krakowa już nic innego nie czytywał.

Literatura nadobna traciła powoli a stale rację bytu. Mógł w XVI wieku pracować Kochanowski w przekonaniu, że, i wiersze pisząc służy ojczyźnie i zaskarbia sobie uznanie obywatelskie; teraz staje się literatura rzeczą zbytku, próżną rozrywką bogatych i możnych, cofa się więc literatura, jej pielęgnowanie i rozumienie od ogółu do kół najwyższych, i to jest drugie, nadzwyczaj charakterystyczne, w innych literaturach w równej mierze nigdy niepowtarzające się, zjawisko.

Za granicą magnat lub wysoki dygnitarz państwowy sam za pióro nie chwyci, chyba, że napisze pamiętnik życia swego, skreśli memoriał polityczny lub streści w maksymach dorywczych własne i obce doświadczenia; literaci, wielcy i mali, rekrutują się tam z dworzan, mieszczan, aktorów; nazwy rodów najwyższych błyszczą w wojsku lub przy królach, lecz nie na parnasia. Przeciwnie działo się w Polsce wieku XVII; tu hasło demokratyczne: szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie — popłacało o wiele więcej w życiu lite-

rackiem, niż potocznem; i roi się pomiędzy literatami od wojewodów i kasztelanów, ba, i od ministrów! Funkcye ich zostawiają im nieraz wiele wolnego czasu, a wino i łowy nie zabijają go zupełnie, jak później; jeśli zaś nie sami pisują, zawsze między dworzanami ich znajdują się tacy, coby Muzom dla nich hołdowali, szczególnież liczni w otoczeniu Radziwiłłów (birżańskich). Ale nie tylko po wielkich dworach i zamkach, lecz, jak daleko szlachecka Polska po wsiach się rozsiała, brzmiała teraz lira, a choćby fujarka, i jedynie po miastach, wobec przerażającego upadku ich dobrobytu, obniżenia ich poloru, utraty ich znaczenia, wysychały już zawczasu i na całe dwa wieki źródła kastalskie.

Ta przewaga żywiołu wielkopańskiego, a nawet ziemiańskiego, zadowomionego, starszlacheckiego, oddziałała znowu niekorzystnie na życie, tryb i tradycye literackie. Magnat albo i zwykły ziemianin o aplauzy tłumu nie dbał; pisząc, nie myśleli oni o szerszej publiczności, o dedykacjach nowych dzieł i uznaniach albo nagrodach za nie; pisali dla siebie i dla swoich, obsyłali się dziełami nawzajem i wykluczali je z powszechnego obiegu literackiego, w którym powódź płaskich niedorzeczności z roku na rok wzbierała, nie zrównoważona niczem odmiennem, wybitnem, poważnem, panosząca się coraz jawniej, zuchwalej. Więc i z tej przyczyny, nie tylko dla nietolerancyi i zaniku popędów estetycznych, kryła się lepsza literatura po rękopisach i ustępowała z widowni przed beżmyślną gawiedzią, przed motłochem literackim.

Między pisarzami tymi znajdziemy przedstawicieli licznych rodów znakomitych wszelkich stanów i wyznania, każdego wieku i płci obojej, spotkamy żołnierzy i prawników, świeckich i duchownych, katolików i protestantów, magnatów i mieszczan; z jednej familii można się nieraz pięciu, sześciu „poetów” doliczyć. I tak są Leszczyńscy (wojewoda bełski Rafał i syn jego Andrzej); Opałińscy (Krzysztof, wojewoda, i marszałek Łukasz); o wiele zdolniejszy Lubomirscy (Jerzy i syn Stanisław); Morsztynów aż sześciu, bo prócz znanych od dawna Jarosza, Jędrzeja, Stanisława, Zbygniewa — i Tobiasz, i Szczęsny wiersze pisywali; kalwin Naborowski, znakomity poeta - dydaktyk.

Na początku wieku słynął z barokowej, nadętej poezyi rokoszanin Herbut; kasztelan bełski, Żórawiński, autor wierszów pijackich, a mąż wielkiej powagi (komisarz pod Chocimem z Sobieskim Jakóbem); kasztelan międzyrzecki, Grodziecki; przewyższający ich

wszystkich powagą i urzędem, wpływem i zasługami, podkanclerzy Miński; dalej Orzelski Stanisław, Arciszewscy (sławny admirał holenderski, Krzysztof, i młodszy Samuel). Z późniejszych wymienimy Stanisława Szemiota, słabszego talentem, pisującego tylko, aby się próżniactwa i opilstwa uwarował (co zresztą i inni czynili), ujawniającego upadek poloru i smaku. Nierównie wyżej stoją: Andrzej Żydowski, sędzia krakowski; Podgórzanin, Sambor Młoszewski, Prusak Trembecki, niestrudzony zbieracz poezyi obcych w swoim nieocenionym „Wirydarzu Poetyckim“, i sam poeta wcale nie-najgorszy, i inni.

I cóż oni wszyscy pisali?

Najpierw wiersze okolicznościowe. Nie było zdarzenia w całej Polsce, któreby ich piór nie poruszało; nawet, jeśli trybunał kogoś na śmierć zasądził, znalazł się zawsze, który wyrok trenem lub żartem objaśniał, nawet i tak nędznym, jak np. Nagrobek Bokszy, świętemu w Piotrkowie r. 1634.

Boksza! Bóg sam zakazał zabijać bliźniego,
Tyś w łeb trafił z rusznice towarzysza swego,
I sprośneś swoją głową często zbrodnie roić.
Przeto cię też kań bez niej na on świat wystroić!

Każdy rozwód, każde powtórne zamężcie odbywały się przy akompaniamencie liry, nieraz bardzo drastycznym i uszczypliwym, a choćby tylko żartobliwym. Polak, który dla żartu i przyjaciela by odstradał, nie mógł przecież, gdy np. Firlejówna po Sapieże, Rysińskim i *Ossolińskim* wychodziła za *Opalińskiego* (Łukasza, marszałka), powstrzymać się od żartobliwych żalów nad cną damą, którą np. trzeci małżonek *osolił*, coby miał cukrować, a czwarty *opalił* tak, że już chyba żadnego smaku w niej niema. Albo, gdy się Sierakowski *Lampart* żenił, posypał się na niego rój epigramów, z powodu Lamparta, a on (albo może H. Morsztyn za niego?) każdemu się trafnie innym epigramem złożył. Cóż mówić o wypadkach publicznych, elekcyach, walkach, zgonach królów czy zasłużonych mężów, projektach dworskich, intrygach sejimowych, konkurencyach o buławę i t. d. Lata bogate w ważne wypadki, taki rok 1648 lub 1649, wzbierają też całym wylewem poezyi okolicznościowej, ale i po najdrobniejszych wypadkach spadają nieraz wiersze całym deszczem. Kazał np. hetman Radziwiłł krzyże w Świadości

roku 1641 zrzucić, pojawiło się natychmiast czternaście „poezyi“ o tej „Kálwińskiej wojnie z Chrystusem“; najkrótsza:

Nie miał Chrystus, prócz krzyża, gdzieby głowę skłonił,
I tegoć mu pan hetman litewski zabronił:
W Zabłudowie krzyż spalił, wykopał w Świadości.
Pozbył Chrystus, cokolwiek miał tam, osiadłości.
Bezpiecznie panie Dyable! gdy Boga wygnano,
Tem samem — pod twe prawo majątność podano.

Trafił się np. posłowi Komuniace (znanemu autorowi listu do Obuchowicza) w Izbie sejmowej *casus* nieestetyczny, rozbrzmiał on po całej Polsce szlacheckiej echami poetyckimi i nawet w satyrze Opalińskiego się uwiecznił. I tak ciągle.

Wiersze to bardzo nierównej wartości i rozmiarów, przeważają naturalnie krótsze wierszydła; nieliczne wychodziły z pod pióra prawdziwego poety. Tak np. ułożył zgrabny czterowiersz po śmierci Zygmunta, wojewoda bełski, Leszczyński:

Zaszło stonie Polacy! umarł Zygmunt Trzeci!
Cóż uczynim? Starszemu tedy z jego dzieci
Złotą koronę włożmy na królewskie skronie:
I tak będzie dzień jasny, chociaż *zaszło stonie*.

Dział ten, największej obfitości, obejmuje wszystkie możliwe opisy i relacje historyczne (wierszami), satyry, epigramy i paszkwile, elegie, skargi i żale, epitalamia, treny i nagrobki. Nagrobki, oprócz w wierszach, piszą i prozą nakamienną, jakby na grobowcu, nieraz kilka stroniec pełnych inwektyw albo pochwał, wedle stanowiska partyjnego. Liczne i udatne pisywał np. kasztelan Grodziecki: obelżywe na Gustawa Adolfa i Waldsztajna, pochwalne na panów polskich; a choćby na brytana króla Zygmunta, Sułtana: autor pyta, czy to nie wróżka losu, że i sami sułtanowie mają kiedyś tem być na dworze Zygmunta, czem ów sułtan mu był. Najślynniejsze z tych nagrobków, najczęstsze po rękopisach, na nieudałą „Kawalerkę“ (Władysława i Ossolińskiego; jeden kończy po najdłuższych wyliczaniach, kto i jak ją „zadusił“, szyderskiem westchnieniem: „Nie masz cię, Orszulo moja!“).

W wierszach tych przemawiają np. i za obiorem cara Aleksego na tron polski; takim jest np. wiersz „Kompozycyjej Imp. marszałka

nadwornego w. ks. lit.“ (Lackiego, autora „Pragnień Pobożnych“, wychwalanego z daru poetyckiego) pod napisem „Alarmo Polskie“ albo pobudka:

Do pałaszów, do koni, odważni Polacy!
Nieście na szanie swe piersi, nie żałujcie pracy.
O wolności gra idzie, o wiarę, o prawa,
Przy tym trojgu niech każdy syn ojczyzny stawia.

Przestrzega przed rozdzieleniem elekcyi, przed obiorem Galla (kura, który wzleci i nam wolność opluje), przed wojną obu kandydatów, którąbyśmy utratą Litwy okupić musieli; obierzmy cara, on będzie żył wedle trybu dawnych królów naszych, wrócą się złote czasy, jego wojska nam się bardzo przydadzą; znowu obaczmy rysie, perły, drogie towary, ale cóżby był nam za pożytek z francuskiej ligi, chyba:

Wstążki, perki, fląderki i zamorskie figi!

Poezya religijna wykaże równie licznych, równie gorliwych uprawiaczów, bardzo nierównych zresztą talentami i poglądami. Nawoływania do skruchy i poprawy nawiązują nieraz znowu do okoliczności zewnętrznych, do faktów historycznych, np. „Kozaczek duchowny pod czas głodem i wojną ściganej Wielkiej Polski roku 1630 o śmierci dumający“, wiersz obszerny i energiczny, formy osobielszej, wtedy pod nazwą „Kozaczeńka duchownego“ (np. w Gratysie wyćwiczonym, r. 1627, str. 148), „Koncertu o Kozaczeńku“ (w Starowolskiego „O stacyej“, r. 1624 i in.¹⁾) powszechnie lubionej:

Hej przestawny Polaninie,
Czym teraz cześć twoja słynie?
Czy rycerskim, mężnym bojem,
Czy kupnym, krwawym pokojem?

¹⁾ W Dzwonowskiego „Sejmie walnym“ roku 1625 (Sowizdrzalskim) jest także Pieśń Kozaka Płachty, po małopolsku, bardzo ciekawa: Hoj, kozaczejku, paniesz moj, Dalekże majesz domek swój? Pry berezi, Pry Dunaju: Tam ja swoju chyżu maju: Lis zełeny, ozdobłeny krasnym świtem, hustym łystem: To dom moj, to pokoj! Kulina! takich stroi kilkanaście, o *pojazdzie, pościółce, rozkoszy, pokarmie* kozackich i t. d.

Oto w boju i pokoju,
 Śmiercią giniesz, śmiercią słyniesz,
 W tej słusznej ojczystej krainie.
 Nie dosyć śmierć na tym miała,
 Że Polaków nazbierała
 Po niżowych dzikich Polach,
 W pokrwawionych pruskich rolach,
 Pobudziła, zajuszyła,
 Swe rumaki na Polaki,
 Durnego, hardego kozaka.
 Na karki nam nastąpili,
 Pod nogami którzy byli.
 Rycerstwa we krwi polskiego,
 Chłopsstwa brodzi złość wszelkiego.
 Na swe pany lud poddany
 Następuje, nie folguje,
 Okrutny, przewrotny heretyk...
 Którzy obcych swym żywili,
 Drobin samych dziś łaknęli,
 I co chlebem pogardzali,
 Rzęsę z plewy dziś mieszały,
 Zamorzeni, wysuszeni,
 Umierają, upadają,
 Od głodu, od smrodu pożarci...
 Więc poprzestać już chciej złości,
 Umie-ć zażyć Bóg litości.
 Skoro grzechu pohamujesz,
 Wojny, głodu nie uczujesz.
 Śmierci srogie i postrzały,
 Zdała będą przemijały
 Dobrego, szczerego Polaka.

Takich, prostotą wyrażenia, a głębokością uczucia nieraz wzruszających wierszów, bywa sporo, w każde ciężkie lata; a ileż-to się ich nie przesunęło nad Rzeczpospolitą w ciągu owego wieku! Ale religijny nastrój wieku nie potrzebował dopiero gwałtownych wstrząśnień zewnętrznych, aby wylewać się w modlitwie, badać sumienie, kajać się znikomością rzeczy świeckich. Z rozmyślań codziennych wynikały poematy o śmierci, waryacje na temat „Próżność nad próżnościami, a wszystko próżność”; końcowy czterowiersz jednej z nich powtarzano nieraz osobno, jako *Nagrobek*:

Bryła ziemie — mój zamek, a pokój — tarcica;
 Na łokieć ziemie — mój sklep i moja piwnica;

Poduszka — twardy kamień; ubiór — gnoju szmata;
Robak — sługa; tać wszystka korzyść tego świata.

Błagania o odpuszczenie grzechów, gorące śluby poprawy również częste bywały nawet u najswawolniejszych poetów, jak obaj Morsztynowie, Jarosz i Jędrzej. Do podobnych wierszów należy np. „Zegar bojaźni Bożej” (wybijający dwadzieścia cztery godziny), powtarzający się w zmienionej formie jeszcze w drukach XVIII wieku i przystosowywany do satyr politycznych, np. na Augusta II:

Zegar bije, wspominaj na ostatnie rzeczy i t. d.
Zegar bije, już wierni niebo osiągają,
W którym wiecznie królować ze swym Bogiem mają.

Marsowym animuszem brzmi zato „Zaciąg Pana Chrystusów żołnierza chrześcijańskiego”; jest to dyalog między hetmanem (Chrystusem) a żołnierzem (chrześcijaninem):

Do mnie, co żywo! wielkiego hetmana,
Onego króla i wszech Panów Pana;
Sam, sam bywajcie, ktokolwiek ściśniony
I od księżęcia świata ukrzywdzony!

Żołnierz:

Niech wiem, kto z taką ochotą podnosi
Chorągiew swoją i na wojnę prosi i t. d.

Z pieśni do Maryi warto wspomnieć „Pieśń nową, zacnego jednego i z nauki, i z świętobliwości autora, godną u wszystkich wielkiej dziś uwagi”:

Pomni, o Matko wszechmocnego Boga,
Jaka Królestwo Polskie ściska twoga!
Pomni a dodaj osłabiałym mocy,
Strapionym łaski, straconym pomocy i t. d.
Sam tam patrzymy, przy starym frasunku,
Sam tam padamy, a mało ratunku,
Kajmy się, kajmy! a ty, miłościwa
Królowo Niebios, spraw, by ręka mściwa
Przez twoją prośbę była hamowana,
Tobie — u syna, nam sprawa — u pana i t. d.

Katolicy i protestanci piszą hymny na dnię święteczne, np. Grodzieckiego „medytacya” i Rafała Leszczyńskiego hymn na Boże Narodzenie; nawet arian Przypkowski naśladuje *Te deum laudamus*, ofiarując je królowi Władysławowi.

Obok wierszów religijnych jest wiele etycznych i dydaktycznych, w najdziwniejszych nieraz formach. „Obiecadio Złote” każdą strofę zaczyna od kolejnej litery, np.:

*A*byś tylko samemu ufał Bogu swemu!
Pamiętaj nie dufać dziełu człowieczemu.
W tym nadzieję swą połóż, w tym ugruntuj wiarę;
Krom tej wiary na świecie wszystko miej za marę.

*B*ierz się mocno do sławy pocziwej a pilnej i t. d.
*C*yt a słuchaj, bo prędzej tak z swojej cichości i t. d.
*D*aje Bóg większym więcej, przetoż ty większemu Ustąp i t. d.
*E*dykt Pański—ten wyszedł przez króla świętego,
Żebyś serca do bogactw nie wiązał swojego i t. d.
*F*ortunę możesz stracić, możesz stracić złoto,

i tak przez cały alfabet. Daniel Naborowski układał spólcześnie „Czwartaka”, gdzie w każdej strofie po cztery przymioty lub braki wyliczał, np.

Cztery rzeczy na świecie nieoszacowane:
Wolność, nauka, cnota, zdrowie niestargane;
Wolność serca, nauka rozumu dodawa,
Cnota klejnot jest duszy; zdrowie żywot dawa.

Cztery rzeczy ma człowiek i nie ma w całości:
Męstwo, przyjaźń i rozum przy doskonałości!
Jest mężny na mężnego, jest w przyjaźni zdrada,
Błąd się w mądrym znajduje, w doskonałym wada.

Czterech rzeczy najbardziej pragnie biała głowa:
Gładkości i z dostatkiem, szat, dobrego słowa,
To jej świat, gdy się stroi, gdy za gładką mają,
Gdy ma tyle, ile chce, gdy jej dowierzają, i t. d.

(wydał go roku 1629, przywłaszczwszy sobie, Jan Żabczyc). Wedle „Czwartaka” ułożono i „Trzeciaka”, ale ten nie nabrał tyle rozgłosu. Na wyróżnienie zasługuje „Paidonomia albo sposób życia w towarzystwie” Olbr. Karmanowskiego, obfity zbiór morałów; rozmaite „Zwierciadła żywota ludzkiego, świeckiego i duchownego”.

Osobny dział wierszów dydaktycznych mogą stanowić zagadki wierszowane, któremi się wiek XVII chętnie zabawiał, gdy XVI prawie ich nie znał; u Kochanowskiego np. jest tylko jedna, i to bardzo nieestetyczna. Najwięcej wślawił się niemi Andrzej Morsztyn i ładny ich zbiorek przesłał siostrze; tenże sam zbiorek, z dodatkiem zagadek biblijnych, ofiarował sędziwy Lubieniecki Andrzej pani Denhołowej, a Zbygniew Morsztyn napisał mu dedykację, w której umieścił i następną piękną zagadkę, jakby z jakiego ludowego motywu zaczerpniętą:

A jako oni, gdy się rozjeżdżali,
Dobrzy druhowie, wzajem sobie dali
Na niezabudiesz, że gdziekolwiek będą,
Choć z tysiąca mil od siebie usiedą,
Żeby się jedną wodą umywali (rosą),
Jednym ręcznikiem oba ocierali (słońcem);
Tak i ja teraz (a i toć też gadka),
Nie mogąc naleźć inszego zadatka,
Inszego znaku życzliwości mojej,
Któryby ręki był godniejszy twojej,
Tenci posyłam i t. d.

Biblijne zagadki bywają zwykle prozą, np. który ład raz tylko ujrzał słońce? — Dno morza Czerwonego (lub Jordanu), gdy się ich wody Żydom rozstały i t. p.; są i wierszowane, już u Smolika, bardzo się w nich lubowano, wydawano je jeszcze w XVIII wieku.

Obok poezji okolicznościowej (aktualnej) i religijnej (z dydaktyczną) nie brak i lirycznej, a przedewszystkiem erotycznej. Ma ona nieraz bardzo praktyczne cele na oku; jest to po prostu korespondencya; pieśni powierzają, czego usta wymówić swobodnie nie mogą. Np. Zygmunt Lubieniecki napisze *elogium* „Wdzięcznej Annie” (Wiszowatej) i dopisze później z tryumfem: „porzucono, zrozumiano, przeczytano, dziękowano” — imię jej zdradził akrostychem, często jedynym środkiem, aby dociec, kto lub o kim śpiewa. Wiersz miłosny nie tylko dla adresatki był przeznaczony; czy podbój sercowy ułatwił, czy nie, wędrował w całym orszaku żalów, westchnień, wyrzutów, prośb, między bracią na Parnasie, wywoływał tu pociechy, uwagi, szyderstwa: jednym słowem, całą „batalię afektów”, w której celuje Morsztyn Jarosz, Szlichtyng Jerzy i Morsztyn Jędrzej; Szlichtyng pisze nawet „Lekcyje Kupidynowe”, które

się wtedy bardzo podobały (liczne odpisy, odmienne w szczegółach), zalecając je towarzyszom takim wierszykiem:

Ja, z Kupidinowej szkoły
 Idąc do domu wesóły,
 Radbym, żeby mej łaciny,
 Nauczył się i kto iny.
 Jeśli dobrze repetuję,
 Niechaj twoją łaskę czuję.
 A ten, komu nie smakuje,
 Niechaj po swemu miłuje.

Skrócony ten kurs miłości, niby „Ars amandi“, oddany rzeczywiście nieraz z tym wdziękiem, jakim w wierszach Szlichtyng celuje, wszedł też wcześniej do zbiorów podobnych, ale bez imienia autora, a jeszcze rychlej dostał się na indeks ksiąg zakazanych nieubłaganego biskupa Szyszkowskiego. Wypada zdradzić i inną tajemnicę: oto jeden i ten sam wiersz służy nieraz po kolei kilku osobom; Andrzej Morsztyn np. w wierszach, które (przyszłej) żonie ofiarowywał, zastępował jej imieniem (Katarzyną, Kasią) imiona rozmaitych dawniejszych bogdanek — szczerłość afektu nie lada! Jednostajność tematu zmuszała poetów do przesadzania się w conceptach, do śmiałych przenośni, antytez, porównań albo do rozmaitych innych sztuczek poetyckich, do akrostychów, do raków, t. j. wierszów, czytanych odwrotnie z sensem przeciwnym. Pisywał je już Kochanowski; rozkochał się w nich i wiek XVII, używał ich nie tylko przy paszkwilach politycznych (np. na Ludwikę Maryę), religijnych (na mnichów, na Lutrow i t. d.), ale i w liryce, np. pisząc takie „oferty” miłosne:

Sobie jam wolny nie mają mię w *mocy*.
Tobie ja służę nie szukam *pomocy*
Piękności Twojej nie bogactw *pilnuję*,
Z gładkości pewnie, a nie z szat *miłuję*.
Ciebie, nie inszą, chcę pozyskać *sobie*,
Siebie, nie inszych, oddać w służbę *tobie*,
Za swego mię miej nie gardź mą *szczerością*,
Prawego sobie nie kładź z *obłudnością*,
Bezpiecznie mi wierz: nie rad ja *figluję*;
Statecznie ufaj: nie rad *pochlebuję*.

Inną ulubioną zabawkę stanowiły anagramy: litery nazwiska układano w nowe słowa i omawiano je wierszami. Wacław Potocki

w drugiej połowie wieku szczególnie w nich celował, układając coraz nowe z nazwisk rodzinnych i królewskich (Jan Sobieski — osiane skiby, Michael — jam Lech i t. d.); w pierwszej połowie wieku kasztelan nakielski, później międzyrzecki, Adam Grodziecki, wszystkich wielkopolskich znajomych, Opalińskich, Leszczyńskich i innych, podobnymi anagramami częstował. Ze swego nazwiska ułożył „Gromadkę dzieci” ¹⁾ i opisał je trzy razy, dając folę uczuciowi ojcowskiemu i zdaniu się na wolę Bożą, w wyrazach prostych a szczerych:

- I. Jest to tak, że mi dawa Bóg gromadkę dzieci;
Z których każde, jako ptak, stąd różnie poleci.
Aby jednak ten lot był każdemu szczęśliwy,
Lub prędkie, lub nierychły, jak ociec życzliwy,
Boga proszę za nimi: na wolą się dawam,
Przed którą się nie schronię, ani ich zachowam.
- II. Była z łaski i jeszcze jest i będzie Bożej,
Gromadka moich dzieci, a drużyny hożej.
Dał jako Pan i brał też, ile mu się zdało.
Z jego łaski — i mnie się, i niebu dostało.
- III. Dzielił się któryś cesarz z Jowiszem w przemiany
O pogodę. Ja z bogiem o dzieci przemiany
Nie potrzebuję żadnej ni dzielę dzieciny.
Z Boga byt najlepszy. Kiedy sam, nie iny
Bierze, i sam się dam brać, dam i dzieci moje,
Byle im dał i mnie też miłosierdzie swoje.

Ciekawsze i częstsze bywają liryki sielskie, wychwalania żywota wiejskiego, od „wsi wesołej” Kochanowskiego nieprzerwanym ciągiem przez cały wiek się snujące, nie owe udane idylliczne zachwyty, jakie osiemnaste stulecie z pudrowanymi i różowanymi berżerami małpowało, lecz opisy natury i jej wdzięków, w których zdrowa cera autora i rzeźka myśl jego, szmer ruczaju, ryk bydelka,

¹⁾ Inny anagram jego nazwiska, Maciej Dargodzki — pod tem imieniem wydał ciętą broszurę p. t. „Przestroga o tytułach i dygnitarstwach cudzoziemskich w Polskiem Królestwie i t. d.” roku 1634, 50 argumentów przeciw tym tytułom; pisywał i inne broszury polityczne, np. przeciw przechodzeniu dóbr szlacheckich w ręce duchowne; statysta to wcale wytrawny.

widzieć i słyszeć się dają, np. u p. podkanclerzego koronnego, Stanisława Mińskiego, znanego z drogi Rzymskiej roku 1590, z humorystycznej korespondencji między głuchym a ślepym (on a Sambo-rzecki), częściej po dawnych *Silvach Rerum*. Funkcye poselskie, na których zdrowie postradał, i służba dworska wykoleiły ziemiani-na; tęsknocie za wsią daje on więc wyraz w wierszu p. t. „Żywot ziemiański”,—parafraza znanego *Horatianum: Beatus ille, qui pro-culnegotiis*:

Nader szczęśliwy, kto na tem przestaje,
Co mu ojczysta ziemia jego daje,
Nie znając lichwy, pługiem ziemię orze i t. d.

Owdzie krynice mają swe poniki,
W potoku szemrzą prądowe kamyki i t. d.
Trzykroć szczęśliwy, który to mieć może.
Mnieś tylko nie chciał dać tego, mój Boże!...
Siła ma taki, siła, przed inszemi,
Brzydkich kłopotów niejako chciwemi...
Cóż potem? szczęście drogę zagrodziło,
Czynię, co muszę, nie to, co mi miło!

Równocześnie opracował też Daniel Naborowski (Szczęśliwy czło-wiek, który, krom zazdrości, Żyje spokojnie na ojczystej włości i t. d.); świeżej i barwniej wychwalał Jerzy Szlichtyng „Szlachecką Kon-dycję”.

Pan to wielki, co na stronie
Dość ma na swoim zagonie.
Czegoż potrzeba,
Gdy z gębę chleba?...

Najdzie w piwnicy Węgrzyna,
Chmiel wystął. Do komina,
Niech przykładają,
A w dudy grają...
Młyn i tracz na bystrej wodzie,
Jarzyny bujne w ogrodzie,
Chmielnik tuż w tyle,
Aż wyrzeć mile.
Miasto blisko, targ niegłodny,
Kościół doma, sąsiad zgodny,
Chłópków gromada,
Cóż wsi za wada?

Wsi cnotliwa, bodaj tobie
Kwitła sława ku ozdobie!
Jam twój, tyś moja,
Mój skarb chęć twoja.
Niechże nam Pan Bóg nędznikom
Sam błogosławi rolnikom,
A wy, panowie,
Siedźcie w Krakowie.

Przy takim nastroju sielankowym nawet motywy pieśni ludowych do szlacheckiej przechodziły, np. w wesołej „pieśni panieńskiej, którą młodzieńców zwykły konfundować”:

Pocóżście przyjechali,
Darmo buty wydeptali?
Nie pójdę za Wasznic,
Bo Wasznic nie masz nic i t. d..

tak to wyszydzają panny dostatki i urodę pana młodego i družbów, ale ci nie zostają dłużni, śpiewają *respons*:

Chciałem Waśnić mieć za swoją,
Lecz się teraz Waśnić boję.
Darmo się sadzicie,
Już mnie nie zwabicie,

i mszczą się haniebnem nicowaniem kształtów i strojów panieńskich. Nawet bezmyślne wiersze przechodzą do śpiewników szlacheckich, np. Stała się nowina tego mięsopusta, Koza z wilkiem tańczyła, wielka to rozpusta, albo: Siekiera się rozbijała, Wisłę przepłynęła, Kobiątka się przeciwiący z pierzem potonęła i t. p. — nazywają je „dziwy abo absurda”.

W liryce erotycznej ustalają się pewne wzory i formy, jak u trubadurów i minnezyn gierów, np. wiersze na dobry dzień lub dobrą noc, widzenie we śnie i t. p. Wiersze na dobry dzień przybierają formę „hejnału”; wprowadził go po Reju Hieronim Morstyn, naśladowali Zbygniew i inni. U Hieronima:

Hejnał świta, już i z morza
Rumiana powstaje zorza.
Jutrenka z swojej jasności
Rozgania nocne ciemności.

Wstaje w lesiech ptak zakryty,
Wstaje w lesiech zwierz niebity,
Rucha ryba i wół czuje,
Że mu praca następuje.
Wstań, oraczu, hejnał świta,
Ciebie z początku sowita
Praca czeka; wstawaj i ty,
Rzemieślniku pracowity.

Po rozmaitych wyliczeniach:

Wstawaj, panno, hejnał świta,
Twój się sługa o cię pyta
I z serca się stąd raduje,
Że cię dobrze zdrową czuje.

Hejnał Zbygniewa szczegółowo wylicza, jakto się Kraków budzi do codziennego życia: jeszcze przed zajęciem zarze odzywają się kotlarze... nawet już do szkoły mali żaczkowie powstawali i, choć najpierwsze zaranie, już wołają o śniadanie i t. d. Całą skalę uczuć miłośnych, od pierwszego, przypadkowego spotkania, aż do zawodów, zdrady i zazdrości, wyśpiewują te pieśni, lecz brak im nieraz indywidualnych rysów, prawdziwego czucia, szablon zbyt często przeziera.

Liryki erotyczne popłacały jednak tylko do czasu. Kilka lat minęło, a ów młodzian, hołdujący jeszcze niedawno rozmaitym Anusiom i Zosiom, staje się wzorowym małżonkiem; liryka wywie-trzała, np. panna odmawia taką litanię:

Miły święty Michaelę,	Napędź-że ich do mnie wiele,
Abym sobie wybierała,	A co grzeczniejszego miała.
A miły święty Antoni,	Pomóż, aby z sześciami koni
Do mnie przyjechał swojemi,	Byle nie pożyczanemi...

Miły święty Hieronimie,	Niechaj w kuchni i kominie
Kucharze obiad gotują,	Bowiem mi się oczy psują,
Kiedy ono na kominku	Piwa tylko kęs do kminku,
Miasto kapłona zagrzeją,	A słudzy się z tego śmieją...
Zachowaj mię od takiego	Męża melacholicznego,
Od pijanicy sprośnego,	Także i nazbyt tłustego i t. d.

Młodzieniec znowu prosi, aby przyszła jego bogdanka była „wzrostu wielkiego... i też wziętku niemałego... i (proszę) Ciebie święty

Archaniele, aby dziełek niewiele!" W pacierzu prosi panna, „abym z dobrym dobytkiem siedmiu pochowała" i „niech (mąż) nie chodzi rwać ziela na cudze ogrody" i t. d.

Dla spotęgowania komicznego efektu mieszają języki i piszą makarony. W prozie mieszanina polszczyzny i łaciny była nieodzowną, aby nadać mowie lub traktatowi powagę — tak, że mowę posła polskiego w Moskwie, wolną umyślnie od frazesów, słów i derywacyi łacińskich, jako *curiosum* w Polsce odpisywano. W wierszu natomiast panowała wyłącznie najczystsza polszczyzna, i niema żadnych wierszów makaronicznych: istnieją tylko od początku XVI wieku osobliwsze makarony, kiedy to poeta „wesółum chwytął piórum, aby śmiesznas zapelniare kartas", gdzie obok czystej łaciny wplatał polskie słowa na ład łaciński. Makarony takie pisuje dla zabawy każdy; wszystkich zaś przewyższa Stanisław Orzelski, czy to narodziny Kalwina w otoczeniu wiedźmi furji piekielnych przedstawia, czy wesele chłopskie wielkopolskie maluje, zakończone bójką homerycznych rozmiarów, czy przypadki dorodnego kwestarza na dworze układnej pani lubieżnem rysuje piórem; naśladowując Dantego, opisuje nawet wędrówkę po piekle, a znachodzi i wylicza w niem nie fałszerzów i opryszków, lecz adwokatów, lekarzów i kupców krakowskich.

Makaron, to tylko jedna odrośl wybujałego na niwie polskiej komizmu — i bez niego wszędzie śmiechu pełno. Niema poety-szlachcica, któryby fraszek, figlów, dworzanek, drew, czy jak je tam nazywano, nie składał: najpoważniejsi aryani i kalwini ubiegają się w zawody z najpłochszymi: dobry żart — tyńfa wart to jedyne ich hasło. Jeśli zaś zbiór pustot wypadnie nadto obszerny i tłusty, dodadzą kilka rzeczy nabożnych, albo wymówią się tem, że „częśćciej pod dobrą myślą (przy winie), te się nam błazeństwa kreślą", lub powtórzą Kochanowskiego (a ten starożytnych) o statecznym poecie, a swawolnym wierszu, bo u nich „i wiersz niedobry, kiedy nie swawolny".

Lecz na ich dorobek poetycki składają się nie tylko owe luźne wiersze, jakie chwila czy zdarzenie, afekt czy „dobra myśl" wywoływały; nie zawahają się oni i przed największemi zadaniami poetyckimi. Tutaj jednak trudniej już iść ich śladami, bo jeśli krótsze wiersze choćby w wyborze się przechowały, większe dzieła łatwiej ginęły. Próżno szukamy np. dzieła Łukasza Opalińskiego, o którym Andrzej Morsztyn wzmiankuje („przypominasz tym wiekom,

co śpiewano w Troi”), „Moskiewskiej kameny” Skarszewskiego, „Cudnowskiej potrzeby” Lubomirskiego, licznych, chociaż nie zupełnie wykończonych, dzieł przyjaciela księcia Zbaraskiego, dzieł kilku Kochanowskich i innych; i to jednak, co po rękopisach pozostało, pozwala sądzić o ich estetycznych przekonaniach i o mierze ich talentu.

Uderza przedewszystkiem pewien brak oryginalności. Zada-
wają się albo przekładami z obcych, mianowicie z Włochów: Petrarki, Tassa, Guarina, Aryosta i Marina, rzadziej z Francuzów, albo „przysmaczają” wierszem polskim nowele i romanse, dawniej prozą napisane, a zakonnicy i księża świeccy legendy i ewangelie w tenże sposób „przysmaczać” od nich się nauczą. Wiele tych przekładów dotąd mało lub raczej wcale nieznanych: w druku pojawił stę tylko roku 1618 „Goffred” i wywarł niezatarte ślady w całej epice polskiej, a roku 1694 „Wierny Pasterz”, Guarina. Ale już na pół wieku przed Jerzym Lubomirskim, za Zygmunta III, tłumaczył Guarina nieznany z nazwy poeta (Smolik?) i tłumaczył ładnie, choć wiersze rozmaitej budowy oryginału zastąpił jednostajnym trzynastozgłoskowym: nie napróżno znalazł dramat ów więcej tłumaczy, gdyż jest, mimo swej rozwlekłości, najpiękniejszym i najciekawszym ze wszystkich dramatów pasterskich, o sztucznej intrydze, i dziś jeszcze podobać się może. Kochanowski wytłumaczył Goffreda, ale w rękopisie pozostał Orland Szalony, dzieło o tyle obszerniejsze i trudniejsze do wykonania, w myśli ówczesnego *credo* estetycznego, które przyswajało wszystko, co piękne w literaturach dawnych lub obcych, własnej, nie siląc się na twórczość samodzielną.

Cóż zaś powiemy o „Adone” Marina! Dzieło opiewające w czterdziestu tysiącach wierszów miłości Adona i Wenery, napisane w języku największej „elegancji”, obfitujące w najsztudniej-
sze definicje, opisy, przenośnie, napiętrzone trudnościami, które i dzisiejszy tłumacz nie łatwo przełamie — a przecież znalazł się poeta, który te dwadzieścia pieśni przełożył! bo musiał być poeta, musiała oczarować i olśnić melodya i przepych niezrównanego języka, musiała zhołdować sobie niewyczerpane bogactwo inwencji, epizodów, alluzji, tego, który tę pracę w rękopisie zostawił, tak, że nawet nazwiska jego nie znamy, chyba domyślać się albo odgadywać je musimy. Z tłumaczem tym (Grotkowskim, sekretarzem królewskim, bawiącym w Neapolu) rywalizował uczeń jego, Andrzej

Morsztyn, ale on tylko jeden epizod, t. zw. nowelletę czwartej księgi Adona, „Psychę“ wolniej wyłożył. W druku polskim z Marina tylko ten ułamek się pojawił, ale w rękopisach, prócz „Adona“, jest i „*La strage degl'innocenti*“, z tą jednak różnicą, że Adona świecki, „Rzeź Niemowlątek“ zaś zakonnik przełożył i pięknościom poetyckim oryginału nie dorównał bynajmniej.

Inwencye Goffreda naśladował wiernie autor (znowu niezna-ny) „Oblężenia Jasnej Góry Częstochowskiej“, poematu w dwudziestu pieśniach, zupełnie do druku przygotowanego (nawet z „rączkami“ dla wskazywania różnicy między historią a wymysłami romantycznymi), mimo to jednak nie ogłoszonego. Bardzo to ciekawa próba przeniesienia żywcem w polską rzeczywistość siedemnastego wieku całej Tassowskiej tkanki miłości i zazdrości, zdrad i czarów, walk i ucieczek — romans całkiem jakby „Potop“, tylko bez Zagłoby. Inne powieści i romanse czerpią H. Morsztyn, St. Lubomirski, W. Potocki, Korczyński, Szemiot i inni z Biblii (Judyta); z „Metamorfoz“ (Orfeusz i Eurydyka); z „Liwiusza“ (Wirginia, Horacyusze i Kuryacyusze); z dziejów społecznych obcych i polskich (Tressa i Gazela; nowele Drobiszewskiego); z „Dekameronu“, z „Siedmiu Mędrców“; z romansu francuskiego; Szemiot wierszuje nowele, pisane prozą, jakie znalazł w „Antypastach“ Morsztyna.

Z tą epiką romansową należy połączyć epikę historyczną, owe liczne i obszerne dyaryusze i t. d., poczynszy od Pielgrzymowskiego legacyi moskiewskiej, a skończywszy na Wojnie Chocimskiej Potockiego, na relacjach o wyprawie wiedeńskiej, o „wejściu i wyjściu Żmudzi z opieki szwedzkiej“ i t. d.; dalej powieści z tradycji familijnych (Daniłowiczów, o Mścicielu; Kalinowskich, o ślubach kazirodczych i inne), ks. Drobiszewskiego i t. d. Wreszcie staje obok epiki romansowej i historycznej religijna, dzieło małego zazwyczaj natchnienia, lecz wielkiej pobożności, nieraz rozmiarami olbrzymie, np. takie „Nowe Niebo duchowne, słońcem, miesiącem i wielu różnemi świętami gwiazdami jaśnie oświecone, a nabożnym wierszopiskim piórem... wyraźnie pokazane“ roku 1692 — zbiór dziejów Zbawiciela, Matki Boskiej, apostołów i wielu świętych, między nimi patronów polskich, dzieło jakiegoś Bazyljana, obejmujące niemal do pięćdziesięciu tysięcy wierszów (nie pierwsze zresztą tego rodzaju, poprzedziła je np. „Lutnia Apolinowa“ Łazarza Baranowicza), a to tylko część poetyckiej spuścizny zacnego zakonnika, którego i z imienia się niezna (przecież nie Drobiszewski,

piszący całkiem odmiennym stylem?). O sobie samym mówi autor na wstępie:

Już *trzykroć sto tysięcy* rytmów przeminęło,
Które się w różnych moich kartach przewinęło.
Więc przynajmniej niechaj te daremnie nie giną,
Ale się w Świętych Bożych pochwały zawiną...
Mnie zaś w nagrodzie pracy dosyć tego będzie,
Gdy chwały Świętych Bożych z rytmów mych przybędzie,
Którym dlatego według możliwości swej robił,
Abym Bogu i Świętym chwały przysposobił...
Będą mnie różni czytać i młodzi, i starzy,
Lecz któż wie, jak się komu moja muza zdarzy?
Jedni będą ją chwalić, a drudzy zaś zganiają,
Bo jeden lubi Pana, a drugi zaś Panią.
Owemu się koncepta nie upododają,
Temu rytmy do smaku nie poprzypadają,
Innym się zdadzą słowa niepolitycznemi,
I będą ich dożywać kłami krytycznemi...
Komu co się podoba, niechaj zdrów zażyje,
A kto ochotą gardzi, nie ciągnę za szyję...

„Kwiat wieku autora usycha, głowa pracami zwątlona, trudną robotą była, więc i ochota w rytmach nudna, bo i wiersze nie słodkie, pisane w serca gorzkości, i

jako kondycja moja nie światowa,
Tak i kompozycja rytmów nie takowa...
Pomni (Zoilu) na te błahe moje prace,
A rzecz za mną do Boga: *requiescat in pace* Amen.

Pod piórem „światowych” pisarzy nawet epos religijne przybiera wcale nie ascetyczne rysy; taki „Tobiasz” np. Lubomirskiego, tonem całym Aryosta i Marina, nie Biblię, przypomina, nawet zaczyna każdą pieśń oktavami moralizującymi, ogólnikami, jak ci Włosi, a pisany tak żywo i barwnie, z zacięciem humorystycznym, z wycieczkami satyrycznymi przeciw nowomodnemu Waszmościaniu np. i innym przywarom, że i dziś z wielką przyjemnością odczytać się daje, odskakuje też rażąco od całej ascetycznej literatury i ujawnia pióro, zaprawione na erotykach i na epice włoskiego Seicento. Za Lubomirskim poszedł Wadowski, a jeszcze ściślej Chrościński, tak dalece, że np. „Amana” wydrukowano w XVIII wieku raz jako dzieło Chrościńskiego, drugi raz jako Lubomirskiego:

rzecz ta o dziewięciu pieśniach nieco słabszą od „Tobiasza” się wydaje, mniej w niej ruchu i czucia, może więc nie wyszła z pod pióra wielkiego marszałka.

Nie rzadkością bywają nawet spory literackie. Nowy talent budzi oczekiwania, podoba się, przekładają go nad dawniejszych, a obowiązkową miarą estetyczną bywa Kochanowski. Więc, gdy np. Sierakowski Jarosza Morsztyna nachwalić się nie mógł, odpisał mu (wojewoda poznański, Ostroróg?) „Paralelą Kochanowskiego i Morsztyna”:

Lampart chwali Morsztyna, siła mówi o nim.
Ja go nazad odsyłam, bo mi już nic po nim.
Przekłada go we wszystkim nad Kochanowskiego,
Ja mam za kpa Morsztyna i Sierakowskiego.

Podobnie obruszył się Andrzej Morsztyn na jednego z Kochanowskich:

Młódź naszą coś przywiodło do wierszów swawolnych...
Rzuć się, chyżo młodzi, na poetę tego,
Niech swym wierszem nie sięga Polaka sławnego,
Którego wnukiem będąc, lecz raczej wyrodkiem i t. d.

Liczą się z literaturą, kolegami na Parnasie, więc np. w „Lekcyach Kupidynowych” odwołuje Szlichtynga Jerzego Wenera od eposu,

Niech to *Grochowski z Kochanowskim* śpiewa,
A stąd się *Bielski* niech lauru spodziewa...

zwraca go do źródła liryki erotycznej, w którym też uczony

Zamaczał głośnie *Kochanowski* strony;
I dziś się z niego szczęśliwy wesoło
Napija *Morsztyn*, a jam mu na czoło
Kosztowny wieniec zdawna zgotowała,
Jakiegom jeszcze żadnemu nie dała i t. d.

Dlatego nieraz wyliczają rówieśników, hołdujących Muzom, Starowolski, Orzelski, Morsztyn Andrzej, Kochanowski i in.; Orzelski wylicza i Włochów, których widocznie nietylko z nazwiska znał. Na Parnasie tym niema dalej różnic co do wieku, wyznania albo

stanowiska; tu rozstrzyga jedynie talent, i nie zawaha się p. kasztelan bełski (Żórawiński) skromnie ustąpić miejsca mizernemu dworzaninowi Radziwiłowskiemu (Naborowskiemu):

Nie moje przedsięwzięcie spotykać się z tobą,
Jam laik, a tyś polskich poetów ozdobą i t. d.

Albo arian Karmanowski wysławia poetycką zasługę kawalera maltańskiego w przekładzie „Goffreda”. Koledzy z Parnasu obsyłają się nowymi utworami, a miłośnicy Muz starają się o odpisy: poucza o tem Trembecki np. w przedmowie do swego „Wirydarza” zapewniając między innemi, że:

Nie jednąż noc nad tym się nie spało.
Nieraz do końca przywiedzione dzieło
W cudze się ręce przez kradzież dostało.
To jak *na nowe znowu się modliło*
Komu, że to być koniecznie musiało
U mnie. Więc to zaś często się trafiło
Komu darować: to bratu, to swatu,
A ty, jak ślepień, od lata ku latu...

Ludzie się bardzo na księgę łakomią, a rodzą się w lipcu (że przylepia się do nich wszystko), więc, jeśli i nie ty mnie ją zgubisz, kto wie, że ją tobie

Może kto zemknąć, aż *moje roboty*
Lat kilkunastu oschną u niecnoty...
Jeszcze gdyby to zemknął który taki,
Coby się na tym znał albo rozumiał...
Lecz gdy to szuja porwie ładajaki,
Co ledwie kozie ogon związać umiał,
Raz przeczytawszy rzuci... że o tem nikt nie powie żywy.
Lub tam za podłej bzdęgi gdzie szklenicę
Mędrszemu nad się bibie da do ręki...
To tu ja... dyabła bym wskórał, a drugiego wygrał i t. d.

W podobny sposób powstawały i inne zbiory: jak mowy weselne i pogrzebowe, recepty i przepowiednie, rady Kalimachowe i rokosz Gliniański, tak wpisywała szlachta i wiersze w swoje *Silva rerum*. Czasem wyłącznie dla wierszów zbiorów przeznaczano, częściej jednak mieszano wszystko w *olla potrida*; na Jokoserya

np., założone roku 1630 dla Wojnów, składały się pierwotnie tylko wiersze z rękopisów i druków; „Torbę Dworską” zaś, układaną spólcześnie dla p. Aleksandra Belżeckiego, wypełniały wiersze i proza na przemianę. Podobnych rękopisów mieszanych, zbiorowych, zachowało się do dziś wiele i po zbiorach prywatnych pod najrozmaitszymi nazwami, zwykle łacińskimi: „Spizarnia fraszek”, *Silva variarum curiositatum*, *Omnia et nihil*, *Penu synopticum* (Różyckiego), *Vade mecum* (Pawła Ujejskiego) i t. d. Lecz zbiorowe te rękopisy nie są wolne od wielkich wad: błędy odpisu, z nieczytelności oryginału lub z nieuwagi i pośpiechu kopisty powstałe, są częste i tak dotkliwe, że rzadko można znaleźć dwa zgodne odpisy; nieraz, np. w kilku poezyach A. Morsztyna, brak nawet całej połowy wiersza. Przy wierszach nie wymieniają autora, co gorsza, mieszają je najczęściej, jakby groch z kapustą; w Jokoseryach np. pogmatwano wiersze Morsztyna (Jarosza), Naborowskiego, Szlichtynga, Smolika; inne rękopisy wypisują nieraz nazwę autora, ale mylną, np. „Szlachecką Kondycyą”, udają za wiersz „Księdza Jarosza Morsztyna”, tymczasem ów Morsztyn księdzem nigdy nie był, parafię miał „świńską”, a „Kondycyę” Szlichtyng napisał, nie Zbylitowski ani Szymonowicz, jak inni podają.

Nowsi wydawcy nie zważali na to; i tak w wydaniach warszawskich poezyi Morsztyna Andrzeja i Wacława Potockiego wiersze obcych autorów (Naborowskiego i innych) mylnie im przypisano. Ładny wierszyk na jedną z podkanclerzanek (Ossolińską) ma być pióra Andrzeja Morsztyna, ale napisał go nie Morsztyn młodziutki, bawiący wtedy może za granicą, lecz Andrzej Leszczyński, krewny Ossolińskiego, zwracający się do niego często z wierszami: gdy na zamku niedawno powiedziano, że w Polsce niemasz nad podkanclerzanę, on tego nie wie, lecz to wie,

Że, gdyby skrzydła wzięła od anioła,
Potrzebaby im odmienić imiona:
Niaby był anioł, a aniołem ona.

A kiedyż już mowa o Andrzeju Leszczyńskim, przytoczmy jeszcze na dowód, co za głębokie myśli i trafne uwagi w formie lekkiego żartu ci ludzie podawać umieli, ustęp końcowy z jego opisu ogrodu Klimuntowskiego (Ossolińskich). P. wojewoda derpski wychwalał był niedawno inny ogród, jako jedyny w Polsce, lecz zo-

baczywszy Klimuntowski, stawia go o wiele wyżej, jak się nad bogacza jeszcze większy bogacz znaleźć może:

A ktobykolwiek przeczył temu z ludzi,
Tego Antoni niech kijem wycudzi (wytrzepie),
Krom wielkich panów, przepuścić tym przyjdzie,
Bo się im wszystko, to i szaleć zejdzie.
Owychby raczej wysmarować smolno,
Co sobie winni, że im nic nie wolno.
Ale się szczerze wolę wywieść z rzeczy:
Zgoła to w Polsce oboje nie k rzeczy:
I wolno wszystko i nic nie być komu.
Zaczem Antoni — nie przepuść nikomu!!

Czasami wspiera nas jeden i drugi rękopis dobrą informacją. Najważniejszy między nimi nieoceniony „Wirydarz Poetycki” o 1258 stronicach, „wielką i kilkunastu lat pilną pracą wystawiony roku p. 1675”, który rzeczy poszczególnych autorów osobno kładzie, prawdziwa nić Aryadny dla wybrnięcia z tego labiryntu poetyckiego. Dalej „Summarius wierszów Morsztyna niegdy poety polskiego” (Hieronima) i inne. Często jednak zawodzi wszystko, i autora odszukać już nie można. Kto napisał np. ów uszczypliwy wiersz „Na Senatory”, w zbiorze wierszów Szczęsnego Herburta, z jego obozu, chociaż sam Herburt władał stylem o wiele wykwintniejszym? Wiersz często i później przepisywano, choćby częściowo, jakby ogólną jakąś charakterystykę rodów polskich, chociaż to wylew żółci rokoszanina roku 1606 na panów:

Zacheusza *Tęczyńscy* wzrostem naśladowaj;
Maciejowscy hojnością dawno im przodkują,
Żli, jak dyabeł, *Gostomscy*, skąpi *Firlejowie*,
A *Stadniccy*, jak i ci, mają dyabła w głowie.

Zrozumiemy teraz i ocenimy słowa np. Zbygniewa Morsztyna, któremi około roku 1680 spory zbiór wierszów swoich, zatytułowany go „Muzą domową”, poprzedził. On się wprawdzie nie uważa za poetę, nawet imienia swego przy wierszach nie kładzie, „bo nie mam tej ambicyi, ani mię nęci, albo raczej biesi ów nałóg obrzydły, co innych, że, byle tylko wiersze pisali po składzie (rymie) ści-ści, go-go, to z nimi do druku, choćby się wiersza, jako mówią, racy nie jęli, i choć mizerna Muza, skrzypiąc, się wlecze, jak ruska

kolaska. *A zwłaszcza, że to teraz taki wiek, w którym jest naj-
obfitszy wschód najszczęśliwszych geniuszów, osobliwie w poezyi,*
nie tak, jak było za czasów nieboszczyka starego Reja, kiedy „Pa-
nie stary, porzuć czary” uszło za największy dowcip. *Teraz zaś
kto i miernie dobry wiersz pisze, nagany nie ujdzie,* i, kiedy ja czy-
tam cudze, mianowicie Imp. podskarbiego wielkiego koronnego
(Andrzeja Morsztyna), zda mi się, że moje, jak karazyja przy szarla-
cie, i że są takie, jak owego naskiego poety:

A ja tam stał, cały dzień czekając,
Żebym był mógł którego ptaka jąć...

Nie zebrałbym też był tego do kupy, jakoż i siłam tych fra-
szek popalił, *gdyby nie na prośbę niektórych,* którzy, takimi będąc,
jako i ja, pisorymami, podobnymi radzi się zabawiają, i takim też
tylko czytać tę książkę pozwalam” ¹⁾ pozwolenie zastrzegął so-
bie i Trembecki w „Wirydarzu” (ogrodzie):

A to też zawsze w swej pamięci miewaj,
Że, nim do tego wnijdziesz wirydarza,
O *pozwolenie* wprzód *proś* gospodarza.

Oto społeczne, najwiarogodniejsze, świadectwo o nadżyzno-
ści łańców poetyckich. Równie wymowne składa najlepszy znawca
i nieznużony zbieracz tej poezyi, Prusak, Jakób z Trąbek Trembecki
(z familii aryańskiej) na czele swego, roku 1675 ukończonego zbioru
p. t. „Wirydarz poetycki, z różnych poetów wiadomych i niewia-
domych, łacińskich i polskich, wielką i kilkunastu lat pilną pracą
wystawiony i t. d.”, w wierszu „Paraenesis do poetów, którzy nie
w druku, tylko *in manuscriptis* zostają:

Wy, coście na Parnasie długi czas strawili
I obficie ze źródła Hippokreny pili,
Czemu u was potomne tak wzgardzone lata,
Że bujnym laurom waszym zajrzeliście świata?

¹⁾ Przedmowa ta makaronizuje; zresztą „Muza Domowa”, chociaż mieść
z górą 10,000 wierszów, spuścizny poetyckiej Zbygniewa bynajmniej nie wyczer-
pała (o czem i on sam napomyka); są np. w „Wirydarzu” wiersze, których w Mu-
zie niema, godne czytania.

Króreby kiedyś w niebo późne niosły czasy,
Gdybyście do drukarskiej podali je prasy.
Znać stąd wspaniałe serca i animusz prawy,
Że dobrze zasłużonej unikacie sławy,
Która przecie kamieniem, wierzcie, nie utonie,
Bo już Febus na wasze wieńce wiję skronie,
Tę wrózkę im przydając: wasza sława skonu
Nie uzna, póki i Muz, póki Helikonu.

Poznawszy tło ówczesnej, nieprzebranej produkcji poetyckiej, wypada się zwrócić ku jej działom, przedstawić ich wybitniejsze wzory, wykreślić portrety literackie, uwydatnić wpływy, związek, ciągłość tego rozwoju.

Najważniejszą cechą poezji szlacheckiej XVII wieku jest jej epika; o czym XVI wiek próżno marzył, wawrzyny Wirgiliusza i Lukana XVII posiadał. Nie sprzyjało epice spokojne życie, ruch wyłącznie umysłowy, wyznaniowy, za Reja i Kochanowskiego; spokój ten gnuśny, wczasy wygodne, zniewieściałość, zależenie domu do liryki i sielanki się nadawały, — do kształcenia smaku i wiedzy, do kontemplacji i refleksyi. Inaczej zapowiadał się wiek XVII; u samego wstępu jego szalały burze, i dalekie—inflanckie, i blizkie—guzowskie, a niesłychane koleje zdarzeń moskiewskich wstrząsały i najbardziej uśpionymi; w końcu ta przygrywka wiekowa rozbrzmiała najdonioślej pod Cecorą i Chocimem. Przed burzą jednak, zrywającą się w połowie wieku, tamte niewinnem były preludjum: teraz nie ocalał żaden zakątek Polski: i nad ostępami borów kurpiowskich i nad piaskami wielkopolskimi czy mazowieckimi przelatywała wichura, Ruś spłynęła doszczętnie krwią i pożogą, w ruinach leżały wielkopańskie fortuny, a do gołót nieusiadłych przybyła szlachta - exulanci; czego nieprzyjaciół nie zniszczył, dokonali swoi.

Kataklizm dziejowy, potop, przeraził najobojętniejszych; krwawy „taniec Rzeczypospolitej“ szalał latami całymi; wszędzie dopatrywano dopustu Bożego, czynnego wmięszania się Opatrzności, nie tylko pod Częstochową i w bratobójczej walce pod Mławami, gdzie w jednej godzinie cel wypróbowanego wojska ławą zaległ pod ciosami kilkuset ludzi i urosła natychmiast legenda, że straszne pobojuwisko:

Nikogo nie przypuszcza ku wejściu do siebie,
 Wrzask, trzask, bębny i trąby ziemia daje z siebie...
 Krew zgromadzona w kupę wre, jak w kotle woda...
 niesprawiedliwej wojny znak jest oczywisty!

Utrwalić piórem te przejścia i wrażenia stawało się potrzebą nieuniknioną; drogi ku temu przedstawiały się niejedne. Już wiek XVI, za przykładem średniowiecznym, wierszował krótsze relacje o sejmach, hołdach, „jezdach do Moskwy“ i „drogach do Szwecyi“; działał dalej przykład muzy klasycznej, nie Iliady ani Eneidy, lecz „Farsalii“ Lukanowych, gdzie wbrew sztuce i estetyce, wojny domowe świeże wierszem bombastycznym i z sensami moralizującymi wyśpiewano; działał na koniec przykład romantyki włoskiej, „historii obozowej“ „Goffreda“ (Jerozolimy Wyzwolonej), najgłębsze wywierającej wrażenie; świadczy o tem choćby trzykrotne jej wydanie; w przeróbce sarmackiej stały się niemal rysy oryginału i odcienie misterne, zgrubiały one i spowaźniały; za to bił z nich przyspieszony puls wojenny. Epika szlachecka XVII wieku kroczyła po wszystkich trzech szlakach.

Błahem wierszowaniem relacji prozaicznych zaczęło się jej dzieło w relacji pisarza W. Ks. Lit. **Eliasza Pielgrzymowskiego**, o poselstwie moskiewskim roku 1600, odbytem z Lwem Sapiehą, jemu poświęconej. Pan pisarz to jeszcze typowy przedstawiciel XVI wieku; protestant między promotorami swej konfesji wymienia go np. Erazm Glicznier w dedykacji „Apelacyi“ z roku 1598 — gorliwemu neoficie katolickiemu dzieło poświęca; pisuje panegiryki łacińskie Skuminom i Radziwiłłom, przesiąkłe klasycyzmem, a wierszuje po polsku dyaryusz poselstwa, nędzny, jako dzieło sztuki, arcyważny, jako świadectwo historyczne, porównujące oba narody, ich cechy fizyczne i umysłowe, ciekawy mnóstwem rysów i szczegółów obyczajowych, aż do najskrupulatniejszego wyliczania potraw i napojów na bankietach carskich i uczcie nadgranicznej — pendant poetyckie do prozaicznego pamiętnika Niemcewskiego. I od tej pierwszej relacji wierszowanej ciągnie się ich rój nieprzerwany aż do roku 1699, do wjazdu i koronacyi Augusta II.

„Rokosz“ opiewany jest tu nieraz i przez monarchistów i przez republikanów: Marcina Błażewskiego „Tłumacz Rokoszowy“ bije na niemiłość ojczyzny, na rokoszan, na przyszłą zgubę; gdy sąsiedzi

nas męcząc, nam prawie będą: jadłeś matkę (ojczyznę), otóż ci stoi w gardle kością. Rękopiśmienny „Postępek rokoszu“ biadał wprawdzie nad „czasów tych mieszaniami“, ale sympatye jego były po stronie rokoszowej i, „chrapowliwym wierszem“ sobie śpiewając, odganiając precz Apollina z muzami, „prostowierszem“ koleje rokoszowe wyrażał. Jeszcze liczniejszych rymotwórców, Jezuitów, bakałarzów, szlachciców znalazły Kirchholm, Smoleńsk, Chocim; najobszerniej lichy, lecz pilny i płodny wierszopis, Krajewski, oblężenie Smoleńska wystawił. Powódz podobnych relacji wywołały zdarzenia roku 1648 i następnych; Kuczwarewicz relacya zbaraska ciekawa chyba szczegółami o czarownicach „Chmiela“, jego Sołocha np.

Na mękach nie wołała, ale spała sobie,
Gdy ją palono, tylko rzekła: otóż tobie!

Nierównie więcej zajmują liczne wiersze Jana Białobockiego, co, z kurzu wojennego otrzepawszy się, zasiadał do poetyckiego warsztatu i wydawał nietylko „Pochodnię wojennej sławy“, „Klar męstwa“ i t. p., lecz i w bajce alegorycznej sił próbował: Brat Tatar abo liga wilcza ze psem na gospodarza (t. j. Chmiela na króla); opisywał, co sam widział, i usprawiedliwiał się przed czytelnikiem z formy utworów, gdyż zarzucano, „że wierszem pisać nie rzecz historyej“, powoływał się na przykład Kochanowskiego, na przyjemność i krótkość „pieśni“, a jeżeli co z poetów miesza, „to tylko phrasis dla okraszy wiersza“. Relacye jego bardzo ciekawe, jako od uczestnika; oblężenie zbaraskie wygląda w nich inaczej, niż u Sienkiewicza; traktatom on nie wierzy, woła przekonany: gdy my traktatami

Ugruntujemy pokój z kozakami —
Zła żmija — piórkiem będzie ugłaskana,
A w przyrodzeniu stanie się odmiana!

Nie brak mu dowcipnych i satyrycznych docinków. Wojny szwedzkie znalazły rymopisa w Żmudzinie jakimś, który „Relacyę żmudzkiego wejścia i wyjścia ze szwedzkiej opieki“ roku 1658 w saficznych strofach opisał, sarkając na odstępstwo zwiedzionych obietnicami szwedzkiemi. Najobszerniej wyłożył dzieje spółczesne, od 1656 do 1670 roku, Gabryel Krasieński, kasztelan płocki, w również rękopiśmiennym „Tańcu Rzeczypospolitej Polskiej albo raczej roz-

mowie dwojga ludzi, terrigeny z peregrinem o wojnie szwedzkiej“ i t. d., najmniejszym pod względem poetyckim, ale bardzo znaminnym dla ciasnoty pojęć szlacheckich, dla braku odwagi wypowiedziania prawdy nawet w dziele prywatnego użytku, dla sądów i sympatii społecznych, rozrywanych między powagą królewską a uwielbieniem rokoszanina.

Jeden szczegół tych czasów, „Potrzebę (cudnowską) z Szere-metem“ opisał bardzo gruntownie żołnierz jakiś „boku hetmańskiego blizki i w okazyach wszystkich wojennych przytomny“, proszący czytelnika:

Nie na wiersz, nie na słowa; na życzliwość moje
Ku żołnierzom koronnym patrz; tamto oboje
Poprawuj, jako raczysz — nie za oratora
Mam się ani poetę, tylko relatora
Prawdziwego tej wojny imię zyskać życzę i t. d.

Wynurzenia jego są szczerze, przyznaje on chętnie bitność i wzorowy porządek wojsku moskiewskiemu, żyjącemu z żołdu, nie z łupu, na którym nie ciąży łyzy i klątwy ludzkie.

Zwycięstwo Chocimskie roku 1673 wywołało znowu całą literaturę poetycką; z powodzi wierszów i pieśni wyróżnia się dokładnością świadka oczywistego „Haracz, krwią turecką wypłacony“ Ślizienia, tłumaczący po bokach kart terminy obce, tureckie; uwagi godne i relacje Stanisława Makowieckiego, o Kamieńcu wziętym (r. 1672) i o szczęśliwej ekspedycyi pod Kamieńcem następnego roku; pierwsza broni załogi zamkowej, posądzanej o zdradę i tchórzostwo; druga opowiada szczęśliwą „imprezę“ ze wszelkimi szczegółami, żywo a barwnie. „Wiedeńskiej“ już się mniej poszczęściło; księdza Drobiszewskiego (niedrukowany) opis ani poezją, ani prawdą życiową się nie wyróżnia — później do tryumfów już powodu nie było. Tem ciekawsza za to rzecz obca, Mirona Kostyna, logofeta (kanclerza) ziem mołdawskich, najznakomitszego z dawnych poetów i literatów rumuńskich, „Historya polskimi rytмами o wołoskiej ziemi i mołtańskiej“ (r. 1684); na pomniku, którzy rodacy poecie roku 1889 wystawili, przedstawia jedna płaskorzeźba oddawanie tej poezyi Sobieskiemu; autor „wstyda się wprowadzić muzy swojej sarmackiej... z mego w niej niedostatku“, wychwalając bogactwo mowy słowiańskiej, prześcigającej łacińską, pożyczając to u Greków, co Słowianin swoim Lubomudryje, Bogosłowije,

Zwezdotecczije i t. d. bez pożyczek wyprawia. Ta „o małej ziemi mała nieudolnym stylem wyrażona historia“ ciekawa jest nie tylko treścią niezwykłą, ale jako świadectwo obyczajowego znaczenia mowy polskiej w XVII wieku:

Muzo przebac Sarmacka, że twym wychowanym
Pięknie synom nie zdołam...
Ale pozwól przynajmniej prostym głosem zjawić,
Zkąd naród jest wołoski, światu to objawić...
Przy synach twych postronny niech się też pożywi;

odsyla do historyków polskich, „którym powinni siła Mołdawowie, że przy większych swych dziełach są i oni wspomnieni“, pełen szczegółów najciekawszych, od Dniestru począwszy, którego się „nachwalić nie może („Przeszkoda snu ludzkiemu, komar, tam nie żyje“), aż do wzmianek o najstarszej, „rajskiej“ chorobie ludzkiej (dysenterji).

Powoli wysychają, z dziejami samemi, i relacje o nich poetyckie, ostatnie, niedrukowane, to Akt wjazdu po koronę Augusta II:

Przybędzie (!), Muzy, na ten akt wstawiony
Wjazdu; trąbami gości króla pana,
Abowiem wiarą świętą oświecony (wychrzta luterski),
Z Bożego daru ta mu łaska dana i t. d.

Wysoko po nad tę gawieź rymotwórczą, po nad wymienione i jeszcze liczniejsze, niewymienione relacje wzbil się w eposie historycznej Wielkopolanin **Samuel Twardowski**, przez innych naśladowany (np. przez Makowieckiego), gorąco uwielbiany przez społeczesnych; na jego nagrobku Gawiński pisał:

Rzuć i krusz grot twój, Marsie! twa to trąba była,
Iliadę polskich dzieł co światu głosiła...
(I po śmierci) żyje on i pod niebo mądrym wzlata piórem,

a nie mniej wysławiali słowiańskiego Wirgiliusza, którego muza heroiczna „przeszła Enniusze i chlubne Homery“, Kochowski i Potocki. Zaczął, jako poeta dworski na Rusi; wzięwszy udział w poselstwie tureckim ks. Zbaraskiego roku 1622, które po łacinie Kuszewicz opisał, po latach wierszami szczegóły dyaryusza wydał i na nalegania przyjaciół wydrukował je roku 1633 (drugie wydanie

roku 1639) jako „zwyczajne ojczyście Heroikum bez farb i licencyi poetyckich”, — rzecz, wobec ubóstwa polskiej literatury podróżniczej, nadzwyczaj ciekawa, szczegółowa i gruntowna; opisuje zwyczaj i ziemie tureckie, notując starannie terminy obce; ciekawa oprócz tego dramatycznemi zawikłaniami misyi, gdzie posłom śmierć lub więzienie groziło. Po tym pierwszym początku siedł Twardowski coraz dalej, jako historyograf niby swych czasów, przeplatając domowe gospodarstwo i dzieła wielkie panegirykami okolicznościowymi. Bawiły go wszelkie splendory, wjazdy, uroczystości i t. p.; użył na nich szczególnie w „Władysławie IV”, opisującym, jak Koberzycki po łacinie, dzieje królewicza i pierwsze kroki króla, chociaż dzieło mu się smutnie opłacało: przed jego ogłoszeniem złożono w grobie i Króla, i sławę Polską, a dzieło Twardowskiego kat na rynku warszawskim palił, chociaż posłowie moskiewscy kary śmierci na autorze samym, za uchybianie carowi, się domagali. Na stare lata zabrał się Twardowski i do opisu „Wojny domowej”, z której się szwedzka i inne rozwinęły; ona to wyrugowała go z Rusi Zbaraskich, Sieniutów i Wiszniowieckich, szczodrych panów jego; przed nią uchodził „zbiory wiotche papierowe w małym pudle uniowszy”, ale i w rodzinnej Wielkopolsce nie osiedził się, i w Kobylinie dosięgły go „strasliwe te wojny,

Ostrzelany którymi, huku już nie słyszę
I między Marsowymi tumultami piszę
Karty te nieskończone...

i zwątpił poeta, czy kresu ich dożyje, aż pokój oliwski chwilową ulgę przyniósł i dzieło dokończyć dozwolił. Zmieniały się tymczasem zapatrywania Twardowskiego; przestały go nęcić festyny i pstrocizny; rozpaczając nad ojczyzną, witał i Szweda, jako zbawcę, który porządek, ład, uszanowanie prawa przywróci; sarkał na nadmiar wolności polskiej; kłóły go w oczy zbytki polskie, jakby rozszalałe w ubóstwie ojczyzny, szlachta ukraińska mogła i pod płotami z nędzy zdychać, u nas za to coraz nowe stroje, u mężczyzn jako i u pań, wtedy nastały:

Pudry, piżma i dziwne w strojach manijery,
Z cudzoziemskich alamońd coraz fozy (kroju) inne,
Krymki, Szwedki, Nocenty, Ankry, Ingerniny..

Ale Twardowski jeszcze nie rozpacział całkiem, jeszcze się łudził nadzieją, że po tych klęskach wstaniemy przecież i upamiętamy się, że, „tak grube wyzuwszy narowy, w insze się odmienim i rady i głowy”, że karami temi Opatrzność sama „tę nam buduje reformę”.

Twardowski był nader wpływowym pisarzem; coraz nowe przedruki dzieł jego świadczyły o tem najlepiej. Miał pretensye do stylu epickiego, potrząsał swe wiersze kwiatkami retorycznymi i porównaniami, wzorowanymi na łacinnikach, których nawet szyk słów nienaturalny, niepolski, naśladował; wysłowienie jego dobitne a soczyste i barwne; przytem przedmiot sam ważny; treściwość a prawdziwość opowiadania jednały i najobszerniejszemu jego dziełu, „Wojnie Domowej” o 16,000 wierszach, nietylko czytelników, ale nawet tłumaczy (na ruskie). Wycieczkami na nierząd, na Sicińskiego (którego jednak po nazwisku nie wymienił!), na zbytki i skąpstwo, na straszną nieufność wzajemną („żeśmy się tak sami strzegli siebie, jak węzów, od króla począwszy aż do dwu spół stojących”) przetykał on nie tylko w „Wojnie” swe wiersze; poświęcił im osobny poemat, „Satyr na twarz Rzeczypospolitej” (1640, trzy razy w krótkim czasie odbity i natychmiast przez innych naśladowany, np. przez Rysińskiego w „Satyrze na twarz dworską”), gdzie fikcyę Kochanowskiego, poety ulubionego, naśladował, dodając leśną rozmowę z senatorem (!), wymowne skargi na sobkostwo ogólne, na przedajność trybunałów, gdzie jednak materye polityczne pomieszał z obyczajowemi, wedle błędnego trybu wieku, i w końcu zamiast poprawy nierządu mierność horacyańskim trybem zalecał, chociaż w wierszu na rozerwany sejm roku 1639 — z którego i Łukasz Opaliński do „Rozmowy plebańskiej” się nawrócił — wyżej się wznosił: oskarżając prywatę, „przez co dziś rozyrywają sejmy, przez co w krótkce rozerwiem się i my... nie strużmy już dla Boga więcej tej wolności, bo zginiemy pręcej”, co i w Omen królowi szwedzkiemu powtarzał: „na sejmach swar próżny i głosy żarliwe tylko o wolność... przez nie giniem”.

Twardowski powtarzał i Kochanowskiego i samego siebie, nieraz dosłownie, chociaż w poezyi historycznej i satyrze wcale się nie zagrzebał; nęciły go i dziedziny fantazyi i wymykał się do nich czy to w „Dafnidzie drzewem bobkowym przemienionej”, sielance mitologicznej w kilkunastu scenach i w oktawach, którym poeta zresztą nie hołdował, tym razem pod wpływem „Goffreda” zostając

i temat baletu włoskiego opery królewskiej przerabiając; czy to w „Nadobnej Paskwalinie z hiszpańskiego świeżo w polski przemienionej ubiór“:

Wojnę powiem miłości i zwycięstwo nowe

pięknej Paskwaliny nad Wenerą, która przed zwycięską czystością jej uchodzić musi z Lizbony: alegorya, z romansu hiszpańskiego, Dianei Montemajora, zaczerpnięta, jak płeć piękna zakusom Wener-y czoło stawić winna po drodze cierniowej, ale zbawiennej. Te same tu życzenia i nadzieje, jakie w poematach politycznych: poeta tuszy sobie, jak Paskwalinie,

Azali też światowi *reforma* jest blizka
I kiedyż ukarane takową lat złością
Pompy nasze, Saturnów z jego niewinnością
Wiek nam wróć, wyzuwszy z twarzy się tej lisiej,
Gdy Wenus rugowana i Kupido wisi.

I w takiej alegoryi hiszpańskiej nie zapomniał Polak - obywatel o swoich, między rozmaitemi prorocत्वami słyszy Paskwalina i tę o strasznym pożarze na Wschodzie, wzniesionym „przez hultaja jednego z lada gdzieś tam domu i wzgardzonej faryny“, gdy dzie-dzictwo Lecha z ostatniej toni król wyratuje i zatknie znaki zwycię-skie „po cymmerskie bosfory i czarne podwoje pontu zastąpione-go“ — niestety, prorocтва i nadzieje p. Samuela zawiodły.

Nie zawiodła sława jego, żywa jeszcze w XVIII wieku, wpływ jego i wzór, przemycający włoskie motywy i słowa do poezyi polskiej, najbardziej właśnie w tych romansach, drukowanych jeszcze np. roku 1701; grę namiętności miłosnych umiał on wcale ładnie od-dać. Spółczesnym jednak imponowały najbardziej jego „historye“, chociaż dla zbytńego natłoku ludzi, czynów i miejsc, dla kilkunastoletniego, nigdy jednolitego ciągu zdarzeń, większych obrazów epicznych on nie roztaczał.

Co on zaniedbał, dokonał **Wacław Potocki**, tworząc w Woj-nie Chocimskiej najdoskonalszą „historią“ polską. W pół wieku doczekał się najsłynniejszy czyn broni polskiej apoteozy poetyckiej, gdy nowa groza turecka odpór zwycięski roku 1621 przed oczy sta-wiła, gdy się trwożliwie pytano, gdzież ci Chodkiewicz, Lubomir-scy i — Kozacy owego wiekopomnego roku, gdy z nikąd nadzieja

odsieczy czy posiłków nie świta. Znienawidzony Potockiemu, dlatego że obcy, „Snop“ Wazów wytrzęsiono nareszcie; Michael — Jam Lech wróżył nazwiskiem samym i zgodnym wyborem rozen-tuzyazmowanemu poecie - szlachcicowi zwycięstwo i na wzór i pa-miątkę skreślił on owo dawniejsze. Trzymał się wiarogodnego i dokładnego źródła, „komentarza“ wyprawy chocimskiej, jej komi-sarza, Jakóba Sobieskiego, ale na tej kanwie snuł własne domysły, epizody, wycieczki — choćby satyryczne przeciw zgnuśnialej teraz-niejszości, niegodnej wielkich ojców, dygresyi i mowy; zaglądał do obozu i dywanu tureckiego, był przy modłach kornych Lubomir-skiego, szydził ze słabości królewicza i opieszałości króla, a wysta-wiał czyny cnego rycerstwa, o nie-rycerzach, Kozakach i ich dziel-ności, już zapominając; zapominając też o tej strasznej trwodze, ja-ka uczestników przejmowała, jaką tak dokładnie w natchnionym kazaniu Birkowskiego odczuć można i o sromotnym epilogu, gdy obrońcom ojczyzny z głodu i chorób zdychać kazano. Dzieło nie zbudowane artystycznie, trzyma się ziemi, odrzucając wszelkie włoskie wymysły, w których trzeźwy arian nie gustował, naśladu-jąc Lukana, nie Wergila ani Tassa; ale nie zimne to, obojętne ry-mowanie na urząd; gorąca miłość ojczyzny, coraz zmienne uczucia wstydu i dumy, zwątpienia i tryumfu, kornej nadziei w Bogu i otu-chy w niezłamaną dzielność ramienia polskiego, przemawiają wy-mownie, dobitnie z każdej karty. A do tego język, swobodniejszy, niż Twardowskiego, nie naginany zbyt i widocznie do łacińskiego wzoru, rubaszny miejscami, szczególniejszej gdy z wroga szydzi, ale jędrny, malowniczy, pełen przenośni i obrazów stawia to dzieło na czele poezyi siedemnastego wieku. I drugie zwycięstwo chocim-skie, z tem co je poprzedzało, opisał Potocki, ale już szczegółowe-go obrazu nie wykończył, przewierszował po prostu relację, to co od innych usłyszał.

Obok tego eposu, wzorowanego na klasycznym, romantyczne i w „historyach“ wywalczało sobie miejsce. Tak opisywał Ko-chowski, sztukując brak obfitszej weny epickiej wymysłami fanta-stycznymi, furiami, jędzami, alegoryami, i rokosz Lubomirskiego, wydając za nim „Kamień świadectwa“ i „Wiedeń oswobodzony“: oktawy „Kamienia“ wylały się z wezbranej piersi, na „Wiedeń“ wysilał się poeta, który już rzemiosło poetyckie zarzucił i historyo-grafa królewskiego na się oblókł, więc zapal jego robiony tak pręd-ko ostygł, że nawet do końca imprezy autor nie dobił i Sobieskiego

nad Dunajem porzucił. Na kim Kochowski się zaprawiał, dowodzi choćby tytuł jednego z dzieł jego: „Nie próżnujące próżnowanie“, wzięty z przedmowy do „Goffreda“, gdzie autor - tłumacz czytelnikom polecał plód swój *otii non otiosi*.

Korwin ów — z herbem i koligacją odziedziczył **Piotr Kochanowski**, bratanek Jana, i wenę jego poetycką — zrodzony na północy, zżył się od wczesnych lat z Włochami i z ich literaturą; wabiło go, w czem najwięcej Włosi celowali, czego w literaturze polskiej wcale jeszcze nie było, wielka epopea Aryosta i Tassa, fantastyczna i heroiczna, pełna przygód, niespodzianek, blasków, świat wschodni, rzeczywisty i wymarzony, cudowny, nadludzki męstwem i siłą, wdziękami i przepychem; wiarą i skrucą rozrzewniający, a humorem, fantazyą porywający. Materiałów na odtworzenie takiego świata w obrębie Polski jeszcze nie było — blask Warszawy przyćmiły kłamstwa węgierskie o wiarołomstwie Władysława — więc nie pozostawało nic innego, jak żywcem świat ten przedziwny, nęcący oko polskie samą oryginalnością niezwykłą, przeszczepić na niwę polską, „aby się pokazało, że język nasz nie jest nad insze uboższy i aby się szczęśliwszym dowcipom do ubogacenia go dalsza podała droga“.

Tak powstał przekład „Orlanda Szalonego“ i „Jerozolimy Wyzwolonej“ — lecz nie powiodło się obu dziełom w równej mierze. Nie znalazł się dla Orlanda żaden Tęczyński, który tak długo naglił i nawet w głądzeniu poematu sam pomagał, aż wymógł na sekretarzu królewskim — i urząd Piotr po Janie odziedziczył — wydanie „Goffreda abo Jeruzalem wyzwolonej“ roku 1618. Jak spółcześni ten przekład przyjęli, dowodzą wiersze aryana, Olbrychta Karmanowskiego, co mimo przepaści dzielącej wyznania, mimo przytyku do rycerzów maltańskich, apostrofował poetę, którego „córkę Mnemozyny... zaraz w pieluchach wzięły matce (Polsce), i jego

wychowały w swoim Helikonie,
Lejąc w serce i w pamięć nauczone zdroje,
Z których codzień wdzięczniejsze płyną rymy twoje,
Rymy (acz są gdzieś insze), lecz ja mówię o tych,
Którymiś nie przepomniał kawalerów złotych,
Co Pański grób z rąk pogan srogich wyzwolili i t. d.

Kochanowski zatrzymał *metrum* oryginału, ów „przeplatany ośmioraki rym, jakim narody polerowańsze swoje heroika piszą“

i zdobył dlań odrazu, na zawsze, prawo obywatelstwa w poezji polskiej; za nim poszli wszyscy, chociaż nie każdy mu dorównał. Zresztą poczynął sobie swobodniej: wprowadzał Wisłę i Krępak lub Tetry, gdzie Włoch o Padzie lub Apeninach wspominał; rysy, o których głucho u Włocha (np. jechać na wrogu i t. p.); ścierał zbytnią pieściwość twardszym, krótszym wyrazem; lecz i z jego kart bije wielka powaga i natchnienie szczere i udzielają się czytelnikowi, któremu wobec Cecory i Chocima karty te chyba aktualnemi się wydawały. Orland do druku się nie dostał, rzecz czystej fantazyi nie nęciła jeszcze Sarmackich umysłów, którymi przecież wstrząsała walka z niewiernymi o grób Zbawiciela; ale że i nie wykończony zresztą całkowicie Orland znachodził gorących wielbicieli, dowodzą tego liczne i staranne odpisy olbrzymiego poematu (46 pieśni!), do dziś po bibliotekach przechowane, chociaż z wziętością „Goffreda“, króla poezji polskiej, równać się nie mógł. Trudności tłumacza były w „Orlandzie“ może jeszcze większe; nie lada to sztuka, bogatą treść włoskiej oktawy w jednej polskiej zmieścić; dowodziło nadzwyczajnej wprawy i władzy nad językiem, kuszenie się o podobne trudności i nie mogły się literatury „polerowańszych narodów“ lepszymi albo choćby takimi przekładami szczycić. Niestety, świetny początek nie znalazł godnego ciągu dalszego, przynajmniej nie długo; już tłumaczenie Adona, najtrudniejszego, bo najbardziej kwiecistego i wyszukanego w języku, tłumaczeniom Goffreda i Orlanda nie całkiem dotrzymało kroku; pod rękami zakonnika Bazyliańskiego tłumaczenie religijnej epopei Marina już na parodję zakrawa. Ale epopea albo choćby nowela romantyczna należały odtąd do stałych zasobów poezji polskiej.

Pierwsze ich próby starsze nawet od Kochanowskiego; ich dostarczał już wiek XVI, przewierszujący ustępy z „Przemian“, z „Bokaczia“ i t. d.; od owych suchych i bezbarwnych relacji odbijał żywo i malowniczo dopiero styl **Hieronima (Jarosza) Morsztyna** i jego naśladowców. Hieronim wcześniej wziął się do wiersza; nim skarbił łaski urażonego wuja - opiekuna; nim werbował patronów gdzie mógł, na Litwie i w Wielkiej Polsce, chociaż na końcu w Małej osiadł i swobodnie życie pędził, gędząc sobie i przyjacielom, niczego (prócz grzechów młodości, Światowej Rozkoszy roku 1606 i jeszcze dawniejszego Zwierciadła statecznego i szalonego młodzieńca) nie drukując. Tem bardziej rozchodziły się jego wiersze w odpisach, liryki rzadko zebrane, najczęściej pomieszane z liryka-

mi innych, dla rozwiozłości do druku wcale się nie nadające, zapomniane rychło, i nowe, cieszące się szerszym rozgłosem i po r. 1650 często drukowane, w dwóch zbiorach, „Antypasty małżeńskie“ i „Philomachia abo afektów gorącej miłości wyrażenie“; niesmaczne tytuły zbiorowe wymyśliła dopiero mądrość wydawców.

Miedzy Antypastami wyróżnia się „Historia ucieczna o znacznej królownie Banialuce z wschodniej krainy“: o nazwie tej dowiedział się Morsztyn chyba od olejkarza węgierskiego, ale historię wymyślił sam, wiążąc motywy z bajek ludowych, np. o słońcu czy wietrze naprowadzających bohatera na dobrą drogę, i z romansów włoskich, o rycerzu - ogrodniku, zwyciężającym na turniejach i t. d. Zmysłowa uciecha ze świata i jego piękności, których się ani nasyć można, wyrażona otwarcie w owej młodzieńczej „Rozkoszy“, mimo jej zakończenia na temat *Vanitas vanitatum*, bije i z tych kart; bawi go wszystko, co widzi; w „Rozkoszy“ już na wyliczania się silił, w stylu barokowym, w „Banialuce“ dokazał sztuki, której żaden poeta polski nie doścignął: gdy u trzeciego pustelnika królewicz o zaginioną kochankę pyta, zwołuje pustelnik wszystkie czworonożne i ptaki, i poeta każde ze swoim głosem wystawia, a więc „żoraw strukał, plegotały kaweczki, sroki szczekotały, głuszc puchał, ich cieciorzki kokały, zięba wietala, słała krzeczala“ i t. d. i t. d., najzawołanszy myśliwy nie miałby co temu wierszowanemu katalogowi, rozróżniającemu nawet tura i żubra, nic do zarzucenia. Nowele, dodane w prozie, o „Gryzeldzie“, z Włoch w Cieszyńskie przeniesionej, wierszowali potem inni (Szemiót).

Publiczność lubowała się w takich rzeczach. Gdy młody Borzymowski podróż morzem z Gdańska do Lubeki odprawiał roku 1651, opisał on ją później roku 1662 całkiem w guście romantycznym, z fantastycznymi przygodami na lądzie i morzu, z awanturami miłośnemi, zdradą i jej ukaraniem, ale i on z polskiem obywatelstwem się wydał, gdyż umieścił obszerny opis potrzeby Beresteckiej, opowiadając o niej ciekawemu gospodarzowi Niemcowi, przyjmującemu gości, jak patriarcha jaki starozakonny. I roi się od takich nowel; nawet dla owej historii francuskiej z roku 1643 (Łukasza Opałińskiego) znalazł się „poeta“ na Rusi, który ją obszernym wierszem wyłożył, ciesząc się ze swej ojczyzny, przeklinając Kallimacha i Makiawela — owe strachy szlacheckie w biały dzień. Inny, Adam Korczyński, zwierszował jedną z nowel „Siedmiu Mędrców“, „Wieżę“, wcale ładnie i dowcipnie; bohaterem jej zrobił Polaka, który,

śpiewając dumy kozackie, podbił serce cudnej Włoszki i staremu mężowi (arcysztucznym podstępem) ją uwiódł.

Wobec tego rozwielenienia się epiki historycznej i romantycznej musiała się wzmódz i religijna; w kontr różnym łacińskim, dawnym Chrystyadom i Jezuidom pomyślano o polskich Mesyadach, i wiek XVII ujrzał ich cały szereg. Rozpoczął go Abraham Roźniatowski, wypełniając śluby więzienia moskiewskiego w Kalwaryi Zebrzydowskiej „Pamiętką krwawej ofiary Zbawiciela“ (roku 1610); dzieło się podobało, przedrukowano je jeszcze i r. 1692, ale p. Roźniatowskiemu wydało się ono zbyt obszerne, więc skrócił je o połowę, poprawił, wygładził i wydał roku 1618 jako „Zwierciadło smutne“ i t. d. (przedrukowane np. r. 1634). Opowiedziano tu pasyę wedle czterech ewangelistów z rozmaitymi dodatkami, jędrnie, po żołniersku, nie szanując uszu — Judaszowi np. „telbuch jak bęben puknie“ („aż twarda skóra pukła“ w Zwierciadle); przykład Roźniatowskiego podzielał; następca jego wręcz go okradał.

Był nim ksiądz Walenty Odymalski, który, napisawszy żywot Matki Boskiej (r. 1660) dziesięć ksiąg historii „Świata naprawionego od J. Chrystusa“ roku 1670 w całości wydał; nie ograniczył się Męką Pańską, lecz dał całą historię upadku w raju i t. d., w języku nadzwyczajnej czystości i w wierszu gładkim: obok tego dbał on o prawowierność i skrupulatnie po bokach teksty pisma i autorów aprobowanych powoływał; baśni apokryficznych za to nie pomijał; tylko dziewiąta i dziesiąta księga o „Męce i Zmartwychwstaniu“ prawyły; dla epopei wybrał on przeciw „aleksandrynom“ Roźniatowskiego oktawy; obaj wstrzymywali się od mitologii, ledwie że się im wymknie Olimp albo oszczep w Lemnie kowany czy „trzoszczoki“ stróż Cerber.

Gładki, ale całkiem prozaiczny tok Odymalskiego nie zadowolił wszystkich; po wawrzyny Klopsztoka sięgnął i ksiądz Szymon Gawłowski w „Jezusie Nazareńskim albo Jeruzalem niebieskiej przezeń wyzwolonej“ (r. 1686), gdzie sam tytuł wzór wydaje:

Zbawienne boje niezwycięzonego
Śpiewam Jezusa, wodza wszech narodów,
Który dla ludu dziedzictwa swojego
O! jako wiele przebył krwawych brodów,
Okracając śmierć i czarta hardego,
By z niewolniczych wyswobodził grodów.

Śpiewam — co mówię! — płakać raczej muszę,
Kiedy pamięcią ran świętych poruszę.

Takich to strof jest kilka tysięcy, na dwadzieścia ksiąg rozłożonych. Wszystkiemu on nadaje ton jakiejś familijnej poufałości, czasem wcale wdzięcznej i rzewnej; nie waha się trybu polskiego przenosić w sfery nadziemskie z całą naiwnością średniowiecznego poety czy malarza; np. przy „Wniebowzięciu“ „już przez portyery nieba uchylone na Cię wygląda twój Ojciec“; Syn, jak szlachcic polski, co z podróży zagranicznej wrócił, całuje Ojca w rękę, składa relację, Ojciec całuje go w głowę; aniołowie stoją na warcie, szpieg niebiański melduje się i prowadzą go lepszym nawet porządkiem, niż w obozie polskim. Inna osobliwość Gawłowickiego to ciągłe, przedługie rozmyślania, mowy i monologi; on sam mało opowiada stosunkowo, ciągle malując mowami stan duszy. „Poetę“ ratuje język, tak miłe uszy łechcący, że i dzisiejszy czytelnik nie prędko sobie w nim stęskni; ratują go obszernie, choć nie zawsze szczęśliwie dobrane porównania.

Większego zadania podjął się **Wacław Potocki**. Chciał on stworzyć olbrzymią parafrazę całej ewangelii, wystrzegając się najmniejszego dodatku do jej szczegółów, stosując tylko jej nauki do dzisiejszych czasów, do duchowieństwa, do praktyk zewnętrznych, do niemiłości ludzi, wypowiadając ewangelią wojnę grzechom i zdrożnościom tego świata, zabłądzeniom sekciarskim. Tej całości on może i nie wykonał, pozostały tylko resztki obszernego brulionu, z ciągłymi wstawkami i poprawkami: poeta nigdy nie był z siebie zadowolony. Wykończył tylko taką parafrazę „Passyi Pańskiej“ (r. 1679 i 1680), od której całe dzieło zaczął być nawet; wydano ją już po jego śmierci (r. 1698) i z pobożnymi dodatkami powtórzono ją za Sasów.

„Nowy Zaciąg“ Potockiego przypomina „Pamiętkę“ Rożniatowskiego, lecz eksaryan zachował wstręt przeciw wszelkim dodatkom i wstawkom do słów ewangelii — próżnobyśmy szukali u niego jakich szczegółów apokryficznych, np. o Weronice i t. p.; nie domyślając się ponad brzmienie tekstu niczego, rozszerza tylko słowa i obrazy ewangeliczne. Styl jego nie ów gładki i jasny, ale suchy i mdły Odymalskiego i Gawłowickiego; poeta wprawdzie kwiatków poetyckich nie szuka; nie układa harmonijnej całości, śpieszy się widocznie ku końcowi, mimo to wywołuje inne, głębsze i trwalsze

wrażenie; nie darmo Lipski książkę przedrukować radził, nie darmo dopisał Lubieniecki na rękopisie: tu się sam przewyższył. Ton całości odpowiada tytułowi wojowniczemu („Nowy Zaciąg“): huk bębnow i kotłów rozlega się nietylko w przedmowie, oddychającej Marsem, lecz i całe dzieło do niego nastrojone; autor jakby przebiegał miasta i wsi i wzywał do pokuty i skrucy, jakby werbował, zaciągał wszystkich pod tryumfującą Jego chorągiew, jakby obiecywał hojny żołd i liczne zasługi tu i na tamtym świecie. Wszędzie zaczyna od siebie: przy każdej nowej męce, ranie, zelżywości, zwraca oburzenie od kapłanów, tłumu i katów przeciw sobie samemu, ile to boleśniej, gorzej, złośliwiej on, odkupiony ową krwią najdroższą, myślą, radą, uczynkiem lży, rani i męczy Zbawiciela; namiętne skargi i żale jego uniewinniają niemal Żydów i Rzymian, a zwracają się przeciw niewdzięcznym, niegodnym chrześcijanom, ich nieprawościom, ich zbytkom w strojach i napojach, ich grzechom. Na całość składają się więc tok opowiadania i akta skrucy; tok nie jednolity, rozpada się na ustępy, powiązane zewnętrznie; nieraz się arcy naiwnie wyraża, np. przy pojmaniu w Ogrójcu:

Padszy na świecką zgrają hultajskich młokosów,
 Niejeden garść Twych świętych pokazawał włosów,
 Niejeden cię koszturem w bok, niejeden między
 Łopatkę pchnął, a insi, szukając pieniędzy,
 Rozpasują, macają, trzęsą zgoła wszędy...
 Hajduk, drab, szuja lepszy gdzieś kobyły łupi ¹⁾,
 Przy obecności pańskiej a jeszcze biskupiej
 Okrutnie związanemu Chrystusowi w stryczki,
 Gdyżby nie śmiał inaczej, zadaje policzki...
 Samym biskup od kąt różny kapeluszem,
 Broda, jak u proroka, cnota, jak u draba...
 Bo i biskup i hajduk jednacy hołysze:
 Z żydowskiego procesu dyabeł dekret pisze...
 Stałeś, jako jeden słup, zsiniały na zimnie,
 Stałeś *bez czapki*, bosy, uplwany, kwoli mninie...

Ale wszelkie te płaskości i śmieszności okupuje u bacznego czytelnika niekłamany afekt autora, wyrażony w stylu arcydobit-

¹⁾ Spółczesny czytelnik, w rękopisie Lubienieckiego, zaprotestował przeciw tej rubaszności, jako niestosownej.

nym, silny język silnego uczucia. Zamiłowania swego dla świata rzymskiego nie zaparł się autor i tutaj, porównania czerpie, wprawdzie nie z mitologii, usuniętej zupełnie na bok, lecz z dziejów; przeważają przykłady, wzięte ze Starego Testamentu lub z otaczającego życia, czasem dziwaczne i niesmaczne, np.:

Nie na papierze, który lada mołem ginie,
Ale drukiem na ciała Twego pargaminie
Odbieram skrypt w żalosnej wytłoczony prasie...
O drogie, nie zrównane nigdy pismo z niczem,
Katowskim na subtelnem ciełe rznęte biczem,
Szczerozłote litery, ale nowej fozy,
Sieczystemi różgami wybijane z brzozy.
O Jezu mój! któryś się ludzką niedołągą
Stał tak żalosnym drukiem wytłoczoną księgą.
Przez niewinnej krwi Twojej proszę charakterzy,
Pisz na sercu mym swego zakonu litery i t. d.

Epika religijna sięgała i po za ewangelie, do legend i do Starego Zakonu; W. Potocki wierszował niegdyś Judytę, życząc za Chmielnickiego czasów, żeby i w Polsce, gdy mężów brak, podobna niewiasta powstała; Stanisław Lubomirski sielankę biblijną o Tobiaszu w pieszczotliwe i żartobliwe wiersze przelał, przyczem, jak wspominaliśmy, nie brakował satyrycznemi wycieczkami, przeciw obmowom („teraz gdy z sobą przyjaciele siedzą, bardziej z bliźniego, aniż z bliźnim, jedzą”—dawniej dwór miewał „pokojów mało a siła pokoju”: więc uprawiał p. marszałek w. kor. kałambury niegorzej, niż H. Rzewuski). Żonie jego poświęcił ks. kanonik Wadowski „Daniela proroka“ (1699), gdzie tekst biblijny rozszerzał nieskończonemi moralizacyami, jak i w poprzedniej swej pracy, w „Cieniu życia ludzkiego“ (1691), „ciesząc się Polską i językiem“, szturmując na pijaństwo i obżarstwo, z którego „złe wszystko idzie jako z jeża ości“, pijany bela:

Tacza się, jak na wiosnę zagłodzona szkapa;
Tęć z głodu zimowego drzącą wiatr powiewa,
Ten zaś z trunku dobrego krzyczy, bije, ziewa i t. d.,

na inne niedostatki Polski, której się już nic nie wiedzie — nie brak naturalnie wyzwisk na akatolików; czem mniej ich było, tem zapalczywiej na nich sarkano.

Ks. dziekan Kuligowski zapełniał inne luki epiki ascetycznej, odwieczną, buddyjsko-chrześcijańską legendę „Królewna indyjskiego w polski strój przebierając“ (1688), przyczem tę legendę o „Jozafacie i pustelniku Barlaamie“ bardzo rozszerzał; sapieżyński ten poeta wydawał i „Demokryta śmiesznego“, niby chrześcijański, t. j. nie wszeteczny zbiór anegdot i dworstw, z wierszami na herby, i „Heraklita smutnego“. Bazylian wileński tłumaczył bardzo niezdarnie Mariniego „Rzeź niewiniątek“ i t. d.

Jak w wierszach świeckich i religijnych, tak w tłumaczeniach nawet z klasyków przeważał element epiczny. Kiedy XVI wiek tylko polską Eneidą się szczyił, teraz Owidyusz, Lukan i inni epi-cy nieraz po kilku tłumaczów znachodzili. Polskie tłumaczenia pozostawały daleko w tyle za oryginałami; dobierając niezbędnych rymów, rozszerzały zbytecznie tekst wstawkami zbędnymi; już Wacław Potocki na nie się skarżył i słusznie. Wyjątek stanowi jedynie Jakób Żebrowski, tłumacz „Przeobrażeń“ (r. 1636), który każdy heksametr oryginału polskim aleksandrynem oddawał, a więc liczby wierszów łacińskich nie przekraczał: ale język jego, archaizmami i prowincjonalizmami gęsto przesadzony, twardy, a wiersz chropowaty; Otwinowskiego tłumaczenie obszerniejsze i gładsze, ale wodnistsze. Chrościński, sekretarz i poeta Sobieskich, przetłumaczył Heroidy Owidyuszowe: „Rozmowy listowne albo raczej wzajemna heroin greckich z kawalerami korespondencya“ (r. 1695), gdzie najciekawsze pożegnanie córki — przyszłej elektorowej bawarskiej przez króla napisane:

Już że, gdzie niesie fortuna cię twoja,
Z domu rodziców, jedynaczko moja,
I z domu braciej za ojczyste progi,
Bierz się do drogi i t. d.;

polecając córkę opiece Boskiej i świętych, błogosławi ją i kończy:

Życzeń pociechy z mych wnuków, z twych dzieci
Ociec, Jan Trzeci.

Ten sam Chrościński równocześnie z Bardzińskim „Farsalię“ Lukanową (z dodatkami) tłumaczyli — w nich to godziły wyrzuty Potockiego, zasłużone, chociaż Bardziński, za krótkością goniąc,

Cezara Cesarzem i Carem nazywał, gdy wiersz go do tego zmuszał; najśłynniejsza fraza Lukanowa brzmi u Chrościńskiego:

Wygrana bogom samym się podoba,
A zaś przegraną bardziej chwali Kato;

u Bardzińskiego: Dank u bogów wziął tryumf, pogrom u Katona; Bardziński silił się również, jak Żebrowski, wierszów nie mnożyć, chcąc dowieść, że i polszczyznę tak trudnego autora dobrze oddać można, choć obcym się zdaje, jakoby nasz język był ubogi, a to nasza tylko wina, że się obcym językiem posługujemy radzi. Ale Bardzińskiemu nie dopisywał język, wiersze np. „piknęło przez Cesarza, czupryna mu wstanie“ nie rzadkie; Chrościńskiego tok składniejszy, chociaż sam wybór oktawy (czasem jedna oktawa jeden heksametr oddaje!) do rozszerzania zbytniego go kusił.

Obok nich tłumaczył Ustrzycki, ciężkim językiem, łacinę Klau-dyana i Stacyusza, równiejszym, śpiewniejszym Marina i Francuzów, z których już dawniej, np. Bartasa „Judytę“ przełożono i t. d. Wierszowano i prozę łacińską; sam Potocki z Liwiusza epizody wybierał (walkę Horacyuszów i Wirginię); całą „Argenidę“, romans polityczno - alegoryczny Barkłaja, zachwalający monarchizm absolutny, poradnik, jak twierdzono Richelieu'go, właśnie dla jego mądrych sentencji wyłożył i chociaż dopiero po śmierci autora „Argenidę“ wydano, cieszyła się ona, jak wydania jej, wyciągi, kontynuacje, naśladowania i liczne odpisy dowodzą, nadzwyczajną w republikańskiej Polsce popularnością: wobec roman-sowych jej awantur zapominano widocznie o tendencyach, które zresztą Potocki osłaniał, niebu polskiemu je akkomodując; „konkurenci“ o rękę Argenidy (a z nią i jej państwa Francyi), ich niesłychane przygody, walki, przebrania, ucieczki, intrygi i t. d. bawiły dorosłe dzieci sarmackie. Podobną będzie „Historya o Agnulfie i Floreście“ Zawiszy (r. 1689), z włoskiego wyłożona. Poetów klasycznych i włoskich, nie - epików, wyjątkowo tłumaczono; Horacy jedyny, dla sentencji, miłośników znajdował (prócz Petrycego kamen moskiewskich, Libickiego), ale tylko jego liryki, potem i Persyusza satyry i Epikteta gnomicznego tłumaczono lub naśladowano (Bachowski).

Epika polska, jako obywatelska, przeplatała się stale satyrą, i w najcelniejszych swych dziełach, w „Wojnie Domowej“ i w „Cho-

cimskiej“. Element ten również charakterystyczny dla poezji wieku, celującej w tem nad prozą, która niemal zawsze w ton kaznodziejski wpadała, w kazaniu Bembusa niemniej, jak w „Reformacyi“ Starowolskiego. Na początku wieku występuje w niej Zbylitowski Piotr, ale satyra jego bezzęba, moralizująca, polityki, anarchii — rokosz stał za drzwiami — nie tyka wcale, zwraca się w „Rozmowie szlachcica polskiego z cudzoziemcem“, w „Przyganie wymyślnym strojom białogłowskim“, nakoniec w „Schadzce Ziemiańskiej“ (roku 1605) głównie przeciw zniewieściałości swywolnej młodzieży, odwykającej od bojów, przeciw wymyślnym modom, które z dawnych Polek jakieś cudzoziemki urobiły, przeciw opilstwu, czyniącemu „posiedzenia“ i „gościny“ nieznośnemi dla trzeźwego człowieka. Ponieważ satyry te szły do druku, więc autor zastrzegał, że sam błądzi, jak inni, że do poprawy nie nawołuje, chyba za zezwoleniem ogólnem, że nie wyrывa się przed innymi — czynił to przynajmniej tak wyraźnie, że ironii dojrzeć musiano. Lecz podczas rokoshu, w tumultcie ogólnem jego rzeczy nie słuchane zaginęły.

Jeszcze mniejszy talentem a może i wpływem, choć ruchliwszy i nadzieje świetniejsze rokujący był Mazur, co miał niby świat zadziwić — tak mu koledzy po piórze przyznawali, — pisarz celny łomżyński, Stanisław Witkowski, folgujący żyłce satyrycznej w „Apophtegmatach abo subtelnych powieściach“ (1615), gdzie z prozą Budnego wierszami rywalizował, albo w „Złotej Wolności Koronnej sejmom i zjazdom służącej“ (1609), gdzie wprowadza rozprawiającą o pochodzeniu swem, o zepsuciu obyczajów, braku sprawiedliwości, zbytkach i t. d.; Witkowski ciekawy też jako najgorętszy wielbiciel Klonowica dla satyry jego: „Żydowin, Greczyn, Latium go znało i po Maronie pierwsze miejsce dało!“, trafnie odczuwa własną niższość:

Siła nas takich, co rytmik piszemy,
Lecz wiersza mądrze nigdy nie stawiamy,
My, rymołowcy, tanto ¹⁾ poetowie
Znać ich po mowie i t. d.

¹⁾ Ci poeci są wedle niego: Rej; Kochanowski, mąż nieścigłej cnoty przyniósł rym złoty; Zbylitowski wydwornej wymowy, bogaty w rozum brakujący słowy; Klonowic; Grochowski wiersz smaczny kuje; Symonidowa poesis uczona.

Literatura satyryczna styka się z obyczajową, gnomiczną, dydaktyczną, szczególnie w epigramatach i anegdotach, gdy żart w poprawę obyczajów godzi. Witkowski anegdoty z Plutarcha i „filozofów” coraz przeciw społecznym zastosowywał, przeciw konfederatom, wojsku, dworzanom, kobietom, zaręczając, że jego żarty przeznaczone dla niepokalanых uszu wstydlivych panienek, „które się kochają w czytaniu, a o fraszkach w kramie się pytają”, ale wiele tam grubych nieprzyzwoitości. Znacznie dowcipniejszy, niż ten Mazur, był Litwin, Jagodyński (pod którego się później znany sekretarz Katarzyny II, Jagużyński, podszywał); jego „Dworzanki”, szczególnie zaś „Grosz”, jeszcze w XVIII wieku przedrukowywany, zalecają się i pomysłami, i formą — ulubił sobie kalambury i gry słów, o pokoju, o człowieku — cło wieku; pop przysięga do śmierci nie pić, za to pije do chłopca i do dna; jeślić Polska nierządem stoi, to my synowie nierządnicy i t. d. Za „Dworzankami” Jagodyńskiego (niedrukowanemi „Drwami” Karmanowskiego i t. d.) poszły „Dworzanki” Gawińskiego, najlepsze z całej spuścizny poetyckiej sielankopisarza małopolskiego, okradającego poniekąd Szymonowica, i psalmisty, jeśli się w panegiryki i inne wiersze okolicznościowe, choćby przeciw Turkom, nie bawił. Dalej „Niepróżnującego próżnowania albo epigramatów polskich” księgi Kochowskiego, między wieśniakami zrosłe, rubaszne, wszeteczne, pomimo cenzury duchownej, gadki (zagadki) rozmaite, wiele rzeczy z Martialisa (od Smolika począwszy, ulubionego i coraz naśladowanego wzoru dla polskich epigramatystów), kalambury, maksymy etyczne, aksyomy polityczne. np.:

Bóg słowem: Stań się, stworzył świat ten, aleć i my

Też słowem: Niepozwalam, Polskę rozwalimy.

Najślabszy w ich gronie, prócz Ineza i Kuligowskiego, skromnej weny, to inny Litwin, podczaszy Daniel Bratkowski, co w „Świecie po części przejrzanym” (1697) żarty, przycinki na urzędników, sejmy, pobory, wici, na prostuszkę (wódka, którą Ruś zaraz na stół wystawia, gdy Polacy wprzód długimi dyskursami się zabawiają), na Mazurów i piwo mazowieckie, dobroduszenie rymował: język jego, bogaty w prowincjonalizmy, ciekawszy, niż jego dowcipy.

Ulubione takie facecye — nie darmoż przedrukowali u siebie Polacy i facecye Pogiusza, które chyba łacina przed ręką kata

ustrzegła — sowizdrzalskie (mieszczkańskie) i szlacheckie, które później w lud wsiąkały i dziś po naszych publikacjach etnograficznych, jako ludowe, pokutują, nie zastępowałyby jednak satyry wierszem, politycznej i obyczajowej, godnej stanąć obok takiej „Reformacyi obyczajów“ Starowolskiego. Zepsucie i jawne błędy wieku musiały ją niechybnie wywołać, a mistrzami jej są dwaj bracia rodzeni, napozór bardzo do siebie niepodobni w gustach, zasadach, postępowaniu, a jednak, przy głębszem wniknięciu, nieodrodne płody magnackiej—nietylko wyniosłości i egoizmu, lecz i ogłady i tradycyi, która im w szlacheckiej anarchii, umysłowej i politycznej, zagrzęznąć nie pozwoliła, chociażby im samym z tem miałyby być wygodniej.

Łukasz i Krzysztof Opaliński różnią się i swoim *credo* literackiem: Krzysztof rozwlekły, wielomowny, niby ten Nil, co wiele błota z sobą wlecze; Łukasz, jak Szymonowic, dyskretny w słowach, nie gustujący w długich chryjach, rzucający raczej szkic (on pierwszy użył umyślnie słowa tego włoskiego dla pracy swej), niż rozważający swój pomysł. Nie jedyna to zresztą między nimi różnica; dzielili obaj najgruntowniejsze, a zarazem wielkopańskie wykształcenie, widzieli i znali świat, ale, gdy Łukasz, acz wcale nie monarchista z przekonania, wiernie przy królu wytrwał w przejściach najcięższych, Krzysztof wieczny malkontent skryty i zdrajca jawny; jeden bronił Polskę przed kilku uszczypliwemi uwagami cudzoziemca, drugi sam sformułował przeciw niej najcięższy akt oskarżenia; jeden—poeta nie bez talentu i autor nie bez zasług, zapomniany wcześniej; drugi, choć sam o sobie inaczej rozumiał, z Muzami się nigdy nie zetknął, lecz z pamięci polskiej nigdy nie wyszedł. W tem jednak znowu się spotykają, że karyery świetnej nie zrobili: Łukasz, choć się do wielkiej łaski piał, „i z małą nie wiedział co rzecz“, Krzysztof z województwa poznańskiego wyżej się nie wzniósł, jak niegdyś Ostroróg ze swej kasztelanii, którego w niejednem przypomina.

Zerwanie sejmu roku 1639 natchnęło Łukasza do napisania owego dyskursu (r. 1640) o konieczności odmiany regulaminu sejmowego; zerwanie sejmu roku 1652 podyktowało mu wymowne ustępy w „Poecie“ i w „Coś nowego“. „Poeta“, pierwsza poetyka polska, wyprzedzająca Boileau'a, stwierdzająca mniemanie autora o sobie: „możem mieć miejsce między pisorymy“, kreśli przymioty prawdziwego poety, występując przeciw rymorobom i liczyzgłoskom;

wystawia przykłady erotyki, epiki, satyry; bije przytem na owe marne *vota* w senacie i sejmy, niszczące czas, na owe „cne niepozwalam“, przez które dziś „obrona Rzeczypospolitej na dyskrecyi jest posła z Upity“, niegdyś było ono stróżem wolności, teraz przewrotności instrumentem się stało:

I na zgubę jej (Rzeczypospolitej) dosyć jeden głupi,
Lubo przewrotny, gdy go kto przekupi;

szydzi z wojaków, potrząsających Marsem ¹⁾, co to ojczyźnie służyli, ale jak:

Służył, a wprawdzie pięknie, lecz w tańcu
Przy winie, skrzypkach i łojowem słońcu;

szydzi z zaciągów niby cudzoziemskich, z dragonów co „dzą a gonią“, z takich co

Ledwo Gib fajer a Werdo zrozumie,
Już, że niemiecki tryb, powiada, umie;

bojąc się jednak zadrasnąć dworzan i duchownych, mija ich i prawdziwy cel życia wystawia, nie utrzymawszy się w karchach poetyki i satyry. „Coś nowego“, z tego samego roku 1652, jest najdawniejszą satyrą polską przed Krasickim, w formie rozmowy (mówił ktoś z kimsi coś), notowanej „co mógł ołówkiem pogonić“, mieszanej prozą i wierszami, jakby „Organy“ ks. biskupa warmińskiego. Wszystko milczy, nawet drukarze krakowscy, „tylko minucyje (kalendarze), a sam ks. Starowolski żywi ich na świecie, akademicy patrzą *in Posteriora Aristotelis* i jego mądre portki na swym ramieniu noszą, a po sześć groszy do św. Floryana na msze i nieszpory muszą iść pieszo“; Jezuitom trudno z Alwara czegoś mądrego za-

¹⁾ Satyra ówczesna nastaje często na te rodomontady i błagę: już we „Władysławie IV“ wystawiał Twardowski przechwałki wojska ukraińskiego przeciw Szwedom Gustawa Adolfa: „Cóż, morskich tych szewłuhów śmierdzących śledziami Nie mieliby za morze zasieć nahejkami?“; w „Wojnie“ skarżył się do bitniej: „Że doma Aleksandry za stołem bijemy, A na wojnę bez prochów i lontów idziemy“. O wiele ostrzej sarkał Potocki na g..... zasługi wojska polskiego.

czerpnąć; inni mnisi argumentują z wrzaskiem *pro* i *contra* lub używają życia albo, jak Dominikan Okolski (w „Herbach“), „siła drew ten głupi mnich popisał, a przecież on mądry“. Nicują dalej rozmówcy sejm i senat i ich *vota* nikczemne, jak na sejmie każdemu wolno zgubić ojczyznę i prywaty dopinać; dalej wojsko niekarne, wodzów, dobrych chyba „p..... przy kominie lub michałki (kieliszki) rachować“, i cały tryb wojenny bez strzelby wojennej, jednym nabiciem odprawiamy kampanię; rozmowa skacze, „jak pchła po koszuli“, i dotyka nierządu we dworze, cudzołóstw, przeciw którym duchowni nie powstają, bo sami grzeszą: ksiądz Gach przy mszy pyta *Dominus Vobiscum*, chłopcze, co to za pani? — *Et cum spiritu tuo*, Pani Giemzicka to, a ksiądz: *Oremus*, nadobna! Przechodzą do Pilawiec: „wojnę głoszą rytmy moje, w której szable ani zbroje ledwie co potrzeba było“ i t. d.; pytają, kto przyczyną ucieczki — „ręka nas dotknęła Pańska i rozum odjęła, jak to więc zawsze mówimy, kiedy co sami pokpimy“; przycinają Mazurom, że pierwsi uciekli, na to instyguj „Petrzykowski, cny Mazurze, przy twej sławnej cynozurze albo raczej gwiazdzie ciemnej zrodzony“ i t. d. Z ciągłymi wtętami z bajek (o młynarzu, synu i ośle), z Lucjana (Timon) i t. d., wynicowawszy wszystko i wszystkich, sami się rozmówcy między błazny liczą i rozchodzą.

Co Łukasz w jednej satyrze piąte przez dziesiąte zamieścił, to Krzysztof punkt po punkcie rozbierał, od pierwszego wychowania panicza i jego przykładów domowych aż do nierządu ogólnego, w głowach i obozach, miastach i dworach, sądach i celach, a obok tego maksymy etyczne osobno wykladał; „rymowi dałem pokój, choćbym ci mu pono był niezgorzej podołał“. Wziął się on do satyr, namyślawszy się wprzód długo, coby też pisać:

Historią czy rymy czy co do zabawy,
 Czy sielanki, czy fraszki czyli Sowizrratów,
 Albertusów czy bajki czy też oracye...
 Czy plesy albo pienia godne niewiem czegoś i t. d.,

jak bardzo „Satyry“ jego były na czasie, dowodzi chyba fakt, że wydania ich rychło następowały: r. 1650, 1652, 1654 i t. d.; przy późniejszych tytuł pierwotny („Satyry albo przestrogi, do naprawy rządu i obyczajów w Polsce należące, na pięć ksiąg rozdzielone“) rozmaicie odmieniano, a z tekstu wycieczki przeciw duchownym opuszczano.

Dumny magnat z opinią nie ceremoniował się, nie lękliwyż to mieszczuch ani szlachetka; on prawdę rznał i Jezuitom, zasmradzającym swoimi wychodkami świat cały, i hetmanom, którzy za swe głupstwa głową lub mieniem odpowiadaćby winni, i królowi, który niegodnych nagradza, i kaznodziejom, co tylko głupstwa plotą, i trybunałom, które, jeśli nie wziętkiem, to gładką białogłową zawsze skorumpować można — jednym słowem, całemu nierządowi polskiemu, sam nierządnik jakich mało, przyciął, jak nikt przed nim ani po nim.

Szpetne zwierciadło nie obruszyło społeczesnych, dobrze świadomych, że wojewoda, chociaż, jako satyryk, same czarne kolory nakładał, zbyt nie przesadzał; protestowali chyba ógólnikowo, że „cudzoziemskich się napił humorów, obcą skórę przywdział i nic mu się w tej Polsce niepodoba“, a krytykowali i zasądzali nie autora, lecz polityka i patryotę - zdrajcę; późniejsi, Kochowski i inni, Rudawski, Paweł Potocki, sławili jego mądrość. O stylu nie możnaby tego powtórzyć, chociaż znawca, Twardowski, schlebając (w dedykacyi Paskwaliny) twierdził, że p. wojewoda w Hipokrenie pióro maczał i Kamen aż nadto świadomy; razi nas prostota i prozaiczność wysłowienia: „jechał cię pies“ i podobne kwiatki częste u niego; makaronizowanie w wierszu, chociaż sam przeciw mieszanii łaciny do prozy nawet sarkał; jednostajność formy, nie ożywianej dyalogiem, obrazami, porównaniami. Braki artyzmu zastępuje jednak treść, mądra, obfita, prawdziwa i dosadna: można się spierać z wojewodą, czy traktaty o polepszeniu stanu miejskiego, albo o obmyślaniu hybern wojskowych białym wierszem właśnie wykladać należało; na same wywody jego, niemal na wszystkie, zgoda zupełna.

Czy się skarży na lichej stan umięjętności w Polsce, w porównaniu z zagranicznym; czy na ogólne pijaństwo; czy na straszny ucisk kmiotków; czy na zniewieściałość młodzieży, czy na zbytek; czy na obnażenie granic polskich, długich na setki mil, a tyłuż żołnierzami opatrzonych; czy na oziębłość nabożeństwa, że się pospolitować szkoda z Panem Bogiem; czy na *interregnum* i na to, że Polacy w niczem nie są porządni, tylko w samym nieporządku i t. d. i t. d.,—rozwój dalszy dowiódł, że wojewoda i słówkiem nie przesadził.

Dzwonił on na gwałt, że nasza wolność — to niewola, że nie ma wolności publicznej, jest tylko prywatna; że należy wziąć kredkę

do rąk, jeśli nie mają nam zabrać rzeczy naszych Żydzi, jak Egipcyanom w przeprawie przez morze Czerwone; nie karze nas Bóg za nic tak, jak „za ciężary i opresyą chłopską“ — czytano to, naśladowano (np. Rej w „Domina Palatii), ale puszczano mimo uszu w owem coraz dziwniejszem, coraz straszniejszym zaślepieniu i odrętwieniu. Gorliwy katolik (jak i brat Łukasz) występował przeciw nadmiarowi duchowieństwa zakonnego; przeciw owym *Viel-zuschaffen* (tegoż wyrazu i Łukasz użył), owym „wszędrybyłom i przymuszczkom“ (Jezuitom), podobnym do rzepiu, bez których dziś już ani się żenić, ani dziedziczyć, ani urzędu dostąpić nie można; przeciw unii, radząc prawosławnych w wierze nie tykać; przeciw symonii i skąpstwu duchownych, nie czytających nic, ani Drekseliusza nawet, chyba *libri beneficiorum* i dyplom erekcyjny. Bił on, jak Łukasz, przeciw podejrzanemu szlachtectwu różnych Skickich; przeciw paleniu czarownic, które się dopiero w XVII wieku w Polsce zagęściło — godne ognia raczej państwo, pozwalające na to; przeciw owym żołnierzom chełpliwym, chociaż krwią ociekli chyba w syntaksie pod magistrem Smaga albo z nosa — sięgnął jednak i wyżej, tykał króla i nieporządnej „dystrybucywy“, przyczem najdziwniej lawirował między wrodzoną nieufnością a czuciem potrzeby większej władzy królewskiej; tykał urzędów wysokich, nie szczędząc tych właśnie, na które żadnych widoków nie miał, hetmaństwa i podskarbiostwa; tykał obrony i finansów, przyczem jednak ofiar własnych nie byłby ponosił; sobkostwa możnowładczego i on się, nawet na piśmie, bez zastrzeżeń ciągłych nie wyzbywał; dwulicowość ludzi XVII wieku, ganiących u innych to, czem sami grzeszą, znamieną i dla niego.

Satyry Opalińskich stoją na czele literatury niezmiernie obfitej, szczególnie po roku 1648, gdzie jeden za drugim, Satyr schorzałej głowy, Nowy Satyr polski, który się wraca z Bukowiny wołoskiej (Starowolskiego?), Satyr podgórski roku 1654 i t. d. i t. d., nielicząc owych „Lamentów Korony Polskiej“, „Pieśni żałośnych“, Listów najrozmaitszych, gonia, nieraz wymowni, trafni, nieraz zbyt poziomi, moralizujący trywialnie.

W drugiej połowie wieku, gdy przyczyn do narzekania coraz przybywało, ubywało tej literatury, kryjącej się odtąd raczej po pamfletach (np. „Niewolnik“, „Furman“ i inne), niż występującej do boju z otwartą przyłbicą.

Ubytek ten wynagrodził jednak sownie inny poeta, podczaszy krakowski. Już urząd go niby poetą robił, bo bez wina weny poetyckiej się nie ruszało — kobietom, że nie piły, wena też nie służyła. I zapisała literatura imię nie jednego podczaszego na swych kartach — podczaszemu Tęczyńskiemu zawdzięcza ona i Goifreda; żaden się tak nie wślawił, jak właśnie podczaszy krakowski, **Wacław Potocki**, najplodniejszy, najbardziej typowy, najciekawszy ze wszystkich poetów XVII wieku. Jedyny to właściwie poeta, inni, dyletanci raczej, bawili się w poezję przygodnie, rzucali ją z wiekiem czy urzędem, nawet Szymonowic, więcej uczony, niż poeta, nawet Morsztynowie, Kochowski i Lubomirski, gospodarze, ministrowie, historyografowie z powołania; inni do czasu, za młodu, dla pozyskania lub utrwalenia łaski, w nudach więzienia moskiewskiego Muzom służyli.

Jak Kochanowski w XVI, tak Potocki w XVII wieku, w poezyi, chociaż przy zmienionych okolicznościach z nią na jaw nie występował, powołanie swoje jedyne uznał, przez pół wieku pióra z rąk nie wypuszczał, osierociały na poły, w nabrzmiałych od starości palcach, do ostatniej chwili rapturarze swe wierszami zakreślał; ciosami losu, bijącymi raz wraz w sędziwego poetę, ogłuszany uciekał do Muz ukochanych, zgorzkniały, zwątpiały, zapomniany od wszystkich, Edyp z Antygoną - synową. Powołanie poetyckie objawia się jeszcze wyraźniej i w tem: inni piszą jak piszą, równie dobrze, a raczej równie źle, od początku do końca krótkotrwałej służby poetyckiej; Potocki przeciwnie wyrabia się znakomicie: od trywialnej prozy pierwszych jego wierszów odbija język późniejszy, soczysty, barwny, jędrny, szczeropolski, odbija połot nie wymuszony ani sztuczny, odbija obrazowość bogata; tamci rzucają niedonoszone płody molom na pastwę albo wybiegają się do pras z kwapioną robotą, on nie wypuszcza jej z ręki, nie wierzy sobie, poprawia, piłuje, gładzi i w brulionach jego śledzimy wyteżoną pracę. W zborze zaczął pisywać wiersze, religijne, jak inni aryani, próbował sił i w wierszowaniu ustępów biblijnych, o stworzeniu świata, o Judycie, gdy w siłę męską za wojny kozackiej zwątpił. Zmuszony przyjął katolicyzm, chociaż własna żona i krewni przy aryaństwie wytrwali; więc w życiu publicznem czynnego udziału nie szukał, a sądy poznał dopiero, gdy mu syn własny mordercą został; z Łużny wyjeżdżał, żeby dzieci ukochane grzebał, albo w Proszowicach na roczkach szlachcie fantazyę psował, narażając się na miano starego

blazna, bo elekcyę i *veto* ganił. Osowił starzec, pocieszał się, jedną nogą w grobie stojąc, że sam choć końca miłej ojczyzny nie zobaczy, i z boleśnymi wyrzutami na ustach świat żegnał.

Gospodarstwo nie było zbyt kłopotliwe; czas miał wolny zaw sze od pieniactwa i pijaństwa, od służby dworskiej i braci szlachty; umysł ruchliwy i życie myślące, sama zmiana wiary, w piątym krzyżu dokonana, pobudzały do refleksyi, porównań i wahań; wykształcenie, nie błyskotliwe, ale gruntowne, klasyczne i teologiczne — biblię znał Potocki lepiej, niż księża, przynajmniej podgórcy; zamiłowanie do ksiąg, wyniesione już z otoczenia aryańskiego, które nauką stało; umysł krytyczny, badawczy — musiały go na torach literackich utrzymywać. I od jednej pracy przechodził do drugiej; okrzoski myśli, drobne rzuty, żarty, anegdota, dziesiątkami lat obok wielkich dzieł zbierał, i nie było niemal pola poetyckiego, bo tylko tam go ciągnęło, gdzieby sił nie próbował. A jednak dawny aryan nie dowierzał społeczeństwu katolickiemu; nic z tego, co pisał, z tych setek tysięcy wierszów, nie puszczał w świat, chyba drobiazg jakiś okolicznościowy, i to nie wymieniając nazwiska, i to szukając innego Śrzeniawity, sobie do pomocy. I był poeta, znakomity jak na te czasy, i nic po nim w druku nie było i nikt go o to nie gabał — cóż, że raz Kochowski o to milczenie go zaczepił! I to więc jeden „anonimowy“ poeta więcej, których Polska tylu wydała, od Reja do Krasińskiego.

Jak kalwin Rej, tak i ten aryan do morza łacińskiego, które i Kochowski i Lubomirski gorliwie zasilali, nic nie dolewał, chociaż łaciną władał inaczej, niż nieuk nagłowski; Polakom tylko po polsku pisał, mimo zabobonnego respektu przed autorami rzymskimi, przed Tacytem i Liwiuszem, przed Wirgilim i Lukanem, a może właśnie dla tego. Ulubionem jego zajęciem było przewierszowywać historye łacińskie, czy je z historyi Tuana (i wojen holenderskich, o Tresie i o Gazeli), czy je z komentarza Sobieskiego (Wojna Chocimska), czy je z romansu Barkłaja (Argenida), czy je z Liwiusza wybierał. „Argenida“ tak się mu spodobała, że podobny romans fantastyczno - awanturniczy i sam wykoncypował, „Syloreta“, którym się w ciężkich przejściach pocieszał, bo romans uczył nie rozpaczać, ufać w Boga, a losom się nie poddawać — chociaż autorowi losy nie uśmiechały się nigdy, chociaż pogrzebał rodzinę przyjaciół, znajomych, a sam, jako były aryan, nie troszczył się, czy choć jego trupa pogrzebią, czy nie wyrzucą go pod płot.

Na „Syloreta“ złożyły się, prócz impulsu od „Argenidy“, i „Etyopiki“ Heliodorowe z wątkiem podobnym, rozbiciami na morzu, porwaniami od zbójów, ratunkami nadspodziewanymi, spotkaniami cudownymi; romans obejmuje trzy generacye, a mógłby się ciągnąć w nieskończoność; jedyna jego zaleta język pyszny, obrazy i refleksye trafne.

Tysiące długich wierszów historycznych i romansowych to tylko cząstka jego czynności poetyckiej; religijne przeważały liczbą, parafrazy Męki Pańskiej, ewangelii, pieśni nabożne najrozmaitszego składu, dziękczynne, psalmy pokutne, w ucisku i żalu, w których głębokie uczucie religijne, szarpane walkami i wahaniem wewnętrznymi, coraz się wylewało. Zdobył się nawet na dyalog o Zmartwychwstaniu, misteryum, z arianem mało licujące, poważniejsze, mądrzejsze, niż rzeczy szkolne, choć w gruncie od nich nie lepsze, luźny szereg scen czyli aktów; czyżby myślał niem rubaszne i trywialne widowiska krośnieńskie zastąpić?

Syn wieku, od poezyi okolicznościowej, panegirycznej wstrzymać się zupełnie nie mógł, ale jego panegiryki nie szły przynajmniej pod prasę, sławiły zięcia chyba, wyjątkowo i króla, opłakiwały dzieci własne. Naśladował formy utarte, ale i w nie wlewał więcej życia i werwy, niż Gawiński, a nawet Twardowski; jego „Sielanka przy szczęśliwem wjeździe Lipskiego (zięcia) na starostwo sądeckie“, a przedewszystkiem „Libusza“, obie z r. 1676, z taką swobodą i humorem napisane, że wdzięk ich i dziś odczuwamy; „Peryody“, „Smutne zabawy“ (nad zwłokami dzielnego syna, Stefana, i córki milutkiej, Zofii) prawdziwym, choć nieraz nieforemnym wyrazem żalu nieutulonego, po „Trenach“ Kochanowskiego, po raz pierwszy znowu z powodu sztucznego rozczławienia i dymu czczych kadzideł się wybijają.

Z latami jednak rzucił poeta i epikę i lirykę i wiersze przygodne, a zasklepił się, patrząc, co się w około dzieje, w moralizujących, satyrycznych, anegdotycznych; tak powstają jego „Ogród nieplewiony“, jego „Poczet herbów“ z „Odejmką“, jego „Moralia“, dzieło ostatnie, największe, nie wykończone, przerwane śmiercią siedemdziesięciosiedmioletniego starca. Najciekawszy z tych dzieł tysiące wierszów pierwszy zbiór, płód trzydziestoletniej pracy przygodnej, wszystko możliwe: anegdoty i facecye, zmyślane i prawdziwe, obce i własne, od Bokaccia i Poggia aż do Sowizgłowskich i Jagodyńskich; obrazki szlacheckiego życia w domu i polu,

w gościnie i mieście, w kościele i obozie, na polowaniu i jarmarku, u cyrulika i kupca; przygody szkolne, ze służbą, w podróży; listy, aluzye do herbów i nazwisk, żarty, z łysych przedewszystkiem, z nałogów i przywar, z natręstwa ubogiego, mnicha, wdowy, z nieprzyzwoitego jedzenia, z niedyskretnego picia; nauki, przestrogi, maksymy; kreślenie okolicy, wyliczanie przesądów, sarkanie na nierząd polski, na nieuctwo duchowieństwa, na klęski i plagi publiczne, na posłów własnych i obcych: *silva rerum* poetycka, szlachecka, tylko własnej inwencji, nie wypisywana z aktów, broszur, rapturarzy. „Ogród“ ten, częściami, w rozmaitym układzie, krążył w licznych odpisach po kraju; jakiś literat dziwnego autoramentu powydobywał z niego bezceństwa — bo muza domowa p. podczaszego ich się bynajmniej nie wystrzegą, bez cienia lubieżności, grasującej u Morsztynów i innych, we wszystkiem drastycznem a naturalnem się lubowała — i wydał je w Lipsku (?) pod tytułem „Jovialitates“, chociaż jowialnego tam nic niema, czem pamięć podczaszego tylko zhańbił, dorabiając nawet z własnej inwencji rzeczy nie rubaszniejsze, lecz gorsze.

Co w „Ogrodzie“ dorywczo, do jednego lub drugiego herbu Potocki zastosował, wykonał on na obszerną skalę w „Poczcie Herbów“, jedynem wielkiem dziele, które w ostatni rok życia wydał, jedyne i najśłabsze, nużące swoją jednostajnością. Nadzwyczajna, mistyczna niemal cena klejnotu szlacheckiego, przez przodków niegdyś krwią i zasługami uzyskanego, dziś i za pieniądze nabywanego; lubowanie się szlachty i wieku w emblematach, wykładach alegorycznych, aluzyach; żyłka moralizująca stworzyła tę heraldykę moralno - poetycką; wzięwszy herbarz Okolskiego za normę, poświęcał autor każdemu klejnotowi obszerny wiersz wstępu, opowiadający dzieje jego (najczęściej zmyślane, z dziwnymi opowiadaniem, czerpaniem nieraz za pośrednictwem niemieckiem, ze zbiorowisk europejskich), a dodawał aluzye z okazji herbu na domatora, na łysiego, na skąpego, na duchownego, rznąc im prawdę - matkę, poczem szereg, nieraz długi, takich wierszów kończył alegorycznym wykładem, a raczej anagogenicznym, bo całe dzieło przypomina ów wiekami oświecony wykład Pisma świętego w sensie historycznym, alegoryczno - moralnym i anagogenicznym (do górnego Jeruzalem prowadzącym). I to kopalnia rysów obyczajowych, anegdot, nawet ruskich, skrząca się językiem dziwnej siły i piękności, jeszcze i dzisiaj nim pociągająca.

Nakoniec w „Moraliach“ wziął przed się „Adagia“ Roterdańczyka — już to bez podpórki łacińskiej obywał się, jak i protopłasta Rej, wyjątkowo tylko, chociaż istniał wtedy już dawno zbiór przysłów polskich Salomona Rysińskiego, kalwina i Radziwiłowczyka, od r. 1618 częściej wydawany. Każde przysłowie czy sentencję łacińską omawiał szeroko wierszami, nieraz po kilka razy, z tej i owej strony; rzadziej ilustrował je anegdotą, żartem, powtórzonym z „Ogrodu“; wdawał się i w polemikę, najczęściej religijną. Dawny arian bowiem i jako katolik praw zdrowego rozsądku, krytyki, badania, bynajmniej się nie wyrzekł i ganił w katolicyzmie, co nagannem uważał, bez względu, że się na niego o to panowie duchowni gniewali: więc sarkał na niezliczonych darmozjadów po kościołach i klasztorach, na straszny wzrost dóbr duchowieństwa, na skąpstwo duchownych, wymuszających dziesięciny, opłaty, którym i trup się nie wybiega, na klątwy o grosz; na obrazy świętych i cuda niepewne, na muzykę kościelną, brakowanie pokarmów, obyczaje duchownych i t. d., przyczem, dla większego bezpieczeństwa tak się urządzał, że w formie dyalogu, między katolikiem a protestantem rzecz rozbierał i protestantowi silniejszych argumentów nie skąpił. W politycznych rzeczach powstawał na elekcyę, żądał dziedzicznego pana - Polaka, zniesienia nieporządnego sejmowania, kontroli nad poborcami, rozkradającymi dochody; nienawidził cudzoziemców, Wazów na tronie, Habsburgów o ścianę, tak dalece, że o najświetniejszej, Wiedeńskiej, wyprawie milczał głęboko, jakby jej nigdy nie było, chociaż Chocim słauił wymownie. W ekonomicznych biadał nad uciskiem chłopskim, nad ubóstwem miast, nad upadkiem zamożności polskiej. Ujmował się za wolnością sumienia, np. w „Kadukach (konfiskatach) Aryańskich“:

Temu nieborakowi wsi wzięły kaduki.
Czemuż to? bo źle wierzył. Takowej nauki
W żadnym piśmie nie czytał...
Wzdyć wiara jest dar Boży, a nuż tego daru
Temu nieborakowi nie chciał Bóg dać? To mu
Wioskę wziąć? to go wygnąć na tułactwo z domu?...
A o naszej co mówią Aryanie wierze?
To, co my o ich: że w niej nie ważne pacierze.
Czemuż my ich, nie oni z ojczyzny nas ruszą?
Bo nas więcej, niżli ich...
Nie żeby oni jaką zasłużyli winę,
Tylko że słabsi, przeto z nimi za drabinę!...

I Kalwinić nie wierzą kościelnej nauki,
Czemuż na nich takiejże nie zażyjem sztuki?
I ci w Polsce nie wiecni! Skoro się przersedzą,
Upewniam, że Anglią z Holendry nawiedzą.

Innym podobnie mądrym, dobitnym a głębokim wierszem wiek XVII nie łatwo poszczycić się może. Z większym zalem rzucał się Potocki w „Braterskiej Admonicyi do braci starszych“ na panów, oskarżając ich o niemiłość ojczyzny, zaniedbanie obowiązków, obojętność wobec nawały tureckiej — skarby ich przecież przodem wysłane do Gdańska, sami do Rzymu się biorą:

Nie pisać, ale każdemu — plwać w oczy
Z takich wyrodków nieszczęśliwych trzeba,
Kto tak ospały, kto tak nie ochoczy,
Kto sławę w sobie przodków swych zagrzeba...
Wstydieć się baby, trzebienie i karli
Chwalebnych przodków, jeśli nie kościołów,
Jeśli nie sąsiad, co oczy rozdarli,
Jeśli nie smutnej ojczyzny popiołów...
Czemuż na palcach nosicie sygnety?
Czemuż po ścianach malujecie herby?
Gdy — kufle wasza cecha i kalety,
Kiedyście z synów stali się pasierby?
Śmielsze gdzie indziej rodzą się kobiety...
Co rok pięćdziesiąt tysięcy intraty
Z starostwa i z królewskiego ma grodu,
A wždy tak skąpy, zły i żydowaty,
Że na hajduków zamkowych dochodu
Żebrze, na swoje garnąc go prywały,
Choć cnotliwego, bezbożny syn rodu...
W wojsku ani sam, ani ma żołnierza:
O świat, o ludzie! ni z mięsa, ni z pierza!...
Każ, królu, na te brzydkie niewieściuchy,
Jako Bolesław jednemu wyrządził,
Robić z lękliwych zająców kozuchy...
Lecz gdybyś wszystkie chciał przyodziać tchórze,
Śtać po zająców trzebaby za morze...
Odpuścież, że tak piszę do was śmieie,
Ani sarkazmem mego czcicie wiersza,
Poecie w księdze, a księdzu w kościele
Prawdą klóć oczy słuchaczom nie pierwsza...

Nie mniej wymowne skargi na opresyę chłopską:

Ten wzgardzeńszy od żyda abo od cygana;
 Wszyscy go z skóry łupią, począwszy od pana...
 Niejeden się też wiesi, woli na powrozie,
 Niż mrzeć od bicia, abo w gąsiorze na mrozie...
 (Panowie okrutni) śmieją iść, zatrapwszy człeka, do kościoła,
 Pełne oczy krwie, pełne krzyku mając uszy!
 Chycel psa do jednego razu bije w mięście;
 Jemu trzeba tysiąca, mało kijów dwieście,
 Na człeka, na bliźniego, co mu winien tyle,
 Nie mając miłosierdzia, co wody z kamienia...
 Wół w niedzielę ma pokój od jarzma, od pługu —
 Kmieć z kuny lub gąsiora, nie odda-li długu,
 Choć nigdy nie pożyczał od pana szeląga,
 Ze skóry szyję w robocie oblażł wyciąga...
 Skoro się kmieć wyrobi, żebrze chleba póty,
 Póki chodzi, aż zdechnie pod cudzymi płoty...
 (Chłopi naszymi) bliźnimi, bo są ludzie wedle apostoła,
 Bracią, jednego z nami członkami kościoła:
 Czemuż się katolicy dziś na to odważą,
 Swoją handlować bracią, pogańską przedażą,
 Z bydłem wraz inwentując katolików kmieci,
 Gdzie mu wszystko, począwszy od żony, od dzieci,
 Duszę nawet wolno wziąć z gardła temu, co go
 Zapłacił, a dopieroż jeśli kupić drogo!

Że wiersze, z tak gorzkimi, tak prawdziwymi, niestety, zarzutami na jaw pokazywać się nie mogły, wobec rosnącej drażliwości wszelakich „korolaniąt“, jak ich Potocki za Chmielnickim nazywał, duchownych i świeckich, wobec nietolerancyi coraz groźniejszej, anarchii coraz głębszej, dziwić nie może.

Niezmaconego wrażenia estetycznego Potocki nie wywołuje nigdzie: nietrafny dobór treści; kompozycja chroma zupełnie; powtarza się, zbyt rozwlekłe, gadatliwie rozwodzi stary zrzęda to samo, wraca się i przerywa sam sobie; nie utrzymuje się nigdy na wyżynach, wpada nie tylko ciągle w rubasność, ale w pospolitość płaską, w prozę rymowaną; nie przebiera nigdy w motywach, obrazach, słowach; pisze, co ślina przyniesie albo rym wymoże; szykuje — błędem całego wieku, i Piotra Kochanowskiego, zwiedziony — wyrazy dziwacznie, nadużywając swobody wzoru łacińskiego; nie ustraszy się słów ruskich, wyrazów obcych, nowotworów albo form nie właściwych. Wady to wieku, nieznającego krytyki, artyzmu,

sztuki; wady to ludzi, piszących w głuszy dla głuszy samej, nie wychylających się na świat boży z pracami swemi, przeznaczających je z góry do ścian domowych.

Braki te wielkie, liczne, rażące, wynagradza Potocki pierwszorzędniemi zaletami. Żaden z dawnych pisarzów, od Reja do Krasickiego, nie wyraził tak znakomicie i wszechstronnie typu polskiego, jak on; mimo uwielbienia świata i literatury rzymskiej, nie kazi żadne zbytnie uniesienie humanistyczne jego zasad, poglądów, sposobu myślenia chrześcijańskiego i szczeropolskiego zarazem; mimo aryaństwa dawniejszego obce mu stronienie od świata i uciech jego, zasklepanie się sekciarskie, fanatyzm; cudzoziemsszczyzny, Niemców, Włochów, Francuzów strzeże się może aż nadto, umiłowawszy aż przesadnie swój kraj, obyczaj, język, jeżeli w tem przesadzić można. Za to wyraził wszystko, co piękne i szlachetne w staropolskiej, prawdziwie słowiańskiej naturze; z pism jego odtworzysz społeczeństwo starszlacheckie aż do najdrobniejszych szczegółów, z doskonałością jego i ułomnościami, z przymiotami rzetelnymi i niezaprzeczonemi przywarami, z wyłącznością stanową i narodową, ze zbytniem trzymaniem się poziomów, realności aż trywialnej. Z pism przebija najwyraźniej Polak starej daty, niby Rej, niby Pan Podstoli; i na zawsze pozostanie on, nie Pasek ani Zagłoba, najszlachetniejszym, najlepszym, najzupełniejszym przedstawicielem w literaturze polskiego sarmatyzmu, swojskości, rodziomości, bez anarchii umysłowej i politycznej, bez zacofania i skostnienia, bez zwyrodnienia saskiego. Wszelkie dodatnie strony społeczeństwa starszlacheckiego skryształizowały się w tym pisarzu najczyściej, bez najmniejszej przymieszki obcej, wyidealizowały się najzupełniej.

Cóż mówić o jego języku! Mistrz on na tym szlachetnym instrumencie i wydobywa z niego tony, jakich zapragnie, prócz miękkich i pieszczotliwych, obcych sarmacie. I śmieje się i płacze i zgrzyta na przemiany; skarby tego języka nie tylko przyswoił sobie wszystkie, lecz sownie ich przymnażał, i to nie tworzeniem jakich potwornych złożeń, w czem celowali nieucy, nie zachwaszczaniem go włoszczyzną i łaciną, czem i Kochowski grzeszył, ale w duchu języka, korzystając z jego gibkości, szczęśliwemu natchnieniu folgując. Bogactwem językowem, fantazyą językową tylko Rej się z nim zmierzy — daleko do nich i Kochanowskiemu, i Krasickiemu!

A przedewszystkiem—głos to sumienia polskiego, jeszcze nie do końca kadzidłami panegirycznymi zaczadzonego. Cóż wymowniejszego nad takie wynurzenie:

Com pisał, na Bożym się sprawię trybunale:
Ten widzi, bo do Niego co godzina idę,
Że to ani na hańbę ani na ohydę,
Ale piszę, bojąc się własnego sumienia,
Kiedy zawarto wszelki sposób do mówienia.
Jakoż i pismo wyniść ma na ludzkie oczy?
Abo go spalań albo mól w kącie rozłoczy.
Choćby i wyszło — tyle ogłosu uczyni,
Co drumka albo mucha w hirkańskiej pustyni.

albo pisze satyrę pod tytułem „Stary pies — gospodarzu czuj o sobie — szczeka“:

Porwij się, biały orle, radź o sobie Lachu i t. d.;

naszczekawszy się na duchownych, na panów braci i t. d. kończy:

Darmo szczeka stary pies; to będzie miał zyskiem,
Że mu się wręcz albo też dostanie pociskiem.
Śpią wszyscy na obiedwie uszy, jako w lesie.
Nikt nie wyńdzie, nie wyjrzy, pies szczeka, wiatr niesie,

a na tę samą nutę, jeszcze boleśniej:

Śpi świat piiany... Dyabeł na warcie, by nikt nie budził, stoi,
Grozi palcem z daleka, psów nawet popoi,
Żeby spali, nie szczeka żaden na katedrze,
Abo niezrozumiałym głosem; chceli pyska
Uchylić który, chleba po kawałku ciska.
Niechżeby który krzyknął, jako ogar w borze,
Heretyk! zamurować na śmierć go w klasztorze!
Abo ściąć! albo spalić! tak smaczny sen światu
Przerywać — niech paszczeki swej się sprawi katu!
Gdzie drudzy syrenami przyspiewują, z lekka
Przygrywają, żeby spał tym smaczniej — on szczeka!

Poezyę gnomiczną uprawiano dawno już przed Potockim. Jeszcze na początku wieku odznaczył się poeta Mniszków, Jan Żabczyc, którego wiersze historyczne (Mars moskiewski krwawy — najdłuższy anagram na jaki się w literaturze polskiej zdobyto) i panegiryczne zapomniano, za to gnomiczne często wydawano i nawet do piśmiennictwa rosyjskiego w przekładzie XVII wieku dotarły („wydanie o dobrodziejstwie“). Są to zbiorki p. t. „Etyka dworskie“; „Politica dworskie“; „Praktyka dworskie“, prozą i wierszem, które i w nasze zbiory przysłów — niepotrzebnie zresztą — wsiąknęły, np.

Przy paniej nie obłąpić, nie urznąć palcata
W lesie, mieć chleb a nie jeść: poszło na jałata (hebesa),

— najbardziej podobał się jednak jego „Leksykon dworski“ albo „Kalepin dworski“: niema Sylwy rerum, któraby nie powtarzała satyrycznego słowniczka, np. *temperans* — nie naski, *fidelis amicus* — worek z pieniędzmi, *veritas et pietas* — głupstwo, *adulatio* — przysługa, *xenion* — *kozubales*, *Clio* — nimfa na wilku (puharze) i t. d. z coraz nowymi dodatkami.

Innej miary są dwaj poeci radziwiłłowscy, arian **Olbrycht Karmanowski** i kalwin **Daniel Naborowski**, obaj nie drukujący niczego, mimo to znani i sławni; utwory ich, szczególniejsze Danielowe, częste po rękopisach. Spuścizna Olbrychtowa uboższa liczbą: są w niej pieśni pokutne o głodkiem wysłowieniu, „Drwa“ (fraszki, między niemi najznakomitsza „Wesele towarzyskie“, nadzwyczaj dowcipna, pełna uszczypliwych żartów), „Paidonomia“ — niby naśladowanie Theognisa, poważna bardzo. Daniel Naborowski cieszył się u współczesnych sławą znakomitego poety, i listy jego poetyckie do Radziwiłła Janusza, „wiązania“ rozmaite (dary na imieniny, kolędę) nie przeczą opinii przychylnej; lubował się w zestawianiach i porównaniach, wyliczaniach przymiotów i t. p. w dłuższych wierszach „Kur“, „Róża“, „Malina“, „Cień“ i t. d., na sto lat przed Ulrykiem Radziwiłłem wysławiał przymioty „Niczego“, ofiarując „Coś i Nic takiego“ księciu panu na kolędę roku 1636 z ubogiej swej gazdy, „Nic“ jednak góruje nad „Coś“, jak z domowych przykładów widzimy:

Ono sławne Coś, które rokoszem rządziło,
Jako sam dobrze pomnisz, w Nic się obróciło,

To Nic jednak sprawiło potem amnestyją,
 A ta zaś rozróżnionych głów i serc uniją,
 Z uniej zgoda miła, z tej zaś pokój trwały,
 A z pokoju obfitość i dostatek cały:
 Nic nabawiło, teraz jako widzimy, tego:
 Nic z zaciągów, nic z wojny i nic ze wszystkiego!
 O Nic niewysłowione, które wszystkie trwogi
 I burdy ludzkie króciśz i straszne pożogi!
 I ty odpuść o Księżę, choć łaskawe nieba
 Wszystkiem Cię obdarzyły...
 Zgoła żeć nie dostaje (rzekę tak) Niczego:
 Przeto żebyś i to miał, czegoć nie dostawa,
 Przyjmi Nic z łaską, które chudy sługa dawa,
 A mnie, dla samej sfory, o wielki hetmanie!
 Co daj, a tak Co i Nic pospołu zostanie!

Do jakiego mistrzostwa Naborowski dochodził, wskaże jego epi-gram na niewiernego szafarza „*Palinurus* abo styrynik“, wiersz w całości niby pochlebny, rozpadający się jednak istotnie na dwa szkalujące wiersze:

- | | |
|---|---|
| 1. Przyzna każdy tobie
Nie panu, lecz sobie
Intratyś przybawił
Takimeś się sławił, | Pókiś tu rej wodził,
Siłaś barzo szkodził.
Nad inwentarz dawny,
Palinurze sławny. |
| 2. Słusznie, sprawiedliwie,
Żeś służył cnotliwie
Kto cię tak udawa,
Sam się łgarzem stawa, | W tem żaden nie zbłądzi,
Każdy tak osądzi,
Żeś pokradł koniecznie,
Mówię to bezpiecznie. |
| 3. Za takie staranie
Bodaj wisiął, panie,
W pańskiej majątności
Płochy i żywności | Godzien łaski zgoła
Ten co na cię woła,
Dostatek wszystkiego,
U ciebie samego. |

Wiersze takie naśladowano i w XVIII wieku, np. na antagonizm Wołczyzna (Czartoryskich) i Nieświeża (Radziwiłłów), lecz mniej udatne:

Wzmacniajcie niebiosy Radziwiłłów głosy Nieświeskie intenty Szczęśliwe momenta,	Czartoryskich siłę, Zamieście w mogiłę... Piorun niechaj bije Kędy Wołczyn żyje...
--	---

Mieć będzie koronę,
Nieśwież swoją stroną

Wołczyn niechaj słyńie
W piekle niechaj ginie.

Ciekawy też madrygał osobliwszej budowy, którym Naborowski rywalizuje z koncettystami i kultystami, a Andrzeja Morsztyna (temu mylnie ten wiersz przypisują) o kilkadziesiąt lat wyprzedził, choć tylko Francuza tłumaczył:

Na oczy królowny angielskiej (żony faleografowej).

Twe oczy, skąd Kupido na wsze ziemskie kraje,
Córo możnego króla! harde prawa daje,
Nie oczy, lecz pochodnie dwie nielitościwe,
Które palą na popiół serca nieszczęśliwe;
Nie pochodnie, lecz gwiazdy, których jasne zorze
Błagają nagłym wiatrem rozgniewane morze;
Nie gwiazdy, aleć słońca pałające różno,
Których blask śmiertelnemu oku pojąć próżno;
Nie słońca, ale nieba, bo swój obrót mają
I swoją śliczną barwą niebu wprzód nie dają;
Nie nieba, ale dziwnej mocy są *bogowie*,
Przed którymi padają ziemscy monarchowie;
Nie bogowie też zgola, bo azaż bogowie
Pastwią się tak nad sercy ludzkimi surowie?
Nie nieba: niebo torem jednostajnym chodzi;
Nie słońca: słońce jedno wschodzi i zachodzi;
Nie gwiazdy: bo te tylko w ciemności panują;
Nie pochodnie: bo lada wiatrom te hołdują.
Lecz się wszystko zamyka w jednym obec słowie:
Pochodnie, gwiazdy, słońca, nieba i bogowie!

A na podobne igraszki, w których później A. Morsztyn celował, sadyła się nieraz wena jego, zresztą dosyć skąpa, wyczerpująca się na rzeczy okolicznościowe, np. sławną „Zwada Marsa (Daniłowicza) z Kupidynem“ (Radziejowskim) z roku 1632, i fraszki, w których żartował z Jezuitów i z drogi do Prus, z Litwinów i z bab, mieszając swoje ze Smolikowymi; między fraszki, jak wszyscy spółcześni, aż do Potockiego, wkładał jedną i drugą bajkę. Bajkopisarstwo nie rozwinęło się bynajmniej samoistnie; utykało na prozaicznym Ezopie, chociaż przy początku i przy końcu wieku pojawiły się przekłady i innych obcych wzorów, włoskiego (Verdizotiego, wyłożył Lubomirski? a przerobił i wydał Błażowski, Setnik przypowieści) i francuskiego, Lafontena, z którego Niemirycz roku 1699 wybór przetłumaczył, wprowadzając po raz pierwszy do poezji polskiej

wiersz wolny (t. j. rozmaitej długości) i choć lekkości i zgrabności francuskiej, w ciężkich sarmackich butach stąpając, nie dosięgnął, zasłużył już przez to na uznanie, że do nowych, doskonalszych wzorów się zwrócił; że od ascetyzmu, w księgach panującego, odwabił; że prawdę, acz poziomą głosił (kiedy tego trzeba zgola, mądry z każdym wiwat woła!); że bajce francuskiej cechy polskie nadawał, choćby zwrotami, jak np. młodzieniec jeden starego pieczywa widząc, że mu już bieląła grzywa i t. p., chociaż i francuską galanterią narabiać się starał; że przed samym mrokiem saskim o smak dobry, pewną wybredność się stara; że nie szczędzi satyrycznych docinków. Zresztą zbiór to mały na liczbę, a celu swego, syna Augusta II po polsku wyuczyć, nie osiągnął, ani poety nie wstawił, drukowany za granicą i tam zapomniany. Znakomitą polszczyzną wyróżniał się ów Setnik: tłumacz jego czy poprawiacz w „Tłumaczu rokoszowym“ (r. 1607) wykazał i samodzielny talent, prawdy nie szczędząc, rokoszanom ostro przytykając. Forma bajki politycznej używana przez cały wiek nadzwyczaj rzadko; jeszcze nie wymagała ostrożności języka i alegoryi niewolniczych, wschodnich.

Obok rozbijałych iluktów epickich i dydaktycznych (satyrycznych) płynęła liryka znacznie cieńszą strugą. Chyba religijną popisywał się każdy; nawet Jagodyński nie „Dworzankami“, lecz pieśniami nabożnemi na trwalszą pamięć zasłużył; wyjątkowy byłby poeta, w którego spuściźnie liryki religijnej by nie było, może jedyny Naborowski.

U innych przeważała bardzo ta liryka, np. u **Kacpra Miaskowskiego**, człowieka starej daty, wychowanego na Kochanowskim, a mimo to nie umiającego jego miary zachować. Miaskowski dopiero w podeszłym wieku do pisania i drukowania się zabrał, znalazł gorących wielbicieli, jak Herburta, który i sam w prostocie się nie lubował i przesadzie stylowej, barokowej, hołdował; jego zbiór rytmów rychło nawet powtórę wydano, lecz potem zapomniano całkiem, chyba satyryczny opis zapustu polskiego albo, oznaka nietolerancyi, list „Lutra z piekła“ po „Silwach szlacheckich“ się tułał.

Oprócz poezyi okolicznościowych, najlepszych, jak np. „Wale-ta Włoszczonowska“, którą Wielkopolanin Mazurom pruskim zostawił; politycznych — Wielkopolanin ujmował się za królem, lecz komitywę literacką z rokoszaninem Herburtem podtrzymywał; panegirycznych, nieraz dosyć niesmacznych, wysadzał się on na wiersze

religijne, na „Jasieczka“ i „Szopę zbawienną“, na „Rotuły“ i „Antyfony adwentowe“ i t. p., gdzie mu i dosadnego języka i starannego obrazowania odmówić nie można; nieszczęsna jednak mitologia klasyczna zbyt natrętnie się wsuwa, Apolina i Muzy z Parnasu do Jerozolimy najniepotrzebniej fatyguje: może te właśnie koncepty, liczne jak kwiatki w lecie, aplauz Herbertów wywoływały. Wiara jednak autorowa, mimo tych ozdóbek, głęboka i rzewna, bez wrażenia nas nie mija, objawiając się i w wierszach nagrobnych, np. na małego Rybskiego, z siłą przejmującą; a katolikowi gorliwemu, poważny miłośnik ojczyzny kroku dotrzymuje, biadający nad niezgodą i rozerwaniem, z którego wróg zewnętrzny dobrze sobie tuszy; tylko niekonsekwencja ludzi XVII wieku jaskrawo się odbiła, gdy ten, co króla przeciw paszkwilantom bronił, co z niewczesnych zakupów republikańskich szydził, Herberta, jako Herkulesa Słowieńskiego, sławił, gdy i więzienie nawet partyzanta złotej wolności nie ugłaskało.

Od Miaskowskiego do Potockiego ciągnął się nieprzerwany łańcuch liryki religijnej, zbieranej nieraz, nietylko w kantyczkach, pod najdziwaczniejszymi tytułami, chociaż jej wyłącznie nikt się nie poświęcał, nawet Jezuici, nawiązujący na swój bardon i struny świeckie. W tej mieszaninie liryki religijnej i świeckiej odznaczył się najbardziej **Wespazyan Kochowski**, najcelniejszy między poetami ziemi sandomierskiej, żołnierz, gospodarz, historyograf, a w chwilach wolnych, szczególnie w młodszych latach, poeta, Horacy sandomierski, chociaż i Marcyalis w Goleniowej chętnie widzianym był gościem. Wydał on liryki w czterech księgach i epodon, a więc niby całkiem po „wenuzyńsku“, lecz daleko odskoczył obywatel - Polak od Rzymianina - dworaka, już choćby dlatego, że Mecenasa i Augusta nie było nietylko w sandomierskiej, ale i na całej polskiej ziemi — były za to Pilawce i Beresteczko, Cudnów i Mątwy, traktaty Andruszowskie i Buczackie, abdykacja i elekcye. Więc uprawiał on, obok liryki religijnej, do Matki Boskiej, do której „katolik“ Potocki nigdy się nie zwrócił, lirykę polityczną, refleksye na temata, jakie wypadki od roku 1648 — 1673 nastęrczały. Ciekawe to wiersze, wylewy uczuć patryotycznych, uniesień i upadków ducha, skarg i żalów (najpiękniejszy za Czarnieckim), tryumfów i wyrzutów (za Pilawce, Sicińskiemu), z tytułami wyszukanymi (*Bando* na Aryany, *Do monarchów chrześcijańskich sąsiedzkie quamquam* t. j. perora i t. p.), ze stylem nieraz szorstkim, z języ-

kiem zawsze jędrnym. Wobec tej poezji politycznej i anegdotycznej, plądrującej Marcyala — którego wtedy nikt nie tłumaczył, wszyscy okradali — erotyczna niknie zupełnie, chyba dwuznacznymi aluzjami, wojująca, gdy np., koledze po piórze, Samborowi Młoszowskiemu, dla spóźnionych ślubów gratuluje; częściej sielankowa się zawinie, gdyż jego „Sielska fujara“, między wieśniakami wzrosła, i nie taił poeta, że „pługa gdy dozorny, wiersze pisze“, więc „prawdziwą szczęśliwość“, jak wszyscy poprzednicy, od Kochanowskiego począwszy, w ustronnem, zacisznem, wiejskiem życiu upatrzył i sławił.

Nad temi poezjami świeckimi górowała liczba religijna, w kilku zbiorach (prócz Liryk) ogłaszana, począwszy od „Różańca Najświętszej Panny Maryi“ (roku 1668) przez „Ogród Panieński“ i „Chrystusa Cierpiącego“ aż do „Psalmody“ (r. 1695). Poezja to nadzwyczaj słaba; „Chrystus Cierpiący“ np., wedle stacyj pasyjnych w krótkim pięćcołgłoskowym wierszu ułożony, fatalnie Bakę przypomina czyli raczej przepowiada, np.

Hieronim święty,	Gdy ten rozczęty	Akt ruminuje,
Pisania chuci	Wszystkie porzuci	I tu pauzuje
Koncept w pół biegu	Stanął; noclegu	Nie dotarł tego...
Ty jak Dydyma,	Tak pisoryma	Me otwórz oczy
Że w świętym boku	Jak w żywym stoku	Pióro omoczy i t. d.

Najfatalniejszy „Ogród“, bo wybierał Kochowski z jakiegoś Maryologionu wszystkie epiteta, Matce Boskiej od pisarzy kościelnych przydawane, i rozłożył je na kwatery, t. j. grządki swego ogródka, każdy epitet dwuwierszem wykładając, np. tytuł *Mater Consolatoris* (wedle Efrema Syryjczyka):

Do kogoż opuszczona sierota pośpieszy?
Do Matki: ta ratuje, opatrzy, pocieszy.

Cała ta poezja przypomina dziwolągi ascetyczne Saskie, chociaż język jej i koncepty jeszcze nie zmanierowane do szczeru, mimo pomysłów np. Usta zmazane i skancerowany język otwieram i t. d. Tu już występują, obok Jezusa Sarmackiego, i Matka Koronna, np. w wierszu rzewnej prośby o pokój, tak potrzebny w tych latach rokoszowych: Ratuj, dźwignij twoję onę Trwałą w służbie twej koronę Polski tobie oddanej, Ugaś wnętrzny ogień, który Co

raz bierze moc do góry od swychże poddymany; Królestwo to twe dziedziczne Trapią wojny ustawiczne, biada, skwirk, ucisk wszędzie i t. d.

Po nad te wiersze wyrasta nieskończenie proza „Psalmodyi“; duchem i wyrazami psalmisty przejmując się, składa korny u stóp Pańskich dzięki za dobrodziejstwa niezasłużone, oskarża się z grzechów żywota, nie traci ufności w miłosierdziu niewyczerpanem, a z sobą i o kraju własnym rozprawia, wystawiając zbrodnie i nieprawości powszechne, dobierając najdobitniejszych zwrotów np. (u nas) droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, wdzięczność za odwagi omylna, a gdy występków nie karzą, *grzeszyłby ktoby dobrze czynił* (ale ten okrzyk zwątpienia wydawały już przed nim piersi polskie...). Widzisz to, Boże czuły wolności naszej stróżu, i grozisz pomstą zdrajcy, któryś tego balsamu wolności przez „nie-pozwalam“ w truciznę obracać nie kazał. Pisał to zaś Kochowski wtedy, gdy się siódmy wielki „klimakter“ dziejów polskich, od Chrobrego licząc, do końca zbliżał i rewolucye przepowiadał.

Zbiór to trzydziestusześciu, obszernych psalmów, pisanych na tle stosunków ogólnych (od zgodnej elekcji aż do wojen wołoskich Sobieskiego) i prywatnych (testament i t. p.; rozpatrywanie wielkości Bożej i t. d.), ale nie w roku 1693, jak na tytule wyrażono, tylko przez lat jakich dwadzieścia — podobnie i Liryki powstawały, chociaż wcześniejsze, o wypadkach roku 1648 — 1660 poeta później dopisał; dlatego ton ich tak odmienny, i tryumfujący i przygnębiony, i ufny i pesymistyczny; całe zwroty, Dawidowe wplatają nieraz w swoje; przejmują głębokością, powagą, prostotą, istny śpiew łabędzi sędziwego wieszczu, co tym szczerym głosem skruchy i żalu twarde, kamienne serca przekupnych sędziów, niecných synów ojczyzny, wietrzników skruszyć sobie tuszył; z całej spuścizny poetyckiej, nie tylko Kochowskiego, w swojej prostocie największe. Wiek XVI tylko chwilowo, u Reja i Kochanowskiego, głębin tych sięgał.

Kult Maryi, jak go Kochowski łacińskim i polskim wierszem przedstawiał, był dla tego wieku i literatury charakterystycznym; siedemnasty i szesnasty rozchodziły się na tym punkcie najbardziej; ten niezna go niemal zupełnie, ów w nim jakby utonął, wiek sodalisów maryjańskich. Wyliczać tych prac prozą i wierszem, łacińskich i polskich, niepodobna; wymieńmy jedną, kilkatysięcy wierszów polskich ks. Andrzeja Brzezińskiego, które on z łaciny

profesora Bieżanowskiego wyłożył — panegirysta świecki przenosił swe pióro chętnie na *empirea* i tym samym stylem, co *Lubomirskich* lub *Sieniawskich*, *Matkę Św.* i świętych pańskich wysławiał — w dziele p. t. „Zabawa Duchowna na solenną oktavę Niepokalane-go Poczęcia“ i t. d. (r. 1693): pod każdy wiersz czy słowo „Pieśni nad pieśniami“ podłożono tu wiersze Maryjne. W przedmowie dzieła wzmianka o cudownym obrazie *Dzikowskim Maryi* i o pobożności p. wojewodziny *smoleńskiej*: bo i te historye obrazów cudownych i to wysławianie żywotu pobożnego prywatnych ludzi było charakterystycznym dla wieku XVII; wiek XVI ani jednego ani drugiego nie uprawiał, miał wprawdzie „*Historyę Częstochowską*“ (o obrazie *Panny Najświętszej*) i „*Łysogórską*“ (o założeniu klasztoru i t. d.), ale teraz dopiero roilo się od polskich i łacińskich opisów cudownych miejsc i obrazów w *Sieprsku*, *Gidlach*, *Dzikowie*, *Leżajsku*, *Żurowicach* i t. d., od opisów wierszem i prozą pobożnych żywotów, np. ks. *Mikołaja Simowicza* (r. 1682, który naturalnie i wiersze Maryjne pisywał) i innych. Charakter ascetyczny występował coraz jawniej, wyłączenie.

W *liryce*, stroniącej zarówno od tajemnic wiary i aktów skruchy, jak od wypadków i upadków politycznych, nie *Miaskowski* i *Kochowski*, lecz dwaj *Szlichtyngowie* i czterech *Morsztynów*, zapelniając wiek cały, górowało. W początkach jego stawał **Jerzy Szlichtyng**, protestant, sługa *Radziwiłłowski*, autor znakomitego listu o *tabace*, *trunku piekielnym*:

Jupiter, który siedzi na zmyślonym niebie,
Zaprosił wszystkich bogów na bankiet do siebie.
Tam *Ceres* nawarzyła piwa zielonego
Ze szczeropszenicznych słodów nakosztł *Szmigielskiego*,
Lubo też jako *Leszno* smak wdzięcznych piw rodzi,
Albo nakosztł *Brzezińskich*, czym się każdy chłodzi,
(*Bogowie*) podhełmiwszy (t. j. podpiwszy) skakali i t. d.

— chwałę znakomitych niegdyś piw polskich, nie tylko win węgierskich muza szlachecka wyśpiewywała na wszelkie łady, od *Szlichtynga* aż do *Potockiego*, brzydząc się „smrodliwej starki i tabaki“, tylko na *Rusi* prostuchę, mędrochnę czy jak ją tam nazywają, wysoko cenią. *Szlichtyng* w poezyi miłośnej dobierał i wdzięcznych i lubieżnych tonów, ale przeważała sielanka; z jego pióra wyszła np., ulubiona powszechnie, „*Szlachecka Kondycya*“; niektóre jego

erotyki miały niemal ludowy, bardzo swojski charakter, np. pieśń, już i w „Kiermaszu Sowizdrzańskim“ drukowana:

O cóż się, pani matko, na mię zgniewała?
Żem się swego najmilszego rozmyślała?
A jakoż to niemiłować, gdy to umie odstępować
Krasny pacholek?
Czyż mniemała, żem ja miała, w wiecznej niewoli
Cierpieć z tobą, głód z chudobą? ciężkość to boli.
Karałaś mię bez przyczyny, teraz mi się dostał inny,
Luby opiekun! i t. d.

Odzywał się on i wcale realistycznie, np.

A gdy da Pan Bóg dzieteczki, te będą leżały
W kolebce jedno, a drugie za piersią wołały,
Papu, tatu, daj mamu, swemu dziecięciu,
Szwaczkę, prączkę potrzeba chować dziewczęciu i t. d.

Częste jego „Wilaneski“ po rękopisach, tylko z tytułu włoskie, przyzwoitsze i wszeteczniejsze.

Koncepty włoskiej liryki, „Lutni boskiego Marina“, panują wszechwładnie u **Andrzeja Morsztyna**, który szkolarską poezję łacińsko-polską, jaką go jeszcze dziad, Otwinowski, karmił, we Włoszech, za przykładem mistrza, Jana Grotkowskiego, całkiem rzucił, i odtąd w Lirykach („Kanikuła“, zbiór z roku 1647; „Lutnia“, z roku 1661, Łukaszowi Opalińskiemu dedykowana) Marina, a we frazskach Marcyalisa naśladował: do druku nie nadawało się z tego nic, bo prócz wysmażonych porównań, antytez, obrazów, prócz form najmisterniejszych, madrygału, sonetu, sestyny, prócz raków, echów, akrostychów, cechowała te wiersze taka zmysłowość, nie rubaszna Potockich i Kochowskich, ale lubieżna Francuzów i Włochów, że cenzura duchowna — a innej w Polsce niebyło — nigdy by ich nie przepuściła. Mistrzostwo formy, swobodne panowanie nad językiem, miękkim, kwiecistym, pachnącym niemal, obfitość niewyczerpana pomysłów swoich i obcych, nadają bawidełkom tym uczucia przelotnego wartość nie powszednią; daleko poecie do szalu, do namiętności nawet, on nie wstrząśnie nami, ale zadziwi i ubawi zawsze, a w śladach Kupidyńka porusza się nieraz z takim wdziękiem, humorem i werwą, że rozbroi zmarszczonego Katona nawet tam, gdzie świętokradczem piórem profanuje najświętsze

przedmioty. Czego muzy Kochanowskiemu i Szarzyńskiemu nie dały, figlarnej pustoty, gracyi, od niewinnego uśmiechu do arlekinowej pstroczyny w mowie i obrazach, plastyczności i kolorowości w wyrażaniu wszelkich faz szkoły kupidynowej i batalii afektów, to wszystko wyraził Jędrzej Morsztyn, po Piotrze Kochanowskim i Janie Grotkowskim, najlepiej włoskie seicento i marinizm przedstawiając. Próbował on sił i w większych kompozycjach, za Marinem (i Apulejuszem) „Psychę” pisząc i hołdy paniom dworskim Ludwiki Maryi i królowej samej wplatając (np. popęda serca *bez sen* i na jawi — Mlle Bessaine, jak do kościoła i jako do *arki* — Mlle d’Arquien, to są jej pęta i trwale *kordony* — Mlle Gordon), ale gdzie Marino (z wiernie za nim krocącym Grotkowskim) czule i z emfazą przemawia, tam „Morsztynek” żartuje i bawi; tłumaczył i Tassa i Corneilla, choć głównie w drobnych lirykach, żartach, zagadkach gustował.

Niewyczerpany w wyliczaniach *à la grotesque*, czy to wszystkie rzeki polskie, przez jakie dworzanin królewski brodził, czy wszystkie napoje na świecie, których brat stryjeczny Stanisław kosztował, zestawiał, a zawsze lekki, zręczny, swywolny, już sfrancuziały, zanim się jeszcze do Francyi na zawsze wyniósł. Kobieta zajmuje w jego wierszach całkiem inną rolę, niż u Kochowskiego i u podgórskich poetów; przedmiot to kultu wyrafinowanego, z westchnieniami i pieśniami zamiast kadzideł, z sercem ofiarownika, jako ołtarzem, ze słodką niewolą i gorzką swobodą, z tyranką obojętnością i szczęśliwą zazdrością, gdy u tamtych kobieta to ani szatan ani anioł, tylko osobnik płci innej. Ten kult kobiecy — a typ kobieciarza coraz częściej odtąd powtarzać się będzie; już zachodzą nawet samobójstwa nieszczęśliwie kochających, chociaż najdawniejsze, młodego Żółkiewskiego, jeszcze nie seryo pomyślane, seryo się skończyło: Kochowski i Potocki nie mogą jeszcze w to wierzyć — nie wyklucza jednak bynajmniej największego wyuzdania, i Andrzej chyba u Krzyckiego w XVI, a u Trembeckiego i Węgierskiego (nieco delikatniejszych zresztą) w XVIII wieku równia sobie znajdzie: pornografia to, obyczajowo ciekawa, z rękopisów nie wyjdzie, chociaż zdarzają się wiersze, wykonane *con amore*, z niesłychaną brawurą, przewyższające wszystko, co drukowane; wiedział o tem autor dobrze i liczył się z tem w przedmowie do „Fraszek“:

niech one śmieie, choćbym miał być w winie,
rzą, jak dryganci, niech kwiczą, jak świnie;

jeden z najznakomitszych (kilka set wierszów liczący) p. t. „Nieobiecany Kąsek“. A mimo to i u niego są wiersze, „które na nie-sporze może ksiądz śpiewać lub mniszka w klasztorze“, ale ich niewiele, i to z czasów późniejszych.

Inni Morsztynowie talentem wyjątkowym Andrzeja szczycić się nie mogli, chociaż uboższym gospodarowali lepiej i dłużej, bo wielki statysta, co z dworaka urósł, dla intryg i robienia grosza po-
czyę rychło zarzucił.

Najwytrwalej służył literaturze, przez pół wieku niemal, najstarszy między nimi i zarazem najniepokaźniejszy, z urzędu i majątku, **Hieronim Morsztyn**, rówieśnik i towarzysz na parnasia jeszcze Szlichtynga, po próbach dworskiej służby zadomowiony wieśniak. Kilka wierszów maluje jego usposobienie dostatecznie:

Jam na złoto nie chciwy, kocham się w pokoju,
Na pracę nie duży, ani sposobny do boju...
Jabym dosyć miał i na tym,
Kiedybym był tak bogatym,
Bym się ni ocz nie frasował,
A coraz inszą miłował!

I on mógł powtórzyć za Jędrzejem: „Że mu się w wierszu trochę powodziło, Przyznawa Morsztyn, że to Panien dzieło“; i on mniemał z nim: „I wiersz nie dobry, kiedy nie swywolny“. Więc przeważają erotyki i fraszki niewstydlive, ale erotyki zostają daleko w tyle za Jędrzejowemi; brak im ognia i wdzięku, mdłe, banalne, powtarzają odwieczne motywy z łukiem i bełtem, z Wenerą i Kupidynem, z różą i pszczołką, z ogniem i lodem — brak im nuty osobistej, która by je w kwileniu miłośnem społecznych wyróżniała. Włochów znał dobrze, naśladował ich w wierszu epicznym, w nowelach, zresztą pociągała go silniej starożytność, powtarzał jej mity (o żonie Admeta, Alceście, poświęcającej żywot za męża i in.) z satyrycznymi zwrotami do społecznych (dziś by raczej żona męża na tamten świat wyprawiła); pisywał heroidy i t. d. Oprócz wielu wierszów okolicznościowych (nawet na konfederację spaloną roku 1614), do przyjaciół zamożnych, Kostków i Gostomskich, dopominając się o łaski i dary, celował w wierszach, opisujących męża, kpa, szlachcica, szczęście i t. p., gdzie wyliczywszy, kogoby mężem i t. d. jeszcze nie nazwał, kończy np. przy szlachcicu twierdzeniem:

Ale to prawy szlachcic, co najmniejszą zmazę
Krwią zmyć gotów: tego ja szlachcicem zwać każę,

choć i Naborowski podobne pisywał.

Stanisław Morsztyn, oberszter Króla IM., co wojewodą sandomierskim umarł, najsympatyczniejszy między Morsztynami jako człowiek, dzielny żołnierz w każdej potrzebie, od zbaraskiej do wiedeńskiej, w talencie „bratu” Jędrzejowi znacznie ustępował, choć ten przeciwnie twierdził. I on pisywał wiersze okolicznościowe damom, balety, fraszki, lecz spoważniał potem, zabrał się do tłumaczeń, z Seneki (tragika) i z Racine’a, a gdy mu śmierć dwoje dzieci porwała, napisał, za Kochanowskim zdążając, w istocie jednak „Peryodom” Potockiego znacznie bliższe, „Smutne żale po utraconych dziecięciach” i t. d. roku 1698 (r. 1704 powtórzone), gdzie mu „gorących łez zbiórka z inkaustem się miesza i ciśnie do piórka”, gdzie trafnie zauważył, że wobec straty jego Teresy- dziewicy, podziw ogólny wzbudzającej, strata Urszulki drobną była:

Odpuścił mi, odpuści, zacny Kochanowski,
Cząsteczka mojej straty o jak wielkie troski
Wzbudziła: w tym cię jednak rym zdradził uczony,
Że znać, choć ciężki, przecie żal był utulony...
Sredni ból jest wymowny, utrapienie zbytnie
Zmiesza słowa albo je w samych ustach przynnie, —

trafna uwaga, o której nowsi biografiowie Jana nieraz zapominali.

Ciekawszy od Stanisława, a nawet Jarosza, **Zbygniew Morsztyn**, jedyny żołnierz - liryk XVII wieku, zapelniający lukę tej poezyi. Żołnierzy - poetów ona nie liczyła; nawet ci, co latami całemi z wojen nie wychodzili, np. Kochowski i pan oberszter, na Par-nasie, jako ziemianie, nie jako żołnierze występują — cóż mówić o mieszczanach, Szymonowicach i Zimorowicach, wykluczonych z żołnierki, lub o Twardowskim, który przed wrogiem tylko umykał! Aryan Zbygniew należał w zborze do tego odłamu, co z Przypkowskim walk i sądów i urzędów nie unikał, żołnierz Radziwiłłowski, i kozackie i moskiewskie i szwedzkie kampanie odbywał; był więźniem i rannym i w tak ciężkich przeprawach, że inni z duszą się rozstawali:

Moja jakaś rogata, że została jeszcze,
Choć niejedno do wyjścia zrobiono jej miejsce,

a gdy z wojskiem się zegnał, składał bogom ofiary:

A ty za to, że ma tak zdziurawiona skóra,
Zły Marsie, i starego nie godzienieś kura!

Spowiada się szczerze z trybu wojskowego, ze strasznej nędzy obozowej, przetrzebiającej szeregi głodem i morem gorzej, niż działa nieprzyjacielskie; z owych ciężkich wypraw, na czatach, kiedy to własny towarzysz znużonego śmiertelnie towarzysza zabija, aby nie wpadł żywy w ręce wroga, aby na torturach czego nie wyznał; o zdzierstwie ludzkim i opresyi chłopskiej przez żołnierzy; o miłości towarzyszy i chorągwi — cnej matki, której nie opuszczają, choćby ich i rozsiekać miano—a jakież za to dzięki po tych strasznych, nieszczęsnych walkach:

A wszystkoć przeszło, jako sen, jak mara,
Ojczyźnie tylko oddana ofiara,
I płonnej sławie, lecz i ta ubieży,
Kto zabił leży.
A choć kto uszedł, kiedy nago z błota
Wylazł, ustała do służby ochota.
Bo o czym służyć będziesz? czy nie o tych
Czterdziestu złotych?
Byśmy przynajmniej od tych wdzięczność znali,
Za którycheśmy krwią się oblewali —
Ale kiedy na żołnierza, co żywo,
Pogląda krzywo,
Więc kiedyśmy my tak źli wojennicy,
Niechże się sami biją kapuśnicy.
Miasto ferezyej niech wdzieją pancerze,
A my pacierze
Z desperacyjej zostawszy mnichami,
Będziemy za nich mówić z ich żonkami,
Będziem w domach ich gospodarowali,
Orali, siali,
A w miękkich leżąc, jak oni, pierzynach,
Będziem się także pytać o nowinach,
Czy już tam nasi Moskwę w pień wycięli,
Czy cara wzięli?

Aryanowi jednak, choć za Polskę w więzieniu szwedzkim usyszał (Duma niewolnicza: Ja śpiewam, chociaż biedy Zgoła mizernego Ogarnęły mię wszędy, Więźnia ubogiego, Choć nieszczęśli-

wy i ledwom żywy... Ja śpiewam, a potoki Z krwi polskiej wzbierają, A dymy pod obłoki Z miast i ze wsi wstają: On kraj wesoly Idzie w popioły i t. d.), losy zgótowały niewdzięczniejszą jeszcze odpłatę; a gdy nareszcie żegnał:

Wojska, obozy, szyki, krwawe boje,
Żegnam cię, pole, witam spracowany
Domowe ściany.

Wolę tak w cieniu, dawne przewinienia
Opłakiwając, żyć już bez zgorszenia (credo aryańskie),
Być sobie wolnym, nie służyć nikomu,
Osiadłszy w domu, —

uderzył w niego grom, edykt aryański, ale, inaczej, niż Potocki, rzucił on swoich i ojczyznę, wylawszy rzewną skargę do Boga w „Pieśni w ucisku“ roku 1661:

Obrońco uciśnionych, Boże litościwy!
Usłysz krzyk sierot twoich, usłysz płacz rzewliwy!
Ciężka krzywda, o Boże! Ty na twojej ziemi
Wszystkich cierpisz; twe słońce promieniami jasnymi
Złych i dobrych oświeca, twój deszcz kropi ziemię
Złych i dobrych pospołu, a tu ludzkie plemię
Samo na się zajądło, ciężko następuje
Na swych bliźnich i z twojej ziemi ich ruguje,
Którąś przestronną stworzył, a my nie możemy
W niej żyć, choć, że i dla nas stworzona jest, wiemy.
Ty, zdawszy rządy królom, wolnowładny panie,
Nad sercem i sumieniem ludzkim panowanie
Sameś sobie zostawił, aleć się wdzierają
W twe prawa i gwałtem je ludzie odbierają i t. d.

I na wygnaniu nie zerwał jednak Zbygniew z niewdzięczną ojczyzną, ożenił się z córką Czaplica, aryana również, słynnego, nawet w przysłowiu, na cały Wołyń ze swej prawości, i posyłał wiersze okolicznościowe, moralizujące („Emblemata“, siostrze króla Jana, Radziwiłłowej, omawiające wierszami obrazki alegoryczne z dopisanymi cytatami psalmowemi) i historyczne („Sławna Viktorya nad Turkami pod Chocimem 1673“ wydana w druku, z wierszami polecającymi Żydowskiego „wieszczą zwycięzców i zwycięzcę wieszczów“); Prusy stały mu się przybraną ojczyzną („lub w pogranicznym gruncie wkorzeniony, lecz w ten sąsiedzki będąc przesadzony

i z tej tu ziemię w wszelkie cnoty żyznej, jako ze swej własnej cie-
sząc się ojczyzny“) i w Rudówce jego (obok *Andreaswalde*) prze-
trwały niedobitki aryańskie do XIX wieku; ostatni dwaj starcy-arya-
ni byli Morsztyn i Szlichtyng.

Od tego ruchu poetyckiego odbijała dziwnie nieproduktyw-
ność dramatyczna, potwierdzająca znany brak umiłowania czy uspo-
sobienia do dramatu u wszystkich Słowian. Jeżeli pominąć dra-
mat szkolny, obracający się w jednym kółku, bez wyjścia i rozwoju,
to tylko obcy podtrzymywali w Polsce dramat albo jego surrogat.
Niemiec Zygmunt lubował się w widowiskach niemieckich trup
wędrownych, angielskich komedyantów, którzy z Gdańska lub Wro-
cławia do Warszawy trafiali; syna zachwycały tylko włoskie opery
i balet. Poznał się z niemi podczas swej podróży zagranicznej; li-
bretto Saracinellego do opery *La liberazione di Ruggiero*, wysta-
wionej dla niego we Florencyi, przetłumaczył pięknym wierszem
polskim widz przedstawienia, Stanisław Jagodyński (roku 1628),
a w karnawale roku 1628 zaprosił królewicz dwór cały na przedsta-
wienie Galatei, która bardzo zadziwiła Polaków *per esser a loro
cosa peregrina*. Znakomita kapela nadworna ojca ułatwiła te pró-
by, które za wstąpieniem na tron Władysława doprowadziły do pierw-
szego stałego teatru, na zamku, ze stałą trupą włoską, śpiewaczek
i śpiewaków--w chórach było i wielu Polaków, wprawnych w gor-
gi i tryle.

Budowniczy Bolzoni i maszynista Locci urządzali wszelkie
kunszty; librecistą, kompozytorem i śpiewakiem był Virgilio Pucci-
telli, autor „Dafny“ (którą Samuël Twardowski pięknym wierszem
przełożył, a raczej przerobił), *Enea, Amor e Psiche, il ratto d'Elena,
Narciso trasformato, Armida abbandonata, santa Cecilia*, wysta-
wiona na wesele królewskie (z Cecylią Renatą) i wprawiająca w po-
dziw cudzoziemców — nic lepszego lub podobnego nie widziano
w Europie, jak zapewniali Wassenberg i Tyrolczyk Schüpli (*gesehen
habe ich comedie zu Florenz und auch zu Mantua, nach solchen
hab' ich kein' bessere gesehen*--niż warszawską). To samo potwier-
dzali i Francuzi, Le Laboureur i Ludwika Marya przed Radziwił-
łem, kanclerzem, o „Amor e Psiche“, operze wystawionej w Gdań-
sku roku 1646.

I słynął teatr włoski Władysława w Europie, ale, jak był, tak
pozostał inwencyą włoską, nie budził ruchu dramatycznego w kra-
ju. Również nie powiodło się słynnym Wirtshauzom króla zaakli-

matyzować się w kraju: z taką grą towarzyską, a raczej maskaradą (losem rozdzielano między grających role młynarza, sołtysa, karczmarza i t. d. — jeszcze Göthe podobne zabawy wajmarskie wierszem uświetniał — u nas Rafała Leszczyńskiego one do nadobnych wierszów natchnęły) poznał się Władysław również podczas swej podróży zagranicznej i bardzo ją polubił, chociaż Pac z góry w niej nie gustował. Po teatrze włoskim Władysława, zabawce bardzo kosztownej, zostały chyba wspomnienia (w pamiętniku Radziwiłła, u obcych podróżnych) i anegdota kilka; z nawyczkami narodu szlacheckiego nie żył się zresztą wcale.

Opowiadał poseł, książę Lwow - Jarosławskij (r. 1655), że był u króla „na potiechie“, a „potiecha“ była, jak Holofern przeciw Jeruzolimie ciągnął, a Judyt Jeruzolimę (!) wybawiła; w dwa lata później wspominali również posłowie moskiewscy o „komedyi, po rusku potiecha“ na dworze królewskim. Dafnę, niegdyś polską, grano i na teatrze moskiewskim Piotra Wielkiego. Na festyny pierwszego szczęśliwego roku 1661 przetłumaczył Andrzej Morsztyn Cyda, otwierając wrota francuskiej tragedji albo komedyi, gdyż terminów nie rozróżniano; lecz za nim nie wszedł tam nikt, prócz kuzyna, Stanisława Morsztyna, który Andromachę Rasyna w gładszej, niż Andrzej, polszczyźnie wydał; Andrzej sam przetłumaczył jeszcze przedtem „Amintę, komedję pasterską Tassa“, ale przekład, dosyć wierny, prócz chórów chyba, rozszerzonych wobec oryginału, mniej miał gładkości i precyzji, niż Cyd, i nie wiemy, czy się na scenę dostał. Inną, najslawniejszą komedję pasterską, „Wiernego Pasterza z Guarina“, przetłumaczył Jerzy Lubomirski, rokoszanin; dostała się ona znacznie później do druku (1695 i 1722) i podobała się dla stałości bohaterów, jako „konterfekt wierny miłości“; na scenie chyba ją syn, wielki marszałek kor., wystawił, który teatr w Ujazdowie urządził.

Gdy inni poeci, jeżeli o dramacie pomyśleli, tylko misterya pisywali, np. Miaskowski, dyalog emausowy, albo Potocki, dyalog „Zmartwychwstania Pańskiego“, jedyny **Stanisław Lubomirski** za włoskim wzorem i oryginalne sztuki pisywał. Z pióra pana starosty spiskiego wyszło około roku 1664 kilka sztuk, czy oryginalne, nie łatwo, przy nieprzebranym bogactwie sztuk włoskich, a trudnym do nich dostępie, sprawdzić; hiszpańskie i włoskie osoby i miejsca nie koniecznie „tłumaczenia“ dowodzą, skoro z polskiej rzeczywistości czerpać nic nie naprowadzało, chociaż p. starosta

polskich dowcipów i aluzji nie skąpił. Jedna z tych sztuk, wierszem, „Ermida albo Królewna pasterek, t. j. ten szczęśliwy, który się swym stanem kontentuje“; mniema Ermida, uchodząc z pałacu królewskiego, że między pasterzami i pasterkami najszczerza miłość panuje, lecz i między nimi są zdrady, zazdrość i zmienność, więc wraca po nieudanej ekskursji do pałacu i do wiernego Filandra, który za nią w głąsz pośpieszył; komedia pasterska figur komicznych wcale nie wymaga, mimo to wprowadził p. starosta, wielki widocznie śmieszek, służącego Filandra, żarłoka, leniwcę, służby swe słowami gorąco wystawiającego Adrasta. Komedia o Guzmanie, oparta na wątku odwiecznym, o mężu, przez fałsz (i tchórzliwego sługę) na polu walki uśmierconym, popadłym do niewoli i wracającym w samą porę, aby powtórnemu zamażpójściu mniemanej wdowy przeszkodził; komiczny element przedstawiają słudzy i sługi, Biribis i Faramuska, makaronizujące, papłące, odbierające plagi, narabiające dwuznacznikami, niemożliwymi do powtórzenia; są i aluzye do faktów społecznych, np. tchórz Biribis powołuje się na p. Wojkowskiego: wolę, żeby wydrukowano: tu p. Wojkowski uciekł, niż żeby pisano, tu Biribisa zabito. Trzecia, o Lopesie, znana dobrze w XVII wieku (cytowana nieraz), dramatyzuje nowelę Boccaccia i zasługuje na epitet „srodze śmieszna“, jakim ją Załuski uraczył, lecz arcy nieprzyzwoita; ojciec wydaje córkę nie za „storzypiętkę, młokoska, zamsika“, lecz za poważnego, starego Lopesa, który żonę zaniedbuje tak, że się ona od wyznawcy innego kalendarza chętnie uprowadzić daje; tempo tej komedji żywsze, mimo to i ona rozwlekła; komizm przedstawiają znowu sługi Biribisa, makaronizmy i najokropniejsze dwuznaczniki.

Talentu dramatycznego p. starosta nie miał; „komedye“ są zbudowane jak najluźniej, charakterystyka poza ogólniki nie wychodzi; komizm słowa wyłączny, ale, wobec absolutnej posuchy dramatycznej, i to na uwagę zasługuje. Jak szlachta nie przywykła była do widowisk scenicznych, najlepszym dowodem owe zajścia z aktorami francuskimi, którym jawna śmierć groziła (jeżeli p. Pasek srodze nie przesadził).

Zacietrzewiona w rymach szlachta monopol ich rodzajowi męskiemu zawarowała; o kobietach piszących mało słysząc, chociaż były; Potocki nieraz z niemi wojował, na seryo ich jednak chyba nie brał. Przecież nie dawne to czasy, kiedy właśnie i w kołach aryańskich (na początku XVII w.) kwestye, czy kobieta jest człowie-

kiem, bardzo usilnie wentylowano, i odpowiedzi nie na korzyść płci pięknej wypadają. Były to jednak ostatnie już tryumfy zarozumiałości męskiej. I w Polsce zaczęła niebawem przewodzić kobieta, mianowicie, gdy u dworu miejsce potulnych, cichych, w cieniu żywot pędzących truś niemieckich energiczne, przewrotne, ambitne, chciwe zysku Francuzki z całym ogonem Francuzic zajęły i coraz wybitniej w sprawy towarzyskie i polityczne wstępowały; satyry i pamflety godzą też stale i w Ludwikę Maryę, w Mohiłownę (żonę Rewery), w Pacową, do czego w XVI wieku wcale nie przychodziło. Modnisie nasze przyjmowały hołdy literackie, czytały romanse francuskie, lecz same się w literaturę nie bawiły. Matrony staropolskie, ślęczące nad książką pobożną — dla nich to wychodziły owe „Raje duchowne“ albo „duszne“ ks. Wysockiego i nieskończone inne ascetyka — wyjątkowo same modlitwy i pieśni składały, między arianami nawet (p. Zapawska np.); jeden taki zbiór dostał się i do druku: *Gospodarskie nabożeństwo nabożnemi rytмами przy gospodarskiej sielskiej zabawie od Imcp. Katarzyny Siemiontkowskiej...* napisane roku 1670; autorka, dedykując je p. Annie Stanisławskiej, wojewodzynie kijowskiej, usprawiedliwia się z tak niezwykłego kroku — kobieta, zajęta gospodarstwem, gdybyż jeszcze zakonnica, pisze i drukuje — tem, że zabawiała się ona rytмами już u ks. Radziwiłłowej i jej rodziców (Potockich) i z tej to zabawy „niektóre drobiazgi“ uzbierała i za poradą uczeńszych wydała. Są to wykłady wierszami modlitw i t. d., piosenki pobożne i t. d., w prostym i jasnym języku; poezji tam niema.

Ciekawiej wypadł inny, pierwszy właściwy debiut literacki kobiety polskiej, pasierbicy owej wojewodziny kijowskiej, również **Anny Stanisławskiej**, zamężnej za kasztelanem krakowskim, Warszackim, „Ezopem“ i rozwiedzionej z nim, powtórę wychodzącej za Oleśnickiego (ostatniego ze sławnego rodu), umierającego niebawem z gorączki obozowej, potrzecie za Zbąskiego (również ostatniego z rodu starożytnego), ale i ten rychło umarł, z rany pod Wiedniem odniesionej. Ciężkie przejścia życiowe — walka o rozwód z obrzydliwym idyotą, ciężkie rany sercowe, „trapace“ majątkowe (wdowine dobra zajeżdżali Czartoryscy) i t. d. — nie złamały żelaznej natury tej Polki, pełnej hartu, któregooby i mężczyzna mógł jej zazdrościć, ale dały jej tak mocno uczuć znikomość wszystkiego, co ziemskie, że wylała ona te uczucia w „Tranzakcyi albo opisanii całego życia jednej sieroty przez żałośnie treny od tejsze samej pisa-

nem roku 1685“. W Zakończeniu do czytelnika usprawiedliwia się „Annusia“, dlaczego o „całym życiu“ w tytule zapowiada, skoroż jej „boska dobroć wieku przedłużyła“:

Bo mojem zdaniem mało com zbłądziła,
Gdyż tylko dotąd życiem być sądziła:
Teraz nie żyję, lecz jakbym umarła,
Bom, jak pociechy, tak smutki zawarła;
W zimnym grobowcu onem już złożyła,
Ani się cieszyć, ni będę smuciła.

Wiersze marne, ale ten „koncept białogłowski“ — to jedna z najciekawszych rzeczy XVII wieku, przecież to najdawniejszy romans obyczajowy polski, cóż z tego, że w wierszach, jak *Argenida*, *Syloret* lub *Banialuka*? Gdy te w bajecznych i niemożliwych bujają czasach i stosunkach, *Annusia* opowiada wiernie, co sama przeżyła; jest to więc pamiętnik, od pamiętnika tem znowu różny, że nie śledzi życia z roku na rok, lecz wybiera tylko główniejsze momenty i najszczegółowiej je oświeca — przed „*Dziennikiem Rzeczyckiej*“ (*Hofmanowej*) literatura polska niczem podobnem poszczycić się nie może. Jest to więc autobiografia w wierszach, pani polskiej ze sfer najwyższych, losem dziwnie miotanej, pełna szczegółów obyczajowych pierwszorzędnej wagi; dokument strasznej tyranii rodzicielskiej, nie uznającej ani możliwości nawet oporu dziecięcego; drażliwej sytuacji rozwódki, w klasztorze decyzji oczekującej; interesowności wszystkich, którą znacznemi ofiarami majątkowymi okupywać należy, aby rzecz najśluszniejszą przeprowadzić; kopalnia rysów, anegdot, nawyczek towarzystwa damskiego i męskiego, od serenad i biesiad aż do strasznych niewygód dróg polskich, przepraw przez Wisłę i t. d. Autorka puszcza się w niezwykłą drogę, wzywając imienia Bożego — bo staropolskiego ona zakątu, nie sfrancuziała ona w niczem, i język sam jej utworu, z dosadnymi, przysłowiowymi zwrotami stawia ją obok *Potockiego* i *Kochowskiego*—pobożna, posłuszna, oszczędna, zabiegliwa i chociaż estetyczna strona jej utworu bardzo ułomna — a czyż wiersze mężczyzn od zarzutu wolne? — treścią wynagradza ona sowiec oczekiwania czytelnika; co ona opowiada o *Kazusiu* (*Ezopie*), o skąpstwie starego kasztelana, o zabiegach jego przeciw rozwodowi i t. d., w żadnym spóczesnym pamiętniku, *Paska* niewykluczając, nic podobnego nie znaleźć.

Zresztą wyrывały się kobiety tylko wyjątkowo na Parnas, i zaznaczano to w odpisach wyraźnie, np. „Lament J. O. Ks. Teofile ze Szczekarzowic Ostrogskiej, kasztelanowej krakowskiej, z jej własnej głowy“ i in. Częściej jednak podszywali się mężczyźni pod firmę kobiecą, np. znakomita, dowcipna, trafna, acz swywolna bardzo „Gorzka wolność młodzieńska ...przez jedną damę dworską imieniem drugich wyrażona“, chociaż drukarz w przedmowie do czytelnika wyraźnie zastrzegał, że to rzecz damy, która imienia odkryć nie dozwoliła, jest pióra kolegi na parnasia Potockiego, Żydowskiego, zdradzającego sędziostwo swe już podziałem traktatu *ex reatu* i *ex actoratu*. Była to bardzo ciekawa polemika, w którą imieniem dam p. sędzia krakowski, wielki dowcipniś, się rzucił: w „Złotem jarzmie małżeńskim“ anonim (czy nie sam p. sędzia?) wychwalał stan beżżenny, wywodził argumentami, znanymi z Rejowego „Warwasa“ i z „Syloreta“ Potockiego, co przeciw bogatej, pięknej, brzydkiej, starej i t. d. przytoczyć się dawało, skarżył się na brak wstydu — nie wiele go było, i wszystkie go między siebie rozszarpały, tak że się każdej nic nie dostało.

Argumenty te rozbił w puch p. sędzia — powołujesz się na Józefa, ale wy płaszczu odbiegacie u cudzej żony, uciekając przed mężem i nie wyłatalibyście jednego Józefa, choćbyście wszystkie wasze czystości w kupę włożyli. P. sędzia napisał może i „Babę abo stary inwentarz“, występując i przeciw babożeniom (temat, który już Szymonowic poruszał), aby kwestyę wszechstronnie wyświecić; znał on literaturę włoską, polską (rękopiśmienną, Lopesa, Syloreta) i t. d., łacińską wybornie; niewyczerpany w anegdotach, przysłowiach, przycinkach, rubaszny, w głośny, pusty śmiech wybuchał; ileż tam zdrowego rozsądku i prawdy, acz niewymyślnej, wobec wszystkich fizyologii miłości i małżeństwa Balzaków i Bourgetów! Tłumaczenia prozą, licznych dzieł ascetycznych (i francuskich), dokonywały zakonnice lub tylko je ozdobnie przepisywały; i kroniki klasztorne one spisywały, z ciekawemi nieraz przejściami, które dziś dopiero na jaw wychodzą, np. Karmelitanek wileńskich.

Ponuro zachodził wiek siedemnasty; łuny zwycięstw multaniskich, szwedzkich (Kirchholm), moskiewskich czerwieniły się nad jego wschodem, ale sprawdziły się o nim słowa ewangelii: dziś bę-

dzie deszcz, błyszczy się niebo; ostatni raz, pod Wiedniem, ozłociło słońce hufce polskie przed zdziwionym, rozradowanym światem chrześcijańskim. Potem zasunęły się na zawsze mgły i mroki.

Z anarchią polityczną ustalała się umysłowa; z dawnych ogniw kultury wymykało się jedno po drugim; rozpasany fanatyzm i obskurantyzm wdzierał się coraz potężniej w coraz słabiej bronione mury. Zamilkli protestanci; arianów wygnano z kraju a wygluzowano z pamięci, i niebawem już lud tylko prawił o okopiskach, bóżnicach i szkołach arianских, patrząc na nie w strachu przesądnym; w rodzinie Lubienieckich album arianские pradziada, pełne najciekawszych zapisek we wszystkich językach świata, od perskiego i arabskiego przez litewskie i węgierskie aż do francuskiego, ocalało tylko w ten sposób, że zamalowała ostrożna ręka każdy ślad arianский, nawet sam tytuł „minister“ (*verbi Dei*). Kalwini i luterani odezwali się energiczniej poraz ostatni może w liście (poetyckim) „Szlachcica do szlachcica o wojnie kozackiej w roku 1648 i 1649“:

Przystąpiła na Lutry tyrannis *przeklęta*,
Która się pod płaszczykiem zeli zda być święta...
Dosyć was długo księża za nosy wodzili...

choć autor i za chłopem uciskanym, niewolnikiem i podłym psem naszym się ujmował; gdy Radziwiłłowie (birżańscy) wymarli, runął ostatni filar możnowładczy, podtrzymujący wymagania dysydentów. Cenzura duchowna czuwała podejrzliwie, żeby się żaden wolniejszy głos nie odezwał, nie przerwał milczenia, zalegającego coraz bardziej Polskę; dla protestantów drukowano już tylko za granicą (prócz Gdańska i Torunia), w Królewcu i na Śląsku. Tak zapanowała jedność wyznaniowa; stanową osiągnięto jeszcze rychlej, mieszczenie nie zabierali już głosu, prócz panegiryków i ascetyków, ogłupiających głowę a wysuszających serce. Jednostajność szara i jednolitość zapanowała w całej literaturze, przynajmniej w jawnej. Bazylianie wileńscy pisali takie same wiersze epiczne i ascetyczne, jak szlachcic podgórski lub zakonnik trzemeszeński; panegiryczność głosiła te same tryumfy przez usta bakałarza krakowskiego czy żaka jezuickiego lub pijarskiego. Pod powłoką i pokostem ascezy, panegiryzmu i „makaronu“ kryły się jednak różnice i rozszczepiła się literatura na drukowaną, jałową, czczą i kłamliwą, a rękopiśmienną, z poważniejszym nastrojem, wymowniej-

szym językiem, z gorzkiemi prawdami, a choćby z większą sztuką i lżejszym lub wytworniejszym żartem i stylem. I zapadała ta literatura, coraz mniej znana i ceniona, w sam głąb; zapomniał o niej wiek osiemnasty i dopiero w dziewiętnastym wydobywano na jaw literaturę kopalną, produkty bujnego życia i dzielnej myśli, ciepłem słonecznem niegdyś na świat wywiedzione, a rumem ascetycznym i panegirycznym później zasypane: coś niby Herkulanum i Pompei staropolskiej fantazyi i jowialności, myśli i ogłady, szlacheckiej i mieszczańskiej.

Tymczasem brnął „naród“, t. j. Polska szlachecka, coraz głębiej w ciemności egipskie, które za „Sasów“ dopiero nieprzebitym tumanem głowy i serca zaledz i nauki i zdobycze dawnych wieków pochłonać miały. Z każdym dziesiątkiem lat zasępnął się bardziej i polityczny horyzont sarmacki; różnica między pierwszą a drugą połową wieku, podobnie jak w wieku XVI i XVII, uwydatniała się coraz bardziej, tym razem na niekorzyść drugiej połowy; rok 1648 był przełomowy. Głęboką raną, życiową, uchodziła najlepsza krew polska; i Łukasz Opaliński, który świeżo Polski przed Barkłajem bronił i jej się dosyć wysławić nie mógł, wyznał jawnie:

zład początek złego, zład upadły siły
Wszystkie, oraz... śmieie rzekę, że skrzydła rozpięte
Orła polskiego, jednym nieszczęściem obcięte!

nawet w oczach dziczy tatarskiej zgaść urok Rzeczypospolitej, i hordy zapędzały się aż pod Kraków, jak w wieku XIII; w walkach wewnętrznych, kozackiej i rokoszowej, ani zwycięzców, ani zwyciężonych nie było — ubezwładniały się tylko członki i duch unieruchomił.

Tylko w literaturze nie odegrał rok 1648 tej roli fatalnej, tu nie było nigdy nagłego przeskoku; wszystko zdawało się toczyć dawnym torem; skutki wykazywały się dopiero później i powolniej. Nie zmniejszała się, owszem wzrastała liczba publikacyi, ależ jak obniżał się zato ich poziom, ich wartość, doniosłość i forma! Barok polski wyradzał się z przerażającą szybkością; o stylu w drukach późniejszych już nawet mowy nie było: przecież to tylko przedrzeźnianie lub brak wszelkiego stylu i po rękopisach wyłącznie kryły się płody smaku i wyobraźni i krytyki. Językowi groziło coraz większe niebezpieczeństwo usychania, obierania, zakuwania w pęta łaciń-

skie, w prozie; i w poezyi grzeszono nadmiarem słów włoskich, owych „foz, cer, alegrec, zelozyi, alaspasów, bontempów, kontentec“ i t. p., od czego i Twardowski i Kochowski nie wolni. Jak język, tak i forma, wiersza czy mowy, ulegała skażeniu, barbarzyństwu, śmieszności ¹⁾. Zapomniało się o wyższych aspiracyach i ideałach, bo i myśl spospolitowała się, zniżyła, odzuwając najelementarniejszą strawę, zachając się wszystkiego nowego i niezwykłego, odgradzając się trwożliwie i podejrzliwie od świata. Nadchodziło bankructwo polityczne i umysłowe.

¹⁾ Już w podręcznikach XVII wieku wspominają nauczyciele „poezyi“ o „kacyndencyach“ (rymach) *częstochowskich* albo *bakatarskich*, przestrzegając przed nimi; niebawem jednak te rymy całym parnasem zawładnąć miały.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

ZASTÓJ SASKI.

Wzrost nietolerancyi, gorszące jej objawy. Anarchia szlachecka, zagwarantowana przez obce mocarstwa. Rozszczepienie literatury: drukowana całkiem się odświeżcza; rękopiśmienna. Magnaci w literaturze: Radziwiłłowie, Jabłonowscy, Załuscy i t. d. Drużbacka. Romanse wierszowane; wiersze historyczne i satyryczne. Buzdzenie się z zastoju; Leszczyński, Konarski, Rzewuski.

Dzieje za Sasów w niczem nie przypominają dziejów za Wazów i Sobieskich: zamiast pełni życia, poświęcenia, walk heroicznych—popielisko wygasłe intryg rodów wielkich i mocarstw ościennych, odrętwienia narodu szlacheckiego. Również literatura za Sasów, bez talentów i ruchu, albo ascetycznie spłaszczona, albo na śmieszne pochwały wydęta, nie przypomina już dawniejszej, nieraz głębokiej myślami, ponętnej formą, tryskającej humorem, wybuchającej satyrą czy żalem i skargą, barwnej, kuszącej się o wielkie zadania i roztaczającej obszerne obrazy.

Anarchia dokonała dzieła, od dawna już nurtując w społeczeństwie szlacheckiem, nieokiełznana żadnym hamulcem. Już w XVI wieku wyzała ta anarchia władzę królewską; już wtedy Polska nierządem stała, a król był malowanym: czuł to dobrze Batory i próżno się z tem szamotał; już za Zygmunta Starego tryumfowała anarchia, nie tylko w wojnie kokoszej, ale i wtedy, kiedy Wielkopolanie uchwalali pobory na wojsko, a Małopolanie pospolite ruszenie, w tym celu, aby nic z obojga nie było.

W wieku XVII wyżyła anarchia znaczenie szlachty samej; czyn Sicińskiego nie był czemś niezwyčajnem, nienaturalnem: to tylko rak, toczący wnętrze, wystąpił na jaw, i ustała władza stanu, skoro jednostka na woli swej przeciw wszystkim oprzeć się i prze-forsować ją mogła. Stoczywszy tak w wiekach ubiegłych władzę królewską i szlachecką, za Sasów stoczyła anarchia wreszcie i zasoby umysłowe szlachty, dawną kulturę polską.

Teraz goniło bezmyślne życie ostatkami świetnej niegdyś przeszłości, niezdolne do czynu, ugrzęzłe w materyalizmie, nie przypuszczające nawet możliwości odmiany, gromiące hasłem: niech będzie, jak bywało— wszelkie nowości; literatura, kołowacizną umysłową dotknięta, przerabiała mechanicznie dawne szablony, niezdolna do porywu, wegetująca. I wygłębiała się przepaść między Polską a Zachodem.

Życie jej umysłowe rozwijało się zawsze powolniej od zachodniego; ziemi dalekiej, uboższej, od morza odległej dotykały wszelkie jego prądy słabiej i później: i chrześcijaństwo zawitało oficjalnie o całe stulecie wcześniej do Czech, niż do Polski; i scholastykizm zakwitł w Krakowie, gdy już odkwitł na Zachodzie; renesans i reformacja spóźniały się o dziesiątki lat i traciły na doniosłości i sile. Na początku XVII wieku dorównywała Polska sąsiadom; zamiast jednak i nadal im kroku dotrzymywać, zaczęła się powoli cofać, gdy tamci coraz raźniej naprzód pośpieszali. Kraj, który zasadę wolności sumienia w XVI wieku był ogłosił, który wrogie wyznania do zgody przyprowadził, wypowiadał teraz gościnę własnej braci różnowierczej; kraj, z którego system Koperników wyszedł, trzymał się we własnych szkołach Ptolemeusza i Arystotelesa, nawracał, jednym słowem, tem bardziej do najgrubszej średniowieczyzny, skoro nawet z literatury żywioły świeckie się ulatniały i świeckie jej cechy, od dwu wieków panujące, powoli znowu zacierać się zaczynały.

Jakie przerażające postępy nietolerancya pod wpływem duchowieństwa czyniła, dowodzi fakt, że na „Poczet Herbów“ Potockiego, ocenzurowany przecież sumiennie przez duchownego, rzucił się w 22 lat później inny duchowny, Śrzeniawita Albrecht Stawski, na „heretycki kalwina polskiego wierszopisa instrument“ i najgrubszem szkalowaniem na kalwinów (śmierdy trupie, wasze modły niebu przyjemne tak, „jak głosi brytanie“ i t. p.) wycieczki katolika Potockiego przeciw niegodnym duchownym wetował. Przedtem

rozegrała się jeszcze drastyczniejsza sprawa. Z książki francuskiej wpisał był protestant, Zygmunt Unrug, do notatnika własnego cytata: *la vérité salutaire, n'est-elle donc descendue du ciel que pour être aux habitants de notre globe une occasion perpetuelle d'erreur, de guerre, de haine et de division?* o to wezwano go przed trybunał piotrkowski i skazano na śmierć i konfiskatę dóbr (część ich przypadała denuncyantowi) roku 1715; i wyrok ostał się prawomocnym, chociaż go stolica apostolska skasowała, Sorbona uroczyście, jako zgwałcenie wszelkich ludzkich i boskich praw, potępiła, a duchowieństwo, jako mieszania się trybunału świeckiego w rzeczy duchowne, nie aprobowало. Jeszcze głośniejszem oburzeniem wybuchła Europa na krwawą tragedję toruńską roku 1724, i straciła odtąd Polska na długo sympatyę uczciwych ludzi.

Nie darmo powtarzali duchowni od lat kilkudziesięciu piosenkę, że Bóg karze Polskę tylko za to, że ona cierpi w swem łonie protestantów, że o zgodzie mowy być nie może, skoro rozdwojenie w wierze panuje; wypowiadali to otwarcie jeszcze w XVII wieku np. ks. Wadowski w „Danielu proroku“ i t. d. Tak skutecznie wlewali oni jad nietolerancyi, że odstrychnęła się nakoniec szlachta polska od własnej braci dysydenckiej, wypowiedziała im prawa, nie dozwoliła zasiadania w izbie i urzędach; włoskie i hiszpańskie stosunki przeniesiono na północ, w państwo bezbronne, między różnawiercami rozsiadłe; jak z tego w drugiej połowie wieku skorzystało, wspominać nie trzeba; nietolerancya, całkiem niepolski wymysł, sztucznie Polsce zaszczerpiona, służyła za pretekst celom, z wiarą nie wspólnego nie mającym.

Protestanci wycofali się z życia i literatury; skarżyli się w pismach zagranicznych lub domowych wierszach utajonych, np. w „Lamencie albo narzekaniu wiernych pańskich z okazji funduszu zboru kiejdańskiego 1726 roku“ pozbywają się chętnie urzędów i poselstw, jako rzeczy marnych, ale utyskują nad zabieraniem szkół i kościołów, prześladowaniem samej wiary, ciągłemi od niej odstępstwami nawet własnych duchownych, czyhaniem ich na fundusze zborowe. Rzeczy ich pióra pojawiały się chyba przypadkowo po latach, np. przetłumaczył Stanisław Cedrowski w Manheimie na polskie roku 1728 sławną alegoryę żywotu chrześcijańskiego anglika Bunyana „Drogę pielgrzymującego chrześcijanina do wieczności“, ale „dopiero“ roku 1764 wydał ją kaznodzieja królewiecki, Behr i t. p. Za to prasy polskie, zakonne (częstochowskie, berdy-

czowskie, jezuickie i pijarskie) i bardzo nieliczne świeckie (krakowskie) były niestrudzone w coraz nowym odbijaniu coraz potworniejszych ascetyków, których fala, wzrastająca od końca XVII wieku, teraz całkiem niwy piśmienne zatopiła. Tylko takie dzieła doczekały się teraz licznych wydań, np. Franciszka z Asyżu; Franciszka Salezego („Droga do życia pobożnego“, siedem wydań); Mikołaja Fontaine, „Historia starego i nowego testamentu z wykładem z ojców świętych“ i t. d., przez kanclerza koronnego, Andrzeja Chr. Załuskiego „na wygnaniu w Królewcu“ (z innymi ascetykami) przetłumaczona (r. 1708, dziesięć wydań tego foliantu), ale małe to w porównaniu do olbrzyma, Sasa Ludolfa (z XIV wieku!) o życiu Chrystusowem, odbitego (po łacinie) w Poznaniu roku 1751 w szacie stosunkowo bardzo wytwornej; druki takie starczyły wydawcy za pielgrzymkę do Ziemi świętej lub grobów apostołskich; treści ich z pod ciemnej gwiazdy odpowiadał najczęściej szary bibulasty papier, czcionki najpodlej zużyte i straszne błędy drukarskie: typografie polskie, w XVI wieku tak świetne, że rozkosz i dziś patrzeć na druki Łazarzowe czy Wirzbięcine, upadły tak nisko, jak i literatura sama.

Szkoły nie postępowały również; protestanckie ustały, katolickie trzymały się zacieśnionego programu szkół jezuickich, wykluczającego greczyznę, wpajającego pobożność zewnętrzną i kult Maryjny; celem była nie nauka, lecz zostać *sodalis Marianus*, pomazać usta łaciną, wyrobić swadę oratorską, której nabycia ułatwiały rozmaite podręczniki i zbiory. Współzawodnictwo między szkołami dawno ustało; jeśli akademia z Jezuitami, Jezuici z pijarami walczyli, chodziło tylko o warowanie przywileju; zresztą akademia krakowska, zazdroszcząc Jezuitom św. Stanisława Kostki (o którego już w XVII wieku szlachta z Jezuitami spór wiodła: kasztelan Grodziecki dowodził w piśmie bardzo czytaniem, że Kostka był szlachcicem, nie Jezuitą), wszystkie szczupłe środki wysilała na beatyfikację Jana Kantego, którego pisma, jako teologa, do Rzymu przysyłać musiała: w Rzymie odkryto z przerażeniem, że Kanty bronił, w duchu szkoły krakowskiej i Jakóba z Paradyżu, wyższości soboru nad papieżem; akademia pomogła sobie, składając heretyckie pisma na karb innego Jana!

Wychodziła ze szkół młodzież szlachecka, aby aplikować się przy trybunałach u jurysty albo do dworu wstąpić i, trzymając się klamki pańskiej, wysługując się, po zajazdach i sejmikach, dojść

intratnej posesyi, ożenku, lokacyi kapitałów i na własną rękę dalej gospodarować, polować, bankietować. Służby publicznej w wojsku jakby nie było, chyba od parady, po znakach pancernych i husarskich; braci służyło się w trybunale i na sejmie. Ze szkół wynoszono wiarę niezachwianą; wierzono w dyabła, sprawiedliwszego, niż sędziowie trybunalscy; palono teraz czarownice, gdy jeszcze na początku XVII wieku skarżono się na polską pod tym względem oziębłość; teraz duchowieństwo samo napróżno zapędy bezmyślne judykatury miejskiej i pańskiej hamowało; uznawano na każdym kroku palec Opatrzności, karzącej w tej chwili za niewstąpienie do kościoła na mszę, za pominięcie żebraka, za złamanie postu; modlono się gorliwie, dyscyplinowano, suszono; ceniono książkę nabożną, towarzystwo duchowne, szczególnie kwestarza rubasznego, Bernacha, wywijającego ogórkami u pasa, nieprzebranego w facecye, niewymyślne, stare, jak na gruboskórych przystawało.

Wierzono z równą ścisłością w powagę rodzicielską, wszechmoc pańską nad chamem, zacność klejnotu, żrenicę wolności (*liberum veto* i elekcyą *viritem*, chociaż pierwsze tylko dla pożytku i wygody obcych dworów istniało, a drugie było fikcyą, skoro przeciw jednomyślnej woli całego narodu szlacheckiego drugiego Sasa obrać kazano), w niezwyciężoność Polaka w polu, w równość szlachecką i w podobne upiory. W istocie szlachty za stan już nie uważano: trzy stany Rzeczypospolitej, wyliczała ks. Radziwiłłowa, król, senat i hetman; hetman był teraz owym ołtarzem, erygowanym przeciw królowi — podczas gdy prymas Karnkowski (za Orzechowskim) jeszcze roku 1585 takim się uważał, prawiąc wobec Batorego: dano arcybiskupowi łaskę... aby to było niejakię *contra sto* przeciw panu, gdyby chciał *excedere metas*. Teraz дума magnacka granic nie znała, przybierała (u Jabłonowskich) chorobliwe rozmiary, u wojewodów „z Bożej łaski“, udzielających audyencyi na krześle tronowem, a strzelających baby kukające po drzewach. Czaasy były złote, urodzajne; gdy zawieruchy szwedzkie nakoniec minęły, gdy zakusy saskie o zmianę rządu szablami konfederacyi tarnogrodzkiej spółkano, oniemiały sumienia, a rozpasala się Polska; z wojska uczyniono straż przyboczną hetmańską w mundurach fantastyicznych, która miała więcej szarżów, niż gemajnych, zawodziła nawet przeciw hajdamakom: gdy Radziwiłł (Udalyryk) w kilkuset ludzi trzynastu hajdamaków do ucieczki zmusił, uwiecznił on ten

czyn wystawieniem stołu Radziwiłłowego, nowy Witold, i drukowaną wydał relację wiekopomnego dzieła; z sejmu uczyniono szopkę, skoro żaden nie dochodził; z trybunału — sejm, skoro i jego zerwano.

Upadek miast był szalony; zasuwał się coraz głębiej bruk jeszcze średniowieczny, waliły ostatnie mury i baszty, ubożały cechy; tem więcej wznosiło się klasztorów i kościołów; o jednym typie, a rozmaitych wymiarach, tem ciężiej gniotły te budowle niezliczone ziemię polską, tem świetniej odprawiano koronacje obrazów cudownych. Na wsi było nie lepiej: ludność zmniejszała się i nędzniała, obszar ziemi uprawnej się zwężał, chłop się rozpijał coraz podlejszą żyburą. Przemysł, handel upadał; obcy chyba zbogacali się, nawet Żydzi odczuwali nędzę ogólną, ubożeli, schodzili z dawnej kultury na barbarzyństwo średniowieczne.

Czas trawiono beczynn timer; potrzeba książki, wszczepiona w przeszłych wiekach, znowu wyginęła; czytano chyba na kalendarzu, a w niedzielę na książce do modlenia, czasem i na wspak obróconej; przeredzały się strasznie dawne zasoby biblioteczne i księgarskie; jeżeli już W. Potocki skarżył się na rzadkość książki staropolskiej, teraz ona całkiem z obiegu wyszła. Przedruki dawnych dzieł ustały; Kochanowskiego przez stokilkanaście lat nie wznowiono ani razu, tak samo Szymonowica i t. d., zato Opeciów „Żywot Chrystusów“, po roku 1548 wznowiony dopiero w roku 1688, kilkanaście razy przedrukowano. Nietylko książki wychodziły z obiegu — co nie wsiąkało w biblioteki klasztorne albo pańskie, ginęło, a jak nieraz biblioteka klasztorna wyglądała, opowiedział Krasicki w „Monachomachii — z samych książek wycofywał się żywioł świecki, idee i autorowie; pisali duchowni, a jeśli się świecki autor przyplątał, to pisywał ich ładem.

Duchowni fabrykowali dla próżności świeckiej panegiryki, z tem szumniejszymi tytułami, im marniejsze indywiduum chwalałono; już w XVII wieku skarżono się albo szydzono z łgarstw pośmiertnych, teraz mania ta potworniej urosła. Obok powodzi panegirycznej wylewali oni prozę i wiersze ascetyczne, tłumaczone i oryginalne; tłumaczone, nieraz z francuskiego, zastępującego teraz dawne włoskie i łacińskie, były lepsze, mądrzejsze i poważniejsze; oryginalne kończyły się wreszcie Baką, t. j. grzechem przeciw stylowi i smakowi tak przerażającym, że później zaprzeczono autentyczności, że przypisano autorstwo wileńskim „farmazonom“. Ale jak kanc-

lerz Małachowski „Historyi o zmartwychwstaniu Pańskim“ (Wilkowieckiego) nie wymyślił, tylko kursującą od półtorasta lat na nowo roku 1757 w obieg wypuścił, Paulinom częstochowskim na despekt, tak samo i farmazoni wileńscy nie skoncypowali, lecz przedrukowali edycję (istniejącą w jednym egzemplarzu do dzisiejszego dnia) owych „Uwag śmierci niechybnej wszystkim pospolitej wierszem wyrażonych“ 1766 r. ze Śmiercią matulą, co jak cebula łyżyciska, gdy przyciska i t. d. Wiersze Baki bynajmniej nie są odosobnione; przed nim popisывał się Paulin, ks. Mikołaj Juniewicz, „krótkim polskiego rytmu nowo inwentowanym stylem“ w „Refleksyach duchownych“ roku 1753 i jego przełożeni również to dzieło niszczyli, chociaż rubaszna jego jowialność nas dziś o wiele więcej zająć potrafi, niż przyzwoitsze, lecz arcynudne wylewy spółczesnej muzy ascetycznej, tem bardziej, że ten rywal Baki biadał nad ojczyzną, że „Smok Orła dusił, Kwilić przymusił, Jak kota w miechu, Ogon i grzywę Wyrwał z Pogoni, Że chude żrebię Nie bryka, tylko, Leżąc na roli, Swe ziarna grzebie“, i trwożył się, aby „Leska korona głogiem ostrzejszej kary skłótą nie była“. Znakomite są jego wycieczki przeciw wojsku polskiemu; przeciw pnącym się do szlachectw: Otóż, hultaju, Pijaku baju, Dobrze się stało, Nie byłoż lepiej, W karczmie brać wódkę, Od Szmojły brata, Gdzie choć pohuczy Kto i poiuczy (po bójce wszyscy się znowu pogodzą). A wycieczki przeciw damom, oszukującym mężów (Ona mu puszcza Jak mimo głuszcza Tuman z cieniami), jak się one wódeczką raczą (Dubelanyżu Nuż cynamonki I Kardymonki Smyk imbierówki, potem: Już też z ambony Huk, fury, bury), a stroją! nawet „Pani Jadwiga Szóstaka nie ma“, a przecież „Choć obręcz z beczki Miasto rogówki“ przywdzieje. A Juniewicz i Baka mieli antenatów w rzeźmiśle.

Takie drastyczne rzeczy bywały jednak rzadsze; przeważały kwilenia pobożne, wierszowanie legend (o Jolencie, o św. Jadwidze i t. d.); ks. Franciszek Rzeżawski, rywalizując z Kochowskim, „Wieżę Dawidową, w tysiąc tarcz uzbrojoną“ wystawił, t. j. tysiąc tytułów Matki Boskiej czworowierszami wyraził i dodał „Niewymuszoną jeszcze albo niestęsknioną dla Maryi zabawę centurą polską z tych trzech słów *Sancta Virgo Maria* sto razy przekładaną i wierszem poetyckim opisaną“ (r. 1701). Major kawalerii, Dobiński, porzuciwszy „rajtaryą“, napisał „Świt wierszów na święta Maryi“ (1725), sławiąc każde z osobna, np. Dziś Anielskiej Maryi jest

w niebie to święto — Tu na ziemi szlacheckie—na które się szlachta zjeżdża jak na elekcyę, u Franciszkanów poparcie tej elekcyi znachodząc — ależ Marya nie elekcyjna, tylko jedyna dziedziczna królowa Polski. Jeszcze lepsze wiersze Łoskiego, który porządku polskie na niebie obserwował (aniołowie, to szlachta rodzona, ludzie chłopi, którzy na szlachectwo zarabiają) i do Dawida przystosował, któremu się powodziło dobrze, póki „bardziej go wabiły *muszkiety*, niż *muszki* (damskie), Obserwując pilniej ich (t. j. muszkietów) niż Betsaby *łóże*“, ale Łoski był choć dowcipny, inni stokróć nudniejsi. Taki ks. Wcisłowski „króciusieńko wierszem polskim zebrał Teologię szkolną, tym trybem, jak ją w szkołach dają“ (1742): w dedykacyi do Potockiej o jej Pilawie twierdził, że z trzeciego jej krzyża „Chrystus *se* kawałek ułomał“, a o herbie Osła głowa jej męża (Kurdwanowskiego):

Pamiętajże, coć mówię, starosto Maurycy,
Że ta głowa twój honor wysoki zarczy.
Jużeś se, widzę, serca ludzkie zawojował i t. d.

Czasem jednak i w odstrasających tych wierszem, ortografią i wyrazami „poezyach“ zaplątał się materyał ciekawy, obyczajowy albo historyczny; było to już w XVII wieku, tak trwało i dalej. Któżby np. oczekiwał, że w „Pieśniach nabożnych“ części III („Świat górny“ ks. Suszyckiego, roku 1700) znajdzie najciekawszą apoteozę i biografię Sobieskiego, na jaką się poezya polska kiedykolwiek zdobyła, pełną rysów szczegółowych, od Głuchowa i Cudnowa począwszy; wizerunek bohatera np. tak opisał:

oko siwawe, jagody jasne,
Brew gęsta, nosa słup miernie sponisty,
Wąs smukły, rusy, nic nie zawiesisty,
Wargi czerwone i dobrze spojone,
Z brodą i głową skronie podgolone.
Ale cały okrąg lica zupełnego
Miarę przestąpił pozoru ludzkiego,
Bo jak on niemiął w żywej płci przykładu,
Tak niema w starych kopersztynchach śladu,
Z Pompejem trochę podobni do siebie...
Są i linije niegdzie Scypijona i t. d.,

a opowiadał o tem przy „pierwszym niebie“ — przy dalszych snuł wszystkie znane baśni średniowieczne, np. że na słońcu plam nie

ma, chyba w oku spostrzegacza, gdyż Bóg nie stworzyłby coś tak niedoskonałego; że nie mogą być inne zamieszkałe światy, gdyż i dla nich musiałaby się powtórzyć ofiara Krzyżowa (argument scholastyczny, w Krakowie w XV wieku przeciw „antypodom“ skierowany), ale przynajmniej opisał mikroskop i co pod nim się widzi. Jeszcze ciekawsza taka „Pamiętka czułości pasterskiej“ i t. d. ks. Piotra Nawrotowskiego z roku 1746 (drukowana r. 1751), gdzie po panegiryku na biskupa (Klejnot wielki, Honor wszelki, Z Ogończyka, Tak wynika i t. d. *à la Baka*) dał sielanekę kościelną, opisując budowę kościoła hyznieńskiego

Sami Rusini w błędzie wtenczas żyli;
Że z nich Bogu powinnej nie było ofiary,
Wszystkich ztąd do Bachorza zabrano dla wiary,
Cerkiew ich rozebrawszy wziąć z sobą kazano,
Zbieranych katolików w Hyznem osadzano

i do tatarskich zagonów, opisując je jak najszczegółowiej, potem czasy Karola XII, skargi na Szwedów, Sasów i t. d. „nad wszystkich gorsi byli nasi“, bo obcy kazali się od dymu opłacać, nasi zaś, co chcieli, to brali; wreszcie przebudowa zrujnowanego kościoła— ciekawy przyczynek nawet do historii budownictwa i rzemiosł.

Obok szczegółów historycznych i obyczajowych (nawet w „Historii rewolucyi niebieskich“ ks. Dobrowiejskiego, roku 1753, znajdziesz ostre wycieczki przeciw społecznym, np. co on, *ex re* sądu piłatowego, o polskich sądach i sprawiedliwości prawił) wzrusza w innych proste a szczere wynurzenie prawdziwej skrucy głębokiej, np. w ówczesnych (1707 r. poraz pierwszy w Snopku Mirry drukowanych) „Gorzkich Żalach (Gorzkie żale przybywajcie, Serca nasze przenikajcie) czyli Rozmyślaniu Męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, coraz nowo drukowanym, zastępujących dawne przedstawienia pasyjne i hymny ich łacińskie, rzewnych i poważnych. Naiwnością odznaczają się ówczesne „kantyczki“, zbiórki głównie pastorałek i kolęd, sięgające czasów o wiele dawniejszych, ale teraz zebranych i coraz drukowanych na Jasnej Górze Częstochowskiej albo we Lwowie u Szlichtyna i t. d., pieśni nieraz wielkiego wdzięku i głębokiego uczucia, refleksy dalekiego średniowiecza.

Autorów ich, a nieraz i czas oznaczyć niepodobna; np. długa bardzo pieśń „Jest zdrada w świecie, jak w polnym kwiecie“ i t. d., całkiem Bakę przypominającą (np. śmierć, „a w tym szarłaty,

i kmiecie łaty, jako mól psuje... obraca w błoto, perły i złoto, robaki daje, zacnym hetmanom, chłopom i panom, serce się kraje, gdy szmatem płachty, odziewa szlachty i t. d.), znana w druku z r. 1825, istnieje w bardzo starannym przekładzie ruskim już w rękopisie z początku XVIII wieku. Warto bowiem i to zaznaczyć, że najdłużej polski wiersz religijny, choćby kantyczkowy — prócz pieśni miłośnej — na Ukrainie, w Kijowie i Moskwie popłacał, gdy już innych rzeczy polskich prawie nie tłumaczono, gdy wyższe sfery rosyjskie wprost do niemieckiej i francuskiej kultury sięgały, a tylko u niższych tradycja, brak wybredności i smaku popłacały. Polskie kantyczki i ruskie spiewanniki czy piesienniki to ostatnia wymiana literatury ruskopolskiej, zainicjowanej przed dwoma wiekami, we Lwowie, Ostrogu i Wilnie, przez Rymszę i innych.

Wracamy do nabożnej „poezyi“, w której nieraz wręcz niedorzeczności się zjawiały.

„Kawalerie i infanterye niebieskie“ Łoskiego wzbudzały emulację, i karmelita Hilaryon (Fałęcki) wydał „Woysko serdecznych noworekrutowanych affektów ciągnieniem idące trzema kolumnami (wiary i t. d.)“, 1740, gdzie np. „przednia straż wojska Generał major, niepojęta Miłość Boska, prowadzi ogniste regimenty na zbawienną zazięzionych affektów dumnopróżnych inflamacją“ i t. d. (dzieło o 500 stronicach, dwa lub więcej razy wydane). Duchownym zazdrościli świeccy, Łoski i inni, a nawet i panie, np. „Drogę prawdy do wieczności“ i t. d. r. 1754 pokazała Duninowa, wyliczając odstępców od tej drogi, np. panów, niepłacących długów, i „poddanych z wielkim uciążających zdzierstwem“ (przeto już sobie łom w piekle palicie); damy strojnisie, ale i autorka nie lepsza, „ani też do was z cenzury przemawia“ i t. d. Inny autor, p. Adam Kępski, sekretarz wielkiej łaski koronnej, napisał „Myśli o Bogu i człowieku“, obszerną alegoryę i część pierwszą wydał (r. 1756), co Konarski sam wychwalał i polecał, jakby Dantego i Milтона nie było, przeciw deistom i ateuszom, w wielkich smutkach (po stracie dzieci) i chorobach: Hiob nowożytny, bez przewinienia z wszelkiego szczęścia obrany, zwątpiwszy o Sprawiedliwości i Opatrzności, dostępuje wizyi ducha niebiańskiego, który w następnych częściach zagadki te miał wyjaśnić — Kępski wznosi się wysoko nad duchownych wierszokletów, powagą myśli i języka, nawet dobozem rymów, starał się bowiem, „aby nie były blisko, podobne mające zakończe-

nie, kadencye“; mówiąc o złotym wieku kreślił życie się człowieka z przyrodą, np. tak:

Płastwo, gdy późno siadło spać, domowe,
Zbyt świergocące przy domu polowe,
Wiatry świszczące, dym, gdy się rozwłóczył,
Miesiąc, gdy zadął, gdy kołem otoczył,
Słońca krąg blade i nad czas wybiegał,
W gospodarstwie ich o słońce przestrzegał.

Żeby ocenić zasługę Kępskiego, należy porównać np. „Apollina do żałośnych trenów przyuczonego“ Jezuity Manieckiego, który za Stanisławem Lubomirskim Mękę Pańską opiewał, np. biczowanie:

Bój się, lewku, gdy biją pieska, niesie mowa.
Lecz tu, kędy nad Panem zajadłość surowa
Dokazuje, lwa z Judy pokolenia macie
Zbitego — jaki taki bójże się psuwanie!

Prawda, i świeccy bywali nie lepsi, taki Cerenowicz np., burgrabia warszawski, w „Grocie grzesznika pokutującego“ (r. 1755) przerobił książkę średniowieczną roku 1479, na wiersz polski, „duszę symplaczkę“, zwodzoną przez Beliala, przez Mojżesza i Tomasza z Akwinu pouczając o pokucie,

Gdyż bez pokuty w świata janczarychę,
Iść nie bezpiecznie, złamie dusza sprychę!

rozwodząc to na czterystu stronicach, a nie jedyna to ani najkrótsza poezya ascetyczna, którą śniegiem na głowie okryty wysyłał „ze swej gazdy tarasu“ na dwory wielkopańskie (np. Czartoryskich), choć nie wedle mody skrojoną.

Szczyt tej „poezyi“, godna garnuszka pokrywka, to „Historya starego i nowego testamentu z tłumaczeniem do zbudowania wydana“ (Nancy, r. 1761), której egzemplarz autor, król Stanisław Leszczyński, i *Bibliothecae Zaluscianae Varsaviensi Societatis Jesu* dedykował, foliant około 750 stronic, przerabiający wierszem to samo, co kanclerz Żałuski dawno lepiej prozą wytłumaczył. Najlepsze jeszcze wiersze dedykacyi do córki:

Wiedząc, że Boskie przenajświętsze sprawy
Są twoich myśli najmiłsze zabawy,

Z Pisma świętego podane nam prawa
Zachowywa je twoja wiara żwawa;
Że ci zaś miło, co się Polski tyka,
Ojczystego tu zażywam języka
Na wyraźne słów najświętszych zebranie,
W czym twoje znajdziesz ukontentowanie...
Przebacz, jeżeli tu się nie mianuję,
Dość żem ten, co cię kocha i szanuje.

Te 25000 wierszów nie były zresztą jedynym darem poetyckim, ja-
ki królowa francuska od ojca odbierała, ale były największem —
biedny król sfrancuział jednak bardzo, utracił poczucie chyba języ-
kowe, gdy bez rozmysłu szafował imiesłowami np. tak:

To w Izraelu gdy się tak odprawia,
Król Ezechiasz kiedy już nie żywszy,
Jehu go życia ręką swą pozbywszy,
Atalija się pychą uwodząca
I górno zawsze chcąc być rządząca,
Żeby bezpiecznie prędko panowała,
Dzieci królewskie wytracić kazała,

albo tak:

Piłat, wiedziawszy, że Chrystus będący
Galilejczykiem, zbyć się go pragnący,
Do Heroda go przeto odesławszy,
Tam, gdzie panował, królem w nim zostawszy i t. d.

— tak więc z Chrystusem i język polski umęczono.

W prozie nie było lepiej. Zamiast legend i medytacji stawa-
ły kazania, ciekawe nieraz anegdotami, językiem, jeżeli drukowane;
jeżeli rękopiśmienne, wycieczkami nawet przeciw szlachcie, na któ-
rą niższe duchowieństwo, szczególnie podgórskie, z chłopów wy-
chodzące, napadało; skutkowało to równie, jak kazania trybunal-
skie, w których Jezuici, np. ów Fr. Maniecki, panom sędziom su-
mienia roztrząsali; jego „Wschód słońca sprawiedliwości bez za-
chodu i t. d.“ zbierał porównania nawet od Fryny, od rzeki, której
powierzchnią wstrząśnie wrzucony kamień, trzcina, listek, tak i wy
wstrząsacie się, gdy wam wpadnie kamień (drogi), trzcina (ze złotą
gałką), listek (polecający), cóż dopiero jeśli wierzchowiec lub po-
szóstna kareta! Dwa najbardziej typowe dzieła tej epoki nie nale-
żały jednak wcale do teologii.

Jedno, to „Korona“ księdza Jezuitę **Niesieckiego**, dzieło największej zasługi, i dziś jeszcze dla badaczy przeszłości niewyczerpana kopalnia szczegółów heraldycznych, genealogicznych, historycznych i literackich, obraz Polski szlacheckiej, jej rodów i koligacji najzupełniejszy, uzbierany z poprzedników, począwszy od Paprockiego i Okolskiego, z panegiryków, z akt, z tradycji, szczególnież zakonnej. W porządku alfabetycznym ułożone herby i familie i wymienieni znani autorowi członkowie ich z urzędami i t. p. w czterech sporych tomach. Niestety i na tym pomniku znać łapę epoki saskiej; najobszerniej zastanawia się Jezuita nad światobliwością i cnotami osób, zwłaszcza, jeśli do jego zakonu należały lub zakon promowały. Nabrała przez to złota księga szlachty polskiej niestusznie ascetycznego charakteru, i zacny a światły autor nie powstydział się powtarzać najgłupszych bajek, np. owej korespondencji zaświatowej, z czyśca, przy Niemiryczu i t. p.. To plamy tego słońca saskiego, przyświecającego na herbownem niebie polskiem do dziś, nie zastąpionego żadnem innem dziełem; spółcześni rozkoszowali się niem; srożyli się chyba ci, których Niesiecki pomiął, i protesty do grodów wnosili. A pomijał on wielu i umyślnie, np. ze szlachty pruskiej, nie chcąc o dysydentach, toż o litewskich i polskich, wiele rozprawiać.

Jeszcze bardziej typowe dzieło równie obszerne, „Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencyi pełna“, ks. kanonika **Benedykta Chmielowskiego**, pierwsza niby encyklopedia polska w czterech wielkich częściach (r. 1745, 1755 powtórzona częściowo), o religii i sektach, o ładach i krajach, o ziemiopłodach i kunsztach, o cudach i potworach, o językach i zakonach, o relikwiach, miejscach cudownych i o opętanych, o tajemnicach najrozmaitszych i t. d., zbiór wszelkich bajek i przesądów, anegdot i *curiositates*, niewyczerpana kopalnia wszelkich aluzyi, emblematów, sciencyi, Niestety przy końcu epoki erygowana i niebawem ośmieszona. I w niej naturalnie przeważał element ascetyczny, stosownie do potrzeb czasu.

Najpopularniejszą prozę tych czasów należy szukać gdzieindziej. Kilkanaście wydań dziełka Jezuitę Bystrzonowskiego („Polak sensat w liście“ i t. d.) dowodzą, że nie wystarczała już dawna „Spizarnia aktów rozmaitych“, skromniejsza rozmiarami i stylem—jeżeli wiek XVII zbierał głównie po Sylwach *rerum* mowy polityczne i panegiryczne, to teraz dostawały się one coraz częściej do druku,

wznawiano i rozszerzano dawne zbiorowe ich edycje („Swada Danejkowicza”—Ostrowskiego) i kompilowano nowe; do mów przypłytywano i traktaty alegoryczne („Sen na jawie“ Solikowskiego i „Reginę Palacji“ Reja). Obok tych rozsadników złego smaku i przesądów politycznych kwitnęły kalendarze, głównie Duńczewskiego w Zamościu (zasłużonego i jako heraldyk, zbieraniem wiadomości o rodach, ukrzywdzonych czy pominiętych przez Okolskiego i Niesieckiego).

Kalendarze polskie i ruskie Duńczewskiego trzymały się dawnych wzorów, prognostykowały zawzięcie nie tylko o pogodzie i zbiorach, ale i o fatach prowincyi polskich i krajów ościennych i wywoływały nieraz reklamacye polityczne; palono je w Kijowie, feldmarszałek Münnich w Głuchowie. Część ich poetycka mniej była uprawiana — nie myślał już Duńczewski o zbieraniu swoich rytmów, jak to jeszcze poprzednik jego, Niewieski, był czynił; za to w przydatkach mieścił najrozmaitsze rzeczy, skracaną (Łubieńskiego) historię i geografję Polski, wiadomości („ciekawości“) o jej hierarchii, duchownej i świeckiej, o jej bogactwach przyrody, ryb, ziołach, źródłach i minerałach, o jej monecie i t. d. Wymagała tego konkurencya, bo Jezuici, Paszkowski, Paprocki i Wyrwicz, szczególnie zaś Pijar Wiśniewski, „Kalendarzami i Kalendarzykami politycznymi“, „Kolendą Warszawską“ i t. d. od roku 1737 astrologię rugowali stanowczo i zastępowali treściwemi i pożytecznemi informacyami historycznemi i t. d.; reforma nie przyjęła się jednak ani odrazu, ani stanowczo; szerzyły się jednak wiadomości i rozbudzała myśl. Oprócz tego uprawiano i facecye, wydawano je w Prusiech, w Toruniu w obszernych zbiorach, kompilujących dawne „Facecye czy Furfanterye“ i „Co nowego“; w kraju wychodziły krótsze „Sakwy, czworaką materyą wesołego śmiechu, z różnych krain wyzebraną, napchane“ i t. p. z dykteryami o kozach w Burgundyej na cztery nogi kowanych i t. p., z melancholią pobożną nad pijaństwem, rymowaną *à la Baka*:

Pędzą fata,
Naglą parki
A ty stary

Na łeb lata,
Swe zegarki,
Swe zegary

Na głowę godziny,
Naglą libytyny,
Nakręcasz do gęby i t. d.,

z Gadkami (zagadkami) i t. d., jakby dalekie echo Piekarskiego. Główny zasób anegdot kursował w tradycyi; wyjątkowo spisywano

je i później już, np. Franciszkan Karol Żera na Podlasiu, którego zbiór z celi drohickiej w kilku odpisach po Polsce się rozszedł; naj-słynniejsi facecyoniści, Pijar Tadeusz w pierwszej, Karol Radziwiłł w drugiej połowie wieku, ambicyi autorskich nie mieli.

Właściwi przedstawiciele pracy umysłowej wieku, nie zrywającej z lepszymi tradycjami, zaczepiającej o zagranicę, sięgali, jak Chrościński, Załuski jeszcze czasów dawniejszych, a wybijały się nowe jednostki. Najwięcej między magnatami: wykwintniejsze wychowanie, nauka języków (francuskiego), podróże i ocieranie się o koła wytworniejsze nie dawały im grzęznąć w bezmyślnym sarmatyzmie, kazały im cenić książkę, zbierać biblioteki, choćby francuskie, brać udział w literaturze, choćby pod pseudonimem lub anonimem, pobudzać innych do pracy. Wisznowieccy, Radziwiłłowie, Jabłonowscy, Załuscy, Wielopolscy, Sapiehowie zajmują miejsce Opalińskich i Lubomirskich, a liczbą pań piszących pobija epoka saska nie tylko poprzednie, ale nawet późniejsze okresy; kobieta polska, której mężczyzna saski wiedzą już nie przewyższał, dobija się równouprawnienia, choćby na Parnasie, i Drużbacka, Niemiryczowa, Zawiszówny, Radziwiłłowa, Załuska paragonują śmiało, albo nawet prześcigają Chrościńskiego i Jabłonowskich.

Na czele poetów stawiano Chrościńskiego, który za Potockim i Lubomirskim chyba tylko podkowy zbierał; Załuski wykrzykiwał:

Nie dbam, że z swym parnase w Turczach, Apollinie,
Osiadłeś; u nas laury rodzą się w Chroście!

Dworak Sobieskich przebolewał upadek domu, próżno w „Lamencie Ojczyzny“ do wyboru Jakóba Sobieskiego ziomeków zagrzewawszy; przejścia bolesne wyśpiewał w parafrazie „Hioba cierpiącego, z dóbr i fortun wyzute go, na dzieciach i zdrowiu dotkniętego i t. d.“ (napisanego „dla umacniania się w cierpliwości“ roku 1700, 1705 wydanego), gdzie najciekawsze „Do uciśnionej ojczyzny apostrofe“, porównująca ją do Joba i dlatego, gdy podobne czasy nadchodziły, roku 1794 w Warszawie przedrukowana. Po trenach na śmierć żony nastąpił roku 1711 „Krótki zbiór duchownych zabaw ojczystym wierszem“, poświęcony Wisznowieckim i zawierający w przydadku Pięć psalmów pokutnych hetmana Michała Wisznowieckiego, pisanych w niewoli Głuchowskiej, ciekawych dla autora i języka, zachowującego jeszcze nieco dawnej rubasznnej jędrności, np.

Jeżli bogactwa z czasem skazitelne
Przedrzeć się bronią przez ucho igielne
Dla dużych garbów łakomstwa i zbytku,
Dopusć ubóstwo, a dość mam pożytku i t. d.,

kończy:

Rządź, kieruj, prowadź, ciągni według siebie,
Byleś się tylko dał pomieścić w niebie.

Nie jedyne to próbki literackie Wiszniowieckich; pisywali oni i prozą, np. awantury, ucieczkę w przebraniu i t. d. Klementyny Sobieskiej, żony Stuarta, wytłumaczył kasztelan krakowski, Janusz Wiszniowiecki; niestety i tu opisał najobszerniej tylko świetny pogrzeb swej bohaterki; zresztą pisywał wiersze, np. bez r, którego sam dobrze nie wymawiał — takie zabawki średniowieczne puszczał w kurs mistrz krakowski, Jarmundowicz, w akrostychach i t. d.; za nim, za Sikorskim i Wadowskim pan kasztelan się popisywał, wysuwając, jako autora, stale kanonika kijowskiego, Olszewskiego lub Bogdańskiego; hetman tłumaczył ascetyka francuskie (Berruyer i t. d.), rywalizując z mnichami w najlepsze!

Żyłka epiczna tryskała jeszcze silnie, ale nie zwracano się ku dziejom ojczystym, w romansach poważne pióro nie gustowało, rzucano się do ponownego wierszowania historyi biblijnych. Tu właśnie celował Chrościński. Przewierszowawszy kilka legend, Eustachego (którego potem Jabłonowski odnowił) i Aleksego, zabrał się do starego testamentu, do Józefa i Amana, i tak się zbliżył do Lubomirskiego, że Amana i Lubomirskiemu przypisywano, Józefa różnym. Wybór szczególnie Józefa był bardzo nieszczęśliwy — gdybyż on go przynajmniej chciał być trawestycować, miejscami robi ten „Józef, do Egiptu przedany i t. d.“ wrażenie, niby „Eneida“ Blumauera albo Chotomskiego, chociaż pobożny autor tylko naiwnością grzeszył. Najobszerniej wyłożył on, jak niegdyś Rej, epizod z Putyfarową, miejscami wcale dobrze, ale miejscami rym jego „rozniewa Boga i dyabła rozśmieszy“, jeżli zwodzicielka ufa „Józwie“: galantomem będziesz i t. d.; jeżli Józwa rzecz odkłada: masz ze mnie wkrótce, co chcesz, lecz nie teraz; gdy zemdłała, posyłają do apteki, „a gdy rozwiodą łyżką ścięte zęby, gwałtem jej leją alkiermes do gęby“; teraz on w jej oczach „bezcny służyna, hul-taj, szubieńca, gnojek, szuja lichy“ i cieszy się, że ani liścików do niego nie pisała, ani nikogo nie posyłała, więc się śmiało wszystkiego wyprze; zaraz go też odwodzą do kordygardy, gdzie podczaszy

uskarża się na swój urząd, całkiem jak na dworze pańskim: wyjdzie bęś, karzeł lub piecuch domowy i każe wina dać jakiej fryjerce, zaraz mu nalej w kusz choćby garncowy i t. d. „Aman“ takich drastycznych dodatków niema; inni całkiem się od nich wstrzymywali, np. Węglowski w „Starozakonnej Rut“ — lecz na cóż wtedy te wiersze?

Z mniejszem powodzeniem stawali obok Chrościńskiego wojewoda ruski, Jan Stanisław; braclawski, Jan Kajetan; stolnik litewski, Józef Aleksander, i wojewoda rawski, Stanisław — Jabłonowscy. Pierwszy, najpłodniejszy, w więzieniu kenigszteńskim poezję uprawiał, to Ezopa przewierszował w „Sto i oku bajek“, lecz chociaż z Lafontena równie korzystał, za Niemiryczem i tegoż wolnym wierszem daleko w tyle pozostał; potem Telemaka na wiersz polski wyłożył, co znowu lepiej Marya Załuska wykonała, lecz Jabłonowskiego Telemak dostał się do druku, Załuskiej się zawieruszył: za ciężkie te wiersze słusznieby się więzienie wojewodzie należało.

Tak zaznaczył się Kenigsztejn w literaturze polskiej, jak niegdyś Moskwa (nieraz, jeszcze za Gosiewskiego i Pawła Potockiego roku 1660), Głuchów i Królewiec, jak później Kaługa. Zresztą pisywał wojewoda ruski wiele rzeczy pobożnych, wierszem i prozą, poczynawszy od „Zabawy chrześcijańskiej“ (żywołu Chrystusowego) roku 1700. Braclawski wierszował historye biblijne i legendy i żonie dedykował i krewnym, ale między wszystkimi Jabłonowskimi był najmarniejszy wierszokleta: porównanie obu Józefów (ze starego i nowego zakonu) zaczął słusznie:

Chcącemu pisać twe, Józefie, cuda,
Pierwszy cud będzie, kiedy mi się uda;

nie udało się też, ani wtedy, gdy „starą prawdę całą gębą stawiał“, wierszując Estere, Judyt, Zuzannę, a później i Święte chrześcijańskie; chociaż znał i ceniał Lubomirskiego, Chrościńskiego i innych poetów, sam z poezją ciągle się mijał, myśląc prawdopodobnie, że wojewodzie wszystko zejdzie, więc kończył np. tak:

Więcej nie mam z tej księgi już na wiersz przewrócić,
Trzeba tedy do Panny Najświętszej ją zwrócić,

a gdy o Judycie pisał i wojnę wspominał króla asyryjskiego:

Zgoła nie wiem jego tam pretekstu,
Ile kiedy niemasz o tem z pisma tekstu...
Chyba by je wymyślać, lecz święta biblija
Nigdy się w wymyślone bajki nie uwija.

Zdolniejszym był Józef Aleksander, którego „Ostafi“ wstępem, wyliczającym wszystkich dotychczasowych poetów polskich, od 250 lat, i uwagami krytycznemi cenny; sama legenda (o Chróścińskiego oparta) napisana żywo, nie gardzi aluzjami do społecznych, np.

Książd ów był złoty, a kielich drewniany —
A dziś: książd z drewna, kielich pozłacany,
Nie do decymy, lecz do duszy pleban
(W kazaniu) Lukanow ani Nazonów wymykał
I pochwał z psalmów nie robił obłudnie,
Bankietów ze chrzcin i z tym się umykał.

Ostatni z nich przewierszował dyaryusz starej przewagi dzia-dowskiej, opisując Pamiętne Uprowadzenie wojska z cieśni buko-wińskiej roku 1685 (wydane r. 1745), z dumnymi o ziomkach swych słowami:

Trzymają się samymi wsparci upadkami,
Szczególnym od państw inszych zwyczajem i darem.
Czy szczęśny czy nieszczęśny los igrzyska stroi,
Nie wzruszeni jesteśmy. Pod takim ciężarem
Walić się świat powinien, Polska przecie stoi,—

i powtarzał to nieraz, schlebiając i dumie rodowej, zapewniając:

A ciebie, wielki Jabłonowski, za tę
Będzie świat wiecznie pomniał rejteratę;

rzecz sama nie najlepiej ułożona, ale żywo opowiedziana, uderza jedno porównanie misterne: po przemowie hetmana wyroili się męźni w pole za nim:

Nie inaczej więc wyrojone pszczoły
Brzmia koło ula, nim się ruszy matka;
Na rój pasiecznik pogląda wesoły,
Póki nie wyjdzie z barci do ostatka;
Aż skoro matka kąt zostawi goły,
Dopiero starki dłużnią w ulu zatka,

A na robotę i na towar słodki,
Bez omieszkania porozsadza młodki.

O romansach — prócz dydaktyczno - pedagogicznego Tele-maka, Jabłonowscy nawet słyszeć nie chcieli, wyręczali ich w zawody inni; w druku ukazują się z reguły prozaiczne, „Koloander wier-ny Leonildzie przyjaźni dotrzymujący“ i t. d. Mariniego; krótka i niezdarna „Historia czyli dziwna awantura Olinda z Amaryllą“ (r. 1754); o wiele lepsza „Historia o Chryseidzie i Arymancie“ (z francuskiego przetłumaczona, ponieważ ciężko rannego bohatera pierwsze słowa były: *hela!* poświęcona Barbarze z Duninów Sanguszkowej, co sama autorką była, jedna z „miłej trójcy“ za Stanisława Augusta; drukowana około roku 1747), mądrzejsza, niż inne, opowiedziana w pierwszej osobie, lecz stanu duszy nie malująca dokładniej: i tu przeważała prosta ciekawość zdarzeń niezwykłych. Wcześniej wydał Zawisza „Aryamena“ (r. 1720), którego córka jego Marya na polskie z romansów Cyrusowych wyłożyła, podczas gdy siostra jej Barbara (Radziwiłłowa, matka Udalryka, literata) „Dyoneę“ również prozą wytłumaczyła, lecz do druku nie oddała. Podobą się i obszerniejsza „Historia Ormunda, królewicza Numid-skiego, z Libeina, cesarzówną Jerozolimską“, o której twierdził prze-rabiacz: ta historia była wierszami z greckiego (!!) na polski prze-tłumaczona język, która, że dla przystępującego wiersza niejaki czy-telnikowi przynosiła niesmak, dla przysługi gust mającym w czyta-niu... na solutyczny styl (t. j. na prozę) onę przypisać umyśliłem, a lubo w niej zdaje się cokolwiek rzeczy niepodobnych, być to jed-nak wszystko mogło i t. d.“. Przerabiacz się mylił; gdy w całej Europie romanse od wieków już tylko prozą pisano, popłacał je-szcze w Polsce wiersz dla nich, jakby dla epopei średniowiecznych; w formie wierszowanej (oktawie?) romansu tego nie znamy.

I tak owę „Dyoneę“ (Loredana) przełożył na wiersz polski pod tytułem „Zwierciadło przeciwnego ludzkim rzeczom sukcesu i przy-krej od pięciu królewien doznanej alternaty“ Kazimierz Ogiński, wojewoda trocki, potem wileński, i dedykował, jak wielu innych au-torów czy tłumaczył czyniło, Antoninie z Zahorowskich ordynato-wej Zamojskiej (założycielce Kanoniczek warszawskich); toż samo poema nazwano w innych rękopisach „tłustomoralnem“, chociaż tłustego tam nic niema; postępuje ono wiernie za tekstem prozy francuskiej:

Jeszcze państwa wschodowe nie schylały głowy
 Przed miesiącem, ani zły z wolności w okowy
 Wyrok azyatyckie zapędzał narody,
 Gdy owe, którym Helle imię dała wody
 I z ludźmi i z armatą, z gotowością wszelką
 Do boju, nie bez złota, galerę dość wielką
 Przybiły do Karpacyi. Tam nad własne chcenie
 Wygodne sobie widząc miejsca położenie,
 Które jakby wymysłem ludzkim mocne skały
 Od morskiej nawałności zewsząd warowały,
 Spuścili z masztów żagle, a z okrętu schody,
 Którymi jakaś dama, dama tej urody,
 Że jej nie tu na ziemi, ale całe z nieba
 Równe lineamenta ściągać by potrzeba,
 Z tą powagą na blizką ziemię zstępowała,
 Która w jej, lubo smutnej, konterfektowała
 Pański jakiś majestat, czy ją morskie fale
 Sturbowały, czyli też wewnętrzne jakie żale
 Tak strapiły, iż ledwie na rękach jednego
 Kawalera strzymana do gaju blizkiego
 Zwlec się dała, ażeby wolna od hałasu
 Żeglarzów, spokojnego mogła zażyć wczasu i t. d.

W spółczesnem prozaicznym tłumaczeniu sufragana płockiego, ks. Pawła Załuskiego, brzmi ten ustęp: Jeszcze były wschodowe kraje nie pokłoniły się miesiącowi, ani państwo Azyjskie prawa tyraństwa jednego przyjęło, kiedy do pewnej insuły morza Karpackiego wojenna przypłynęła galera. Ozdobiona była tym wszystkim, cokolwiek ją uczynić mogło lub wspaniałą lub potężną, aby się schroniła niebieskich gniewów, które budują góry z wody, grożą przepaściami żeglującym. Tu się do tej przypchnęła insuły, gdzie między dwiema wielkimi skałami, które jakoby łożo jakie formowały, wszelkiego pewna była bezpieczeństwa. Żeglarze, zrzucawszy kotwy, spuścili i wschody. Alic wtym zagnała wyszła bardzo piękna białogłowa, która, będąc zmorzona niewiem czyli barziej niewczasem morskim, czyli serdecznym żalem, ledwo strzymana była na rękach jakiegoś, który z nią szedł kawalera i t. d. i t. d.

Tak walczyła poezya z prozą, bo i odpisy przeróbki wierszowanej Ogińskiego i przekładu prozaicznego Załuskiego (a może i innych?) często trafiają się po bibliotekach. Najwięcej piór poruszał jednak zawsze jeszcze Préchac'a „Kawaler polski albo awantura Wallewskiego z Beraldą“; nie zadowolono się przekładem prozaicznym

Działyńskiego: pani Antonina z Jełowickich Niemiryczowa, obożna Litewska, wydała go wierszem roku 1750 p. t. „Feniks rzadki na świecie“ i t. d. — pisywała ona i wiersze o marnościach świata, ale wiersze jej marne i formą (*któren* przybrał *se* za zięcia) i wyborem słów (promowował, addukował, affidował i deklarował), lecz pani Obożna twierdziła, „że większa jest każdego chętką czytać wierszem niżeli solute“ (prozą). Więc i pan regent grodzki pyzdrowski, Franciszek Morawski, gładszym go wierszem urobił roku 1747, ale i ten wiersz już raził uszy znawców; na wiersze jego, np. takie:

I tak zarazem było wesół (wesel) dwoje,
Mieli za smutki pociechy oboje...
Cieszyć się wszyscy wzajemnie poczęli,
Że się do kupy tak wszyscy zgruchnęli.
I owa, co już gacha postradała,
W prędcie inszego za niego dostała;

sąd (Minasowicza ? r. 1754) wypadł wcale niepochlebnie co do złych kadencyj na „ści“, co do makaronizmów, co do mdłego stylu — więc i Minasowicz jeszcze tej samej pracy się podjął.

„Kawalera“ tłumaczyło tylu, ponieważ żałowano, że „o Polsce barzo mało“ w romansach czytać można; z polskich więc dziejów bajecznych wziął asumpt do epopei romantycznej Skórski. Ale Skórski napisał swego „Lecha“ w heksametrach łacińskich, kiedy w całej Europie podobne rzeczy już tylko prozą i w języku narodowym pisywano. I, jak dalszy ciąg Argenidy łacińskiej znalazł polskiego wierszokletę („Argenida po zawartych z Poliarchem ślubnych kontraktach z przedziwnych przypadków wybawiona“ i t. d., Pijara Walerego Wyszyńskiego roku 1743, około 25000 wierszów, którym jednak do „osobliwszej piękności“ wierszów Potockiego daleko), również i „Lecha“ przełożył w ciągu piętnastoletniej pracy Bernardyn Kotficki na wiersz polski roku 1751. Jest to apoteoza nierządu i złotej wolności, w bajecznych podróżach i awanturach Lecha i jego potomków, córki Libryi ze złotem runem, które Ross porwał, syna Wizymira i t. d., „gdy se dać nie mogli rady“, w dwunastu księgach, nieraz na alegoryę polityczną Argenidy, najczęściej na awantury fantastyczne zakrawających. Romansów w prozie bywało zresztą więcej, np. „Historyę Alkamena, króla Scytów i Menalipy, królowny duńskiej“, Balbina Wołowiczówna, referendarzówna W. Ks. Lit. wy tłumaczyła i tej samej Ordynatowej Zamojskiej po-

święciła. Albo „Tachmas, królewicz Perski“ (tłumaczenia Sobieskiego?), albo „Historia o królu Bedredynie Lolo i o jego wezyrze Atalmuku, nazwanym Wezyr Smutny“ i t. d., ale te w rękopisach pozostały.

Szemat tych romansów niemal zawsze ten sam; rozłąka rodziców czy kochanków, śmierć mniemana, odzyskanie straty, turnieje i pojedynki, zazdrość macochy, rywalki czy rywala i t. d.; obrazów przyrody jeszcze niema; nawet stanu duszy nie malują, zato przepłatają je uwagami moralizującemi; element humorystyczny ukazuje się wyjątkowo w jakiejś figurze epizodycznej; czuła miłość, niezrażona żadnemi przeciwieństwami, tryumfuje w końcu nad niemi. W porównaniu z nieskończoną fabrykacją podobnych, nieraz olbrzymich romansów zagranicą uderza ubóstwo ich polskie, wydające zgnuśniałość umysłową za Sasów; gatunek romansów, szczególnie u Niemców, bogaty, pełny szczegółów archeologicznych, historycznych, uczoności antykarskiej i innej, w Polsce wcale nie znany.

Osobno wypada wymienić pierwszy oryginalny romans polski listowny młodego Zatorskiego; autorowi szło jednak raczej o ułożenie wzoru listów „amorycznych“, niż o sam romans, między Rożynem a jego Chlorydą w 94 listach się toczący: ostatni list zaprasza na wesele młodej pary. Jak korespondencya zalotna z czasów saskich wyglądać powinna, pouczy pierwsze zdanie pierwszego listu, wystosowanego od „konkurenta“ do świeżo poznanej damy: „Tak doskonały ślicznych przymiotów i zacnych własności WM. Panna Dobrodziejka w sobie wyrażasz rytrat, że gdyby bajeczne dawnych wieków czasy miały honor godne WM. Panny Dobrodziejki znać i adorować narodzenie (na boku dodano: urodzenie tu nie służy, bo znaczy familią), wszystkich by WM. Pannę D. zebraniem i skarbem Gracyi nie bez słusznego osobliwszej jakiej bogini tytułu, potomnej na podziw i uprzejmą zazdrość podały pamięci“. Pojedynek, rany odniesione i t. d. przeszkadzają szczęśliwemu związkowi.

Podgórzanin nasz wyznaje, że i sam jeszcze nie kochał, że nie ma doświadczenia, nie wyjeżdżał i t. d., że więc w wyrażaniu afektów pomylić się mógł, ale młody pisze o uczuciach — na starość podpiły będą rozprawiał, jak Aleksander Wielki z Przemysłem pod Krakowem walczyli, jak świat się za moich czasów odmienił i t. d. Autor jednak tego dzieła („Przydatek i t. d.“, r. 1746) cieka-

wy i sympatyczny tem, że biada nad zaniedbaniem języka polskiego, że podaje tematy, które dotąd u nas nie opracowane lub „już mółe po stęchłych wygryzły bibliotekach“, nietylko heroiczno - miłosne, lecz i polityczne i ekonomiczne i pedagogiczne: co za skutki wywołałyby podobne dobrze i przystępnie napisane dzieła!

Jeden z pierwszych trzeźwiejszych romansów wytłumaczono, dla ćwiczenia językowego raczej, z niemieckiego, słynnego Gellerta (bajkopisarza i t. d., tłumaczonego później częściej na polskie) „Przypadki szwedzkiej hrabiny G***“ (r. 1755), które ona od siebie opowiada, o swoich mężach; przyczem dolę zesłańców na Sybir kreśli, poraz pierwszy w literaturze polskiej. Obok tych nowych, często przydługich, a zawsze bezmyślnych i sentymentalnych romansów, popłacały jednak po dawnemu krótkie „ludowe“ powieści, o Magielonie, Ottonie (z tego romansu wzięto imię Marcybelli, nie rzadkie w owych czasach), Meluzynie i t. d.; opadały one jednak w sfery coraz niższe, niemal ludowe, ignorowane przez wykształceńszych, choć przez krakowskich i lwowskich nakładców rok rocznie niemal wydobywane. I tu więc trzymały się czasy saskie dawnej spuścizny; nie odstępowały od niej i na innych polach.

I tak nie opuszczono nawyczki dawniejszej wierszowania relacji historycznych; niektóre z nich ciekawe czy treścią i dokładnością opisu, czy też jako oznaka czasu. Potrzeba Olkienicka, złamanie buty Sapieżyńskiej, wynoszącej się ponad równość szlachecką, poruszała nieraz pióra; na początku wieku „Oczysty Apollo“ ją opiewał, wcale dokładnie, nawet położenie Olkienik rysując; wyżej wzniosł się Korytyński w połowie wieku, również Litwin, a stanowisko swe uwydatnił, kończąc z tryumfem:

Uczcie się, komu szczęście i fortuna sprzyja,
Niech się wyżej nad równość polską nie wybija.

Najciekawszą i najobszerniejszą relację ułożył wierszami Jezuity Franciszek Gościecki, który, jak niegdyś Twardowski r. 1622, tak on roku 1712 brał udział w wielkiem poselstwie wojewody Chomętowskiego od Augusta II do sułtana i podróż, pobyt na Multanach, w Adrianopolu i w Konstantynopolu szczegółowo a płynnie opisał. Jest tam wszystko, nawet opis szalbierza - spirytysty i jego „seansów“ i jego zdemaskowania, opis życia i trybu tureckiego i wołoskiego, prawdomówności, przekupstwa i t. d. aż do chowania

gołębi i turkawek po placach, liczenia drogi nie na mile, lecz na go-dziny i t. d.

Imię Chomętowskiego wypływa jeszcze raz, roku 1720, w lite-raturze pamiętnikarskiej: z jego misyi dyplomatycznej do Peters-burga pozostał pierwszy, dokładny opis nowej stolicy (prozą, bar-dzo ciekawy i pouczający), gdzie język polski, instytucje i duch polski wcale obce nie były, terminy: korona, szlachetny i t. p. nie-tylko w korespondencji Piotra Wielkiego, w pomysłach oligarchicz-nych bojarów, ale nawet na gmachach publicznych się pojawiały; wiele ich do dziś w języku rosyjskim ocalało, począwszy od turmy, spiny i łuny, a skończywszy na pozwoltie, wienzielach i bułkach.

W naturze czasów saskich tkwiło, że z każdym rokiem sprawy, czy polityczne czy literackie, tylko się psuły; więc i późniejsze relacje niżej stoją, np. takie „Wyjście Najj. Króla Stanisława I z oblężenia miasta Gdańska roku 1734“ Józefa Sulistrowskiego, chociaż wcale dokładne; wielbi Stanisława, prezentującego się wca-le nie męsko, ciągle do płaczu i narzekań skłonnego. Najniżej upadł autor „Rewolucyi Szwedzkiej i Duńskiej“. Przetłumaczył ją był (?) z Vertota wojewoda Potulicki jeszcze roku 1701 prozą, a przewierszował to r. 1756 anonim równie podle, jak podłem jest samo wydanie jego wierszów. Chodziło o przestrzeżenie Polaków, aby nie stracili wolności, równie jak Szwedzi i Duńczycy, cieszący się niegdyś tym samym „szałem“ (kształtem) rządów; reformacja pozbawiła duchowieństwo władzy, zaczęła i szlachta ją utraciła. Jedynie uwagi o społecznej Polsce ratują ten stek najbezdarniejszych wierszów, skargi na to, że

W kapelach hucznie brzmią wiole, basy,
Choć blizką zgubę poznajem z daleka;

giniemy bez rady, sił, pieniędzy, zniszczały już miasta, ratuje nas tylko wolna mowa, bez niej zginęła wolność i ojczyzna; dziwnaż to jednak była wolność mowy, skoro autor:

Różność (niezgode) braterską wspomniawszy zdaleka,
Bo się obawia, by nie stracił głowy
Teraz ten, który rzec prawdę gotowy.

Wiemy też z Matuszewicza, że ta wolność mniejsza była, niż w Rzy-mie za cesarstwa, gdzie się tylko jednego nie godziło tykać, u nas

zaś tylu mściwych tyranów, ilu bogatych i silnych ludzi — tak że p. Matuszewicz swój przekład wszystkich satyr Horacego (ze wstawkami o rzeczach polskich) dopiero po śmierci ogłosić pozwolił.

Nic dziwnego, że satyra polityczna i obyczajowa, choć same kamienie do nieba wołały, głęboko uśpiona milczała, że ani Opalińskich ani Starowolskich ziemia już nie zniosła. Najciekawszą satyrą jest „Małpa-człowiek“; autor jej, prozą i wierszem dobrze piszący, przechodzi po kolei przywary strojniś; żołnierzów - zawadyków szermujących gębą; mieszczan, ich sprawiedliwości, ławnicy tylko „z grzywien pić śmierzduchę umieją“; nieszczęście i spodlenie chłopów-charłaczyków, z których nędza boży „rytrakt“ (wizerunek) starła: przenajświętsza Trójca u niego widły, dusza para, kościół browar. Dalej sarkana straszne nieuctwo i rozwiożłość duchownych; u kaznodziei Seneka to matrona, Horacy pustelnik, Elizeusz apostoł, Epikur papież, Enocha Haman na tron hiszpański wysadził, Jozuego bracia do Rzymu sprzedali — z tego szydzili już Opaliński i Potocki, u którego ksiądz czerwoną rubrykę w kalendarzu (słońce w aspekcie raka) jako uroczyste święto ogłaszał.

Satyra nie ukończona; autor, gdy znowu o duchownych prawić miał, urywał ją nagle i o wybaczenie prosił. „Szalę“ napisał Michał Działyński i po jego śmierci rzecz wydano r. 1714 w „Argentynie“: przyczynę klęsk polskich upatrywał w maksymach „wierzę, jako chcesz“ i „bracie, czyn co chcesz, wzdys wolno zrodzony“: nikt cię przecież nie śmie obwinić, choćbyś ukrzywdził — byle nie większego; lepsza u Turków sprawiedliwość; opisane przytem widzenie „pogróżki niebieskiej“ w Poznaniu z roku 1692 jeszcze, które i później przedrukowywano.

W dłuższym przeciągu czasu nastąpił dopiero „Skrupuł bez skrupułu“ wojewody ruskiego, Jabłonowskiego, cenny anegdotami i rysami z życia, jeszcze cenniejszy tem, co wszystko za taki „skrupuł bez skrupułu“ uchodziło, czego wszystkiego się dopuszczano z najspokojniejszym sumieniem, przeciw państwu i ziomkom; cechujący i trwożliwość autora, poruszającego same drobnostki, i wyniosłość jego, obruszoną tem, że szlachta odważa się cenzurować panów. Odtąd popłacały tylko utopie polityczne, jak owa „Regina Palatii“ z zeszłego wieku, teraz dopiero drukowana nieraz; na śmierć się narażał, ktoby między szlachtą przeciw *Liberum veto* był przemówił — ale takiego śmiałka nie było. Niepokoili tylko jedna rzecz, że w ustroju republikańskim król

urzędy rozdaje; najznakomitsi statyści, Humiecki wojewoda, Poniatowski i inni proponowali więc, aby król tylko wybranego przez szlachtę kandydata potwierdzał; lecz ten ideał magnacki poparcia nie zyskał, bo rozstrój uniemożliwiał i najlżejsze zmiany.

Na innych polach myśli nie krążyły żywiej; historia i pamiętnikarstwo niemal ustały; po roku 1720 nie było o czym i pisać; rywalizacye Familii i Potockich, tranzakcyja kolbuszowska (rozgrabienie ostrogskiej) i t. p. mogły tylko pamflicistę, nie historyka natchnąć. Więc chyba podkanclerzy litewski, Szczuka, „eclipse“ (zaćmienie) Polski świata wystawił, zmyśliwszy nazwisko (jak i datę, 30 lutego!), a wstawiwszy bardzo mądry ustęp o reformach koniecznych, głównie skarbu i wojska; albo Erazm Otwinowski spisywał w pierwszej ćwierci wieku wojny szwedzko-saskiej i polski w nich udział, nienawidząc rzetelnie pludraków i ubóstwiając Ledóchowskiego i konfederacyę tarnogrodzką, t. j. zamach samobójczy dogorywającej Polski szlacheckiej; to znowu mnich - Bazylian spisał w Wilnie utrapienia zakonu, miasta i kraju od żołnierstwa obcego i swego (Abrys domowej nieszczęśliwości i wewnętrznej niesnaski i t. d. Jana Oleszewskiego z roku 1721) i takich pamiętników bywa więcej, nieciekawych ani treścią, ani formą.

Wymienić z nich można Dyaryusz Orlika, ostatniego „Mazepińca“ i hetmana kozackiego *in partibus*, partyzanta króla Leszczyńskiego, niegdyś ucznia akademii mohilańskiej, świadczącego najlepiej, jaki duch, wzory, język panował niegdyś w Kijowie — Orlik pisywał panegiryki, którymiby i akademika krakowskiego, Bieżanowskiego, zakasował, wierszem i prozą, a w „Dyaryuszu“ (r. 1720 — 1733) ów potomek śląskiej niegdyś rodziny (spolszczonej jak Pretwicy i inni) narabiał i łaciną niezgorzej, makaronizując zawzięcie.

Najbardziej jednak charakterystyczne, dla ludzi i czasów, zapiski **Marcina Matuszewicza** (1750 — 1765), nie dla ich stylu, gdyż opadają nieraz do najsuchszego wyliczania wszelakich pieniactw, lecz jako zwierciadło wieku, jako obraz walki o byt „równego“ szlachcica, lawirującego ze swoim bacikiem między Scyllą a Charybdą Dworu, Familii i Radziwiłłów, broniącego swojej „fortunki“ przed ciosami, spadającymi lada chwilę na niego, uważającego, ze wszystkimi innymi, każdy środek, przekupstwo, pochlebstwo i t. d. za godziwy — a Matuszewicz jeszcze do wyborowych ludzi saskich należy, i sercem i rozumem i wykształceniem! Poboż-

ny on, wszędzie widzi palec Opatrzności, pości i krzyżem leży w kościele, ale równocześnie albo pochwalne ody pisze, albo w jaki inny sposób „zasłużyć” się stara możnowładzcom: despekt od nich przyjmuje się kornie, oni przecież człowieka wynoszą albo zabijają — kazaliż Czartoryscy zarzucić nieszlachectwo Matuszewiczom, t. j. zasądzić ich na śmierć cywilną, i cóż to kosztowało późniejszego kasztelana, nim ten straszny cios uchylił! Przerażający zanik rozumu: Dylewski rozśmieszył wprawdzie sejm roku 1748 żądaniem, aby Żydów kastrowano, ależ błazna tego i dalej posłem wybierano i roku 1761 hamował on *activitatem* sejmową tak długo, póki go Pijarzy w kalendarzu politycznym na należnem miejscu nie wydrukowali. P. kasztelanowi w gruncie się nie źle powodziło, a mimo to, pamiętnik jego tylko najczarniesze myśli nasuwa: takie same rozbicie nawy państwowej nieuchronne, jak na Zachodzie, lecz z innym skutkiem.

Za to pamflety kwitły, od wojny domowej Sapiehów z Ogińskimi aż do (nie krwawej) wojny Familii i Potockich; Lis sapieżyński i Kociel ogiński zmierzyli się jeszcze przed Olkienikami na paszkwile, nie kończące się po Sylwach szlacheckich; cóż dopiero Sas i Leszczyński (co za ten figiel stracił i Szmigiel); Sas i metresy jego, piętnowane wierszydłami dawno jeszcze, za nim Pöllnitz *La Saxe galante* napisał, a ktoś inny na „Zalotność saską” wytłumaczył (częste po rękopisach); pojedynek Tarły i Poniatowskiego; transakcyja kolbuszowska, opiewana na wszelkie łady; nieudała próba akademii jezuickiej we Lwowie — na wszystko znalazły się paszkwile, bezimienne i rękopiśmienne, więc wyuzdane i wszeteczne, a te wywoływały odpowiedzi, przesadzające w cynizmie i prostactwie. Naśladowano wszelkie dawne formy, np. Zegarek, wybijający godziny z admonicjami o marności rzeczy ludzkich, przystosowano do Augusta II, a w trzydzieści lat później znowu do Leszczyńskiego i t. d.; rozmowy poufałe konfidentów, Polaka i Niemca i t. d.; listy Mazura; spowiedź wielkoczwartkową jakiegoś dygnitarza czy prymasa; nagrobki pludrakom, poległym pod Kliszowem, parodyę święt (Trzech Króli) i świętych — roją się od tego Sylwy społeczne.

I ten zwyczaj, wciągania aktów publicznych i prywatnych, rad Kalimachowych i rokoszu gliniańskiego, mów i listów, dni egipskich (feryalnych) i środków przeciw wściekliwości, gratulacyi i paszkwilów, wierszów i prozy do obszernych ksiąg domowych trwał dalej, ba, p. kasztelan smoleński, Kazimierz Niesiołowski, wydru-

kował nawet taką zbieraninę wyciągów i wypisów z rzeczy obcych wraz z własnymi najgłupszymi konceptami p. t. *Otia publica vix domestica* próżnoty różne publiczne domowe... do zabawy w próżnościach niepróżnującym i t. d. roku 1741 i w drugim zbiorze p. t. *Otia domestica*, drukowanym później, lecz nie mądrzejszym, gdzie jeszcze najlepsze „paszport z Parnasu“ dla jego „muzy wiejskiej, wierszyków z prostego trypodu“, idących „do Zbaraskiej nimfy... w kastelu Nieświeskim najpierwszej bogini—ta nad muzami wszystkich bogiń monarchini“ (ks. Radziwiłłowa).

Takie to Silwy rerum przedstawiały publicystykę. Jeżeli gdzie, to chyba w kraju wolnym należało było oczekiwać wczesnych jej urodzin, tymczasem najgorsze despocye miały już gazety, tylko w Polsce one się nie przyjmowały. Wychodził wprawdzie już w XVII wieku „Merkuryusz polski, dzieje wszystkiego świata w sobie zamykający dla informacyi pospolitej“ (r. 1661, co tydzień, wydawał Jan Aleksander Gorczyn, pisarz rzeczy heraldycznych, muzycznych i ascetycznych), ale pół roku nie przetrwał; potem Włosi w Krakowie drukowali łacińskie awizy; panowie kontentowali się pisaniami gazetami, które korespondenci płatni przesyłali np. z Warszawy, brak wiadomości skandalami i plotkami niestworzonymi łatając. Poczmiistrz toruński, Rubinkowski, na największą skalę takie korespondencye dla stałych swych, licznych prenumeratorów czy abonentów utrzymywał: folianty jego, obejmujące kilkadziesiąt lat dziejów polskich, dostały się do biblioteki Załuskiego (dziś w Petersburgu).

Na wzór gazet zagranicznych spróbował wydawać polskie drukarz królewiecki, Dawid Zankier, pod tytułem „Poczta“ (i „Poszta“) królewiecka od sierpnia roku 1718 do 1720, lecz wydawnictwo zaniechał, żegnając się z publicznością: Mnie wielce mości panowie! barzo licha była tego roku obrywka z gazetów polskich, bo barzo mało było ichmościów, którzy się w nich kochali. Więc przyjdzie mi tego roku ich poniechać, aż obaczę, da Pan Bóg, za rok, jeżeli się IM. więcej znajdzie, którzy by chcieli polskie trzymać gazety, tedy znowu mają być drukowane“. Do tego jednak więcej nie przyszło; winą była poniekąd i po stronie p. Zankiera, który zapychał „Pocztę“ wiadomościami o rewiiach w Poczdamie i Berlinie, a rzeczy polskich przynosił nieraz najmniej i całkiem nieważne, chyba o morze, albo że nie będziemy mogli „żniwować“ i to zawsze na końcu numeru, np. cała korespondencya z Poznania z 29 listopada

roku 1719 opiewa tak: „w ziemi naszej nie słyhać, chwała Bogu, nic o powietrzu“ (nic więcej); innym razem, że (w Poznańskim) „wszelkie podróże“ ustaly dla rabusiów. „Poczta“ wychodziła co sobotę i miała bezpłatne dodatki osobliwszych *particularia*, np. listu króla pruskiego (do polskiego), że z carem o zgubie Polski nie przemyśla.

Pijarzy i Jezuici wydawali potem, od roku 1729 i 1759, „Kuryera Polskiego i Litewskiego“ — ale treść obu była marna, przynosiła wiadomości o położach wielkich pań, albo że „ordynat młody łowami prawie codziennie zabawia się“, o pogrzebach różnych magnifik, o „grassantach“, co kamienice okradają, o wprowadzeniu cudownego krucyfiksu i t. d. Nie dziw, że nie wyrugowały „Kuryery“ owych prywatnych korespondentów, których jeszcze roku 1773 Pijar Piotrowski w osobnej satyrze (Na gazeciarsów, fałszywe baśnie piszących) wyszydził, zowiąc ich „romansistami“, co chyba od starych bab ćwierćroczne wiadomości, drogo opłacane, czerpią.

Polskie ascetyka i łacińskie panegiryki zalewały literaturę drukowaną; wyjątkowo pojawiało się i w łacinie coś odmiennego, np. *Viennis*, epepea o 1683 r., wedle wszelkich norm klasycznych przez Pijara Kalińskiego (Damascena) zbudowana, w dwunastu księgach i 10000 heksametrach, poważna a nudna; albo Opera heroica Adama Ponińskiego, wojewody poznańskiego, „korony nowszych poetów polskich“, jak go Janocki nazywał (obraz jego zdobił bibliotekę Załuskiego), najobrzydliwszego pochlebcy, dopraszającego się całowania chorej nogi Augusta II i sławiącego jej uzdrowienie hymnem dziękczynnym „na pociechę narodów“, siłącego się i na epepę narodową (o Warneńskiej), ale zdolnego tylko do opiewania „Kampaniamentu“ (manewrów) i uroczystości drezdeńskich weselnych (z loteryą, zapasami kogucimi, piramidą żywą akrobatów i t. d.), chociaż i o satyry się kuśli, mdle i bezzębe, o ileż niższe od satyr innego wojewody poznańskiego!

Innych niw poetyckich nie uprawiano. Liryka leżała odłogiem, chyba po seksternach rejentowice i podsędkowie wiersze miłośne fabrykowali, a raczej przepisywali, przyczem najciekawsze, ruskie pieśni ludowe, i w języku, naśladują, np.: Oj chtoż mene bude w moim żalu teszyty, Chtoż so mnoju horki ślozy pyty, Koli niet diwońki kotoruju lublu, Bo dla nieje życie moje i zdrowie zhublu i t. d. — takich bywa secinami po rękopisach. Kwitła liryka religijna i tu się cisnęło co żywo, autorowie starzy i młodzi,

świeccy i zakonni, polscy i łańcący. Taki np. łowczy mielnicki, Wojciech Kurdwanowski, w siedemdziesiątym roku życia „bierze się w parnaskich kompanią gości“, choć sam „mówi sobie, ostrożnie Wojciechu, ażebyś ludzi nienabawił śmiechu“, „żeby rozrywać wdzięczną sobie muzą Melankolię przy paciorkach dużą, narażając się na różnych niećciwarskich zoilów, którzy nas fryców i neoteryków otną, jak byków¹⁾, skoro nawet prymasowi muzy polskiej, Kochanowskiemu, nie sfolgowali i lekkomyślnie go dysydem udali, choć to fałsz wierutny. Zostawił on wiersze pobożne, treny i t. p., chociaż obiecywał „czasem pomyśleć o ojczyzny biedzie, czasem rozerwać myśli przy biesiedzie“; naśladował Sucqueta i innych Jezuitów. O wiele więcej pisywał Saroniński, żupnik wielicki, którego rzeczy i do druku się dostawały (Lutnia Dawida), lecz po największej części w rękopisach ugrzęzły, między niemi i humorystyczne „pieśni albo deklamacye“ na narody i stany, kozaków i żołnierzy, żupy wielickie i t. d.; przeważają jednak o wiele rzeczy religijne. Ciekawsze nieco, staranniej wygładzone wiersze starosty bolimowskiego, Marcina Zamojskiego, z roku 1715, p. t. „Passya“ wierszem napisana, epigramy na mękę Pańską, lubujące się w „argucyach“ i koncepcjach, tak np. w Przedmowie do Krzyża świętego:

Pokaż mi, Krzyżu święty, zkaż ci moc jest dana,
Ze Pan *świat* w palcach dźwiga, ty na świecie Pana?
Na czym stoisz? kiedy *ten* wisi z Pańskiej ręki?
Jak Pan trzyma, kiedy jest przybity do męki?...
Pan nad wszystkich, ale ty nad Pana mocniejszy i t. d.

Lecz takich poetów, Flaszyńskich, mieszczan Ormian, jak Minasowicz (ojciec „poety“), Muratowicz (Alojzy, próżnowanie niepróżnujące, z wierszami na Dalfusów, Moków i t. d.), Jakób Matyasewicz (patrycyusz lwowski, z wycieczkami przeciw Żydom, przeciw panom, na których nie masz nigdzie prawa:

-
- 1) Rzeczę ktoś, takie wiersze pisze Półkozic,
Żeby mógł mydło za drugimi wozić.
I prawda, bowiem autor nie jest tanti,
Gdzieś in Zawichost podobno uczony i t. d.

— żartowano z „akademików“ zawichojskich; *discuit se in Zawichost* mawiano już w XVII wieku.

Pan prawo sobie jakie chce stanowi
I wierzyć każe, co sam tylko powi i t. d.);

jezuitów, jak Dominik Rudnicki (Głos wolny w wiązanej mowie i t. d., „złotą pracą“ nazywany), tłumy zwykle nie dochodzą nawet naiwnej rzetelności i prostoty owego starego Półkozica; mieszczanin Świątkowski, autor olbrzymiego zbioru wierszów łacińskich i inni.

Sielanek, dramatów literatura ta nie uprawia, prócz dramatu szkolnego ¹⁾; dorywczo i po dworach pańskich wystawiają sztuki, niektóre z nich w całości lub w scenariuszu i do druku się dostają, np. sztuki grywane u Jordanów, z których Rodian (t. j. Jordan) był tylko plagiatem z „Ermidy“ Lubomirskiego. Najpilniej pracowała dla sceny dworskiej wielka dama i znana literatka, **Franciszka Ulryka z Wiszniowieckich Radziwiłłowa**, hetmanowa i wojewodzina, czytana jak rzadko, bibliotekę swą z 2000 autorów (dziś w Petersburgu) złożoną znała na wylot. Już młodziutka mężatka pisywała do nieobecnego męża tęskne elegie i listy poetyckie. Na teatr nieświeski (w imieniny rodziny hetmańskiej, na przyjazd gościa, np. kanclerza Sapiehy i t. d.) od roku 1746 — 1752 wystawiła szereg oryginalnych i tłumaczonych z francuskiego komedyi, tragedyi i oper, które pierwszy amant tego teatru, kapitan Fryczyński, roku 1754 wydał. Najciekawsze miedzioryty, ze scenami i okalającym audytoryum, gdzie z „roženkiem“ francuskim i perukami były wygolone z serpentynami dziwnie kontrastują; same sztuki nieciekawe, nierówne (jeden akt ma dwie, drugi 17 scen), klecone byle jak, drastyczne w wystawieniu tak, że wierzyć się nie chce, by to przed młodemi księżniczkami wystawiano (np. drze mi ucho małżeństwo, jak pomyśleć, że z jednym i t. d., a są i dosadniejsze rzeczy!), wierszem i prozą, językiem nieraz wcale twardym; tłumaczone odróżniają się natychmiast fakturą i tętnem dramatycznym. Treść brała Radziwiłłowa z „Siedmiu mędrców (np. Niecnota w sidłach z „Rycerza“), z nowel Morsztynowych (Gryzelda i Cymon), z mitologii, z bajek — w jednej wyprowadza Solona, aby chwalił polskie „trzy

¹⁾ „Teatrum życia ludzkiego w historycznych exhibicyach na widok publiczny wystawione“ Jezuita Piotra Kwiatkowskiego (r. 1740) ze sceną niema nie wspólnego; wierszowane to nowele (Gryzelda, Robinzon Kruzoe — pod innym nazwiskiem) i ascetyczne opowiadania o synu, wstępującym do klasztoru, odwołanym od tego przez rodziców na swe nieszczęście i t. d.

stany: tron, senat, buławę“. I francuskie przekładała na polskie stosunki, wywodziła więc córki „szlachcica powiatowego, Gorgibusa“, którym czytanie romansów główki poprzewracało, brzydzących się nazwisk swych, Kasia, Magdusia, „tym dźwiękiem najpiękniejszy romans wraz się spryska“, niechących słyszeć o zwykłych oświadczeniach i natychmiastowych ślubach:

Przepadłby romans prędko Mandany nadobny,
Cyrus by się ożenił bez żadnej przygody,
Arons by wziął Klelię z fortun i urody,
Tak by się awantura Baneluki zniosła,
Bez przygód amorycznych w port płynąc bez wiosła.

Nierównie większy talent poetycki wykazała pierwsza znakomitsza autorka polska, **Elżbieta Drużbacka**, chociaż brak jej ogłady i odczytania księżny pani. I ona pisała dla siebie i wybranej publiczności, jak wszyscy inni literaci, ceniący pióro i pracę, i nie jej to zasługa, że choć znaczną część jej rymów za jej życia jeszcze wydano. Znała ona tylko literaturę polską, kształciła się na Potockim i innych podobnych autorach, z góry więc skazana była na niedoskonałość formy i kompozycji, na przewagę dydaktyki i alegoryi, na nierówność języka i prostotę wiersza. W przeważnej części produkcji literackiej naśladuje więc Chrościńskiego i Potockiego, do którego i życiem podobna, owdowiawszy rychło, potraciwszy dzieci i wnuki, tak, że w końcu w zacisze klasztorne się cofnęła. Rymuje więc biblię i legendy: „Opisanie życia świętego (?) „Dawida“ — niby Józef Chrościńskiego; „Historya św. Maryi Egipcjanki“, „św. Marya Magdalena“ — jak „historye“ Jabłonowskich, Jezierskiego i tylu innych. Rymuje dalej alegorye i romanse, niby Argenidę i Syloretę, w „Fabule o księciu Adolfie dziedzicu Roksolanii“ (alegorya fortuny i śmierci, której i Fortunat nie ujdzie), w „Fortecy od Boga wystawionej, pięcią bram zamkniętej“, t. j. duszy ludzkiej z pięcią zmysłami, w opisie Arkadyi (i szczęśliwego pożycia małżeńskiego), w bajce mitologicznej Cefal i Prokris, w romansach, „Historyi chrześcijańskiej księżny Elefantyny i Eufraty“ (i jej córki Astelli między poganami), nakoniec w romansie o przygodach Teolindy (córki wodza Ortobana) i jej przyjaciółki. Oprócz tych romansów duchownych i świeckich pisywała ona panegiryki dla Branickich i innych rodów, u których gościła, wiersze okolicznościowe i satyryczne i t. d.

Nowym pierwiastkiem, który do poezji wniosła, była opisowość, obca dawnej poezji polskiej, którą tylko ludzie i czyny zajmowały, która chyba w krótkich wierszach np. miesiące, pory życia ludzkiego i t. d. określała (u Gawińskiego i in.), albo rozkosz żywotu ziemiańskiego już od roku 1550 wysławiała. I tak jeden z najudatniejszych jej wierszów, to „Opisanie czterech części roku“, gdzie się wprowadzie bez mitologii i personifikacji nie obeszło—od takich zaczyna każdą część — ale zajęcia gospodarcze i życie przyrody z wdziękiem pewnym oddała; pendant do tego — „Opisanie czterech elementów szkodliwych i pożytecznych“, słabiej, więcej wymuszenie i sucho wypadło; „Pochwała lasów“ na sielankę pasterką wychodzi. Jak tu autorka z wędrowek zaświatowych, ascetycznych czy romansowych, na ziemi rodzimej się oparła i prostsze, prawdziwsze tony wydała, podobnie trzymała się rzeczywistości w listach poetyckich i satyrycznych, czy o rzeczach potocznych czy o znaczących dziełach i ludziach. Więc np. dziękowała założycielowi biblioteki narodowej, że budzi „ociężałe snem Polaków głowy“, biskupowi krakowskiemu, że egzorcyzmom dyabelskim koniec kładzie, prosząc go jeszcze: wyżeń upiry z Polski, o których mnisi bają i t. p.

Nie nauka, nie wzory, ale takt kobiecy i kobieca żywość ustrzegły ją, jak inne kobiety, od przesady i maniery autorów męskich. Cech wieku i ona nie ściera z siebie, ani z myśli, ani z treści, ani z formy; i ona nazwie robactwo „ciała posesorkami“; i ona grzeszy płaskością wymysłu i trywialnością wyrażenia; mimo to odczuwa ona dzikość ówczesnego stylu, który już z mów i listów do szkoły się cofał, zbytnią uniżoność (adorację) w mowie i piśmie, rażą ją nietrefne słowa, wymykające się i damom (na co już w XVII wieku uważano, na ten temat przytoczył Potocki jedną z lepszych fraszek).

Stanowisko jej jest całkiem kobiece, więc i o miłości rozmyśla, którą dawniej mężczyźni pałali, gdy teraz chyba kobiety jej hołdują, i o pożyciu małżeńskim, przyczem płci swojej wytyka wady, strojnisiostwo lub gonienie za rozrywkami. Pomijano chyba jej moralizujące elegie, zawite nieco i mdłe, zato podobały się inne rzeczy, skoro ona pierwsza po długim przeciągu odniosła sukces literacki — przynajmniej twierdził wydawca jej pism, że w kilka lat edycja foliantu rozeszła się zupełnie. Talentu dowodziło i to, że widocznie postępowała, pisywała tem składniej i łatwiej, im później;

wielbicieli znalazła, do nich należał i Krasicki, wydawca niektórych jej rzeczy. Więc chociaż ona całkiem do przeszłości zwrócona, wyłącznie z niej czerpała myśli i słowa, owiewał ją przecież duch nowszy; większa prostota, szczerość i żywość nadawały niby lekkie rumieniec bladym i martwym utworom.

Gdy tak Drużbacka instynktowo raczej, niż świadomie, zwrot ku lepszemu, wydobyć się z martwoży, zastoju i rutyny zaśnie-
działej zwiastowała, pracował w tym samym kierunku, ale świadomie, z rozmaitymi wynikami na rozmaitych polach, z rozmaitym miarą sił i talentu, coraz liczniejszy szereg mężów, którzy, zaczerpnąwszy świeżego powietrza w Europie, domową stęchłą i ciemność egipską odświeżyć i rozświecić pragnęli. Takich nie brakło nigdy; nadto ściśle splótł się organizm polski z zachodnim, aby nie odczuwał jego tętna, nie wtórował jemu w końcu, acz w spóźnionym i mierniejszym ruchu — poza poziom hiszpański, włoski czy austriacki i Polska nigdy nie upadła, chociaż razem z temi ofiarami reakcji, dawną świetność i siły postradała.

Życie umysłowe francuskie wybiło swą cechę na tych przodownikach na polu literatury, kultury i polityki — przy dominującej w Europie francuszczyźnie, poprzez Niemców, o których bardzo niewiele wiadano, chociaż o miedze graniczyli; Wersal i Paryż, Molière i Racine, Boileau i Rousseau (liryk), francuscy kaznodzieje i autorowie ksiąg pobożnych, wcześniej drogę do Polski znaleźli.

Wpływy francuskie ułatwiał „filozof dobroczynny“, **Stanisław Leszczyński**, król Polski tytularny, król Polski jednak na polu umysłem nierównie rzeczywistszy, niż Sasi malowani. Jak się czasy zmieniały, dowodził choćby fakt, że ten, co w poezji do najniezdarniejszych należał, w zapadłych kątach ascetycznych się grzebał, prozą pisał tak mądrze i poprawnie, jak nikt może ze współczesnych i niechce się wierzyć, że „Głos Wolny“ i „Historja Starego i Nowego Testamentu“ z pod jednego pióra wyszły. „Głos Wolny wolność ubezpieczający“ napisany rychlej, wydany późno (roku 1749), to najmędrsza rzecz polityczna z czasów saskich; nie burzy wszystkiego, trzyma się w granicach możliwości, liczy się z nałogami stanowymi — utopie polityczne uprawiał autor osobno — ogranicza tylko wybujałości *Liberum veto*, nie znosząc wprost ani jego, ani elekcyi; w dobrze zrozumianym interesie panów samych stara się o zwolnienie jarzma chłopskiego, o zastąpienie pańszczyzny czynszowaniem.

Strasne zubożenie Polski, nędza wiejska i miejska, wywołały „Anatomię” wojewody kaliskiego, Garczyńskiego, poświęconą głównie kwestyom ekonomicznym. Polityczne traktowali jeszcze Karwicki (po łacinie i polsku) i Poklatecki (Radzewski), ostrożnie, dogadzając miłemu wrzodowi, nierządowi, odbierając, jak Karwicki, prawo nominacyi królowi (dlatego go Branicki w memoryale swym chętnie cytował), a Poklatecki za szczyt mądrości przodków uważał, że przeciw ołtarzowi królewskiemu hetmański wystawili. Tych wszystkich statystów prześcigał „Głos Wolny” formą (w pierwotnej redakcyi jeszcze dowcipniejszą, niż w późniejszej), wolną choćby od cytacyi, zagęszczonych w Garczyńskim, i więcej makaronizmów się chroniącą, przedewszystkiem zaś myślą, obejmującą i polityczne i ekonomiczne kwestye, bijącą przeciw nieodpowiedzialności ministrów, dążącą do podniesienia siły zbrojnej — nie na 12000 żołnierza tylko, jak u Karwickiego. „Głos” jednak odgłosu nie znalazł żadnego.

Inne broszury polityczne, pisane nieraz dowcipnie, nieraz bardzo mądre, dotyczyły zwykle jednej głównej kwestyi, np. Lipskiego „Rozmowa ziemianina z sąsiadem” roku 1733 około rozdawnictwa buław się toczyła; najmędsza, Stanisława Poniatowskiego (ojca) „List ziemianina” roku 1744 aukcyę wojska na oku miała, chociaż poruszała nieodłączne kwestye ekonomiczne, protestując przeciw uciekaniu młodzieży do klasztorów, żądając dla obcych wolności wyznań.

Żadne z tych pism nie wskazywało jednak właściwej grozy sytuacji, że najlepsze nawet zamiary reform musiały odtąd spełznąć na niczem, gdyż Polska już o sobie nie stanowiła; już jej punkt ciężkości przeniósł się był zagranicę; już obce dwory i gwarantowały i strzegły nierządu, wygodnego ich widokom na przyszłość; więc niedość sejmów, na który Poniatowski ów „List” wygotował, powitali agenci pruscy, jako walną wygranę; a niedochodzenia sejmów pilnował byle kto, zrywali je choćby Żydzi, uchodząc większych podatków (przez podstawione subiekta). Niebyło Polaka, króleyby nie utyskiwał gorzko nad zrywaniem sejmów; ale niebyło Polaka, któryby na seryo tę hydrę zwalczał. Powtarzało się, co od dwu niemal wieków z wołaniem powszechnem „zginie my” — już roku 1585 zauważył był słusznie sędziwy prymas (Karnkowski w votum senatorskiem): „zginie my” jest to głos złego sumienia, któreby podobnie rade widziało to co mówi. Więc i na

zrywanie sejmów wszyscy sarkali, ale nikt, ani dwór, ani Czartoryscy, ani Potoccy, cóż mówić o znarowionej szlachcie, arcydogodnego środka nigdyby się nie wyrzekł; każdy sobie milcząco zastrzegał to „prawo“ w widokach partyjnych czy osobistych, a na innych sarkał.

Dopiero **Stanisław Konarski** w czterotomowym „Skutecznym Rad Sposobie“ bezprawie to z gruntu podważył; że aż tak olbrzymiej maszyny na to potrzeba było, czego, jeżeli nie patriotyzm i rozsądek, toć sama praktyka życiowa najpospolitsza gwałtownie się domagała, dowodziło najlepiej, jak głęboko wkorzenił się w naród szlachecki wrzód, wytaczający jego ostatnie zasoby. Dzieło światłego Pijara, mimo powszechnego oburzenia, wybuchającego przy pojawieniu się pierwszego tomu, na „mnicha“, mieszącego się w rzeczy świeckie, przekonujące, torujące drogę w lesie umysłowej anarchii, wieńczyło tylko poprzednie usiłowania autora, zdążającego ku wyćpieniu barbarzyństwa i ciemnoty wszelkiego rodzaju. I Konarski przejął się był zagranicą, we Włoszech, Paryżu i pod boki Leszczyńskiego, pogardą „sarmatyzmu“ w wymowie, szkole i polityce i po powrocie do kraju rozpoczął pracę owocującą. Pisywał po łacinie, choć rzeczy dotykał polskich, i tak np. stylu „jezuickiego“, jak go już spółcześni chrzcili, albo „dzikim“, jeszcze słuszniej nazywanego, żądając w dziełku *De emendandis eloquentiae vitiis* powrotu do wymowy trzeźwej, rozumnej, chędogiej, wyzbycia się napuszoności i szumu, czystości językowej, skażonej niezliczonymi włazami obcymi. Oburzył tem Jezuitów, rywalizujących z nowym (stosunkowo) zakonem, zarzucających autorowi, co najwięcej w Polsce popłacało, targnięcie się „na miłych ojców“ i wiarę nawet.

Z walką przeciw skażonej wymowie, w oczach ludzi mędrzych rozstrzygniętą dawno (już w czterdziestych latach wyśmiewano styl „jezuicki“ w listach i mowach, i bez Konarskiego — jego łaciński napad burzył tylko ostatnie jej asylum, szkołę) począł on walkę i o nową szkołę, o nowy, lepszy tryb nauczania. I tu nie był on żadnym oryginalnym czy radykalnym burzycielem rutyny jezuickiej i jej rozpasania; przenosił po prostu, co zagranicą, w rzymskiej szkole samych Pijarów, w szkołach francuskich, widywał, do ojczyzny, akomodując się sferze sarmackiej. Więc zatrzymała łacińska rolę górującą, ale obok niej i nowsze języki obce, głównie naturalnie francuski, i język krajowy większego uwzględnienia się do-

czekały, wraz z przedmiotami innymi, historią, geografią i t. p., do-
tąd traktowanymi nie samoistnie, eksplikowanymi przy autorach
przygodnie. Za przykładem francuskim, na który niegdyś w Pol-
sce sarkano (np. Łukasz Opaliński w „Barkłaju“) wprowadził do
konwiktu szlacheckiego, *Collegium nobilem*, które w Warszawie
z największym nakładem sił materyalnych i moralnych, walcząc
z oporem i jezuickim i konserwatywnym, zakładał, nauki i ćwicze-
nia towarzyskie, tańce, szermierkę i t. d.; nawet teatr szkolny miał
mu służyć za narzędzie reformy obyczajowej, obok samych wypra-
cowań piśmiennych czy dysput, w których scholastyczno-gramat-
yczne przedmioty, walkę „czasownika“ z „rzeczownikiem“ i „pro-
pozycye“ o *videor* zastąpił teraz tematami etycznymi i patryo-
tycznymi.

Nie przypadkiem tylko właśnie od Pijarów, nie od Jezuitów
wyszedł przeobraziciel planu szkolnego w nowszym duchu; trady-
cja i rutyna przygniatały u Jezuitów bardziej. I w teatrze ich szkol-
nym panowała też sama rutyna, którą przełamał Konarski, wprowa-
dzając role kobiece (choć grane przez chłopców) i czerpiąc wprost
z klasyków repertuaru francuskiego. Corneille miał od dawna wiel-
bicieli, znachodził tłumaczów, Aleksandrowicza, Czosnowskiego
i innych, poczynających sobie nieraz wcale dowolnie z tekstem;
Ottona wystawił, również tekst odmieniając, Konarski na scenie
swego *Collegium Nobilium* r. 1744, potem Polyeukta i in., potem
sam w podobnym stylu „Epaminondę“ napisał. W argumencie Ot-
tona tłumaczył się z wprowadzenia ról kobiecych, gdyż dramaty
„nigdy jeszcze bez interwencji osób białogłowskich od rozumnych
i na swym się znających rzemiosłe pisane nie były“. Spotkał opór:
Jezuita Jan Bielski, autor najlepszego podręcznika szkolnego dzie-
jów i ustroju ojczyzstego („Widok Królestwa Polskiego“, dwa tomy,
1763 r.), napisawszy kilka tragedyi, w przedmowie do „Zeyfadena
króla Ormuza“ dawnego trybu bronił, lecz za przykładem, danym
przez Konarskiego, sami Jezuici niebawem poszli i, choć na mniejszą
skalę, mógł po zasługi pedagogiczno-literackie Konarskiego Jezuita
Bohomolec sięgać; na polu dramatycznym powiększył je znacznie.
Gdy dramaty Konarskiego, wierszem białym pisane, ciężkie i su-
che, acz patryotycznym duchem przejęte (Epaminondas cierpi he-
roicznie wszelkie prześladowania, oponując się zgubnemu prawu),
monotonne mimo to, do szerszych kół nie trafiały, komedye **Boho-**
molca, z Molièra i in. przerabiane, pierwsze licznych czytelników

znalazły, gust publiczności budziły, grunt pod przyszły teatr narodowy przysposabiały. I te wprawdzie pierwotnie dla obrębu szkolnego autor przeznaczał, ale już od r. 1755 zaczęły wychodzić zbiorowe ich wydania („Komedye“, cztery tomiki, r. 1755 — 1758). Sprawiały one „autorowi“ niemało kłopotu; z uczonych „kobiet“ podzielał on „mężczyzn“ i z góry efekt komiczny zniweczył; zamiast kobiety wprowadzać, kazał o nich tylko opowiadać; kochanka, śpieszącego do łubej, a przez „natrętników“ coraz wstrzymywanego, przemienił w siostrzeńca, dobijającego się od wujaszka rozmowy o subsydyach; w *Bourgeois - gentilhomme* woźnica, loteryą zbogacony, dobijał się nie romansu z markizą, lecz tytułu hrabiowskiego i rangi admirałskiej. Jak mógł, omijał pocziwy „Rusak“ szkopały „amoryczne“, ale usunął intermedya dawne i czytelników w lżejszą lekturę pierwszy zaopatrzył. W „Zabawkach poetyckich“ i „Zabawkach oratorskich“, które imieniem młodzi kolegium jezuickiego wydawał (r. 1755 i później), umieszczał obronę języka polskiego przeciw makaronizmom, nawiązując do Kochanowskiego i do tradycji szesnastego wieku; kazał „retorom“ swoim rozprawać: przeciw cudzoziemcom, aby im się w Polsce mnożyć nie pozwalano i za nimi; iż szlacheckiemu honorowi handel szkodzi i za handlem i t. d.

Ruch pedagogiczno-literacki, któremu Konarski początek dał, szerzył się statecznie; ale to tylko jedna, choć w skutki najbogatsza strona obywatelskiej działalności znakomitego Pijara. Przyłożył on był już przed laty rękę do zbiorowego, zupełnego wydania praw polskich (*Volumina legum*); sprawy polityczne, choć sukienka zakonna go od „publiki“ wykluczała, i przełożeni, bojąc się o interesy zakonne, jemu mieszać się do polityki wprost zakazali, i tym go do wyłącznej pedagogii zmusili, zajmowały go bardzo; skoro w machinacyach sejmowych sam udziału nie brał, widz oddalony nad zaślepieniem ziomków tem gorzej bolał. Już od lat kilkunastu żaden sejm nie dochodził, t. j. każda, i najprostsza i najbawienniejsza reforma, uchwalona przez sejm z jednomyślnym aplauzem, z sejmem samym upadała; niemożliwość, niebezpieczeństwo takiego trybu raziły wszystkich tak, że pojawiały się przesadne wyobrażenia, jakoby jeden sejm doszły mógł już Polskę zbawić. I tak autor „Myśli w teraźniejszych okolicznościach Rzeczypospolitej“ (r. 1756), t. j. hetman Rzewuski, gratulując ziomkom, że król ich od burz wojennych uchronił, pytał, czy to nie spokój przed burzą; jak-

by jej też zapobiedz; powiększenia wojska, dochodów, handlu od jednego sejmu wyczekiwał; gdy ten i dalej dochodzić nie będzie, musi konstytucya a z nią wolność uleść zmianie. Ten sam hetman w komedyi swej „Dziwakowi“ Polskę słać każe, lecz dodaje:

jak tych już mało,
Którymby doszłe sejmy widzieć się dostało!
Wszak to już po dwudziestym rok piąty nastaje,
Jak się każdy sejm zrywa, żaden nie udaje.

Przeciw potworowi i zmorze *Liberum veto* wystąpił Konarski i, wysondowawszy grunt w tomie pierwszym, poparty moralną powagą różnych znakomitości, których listy i aprobaty przedrukowywał, w trzech następnych tomach rzecz w teorii przynajmniej nazawsze załatwił. Przeszedł mianowicie historję sejmowania polskiego i przy każdym sejmie wykazał, czyje to fakcye czy korupcye sejm zerwały, jakie to pobudki „cnem niepozwalam“ kierowały; potem rozbierał wszelkie od innych statystów podawane racye, które wkorzenione zło, nie radykalnie, lecz półśrodeczkami i przemycaniem, goić, a raczej na nowo wprowadzać zamierzały i wykazywał ich nieskuteczność; przechodził obce konstytucye, angielskie i inne, na dowód, że nic podobnego gdzieindziej nie istnieje; wreszcie usuwał błąd historyczny, jakoby *Liberum veto* do praw złotej wolności miłych przodków kiedykolwiek należało, wykazując, że się ono tylko praktyką, cichaczem, uzurpacją, nie zaś legalnie w sejmowanie polskie wkradło.

Konarski wychodził albo udawał, że wychodzi z zasady, że Polska jeszcze panią we własnym domu, chociaż w obrębie Rzeczypospolitej gospodarowali od dawna Münich i Repnin (ojciec posła), albo Fryderyk II, jak się im podobało, i nikogo o to głowa nie bolała. Rzeczpospolita „stała nierządem“ (jeżeli to się zowie „stać“, cóż znaczy „upadać“ — pytał słusznie jeszcze Konarski), t. j. umarła i zapomniata się tylko obalić, mawiali najspokojniej inni; słyszano trzask złowrogi, lecz ani domyślano się, że Rzeczpospolita nie stoi już o własnej sile, że burza zewnętrzna ją natychmiast przewróci; że więc wszelkie wołania naprawy i reformy były już daremne; że po sejmie niemym, nie dopiero w roku 1744 lub którymkolwiek późniejszym *Venit summa dies et inevitabile fatum*. Dźwigały się narody i z o wiele gorszych upadków — przecież *de*

nomine była Rzeczpospolita niezawisłym państwem, ale pod warunkiem zgodnego, jednolitego, konsekwentnego działania, niemożliwego w Polsce, gdzie, jak słusznie nawet Turek zauważył, prędzejby 30000 głów jedną czapką nakrył, niżby je do zgody przyprowadził. Nawet Francya, choć się ze spraw polskich zupełnie wycofała, tem bardziej potencye północne, naprawy Rzeczypospolitej nie dopuszczwały!

Konarskiemu, *sapere auso*, dzieło jego wielki zaszczyt przyniosło, chociaż, znarowionemu narodowi szlacheckiemu, poświęcającemu sprawę ogółu prywatnie, ledwie oczy otworzyło; jeżeli można było „Niepozwalam“ usunąć, skutków fatalnych, zatrucia organizmu tym jadem, już nie usunięto. Słodzono je sobie przecież od wieków, wynajdywano dlań najponętniejsze sofizmy, np. ponieważ jedno ciało stanowimy, musimy jednomyślnie postępować — tak wprowadzał Matuszewicz żądanie *unanimitatis*, nawet tam, gdzie dotąd *pluraritas votorum* rozstrzygała! I odpowiadało duchowi „narodowemu“, że dla mylnego wydrukowania tytułów błazna jakiegoś można było zahamować funkcjonowanie jedynej organizacji państwowej; ba, szlachta sama w instrukcyach sejmikowych kładła nieraz głupie partykularia *sub discrimine activitatis*, groziła więc z góry, w Proszowicach czy Łatyczowie, zerwaniem walnego sejmiku warszawskiego czy grodzieńskiego! zresztą, gdyby nawet sejm doszedł był, uchwały jego nie obowiązywały nikogo; jeżeli już roku 1514, za Zygmunta Starego, szlachta drwiła z jednomyślnej uchwały sejmiku walnego, a od króla za to tylko upomniona została, któż byłby roku 1744 o sejm się troszczył?

Wiekowa anarchia wyżyła więc każdą myśl polityczną narodu; literatura polityczna, głos wołającego na puszczy już w wieku XVI, za Sasów przebrzmiewała, tem mniej słuchana, w zrezygnowanej apatii, w kwietyzmie, letargu, ogarniających coraz widoczniej naród szlachecki, a niebezpieczniejszych o wiele, niż jawne przekupstwo i zdrada.

Rosły jednak zasoby kulturalne. Francya, jak jej słabo podtrzymywany pupil, król Stanisław, przegrała sprawę polityczną, wygrała umysłową; ani „Kundys“, jak go mili Mazurowie nazywali, ani Leszczyński nie zajęli tronu polskiego, który w dziełach sztuki, w polorze, obyczajach, literaturze, mowie miał jednak przypaść niepodzielnie Francuzom. Szerzenie się francuszczyzny stało się wybitną cechą już za Sasów, na razie niewielu, ale najlepszą głowom

spólną. Konarski wprawdzie, który młodością i wychowaniem jeszcze w najgrubszym makaronizmie i panegiryzmie tkwił, sam się z niego powoli, choć nie we własnych listach, grzeszących dawnym nałogiem, otrząsał, od Francuzów się uczył i ich naśladował, chociaż głównie jeszcze ku łacinie zwrócony, pisał i ody i dzieła łacińskie, tylko dla najszerszych kół przeznaczone rzeczy w narodową szatę przebierał. Ale byli obok niego inni pracownicy, światli, czynni, poświęceni, biorący rozbrat z tą łaciną lub wyjątkowo się nią posługujący.

Najznakomitszy między nimi, nieporównany z nikim, wyjątkowy w umysłowości polskiej objaw, dziwny, pełen sprzeczności, nie bez słabostek, a mimo to człowiek wiekopomnej zasługi, nieustrudzony i niezrażony, charakter wielki — **Józef Jędrzej Załuski**. Familia wzniosła się świeżo, po Jabłonowskich, liczyła wielu dygnitarzów kościelnych; kanclerz, Andrzej Chryzostom Załuski, wydał był obszerny zbiór listów (i niby listów), rozświetlający dzieje z końca XVII wieku i tłumaczył w wygnaniu królewieckiem nieskończone ascetyka, francuskie i jezuickie; i inni Załuscy mieli literackie zakusy, byli światli bardzo, jak biskup krakowski, co o filozofie Wolfie dla Krakowa marzył; wszystkich prześcignął referendarz koronny, późniejszy biskup kijowski i eksulant w Kałudze. Nie wiedzieć, co raczej u niego podziwiać: nie był na świecie, kto by sam jeden więcej książek kiedykolwiek zgromadził, ani kto by więcej przeczytał, ani kto by taką pamięcią się odznaczał; i rzadko kto na więcej polach był czynnym: jako wydawca wszystkich możliwych autorów, dawnych i współczesnych, jako bibliograf, który objął całą dawną literaturę, jako budzieli ruch umysłowego towarzystwami i „akademiami“, jako pisarz wierszem i prozą, krytyk i poeta, historyk i satyryk, jako założyciel największej biblioteki na Wschodzie europejskim, któremu zawdzięczamy ocalenie tylu rękopisów polskich, niechybnie skazanych na zagładę, gdyby Załuski nie był ich wyprosił, skupił lub dostał. I starczył on jeden swemu narodowi i za akademię i za bibliotekę; co dziesiątki gdzieindziej robiły, temu podolał on sam; nawet najlepszy słownik polski, Troca, jego głównie pracą urosł. Zebrał on kilkakroć stotysięcy druków i rękopisów, a każdy przejrzał, podał jego treść i wartość, choć u bibliomana wzgląd na rzadkość często przeważał, którą krzyżykami i gwiazdkami oznaczał, gryzmoląc na tytułach najcenniejsze uwagi, z których w tej książce nieraz korzystano.

Pięćdziesięcioletni zawód jego literacki przechodził rozmaite fazy; za młodu pisywał wiersze, fraszki, facecye, z których wybrańsze później drukował; próbował sił w historyi i obalił autentyczność rokoszu gliniańskiego; tłumaczył i pisał oryginalne dramaty, których treść nieraz dawny dramat szkolny nadto widocznie przypominała (np. dramat „Witenes“ o cudzie z hostyą św., przez Litwina podeptaną, mszczącą zniewagi); on to wytłumaczył ów dramat Diderota, „Nędzę uszczęśliwioną“, który pierwszej operze polskiej za libretto posłużył („Obraz nędzy ludzkiej“, tragikomedia etc., wedle Diderota, wydana „nakładem Towarzystwa litteratów w Polsce ustanowionego“ roku 1768 „pod niebytność — !! — autora“, który nb. w Kałudze psalmy wygnańcze w najcięższym udręczeniu układał). Jedno z ciekawszych jego pism, to „Próba pióra nowego w trzech starych satyrach“, przeróbka „Wodopija“ (Boileau’a), zastosowana do polskich stosunków, z dodatkiem własnych wierszów, gdzie humor staropolski, choć strasznie niewybredny, w okazach się prezentuje, godnych Potockiego, Kochowskiego i Paska. Niektóre wiersze malują stosunki literackie; gdy wiersze pisać zaprzestał, strofowali mnie przyjaciele, gdy na ich nalegania do pobożnych i poważnych się zabrał, ganili je: to zabawy mnisze, aż nadto psalmików mamy w naszym języku; gdy tłumaczył satyry, Owena, i to się nie podobało, więc dałem pokój:

Wierszów niezheblowanych mam jeszcze szufladę,
Świat ich nie ujrzy, chyba gdy z niego odjadę!

wyliczał dawnych poetów (ukochanego Kochanowskiego) i nowych:

Wszak i wiek terazniejszy zaszczyca Dębowski,
Wiceprimas, i Wielki Koniuszy Myszkowski,
Z rodzonym swoim bratem, zacnym Wielopolskim,
I Drużbacka w Parnasie nowa muza polskim.

Dowodził swoim przykładem, że najtrudniejsze rzeczy można wyrazić rytmem polskim „byle kto nie żałował strawionego czasu, poskrobanej głowy i pogryzionych paznogciów“; już to smaku pan referendarz nie miał żadnego, chociaż Francuzów (ody Rousseau i t. d.) w zawody tłumaczył, zwrócony całkiem w stronę „tłustego“ wiersza, Potockiego, i „zatoczystego, gładkiego“, Morsztyna.

Jego cztery tomy „Zebrania rytmów przez wierszopisów żyjących lub naszego wieku zeszytych pisanych“ obejmowały wiersze Drużbackiej, własne, Minasowicza i innych (od r. 1752); poprzedziła je Biblioteka polska, w której wydał „Argenidę“ Potockiego, i „Bajki“ Jabłonowskiego. W „Bibliotece“ łacińskiej wydał konспект poetów polskich i ich dzieł, a więzienie smutne Kałuskie znosił, układając z głowy w wierszach białych „Bibliografię poetów, historyków polskich i t. d.“, jakich w Warszawie zostawił. Mimo olbrzymiej wiedzy i rozległych stosunków z zagranicą, jak w rzeczach smaku staropolszczyzny nie zrzucił, tak i w rzeczach wiary, naśladowując stryja, biskupa warmińskiego, pozostał fanatykiem i więzieniem ciężkiem to przypłacił, w tem więzieniu dopiero nieugiętość charakteru okazując. Sama możliwość takiego typu w Polsce dowodziła wysokiej, dawnej, dobrej uprawy tej ziemi.

Do najbliższego grona Załuskiego należeli Minasowicz, kanonik kijowski, Ormianin, wierszopis nieznudzony, zdolniejszy, niż Załuski, który jego wierszów wychwalić się nie mógł i autora wszystkimi siłami promował; i Sas Janocki (Jähnisch), którego Załuski z Drezna sprowadził i bibliotekarzem zrobił, pierwszy polski bibliograf, zdający sprawę to z rzadkości drukowanych i rękopiśmiennej biblioteki, to o autorach i dziełach spółczesnych, przyczem trybem wieku najwyższych pochwał nikomu nie skąpił; obaj pożyteczni pracownicy, Janocki, kładąc podwaliny bibliografii polskiej, Minasowicz budząc tłumaczeniami życie literackie, sięgając jeszcze głęboko w czasy Stanisława Augusta, uprawiając wszelkie pola, próbując się nawet wraz ze swoim mecenasem w makaronach, zresztą już nowszy smak, większą ogładę wykazując.

Obok tych sekretarzów niemal przybocznych, literackich, znosił się Załuski ze wszystkimi poważniejszymi statystami wieku. Głównie cenił biskupa płockiego, Antoniego Dembowskiego, który za młodu poważne i żartobliwe wiersze pisywał (jeden z nich drukowany p. t. „Punkt honoru“, satyra o fałszywym jego pojmowaniu), a potem do politycznych opisów Polski się zabrał, *Mémoires sur le gouvernement de Pologne*, tłumaczone na niemieckie i rosyjskie, dopełniające niby dawniejsze opisy autorów-Prusaków, Brauna i Lengnicha. Utrzymywał Załuski stosunki z uczonym Wielkim Koniuszym Litewskim, Udalrykiem Radziwiłłem, który po matce chyba, Zawiszance, talent i gust do literatury nadobnej oddziedziczył, chociaż w druku rzadko występował (są rzeczy jego w Zebra-

niu rytmów i indziej, np. „Oda animująca monarchów wojujących do pokoju“, przed zawarciem tegoż pokoju w Hubertsdorf napisana; „Słowo Nic w swojej przyzwoitości opisane“, rzecz niesłusznie ośmieszona, zabawka filozoficzna na temat „Nica“, z którego autor i istnienia Boga dowodzi). Najwięcej pozostało po rękopisach, między niemi tłumaczenia tragedyi francuskich (np. Medei „Korneliusza“) i komedyi „Ezopowej“ (Boursaulta), ze znakomitym ustępem białoruskim, gdzie „Piero“ skarży się na Żakieta, gdy

Pościeroh sia, że Żakiet zadrwiw, że nielohko
Sam śmietanu wziaw, mini zostawiw małoko...
Oś ja durnyj w takoje lichu zapłutawsia,
I pa prawdzie skazauszy Ciabie prosić muszu,
Niech jon wezmie da siebie krauku i ciałuszu...

Pisał on i satyry, o francuskie się opierając, stosując je, jak Załuski i do rzeczy polskich, nie tylko przeciw starym zalotnikom (w formie dyalogu), przeciwko krytyce i modom, ale i przeciw dworowi i dworskim, przeciw obmowcom, bijąc na Sasów u dworu, na Brühlów i spółkę i ich uroszczone tytuły; oprócz tego dyskurs o szczęśliwości życia i o mizeryi ludzkiej i t. d.; trudy pisania dzieliła z nim żona, przekładając np. wierszem polskim z francuskiego „Wyroki życia ludzkiego“ (dla nauki własnych dzieci) i inne.

Najwyżej stanął między tymi poprzednikami panowania francuszczyzny hetman wielki koronny i kasztelan krakowski, **Wacław Rzewuski**, ostatni z szeregu najwyższych dygnitarzów, trudniących się literaturą. Wydał on, oprócz mów i listów, Zabawki wierszem polskim pod imieniem syna Józefa r. 1760. Prócz opisowych wierszów (gaj, łąka i t. d.) i dydaktycznego „O nauce wierszopiskiej“ mieścił ten zbiorek dwie komedye i tragedye, w stylu francuskim; z zachowaniem jedności akcji, czasu i miejsca (o co Radziwiłłowa nigdy nie dbała), próbując ich poraz pierwszy w rzeczach oryginalnych, narodowych.

„Dziwak“ odgrywał się „w Domkowcach na Polesiu“; dziwaka - mizantropa, niezadowolonego ze wszystkich i wszystkim, leczyła miłość; „Natręt“ w Warszawie, gdzie natrętnego zalotnika, zadłużonego, udającego bogacza, Umizgalskiego, Statecki ze względów Modesty i Staruszkiewicza wysadzał; komiczne role służących monotonność sztuki nieco łagodziły; język poprawny i gładki, choć „dam se radę“ i „wybij se to z głowy“ i innych drastyczności nie

brak. Wyżej wznoszą się obie tragedye, pierwsze z dziejów polskich, Żółkiewski i Władysław pod Warną; „dla ułagodzenia prze-rażającej żalem tragedyi“ wplótł autor, za przykładem francuskim, romans Złotopolskiego, z Praksedą, córką wojewody Gracyana, zaręczonego, podczas gdy zazdrość siostry, Salomei, i zdrada Tom-szy „obraz serc złemi żądzami zepsowanych wystawia oczom czy-telnika...“ W Władysławie „serc zepsowanych“ niema; Władysław i Zawisza kochają Emilianę, sprzyjającą królowi — król umiera pa-miętny jej serca, słodką tajemnicę Korwinowi do ucha szepnąwszy, który ją wraz z wieścią o klęską, spowodowaną złamaniem przysię-gi, Emilianie odnosi; obie tragedye obfitują w sentencye i senty-menty, w bohaterów czułych i bohaterki wstydlive; postęp w poró-wnaniu do Radziwiłłowej, był nadzwyczajny, chociaż Rzewuski w komedjach Bohomolca bynajmniej nie przewyższał.

Na tych wyżynach towarzyskich otaczali Rzewuskiego kształ-cący się na wzorach francuskich, Wielopolski, tłumaczący Woltera, nie występujący z tym jednak publicznie, i inni, aż do Kąckiego, jeneralnego starosty podolskiego, tłumaczącego bardzo zgrabnie najnieskromniejsze wiersze Russa, albo czerpiący i ze źródeł łaciń-skich, jak poważny kanclerz litewski, Sapieha, tłumaczący historię rewolucyi rzymskich, słynne wówczas dzieło akademika Vertota, piszący troje niewidy o orderze Białego Orła, o cudach Kodeńskich, ale bogata biblioteka (dziś w Petersburgu) świadczyła lepiej o zaję-ciach kanclerza.

Umysłowość francuska robiła różne postępy, i między wyż-szem duchowienstwem, które wzrastającą obojętność ku wierze je-szcze ukrywało. Na nizinach zato panował straszny mrok, nieświa-domość zupełna przewrotu, dokonywającego się na Bożym świecie. Tu wystawiano wszystko i wszystkich, aż wydarł się krzyk rozpa-czy z piersi satyryka (Naruszewicza):

Wszystkich chwalim, iż dobrzy i świeccy i księża,
Jednak giniem bez skarbu, rządu i oręża!

tu popłacała ascetyka: do morza jej dolewano coraz nowych „psal-mików“, rzeczy oddawna dobrze przetłumaczone, tłumaczono po-nownie, znacznie gorzej, np. wojewoda Żaba Jezuity Hugona „Po-bożne pragnienia“, chociaż marszałek Lacki w XVII wieku je w o wiele ozdobniejszym wierszu literaturze przyswoił i na licznych

przedrukach nie brakło — nawet Załuski się do nich na nowo zabierał; Tomasza a Kempis Trzebieński (na życzenie Róży Krasińskiej) wierszował, chociaż Grochowski przed stu kilkunastu laty lepiej to zrobił i t. d.

Zatracały się w tej panegirycznej i ascetycznej literaturze wszelkie tradycje i zdobycze XVII wieku: obok najdziecinniejszych wymysłów wracano do najpodlejszych rymów; zapominano nawet poprawnej pisowni: np. Jerzego Eysymonta „Źródło życia z łez Maryi Panny“ i t. d. (r. 1756, tłumaczone z łaciny Konarskiego) pisze stale: nad to szopko, stanół, samo istoto, przekłoł (przeklął), podzielo, wziowszy, zginela, skączonych i t. d. — w druku, nie w rękopisie! i barbarzyństwa tego nie okupił on drastycznymi scenami z życia Maryi, jak ją słudzy kościelni ofuknęli, albo o Judaszu, jak go żaden żywioł przyjąć nie chciał. A Eysymont to nie wyjątek, lecz reguła niemal.

I mimowoli, przypatrując się takim książkom, dziwacznym, jeśli nie podłym albo potwornym, co do treści i formy, przypominamy ówczesną czeską literaturę, upadłą jeszcze niżej, zatracającą wszelkie poczucia językowe, skazaną widocznie na zagładę, na pochłonięcie przez żywioł obcy; polskiej nie zagrażała jednak obczyzna, zamierała ona sama.

I brnął dalej naród szlachecki w ciasnocie i ciemnocie umysłowej, usypiając własne zdolności i wyższe porywy, wdrażając się w ową inercję i apatię, która niebawem z rezygnacją, chyba mahometąską, bez oporu, bez zrozumienia nawet, o co chodzi, ciosy najsroższe przyjmować miała, z odrętwiałością czy obojętnością, najbardziej groźną dla przyszłości narodowej. Obok tej znarowionej, zniedołężniałej, gnuśnej większości wyrabiali się jednak od dawna coraz czynniejsi, coraz liczniejsi budziciele ducha: do nich, na razie odosobnionych, nie zwartych w szeregu, nieraz nawzajem o sobie niewiedzących, należała przyszłość; oni mieli wyrwać naród oporny i niechętny z zastoju i mroku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

ODRODZENIE.

Król i społeczeństwo. Satyryczna i dydaktyczna cecha literatury: Krasicki i Naruszewicz; Piotrowski i Juszyński; Trembecki i Węgierski. Liryka, Karpiński i Książnin. Komedya, Zabłocki, Niemcewicz, Bogusławski. Literatura polityczna, Staszic, Kollątaj, Jezierski. Wpływy francuskie: tłumaczenia. Komisya edukacyjna. Żywioły wsteczne; żywotność literatury ascetycznej, autotytetu łaciny, sarmatyzmu. Pamiętniki. Wywody ogólne o literaturze dawnej.

Jak ze śmiercią Zygmunta Starego, tak i ze śmiercią Augusta III rozległy się hasła nowego całkiem porządku. Z Zygmuntem zstępowała do grobu Polska katolicka, monarchiczna, humanistyczna, aby powstała protestancką, republikańską, narodową; z Augustem chowano Polskę sarmacką, anarchiczną, dewocyjną, a budowano rządą, oświeconą, wolnomyślną. Nie wszystkie hasła spełniły się jednak w równej mierze, ani po 1548 ani po 1763 roku; przemógł wtedy konserwatyzm i potoczył się rydwan Polski w dawniej wytkniętych kolejach, w katolickiej i anarchicznej, aż zagroziło zupełne jego rozbitcie; dopiero roku 1764, o wiele zapóźno, miano go zahamować, poprowadzić nowymi torami. I znówu przemógł konserwatyzm; tym razem jednak tryumf jego nie był ani zupełny ani trwały; nie zatarł on ani na chwilę postępowej cechy, jaką się nowe rządy wyróżniały od samego początku; nie przeszkodził on w końcu zupełnemu odrodzeniu narodowemu, dokonanemu na polu umysłem.

Na odrodzenie polityczne, na stworzenie nowego ładu i zapewnienie bytu, nie starczyło jednak czasu. Z początku, nawet grożące coraz widoczniej niebezpieczeństwo, pierwsze zamachy na całość państwową, wieszczące coraz nowe, nie otrzeźwiły ani porwały narodu szlacheckiego, w wiekowej anarchii, w zrzucaniu interesów ogółu i dobra pospolitego na plan ostatni, w popieraniu spraw czy widoków osobistych, choćby za pomocą obcych, odwykłego od polityki celowej i zadań większych, od niezbędnej karności, ofiarności i zgody; energią i konsekwencyą w przeprowadzeniu pomysłów i tak on nigdy nie grzeszył. Jeszcze i po pierwszym rozbiore, wieszczącym katastrofę, pocieszał się lekkomyślny optymizm nadzieją, że zazdrosna podejrzliwość potencyi północnych, jednej przeciw drugiej, pozostanie i nadal tą tarczą, za którą Polska spokojnie ulegnie; również łatwowiernie łudzono się coraz nowymi kombinacjami politycznymi i przymierzami niewypróbowanymi; wpadano z jednej ostateczności w drugą; nie umiano się skupić i przeczekać lat kilku; instynkt nawet nie ostrzegał o tem, skąd groziło największe niebezpieczeństwo. Na domiar złego zasiadł Piast na tronie polskim, t. j. człowiek bez powagi i związków, bez punktu oparcia wewnątrz i na zewnątrz; Piast, wygodny dla potencyi sąsiednich, niemożliwy dla Polski — nawet gdyby był człowiekiem innej miary, niż p. stolnik litewski.

Stanisław August posiadał wszelkie przymioty ogłady towarzyskiej; wykształcony i wymowny umiał przybierać i udawać powagę; instynkty miał szlachetne, serce dobrotliwe, chęci najlepsze, rozum nie powszedni; reprezentował wybornie monarchę. Lecz monarchą nie był, przynajmniej nie takim, jakiego konająca ojczyzna wymagała; brakło mu energii i konsekwencji; dawał się powodować każdej silniejszej woli, nawet przeciw własnemu przekonaniu czy doświadczeniu; nad żadną sytuacją nie zapanował nigdy, przystosowywał się za to do każdej. Trzydzieści lat służył on za firmę tym, którzy państwem kierowali, t. j. agonię jego przyśpieszali i nie zdobył się nigdy na krok samoistny, krępowany wszystkiem, nie najmniej długami, i skończył, jak zaczął, bez godności, zsadzony tą samą ręką z tronu, która na tron lalkę wsadziła. Można też było i o królu i o narodzie szlacheckim powiedzieć z poetą:

nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi!

Skorupa tej lawy nie utworzyła się dopiero za Stanisława Augusta, zsiadała się ona od dawna, a stwardniała za Sasów. Że zaś wewnętrznego ognia nie nie wyziębiło, do tego przyłożył się gorliwie, ile sił stało, i pan stolnik litewski, król melancholiczny.

O wawrzynach wojennych, choćby ojca swego, nigdy nie zamarzył, tem bardziej natomiast o wawrzynach Kazimierza Wielkiego, chociaż królem chłopków nigdy siebie nie pojmował; jak ów Polskę murowaną zostawił, objawszy drewnianą, tak on z mroków saskich na światło dzienne ją wyprowadzał. Staranne wykształcenie francuskie — po francusku pisał król i swe pamiętniki, niekłamane zajęcie rzeczami umysłu, poloru i smaku, szczególniejszemi, błyskotliwszemi, teatrem francuskim, dziełami artystów obcych, Grassi czy Bacciarelli, świadomość wielkiego zacofania krajowego i chęć wydobycia się, nadały panowaniu jego cechę właściwą, odbijającą od absolutnej nieproduktywności owych saskich figurantów na tronie polskim, bezsumiennych intrygantów, albo ociężałych mantelzaków, *terrae inutile pondus*. Wytrwałym pracownikiem król nie był; żadnej roboty nie dopilnował, spychał na innych co trudniejsze a niepozorniejsze, sprawy edukacji narodowej, nawet teatru polskiego; kosztyłożył nieopatrznie, oszczędności nie znał i kłopoty finansowe trapiły go realniej, niż kłopoty rządzenia; za to mecenasował sztuce i literaturze, utrzymywał i dyplomację i szkołę orientalną, patronował każdemu przedsięwzięciu, dążącemu do podniesienia ładu czy dobrobytu, chociaż ani Tyzenhauza ani Zamojskiego nie podtrzymał: runęły przedwczesne, forsowne nakłady, upadł kodeks praw dla sprawy włościańskiej; za to na obiadach czwartkowych „uczonych“, król wszystkie zastępował ekspensa „dowcipu, wiadomości i wina i mięsa“.

Poprzednicy jego opiekowali się literaturą dorywczo; nie skąpili tytułów sekretarzów królewskich, a nawet jurgieltów historyografom czy poetom, choćby obcym, jak Władysław IV Ślęzakowi Opicowi — Stanisław August pierwszy systematycznie literaturą piękną, umiejętnościami i sztukami się zajmował i do tego pobudzał; nie było innego króla, którego inicjatywie osobistej tyleby literatura zawdzięczała; ponieważ zaś własnych czynów nie było wiele co sławić, zwracał król pióra, pędzel i dłuto ku sławieniu przeszłości.

Za przykładem królewskim zapanował nowy polor francuski najpierw w Warszawie, a za nią i w Polsce. Warszawa teraz do-

piero zaczęła rzeczywiście promieniować na cały kraj, skupiwszy poraz pierwszy najlepsze jego siły, przyciągane dworem, stałą rezydencją, bo za Sasów była Warszawa rezydencją, chyba gdy sukcesy wojenne Wielkiego Fryderyka z Drezna kurfirsztą wygnały, zresztą kończyła się rezydencja królewska nieraz samą Wschową. I wyłoniła się Warszawa z reszty miast polskich; gdy tamte, nie wyłączając Krakowa i Lwowa, podnosić się nie zdążyły, zabudowywała, porządkowała i bogaciła się, a chociaż jej przemysł, od zegarmistrzów do drukarzy, jej handel, od winiarń do banków, i jej sztuka, teatr, koncerty, malarstwo przeważnie obcymi stały, chociaż zwiększyła się liczba Niemców, Włochów i Francuzów, nabierało miasto coraz centralniejszego znaczenia dla kultury polskiej; teraz dopiero wabił i nęcił gród syreni i nie wypuszczał, kogo raz przygarnął; Karpiński był wyjątkiem.

Kultura nowa była, jak w całej Europie, francuską, od mody w ubiorze, tańcach, obsłudze i budowlach począwszy, aż do cech rdzennych ducha, literatury i języka. Poraz pierwszy otworzyła się Polska na oścież tym wpływom. Kiedy z boskiej Francji najpierw i najdonioślej prawdziwe światło wiedzy na Europę biło, w XII i XIII wieku, Polska, w cywilizacji nadto młoda, a przestrzenią zbyt oddalona, do tego światła garnąć się nie mogła; później wydarły już inne narody, jak Włochy, Francji ster umysłowy i włoskim bogom kłaniała się Polska, z Francją tylko polityczne nawiązująca stosunki. Nie ścieśniły się te nigdy zbyt, mimo francuskich królowych i decydującego wpływu posłów francuskich; ale z Ludwiką Maryą i Maryą Kazimierą szerzyły się u dworu i u wzorujących się na nim magnatów język, literatura, obyczaj francuski, rugowały włoski i, mimo wzrastającego ociągania się dworu wersalskiego od energiczniejszej francuskopolskiej polityki, stopniowały się rychło za Sasów, za walnym przyczynieniem Leszczyńskiego. Za Paryżanina Poniatowskiego sfrancuział dwór zupełnie; za dworem poszli Braniccy, Czartoryscy, Potoccy i inni — tylko Panie Kochanku przy sarmatyzmie wytrwał. I rozszczepiała się ponownie Polska; obok szerzącej się francuszczyzny, czem dalej od Warszawy i wielkich dworów polskich, tem oporniej trzymał się sarmatyzm dawny.

Stanowiły go nie tylko barwne kontusze i lite pasy, wąsy zawiesziste i łby wygolone, wschodnie karabele i kity, lecz wszystko, co przesądem, rubaszością, złym nałogiem tchnęło, pieniactwo i pijaństwo, brak ogłady, wyłączność stanowa i narodowa, nieza-

chwiany autorytet rodzinny, tyrania domowa, religijność przesadna, nieuctwo, barbarzyństwo stylu w wymowie i liście. U sfrancuziałego Polaka miejsce tych wad nie zajmowały same przymioty; z większym polorem, z wyrafinowaniem w obejściu i mowie, z obcą szatą i gwarą łączyły się nadto często próżność i wietrzność, modnisiostwo, lekceważenie moralności i obowiązków, powierzchowność w wiedzy i sądach, a szulerka, kobiety i podróże rujnowały teraz zasoby domowe rychlej i gruntowniej, niż dawniej *hungaricum*, pozwy i sfory ogarów.

W nadzwyczajnym zbytku, w życiu wielkopańskim, w kosztownych budowach nowych, iście książęcych rezydencyi, rugujących dawne dwory i dworki modrzewiowe z ich skrzyniami gdańskimi i makatami tureckimi, nadwierały się fortuny olbrzymie, a topniały mniejsze z przerażającym pośpiechem; ludzie szaleli, trwoniąc pieniądze na zbytki, skąpiąc ich ojczyźnie.

Najbardziej razila przemiana u duchownych: dawną gorliwość wiary zastąpiła obojętność, nie siląca się nawet na utrzymanie pozorów; tylko wiekowa, głęboko wkorzeniona tradycja zapobiegła zupełnemu osunięciu się stanu duchownego; rozluźniła się karność, zaostrzyły się przeciwieństwa i, chociaż konserwatyzm narodu szlacheckiego popędy antyklerykalne hamował, staczał się ten naród widocznie po pochyłości indyferentyzmu religijnego, wysiliwszy się świeżo w konfederacyi barskiej, na którą się niższe warstwy szlacheckie przeważnie składały, na obronę katolicyzmu, niepodzielnie w kraju panującego, odpychającego równouprawnienie innych wyznań.

Najlepiej wyszły na tej przemianie kobiety: zewnętrznym wymaganiom nowych form czyniły one jeszcze lepiej zadość, niż mężczyźni, już dla samych darów przyrodzonych, więc przejęły się nimi rychło, wydobyły się na świat wielki, brały czynny udział w życiu publicznem (choćby „kwochy“ królewskie), rzuciły zacisze niemal klasztorne, w jakim się dotąd chowały, i przygotowywały się do nowej roli, nowego znaczenia w przyszłości, chociaż okupywały nieraz przymiotami rzeczywistymi pozorne zdobycze. Dawny typ matron polskich bynajmniej jednak nie wygasł, liczył zawsze znakomite reprezentantki (Sanguszkowa i in.); przeciw modnym „Elżbietom“ stawały „anioły“.

O wiele głębiej wystąpiło to samo rozszczepienie na polu literatury i nauki. Zmieniły one i ducha i formę; trzeźwość i jasność

wyrugowały napuszonosc i zawilosc; czystosc języka i poprawnosc formy zastapily pstroczna niewybredna i dzikie pomysly; jeszcze bardziej oddalila sie nowa tresc od dawnych wzorow. Literatura, choc glownie przez duchownych, jako cieszacych sie gruntowniejszym wyksztalceniem, uprawiana, zeswiecczyła sie zupełnie, w tonie, stylu, formie; sami duchowni nie wahali sie osmieszac dawnego trybu.

Wybitny udzial duchownych nadal osobliwsza ceche, kaznodziejska i nauczajaca, tej literaturze; sprawil, ze przewazal w niej zywiol dydaktyczny i satyryczny; zarazem jednak ustrzegł on te literature od zupełnego sfrancuzienia i od zbyt naglych przeskokow. Literatura za Stanisława Augusta, mimo oddziaływania wzorow francuskich, francuska bynajmniej nie byla, jak np. literatura Księstwa Warszawskiego. Najwybitniejsi jej przedstawiciele, Krasicki czy Naruszewicz, byli twardymi latynistami, Krasicki ubolewal nawet pozniej nad upadkiem łaciny po szkołach nowych; przejeci duchem augustejskich pisarzow nie mysleli oni wcale o ślepej naśladownictwie wersalskich; chociaz podawali sie wpływowi francuskiemu, wstawali sobie swobode, cofajac sie ku prawzorom wspólnym. Boileau, Lafontaine, Voltaire nie byli wyłacznyimi arbitrami w dziedzinie gustu, satyra Juwenala i listy Horacego czy zwiezlosc Fedra albo proza Liwiusza i Plutarcha staly co najmniej na rowni.

Obok łacinskiego jej charakteru odznaczal te literature wybitny duch obywatelski i tem samem znowu nie dopuszczal zupełnego jej sfrancuszczenia: pisano nie dla wymagan estetycznych i nie dla schlebiania gustom czy ludziom, lecz dla pożytku pospolitego; nie igraszki to dowcipu, lecz sluzba publiczna; oddawano sie jej tem gorliwiej i niepodzielniej, im trudniejsze stawalo sie sluzenie jej na kazdem innym polu.

Mogla wiec literatura Stanisławowska wprost nawiazac do literatury Zygmuntozkiej, do Kochanowskiego przedewszystkiem: wiersz, pisany w r. 1770, nie byl dalszym ciagiem wierszow z czasow saskich, z r. 1750, lecz forma, językiem i duchem laczył sie z wierszami, o dwa wieki starszymi, z „Satyrem“, z „Psalterzem“, z „Trenami“; Kochanowski nabieral nowej zywnosci; ignorujac poprzednikow bezposrednich, pomijajac sredniowiecznosc saska, wznawialo sie lepsze tradycje dawnej, swietnej przeszlosci. Obowiazujac teraz na nowo przepisy, normy jakies, tym razem francuskie; upada anarchia stylowa; epepeje skleca sie wedle Henryady,

jeśli narodowa i poważna, — jeśli humorystyczna, wedle Boileau; poema opisowe wedle Delila; komedję pisze się za Molierem czy Regnardem — do oryginalnej tragedyi mniej się zabierano; w sielankach i odach, listach i elegiach, acz słabszy, smak ten sam. Panują więc inwencye i maszyny alegoryczne w eposie; trzy jedności, czasu, miejsca i akcji, w komedyi; górnosc w odzie, kłiwosc w sielance, dowcip w liście. Obok Francuzów szanuje się Włochów, wpływa Gessner, przeważają Rzymianie — literatura piękna, bynajmniej nie wydana jednostronnej manierze, waruje sobie sobie swobodę swoim eklektyzmem; nie zaciera wszelkich śladów swojskości i samodzielności.

Co do ducha, odpycha ona wszelki fanatyzm i nasiąka humanitarnością; karci ostrowybyryki samowoli, ucisk poddanych i służby, ujmuje się za ludem, traci wiarę w prerogatywy Jaśniewielmożnych, przysługujące im już w kolebce, wymaga zasług osobistych. W epoce przełomowej, gdy stare zakorzenione obłędy walczą z nowymi, zaostrza się jej zmysł satyryczny i spostrzegawczy; w epoce, ubóstwiającej rozum i rozagę, od nich jedynie wszelkiego zbawienia oczekującej, *aimez donc la raison* Boala staje się jej kotwicą; *le bon sens* jedyną zasadą, posuniętą do oschłości, nieuznającej obok siebie ni fantazyi ni uczucia, dopuszczającej co najwyżej tkliwą, a raczej ckliwą sentymentalność. W takich warunkach, z takimi przymiotami, występuje ta literatura do walki z dawną zaśniedziałością ducha i stylu, języka i formy.

Na czele walczących stanął nadzwyczaj utalentowany, chociaż wcale nie do walk stworzony, **Ignacy Krasicki**, godny czasów Stanisławowskich poeta, poddany, stworzony na podobieństwo króla swego pierwszego, nie na wzór Fryderyka W. Duchowny bez powołania, umiejący zachowywać jako tako pozory, rzucił niebawem i „dworszczyznę“, „szarlataństwo dworskie“, chociaż ten zawód obrał dla „uszcześliwienia domu“ swego, hrabiowskiego wprawdzie, lecz skutek działań licznych podupadłego, mimo koligacyi najświetniejszych; korzystając z szybkiej promocyi i szczęśliwego zbiegu okoliczności, unikał ksiązę biskup warmiński walk politycznych z przekonania, a pierwszy rozbiór kraju, niby ten indyferentyzm uprawniał. Omylił się król, jeśli promowując go wcześniej, liczył na polityczne poparcie; nie omylił się, licząc na doniosłość jego pracy; tą odwdzieczył sownie Krasicki dostojęństwa, jakie nań z całym innem tytułu spadły. Biskupi warmińscy w dziejach lite-

ratury polskiej zapisywali imiona swe złotemi czcionkami już dawniej, od Dantyszka, Hozyusza i Kromera do Andrzeja Załuskiego; najwyżej wzniósł się Krasicki; dziełami wywarł wpływ potężny; głosu jego słuchało społeczeństwo całe, nie tylko bracia cechu pisarskiego; na raz obranej drodze, nie znużony, nie rozpaczający, choć wszystko zawiodło, wytrwał do końca.

Zaszedł już w lata Krasicki, znany publiczności chyba z niepodpisanych artykułów w Monitorze, nim wystąpił z większymi rzeczami; największa płodność przypadła dopiero na rok 1775 — 1779, od wydania Myszeidy do wydania Satyr; dopiero odtąd datuje też niepodzielną powagę jego w literaturze.

Myszeidę stworzył Ariosto, jeden z ulubieńców poety. Wybór był tylko na pozór dziwny czy dziwaczny; zejść na prostego tłumacza, jak Piotr Kochanowski, zaprządz się do przydługiej chryi nie było rzeczą modnego śpiewaka, pomnego, że moda tylko krótkie kazania i wiersze znosi; należało więc utworzyć coś niezbyt wielkiego a swojskiego w guscie Ariosta, nęcącego łatwem rzucaniem materyi, wplataniem dygresyi, moralizowaniem, dowcipem i fantazyą. Do wyboru nie zostawało więc wiele tematów, a przypomnienia różnych batrachomyomachii i innych żartobliwo - heroicznych poematów nasunęły temat Popielowy. Jeśli miał autor pierwotnie i alegoryę polityczną na myśli, o czemby wątpić można, znając Krasickiego, stroniącego od polityki i wszystkiego, co jej, to zwichnął ją sam w wykonaniu, do zupełnego niepoznania; jeśli jednak nie w całości, tem więcej zato w szczegółach było, wedle mody ówczesnej, aluzyi do rzeczy społecznych, od parodyi sejmowania i radzenia aż do uznania przewagi kobiet; przeplatały się rzeczy śmieszne patetycznemi, np. strofą o miłości ojczyzny. Ani pomysł świetnym nie był, ani starczyło na treść fantazyi i inwencji; świetne było za to wykonanie: wierszów tak łatwych i gładkich, sentencji tak trafnych, ironii tak niedotkliwej między ciężko stąpającymi parnasistami polskimi dotąd nie napotymano, gracia powabnego wyśłowienia ukrywała niedomagania treści; wrodzony dowcip, lekkość, nabyta studjami i wzorami, świeciły pierwsze tryumfy.

Gdy się w Myszeidzie z jej aryostycznym uśmiechem nad walkami i bohaterami wszystkim potrosze dostało, skierowałw „Monachomachii“ biskup całą baterią dowcipów wyłącznie przeciw zakonom, ich dewocyi i nieuctwu. Bez fantastyczności niedopisującej, jasnem światłem dziennem oblał biskup zakątki próżniactwa

bezmysłnego, kryjącego się pod ascezą, regułami i ślubami i, gdyby konsekwentnie autor i inne strony życia polskiego tak oświecił, byłby wielkiego dzieła dokonał. Zadowolił się jednak polem, na którym w „oświeconym“ wieku najtańszym kosztem największe tryumfy odnoszono; znęcał się nad przeciwnikiem, napoty już powalonym, ciężko osłabłym, spóźniwszy się o wiek cały: dysputy klasztorne wyśmiewał krócej, a ostrzej już eksaryan, Wacław Potocki; biskup katolicki rozszerzał temat, godząc w samo życie zakonne i tryb jego polski. Całość nieco rozwlekła, miejscami karykaturalna, zwyciężała znowu szczegółami, widokiem miłośnicy polskiej, opisem biblioteki klasztornej, próbą swady gwardyańskiej, charakterystykami różnych wielkości zakonnych. Po niewczasie zmiarkował biskup, że się nadto wysunął i „Antimonachomachią“ rozdrażnioną opinię łagodził, ograniczając i zwężając doniosłość poprzedniej zaczepki, co się jednak nie całkiem powiodło; „Monachomachia“ pozostała w całej swej sile, wywoływała naśladowców, i dopiero w XIX wieku powstał śmiałek, który autorstwu biskupiemu zaprzeczył; żaden inny dostojnik kościelny nie wystąpił — nie tylko w Polsce — z podobną inwektywą; należałoby sięgać do czasów humanistycznych, żeby coś podobnego odnaleźć; teraz każdą nową inwektywę na duchowieństwo można już było ks. biskupowi przypisywać; popularność jego stała się niezachwianą.

Wydawszy wzory epiki żartobliwej i satyrycznej, odpowiadającej temperamentowi autora i nastrojowi epoki, wysilił się poeta i na wzór epiki heroicznej, obierając świetny epizod wiekowej walki polskiej z półksiężycem, właśnie gdy świat o ostatecznem wypędzeniu Turków zamarzył. Ale ani czas ani poetę nie stać było na heroizm; wedle recepty Wolterowskiej, z reminiscencyami aż do Tassa, udało się skleić epopeę o rozmachu filigranowym, w stylu rokoko, godną wylizanego pomnika Jana III, zdobiącego Łazienki; robota z gipsu, wymuskana, z bohaterami, z pustelnikami, alegoryami w najlepszym guście wieku, tylko bez treści, sielanka bohaterska, tak naturalna i prawdziwa, jak wszystkie inne ówczesne maszkarady sielankowe. Ale i tem, wobec niezdarnych relacji wierszowanych dawniejszych, odpowiedział poeta wymaganiom stylu i formy i wobec śmiesznych eposów Jabłonowskich stworzył, acz bez natchnienia, uczucia, a choćby cienia historyczności rzecz przyzwoitą a modną, pseudoheroiczną, sentymentalną i dydaktyczną.

Właściwe zalety stylu i ducha wykazały inne nowalie warmińskie, Satyry i Bajki. I w Satyrach wprowadzić nie zdobył się miękki autor na potężny i namiętny głos Juwenala; nie piorunował na łotrów i zdrajców; nie zdierał mask z twarzy bezczelnych, przemilczał o jawnym sromie polityki tchórzliwej czy przekupnej; wady za to i słabości ogólnoludzkie, zakorzenione na gruncie polskim, karcił i gromił, nie bezwzględnie, ostro nacierając, raczej z uśmiechem pobłażliwym, przemawiając do rozsądku, czy też nie upamiętają się dzieci, szaleńcy, nicponie, w dobrze zrozumianym interesie własnym. Więc strofował i strojni się i karciarza i utratnego i mędrka, wymownie, dowcipnie i mądrze; sarkał na nowe mody w głowach i sercach; bolał nad rzuceniem torów ojcowskich, dawnej świętej prostoty, nad wyrzeczeniem się cnót przodków, przyczem zaniedbał dokładnie czas tych nieco mitycznych przodków oznaczyć: chybaż nie za Sasów złotego wieku szukał. Łagodne serce nie znosiło pastwienia się nad sługą, więc o tem tylko z oburzeniem przemówił, zresztą Horacy polski zalecał ową drogę wypróbowaną — *medium tenere beati*, którą rodacy najmniej postępować umieli. Ani uparte go czepiania się zastarzałych przesądów, ani owczego naśladownictwa wszystkiego, co nad Sekwaną modne, nie cierpiał; ideały swe wystawiał w zamglonej przeszłości, wolnej od błędów i przywar, krocząc za satyrykami rzymskimi, których każda przyszłość zatrwazać musiała; konsekwentnym autor nie był, poszedł śladem utartym, zamiast nowych ścieżek próbować.

Doświadczenie, trafny nawet instynkt polityczny, którego naród szlachecki nigdy nie miał, odznaczały jedyną jego satyrę polityczną, „Organy“, w przededniu wielkiego sejmku napisaną: autor sceptyk, nie entuzyasta, nie podzielał powszechnego zapału, ogładał się trwożliwie, pytał i nadśluchiwał i nie ukrywał się z niepokojącymi aspektami na przyszłość; użył formy mieszanej, którą się i „Listy“ jego odznaczały, i nie skąpił słusznych przytyków i docinków; żartował z łatwości, z jaką stotysięczne wojsko uchwalono, jak się już troszczono o jego porządki i moderunki, chociaż ani wojska ani funduszków nie było; aluzji ściśle politycznych, na alians pruski, nie brakło; najbardziej dojmowała widoczna rezygnacya autora, który już tylko pytał, od jakiego to orła najlepiej dać się czuć. Z satyrami rywalizowały listy, wierszowane i w formie mieszanej, przeważały w nich morały i etyka; ów najsłynniejszy, pierwsza malownicza podróż po kraju, mimo nadmiernej zwięzłości,

i dziś zajmie i wzruszy; dotykał on w nich wszystkiego, literatury, wymawiając się np. z poddawanej pióru jego Upireidy lub wyszydając styl panegiryczny; to znowu opisuje manewry, folgując przytem bardzo nie na czasie antiwojowniczym swym gustom, albo w znakomitym liście „Brata do Siostry“, dyaryusz heilsberski kreśli, albo przemokły, polowanie pruskie z humorem — opowiadacz musiał być niezrównany, wystawia. Niektóre listy wręcz do satyr się nadają, czy szydzą z podróżomanii, chociaż i to szyderstwo na czasie nie było, czy z czasów naszych, kiedy to „pełno dzieł heroicznych, a jednak lud płacze“.

Największą zaletą „Satyr“ (i „Listów“) była ich forma skończona, prawdziwie artystyczna, nigdy przedtem ani później nie prześcigniona; bogactwo inwencji i obserwacyi, dyalog dowcipny, charakterystyka znakomita; humor raczej, nie ironia ich cechą, bo dowcipnym był ksiądz biskup jak rzadko; uznawał to nowy jego monarcha, i „dziadunia rubasznego“; „staruszka miłego“, umiał rozśmieszyć, rozkomosić, ks. biskup, że aż 50000 talarów na spłatę długów od niego otrzymał; z listów do brata tryskają dowcipy i żarty, jakby na świecie trosk i zawodów nigdy nie zaznawał. Naturalnie, swojskość zachowana, chociaż raczej zewnętrzna, chociaż z małemi zmianami mógłby na te satyry każdy kraj i czas się pisać.

Z ich kosmopolitycznego stanowiska objaśnia się też dziwne napozór zjawisko: Krasicki, jako *laudator temporis acti!* Gdy inni spółcześni satyrycy, Naruszewicz, Piotrowski, korespondenci Monitora, walczą na dwa fronty, przeciw sarmatyzmowi zarówno, jak przeciw modnisiostwu, Krasicki na społecznych napada, jakby ciężkich win przodków nie było: pod niemi upadała ojczyzna, ale moment polityczny nie istniał dla Krasickiego; jego niepokoją błędy, braki otaczające; ani głębiej ani dalej wstecz nie sięga; wytworność stylu, żywość akcji, humor wesoły okupywały tę płytkość; z liczbą satyr liczba typów przedstawionych nie rośnie; o niejednej z nich możnaby twierdzić, że się przez pomyłkę z „Listów“ między „Satyry“ zaplątała. „Żona modna“, „Pijaństwo“ i in., arcydzieła obrazów rodzajowych; tylko w „Świecie Zepsutym“ wylało się, już nie pobłażanie, lecz oburzenie; najsilniejszy to ustęp pióra księcia-biskupa i dziwna zarazem ilustracya owej świętej pocztowych przodków prostoty, skoro ich „nierząd nas pokonał i zgubił, ten nas cudzym w łup oddał“ — pełno też w tej satyrze sprzeczno-

ści, ale zapomina się o nich wobec silnego wstępu (Godzi się kraść ojczyznę, łatwą i powolną, A mnie sarkac na takie bezprawia nie wolno?) i wymownego zakończenia.

Równie wysoko wzniosł się Krasicki w bajkach, arcydziełach malutkich, pieścidelkach stylu, głębokich i mądrych. Przeznaczał je w wierszu wstępnym dla dzieci, ale sam ów wiersz, jeden z najgłębszych, przeczył temu. I rzeczywiście, morały, jakie te bajki prawią, nie dla dzieci stosowne: jeśli Napoleona obruszała ezopowa bajka o wilku i jagnięciu, cóżby on powiedział na bajki Krasickiego, w których złość, głupota, dlatego że silniejsze, zwyciężają, a cnota, pokora i mądrość pobite uchodzą. Wszyscy wprawdzie poeci Stanisławowscy, od Naruszewicza i Ogińskiego aż do Niemcewicz, uprawiali bajkę *con amore*, ale wywodzili w niej nieraz złość dnia, skandal polityczny, folgowali nieraz uczuciu wzburzonemu; nie wstrzymywali się od aluzji aktualnych, Trembecki nie mniej jak Niemcewicz; wszyscy też za przykładem Lafontena kreślili szerokie, szczegółowe obrazy. Krasicki od aluzji się wstrzymywał, wyjątkowo bajka odnosiła się specjalnie do stosunków polskich; wybrał zaś formę Fredrową, najkrótszą, niemal epigramatyczną; w czterech wierszach, z których i jednego wyrazu ująć nie podobna, przedstawiał konflikt nie wesoły i smutne jego rozwiązanie. Nie silił się Krasicki na wynajdywanie nowych, osobliwszych tematów: zasługą jest bajkopisarza, temat choćby odwieczny, stępem własnego ducha, trafного ujęcia, misternego wystowienia udać za własny, a w tej sztuce celował Krasicki. Później i on obszerniejsze bajki pisywał, i mimowoli nasuwa się porównanie z bajkami Lafontena czy Kryłowa: nie pozostaje autor polski w tyle za ulubieńcem dziatwy rosyjskiej, tak swojskie utrafił on rysy — w krótkich nikt mu nie dorównał.

Te same cechy talentu i stylu przeniósł Krasicki na prozę. O wielkie koncepcje się nie kusił; romanse jego, jeżeli literaturę dydaktyczną i satyryczną tem mianem ochrzczimy, rozpadają się na luźne obrazki a raczej traktaty z wyraźną pouczającą tendencją; politycznych rzeczy również niema, prócz jednej, nadto przezroczystej, więc płaskiej alegorii, dzieje Polski w dziejach „narożnej kamienicy“ przedstawiającej. Otóż ten brak politycznego elementu w czasach tak rozpolitykowanych, jest nadzwyczaj dla niego znamieny: między zrezygnowanymi on najbardziej zrezygnowany; każdy inny sarknie choć raz, zaprotestuje, da się uwieść choćby ułudom;

on jeden nie zdobędzie się na nic więcej prócz słówka cichej skargi. Pogodzi się z fatum, szczerze, z przekonania, nie dlatego, że był obcy poddany, ale dla własnej natury, między miękkimi najmiększej, i kreślił już w r. 1778 (i 1784) „Pana Podstolego“, jakby Polska wcale nie istniała, jakby go pisał w r. 1798 jakiś światły obywatel „Prus południowych“. Pisał historię czasów zamierzchłych, żeby protestować przeciw wystawianiu zaborców i wojowników; z monarchów podziwiał Kazimierza Wielkiego (Naruszewicz tylko za Chrobrymi i Śmiałymi wzdychał), jakby w Polsce animusz wojenny gasić wypadało, jakby owcom skargi na wilcze zęby i apetyt pomagać miały; ubóstwiał Nipuanów, nie znających żelaza, zamiast ich za to na zagładę skazać.

I traciła jego literatura na aktualności, zyskiwała w ogólnoludzkim znaczeniu: dla tłumacza Krasicki ze wszystkich autorów polskich najwdzięczniejszy.

Element polityczny wykluczył więc Krasicki ze swej literatury: i w satyrach nie było aluzji politycznej, chyba w wierszu o tym, co kraj zdradza:

Przecie filut, wisielec, na co patrzeć zgroza,
Wstęgi nosi na szyi, co warta powroza,

zresztą *cnota*, *virtus* starorzymśka, rozstrzyga, jego zdaniem, o powodzeniu: „Rzym *cnotliwy* zwyciężał, Rzym występny ginął“, albo „gdzie *cnota* w pogardzie, tam naród upadnie“, albo „po największych klęskach nie trzeba rozpaczać... ale kiedy się w narodzie grunt *cnoty* popsuje, szkoda jest nienagrodzona“ i t. d. Więc zawsze zajmuj stanowisko moralisty, kaznodziei, mówi do narodu:

Sameś sprawcą twych losów: *zdrożne obyczaje*,
Krnąbrność, nierząd, *rozpusta*, *zbytki* gubią kraje.

W komedyi „Statysta“ Roztropki jego tak prawi: „najpierwsza i największa usługa (ojczyźnie)—dobre wychowanie dzieciak, to skarb najszacowniejszy... masz poddanych, obchodź się z nimi łaskawie; masz rolę, gospodaruj dobrze, to kraj bogaci; drogi... utrzymuj, tem się handel ułatwia... nie mruć na podatki“. Nawet „Organy“ wzywają do poprawy samych siebie, „a wtenczas z odradząjącą się w Polakach *cnotą* odrodziłyby się i dawne polskie zaszczy-

ty“; komunał to starożytnego satyryka, dobry chyba dla kwietyzmu czy indyferentyzmu politycznego, lecz nie wskazówka czy cecha akcyi politycznej, której pragniono. Możliwy wobec tego nawet powątpiewać o istnieniu politycznych aluzji w „Bajkach“, których się komentatorowie nieraz dopatrywali. Za ulubieńcem swoim, Kochanowskim, powtarzał Krasicki hasło niby życiowe: niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję. Ale czasy nie były już potemu.

Jeszcze najmniej raził brak momentu politycznego w „Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadkach“, panicza polskiego, o wychowaniu jego albo raczej o braku tegoż, i o innych perypetiach życia polskiego, między palestrą lubelską i na bruku paryskim, w rysach, chwyconych z życia— palestrę i Lublin znał przecież wybornie zasłużony prezydent sądu z roku 1768; dalej nowy Robinson Crusoe ląduje w Utopii, gdzie ludzie żyją w stanie natury, bez fatalnego żelaza, roztkliwiających książek i fanatyzujących księży (utopia Leszczyńskiego opierała się na całkiem innych podstawach — obie naśladował autor rosyjski, ks. Szczerbatow); rozbija się potem po morzach i lądach, aż wyrzekłszy się, jak Krasicki sam, wszelkiej polityki, osiada i ugrzęza na wsi. Ciąg dalszy „Doświadczyńskiego“ to „Pan Podstoli“, uczący, jak to w najwęższym kółku, rodzinnem, gospodarczem, a choćby i sąsiedzkim, nie rwąc się do żadnego czynu, działać z największym przecież pożytkiem dla siebie i swoich, jakich zasad się trzymać, co sądzić o najrozmaitszych zjawiskach życia ziemiańskiego, jakby innego wcale nie było, poczynawszy od wychowania dzieci, a skończywszy na ogrodach, Żydach i książkach. Bo tak, luźnie i przypadkowo, samem kojarzeniem się myśli, bez ułożonego z góry planu, powtarzając się i znowu odskakując, kreślił autor mądre i cenne uwagi, wynikające z ducha polskiego i do utrwalenia jego dążące.

Broniło się tu domowego trybu wymowniej i goręcej, niżby się po autorze „Monachomachii“ i „Satyr“ oczekiwało; słowa o kościele i klasztorze nie godziły się z wielbicielem Nipuanów; w czasach pośpiesznego łamania wszystkiego, co sarmackie, ślepego naśladownictwa cudzoziemczyzny, były to uwagi bardzo wytrawne, spokojne i niejednego zreflektować, opamiętać musiały, stąd i popularność dzieła, mimo braku wszelkiej akcyi: na tragiczne, albo przynajmniej dramatyczne zawikłania tchu zabrakło. Najslabiej wypadła „Historia“ człowieka, odmładzającego się i biorącego udział w akcyach historycznych od wypraw Macedończyka do Chrobrego,

rezonerska, przeciw kultowi wielkich ludzi i czynów wojennych powstająca, właśnie dla nadmiernej trzeźwości ani trzeźwa, ani krytyczna, nużąca rozwlekłością i jednostajnością, dowód jednak niepospolitości, samodzielności umysłowej; nie dziw też, że znaleźli się zaraz i w Berlinie tłumacze i wydawcy (profesor Bernoulli, znany uczony i podróżnik); „Doświadczyńskiego“ w Warszawie również po niemiecku wydano.

W prozie jednak był Krasicki nietylko beletrystą, lecz i uczonym, a raczej popularyzatorem, który w kompendyach i encyklopedyach ziomkom „zbiór potrzebniejszych wiadomości“ w najrozmaitszych materyach uprzystępniał; albo w tłumaczeniach z Plutarcha, a w naśladowaniach z niego i Lucyana, żywoty sławnych mężów np. i naukę wystawiał. Mniejsze rzeczy, powiastki moralizujące, są nieraz wcale piękne; całą twórczość dramatyczną, wyczerpującą się na potrzeby domowego teatru w Heilsbergu, mimo mądrych myśli i dowcipnego słowa wcale nie dramatyczną, można pominąć.

Obok tej wszechstronnej działalności literackiej nie zaniedbywał biskup obowiązków stanu swego, o czym choćby kościół św. Jądwigi w Berlinie, na pamiątkę imienia ostatniej katolickiej kurfirsztowej, córki Zygmunta Starego, postawiony, poświadczyć może. Gdy ostateczny upadek kraju silniejsze organizmy złamał lub odrętwił, książę biskup, teraz arcybiskup i prymas, niby odżył, jakby cios ostateczny spóźnioną reakcją wywołał; i ręk nie opuścił ani załamał, „podła rzecz rozpaczać“, „rozpacz—podział nikczemnych“, i, gdy wszyscy ucichli, „pięciu nas myśli, dwóch gada, jeden (on sam) pisze“; zabrał się on do budzenia, do podtrzymywania i niecenienia ogniku, wydając pisemko „Co tydzień“, niby dawny Monitor; lecz dni jego były już policzone.

Zajmuje on samo czoło literatury Stanisławowskiej. Jak król, i ona nie odpowiadała najistotniejszym wymaganiom chwili, nie krzepiła ani nie porywała ducha; jak król, starała się wyprowadzić naród z zastoju i mroku, z zamętu pojęć przedpotopowych. Apelowiła do rozumu, nie do uczucia; odznaczała się jasnością myśli, precyzją wystowienia, prawdziwością formy. Język psalmików i panegiryków zardzewiał, zapleśniał i zubożał, zalany cudzoziemczyzną, spospolitował się strasznie; o formie zapomniano; myśli płątały się, jakieś oberwane, nie do ładu, przypadkowe. Otóż mistrz języka i formy, przenikliwy i rozległy umysł, Krasicki, najdosadniej wykazał, że jest i będzie literatura w języku narodowym; on książkę

polską zrehabilitował; przekonał niedowiarków, że gust i polor, dowcip i jasność to nie wyłączny monopol Paryża, że, byle chcieć i umieć, zrównać może wyrób domowy przywoźnemu. Pisał on dla wszystkich o wszystkim, nawet bajeczki i powiastki dla dzieci, tylko, wierny męskiemu charakterowi literatury polskiej, do kobiet osobno się nie zwracał, chyba przygodnie i krótko o obowiązkach pouczał i wzory do naśladowania podawał; nie wierzył w naukę abstrakcyjną, gabinetową (a i eksperymentalną wtedy pod tę rubrykę podciągano).

Walczył z przesądami; nawoływał do pracy („trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty“); wysoko stawiał przymioty rodzime, swojskość; nie zwodziły go blichtry; nie ustawał w wysiłku. Najwięcej zawdzięczał mu język: żeby ocenić postęp u Krasickiego, należy go porównać z Naruszewiczem lub Piotrowskim: język ich niewybredny, ciężki i szykiem słów i doborem wyrazów, przestarzałych, rubaszných, pospolitych; Krasickiego mniej dosadny, mniej zamasysty, zato połyska świeżością, gładkością, zgrabnością; wyzuwa się z niejednego bogactwa, ale nabiera giętkości i lekkości, do której tamtym daleko; ich rzeczy trącą mimowoli szkołą, cytacyami jakichś anegdot i historii z pod ciemnej gwiazdy — Krasickiego światowe, wymuskane, przezroczyte. Dobroduszny uśmiech igra na wykwintnej twarzy autora; wyższości swej nigdy odczuwać nie daje; ani widzisz, jak się do ciebie zniża; on przestrzega, nie łaje; namawia, nie rzędzi; nauczyciel, nie pendant.

Pierwszy to w Polsce od dawnych lat literat z powołania, nie z musu, nędzy czy nudów; jak Rej, Kochanowski i Potocki, służył on ojczyźnie piórem, przeświadczony o ważności swej misyi; on jedyny między spółczesnymi poświęcał się swemu zawodowi bez wszelakiego względu czy celu ubocznego, nie dla chwały i ambicji, nie dla zysku czy pochlebstwa, chociaż schlebiać umiał, — wytworniejszych komplementów nie usłyszał chyba żaden inny monarcha, nad te, jakie Stanisławowi w słynnem poświęceniu satyr roztoczył. W czasach powszechnego zepsucia on jeden pióra swego cynizmem żadnym nie skalał; naturę wytworną, wydelikaconą raziło wszystko brudne, gminne, obcesowe.

Obok wykwintnego, jowialnego, towarzyskiego Polaka, staje ciężki, pedantyczny, mrukliwy Litwin, **Adam Naruszewicz**, równy powołaniem, rodem (niegdyś świetnym, a byli i Naruszewicze fautorami kalwinizmu), miłością ojczyzny, zresztą odmienny

wszystkiem, począwszy od samej brzydoty fizycznej. Z więzów łaciny nie wyzwolił się eksjezuita nigdy zupełnie; tłumaczeniami Tacyty dał się poznać i w prozie i wierszu wzory swe wydawał; tylko w sielankach i bajkach uległ prądowi francuskiemu. Budził ducha, jak Krasicki, ale w stylu sarmackim: schlebiał, acz nie niegodnym; nuta osobista przebrzmiewała u niego silniej; karmił, ale obcesowo, namiętnie niemal (np. o regułach złotej wolności w Polsce prawił: Chłopa na pal, panu nic, szlachcica na wieże i t. p.); obywatel, od polityki nie stronił, wzniósł się w „Głosie umarłych“ do wymownej skargi na niesfornych i wyrodnych synów ojczyzny, a ruina ostateczna i jego złała.

Poetą właściwie nie był; *facit indignatio versum*, mógł, jak Juwenal, twierdzić; zakrawał więcej na uczonego i, jak Kochowski, z poety na historyografa przeszedł. Trafnie ocenił go król, gdy go do swego boku powołał i, wierny zasadzie budzenia z letargu wiekowego, zwierciadło dziejów polskich jemu wystawić polecił.

Dziwnie zaniedbane, odłogiem, leżały te dzieje. Bajkami o Kalimachu i rokoshu gliniańskim (choć Załuski pod przybranem nazwiskiem rokosh ten z historyi uprzętnął), o niesłychanych i niewidzianych zasługach przodków, karmiono szlachtę. Do źródeł nie sięgano; Długosza obcy w Lipsku wydali, i dopiero po r. 1750 przystąpiono do ogłaszania źródeł łacińskich (w zbiorze Sasa, Mitzlera de Kolof, zasłużonego i na polu publicystycznym) i polskich (w zbiorze Bohomolca); inne ważne publikacye źródłowe to *Volumina legum* Pijarów i Dogiela kodeks dyplomatyczny, wyświecający stosunki zewnętrzne Polski.

Brakło opracowań; zagranica dostarczała żywotów Jabłonowskiego, Leszczyńskiego, Radziejowskiego (prymasa) i in.; pisarze pruscy, świeccy (Lengnich, Braun) i duchowni (Oloff, Ringeltaube), objaśniali konstytucję polską i literaturę, pojedyncze jej dzieła i działy. Potrzeba zaś wiadomości historycznych coraz rosła; urozczenia mocarstw rozbiorowych rozświecał wprawdzie Łojko; lecz w swojskiej literaturze nie było, prócz nieszczególnych podręczników Bielskiego i Wagi, dzieła, któreby wymownie, wedle wymagań wieku, krytycznie, w duchu monarchicznym, ciągłość dziejów przedstawiało, któreby dowiodło, że, czego obcy miecz nie dokonał, republikańskie zasady i instytucye, nie pierwotne, późne, Polskę zniszczyły, że zgubne tory wreszcie rzucić należy. W tym duchu opracował (Jezuita) Wyrwicz konfederacyę Gołąbską; krytyka niemiecka

(Schlözera), ku największemu niezadowoleniu Jabłonowskiego, co sam tę burzę wywołał, uprzątała Lecha — „bodajbyście wisieli na haku złodzieje, Żeście w wieczne swój naród podając pośmiechy, Powyrzucali z kronik i Wendy i Lechy“ — wołał szlachcic w satyrze Naruszewicza; całokształt dziejów domagał się wprawnej ręki, bystrej głowy, ducha patryotycznego, pracy wytrwałej.

Że król ważnością zadania się przejął, że nie skąpił zachodów i kosztów, że wysledził odpowiedniego pracownika, że go zachęcił i podtrzymał, zostanie jego wielką zasługą. Nigdy dotąd nie ułatwiano w podobny sposób pracy uczonemu polskiemu. Zabrał się Naruszewicz rażno do dzieła; dla niego kopiowano materiały nawet po zagranicznych bibliotekach i archiwach, włoskich i szwedzkich (Albertrandi; tak powstały olbrzymie zbiory, Teki Naruszewicza, dziś u Czartoryskich); na koniec pojawiło się w latach 1780 — 1786 sześć jej tomów, doprowadzających dzieje do r. 1386; na tem praca utknęła.

Stanisław August może wcale na tak obszerne dzieło nie liczył; krótsze byłoby zamiarom jego widocznie dogodniejsze; zasługi Naruszewicza to nie narusza. Jak w trzydzieści lat później Karamzin, tak stworzył teraz Naruszewicz wiekopomne dzieło narodowe, chociaż jeden tylko dzieje Rurykowiców, drugi Piastów opowiedział; u obu przeważały w tekście dzieje rządzących, Naruszewicz nawet jeszcze lata, jak rocznikarz jaki, wystawiał; w obszernych przypiskach uwzględniali zato obaj dzieje wewnętrzne, urzędów, oświaty i t. d. i uprawiali właściwą krytykę; nawet styl obu podobny, na rzymskich historykach wzorowany, nieco pompacyjny, lubujący się w maksymach i aforyzmach Tacytowskich. Dopiero Lelewel i Roeppel, w pół wieku później, postąpili znacznym krokiem naprzód, uwzględniając jeszcze liczniejsze źródła z jeszcze gruntowniejszym wysiłkiem krytyki i głębszem wnikaniem w ducha czasu; mimo niehistoryczności wieku XVIII najcelniejsza jego praca prozą, to dzieje narodowe, a miały one i tę zasługę, że pobudziły innych do podejmowania dalszych badań.

Nie jedyna to historyczna praca Naruszewicza; „Żywot Chodkiewicza“ już nie pojęcia republikańsko - anarchiczne prostować, lecz animusz bohaterski miał budzić i w licznej ówczesnej literaturze biograficznej, między pracami i przeróbkami niezmordowanego Bohomolca (o Janie Zamojskim, o Heidensteinie, o Jerzym Ossolińskim, o Tarnowskim z Orzechowskiego) i Kognowickiego (Żywoty

Sapiehów) najcelniejsze zajmuje miejsce. Był więc Naruszewicz w prozie szczęśliwszym, samodzielniejszym, niż w poezji, gdzie wiele naśladował (choćby w satyrach Boala, a w sielankach Gesniera), a formą nie celował i słusznie rzemiosło poetyckie z latami zarzucił, chociaż samem wydawaniem „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“, gdzie wiersze swe przeważnie umieszczał, i około literatury pięknej się przysłużył: zawieruszały się tu i zabytki przeszłości, wieku XVII.

W literaturze pięknej zachowa Naruszewicz miejsce nie z próbą na poły jezuickiego dramatu o księciu niezłomnym, nie z napuszonymi lirykami i ckliwemi sielankami, lecz z satyrami. Napisał ich tylko osiem, a i tu połowę niemal pożyczył; lecz treścią wypełnił je swojską, narodową, i formę nadał im własną. Nie zerwał on, jak Krasicki, z sarmatyzmem słowa; roi się u niego od ozorów, kałduńów, momotów; od łuszczybochenków, gryzipacierzów, smażywiechciów; w guście dawnych intermedyów jezuickich prawi on o kluczu Hołyszach i wioseczce Pożyczance z karczmą Nieoddajem; jak cała dawna literatura, z Potockim na czele, nie liczy on się z wysłowieniem delikatniem, z rymami subtelnymi: stąpa hałaśliwie i ciężko; siłą i plastyką wyrażenia, a ironią i oburzeniem finezyę i humor Krasickiego zastępuje.

Najznakomitsza z tych satyr, „Chudy literat“, aż nadto wyrazista dla nieuctwa, ciemnoty, zalegającej głowy, nie wyszumiałe z obłędu saskiego, dla ciężkiego, niewdzięcznego szamotania się literatury z obojętnością i ospałością ogółu; najzjadliwsza, „Reduty“, przez różgi puszcza szulerów, junaków, fircyków, mężczyzn i kobiety. Momentu politycznego w nich nie brak; główną walkę stacza się jednak z sarmatyzmem dawnym i ze świeżem rozpaśaniem obyczajów.

Obok eksjezuity Naruszewicza stawał Pijar **Gracyan Piotrowski**, w „Satyrze“, pisanym dawniej, już molom na ofiarę przeznaczonym, a potem na nalegania przyjaciół wydanym (r. 1773), w tonie nadto kazińdiejskim i prozaicznym, naśladowując obcych, od Horacego począwszy, ale chłoszcząc wady domowe. Rozmowa w bibliotece Załuskich, gdzie człowiek starej daty Heroda i Herodota miesza i dawny tryb szkolny sobie chwali, skargi na upadek łaciny, na wzrastające nieposzanowanie księży i religii, na naśladowanie obczyzny, na gazeciarzów - romanistów, plotących byle co, czytano i wtedy już obojętniej, ale co za drastyczny obraz wystawił

Piotrowski np. sądownictwa miejskiego! Owe przykłady z Wielunia i Wąsosza, gorsze niż z Osieka! A jak wymowną jest skarga jego na niemiłość ojczyzny, na ucisk chłopski, za który Bóg Polskę karze; Francuz przepowiada nawet, że w razie najścia nieprzyjacielskiego „obrona niesforna, podejrzliwa, przekupna, spodłona, rozerwana na części, gorzej wam zaszkodzi“, niż wróg.

Obok księdza Krasickiego stawał znowu ksiądz **Hieronim Juszyński**. Jego „Rymy i proza, skotopaski i miłostki“ (1787 — 1789), oryginalne i naśladowane, autora chyba kompromitowały, dla treści nieraz swywoľnej; natchniony jednak Monachomachią napisał on „Asketomoryę“ (albo pod innym tytułem „Zgromadzenie fartuszkowe czyli sejm mniszek“). Oryginalna to alegorya, boć nie tylko o zdyskredytowanie panien zakonnych i ich świątobliwego życia księdzu chodziło; była to i satyra polityczna, gdyż Gaudenty to Szczęsny, a hołota, otaczająca go, to Targowiczanie; ostatnia strofa pawiła bez wszelkich obśłonek:

Zniknął Gaudenty, a hydra bez głowy
Już nie swą duszą, ale obcą żyła.
Wtym przemoc, słysząc próżne głupców mowy,
Batogiem resztę łotrów rozpędziła;
Z nieznanych mnichów sejm zwoławszy nowy,
Cudowne na nim rzeczy ułożyła,
Które przyrzeka wkrótce muza stawić,
Aby się świat mógł uczyć lub zabawić.

Jeden to z rzadkich głosów o Targowicy i dlatego na wyróżnienie zasługuje. Dawniej napisał Juszyński „Żydoswaros“, gdzie za Myszeidą bajki śmiesznej o wojowaniu Żydów (jak pole kwitnącej hreczki w bród, niby morze czerwone, przechodzili, a w prawdziwej rzece tonęli) użył jako pretekstu, aby upadek znaczenia Polski, starania kilku patryotów około podniesienia narodu, rozbijające się o niezgodę, niegotowość, niezaradność, wystawił. Wodzowie tego wojska przypominają chyba Stwołowicze i hetmana, zdolnego muzyka, poetę, zasłużonego kilkunastowiorstowym kanałem około prowincyi, lecz na wojskowości znającego się tyleż, co i Berko. Wyłaniała się już Targowica, i na epigraf użył poeta motto o niezgodzie; „Żydozgodos“ projektowanego już nie napisał. Za to później „Zajazdem“ jeszcze Austryakom nawymyślał do woli.

Tendencje satyryczne nie wykluczały jednak bynajmniej zakusów panegirycznych, duchowi wieku, jak za czasów odrodzenia

humanistycznego, nadzwyczaj ponętnych; chwalono się nawzajem, eskomputowano zasługi przyszłe, nie ufano widocznie sądom potomności — i słusznie. I u Krasickiego i u Naruszewicza znajdziemy nieraz przesadne chwalby cnót obywatelskich rozmaitych poeciwców, dla których Pegaza siodłać było zupełnie zbyteczne — w cnej sztuce chwalenia nie oni jednak prym osiągnęli. Odznaczył się w niej, aż do przesady najobrzydliwszej, nadworny poeta królewski, **Stanisław Trembecki**, jako człowiek i jako poeta pełen sprzeczności, nie-domówień i niespodzianek. Talent miał znaczny, lecz rozrzucił go na same drobnostki, na kilka tłumaczeń (i dramatycznych, z przystosowaniem do ładu polskiego, słabostką wtedy ogólną); na kilkadziesiąt wierszów okolicznościowych, przymówek, satyr, pamfletów, epigramów i bajek; na wiersze opisowe.

Celował w cyzelowaniu robótek — najśłynniejsza z nich, najpóźniejsza, „Zofiówka“, opis pyszny pysznego parku tulczyńskiego pana. Cała jego zasługa w stylu, jędrnym, nawet rzeczom nieważnym pozory ważnych nadającym, i w uderzającym, samowładnem, panowaniu nad językiem, łamaniu go do woli, kuciu przenośni wyszukanych i wyrazów niezwykłych; Trembeckiego styl olśniewał jeszcze młodego Mickiewicza, wzorującego własne przenośnie i zwroty na wierszach klasyka, naśladowującego Horacego i Francuzów, szczególnie w wierszu swywołnym. Pisywał nietylko, jak wszyscy, w różnych działach, i bajki i listy i satyry i ody, ale i w różnym duchu, skoro przekonań nie miał, chyba że Niemców nienawidził i mżonkami o słowiańskiej wzajemności rozmarzonego udawał; pisał, jak chwila, interes, czy kaprys wymagały; to Jezuitów żałował, to na fanatyzm napadał, pobożny i ateusz zarazem; zawsze jednak królowi służył i najdłużej przy nim wytrwał: z upadkiem króla i sam stracił równowagę i zdziwaczał czy zdziecinniał. Komediant to skończony; przywdziewał każdą maskę, bohaterką nawet („pójdziem chętnie na trudy, na najsrozsze boje“ on i Stanisław August!), z takim przejściem się, zapalem i werwą, że niewtajemniczony aktora nie widział; dowcip stopniował aż do ironii i sarkazmów, chłoszczących dotkliwie, szydersko ofiary gniewu, niestety aż nadto zasłużonego; było mistrzostwo formy, łatwość i trafność wysłowienia; siłą przewyższał Naruszewicza, a gładkością Krasickiego; wyszaflował to na Bielawskiego, Braneckiego, Węgierskiego, na kadzidla królowi i panom; co chwili służyło, z nią

też gasło i nie bez przyczyny zaniedbywał zdolny autor swych płodów, nie cenił bynajmniej swego powołania, do wierszów swych nieraz ani się przyznawał.

Na parnasia polskim mniej zwykła to osobistość, nie ponętna wcale; nawet w wieku admiracyi wzajemnej grubo przesadzał, gdy, pieska królewskiego przymioty sławiąc pytał, mój że to obraz, czy pieska? tem bardziej, iż piesek o nic nie prosił, Trembecki zaś o wszystko, nawet i o biskupstwo! za to też różnych dla króla się podejmował hazardów (nb. nie literackiej natury). Sam paszkwilał, w piecu legając, drugich ożogiem macał, występując przeciw paszkwilom i „zwłoszącym Mazurom“, chociaż całkiem inne rzeczy wołały pilniej o poprawę; sam wielbił sejm czteroletni i sam go potępiał. Był światowiec, nie ksiądz, jak Krasicki i wszyscy inni; dlatego odzywa się w poezjach jego ton odmienny; hołdy kobietom, płci pięknej i słabej wyrażone silnie; oburzał się najwięcej na paszkwilańców, co damom nie przepuszczają.

Po długiej przerwie pojawił się więc ponownie, po Morsztynach, feminizm w poezyi polskiej, pod znakomitem piórem układnego, gładkiego dworaka. Zresztą chociaż mówił o ludziach słabych i małych, najsilniejszych używał zwrotów i mimowoli zapadały one w pamięć, taki np. „Jedno miał takie serce Bóg, drugie dał Tobie (królowi) lub „Pół świata czcić cię będzie, drugie pół zazdrościć“ (koniec Zofiówki), albo w „Liście do posłów, powracających z Grodna“, od samego znamienego początku: Z jakim duszy rozdarciem, z jak głębokim żalem Witał swe niedobitki Rzym skonania blizki i t. d. Nie dziw więc, że ceniono i za klasyków warszawskich wiersz ten wytworny a silny, i wyrażał zdanie ogólne Feliński, gdy słał poetę, toczącego „bez pracy wiersz ważny i gładki... zda się, że nie ty rymu, lecz rym ciebie szuka“. Przy ocenie szczegółowszej wadzi, że autorstwo niejednego wiersza bardzo niepewne; skrupuł ten powtarza się jeszcze częściej i fatalniej u innych społecznych.

Niżej, nie talentem, lecz losem, sławą i zasługami, stanął **Kajetan Węgierski**, dla krótkotrwałej kariery literackiej, acz rokującej świetne nadzieje — skończył on bowiem, jak Trembecki zaczął, za granicą. Nie w „Organach“, gdzie chyba na żart temat dla ramoty rozwałkował aż na kilka pieśni i głównie w starej literaturze sańskiej, pokutującej na prowincyi i po dworkach, spustoszenia poczy-

nił, objawił talent, lecz w satyrach, o innym zakroju, niż u Krasickiego, a nawet Naruszewicza.

Nie zgadzał się Węgierski z zasadą, że satyra ma bić czołem osobom, a łąać obyczajom; on i osobom łąał, widząc jak się rozpanoszyły zbrodnie, bezwstyd, prywata; z jego satyr przebijała więc nuta osobistej nienawiści i silne odnajdowała echo w publiczności. Młody, porywczy, własnem doświadczeniem czy niepowodzeniem zrażony, opuścił jednak rychło stolicę i kraj i zginął dla literatury, w której chyba po śmierci stanowisko zajął — tak mało drukowano jego rzeczy za życia, tyle ich obiegało wyłącznie w odpisach, a jest między niemi i wiele cynicznych, w guście wieku. Na paszkwile i pamflety nastręczało się ciągle, od r. 1763 do 1793, aż nadto materyi; głos zabierali republikanie, nie zawsze z biegiem i znaczeniem wypadków obznajmieni; katolicy, na dysydentów (na braci Grabowskich głównie) rozżaleni, trzymający się zasady, *tam diu Polonia libera quam diu orthodoxa*; „rojaliści“, oburzeni zamachem „kondratów“; niedobitki partyi saskiej (Rozmowa kawalera saskiego z senatorem polskim); nieprzyjaciecie króla (O nędzna Polsko, wstyd ci niesłychany, Że tron twój rządzi wół, świnia, barany i t. d. od herbów), jego zalotności (Podkomorzynio! jakeś zdradziecka, w nocy Koronna, a w dzień Krzemieniecka i t. d.).

Zaczynają te wiersze polityczne od samej elekcyi; rozpierają się w nich jeszcze Augustowcy i Janowcy (Czartoryski i Branicki, Litwa i Korona); ani przypuszczając, co się święci, tryumfowała „Kabała Litewska“:

Osieroconej bez króla Koronie
Posadzą na tron następcę Pogonie.
Darmo prorocтва dalej pytać chciecie,
Już August Czwarty stanął w szczęścia mecie!!

Inaczej trzymali Korończycy: Gryf na tron polski ubiegnie Pogonią. I następne wypadki oświecają paszkwile, sarkania na króla i senat (Oda wolności polskiej i t. d.); najobszerniejszy między nimi „Cnota uciemżona, wolność obarczona. Komikotragedya, scena w Warszawie w pałacu maskowym“ (zamiast zamkowym) w siedmiu aktach prozą, z przejrzystemi aluzjami i nazwami, Despot to król, Perekińczyk prymas, Umizgałski (Krasicki lub Giedrojc), Obłudnicki (biskup kujawski), Wielkomyśłski (ekskanclerz Zamojski), So-

biebierski (podskarbi Wessel) i t. d.; intrygantom, królowi, prymasowi i t. d., kierowanym najpodlejszymi pobudkami, szalbierzom politycznym, przeciwstawieni są wywiezieni senatorowie i Zamojski; kończy monologiem zwycięskiego prymasa, dumnego ze swej roboty i spieszącego do kochanki za dyspensą Repnina.

Formę dramatyczną naśladowała „Cnota“ albo „Perekińczyk“ z dawnej literatury, która w ten sam sposób „na teatrum Weneckiem“ r. 1697 niedoszłe zabiegi Jakóba Sobieskiego o tron polski przedrzeźniała (Dyalog i t. d.), albo w „Akcie zapustnym Komediantów w Warszawie na zamku r. 1699“ senat nicowała. Powódź tych wierszów wzbiera gwałtownie za sejmu wielkiego; biorą w nich udział i Trembecki i Zabłocki; sypią się pociski na Ponińskiego, Braneckiego, kasztelana Jezierskiego, panegiryki na Potockich, z tem sroższymi wycieczkami przeciw Szczęsnemu, opisanie burzliwych posiedzeń sejmowych z nawoływaniem ojczyzny do synów i t. d. Obierano wszelkie możliwe formy, bajki politycznej, parodyi rzeczy świętych (np. Ojciec nasz któryś jest w Wiedniu, Petersburgu i Berlinie; Wierzę w jednego boga Stanisława i t. d.) — godnie kończą je Niemcewicz „Ustawy Targowickie“ i „Biblia Targowicka“, t. j. księgi Szczęsne, parodia początku Ksiąg Rodzaju na robotę Szczęsnego. I przygody ościenne poddawały materji, od wierszów szyderskich na Fryderyka II, o ucisku śląskim i t. d. aż do wierszów z powodu Oczakowa i innych.

Tak zajęty satyra i pamflet najcelniejsze miejsce w literaturze Stanisławowskiej: uczucia wieku nie wylewały w liryce, nie zawodziły skarg i żalów, piętnowały raczej zdrajców i odstępców, podłych, głupich i próżnych. Dlatego to oniemiała ta literatura nagle po r. 1794, gdy dla satyry i pamfletu miejsca już nie było.

Uczucia obywatelskie, tak znamienne dla całej dawnej literatury; hołdy osobistościom, licujące nieraz zbyt mało z niemi samemi; rzeczy więc rozumu i interesu, nie wyczerpywały piśmiennictwa. Byli i przedstawiciele uczuciowości, chociaż mdli albo cikliwi, Juźczyński, Minasowicz, sielankopisarze, ów hetman wielki litewski, „obywatel słonimskiego powiatu“ (Ogiński), co i „Nocy“ Junga naśladował i dramaty alegoryczne dla swego teatru (słonimskiego) pisywał, liryczne, sentymentalne, wiersze zbierał i „bajki i niebajki“ tworzył, hetman-dyletant w guście Rzewuskiego, talentem na każdym polu mu ustępujący, ostatni z owych wielkich dygnitarzów Rzeczypospolitej, bawiących się w literaturę. Obok nich byli i pra-

wdziwi poeci, powołani, którym już sam temperament kazał wyrażać uczucia tklive; co do niedawna tylko po rękopisach czułych podsędków i rejentowiczów krążyło, pojawiało się teraz w formie udoskonalonej i w druku, chociaż wychodziło przeważnie z tej samej sfery i z głębokiej prowincyi, w kubraku sielskim staowało, jakby dopełniając ową poezję zawiści partyjnej czy ducha patryotycznego.

Najbardziej podobał się i spopularyzował swe pienia **Franciszek Karpiński**. Od szablonowych i konwencyonalnych sielanokopisarzy - Jezuitów, Ejsymonta i Naruszewicza, od nieskromnych sielanek Węgierskiego i Zabłockiego, wyróżniały się jego sielanki i pieśni jeśli nie głębokością, to tklivością uczucia; nie sadził się on na sztuczność, śpiewał, co jego samego bolało lub koίło i odczuwali kochający własne tęsknoty i pragnienia. Rozeszły się też jego pieśni po całej Polsce szlacheckiej; jego „Justyna“ i „Laura“, sentymentalne, rozłzawione, trafiały w smak epoki, lubującej się w czułych albo czułostkowych bohaterkach; popularność ich przetrwała lat dziesiątki. Karpiński próbował sił swoich we wszystkich działach lirycznych; najlepiej powodziło mu się w religijnym, nie w przekładzie całego psalterza, gdzie mocy Kochanowskiego nie dorównał, za to w pieniach, prostotą i szczerością swą, trafiających do uczuć i malutkich, dzieci i ludu (Kiedy ranne wstają zorze; Wszystkie nasze dzienne sprawy). W liryce patryotycznej zdobył się tylko nawyrażenie żalu i rezygnacyi (Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta), chociaż do ziemi ojczystej szczerze był przywiązany; szczególnie pierwsza zwrotka odbija silnem tętnem od łzawego zakończenia, a chociaż Dantego nie czytał, z nim się w myśli spotkał:

Ty śpisz, Zyguncie, a twoi sąsiedzi
Do twego domu w goście przyjechali.
Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi,
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali.
Gorzkie wspomnienie: gdy szczęście przeminie,
Czemuż i pamięć o niem nie zaginie?

Uprawiał on i poezję gnomiczną; a zniżył się pierwszy i do naśladowania tonów ludowych w „Pieśni dziada Sokalskiego“ przejętej szczerem, zapóźnym żalem, w Mazurkach i t. d.; w „Ludgardzie“ pierwszą balladę polską utworzył, chociaż ona tonem swym nie Szkotów, lecz Heroidy Owidyusza przypomina.

Z panowaniem chłodnego i suchego rozsądku godziła się, wywołana naturalną reakcją, sentymentalność, jedna z cech drugiej połowy wieku; od ubóstwiania samego rozumu, nie dającego szczęścia, przechylano się mimowolnie do wynoszenia przyrody, jej niezmaćconej prostoty i wdzięku, do uczuć tkliwej a szczerzej przyjaźni i miłości, łudząc się jej pozorami, nie wnikając głębiej; ze stolicy i dworu, od gwaru intryg i zabaw, uciekano między pastuszków i pasterki, do świątyni dumania, i tworzone kodeks i reguły czułości i stosowano do nich westchnienia i słowa. Sentymentalny nastrój ten zapewnił też romantycznym pieniom Osyana tryumf jeszcze przed romantyzmem: duchy, przez których cień gwiazdy przezierają, noce księżycowe, omszałe granity, szum wodospadu, smętne zawody miłości i sławy, tęsknota za utraconymi, znoje ciężkiej walki i bohaterstwa niehamowanego, potężny wpływ pieśni, arf i bardów — wszystko widziane czy odczute, niby przez mgłę łąz i przez wilgotne opary o zmroku, odbijające od słonecznej jasności homerowej, podbiło i przykuło uwagę całej Europy; fantastyczny świat staroceltycki narzucił się odrazu nie tylko poezyi: zaroilo się od Oskarów i Malwin (np. bohaterka romansu księżny Wirtemberskiej), od harf i bardów (u wszystkich poetów naszych aż do Kazimierza Brodzińskiego), od naśladowań, przeróbek, tłumaczeń: nawet śmieszek Krasicki od „Henryad“ i „Pulpitów“ do przewierszowania, bardzo gładkiego ale równie mdłego, Ossjana - Makphersona pośpieszył, zwabiony świeżym czarem; sentymentalny Książnin lepiej się jednak i zupełniej z tego samego zadania wywiązał. Za nimi tłumaczyli Tymieniecki, hrabia Ostrowski, Kazimierz Brodziński, Seweryn Goszczyński; naśladowali Kropiński i inni, lecz dopiero w „Lilli Wenedzie“ Słowackiego duch Osyanów najpełniej odżył, aż do najdrobniejszych nawet szczegółów, do nazwiska Kraka, do roli harfiarzów, do wzgórza z omszałymi siedzeniami króla i bardów, śledzących stąd wyniku walki.

Jeszcze przed wszechpotężnym wpływem „Osyana“, z domorosłych wzorów i czynników, z temperamentu nawet własnego, urosła sentymentalność Karpińskiego i przez niego parnasem polskim zawładała; była ona u niego nałogową, tkwiła nie tylko w czasie i otoczeniu, ale w samej naturze poety, który całkiem na seryo, wracając z podróży zagranicznej, polską ziemię całując, słodkie łzy wylewał. Z tkliwością tą szła w parze głęboka religijność, z domu rodzicielskiego i ze szkoły zakonnej wyniesiona, i nieklamany po-

ciąg do życia sielskiego. Ambicya, nadzieje powodzenia, ciągnęły wprawdzie autora „Zabawek wierszem i prozą” do Warszawy, do Czartoryskiego i króla, ale nie zżył się on z dworem i miastem, i uczucia, wyrażone w elegii „Powrót z Warszawy na wieś”, są znowu nie robione, lecz szczerze, a chociaż i potem jeszcze do Warszawy wracał, oddał się rychło całkowicie życiu i pracy na wsi i poezję zarzucił.

Kochał przyrodę, umiał na nią i patrzeć, czego najlepszy dowód złożył w realistycznym opisie „Podróży z Dubiecka na Skałę”, w towarzystwie panienek i ich madame i jak się im tam powodziło. Zaprzęgał się i do dramatu, ale ani „Judytą”, Krzywoustego macochą, tragicznych ani „Czynszem” komicznych czy melodramatycznych wrażeń większych nie wywołał. Sam wybór tematów jednak, nietylko w tej komedyi (ze stosunków wiejskich), ale i w wierszach niektórych, odbiegał całkowicie od dawnej modły; rozrzewniał widokiem nędzy, cierpienia i miłości, był przejęty ciepłą sympatyą dla maluczkich i biednych; wiał z nich duch nowy, tkliwy, chrześcijański, przeciwny panującej dotąd bezwzględności pogańskiej.

Pisywał i prozą, na schyłku życia pamiętniki, ciekawe i dla charakterystyki czasów, życia domowego i szkoły; dyalogi Platone i t. p.; wcześniej, za Stanisława Augusta, i pisma polityczne przedstawiał i estetyczne. Dla współczesnych był tylko autorem Justyny i Laury, a może jeszcze tłumaczem Delilla (Ogrodów).

Parze Krasicki - Naruszewicz odpowiada niemal para Karpiński - Książnin, nietylko różnicą w temperamencie i stylu, ale nawet i w życiu. Jak Naruszewicz, i **Dyonizy Książnin** jest czulszy na wymagania ojczyzny; nuta patryotyczna przebrzmiewała u niego czyściej i donośniej, czyto w pochwalę wąsów (odę Do Wąsów każdy zbiór wierszów z czasów czteroletniego sejmu powtarzał, bardzo popularną), czy w Matce Spartance, wyprawiającej syna do bojów za ojczyznę, czy w Matce Obywatelce nakoniec. Melodyjność wiersza odczuwał głębiej, niż Karpiński, zato w wysłowieniu był słabszy. Ciekawy on i jako typ poety nadwornego, obok Trembeckiego jeden z ostatnich; sekretarz starego księcia, nauczyciel młodego księstwa i poeta puławski uświetniał wypadki domowe, czy w pierwszej montgolfierze kota puszczano (rozwekły strasznie „Balon”), czy zamęcie Maryi Czartoryskiej sławić wypadało, czy też dla sceny domowej albo Metastazya przerabiać albo utworami własnymi („Cyganie”, z wplataniem motywów rodzinnych, z życia wiej-

skiego, i inne) repertuar zasilać trzeba było. Co on o „poecie ubogim“ powiedział: „kto serce Muzom poświęca, niechaj zapomni o świecie“, wykonał; szczęścia dla siebie nie pragnął, żył Muzom, pogodny i czysty, a z upadkiem ojczyzny zesmętniał na śmierć. Wiersze jego to ciekawy pomnik poetycki Puław, ducha i ludzi ich, aż do ulubionej suczki pałacowej.

Najbardziej charakterystyczne to owe próby dramatyczne, nacechowane duchem puławskim, obywatelskim, patryotycznym i narodowym. Księżna generałowa podolska nie pisała dramatów ani komedyi, jak księżna Radziwiłłowa lub Katarzyna II, lecz cały teatr Książnina wyszedł z jej natchnienia: ona utworzyła treść Cyganów; ona wybrała piosenki Szymanowskiego i Książnina, które jego „Troiste Wesele“ oplotło. Wystawieni tu i Mazur i Kozak, i na długo przed „szkołą ukraińską“, liryka ukraińska z językiem własnym na teatr puławski się dostała. W Matce Spartan-ce, w Teonie i synie Nikanorze, uznawano powszechnie księżnę i syna Adama, i szerzyła się sława Puław po kraju i życzo no takich Puław więcej.

Zamiarom księżny odpowiadał zupełnie Książnin, rzewny i czuły, jak to choćby w Żalach Orfeusza wykazał, bez złości i namiętności, jakim się nawet w swych bajkach wydaje, mimo prób dramatycznych i opisowych liryk głównie; między autorkami ówczesnemi zbliżona do niego najbardziej Benisławska Konstancya, pogodnym nastrojem głównie religijnej swej Muzy, wierszująca hymny, psalmy i modlitwy, nowa niby Drużbacka, chociaż talentem mniejsza, jednostronna (Pieśni sobie śpiewane, Wilno, 1776). Od tej liryki prostej, tkliwej, religijnej odbijała sprośna XVIII wieku, cyniczna w rodzie Vadé'go, Bouffleursa i innych Francuzów, bez ich gracy i swobody, rubaszna, rzadko dowcipna — próbowali w niej sił swoich i duchowni Minasowicz i inni, górowali Węgierski, Trembecki.

Od tej liryki, dworskiej czy sielskiej, zawsze pudrowanej i różowanej, odbijała żywo liryka patryotyczna i religijna, niepisana, nieksiążkowa, co odżyła już dawniej, szczególnie w czasie największego napięcia obu strun, za Barszczan i w ich obozie, ani kunsztowna ani indywidualna; autorów jej nawet nie znamy; wyśpiewały ją niby same tłumy szlacheckie. Narodowy kult Maryi, święcił tu ostatnie tryumfy; pod Jej hasłem „stawano na placu z Boga ordynansu“; liryka to obozowa patosu religijnego pod

formami i zwrotami żołnierskimi, wzruszająca naiwną, głęboką wiarą, w czasach afektacyi tchnąca niekłamanem uczuciem; szorstka w słowie, a kulawa w rymie, pełna animuszu i nabożeństwa, poprzedniczka liryki legionowej. Tu należała i wizya - prorocstwo Karmelity, księdza Marka, dośpiew niby owych „rekrutów“ i „parolów“ boskich, naiwny a ufny.

Wyżej wzniosła się, choć się tak szeroko nie rozniosła, liryka zesłańców, Załuskiego i Rzewuskich. W ciężkiej próbie zmęźniał Załuski, otrząsł się z pedanteryi, ducha nie stracił i polecał się ufnie a gorąco łasce Pańskiej. Starosta doliński podziwiał hart sędziwego towarzysza, niezłamanego niewygodami podróży i dolą coraz twardszą, wilgocią i smrodem kurnej izby, gdzie wszystko spleśniało prócz lutni jego; porównywał los ich coraz bardziej przykry z coraz szybszym biegiem rodzinnego Zbrucza i piękny wiersz popsuł tylko zakończeniem w stylu saskim: Ja się zaś najmniej w tym długu (chwalenia Ciebie wedle zasług) uiszczyć, Który chcą śpiewać, nie śpiewam, lecz piszczyć.

Poezyę Stanisławowską odznaczało wielkie, stanowcze, pierwsze ożywienie dramatu; i teatr polski musiał stanąć w Warszawie, skoro wszystkie cywilizowane narody dawno go miały; już r. 1765 otworzył król pierwszą scenę polską „Natrętami“ Bielawskiego. Smutny włókł żywot ten pierwszy teatr, nieraz nie miał na całe lata, to znowu go wskrzeszano; króla bawiła scena francuska i balet włoski, a troskę o teatr polski zwał na innych. Repertuar opędzano tłumaczeniami i nadzwyczaj wówczas popłatnemi przeróbkami na ład domowy.

Wielkie zasługi położył ów Jezuita - Białorusin, w Warszawie znakomicie się zaklimatyzowawszy, **Franciszek Bohomolec**, w końcu „konsyliarz króla IMci“: nie krępował się teraz regułami dramatu szkolnego, wykluczającego kobiety i miłość i swobodniej Francuzów plądrował. Humor jego niewybredny, charakterystyka ogólnikowa, ale „temu polskiemu Molierowi winne teatrum polskie poprawę swoją, on albowiem pierwszy w narodzie swym pisał podług reguł komedye“, twierdził o nim ks. A. Czartoryski w „Historyi Nauk Wyzwolonych“ (r. 1766). „Zawsze wesół, zawsze rumiany“ syn Anakreonta, jak się sam nazywał, lubił ochocze towarzystwo, spijał winko z warszawskimi mieszczanami i kardaszyl (bratął) się z nimi nie źle, ale przytem pracował na tyłu polach literackich, że wyrył głęboki ślad w dziejach rozbudzającej się umysłowości.

wości: jako historyk czy wydawca Bielskiego, Strykowski i t. d.; jako publicysta; jako komedyopisarz, uzupełniał satyryczne występy Naruszewicza, Piotrowskiego i własnego Monitora; wystawił nawet jednoaktówkę, w której się ofiary satyry Monitorowej: Modnicka, Umizgalska, Wymyślnicka, Pieniacki, Łakomski, Hajdamakiewicz i t. d. zjawiali, aby redaktora obić. O najsłynniejszą z tych komedyi, „Małżeństwo z kalendarza“, na seryo się na autora gniewano, jakoby ubliżył narodowi (szlacheckiemu), wystawiając jego przesady. Staruszkiewicz niechce wydać córki za Ernesta cudzoziemca, szlachcica, bo „jakie ich szlachectwo, chłopci wszystko“ (nie mając sejmików), chociaż mądra ciotka, Bywalska, pożytek z obcych dla podniesienia kraju wykazuje; Staruszkiewicz swata pokojówkę za masztalerza: czy nie wiesz że on szlachcic? — A mnie kat po jego szlachectwie! — Ale dziwna jesteś, albo nie-wiesz, że każdy szlachcic może być panem, senatorem i...—I masztalerzem! — Więc u ciebie lepszy ten chłop (sługa Ernesta), niż szlachcic? — Przepraszam, nie chłop — Jakże, to on szlachcic? — Ani chłop ani szlachcic, może być co średniego. — Cóż to takiego średniego? — Mieszczenie, lud uczciwy, którzy też nie są wprawdzie szlachta, ale też nie są chłopci. — Ha, ha! nie są chłopci i t. d. Tak to nowe pojęcia o *tiers état* z „teatrum“ szerzono; społeczna estetyka—francuska naturalnie, innej w Polsce nie znano—za radą i przykładem Diderota i Merciera, narzucała właśnie komedyi cele dydaktyczne, poprawę obyczajów, smaganie przywar i występ-ków — niby szkołę moralności z niej czyniła; tragedyi rezerwowała zato wychwalanie cnót narodowych, heroicznych — ale tragedyi w Polsce nie uprawiano wcale, a znaczenie komedyi obniżało się nieco — już dla braku wybitniejszych talentów.

Bohomolca komedye zbiorowe kilkakrotnie przedrukowano; za nim wysypał się rój komedyopisarzy, oryginalnych i tłumaczących, wierszem i prozą, z francuskiego i z niemieckiego (komedye Gellerta, „Żona chorująca“ i in.) czerpiących. Znajdzie się między nimi i kasztelan łęczycki, Tadeusz Lipski, dyplomata, co to w roku 1791 koniecznie Jezuitów chciał restaurować, autor dwóch komedyi prozą, „Pocziwa Żona“ i „Mąż Pocziwy“ (cnota jednej, delikatność drugiego, sprowadzają na drogę obowiązku błędzących — akcyi głównej towarzyszy poboczna; niebezpieczeństwa Warszawskich flirtów, nawyczki cudzoziemczyzny już tu, około roku 1766, wystawione); dalej są niezdary, jak Bielawski, Zawistow-

ski, Wisłouch; naśladowce czy tłumacze Destusza, Renjara, Moliera i Woltera, jak Mycielski Stanisław (Junak), Trembecki (Syn Marnotrawny, Sierota chiński) i inni, zasilający 58 tomików Teatru polskiego (podobne „biblioteki” pojawiały się wtedy we wszystkich językach, np. i w rosyjskim); teatromani, jak Adam Czartoryski (tłumacz „Gracza” Regnarda, i „Dumnego” Destouche’a, „z niektóremi do krajowych obyczajów odmianami”, wydawca kalendarza teatrowego i t. d.) i dygnitarz, na teatrum domowem (częstem już za Sasów) hołdujący Muzom dramatycznym, a raczej Talii, jak hetman Ogiński w Słonimie lub książę biskup w Heilsbergu. Swoją repertuar tworzył sobie Krasicki sam, lecz nie cenił go i do zbiorowego wydania swych dzieł nie włączył, autorstwo spychając na kamerdynera swego, Mowińskiego; i książę Czartoryski kamerdynera Belgrama, jako autora, wysuwał. Jego „Panna na wydaniu”, „Pysz-noskapski”, „Kawa”, „Koszyk” bardzo się podobały; że rękę bogatej Pięknickiej nie Fircyk, lecz żołnierz otrzyma, rozumiało się u dyrektora korpusu kadetów samo przez się. Książę generał ziem podolskich był inaczej, niż druh jego, Krasicki, czynny na najrozmaitszych polach, od służby krajowej nie wymawiał się, choć krępowały go względy rozmaite; pod imieniem Doświadczyńskiego wydawał nawet listy o edukacyi synów i córek; oceniał trafnie literaturę, ale nad wszystko dramat lubił i zajmował się jego teorią i historią w starożytności, Szekspirem i t. d. i coraz do niej wracał, w przedmowach i innych pismach. Największe tryumfy sceniczne odniósł jednak inny autor.

Sielankami zaczął, a satyrami zakończył **Franciszek Zabłocki** czynność literacką; lat jej kilka (1779 — 1784) poświęcił jednak dramatowi, wzbogacając teatr polski o kilkadziesiąt sztuk, tłumaczonych, naśladowanych i oryginalnych; on pierwszy oparł repertuar polski na trwałej podstawie. Pośpieszna praca nie dozwalała wykończenia starannego; sypiąc coraz nowe sztuki, jak z rękawa, wyjątkowo tylko pogłębiał autor pomysł i wykonanie; farsy, jak np. „Balik gospodarski” czy „Żółta szlafmyca” (mająca dar odkrywania prawdy pod kłamstwami komplementów i życzeń) śmieszyły publiczność; samo oszukiwanie ojców, opiekunów czy mężów zazdrośnych a starych, przedrwiwanie lekarzów, adwokatów czy prowincyałów, bezczelność pokojówek i kamerdynerów, kierujących stale intrygą, opaty amantów i amantek niewypowiedzianie bawiły.

W ten gust dużych dzieci trafiał Zabłocki, któremu dowcipu, komiki sytuacji, pomysłowości, zaprzeczyć nie podobna. Z olbrzymiego repertuaru jego wyróżnia się niewiele sztuk, między niemi górują „Sarmatyzm“ i „Fircyk w zalotach“. „Sarmatyzm“ samą nazwą zdradzał, o co chodziło,—o wyśmianie głuchej prowincyi z jej narowami saskimi, z jej pieniactwem i pijaństwem; z pieczeniarzami, ciągnącymi pożytek z jednego i drugiego; z ambicyą rodową, święcącą tryumfy, jeśli się uda rywala „podsiąść“ (siąść wyżej od niego); z głupotą bezdenną: dwie rodziny sąsiedzkie, Góronosów i Żegot, ujadają się w kłótniach i zatargach nieustannych, póki tych zagonowych Montekich i Kapuletów czuła para nie pogodzi; junak Burzywój, używający w trunkowej aurze, w wyziewach alkoholycznych, jakimi dworek Góronosa, a głównie Ryksa, małżonka jego, prześiąkła; lokaj Walenty, nie mogący oprzytomnieć, że był raz w Warszawie, tworzyli element komiczny, słabo zrównoważeni przez typy dodatnie młodszej generacyi. W „Fircyku“ wystawił Zabłocki Warszawianina *comme il faut* na prowincyi, pewnego zwycięstw, tryumfującego przedwcześnie, natykającego się niespodziewanie na przeszkody, lecz szczęście, które w Warszawie szulera opuściło, sprzyja na prowincyi Lowelasowi i z toni go ratuje; i autora samego zwyciężył Fircyk, zamiast pogardy, jaką go inni piętnowali — z fircykami walczył najzawzięciej Naruszewicz — dank w tym turnieju o rękę i serce ciepłej wdówki odnoszący: gdy u innych komydopisarzów fircyk zawsze pobity uchodził, Zabłocki dla filuterności i bonhomii rozgrzeszył go i wawrzynem uwieńczył. W innych sztukach, „Zabobonniku“ (esprit fort, nawet i bez choroby, w upiory wierzy, co wyzyskują inni), „Doktorze Lubelskim“ (od Moliera wyśmiewanie Eskulapów i ich łaciny do dobrego tonu na scenie należało) i t. d. zacierały się typy polskie, i sztuka prócz języka czy jakiegoś epizodu polską nie była.

Od Bohomolca, a nawet Czartoryskiego i Krasickiego odsadził się Zabłocki znacznie: dowcip ich słowny i zacne tendencye braku sceniczności zastąpić nie mogły; przymiotem sceniczności odznaczały się właśnie sztuki Zabłockiego, chociaż autora krępowały „jedności“ fatalne, chociaż z prawdopodobieństwem i dostatecznem umotywowaniem każdego kroku się nie liczył, chociaż, wierny wzorowi francuskiemu, retoryką narabiał i w przydługich tyradach rezonerskich albo czułościowych się lubował, splecając hołd i postępowi i sentymentalności modnej. Świetny był język, od

chropowatości poprzedników wolny, płynny, wdzięczny, a mimo to siły nie pozbawiony; obfita żyłka komiczna, chociaż w środkach wywoływania efektów wcale nie przebierała. Lecz zbyt głębokiego wrażenia sztuki te, odmieniające się ciągle, nie wywierały; publiczność witała je bez zapалу i byle jaki melodramat, choćby taka „Nędzą Uszczęśliwiona“, przejmował ją głębiej.

Pierwszy wstrząsnął publicznością polską ze sceny **Julian Ursyn Niemcewicz**, którego nazwisko odtąd przez lat czterdzieści coraz się powtarzać będzie. Komedia dotychczasowa nie grzeszyła aktualnością, choć wprowadzała typy społeczne; i „Sarmatyzm“ nawet i „Fircyka“, można było napisać kiedykolwiek, i odżyli oni rzeczywiście, acz wyszlachetnieni, w pół wieku później, w „Zemście“ i „Ślubach Panińskich“. Ale „Powrót Posła“, komedia w trzech aktach, napisana przez posła, słynnego z wymowy i dowcipu, „Gazetą narodową i obcą“ (pierwszą polityczną) wpływającego na publiczność, w chwili ogłoszenia konstytucyi trzeciego maja wystawiona, wyszydzała tę Targowicę umysłową, która niebawem w rzeczywistości wystąpić i wszystko zniweczyć miała, broniąca z niekłamanym żarem postępu i reform, apelująca do rozumu, sumienia i godności narodowej, zelektryzowała i rozentuzyzmowała pierwsza publiczność polską.

Z sukcesem tej komedyi nie mógł się żaden późniejszy mierzyć, chociaż sukces należał się raczej programowi i tendencji, niż sztuce. I tu wystawiono i „Sarmatyzm“, i „Fircyka“; sarmatą, choć wódką nie przeiękły, był starosta Gadulski, szkodliwszy i niebezpieczniejszy od Guronosa, płaczący rzewnie nad naruszeniem porządków saskich, gdy „tknąć się śmieli okrutnicy *Liberum Veto*, tej to wolności żrenicy“, elekcyi, przy której się świetnie zarabiano, żyło i biło, aż obce wojsko wkroczyło i wszystko pogodziło, sejmu sześciuniedzielnego, który nie dochodził, więc i podatków podwyższać nie mógł. Fircykiem był Szarmancki, co zwiedził obce kraje, a z nich nie manierę rządu i obyczajów, lecz sprzączki i guziki przywoził i domowy Don Żuan niezliczonymi zwycięstwami nad słabą płcią wszelkich wieków i stanów się popisował, głupszy i podlejszy od pierwowzoru.

Nie oni jednak rej wodzili, nie im należał się sukces, widoki na przyszłość lepszą; podkomorzy krytykował dosadnie, w tonie satyry Krasickiego, a raczej Naruszewicza, wychowanie młodzieży francuskim zwyczajem, płeć piękną, anarchię dawną; ujmował się

za sejmem, niesłusznie czernionym, chociaż sam przyznawał, że „nie zrobił tyle, co mógł, ale zważając, jakie znajdował trudności, za to, co zrobił, wiele winniśmy wdzięczności“ i w optymizmie zrozumiałym wołał:

Dziś się sława narodu i powaga wraca,
Obywatel z radością podatek opłaca;
Mamy dziś sprzymierzeńca, mieliśmy wprzód pana;
Skarby złotem, zbrojownie spiżem napełnione!
Będą jeszcze dla Polski dni świetne wrócone,
(Byleby naród) uwodzić się namowom przewrotnym nie dawał
I w zaczętej już pracy nigdy nie ustawał!

Mniej nowem było wyszydzenie sfrancuziałej Polki z jej pętami i atandrysowaniem się, starościny, żądającej, aby naprzeciw kabanki w boskiecie karcznię z młynem i Żydem brzydkim wyrzucano, jej przeczulonej sentymentalności; nowszemi zato wkładanie nawet w usta jej Agatki słów obrzydzenia przeciw dręczeniu ludzi; ona stanowczo nie chce mieć męża, co z urzędu daje ludziom plagi, ani chce widzieć nad łóżkiem kańczuga zawieszonego. Humanitarne stanowisko wobec kwestyi włościańskiej zaznaczył Niemcewicz jeszcze dobitniej w dramacie, wystawionym w następnym roku (1792), sławiącym króla chłopków, w rocznicę konstytucyi, w pracy, skleconej w kilka dni, aluzjami budzącej nieskończone oklaski, nawet króla do szarży heroicznej podniecającej („Kazimierz W.“).

Obok Zabłockiego, kilka lat najpłodniejszej pracy teatrowi poświęcającego, i Niemcewicza, aktualności tematów, nie sztuce powodzenie zawdzięczającego, stanął prawdziwy teatroman, **Wojciech Bogusławski**, jako aktor, reżyser i dramaturg, poświęcający się sztuce polskiej całkowicie, nie jak tamci chwilowo czy przygodnie. Pisał, tłumaczył i przerabiał wszystko możliwe; repertuar podtrzymywał nie tylko francuszczyzną, ale bez skrupułów i Lessinga i Szekspira (poprawionego naturalnie, ogładzonego z prostactwa i dzikości) i Sheridana wystawiał; z własnych sztuk najwdzięczniejszą i porywającą zawsze publiczność był „Cud czyli Krakowiacy i Górale“, dla tematu swojskiego, śpiewek i tańców ludowych, dla zachowania cech właściwych (nawet w języku z jego prowicyonalizmami); żadna inna sztuka ówczesna takiej iluzji ludowości nie sprawiała. Niewybredny komizm „Spazmów modnych“ miał powodzenie, póki typ starościn Gadulskich zupełnie nie wywietrzył;

inne sztuki głębszego, trwalszego wrażenia nie robiły, chyba osobliwsze okoliczności, dopatrywanie się aluzji nawet w sztukach „indykańskich“, znaczenia im nadawały.

Jak poezya, tak i proza Stanisławowska pełniła służbę publiczną w „romansach“ Krasickiego, w historii Naruszewicza, w pamfletach Niemcewicza; najznaczniej wystąpiła jednak proza polityczna, wypleniająca dzikość z umysłów i z języka. Wystarczy porównać byle jaką mowę polityczną XVI wieku z mową około roku 1760, ażeby poznać, jak cofnęły się pojęcia i sposób ich wyrażania: mowa np. (t. j. instrukcja królewska na sejmik) z roku 1514 i duchem i językiem o wiele bliższa naszych czasów, niż jakakolwiek mowa o półtrzecia wieku późniejsza. Leszczyński i Konarski odwojowali jednak językowi polskiemu prawo w materyach *status* i odtąd zaniżała łacina na zawsze; projekty, pisma, polemika Zamojskiego, Staszycy i Kołłątaja pisały i toczyły się wyłącznie w narodowym języku.

To absolutne zamilknięcie łaciny — niestety, tak spóźnione — jest również charakterystyczną cechą literatury Stanisławowskiej, po raz pierwszy polskiej. Dotąd, począwszy od „Galla“ i mistrza Wincentego, literatura seryo, dzieło historyczne (jak u Fredry, Kochowskiego i Załuskiego), epiczne (różne Wiennidy i Lechiady), nawet satyry, np. Ponińskiego, niemówiąc o dziełach z innych umiejętności, teologicznych, przyrodniczych (Rzączyński) i t. d. — pisało się w języku seryo, t. j. łacińskim, jakby polski tylko dla baraszkowania służył; były walne wyjątki, np. Niesiecki wobec Okolskiego, Bielski i Strykowski wobec Kromera i t. d., ale łacina jeszcze za Sasów przeważała; temu rozszczepieniu się literatury, w narodowym i obcym języku, położyli kres dopiero pisarze Stanisławowscy.

Odtąd posługuje się literatura polska wyłącznie językiem własnym; język obcy rugują nawet z sądów i szkoły; proces, na Zachodzie dokonany wcześniej, dopełnia się nareszcie i w Polsce, która, wraz z Węgrami, niezdobytą twierdzą łaciny najdłużej przetrwała.

Nie tylko szata zewnętrzna, zmienił się i duch nowej prozy. Próby jego poznaliśmy już w dziełach historycznych, zrywających z anarchią polityczną, tradycyjną; w „romansach“, szerzących zdrowsze pojęcia o życiu i obowiązkach; najznamienniej wystąpił on w pismach politycznych, coraz liczniejszych, wymowniejszych i radykalniejszych. Wprawdzie ten, co *Liberum Veto* i w teorii podważył, Konarski, po wydaniu „Sposobu“, zamilkł, jako pisarz

polityczny, wrócił do założenia zakonu swego, raz do szkół, wydając i łacińskie swoje liryki, szlachetne tendencyą i myślą, nie formą czy polotem, i łaciński podręcznik, o sztuce dobrego myślenia potrzebnej dla sztuki dobrego mówienia; powtóre do obrony prawowierności przeciw deistom w piśmie polemicznem „O religii pocztowych ludzi“. „Sposób“ chwalono w wierszach i prozą; znachodzili się wprawdzie i tacy, którzy się jeszcze silili na dogadzanie zastarzałemu wrzodowi (Sienicki); większość narodu z obcymi gwarantami obroniła nawet *Liberum Veto*; nic więc Konarskiego do czynności politycznej pociągać nie mogło.

I przez lat niemal dwadzieścia milczała ta literatura, niby cisza przed burzą, nim się pierwsze ptaki zerwą; milczenie przerwałoby wymowne *Suum cuique* młodego Czartoryskiego, gdzie na każdego i wszystkich odpowiedzialność za fatalne błędy zwała, a z tej niby spowiedzi i skruchy powszechnej myśl pogodzenia się i ujęcia silnego odsłaniał. Broszurę przypisywano i Konarskiemu: większej pochwały nie można jej było oddać; w istocie przyczyniał się do niej Naruszewicz.

Gdy literatura polityczna w kraju milczała, odzywały się jej głosy za granicą. Wezwał Wielhorski, zastępca Barszczan w Paryżu, Francuzów, mędrców uprzywilejowanych, filozofa (Rousseau) i polityka (ks. Mably), aby uwagi swoje o Polsce, jej formie rządów i naprawie, spisali. Z zadania wywiązali się Francuzi niezgorzej, chociaż filozof - idealista za politykiem - realistą, obeznanym do tego o wiele lepiej (przez podróż polską), ze stanem istotnym rzeczy daleko w tyle pozostał. W jednym zgadzali się obaj; nie wierzyli już w niezawisłość polityczną państwa; republikanowi zresztą imponowały i elekcyja i liberum veto i konfederacye; w istocie doradzał i on toż, co i monarchista: oświecajcie się, to was podziela, ale nie strawią.

I pisma Wielhorskiego i Wybickiego, jak i ekonomiczne traktaty Popławskiego i Stroynowskiego powszechnej uwagi nie wzbudziły, chociaż z najrozmaitszych stron kwestye polityczne i ekonomiczne ujmowały; Wielhorski, republikanin, nie uznawał, prócz szlacheckiego, innych stanów; Wybicki przygotowywał, na próżno, opinię publiczną dla zasad Zamojskiego i jego księgi praw; jego „Listy patryotyczne“ traktowały rzecz bardzo spokojnie i rozważnie; obaj profesorowie, krakowski i wileński, wykładali ekonomię polityczną całkiem niemal abstrakcyjnie, nie badając specjalnie sto-

sunków polskich; wszyscy podnosili potrzebę ulżenia „oppressyi“ włościan, czy w imię sprawiedliwości, czy, jak Wybicki, w imię potrzeb państwowych, którego dobrobyt i zaludnienie — spojęne z sobą nierozdzielnie — bez zniesienia poddaństwa nigdy się nie wzmogą; poza ogólniki jednak nie przechodzili. Dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych ożywiła się ta literatura, a wylała z brzegów podczas sejmu wielkiego.

Sygnal do jej ożywienia dało „niewiele żywsze“ wystąpienie ks. **Stanisława Staszica**, niby okrzyk zgromadzonego, budzący nad przepaścią zawieszony naród. Gdy na Listy Wybickiego dopiero po czterech latach zdobyto się na odpowiedź, i to raczej tylko z powodu projektu praw Zamojskiego, jednomyślnie odrzuconego, pismo Staszica dwadzieścia dwa inne wywołało; wszystkie wychodziły, teraz i później, bezimiennie i nie łatwo autorów odszukać. Staszic miał choć słuszne przyczyny, by występował bezimiennie: mieszczanin, zmuszony dlatego wstąpić do stanu duchownego, choć żadnego powołania nie czuł, wykształcony gruntownie, i za granicą, w Paryżu, szczególnie w naukach przyrodniczych, przejęty uwielbieniem dla Buffona, a przesiąknięty Russem, należał do grona, skupiającego się około Andrzeja Zamojskiego, jako wychowawca jego dzieci, i od „Pochwały“ Jana Zamojskiego przeszedł do swych „Uwag“ (1785), mając na oku różnicę między stanem dawnym, kwitnącym, a dzisiejszym, upadłym.

Dzieło jego odskakiwało od normy dotychczasowej, chociaż układem zewnętrznym niewiele „Głos Wolny“ przypominało; było wymowną, gorącą, namiętną odezwą do czci i sumienia narodowego, nie zbierało trwożliwie i oględnie argumentów, aby do rozsądku trafiało; targalo za serca, wystawiając hańbę upadku; stawiało radykalne żądania, których konstytucja trzeciego maja nie spełniła, zadowalająca się samem minimum, „częstkowa, połatana“, a mimo to reformy, od zamachu Targowiczan nie ustrzegająca. Ustanowienie silnego rządu i tronu dziedzicznego, rozstrzygnięcie większością, uwolnienie włościan — kim innym zapełnią się kadry większego, niezbędnego wojska? — oto czego żądał, a żądania popierał groźbą nieuniknionego, rychłego upadku.

Pismo było bardzo niejednolite, kończyło się historycznym obrazem działalności Jana Zamojskiego, a zaczynało dyskusją wszelkich materii, edukacji i innych stosunków wewnętrznych; przechodziło do zewnętrznych — omawiając je jedno obszernie i gruntownie, dru-

gie zbywając króciutko; między obie części wstawiony obraz Polski. Bo uczucie namiętne upokorzenia i obawy o przyszłość rozsadzało pierś autora: on podpisuje przedmowę z Heilsberga, bo nowalanie warminskie popłacały; udaje obywatela zakordonowego, tęskniącego, upominającego, a patrzącego zdala, niewmieszanego w nic, bo mieszczanin rzeczywiście do niczego nie należał. W rozumowaniu wplatał obrazy, przyrody polskiej, ludu włościańskiego, opuszczającego zagrody swe dla opresyi pańskiej; elekcyi, niby wolnych; rozczarowania, gdy król podpisem ulegalizował rozbiór. A barw nie żałował. Z pismem nie zwracał się, ani do króla ani do panów, których i posądzal i nienawidził, lecz do narodu szlacheckiego: „wielki narodzie, do pokądże w tej nieczułości trwać będziesz? Czyliż tak ginąć myślisz, aby się nic po tobie nie zostało, jak tylko niesława? Niemasz przykładu, żeby osiadłych na najobfitszej ziemi, udarowanych przez naturę szczególnymi przymioty, kilkanaście milionów ludzi bez sposobu ratunku, owszem bez myślenia o sobie, z oziębłością, niewoli czekało“. Ginęłyż i inne, przykładem Kartagina, lecz bez walki, sromotnie, jednaż Polska uledz by miała?

Jak styl — ze zdaniami urywanemi, z wystowieniem nieraz chropawem, zapadajacem jednak głęboko w myśl, — jak treść, tak i tendencya jednolitą nie była. Republikanin pragnął demokracji, t. j. równych praw i obowiązków dla wszystkich, ale patriotę przenosił już dlatego „samodzierżstwo“, ponieważ „w pośrodku państw samodziernych jedna Rzeczpospolita żadną miarą trwać nie może... ludu, nad tą myślą zastanów się mocno“. Doktrynerem bowiem nie był, dla formułek Russa, choć jego wielbiciel, nie narażałby istnienia ojczyzny. O niej tylko myślał — wymagał więc nawet w szkołach musztry: „sztuka wojenna powinna być jedynym zamiarem ćwiczeń ciała w edukacyi republikanta“; szkoła miała mu wychowywać „obywatela Rzeczypospolitej“; więc w „edukacyi“ jego kładł główną wagę na artykuł o posłuszeństwie; na największą cnotę: powiększyć dobro współobywateli, a w przeciwieństwie do dawnych zasad (por. wyżej wiersze Domaniewskiego, str. 234) uczył: pierwszym obowiązkiem człowieka jest *pracować*. Pismo wychodziło z założenia, jakoby Polska reformę swego ustroju jeszcze w swej mocy miała, błędnego, dzielonego powszechnie.

Znamienną była nieufność ku Prusom, straszylu o wielkiej głowie, do której rozmiarów ciało rozrastać się usiłuje, gniecione

zawszą, tylko od strony Polski wolny przestwór czujące. Dalej sarkania na przewagę duchowieństwa (np. w kwestyi dysydenckiej), na niepotrzebnych gąb żywienie po klasztorach i kapitułach; potrzebni tylko kapłani i biskupi, ci niech pobierają pensye.

Tak rozniecił mieszczanin z Piły, bardziej wpływowy, niż Skarga, Leszczyński i Konarski, ogień, w którym zgorzeć miały i veto i elekcyja, choć je nawet Russo polubił.

Suchemi datami, tabelami, popierał Staszic swoje wywody, nie skąpił też cierpkich i drastycznych obrazków (np. straszne drwiny ze stanu archiwów krajowych) i nieraz w sentymentalną przesadę wpadał (o domach prawa publicznego i in.). Gdy się wreszcie sejm zgromadził, a po pierwszych uchwałach (stutysięcznego wojska, wedle cyfry Staszicowej!) zapął zdawał się wygasać, napisał Staszic (1790) „piórem, w płynie elektrycznym maczanem“ „Prestrogi dla Polski“, krótsze, zwięźlejsze, piorunujące, lecz ufnosci czy pewności pozbawione, dlatego radykalne. W poczuciu grozy położenia szedł on bowiem dalej, niż w „Uwagach“, zażądał uwolnienia i uwłaszczenia włościan, aby ich z podłego chłopstwa wywieść; przyznania miastom praw politycznych, aby się nie wiązały z obcemi potencjami; konfiskowania dóbr naszych duchownych, szczególnież tych, „co gdzieś w Turczach biskupami, a chleb w Polsce zjadają“; wylewał na panów słowa oburzenia: „zatraciliście własny Polaków charakter, nadając szlachcie podłość, wszystkiego bojaźni i na bezprawie i niesprawiedliwość zupełną nieczułość“; do dobrych Polaków wołał: „upamiętajcie się, nie liczcie na cierpliwość nieba, widzę straszną nieszczęśliwość nad głowami waszemi. A gdy kocham Polskę, gdy zapomnieć nie mogę, że rodziłem się Polakiem, jakby ten kraj odratować, myślę koniecznie“. Tym razem jednak głos jego nie odnalazł gromkiego echa: u niepoprawnych optymistów naszych, w owym „legionie Likurgów i Solonów, mających po 23 lata“ znikł bez echa. Wypadki same usprawiedliwiły aż nadto gorączkowy niepokój Staszica: gdy wszystko runęło, zatapiał się polityk-filozof w rozmyślania nad dziejami ludzkiemi i wyniki ich złożył w najpotworniejszym co do formy, a najgłębszym co do treści utworze polskim XVIII wieku, w XVIII księgach i trzech tomach „Rodu ludzkiego“, poematu dydaktycznego, pisanego wierszem białym, pełnego neologizmów, rozwlekłego, nad którem mu się robotą przez długie lata wlokła — dokończył jej (w duchu odmiennym) i wydał dopiero w XIX wieku; wydanie zniszczono..

Za Buffonem, Lockem i Russem, wyszydzając niezrozumiałego Kanta, kreślił rozwój, od pierwszej materii i ruchu, od stanu dzikości pierwotnego człowieka, aż do rozwoju i przymierza zabobniców i władców, z najsilniejszymi wycieczkami przeciw wierze objawionej; ideału ludzkości dopatrywał w zrzeszeniu się jej ludów pod władzą monarchiczną, konstytucyjną, i w federacji rosyjskiej zapowiedź zrealizowania uznawał; bił przeciw monopolom angielskim i żydowskim. W dopiskach uzasadniał na podstawie obszernej erudycji, obejmującej zarówno przyrodników, historyków i filozofów, wywody poematu, niemożliwego formą, głębokiego treścią, wzniosłego tendencją; duch Bayle'a i Volney'a, antireligijny, antihistoryczny nawet, objawił się najpełniej; czasy i otoczenie swe wyprzedzał zresztą Staszic zupełnie.

Obok Staszica stawaliby Mądrzecki, zbieracz praw miejskich; Barszcz, Warszawianin, broniący tych praw wymownie w polemice z kasztelanem łukowskim, Jezierskim, godzącym się w wielu rzeczach ze Staszicem, lecz wymienił „Barss“ rychło pióro na służbę „dyplomatyczną“, na misję polityczną we Francji. Za mieszczanami, za ich autonomią, uwolnieniem od rządów starościńskich i wojewodzińskich, przypuszczaniem do posiadania dóbr ziemskich, reprezentacją w sejmie, ujął się skuteczniej, wytrwalej i wywalczył co zamierzał człowiek mniejszego, niż Staszic, charakteru, a większych, niż on, zdolności. Kołłątaj, a pomagał mu Jezierski, żądający w „Jarosza Kutasińskiego uwagach nad stanem nieszlacheckim w Polsce“ politycznego równouprawnienia.

Jako właściwy kierownik całego stronnictwa reformy, chociaż jawnie nie występował, stanął ks. (w końcu podkanclerzy) **Hugon Kołłątaj**, przygotowując teren dla konstytucji trzeciego maja już od roku 1789, wydając, podobnie jak Wybicki przed dwunastu laty, „Listy Anonima“ do przyszłego marszałka sejmowego, Małachowskiego, werbując go dla programu wołyńskiego; omawiał najpierw w listach istotnych, a później pod ich formą dogodną te same kwestye, co i Staszic, mniej namiętnie jednak i radykalnie, jako człowiek czynu, liczący się z warunkami — np. w kwestyi wojska, żądał 60000, nie 100000, z niechęcią szlachty, z zacofaniem; rozstrząsając najpierw kwestye najważniejsze, budżetu i wojska, potem konstytucyi samej; walcząc i w interesie miast, pobudzając i skupiając czynność Dekiertów i Mądrzeckich i innych. Konstytucya trzeciego maja, acz z wnioskami „Listów“ nie zupełnie

identyczna, więcej władzy królewskiej folgująca, była głównie jego dziełem.

Kołątaj nie walczył sam; za nim stał szereg pracowników, owa słynna „Kuznia Kołątajowska“, z której wychodziły namiętne publikacje, pamflety raczej np. ks. **Franciszka Jezierskiego**, nicujące bezwzględnie, w formie pytań i odpowiedzi, nierząd polski (Katechizm o tajemnicach rządu Polskiego; Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane i stosownemi do rzeczy uwagami objaśnione, po śmierci autora przez Kołątaja wydane, pełne najdrastyczniejszych zwrotów); w duchu niehistorycznym całego wieku wybierał on nazwy i postaci dziejowe, choćby bajeczne, ażeby pod nimi kwestye aktualne rozbierać, np. „Rzepichę matkę królów, żonę Piasta“, albo „Goworka wojewodę sandomirskiego“, albo „Wypis z kroniki Witykinda“; ażeby przeciw niewoli włościan, o wychowaniu młodzieży, o sądzie nad Ponińskim rozprawiał. I Kołątaj, prócz „Listów“, nieraz głos zabierał w „Ostatniej Przestrodze“ i t. d.

Staszic, Kołątaj i Jezierski, to tylko czoło nieprzebranej literatury politycznej, dziełek i broszur, po ogłoszeniu wolności druku (1789), prasy warszawskie zalewających. Jeżeli już „Uwagi“ Staszica tyle odpowiedzi wywołały, to np. pismo hetmana, Seweryna Rzewuskiego, który, jak i ojciec-hetman, o prawdzie fatalnych maksym dziada - hetmana (wiera, elekcyja, buława, liberum veto) święcie był przekonany, „O sukcesyi tronu w Polsce“, gdzie dowodził, że od Lecha do roku 1763 Polacy zawsze królów obierali i zawsze im z tem dobrze było, „potargało tyle piór, żeby można z nich zrobić wygodny materac dla spracowanej tyłaj pismami prawdy“, jak Jezierski twierdził.

Wielu zabierało głos po kilkakrotnie; jeden „list“ i t. d. wywoływał drugi i t. d.; używano i formy powieściowej: spotykał się adherent reformy z Mazurem Jagodzińskim w karczmie podwarszawskiej i dalej się ucierać o „sielekcyę“ i nieporządki trybunałskie, nęcące ośmiu synów - palestrantów Mazura; inny, przez okno wyglądając, zobaczył, babę jabłka w błocie przedającą, dziada żebrzącego i panienkę, co sobie dziegciem sukienkę powalała i brał assumpt do wytoczenia reform porządków miejskich; Dzwon staropolskiej fabryki wołał wszędy błędy; na Żydów upadłych, wzgardzonych, gorzej jeszcze niż dawniej, obruszały się liczne gromy; jednoznacznie żądano odebrania im wyszynku, karczm, w których

chłopa na śmierć rozpoili; nadzieje na jakieś zlewianie się czy zbliżenie, wzbudzone przez Franka i jego „sektę“, dawno się rozchwiały, „pan baron“ opuścił był Polskę i już tylko w Niemczech budził i oczekiwania i żywe zajęcie się tajemniczą nieco osobą, od zwolenników w Polsce niezmiernie dostatki wyludzając.

Dyskutowano o duchowieństwie, o zniesieniu jego prerogatyw i skonfiskowaniu jego dóbr i t. d. Różnorodnej treści odpowiadała pstrocizna tytułów, godna czasów saskich, „Cygan cnotliwy, gandzarą prawdy nieład chłoszczący“ wymagał wolności od ślubów dla zakonników, pensyi duchownym zamiast dóbr i t. d.; wydali na to księża (Surowiecki) „Gandzarę prawdy niecnotliwego cygana chłoszczącą“ (1792), „Kropidło“ i t. d., na to „Fajerkę pełną ognia miłości ojczyzny na osuszenie zbyt mokrego kropidla sporządzoną“ odpowiedziano. Jak tytuły, mieniały się i stanowiska; i obrońcy anarchii zdobywali się nie tylko na manifesty i Targowicę, lecz występowali np. z „Uwagami nad rewolucją 3 maja“ (Dyzma Tomaszewski, przekonany wielbiciel Szczęsnego, potem wyrzutami sumienia trawiony).

Godnie zakończyła bogatą i ciekawą literaturę polityczną praca zbiorowa, Kołłątaja, obu Potockich (Ignacego i Stanisława) i Pi-jara Fr. Dmochowskiego, w Dreźnie podjęta, „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja“ (1793 r., co młody Linde równocześnie na niemieckie przetłumaczył), obszerna, spokojna a wymowna, śpiew łabędzi tej „rewolucyi“, która niczego nie burzyła ani gwałtownie nie usuwała, lecz tylko naprawiała, co wieki popsuły; praca to, zwrócona głównie przeciw królowi, samoobrona jej autorów i ich polityki, przymierza pruskiego, więc nie bezstronna.

Ręka w rękę z tą literaturą polityczną szła publicystyka, reprezentowana godnie przez „Gazetę Narodową i obcą“, wydawaną przez Mostowskiego, Niemcewicza i Weyssenhofa. Początkami swemi sięgała publicystyka jeszcze czasów saskich, ale długo ograniczała się ubogimi w treść Kurjerami; późniejsze nawet Gazety, np. Warszawska, wydawana dwadzieścia lat przez eksjezuitę Łuski-nę, z którego Węgierski w ostatniej pieśni „Organów“ szydził, nie odznaczała się ani doborem treści, ani formą; gazeta ta istnieje do dziś.

Rok 1791 i 1792 przyniósł nadzwyczajne ożywienie; Targowica położyła mu kres, i po krótkiej przerwie za Kościuszki publicy-

styka zamarla na długo. Wydawnictwa te pojawiały się raz lub dwa razy w tygodniu (np. *Gazeta Warszawska*).

Ważniejszą rolę w budzeniu życia umysłowego odegrały inne wydawnictwa peryodyczne. I one sięgały czasów saskich. Sasi, Friese, Mitzler von Kolof, próbowali ich w języku francuskim (*Journal littéraire de Pologne*, 1754), łacińskim (*Acta literaria*), niemieckim (*Warschauer Bibliothek*) i polskim (Nowe wiadomości ekonomiczne i uczone), ale nie znajdowali u publiczności poparcia; wina tkwiła w części i po stronie redakcyi, nie umiejącej czytelników zająć, drukującej rzeczy zbyt dawne a suche, żywoty arcybiskupów i t. p.. Pierwsze czasopismo, co się utrzymało i w życiu umysłowym zaważyło, to „Monitor“ Bohomolca; czasopismo z rodzaju „moralnych“, w XVIII wieku, za przykładem angielskiego Spektatora Adisonowego, w całej Europie nadzwyczaj popularnych.

Więc jak na każdym innem polu obszernej a pożytecznej swej działalności, i na tem ks. Franciszek oryginalnym nie był; nietylko naśladował, ale tłumaczył całymi kawałkami Spektatora. Do Monitora, wydawanego od roku 1765 do śmierci wydawcy, roku 1784, pisywali Krasicki (rocznik 1773 jego pióra) i Naruszewicz, Minasowicz i Skrzetuski: główny ton i kierunek nadawał sam Bohomolec. Polityki nie wykluczał, lecz wychodząc ze zdania swego Chińczyka, że „Polska jest w tak nędznym stanie, jak żadne państwo w Europie“, poruszał głównie kwestye ekonomiczne, ucisk chłopów i t. p., nade wszystko zaś obyczajowe, te same, które satyra społeczna traktowała. Próbował wszelkich możliwych form, wizyi, snów, listów marnotrawców, opojów, zabobonników; dyaryuszów modnych dam i kawalerów; streszczał manuskrypt Chińczyka Yunipa, który niby roku 1759 bawił w Polsce; tłumaczył niby „list Daniela Robinsona, Anglika, opisujący zwyczaje nieznanego Europie kraju Nolopia“ (Polonia), ze strasznie dosadnymi, karykaturalnymi rysami — o poważaniu cudzoziemców i to jakich, o pustocie głów, o cenie honoru, o polozie obyczajów od godnie urodzonych na pospólstwo spływającym, o miłości ojczyzny w uścich, o wojownikach z wielkich rodzin (jakby do hetmana Ogińskiego przymusnął) i t. d.; nawet ze starszej literatury domowej w tym celu czerpał, np. z „Małpy-Człowieka“; tłumaczył Horacego i Pope’a i Thomasa demokratyczny wiersz do ludu; bił przeciw przesadnemu pochlebstwu, najniebezpieczniejszemu między chorobami umysłu; przeciw wygórowanemu mniemaniu o szlachectwie; przeciw ospalstwu umysłowemu, unikające-

mu książek i bibliotek; wszystko żywo, trafnie, dowcipnie. W walce o odrodzenie zapisał się Monitor bardzo dodatnio, zapędzał się aż do porady zniesienia celibatu, harcował za tolerancją dysydentów, narażając się na pociski fanatyków.

Obok „Monitora“ stanęły o zakroju więcej beletrystycznym „Zabawy przyjemne i pożyteczne“, wydawane przez Naruszewicza, potem przez Albertrandego (1770 – 1777), zasilane przez Czartoryskiego, Jakubowskiego, Minasowicza i wielu innych. Szczególniej zasłużył się eksjezuita również, ks. Piotr Świtkowski, wydawaniem „Pamiętnika historyczno-politycznego“ i innych czasopism, redagowanych w duchu bardzo postępowym, wywołujących silne zaczepki konserwatystów, np. eksjezuity Wyrwicza (Pro memoria Pamiętnikowi), szerzących zdrowsze pojęcia w rzeczach ekonomicznych. Z r. 1792 cały ten ruch ustał, zaduszony przez cenzurę Targowicy.

Beletrystyka prozaiczna znaczniejszych dzieł nie wydała, jeśli pominąć pisma Krasickiego i owe romanse pseudohistoryczne, raczej traktaty polityczne Jezierskiego czy Krajewskiego (Pijara), którego „poema prozą“, „Leszek Biały, książę polski“, najgłówniej kwestyę włościańską omawiał: pisał on przedtem powieści w guście Doświadczyńskiego albo naśladował w „Podolance“, spowiadającej się „Sandomierzance“ z nieprzyjemnych wrażeń towarzyskich, jako „wychowanica natury“, Emila. Naśladownictwa, przystosowane do ładu polskiego, albo wręcz tłumaczenia zajmują też w całej literaturze, wierszem i prozą, miejsce niemal naczelne, dla charakterystyki ducha wieku ważne.

Dowodzą one przede wszystkim, z jakich to źródeł zasilano ducha i gdzie to się zaopatrywano w rynsztunek. Staszic np. czerpał poglądy pedagogiczne z Emila, pojęcia o społeczności z *Contrat social*, wiedzę przyrodniczą z Buffona, tłumaczył poemat Racine'a o religii, a uzupełniał go listem Woltera, przeczącym deizmowi Racine'a; gdyby nie pożerająca wszystko troska o zachowanie bytu państwowego, oddałby się całkiem iluzjom o uszczęśliwianiu człowieka przez rozkuwanie wszelkich pęt „jednodzierźców“ i „zabobońców“, politycznych i umysłowych; ekonomiczne pojęcia czerpał tak samo z katechizmu fizyokratów francuskich. A Staszic to nie wyjątek, lecz reguła; i w przeciwnym obozie pan hetman, gdy elekcji bronił, tego samego Russa okradał; i ksiądz Skarszewski (późniejszy biskup, ofiara — niedoszła — terroru), broniący najwymow-

niej i najwytrwalej stanowiska duchowieństwa, nie wahał się z Monteskiusza, Woltera i Russa argumentów dobierać. Russo był bożyszczem; encyklopedyści wraz z Wolterem ustępowali przed nim; jeden i drudzy działali nawet nie własnymi dziełami; wyciągami z nich, maksymami, szermowali nasi *ésprits forts*. Czyniono czasem zastrzeżenia; Monitor bał się „przed straszącymi każdego prawowiernego sofizmatami“ Emila; na pierwszy plan zawsze tylko społeczność wystawiano, nie indywidualizm, jak u Russa; nie obawiano się, jak on, kultury i jej zgubnych wpływów. Mimo to zachwycono się nim i powoływano nań ciągle.

Im dalej w czasy Stanisławowskie, tem bardziej wzmagala się ta wszechmoc literatury francuskiej, a niebawem odczuwano i nad Wisłą, jak nad Sekwaną maksymy filozoficzne do obalania starych porządków podniecały, wytwarzała się ta sympatya między Warszawą a Paryżem, tak płodna w następstwa; republikańskiej Francyi, walczącej z koalicją, mógł się przydać *le peuple sympathique*, gdyby dywersją na tyłach Prus choć tego groźnego wroga odciągnął. Staszic, wydawcy „Gazety narodowej i obcej“, śledzili z zapartym oddechem rozwój wypadków paryskich, a niebawem stanął i pustak Albert Sarmat (Turski) przed kratkami konwentu z protestem w imieniu Polski.

Literatura Stanisławowska odbijała od saskiej właśnie ilością i doborem tłumaczeń, odnawiając owe komunikacye, przerwane w czasie mroku. Za Sasów tłumaczono chyba ascetyki francuskie, jakby własnych i nadto nie było, albo rzeczy w rodzaju Historii krucyat lub odszczepieństw Maymbourga; wyjątkowo dostawały się inne dzieła do druku, np. historie rewolucyi szwedzkiej, portugalskiej i rzymskich, słynne ze stylu i patosu (Vertota). Teraz świecka, antyklerykalna literatura francuska wystąpiła na pierwszy plan, a chociaż nie dzielono w Polsce jej hasła *Écrasez l'infâme* (prócz bardzo nie wielu; do nich należał i Staszic) sama łatwość, z jaką się na wyposażenie biskupstwa krakowskiego rzucono, dowodziła, że nauki francuskie w las nie szły. Przyczynił się i duch, wiejący od Austrii józefińskiej, i Borna srogi pamflet znalazł rychło tłumacza, wydającego Mnichopismo, oskarżenie i obronę naturalisty, z anatomią mnicha, niby w Lipsku. Tu należała i tragedia „Saul“, szydząca z patryarchów i przeciw oligarchicznemu zakusom i matactwom duchowieństwa zwrócona, której tłumaczenie wywołało zaciekły odpór ks. Surowieckiego, nieznużonego polemisty o prawa

obskurantyzmu. W pokrewnym duchu działały od dawna tłumaczenia pism Monteskiusza, Dalamberta, Fontenella rozmowy o wielości światów, wytłumaczone przez Pijara jeszcze roku 1765, opierające się naturalnie o system kopernikański i przeraźliwe dla tego dla Abramowa, gdy je książę Kantemir na rosyjskie był wyłożył; tegoż Fontenella o wyroczniach pogańskich (dwa tłumaczenia) i t. d. Lecz pomijając dzieła treści filozoficznej, naukowej, wymienimy ważniejsze tłumaczenia z dziedziny literatury pięknej.

Sięgały i do angielskich (za pośrednictwem francuskich), cofały się do łacińskich (i greckich), nie uwzględniały tylko niemieckich (prócz naukowych, np. geografii Büschinga i t. p.). Najzasłużeńszy z tłumaczy był Pijar, Franciszek Ksawery Dmochowski, z kuźni Kołłątajowskiej; najczynniejszy, mimo swych lichych zdolności, profesor krakowski, Jacek Przybylski. Dmochowski ułożył kodeks nowej poetyki „Sztuka rymotwórcza, poema we czterech pieśniach“, kanon niewzruszony w oczach Staszica i Śniadeckiego, naśladowany z Horacego i z Boala, tylko zamiast o Malerbie, o Szymonowicu, Krasickim i t. d. prawiący, rozszerzony, w drugiej i trzeciej pieśni „gatunki“ poezji (od sielanki i ody aż do dramatu i epopei) omawiający, ich zasady i t. d. Tłumaczył Junga (Sąd ostateczny i Nocy) i Milтона (urywkami), Homera (Iliadę, Odyseję w urywkach) i Horacego (listy) i in.

Przybylski, bez talentu Dmochowskiego, ale z wytrwałą pilnością porywał się do wszystkiego, do Hezyoda i do Camoensa, do Popa i Addisona, wydawał i tłumaczenia dawniejsze, np. Aryosta Kochanowskiego. Dmochowski i Przybylski zmierzyli się i w ciekawszej szermierce literackiej; Pijarzy wraz ze Śniadeckim skrytykowali ostro pisma niektórych profesorów krakowskich, dla treści i formy, gdzie i Przybylskiego za jego neologizmy szarpnęli, tytuł broszury właśnie z nich formując (*Zakus nad zaciekami wszechnicy* krakowskiej — lecz słowa, wyszydzone w roku 1788, oddawna prawo obywatelstwa otrzymały); Przybylski, zazdroszcząc Anglikom Duncyady, porwał się na poema heroikomiczne, Bicz, ale broń wytrącił mu z ręki Dmochowski „Urywkiem z bicia kręconego w Krakowie“.

Z francuskiego tłumaczyli Poniński, sam Krasicki i inni ody i poematy dydaktyczne (o wierze) Rasyna i Russa i Woltera; Tadeusz Morski poematy komiczne, z odcieniem antyklerykalnym, Gresetta, Pulpit żyjący i Ver-Vert szpak klasztorneho chowania; Jaku-

bowski Lafontena; Szymanowski „Świątynię Wenery w Knidos“ w przeróbce wierszem blahej powiastki Monteskiusza, pod nieba wyniesionej przez Stanisława Potockiego, chociaż inne prace Szymanowskiego, piosnki liryczne, lepsze; inni Marmontela; panią Genlis, jej „Wieczory zamkowe“ długi czas główną lekturę panienek stanowiły, komedye dla młodzieży i t. d., dzieło o religii tłumaczyli Pijarzy, Adele i Teodora czyli listy o edukacyi panna Czermińska; słodziutkiego Floryana: „Numę Pompiliusza“ tłumaczył Staszic, inni inne powieści, np. „Galateę“, którą Floryan z Cerwantesa przejął i dokończył, powieść perską „Batmendy“, miłostki pasterskie, tkliwą sielanek „Rut“ i t. d. Jeszcze pilniej tłumaczono naturalnie komedye, Diderota „Nędzę uszczęśliwioną“, np. Załuski i Bohomolec (z niej poszło libretto pierwszej opery polskiej); Destouches, Regnard i t. d.; do teatru i Metastasio (Joasz król Judzki, roku 1782 i in) i Goldoni (Miłość żołnierską tłumaczyła panna Maliszewska), i Alfieri, z pomiędzy Włochów, się dostał. Don Kiszota (z francuskiego, nie z oryginału) wyłożył kasztelan Podolski, tłumaczący i inne rzeczy; szerzyły się i romanse angielskie. Niezrównanego Tom Jones'a przetłumaczył, z przypiskami ks. Czartoryskiego, Zabłocki: utraciwszy żonę — zgon jej opłakiwał Książnin w czułych „Żalach Orfeusza za Eurydyką“ — rzucił całkowicie teatr i uprawiał za sejmu czteroletniego satyrę, smagając niemiłosiernie hipokryzyę, przedajność, wszystko co go bolało, niepokoiło lub obarczało; nawet uchwałę stutysięcznego wojska nicował:

Stanęło sto tysięcy wojska. Są żołnierze!
Bogu chwała! Gdzież oni? Gdzieżby? — na papierze!
Bogu chwała! Już i żołd jest na stotysięcy,
Są miliony! Gdzież one? W każdego kieszeni...
Jest obrona! W kim! Pewnie w boskiej Opatrzności!

Cztery tomy „Podrzutka“ (Tom Dżona) były ostatnim występem literackim Zabłockiego; w Rzymie oblókł on suknię duchowną i obowiązkom nowego stanu całkiem się oddał.

Fieldinga tłumaczyli i inni, „Awanturę Amalii“, (z przeróbki pani Riccoboni) i wypisywali jego imię przy dziełach, obcych mu zupełnie, np. przy „Awanturach Roderyka Random“ (Smolleta); z *History of Joseph Andrews* urósł „Książd Wikary“, w innym przedruku ochrzczony „Bombizą luterskim w urzędzie wikarego“. Potrzeby beletrystyki zaspakajali więc głównie tłumacze: Idziego

Blasa np. miano nie tylko wedle oryginału, ale i w przeróbce oryginalnej i t. d. Od tej francuszczyzny (boć i Fieldinga z francuskiego tłumaczono) odbijał romans anonima „Polak w Paryżu albo dwutygodniowa bytność hrab. *” (1787 r.), z szablonową fabułą o zwodzeniu i wyzyskiwaniu nowicyusza, lecz z wcale nie szablonowym sądem o nienaturalności i wymuszoności tragedii francuskich i ich reguł, z podziwianiem niezrównanego Szekspira, oddającego ludzi i przyrodę, jakimi są rzeczywiście.

Romanse te, najróżnorodniejsze treścią i stylem, pochłaniał ówczesny czytelnik, ale mniej w realizmie Fieldinga gustował, na satyrze Don Kiszota wcale się nie poznawał, w Żil (Idzim) Blasię chyba nieprzyzwoitości wyszukiwał: oddawał się zato całkiem Floryanowi i jego manierze. Bo i jakżeż można się było oprzeć czarowi np. takiej frazy, którą się czwarta część „Galatei” (romansu czterech pasterzów i tyluż pasterek) zaczyna: „Na twoje się już całkiem rzucam łono, słodka melancholio, chciej ostatnie pióra mego obrazy tą pochmurnociemnistą przyozdobić barwą, która się zwykle podobą prawdziwie czułym sercom. Nie lękaj się ich zbytecznego wzruszenia! Łzy, co wyciskasz, będą tak przyjemne duszom tkliwym, jak rosa kwiatom” i t. d.; druga księga zaczynała się idyllicznym westchnieniem „kiedyż będę tak szczęśliwym, abym mógł żyć na wsi, kiedyż będę panem małego domku, otoczonego w koło drzewami fruktowymi, w bliskości byłby ogródek mały” i t. d. Nie dziw, że czułe serca i tkliwe dusze romans (r. 1787) zaczytały do szczętu — tekst cytuję tylko z odpisu jakiegoś czułego czytelnika. I roi się od tych czułych romansów; w roku 1795 (!) tłumaczy i wydaje np. Tomasz Wolicki „obywatela” Merciera „Sympatyę, historię moralną”, rzeczywiście bardzo czułą i kłiwą, ale następuje zaraz po niej „Izotym czyli dobry geniusz”, wychowujący „jego” i „ją” w największej niewinności, lecz cel i koniec tego wychowania aż nadto nieskromny.

Tłumaczenia klasyków łacińskich, od Fedra aż do Tacyta, Horacego i Wergiliusza szczególnie, pomijamy; coraz gęściej przewijały się nieznane przedtem nazwiska i dzieła angielskich poetów, Milтона, Popa, Junga; tylko Niemców nie było na razie. Z zastojem saskim zrywano więc kompletnie.

Najdonioślejszym w skutki czynem, najwymowniejszym świadectwem kultury wieku oświecenia było ustanowienie i czynność komisji edukacyjnej; o członkach jej twierdził Staszic w „Uwagach”:

„tych mężów, jeżeli brzydka przemoc jeszcze przynajmniej oddychać dozwoli, tych mężów szczęśliwsza od nas potomność, jako pierwszych swojej szczęśliwości stwórcy, czcić i wspominać będzie“. Kasacya zakonu Jezuitów dotknęła najsilniej sprawę wychowania w Polsce, spoczywającego głównie na barkach zakonu: niezwłocznie należało pomyśleć o zastąpieniu zakonu w jego obowiązkach, boć Pijarzy i Bazyliani sami im podołać nie mogli, a nęciła sposobność zeświecczenia wychowania, osadzenia go na nowych podstawach. Urzeczywistniono więc myśl, rzuconą w Polsce już na początku XVII wieku; zasobów olbrzymich zakonu, poświęconego edukacyi młodzieży, użyto w tym samym celu, a chociaż część ich znaczną chciwość i niesumienność rozszarpały, udało się zabiegom Chreptowicza (wnioskodawcy) i innych resztę ocalić i oddać pod zarząd uchwalonej roku 1773 Komisyi, pierwszego ministerium oświaty w Europie.

Komisyja miała cały szereg zadań do spełnienia: zreformować istniejące szkoły, od najwyższych do najniższych; wystarać się o świeckich kandydatów do stanu nauczycielskiego, aby nie być wyłącznie zdanym na osoby zakonne, naginające się z trudem do wymagań świeckich; stworzyć podręczniki dla użytku tychże szkół. Reformy poprzednie, Konarskiego i Jezuitów, torowały już drogę; taki ks. Rogaliński w Poznaniu, nauczyciel Śniadeckich, traktował obszernie „Doświadczenia skutków rzeczy pod zmysły podpadających“ (cztery tomy fizyki eksperymentalnej), uprawiał i inne pola nauk stosowanych, wraz z matematykiem, ks. Gawrońskim (późniejszym biskupem krakowskim); obaj podnosili zakłady naukowe poznańskie i ustalali terminologię polską.

Również przed rozpoczęciem czynności Komisyi edukacyjnej powstała była szkoła, acz specyalna, wojenna, ale owiana nowym duchem, szkoła korpusu kadecckiego, założona przez króla, prowadzona przez ks. Adama Czartoryskiego, który sam nie szczędził dla niej kosztów i trudów, dla niej „Katechizm moralny“ i „Definicje różne“ (w rzeczach towarzyskości) pisywał, na jej scenie sztuki swe wystawiał (np. „Pannę na wydaniu“, przypisaną kapitanowi Ciszewskiemu, który pierwszy wprowadził teatralne zabawy w korpusie kadetów). Do jej nauczycieli należał bibliotekarz jej, Dubois, autor pierwszego *Essai sur l'histoire littéraire de Pologne* (Berlin, 1778), stwierdzającego postęp w naukach Polski; z jej uczniów wyszli najdziel-

niejsi patryoci, Kościuszko, Niemcewicz, wymowny Nestor Sapieha (prototyp Sapiehy u Szylera), Kniaziewicz i wielu, wielu innych.

Reformę zaczęła Komisya od góry, od obu uniwersytetów, szkołami głównymi teraz nazwanych, krakowskiej, gdzie za Kołłątają dobito się zniesienia przestarzałego trybu, ustanowienia nowych katedr, lepszego ich uposażenia, uporządkowania biblioteki, gabinetów i t. d.; i wileńskiej, gdzie wobec uporu Poczobuta, astronoma i rektora, reformę mniej skutecznie przeprowadzano. Przywoływano obcych (np. Forstera dla botaniki do Wilna); rodaków wysyłało dla dopełnienia wykształcenia za granicę, z których matematyk Jan Śniadecki (z Wielkopolski) najbardziej się wyróżnił; już w krótkim czasie ujawnił się postęp znakomity, najwidoczniejszy w zerwaniu ze średniowiecznością.

Szkołom głównym polecono i wizytacye doroczne szkół niższych, wydziałowych i podwydziałowych; na urządzenie licznych szkół parafialnych nie stało już zasobów i czasu. Najtrudniej było zwabić liczniejszą młodzież do stanu nauczycielskiego; większą część uczących musiano zatrzymać ze szkół dawnych, zakonnych, a ci nie rzucali łatwo swego trybu nauczania, z łaciną, jako przeważnem, jeśli nie wyłącznem zadaniem szkoły, z pomijaniem nauk realnych, przyrodniczych i innych.

Plan Komisji edukacyjnej zrywał zupełnie z dotychczasowym trybem nauczania: język narodowy stawał się odtąd głównym organem szkoły, a obok nauk moralnych realne występowały na pierwszy plan; skargom na nieproduktywność szkoły i jej nauczania, nie przydatnego w niczem do życia, miał zapobiedz system, kształcący nie łacinników, lecz obywateli przyszłych; kładziono nacisk na historję i geografję krajową, na poznanie praw i instytucji. Dawna szkoła wypuszczała młodzież, obytą z Alwarem, mitologią i starożytnościami rzymskimi; zato obrany na deputata młody obywatel ani się domyślał, co „koce“ (w sądzie) znaczą (skarżono się na to już na początku XVII wieku); świeży podkomorzy „na hipotenuzę tylko pysk otwierał“ (Naruszewicz); poseł tylko na podatki veto ryczał. *Non scholae, sed vitae discere* było zadaniem nowych szkół. Program ich ułożył ekszezuista, wielce zasłużony Grzegorz Piramowicz (z Ormian lwowskich), wydany roku 1783 przez Komisję pod tytułem „Ustaw Komisji dla stanu akademickiego i na szkoły, w krajach Rzeczypospolitej przepisanych“.

Z łona Komisyi wyszło i osobne towarzystwo do ksiąg elementarnych r. 1775; rozpisywało konkursy na najlepsze podręczniki dla szkół, w czem brali udział i obcy (np. Condillac), a po części je samo przygotowało, np. znakomity „Elementarz dla szkół parafialnych narodowych“; „Wypisy z autorów łacińskich“ i in.. Tak powstała pierwsza obfitsza, rodzima literatura pedagogiczna. Na czele jej stanęło Piramowicza „O powinnościach nauczyciela“ (głównie wiejskiego) i (niedokończone) „Wymowa i poezya dla szkół narodowych“, z którą książka ks. Golańskiego spółzawodniczyła, pierwsze retoryki i poetyki w języku narodowym. Teraz pojawiły się i pierwsze gramatyki polskie.

Dawna szkoła języka narodowego gruntowniej nie uwzględniała; uczono łaciny, zbywano polszczyznę byle czem; zastanawiano się, chyba po raz pierwszy od Parkosza i Zaborowskiego czasów nad ortografią, potem i nad wierszowaniem. Gramatyki polskie istniały dla cudzoziemców; najdawniejszą wydał Francuz spolszczony, Stoiński (r. 1568), z przykładami z Reja i Kochanowskiego, skalkowaną wedle normy łacińskiej, tak że nawet 6, nie 7 przypadków liczyła. W XVII i XVIII wieku znowu cudzoziemcy i dla cudzoziemców, po łacinie i niemiecku, Volckmar, Mesgnien, Rother, Woyna i t. d. gramatyki pisywali, a w równej z niemi cenie stawały „Wokabularze“ niemieckopolskie, w Królewcu od pierwszej połowy XVI wieku coraz przedrukowywane, z urywkami Marchołta, z polszczyzną nieraz pruską (*pomokrzył plotki* zamiast *zamoczył warkocze*); uzupełniały je wzory listów np. „Kancelarya polityczna“ i „Wydworny Polityk“, Dobrackiego - Guttetera, autora i gramatyki „Polnische Teutsch erklärte Sprachkunst darinn die uberaus wortreiche, hochzierliche, vollkommene Heldensprache der Pohlen“ i t. d. (r. 1669 i częściej).

Pierwsze gramatyki polskie dla Polaków powstały późno: dzieło ks. Szylarskiego roku 1770 zastąpił ks. Kopczyński, zażywający, niby polski Łomonosow, czy Gottsched, niezachwianej powagi przez pół wieku z górą. Zasługi Kopczyńskiego są niezaprzeczane; on otrząsł najgruntowniej język z barbarzyństwa pisowni, form i składni, jakie się w ciągu wieków wkradły; on wrócił do norm dawnych; wprowadził zaniedbane już zupełnie kreskowanie na nowo, tylko co do litery *a* nie przyjęto, i słusznie, jego wniosków, pedantycznie brzmienia w wymowie ogólnej, od dawna zamarłe, wskrzeszających, chociaż amatorów kreskowane a znalazło jeszcze

w XIX wieku; on ustalił reguły co do *em* (i) i *ym* (i), pod któremi do dziś jesteśmy, i w obszernych przypisach do gramatyki (dla nauczycieli) wprowadził filozoficzny pogląd na język i rozwój jego, postępowy a trafny. Z dzieła Kopczyńskiego wyszła cała późniejsza literatura gramatyczna polska. Podręczniki pisali Skrzetuscy (historii i prawa polskiego), Popławski, Hube (Fizyka dla szkół narodowych r. 1772, wytłumaczona z jego łacińskiego tekstu, przedtem Wstęp do fizyki, 1783 i t. d.) i inni.

Nie od jednego zamachu jednak dał się usunąć mrok i zastój saski, przełamać opór i przesady. Jak silnie wkorzenione były narowy, dowodzi los, zgotowany kodeksowi Zamojskiego roku 1780: niszczymy i tych praw wskrzeszać i aprobować nie będziemy, oświadczał sejm, chociaż te prawa, wcale nie radykalne, tylko część poddaństwa (pierwszego i trzeciego syna) od askrypcyi zwalniały; Wybickiego, że przeciw elekcyi i t. d. pisał, na sejmiku (1778) omal nie zabito; nobilitacyi Piramowicza przeprowadzić nie było można, gdyż zasadzano się silniej przeciw mieszczaństwu; liberum veto, mimo Konarskiego, świeżo (1768 roku) za prawo formalnie uznano i zawarowano, a chociaż szkodliwość jego powszechnie uznano, wracano do niego jak pijak do trunku.

Podobnie miało się i z wychowaniem: praca Komisyi Edukacyjnej trafiała na bierny opór nauczycieli zakonnych, nie chcących rzucać dawnego trybu, parodujących nieraz umyślnie zlecenia i wskazówki Komisyi; rodzice sami żalili się na osłabienie łaciny, nam dla naszych praw nieodzownej, na świecki ton szkoły. Wierzano po dawnemu, w upiory; palono czarownice, i dopiero po strasznym wybryku Doruchowskim (r. 1775, gdzie spalono czternaście kobiet) położono tamę dalszemu barbarzyństwu; sejm r. 1776 zniósł i tortury, i karę śmierci w sprawach o czary. Nawet w literaturze nie wyczerpały się dawne prądy. Nietylko tłumaczono zawzięcie nowe albo wydawano dawne ascetyki np. Żałuskiego, ale pisano je dalej. Więc wydał ks. Gaudenty Pikulski „Sukces świata albo historią uniwersalną od stworzenia“, gdzie traktował najdawniejsze pytania dawnej scholastyki, dlaczego człowieka Bóg z gliny, nie z kruszczu szlachetnego uformował, co się Adamowi śniło, gdy Bóg z niego Ewę tworzył, dlaczego z ziobra, z którego, jakie to było jabłko (winne) i t. d. Symon Majchrowicz trwałość szczęśliwą królestw wyprowadzał roku 1764 w czterech tomach z prawowierności, sławił z tego tytułu Polskę, gdzie Chry-

stus i Marya najchętniej przebywają i złotą wolność ratują. A przecież istniały już dzieła Bossueta i Fleurego, gorliwych katolików, bez owych przesądów; była poezya Krasickiego i Naruszewicza, ale p. kasztelan przemęski, Rafał Gurowski, obrońca Jezuitów, poświęcał królowi (1782) dzieło, które tylko za Sasów powstać mogło, „Dzieje pisma św.“... rodowitym rytmem opisane z niektórymi moralnościami i t. d., 400 stronic bitego druku, chyba z rytмами biblijnymi Leszczyńskiego rywalizujące; literatura prowincjonalna odbijała silnie od warszawskiej; na libertynów, ateuszów, deistów instygowano jeszcze namiętnie (proces przeciw Niemiryczowi o zdepekowanie hostyi św.); z nimi łączono „farmazonów“; przeciw neoterykom, zwolennikom nowej szkoły, systemu Kopernika, doświadczeń fizykalnych żegnano się nieraz przesądnie — nawet satyryk Piotrowski nie wahał się, zawołać, że pełna Warszawa Łyszczynskich, a kaci próżnują, chociaż, jako duchowny, krwi nie śmiał pragnąć. Fanatyk Surowiecki jeszcze r. 1792 koniecznie wprowadzenia inkwizycyi się domagał, chociaż nietolerancya już r. 1766 ostatnie tryumfy święciła.

Tak ścięrały się Oświata i Sarmatyzm; ową podtrzymywała opinia publiczna warszawska, król, magnaci (uwalniający lub oczyszczający włościan, zakładający „manufaktury“, wydający, jak księżna Jabłonowska, wojewodzina braclawska, „Ustawy powszechne dla dóbr moich rządców w drukarni pokojowej siemiatyckiej“), literaci, mieszczenie warszawscy, Dekert, Dulfus, Kapostas i inni, gdy się Sarmatyzm nie na teatrum publicznem, za to w zaciszu prowincjonalnem i klasztorzem jeszcze wygodnie roztasowywał. Przebieg i epizody tej walki niekrwawej, ubogiej nawet w szczegóły drastyczne, kreślą najlepiej ówczesne pamiętniki.

Literatura pamiętnikowa epoki Stanisławowskiej jest tak niewyczerpana, jak jej literatura satyryczna, lecz z pamiętników nic się do druku nie dostawało; pisano je często z wykluczeniem publiczności (przeznaczał je np. ojciec tylko dla swoich dzieci) i bardzo późno, patrząc przez pryzmat następnych dziejów na chwile wcześniejsze. Pamiętniki XVIII wieku wydobywał więc dopiero XIX na jaw; ogłaszali Raczyński, Kraszewski i inni, pisane po francusku, polsku i niemiecku (generał Dąbrowski, „Beytrag zur Geschichte der polnischen Revolution“, o kampanii 1794 r.); w domu, za granicą i w więzieniu (pamiętnik Kilińskiego); o wychowaniu jezuickiem (Wybicki, który plag otrzymanych nigdy nie przepomniął) i o Sy-

beryi (jenerała Kopecia); o zabiegach dyplomatycznych i konspiracyjskich (pamiętniki podskarbiego Ogińskiego, francuskie, znakomite, tłumaczone dlatego i na niemieckie) i o rzeczach najbardziej partykularnych, dyplomatów, żołnierzy (Zajacek, Weyssenhoff i inni), króla samego (o młodości swej i t. d.) i jego szambelanów czy paziów.

Z arcydługiego szeregu tych pamiętnikarzy wyróżnia się ks. **Andrzej Kitowicz**, chociaż dzieła jego właściwie do pamiętników nie należą, skoro o własnej osobie oratorskiej najmniej w nich wzmianek. „Liche to pisma co do stylu i składu rzeczy“, twierdził o nich, skromnie i słusznie, ich autor, lecz zawierają wiele takowego, o czym młodszy nie słyszeli, a czego wielcy pisarze „dla drobności“ nie dotykali.

Kitowicz, to bezwzględny *laudator temporis acti*; niegdyś Barszczanin, na stare lata ksiądz pleban i kanonik, dobry gospodarz, zapalony myśliwy, wyborny znawca win, zapatrzył się w „słodkie panowanie“ saskie i w rękopisie „O obyczajach polskich“ (bez początku i końca) opisał cały tryb życia saskiego w dworku i pałacu, w szkole i palestrze, w wojsku i na wsi. Z tego to dzieła najkrócej i najpełniej można wyrozumieć tryb staropolski; kogo interesują szczegóły systemu jezuickiego, zasadzającego się na ciągłym budzeniu „emulacy“ w uczniach, dzielącego więc klasy na partye, Graecorum i Romanorum, rozdającego tytuły Imperatorów i t. d., każącego cenzorom czuwać nad spółuczniami, znajdzie u Kitowicza niby wykład do trzeciej satyry Piotrowskiego (na chwałkę próżnego dawnego gustu nauk); również pozna tam szczegóły ubioru, pojazdów, potraw; instytucyi, publicznych, prywatnych, kościelnych; egzekwii i obchodów, wesel i chrzcin; praktyk religijnych i trybunałskich.

Autor ma czasy Augusta III na oku, „dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego“, ale odróżnia ich początkowe lata od dalszych, kiedy to sarmatyzm widocznie zaczął ustępować, mnożyły się wyjazdy za granicę, naśladownictwo obcych zwyczajów i ubiorów, wzrastał się zbytek i wygoda, a neoteryzm do szkół zaglądał. Kitowicz nie przesadza ani ukrywa; przyzna się, że „ztrudna gdzie przy farze“ była jaka szkoła, dla dziewcząt one wcale nie istniały; przetarłszy się nieco w początkach łaciny, udawano się do Jezuitów lub Pijarów, a szkoła liczyła nieraz do tysiąca studentów, z których magnaccy synowie w pierwszych ławkach siadali; jak przez zapro-

wadzenie konwiktów „szkoły publiczne zdrobniały“ i t. d. Drugie, obszerniejsze dzieło Kitowicza, „Historya Polska“, które po r. 1788 pisać zaczął, mniej ciekawe, gdyż powtarza najczęściej rzeczy znane, akty, mowy, proklamacye z gazet, relacye i t. d. Równie daleko w tył cofają się pamiętniki Łopacińskiego, ale nagle urywają.

Z osobistości literackich pamiętniki Karpińskiego i Niemcewicza, chociaż je dopiero w XIX wieku spisywać poczęli, w pierwszą młodość sięgają, zwierciadlącą się wyraźniej w starczej pamięci. U Karpińskiego jest to zarazem rodzaj czulej spowiedzi, opowiadania o miłostkach, pokusach, powodzeniach i niepowodzeniach, autobiografia bez względu na stan kraju, podczas gdy w Niemcewiczu, mężu politycznym, ów wzgląd zawsze przeważał. Staszica pamiętnik zbyt lakoniczny. I Hugo Kołłątaj zostawił pisma, któreby pamiętnikami nazwać można; długie lata więzienia fortecznego, potem wymuszonej bezczynności (na zewnątrz) obudziły w nim myśli „o wielkiem dziele pamiętnikowem czasów moich (1750 — 1796)“, z którego jednak tylko wstęp wykonał, wydany pod tytułem „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach Augusta III (1750 — 1764)“, gruntowne pendant i uzupełnienie do dzieła Kitowicza, szczególnie stosunki szkolne, krakowskie (na wszechnicy) wyjaśniające, z bardzo drastycznymi szczegółami; są i jego krótsze zapiski autobiograficzne, np. o wyjściu z Ołomuńca.

Miedzy pamiętnikarzami znajdziemy stronników królewskich (Zaleski, Wolski) i reformy (Wybicki, Bukar, Drzewiecki i in.), wojskowych i obywateli (Dobiecki, paż, potem żołnierz; Ochocki, najbardziej w rysy obyczajowe obfituje, nieraz tak drastyczne, od ubiorów aż do balów i intryg miłosnych, że wydawca, Kraszewski, opuszczał, co skromne uszy razić mogło), ludzi wykształconych i bez wykształcenia (szewc, Jan Kiliński, za namową Niemcewicza i innych, co wymownie opowiadał, to spisał równie, żywo i barwnie — inne późniejsze próby literackie już mu się nie wiodły); każdy z nich oświeca tylko pewne punkty czy partye np. pamiętniki Ogińskiego, próby wołoskie, zawiązki legionów i stosunków z Francją; nikt się nie zdobył na całość historyczną, jaką niebawem obcy, Rulhière i in. podejmowali. I wartość literacka tych pamiętników najczęściej nie bywa wyższą; jakby przeważały rzeczy okolicznościowe; nie zostawiły one nic wykończonego, nic, coby np. z Paskiem rywalizowało. Najobszerniej gawędził jeszcze Ochocki, ale o rzeczach najdrobniejszych; Niemcewicz, zachowujący formę

staranną, literacką, zbyt wiele miał do opowiadania z długiego, ruchliwego życia, ciągły wędrownik, od Sycylii do Petersburga i od Ameryki do Słonima czy Dubna — więc nie zatrzymywał się przy szczegółach, chyba wyjątkowo, nie cieniował ich ani podmałowował, chociaż wszystko, co opowiada, jest bardzo zajmujące i ważne. Inni całkiem sucho spisywali, co wiedzieli; Ochocki, Drzewiecki, Wybicki, Weysenhoff generał, Niemcewicz po siedemdziesiątym roku życia, w roku 1820 lub 1840, swe wspomnienia kreślili, należą więc do XIX wieku, chociaż wyrosli w tej epoce, z nią się zżyli, do niej wspomnieniami zawsze wracali; Wybickiego pamiętnik np. nietylko o wychowaniu u Jezuitów, ale najciekawiej i najprawdziej o konfederacji barskiej opowiadał, nie skąpiąc szczegółów drastycznych o niezaradności, opieszałości i osobistej ambicji przywódców, obniżając w autopsyi, co późniejsza tradycja wyidealizowała, nawet i ks. Marka. Nawet z Pamiętników staroego Koźmiana nie najdrobniejsza część właśnie ówczesnemu wychowaniu i szkołom i sejmowi wielkiemu poświęcona, a (francuskie) memoryały księcia Adama Czartoryskiego, świetny dowód i pomnik jego bystrości, lojalności i patriotyzmu, ważny przyczynek dla psychologii cesarza Aleksandra, chociaż pisane dopiero po r. 1831, sięgają w wiek XVIII i duchem swym, jak książę sam, jego wpływy wykazują.

Bogatą tę literaturę, niewyczerpaną dotąd, nawet ogarnąć trudno; należą tu np. pamiętniki ks. Kossakowskiego; sejmem wielkim zajmuje się Michał Czacki, obeznany dobrze z osobami i sprawami zakulisowemi i t. d., nie mówiąc o pamiętnikach obcych, Siewersa, Heykinga i in., nieraz ciekawszych i ważniejszych.

Jak rządy Stanisławowskie nie uratowały państwa, tak i literatura tej epoki nie zdobyła się na wielkie dzieło narodowe, następnym wiekom przyświecające. Mimo tego niedoboru wytworzyły one zadatki przyszłości narodowej, mającej przetrwać upadek polityczny.

W spadku po tej epoce pozostała najpierw jednolitość narodowa. Składały się na nią wprowadzie całe wieki, ale dawniejsze odrębności teraz się dopiero zupełnie zatarty; mogły pozostać atawistyczne cechy, fizyczne, temperamentu, uzdolnienia, sam naród

szlachecki był na całym przestworze Rzeczypospolitej jeden: żył i czuł, myślał i modlił się, bawił i ubierał, czytał i uczył tak samo, pisał to samo wierszem i prozą; jeden pokost szlachecki okrywał i piaski wielkopolskie czy mazowieckie i pulchny czarnoziem ukraiński i puszcze litewskie. Szlachcic czuł się w obrębie całej Rzeczypospolitej jak w domu; wszędzie odnachodził, jeśli nie koligacye, to spółkolejnotników; cześnikiem wschowskim tytułował się na Podolu, a latyczowskim na Pałukach. I kraj cały miał wygląd tak jednolity, że nikt ani się domyślał, albo przynajmniej nie zważał, że ta jednostajna powłoka nie wszędzie równej grubości była, że na wielkich obszarach podkład jej był odmienny, nie polski. Austriacy np. ani wiedzieli, że w ich „Galicyi“ istnieją obok Polaków i Rusini; oni pod „językiem galicyjskim“ rozumieli wyłącznie polski i nawet z Królowej Korony Polskiej „galicyjską“ zrobili. Podobnie było wszędzie indziej; jeszcze nikt się w etnografię nie zabawiał; tę dopiero wiek XIX wymyślił.

Powoli, bez żadnego przymusu, wycofał się język ruski z urzędowego życia litewskiego; w prywatnem odmiana ta szła szybszym krokiem. W XVI wieku, w pierwszej jego połowie, pisano jeszcze po dworach litewskich po rusku, ale już w drugiej połowie ustaje to zupełnie; pamiętnik Jewłaszewskiego, spisany po rusku, należy do rzeczy wyjątkowych; czytają jeszcze dawne, ruskie manuskrypty, ale przypiski do nich robią już polskie, a w XVII wieku nawet i z kancelaryi litewskiej przestały wychodzić ruskie pisma; Statut litewski obowiązywał już dawno w tekście polskim, i, gdy w Polsce język sądowy (aktowy) był łaciński, na Litwie był polski; tryb szkolny był ten sam wszędzie, wymowa trybunalska czy sejmowa również (ostatnia mowa ruska przebrzmiała roku 1589, skarżąca na napływ nowych obyczajów, zatapiający starynę, tak jednak drastyczna, że raczej skomponowano ją umyślnie i szanownemu kasztelanowi smoleńskiemu, Mieleszce, tylko podsunęto).

Mimo wspólnej kultury trzymały się Korona i Litwa odrębnie; nie przechodzili, albo raczej wyjątkowo, urzędnicy świeccy i duchowni; żeniono się między swoimi; u Jezuitów tylko różnic nie czyniono; Mazura posyłano do Kroź, a Rusina do Krakowa, patrząc na subiectum i zdolność, nie na pochodzenie. Lecz wieki, kultura i literatura działały swoje; powoli występują nietylko Radziwiłłowie i Wiszniowieccy, ale i z warstw najniższych, litewskich i ruskich, pracownicy polscy; okrainy zaczynają spłacać długi wdzięcz-

ności, zaciągnięte u macierzy. W XVIII wieku występuje to im później, tem jawniej: „Rusak“ Bohomolec, jedna z najbardziej typowych warszawskich postaci, również Naruszewicz, Ejsymont (wszystko Jezuici), Książnin i inni; do Warszawy dostraja się Wilno. I jeśli jeszcze w XVII wieku nieraz w Koronie sarkano na separatyzm litewski, jeśli W. Potocki wołał, że się bez Litwy obędziemy, a wojewoda pomorski (Kobierzycki) pytał, czy też w małżeństwie z rozdzielnym zupełnie gospodarstwem prawa miłość panuje, czy się Litwie do swoich kanclerzów i hetmanów nie zachce kiedyś i swego sejmu i króla, to w XVIII wieku znikły te antagonizmy, chociaż dawnego trybu nie zmieniano, bo Rzeczpospolita szlachecka, jak i autokracja, żadnych zmian nie znosiła.

Poczucie, uświadomienie narodowości rozchodziło się więc coraz szerzej i głębiej. Napozór zdawałoby się, że polskość stała szlachtą i duchowieństwem; że wystarczy, wedle opinii pruskiej, podciąć podstawy obu stanów, a runie naród. Tymczasem polskość i mieszczaństwo uświadomiła się choćby za dni wielkiego sejmu, i gdy „król z narodem“ wołano, już przez „naród“ rozumiano coś więcej. Upierał się jeszcze roku 1780 stan szlachecki przy wszystkich prerogatywach, nie uznawał nikogo i niczego prócz siebie, ale już roku 1783 pisał ks. Świtkowski w Pamiętniku: „już teraz serca miękkie i dusze dla wszystkich ludzi tkliwą mieć poczynamy“. Że to tak rychło nastąpiło, i literaturze się zawdzięczało; mogły być recydywy, u jednostek, nawet i w szerszych kołach, ale większość narodu już ich nie podzielała, i zapął, z jakim się szlachta w poczet mieszczan warszawskich wpisywała, był szczery. Późniejsze wypadki łączność tę tylko stwierdzały, węzły obopólne wzmacniały.

Podniosła się wreszcie i kultura mieszczańska z ruiny wiekowej, z rdzy i pleśni, nową wielką zasługą rządów Stanisława Augusta. Nietylko komisye *boni ordinis* działały w tym celu umyślnie; na miastach odbijało się wszystko, cokolwiek dla podniesienia handlu i przemysłu podejmowano; wpływem nowych szkół zahaczały o toż samo i usiłowania Komisji Edukacyjnej: nauki, satyry i komedye czy rozprawy po Pamiętnikach czy liczne przedsięwzięcia, choćby kompanii manufaktur wełnianych, dążyły do jednego celu.

Niknęły więc przesady kastowe i rodowe; zacierały się i wyznaniowe, ulatniał się duch ascezy i nietolerancyi, tak żywy jeszcze, ba wszechmocny około roku 1768 — przecież i Krasiński Barszcza-

nom sprzyjał i w czasie najgorszej zawieruchy dlatego z kraju wyjechał. Działo się to pod łagodzącym wpływem oświaty; od niej topniały lody sarmatyzmu, nieczułości, obojętności. Oświata utkliwiła i uszlachetniła serca; rozglądano się i porównywano; uznawano własne błędy i winy obce; wznoszono się nad potrzeby i poglądy życia zwierzęcego, jedyne, jakie epoka saska знаła. A chociaż to odrodzenie, to nawiązanie zerwanych ogniw duchowych, to uświadomienie i europejskości i własnej narodowości nie odrazu, z wyżyn i odjednostek, rozpotało się na naród, chociaż przychodziło ucierać się z obłędami konfesyjnymi i stanowymi, z nieuctwem, apatyą i lekkomyślnością, droga przyszłego rozwoju była wytknięta i rzucać jej już nie było możliwości.

Jeszcze łatwiej obliczyć, co specjalnie dla literatury epoki Stanisławowska działała. Uwolniła nareszcie myśl od uwięzi ascetycznej, odrodziła język, odnowiła formę. Wszystko skarłało, zmanierowane, bez życia; język zeszytywniał i zubożał, odwykły, żeby w nim głębsze materje traktowano. Słowa, któremi dziś bez namysłu, jako odwiecznymi, szafujemy, wstawiał autor z czasów sejmu wielkiego ostrożnie, kładł w nawiasach obce, obok „nadużycia“ *abusus*, obok „czynnika“ *agens* i t. d., jakby o wybaczenie dla tych nowo ukutych wyrazów prosił; przedtem nikomu się przecież ani śniło, użyć w polskiej mowie innego terminu, niż *abusus* lub *agens*, t. j. obdzierać własną mowę na zysk cudzej. I ci właśnie ludzie, co wąsom i karabelom vale rzekli, starali się o wymiecienie cudzoziemszczyzny z języka narodowego. Czasami szli nawet za daleko: pilnując prawidłowości mowy, strzegąc się dawnej trywialności i rubasności, pozbawiali ją wyrazistości i bogactwa; ścierali jej barwę, bojąc się, czy nie zbyt pstra; gładzili, by co gdzie nie uraziło; szablon francuski mowy - galanterji do polszczyzny przykładali i zbyt gorliwie ze wszelkich narośli i dzikich niby pędów ją okrzezywali. Z odnowionym językiem nie zgadzała się już i dawna bezstylowość, dawne podbieranie wierszów do byle jakiego przedmiotu, choćby do teologii szkolnej: w regułach, acz zbyt ciasnych, i w ich przestrzeganiu, odbiła się reakcja przeciw rozpasanii; wrócono do najlepszych tradycji i wzorów i, choć wielkich dzieł nie stworzono, choć na oryginalność się nie sadzono, choć naśladowano (najmniej na polu satyry z jej bogatą weną i werwą), przygotowano wyniknięcie literatury prawdziwie narodowej.

Całą jednak treść epoki Stanisławowskiej, jej polityki i jej literatury, wyraża jedno, najlepsze jej dzieło: „Konstytucya trzeciego maja“, sławiona i przez ministra angielskiego (Burke), jako najlepsza; do niej zbiegają się wszystkie linie rozwoju; w niej bierze udział, jak w jakim końcowym obrazie na scenie, wszystko, co było w Polsce dobrego i mądrego, i król i Krasicki i Naruszewicz — choćby odą, kazaniem czy listem i błogosławi jej zdala Andrzej Zamojski. Epoka zaczynała się i kończyła niby tak samo: reformą sejmu konwokacyjnego (1764) i unicestwieniem tej reformy przez konfederacyę Radomską — reformą trzeciego maja i unicestwieniem reformy przez Targowicę. Lecz ongi przeprowadzali Czartoryscy sami reformę przeciw narodowi; teraz trzech magnatów burzyło ją przeciw narodowi! Że naród po stronie reformy stanął, to było zasługą i rządów Augusta, i literatury jego czasów. Mógł sejm roku 1768 — po dziele Konarskiego! — uprawnić Liberum Veto; sejm roku 1791 zrywał ze wszystkim złem przeszłości, z nierządem i jego nałogami, nakładał na stany sejmujące ofiary, uznawał mieszczan, podawał dłoń włościanom. Miał on być zorzą poranną nowego świtu, lecz to już tylko zachodzące słońce ozłacało gmach dawnej Rzeczypospolitej. Dzieło samo upadło, lecz chwilę jego społeczeńsi górnje przeżyli,

Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,

a chwil takich losy wszystkim narodom skąpią; tem ważniej ciąży one na szalach dziejowych, a następstwa ich nieobliczalne.

Z dawnem państwem zakończyła się dawna literatura. Rozwój jej, nadzwyczaj powolny, utrudniały niegdyś stosunki wewnętrzne, od samego niekorzystnego położenia kraju aż do rozwielenia się obcych żywiołów, niemieckich po miastach, a łaciny po głowach. Niemców zasymilowano niebawem zupełnie; łacina ustąpiła dopiero po r. 1764. Dziwnie ukształtowały się wskutek tego dzieje literatury polskiej: zagranicą nie wciąga się do nich nigdy, chyba wyjątkowo, w najobszerniejszych dziełach, u Gödeckiego albo w nieskończonych tomach „Histoire littéraire de la France“, literatury krajowej łacińskiej; u nas należy koniecznie uwzględniać i literaturę łacińską; najznakomitsi pisarze nasi rozbili namioty swe tu i tam; Kochanowski i Orzechowski, Kłonowic i Szy-

monowic, Fredro i Lubomirski nie poddają się głębszej analizie, jeżeli nie wciągniemy ich dzieł obcych, to jest łacińskich, Klonowic pisał przecież po łacinie, czego po polsku nie śmiał powiedzieć, obok pisarzów, wyłącznie po polsku piszących, Bielskiego, Reja i Potockiego, niebrak i równie wpływowych latynistów, Janicyusza i Sarbiewskiego.

I została łacina drugim językiem naszej dawnej literatury, a fakt ten obfitował w ważne następstwa. Obcy język przemycił i obce obrazy, uczucia i myśli; zacierał, fałszował, odmieniał narodowy charakter literatury; wzorowano się nietylko na formach starorzymskich, ale przejmowano się ich treścią. Nie z przypadku ani bez skutków zaroila się literatura Zygmuntowska latynistami, Krosieńczykiem, Krzyckim i innymi; reakcja narodowa Bielskiego i Reja nie przemogła; zepchnął Kochanowski ponownie rydwan tej literatury na tory naśladownicze, z których już się nie wydobyła, okupując znaczne zyski znaczniejszymi stratami. Pełni życia narodowego ona już nie wyrażała, krępowana paskami i powijkami klasycznymi; w nich nauczyła się chodzić, zrzucić ich jednak nie potrafiła, najmniej w wieku XVI. W wieku XVII dopiero, z obniżeniem poloru umysłowego, przebijały pędy narodowe skorupę klasyczną, ale ani ogólnie, ani na zawsze, i wszechwładność łacińskiej formy i myśli, podtrzymywana przez szkołę, kościół, urząd, przetrwała czasy saskie.

Zupełnie narodową dawna literatura więc nie była; nie rozwijając własnych form i myśli, żywiła się obcymi sokami; nawet u Paska brózdzą łacińskie, nietylko frazesy; ksenomania, naśladownictwo, grzech pierworodny słowiański, wycisnęły na niej piętno. A jednak, pominąwszy nagłe podniesienie się za Kochanowskim na wyżyny artystycznego tworzenia, jakichby domorośla literatura nie rychło albo nigdy nie osiągnęła, umiała ta dawna literatura, jak i dawne życie polskie, chociaż w znacznie mniejszym stopniu, zachować oryginalność, występującą jaskrawo w XVII wieku, u Kochowskiego, bardziej u Potockiego, zacierającą się znowu później, nie w formie, chramiącej stale na klasycyzm, nie w treści, nadto często zapożyczanej, lecz w duchu. Nawet z pod najpotworniejszych wymysłów pseudoklasycznych u Miaskowskiego przebijała głęboka i prawdziwa nabożność staropolska, konwencyonalna całkiem sielanka Potockiego, z Apolinem i Muzami, z Bakchem i Olimpem, wyznawała zasady, najbardziej obce klasycznemu światu.

Więc nie skostniała zupełnie dawna literatura w naśladownictwie, choćby już dlatego, że w różnych wiekach różnym podlegała prądom. Z wieków średnich, u Bielskiego, Reja i Seklucyana, wychodziła podobna do czeskiej; Sztitny, Hus, i Chełczicki, domorosta spekulacja, asceza i obserwacja, przeszczepiły się na grunt polski, i polszczyzna XVI wieku nie tylko powierzchownie, kilkadziesiąt czechizmami, wzory i źródła czeskie przypominała; tu była rodzimość najczystej, charakter słowiański występował tu najpełniej. W literaturze, nie w życiu, przemógł humanizm, ale niebawem, zabarwiły go nowe żywioły, rycerskoromantyczne, włoskie, obce zupełnie np. Czechom, wyłączne w literaturze dubrownickiej. Literatura polska, po cechach czeskiej i łacińskiej, przybiera włoską; styka się w tych samych tłumaczeniach i naśladownictwach z dubrownicką, chociaż się nieraz znacznie opóźnia; „Amintę“ np. przetłumaczył Złatorić jeszcze przed wyjściem na świat oryginału włoskiego (1580), u nas dopiero Andrzej Morsztyn, za to „Pastor fido“, tragedję Grottego, „Rime spiritali Fiammy“ (1570 r.) już w XVI wieku tłumaczyli Smolik i Grabowiecki; romantyczne epee, heroiczne (Osman Gundulic’a) i religijne (Christyada Palmotic’a) powtarzają się u Kochowskiego i Gawłowickiego; Aryosto i Marino zaś święcą w Polsce tryumfy, na jakie Dubrowniczanie już nie stać. Obok włoskich zjawiają się wpływy francuskie, najpierw między wszystkimi Słowianami, u Polaków, już w XVII wieku — tylko germańskich brak zupełny.

Różnorodności wpływów i kierunków odpowiada bogactwo form i treści, chociaż zupełnie odłogiem leży pole dramatyczne; wszelkie próby, od Kochanowskiego do Rzewuskiego, rażą odosobnieniem; tu cofa się literatura polska niemal poza dubrownicką, nie dotrzymując bynajmniej kroku romańskim i germańskim. I to ani przypadek, ani skutek tylko braku życia miejskiego i dworskiego u szlachty, stroniącej zawsze od obu, sielskiej nawykami swymi, prawdziwie słowiańskiej i pod tym względem; obok liryki i epiki słowiańskiej nie stanął i dziś jeszcze nigdzie dramat słowiański, rzecz zawsze jeszcze przyszłości, mimo prób nieskończonych a nieraz i świetnych. Najnowsza dążność odtwarzania jakiegoś dawnego „teatru“ polskiego nie może się powieść; jednoznaczne świadectwa najlepszych znawców, Czartoryskiego i Dmochowskiego, stwierdzają istnienie sceny szkolnej, komedy i tragedji żakowskiej, popisów krasomówczych i pseudohumorystycznych po audytoryach,

przeczą samym początkom jakiejs sceny narodowej, powstającej później nawet (co do czasu), niż rosyjska; Wołkow i Sumarokow, teatr Elżbiety, wyprzedzili Bohomolca i teatr Stanisławowski. Tem obficie uprawiano inne działy, dydaktyczny, od poważnej satyry aż do sprośnego pamfletu, epiczny i liryczny, chociaż znowu poezyi nie nadąza proza; widoczne to szczególnie w romansie, zatapiającym nieraz u Francuzów i Niemców, Włochów i Anglików, niwy poetyckie, zawsze nikłym w Polsce, gdzie i tłumaczenia nie były ani rychłe ani obfite (nawet rosyjska literatura przyswaja sobie słynne niemieckie, np. Banizę azytycką, obcą Polsce; Niemcy piszą dawno już romanse o Wandzie, gdy Polacy chyba na eposeę łacińską o nie się zdoberą).

Jeżeli dawna literatura ani arcydzieł nie stworzyła ani zupełnie narodowej formy i treści nie wyrobiła, należy się jej tem większe uznanie za gorliwą służbę obywatelską.

Służmy pocziwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże:

to jest jej hasłem, jak było Kochanowskiego, i najmniej ona winna, że „dobro spólne“ zmarniało; również daremne były nawoływania literatury politycznej. Ta obywatelskość wyróżnia dawną literaturę nie tylko przed naszą nowoczesną, ale i przed obcemi: jej poeci nie zaskorupiają się w sobie, żegnają rychło uniesienia liryczne młodości i stawają do szeregu pracowników pożytecznych. Lecz nie tylko tą cechą obywatelskości, góruje ona i promieniowaniem na zewnątrz — na literaturze polskiej wyrastają liczne pokolenia wschodnie, w Kijowie i Jassach, a wpływ tej literatury sięga i Moskwy. Góruje ona wreszcie językiem, jego poprawnością i czystością, mimo naleciałości łacińskich, te tylko w szyku słów trwałe; wpływ wyrzec mogły; język Orzechowskiego i Skargi, Reja i Potockiego, Krasickiego i Trembeckiego zostanie na zawsze źródłem ożywcem i w niem skąpać się winien, kto po polsku chce pisać: nie darmoż Słowacki wśród obcych obu Kochanowskimi i Wujkiem siłę i czucie językowe orzeźwiał i wzmacniał, jak Anteusz za dotknięciem ziemi - rodzicielski.

Rozwój tej literatury nie odbywał się w linii prostej; cechują ją nagłe załamania i zygzyki. Po wiekowym pełzaniu nad samą ziemią, po powolnem wznoszeniu się w pierwszej połowie XVI wie-

ku pnie się ona nagle na wyżyny, odskakuje od dotychczasowego toru, za sprawą Kochania Wieku; artystycznej miary wzoru tego nie dosięgają nigdy już następcy; za to naginają oni linię wybujałą do poziomu narodowego napowrót lub kroczą po nowych torach, których nie wskazywał jeszcze wieszcz czarnoleski. Potem linia się niby gubi, jak niegdyś, chociaż wszystkie warunki się zmieniły, a wznosi się znowu nagle za czasów Stanisławowskich, siłących się zdwojoną energią powetować czas stracony, podążyć za oświeceniem europejskiem, któremu dorównywaliśmy w roku 1500 — nie darmoż rzucali wtedy Niemcy własne uniwersytety, a garnęli się do krakowskiego — a za którym pozostaliśmy tak strasznie w tyle w r. 1764. I zdziałała ta nowa literatura, co mogła, i do odrodzenia duchów przyczyniła się mądrze a skutecznie.

Katastrofa polityczna i ją pochłonęła; zamilkła ona po r. 1794, a gdy na nowo powstawała, zmieniła się już zupełnie jej rola i znaczenie w życiu narodowym; przedtem tylko jeden z jego czynników, obok innych, teraz ona jedna wyłącznie niemal narodowość dźwigać czy stanowić i wyrażać musiała i dotąd musi; takiego zadania nie spełnia żadna inna literatura świata.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY.

ROZDZIAŁ PIERWSZY. POCZĄTKI. Str.

Kraj, naród i państwo; kultura pierwotna. Przyjęcie chrześcijaństwa; niedostateczność misji zewnętrznej i wewnętrznej. Pierwsze pomniki łacińskie; Gał i Wincenty. Rozbudzenie życia religijnego w wieku trzynastym. Kazania i pieśni polskie; Bogurodzica; zasługi Kingi. Nowe żywioły; napływ niemiecki; reakcja narodowa. Wiek czternasty: wpływy czeskie i niemieckie; kultura Kazimierzowska. Prace prawodawcze; potrzeba uniwersytetu. Literatura łacińska i polska; Jadwiga; kazania i pieśni polskie. Misja państwowa, obyczajowa i religijna na wschodzie. Nowy uniwersytet Jadwigi i Jagiełły. Żydzi

I

ROZDZIAŁ DRUGI. WIEK PIĘTNASTY. SCHOLASTYCZYM.

Państwo i społeczeństwo. Studium generalne krakowskie; zasługi i wpływ jego; braki i wady. Literatura poza uniwersytetem; Długosz. Nowe prądy: husytyzm, Gałka; Ostroróg. Humanizm, Grzegorz z Sanoka, Kalimach, Celtes. Wzrost ogłady ogólnej. Mania pisania: kazania i poezja łacińska. Proza i poezja w języku narodowym. Zasługi Bernardynów; pierwszy wierszopis polski, bł. Władysław z Gielniowa

24

ROZDZIAŁ TRZECI. WIEK ZYGMUNTA STAREGO. HUMANIZM.

Państwo i społeczeństwo; spolszczenie mieszczaństwa; obce żywioły etnograficzne, Ruś i Litwa; ich polszczenie. Przewaga łaciny; uui-

wersytet krakowski; humanizm; poeci: Krzycki, Janicyusz. Początki dramatu. Druki. Historycy. Politycy. Literatura narodowa, rękopiśmienna i drukowana; Opeć, Biernat z Lublina, Rey, jego dyalogi i psalterz. Śmierć Zygmunta Starego 58

ROZDZIAŁ CZWARTY. DRUGA POŁOWA XVI WIEKU. REFORMACYA.

Początki ruchu religijnego; przyczyny późnego jego wschodu i rozbieżności jego. Lutrzy, Bracia Czeszy, Kalwini, Aryani. Polemika o wiarę; wpływ na literaturę. Reakcja katolicyzmu; dlaczego zwyciężył? Jezuici; Wujek i Skarga. Unia brzeska. Pisarze, wykolejeni polemiką teologiczną: Orzechowski, Frycz, Wolan 97

ROZDZIAŁ PIĄTY. LITERATURA NARODOWA.

Literatura staropolska: Bielski i Rey, Paprocki i Strykowski. Tłumacze. Beletrystyka (powieści ludowe). Wierszoroby. Dyalogi i dramat szkolny. Literatura humanistyczna. Historycy: Kromer, Warszewicki. Listy i mowy polskie. Poezya humanistyczna łacińska, Szymonowic; polska, Kochanowski; pierwsze włoskie tchnienia; Szarzyński; książd Grochowski; mieszczanin Klonowic. Tłumaczenia, Górnicki i inni. Wynik tej pracy umysłowej; wysoki poziom literatury narodowej. Język 144

ROZDZIAŁ SZÓSTY. WIEK SIEDEMNAŚTY. TŁO DZIEJOWE i PRĄDY UMYSŁOWE. LITERATURA PROZAICZNA.

Upadek państwa; anarchia szlachecka. Upadek protestantyzmu; wszechmoc katolicyzmu i Jezuitów; Sarbiewski; pisarze prawosławni. Upadek mieszczaństwa; rola jego w literaturze; Szymonowic i Zi-morowic; literatura sowizdrzalska; dramat szkolny. Literatura polityczna; optymaci, Łukasz Opaliński; republikanie: Rey i Fredro; pesymista Lubomirski; antysemita. Historycy; polihistor Starowolski. Pamiętnikarze; Pasek. Powieści i romanse 202

ROZDZIAŁ SIÓDMY. POEZJA SZLACHECKA.

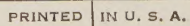
Uwagi ogólne o pisarzach; o pismach anonimowych; stan piszących, treść i forma pism. Pisarze wybitniejsi; epika historyczna i romantyczna; Twardowski. Epika religijna, mesyady polskie. Satyra Opalińskich. Wiersze dydaktyczne i fraszki: Wacław Potocki. Lirycy, religijni i polityczni, Miaskowski i Kochowski; erotycy, Mor-sztynowie; liryka gnomiczna Naborowskiego i in. Próby dramatyczne, Lubomirski. Kobiety autorki, Stanisławska 284

ROZDZIAŁ ÓSMY. ZASTÓJ SASKI.

Wzrost nietolerancyi, gorszące jej objawy. Anarchia szlachecka, zagwarantowana przez obce mocarstwa. Rozszczepienie literatury: drukowana całkiem się odświeczcza; rękopiśmienna. Magnaci w literaturze: Radziwiłłowie, Jabłonowscy, Załuscy i t. d. Drużbacka. Romanse wierszowane; wiersze historyczne i satyryczne. Budzenie się z zastoju; Leszczyński, Konarski, Rzewuski. 367

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. ODRODZENIE.

Król i społeczeństwo. Satyryczna i dydaktyczna cecha literatury: Krasicki i Naruszewicz; Piotrowski i Juszyński; Trembecki i Węgierski. Liryka, Karpiński i Książnin. Komedia, Zabłocki, Niemcewicz, Bogusławski. Literatura polityczna, Staszic, Kołłątaj, Jezierski. Wpływy francuskie: żywotność literatury ascetycznej, autorytetu łaciny, sarmatyzmu. Pamiętniki. Wywody ogólne o literaturze dawnej 413

[illegible]

891.85

35133

B888

v.1

AUTHOR

Brückner, Alexander

TITLE Dzieje literatury

Polkiej w zarysie

v.1

35133

891.85

B888

v.1

